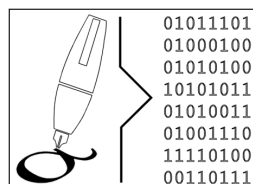


MERCEDES LACKEY

PRZESILENIE

Trzeci tom z cyklu
„Trylogia Magicznych Burz”

Tłumaczyła: Katarzyna Krawczyk



Tytuł oryginału:

STORM BRESING

Data wydania polskiego: 2001 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1996 r.

Dedykuje pamięci Elsie B. Wollheim

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Karal leżał najspokojniej jak mógł, równo oddychając, by nie urazić bolącej głowy. Zamknął oczy przed światłem i miał nadzieję, że zawiniątko ze śniegiem leżące na jego czole zmniejszy tętniący ból. Trudno mu było myśleć, kiedy skronie przesywały bolesne ostrza, spotykające się u nasady nosa. Reszty swego ciała był jedynie mgliście świadomy; został zawinięty w koce i obłożony wokół gorącymi kamieniami, by chroniły go przez zmarznięciem. Opiekujący się nim Shin'a'in wydawał się szczególnie dbać o to, by Karal nie przeziębził się od zimnej podłogi lub śnieżnego kompresu na głowie. Gdyby znajdowali się w Valdemarze albo nawet w Karsie, mieliby inne sposoby na złagodzenie ognistych ostrzy kłujących w skronie — ale niestety. Na pół zrujnowane resztki dawnej wieży nie miały takich udogodnień jak uzdrowiciele czy napary ziołowe. Karalowi będzie musiało wystarczyć to, co zapewnią im sojusznicy Shin'a'in, przynajmniej na razie. Oznaczało to wywar z kory wierzbowej, kompres ze śniegu i nadzieję, iż to pomoże.

„Zawsze można mieć nadzieję. Mogło być gorzej”. Chociaż o ile gorzej — tego nie był w stanie rozważyć w tej chwili.

Był to gigantyczny ból głowy; można się zresztą było tego spodziewać, ponieważ Karal stał się głównym punktem spotkania energii, broni tak potężnej i nieprzewidywalnej, że nawet wielki mag, który zakończył magiczne wojny, nie odważył się jej użyć. Jej wykorzystanie wymagało kanału magicznego — żyjącego kanału. Być może żaden z magów Urtho nie był akurat kanałem, a może Mag Ciszy nie chciał ryzykować życia tej osoby — w każdym razie broń pozostała nietknięta z tabliczką ostrzegającą przed jej wykorzystaniem.

„A może nie mógł znaleźć ochotników”.

Karal wcale by ich za to nie winił. Sam miał bardzo nieprzyjemne wspomnienia z pierwszego doświadczenia jako kanał, ale drugi raz miał całkowicie inny ciężar i znaczenie niż pierwszy. Szczerze mówiąc, Karal nie pamiętał zbyt wiele z tego, co się wydarzyło po uruchomieniu broni. Sokoli Brat Śpiew Ognia i półkrwi Shin'a'in An'desha zapewnili go, że to bardzo dobrze. Uwierzył im.

„Jeśli Śpiew Ognia i An'desha myślał tak samo. . .”

Miał niejasne uczucie, iż naprawdę woli nie wiedzieć, co się zdarzyło. Gdy-

by wiedział, musiałby o tym myśleć, a ta perspektywa przyprawiała go o zawrót głowy.

O wiele łatwiej było leżeć na posłaniu i walczyć z bólem niż myśleć. Od czasu do czasu głosy innych, krzątających się przy codziennych zajęciach, docierały do niego poprzez ból, stłumione lub wzmocnione dziwną akustyką pomieszczenia. An'desha i szaman Lo'isha rozmawiali cicho; ich głosy zlewały się w niewyraźny pomruk, który dziwnie uspokajał, podobnie jak szelest liści albo szum wody. Ktoś inny, zapewne kestra'chern z klanu Kaled'a'in, Srebrny Lis, mył naczynia; delikatne metaliczne pobrzękiwanie wybijało rytm cichej rozmowy. Bliżej Sokoli Brat Śpiew Ognia podśpiewywał pod nosem; zapewne coś naprawiał. Śpiew Ognia zawsze śpiewał, naprawiając cokolwiek; twierdził, że to powstrzymuje go przed powiedzeniem czegoś, czego mógłby żałować. Nie przepadał za naprawianiem, zresztą jak i za innymi podobnymi zajęciami — przez całe życie był obsługiwany. Konieczność zatroszczenia się o własne potrzeby była dla niego doświadczeniem nowym i niemiłym. Karal uważał jednak, iż adept dobrze sobie radzi w tej sytuacji pod ciężarem dodatkowych obowiązków.

Tyle na temat ludzi, wchodzących w skład grupy. Co do nie-ludzi — cóż, Karal wiedział, gdzie jest ognisty kot Altra. Puszysty, mrużący koc okrywający go od kolan po szyję to był Altra, nie zaś wymyślna kołdra Shin'a'in. W jakiś sposób — i w przeciwieństwie do zwykłych kotów, które zawsze stawały się cięższe, kiedy leżały na człowieku — Altra mógł zmniejszać swój ciężar, stając się nie cięższym od wełnianego koca. Jedynie promieniujące z niego ciepło i głębokie, uspokajające mrużenie zdradzały jego obecność.

Gdzieś poza komnatą, w której leżał Karal, Florian — jedna z podobnych do koni istot zwanych w Valdemarze Towarzyszami — słuchał uważnie An'deshy i szamana. Gdyby Karal wytężył nieco myśli, mógłby ich usłyszeć uszami Towarzysza. Więzi łączące go z Towarzyszem i ognistym kotem były teraz o wiele silniejsze niż kilka tygodni temu. Wystarczyło, by pomyślał o którymś z nich, a słyszał szept ich myśli w swoim umyśle; czuł ich obecność jak ciągle ciepło. W czasie, z którego nic nie pamiętał, zdarzyło się coś, co związało ich mocniej. Nie wiedział, czy oni czuli podobnie; przypuszczał, że nie. To on został zmieniony, nie oni.

To kolejna sprawa, której wolał nie rozpatrywać zbyt szczegółowo. Ognisty kot nie był tylko śmiertelnym stworzeniem, a Towarzysz, choć śmiertelny, jak ognisty kot był człowiekiem narodzonym po raz drugi w ciele magicznym. Zatem jeśli to, co się zdarzyło, związało Karala mocniej z Florianem i Altra — tak mocno, że nie musiał się starać, by dotrzeć do ich umysłów...

Poczuł zimny dreszcz, nie mający nic wspólnego ze śnieżnym kompresem leżącym na jego czole. „Nie. Nie mogłem aż tak bardzo się zmienić. To zapewne tylko tymczasowe — i minie, kiedy odzyskam siły”. Próbował pomyśleć o czymś innym; przy okazji zauważył, że może w miarę logicznie myśleć.

„To już jakaś poprawa”.

Gdzie podziała się reszta? Karal, mając zamknięte oczy, nasłuchiwał uważnie, usiłując ich zlokalizować za pomocą docierających dźwięków. Nie chciał narażać się na ponowny ból towarzyszący otwieraniu oczu.

Pozostali nie-ludzie — dwa gryfy — zajęci byli pakowaniem swych nielicznych rzeczy. Rozmawiali cicho, sycząc i kłapiąc dziobami; ich pazury drapały skórę juków pożyczonych od Shin'a'in na czas podróży na północ. Gryfy uznały, że zbyt długo przebywają z dala od dzieci; nikt z grupy nie miał serca namawiać ich na pozostanie. Dreszcz emocji, o jaki przyprawiało je chodzenie ścieżkami legendarnego Czarnego Gryfa, zapewne zaczynał słabnąć wobec tęsknoty za tak długo nie widzianymi dziećmi. Po zapadnięciu się Bram podróż na północ będzie długa nawet dla istot potrafiących latać.

„Może to i dobrze, zważywszy na to, w jakim byliśmy niebezpieczeństwie. Treyvan i Hydona zdecydowali, iż nie chcą osierocić swych dzieci. Kto mógłby ich za to winić?”

Tak, rzeczywiście mógł teraz logicznie myśleć. „Dość logicznie, by zauważyć, że mięśnie szyi zwinęły mi się w supły. Nic dziwnego”. Karal westchnął lekko i rozluźnił zeszywniałe ramiona, wtulając się w swój tobołek z rzeczami owinięty w owczą skórę, który służył mu teraz jako poduszka. „Dobrze, że mam w nim ubrania, a nie książki.” Mimo wszystko śnieg pomagał; zauważył, że bolą go mięśnie, a to oznaczało, iż ból głowy nie przesłania już wszystkiego.

„Świetnie, teraz więc mogę rozkoszować się tym, jak boli mnie reszta ciała!” Bolesne klucie za oczami zelżało, również mięśnie przestały tak bardzo dokuczać; zapewne wcześniej wzmacniały jeszcze ból głowy. Denerwujące, jak wszystkie te sprawy napędzały się nawzajem!

„Cóż, jaki byłby ze mnie kapłan Słońca, gdybym nie umiał się odprężyć?” Techniki relaksacji wchodziły w skład szkolenia każdego nowicjusza. Nie można się modlić, jeśli się nie jest rozluźnionym. Jak można skupić się na chwale Vkan-disa, kiedy rozprasza cię skurcz w nodze? Karal cierpliwie przekonywał buntujące się ciało, by zaczęło zachowywać się jak należy, rozluźniając mięśnie, nawet nie przypuszczał, że są tak napięte. Kiedy skończył, ból głowy zelżał jeszcze bardziej, potwierdzając jego przypuszczenie, że przynajmniej w części spowodowany był napięciem mięśni.

„Tak lepiej. Tak jest o wiele lepiej”. Gdyby głowa przestała mu dokuczać, mógłby nawet cieszyć się ze swego stanu — przynajmniej trochę. Pierwszy raz czuł się całkowicie usprawiedliwiony, kiedy leżał i pozwalał innym, by troszczyli się o niego. Opłakany stan, w jakim się znalazł, dowodził, iż rzeczywiście zasłużył na odpoczynek.

Poza tym nie codziennie tyledraski adept-uzdrowiciel spełniał każde jego życzenie. Wystarczyło, by westchnął, a jego opiekun pytał, czy czegoś nie potrzebuje. Nieco dziwny zwrot sytuacji, zważywszy, że do tej pory to Śpiew Ognia był

obsługiwany.

Nie wiedział, dlaczego Śpiew Ognia troszczył się tak o niego — zapewne inni chętnie podjęliby się tych obowiązków, gdyby nie usilne nalegania adepta. Z drugiej strony musiał przyznać, że stał się bardzo troskliwym pielęgniarzem.

„Nie spodziewałbym się tego. To po prostu do niego niepodobne”. Może nie pasowało to do Śpiewu Ognia, jakiego znał, lecz taka myśl była niesprawiedliwa i Karal zganiał siebie za nią. „To małostkowe i nieżyczliwe. W Śpiewie Ognia drzemie o wiele więcej, niż kiedykolwiek zdołam się dowiedzieć. Wszyscy usiłujemy poradzić sobie w tej trudnej sytuacji, a jeśli on wybrał taką drogę, ma do tego prawo”.

W tej chwili, nawet kiedy ból nie rozsadzał mu głowy, Karal nie był w stanie robić nic innego poza dziwieniem się i przyjmowaniem oznak troski adepta. Z trudem mógł poruszyć głowę, nie męcząc się, a wstanie i pójście do toalety kosztowało go tyle wysiłku, że po powrocie przez kilka chwil mógł tylko leżeć i drzeć. To go niepokoiło; jeśli wkrótce nie odzyska sił, nie będzie zdolny do podróży, a to oznacza, iż nie będzie mógł pojechać z innymi do Valdemaru. Niecierpliwie gryfy nie czekały na resztę, ale i ludzie nie mogli za długo zwlekać. Jeżeli nie wyruszą teraz, mogą ich tu zatrzymać zimowe zawieje.

„Z drugiej strony... już teraz może być za późno. Brama, którą się tutaj dostaliśmy, nie istnieje, a gdybym był magiem, nie ryzykowałbym ponownego jej otwarcia. Możemy utknąć tutaj aż do wiosny. Nawet w najlepszych warunkach podróż na piechotę zajmie bardzo dużo czasu”.

Poza tym powrót do domu mógł być w tej chwili najgorszą rzeczą, jaką mogliby zrobić. Rozwiązanie problemu magicznych burz — któremu się poświęcił, a które go tak wyczerpało — znów okazało się jedynie tymczasowe. Może to najlepsze miejsce, w jakim będą mogli pracować nad znalezieniem ostatecznej odpowiedzi. Na pewno mieli tu warunki, jakich nie znaleźliby gdzie indziej.

Po pierwsze, starożytna broń, której użyli, by zmniejszyć siłę fali magicznych burz, była tylko jedną z kilku, jakimi dysponowali; prawdopodobnie nie nadawała się najlepiej do tego celu — po prostu udało im się ją zrozumieć. Może inna okaże się lepsza. Kaled'a'in obiecali przysłać historyka, specjalistę od języków i starożytnego pisma, które jedynie oni przechowali po kataklizmie. Powinien on dostarczyć im lepszych tłumaczeń niż gryfy.

„Nawet nie zaczęliśmy jeszcze badać tego miejsca, a przecież to serce włości Maga Cisy. Podobno był on największym magiem, dysponującym wieloma środkami. Czy na pewno zobaczyliśmy już wszystko?” Może znajdują się tu jeszcze inne komnaty, dotychczas nie odnalezione, kryjące odpowiedzi na ich pytania. Może rzeczywiście lepiej zrobią, zostając tutaj i oglądając lub studiując pozostały arsenał. Do tej pory nikt tego nie zaproponował, ale Karal zastanawiał się, czy już o tym nie pomyślano, choć wszyscy woleliby wrócić do domu.

„Z tego, co widzę, najgorsze jest to, że nie ma z nami nikogo z matematyków

ani rzemieślników”. To go martwiło; ostatnie dwa tymczasowe rozwiązania zostały stworzone, przynajmniej częściowo, przez grupę zdolnych logików mistrza Levy’ego. Dzięki tym uczonym wszyscy mogli spojrzeć na problem z innej perspektywy. „Potrzebujemy ich. Śpiew Ognia może ich nie lubić, ale potrzebujemy ich”.

Wiedział o tym z taką pewnością, jakby natchnął go sam Vkandis; był o tym przekonany, jak o niczym w życiu. Problem, z którym się zmagali, mógł zostać rozwiązany tylko wtedy, kiedy złożyły się na niego wysiłki wszystkich.

Westchnął; kiedy podniósł rękę, by zsunąć z oczu kompres ze śniegu, usłyszał kroki Śpiewu Ognia, podchodzącego, by mu pomóc. Zimny, wilgotny ciężar został zdjęty.

— Czy chcesz nowy? — zapytał wiecznie młody, jak się wydawało, mag. Karal otworzył oczy i potrząsnął głową — delikatnie, by nie zmarnować efektu, jaki do tej pory osiągnął. Śpiew Ognia nie przypominał z wyglądu pielęgniarce: niewiarygodnie przystojny młody mag zdołał zapakować w jeden tobolek zawartość całej szafy ze swą wykwintną, jedwabną, bogato zdobioną garderobą. Karal nie miał pojęcia, jak mu się to udało. W tej chwili Śpiew Ognia miał na sobie przygaszone srebrzyste błękity, które umożliwiły Karalowi patrzenie na niego bez bólu oczu. Od starannie ułożonych, srebrnobiałych włosów po nieskazitelne owijacze na nogach, w każdym calu wyglądał na egzotycznego maga; nie było w nim śladu służalczości. Jego rozbawiony uśmiech dodał młodzieńcowi otuchy; gdyby działo się z nim coś złego. Śpiew Ognia na pewno nie uśmiechałby się.

— Nie w tej chwili, dziękuję — odrzekł, zaskoczony brzmieniem swego głosu, chrapliwym, jakby zdartym od krzyku. — Naprawdę nie musisz. . .

Ku jego zaskoczeniu Śpiew Ognia zachichotał.

— O, za tym wszystkim kryje się poważny powód — odpowiedział z uśmiechem. — Jesteś nieprzyzwoicie mało absorbującym pacjentem, a kiedy zajmuję się tobą, nie muszę zajmować się innymi, gorszymi zajęciami. — W jego głosie pojawił się delikatny cień arogancji. — Zapewniam cię, że wolę kłaść ci na czoło kompresy niż zmywać naczynia.

Karal uśmiechnął się słabo. To przypominało Śpiew Ognia takiego, jakiego znał!

— O, to dobrze. Bałem się, iż nagle wypełnił cię duch poświęcenia i nie byłem pewien, czy długo zdołam z tym wytrzymać.

Śpiew Ognia roześmiał się w odpowiedzi i odgarnął na plecy długie białe włosy.

— Zachowaj swoje delikatne uczucia dla siebie — rzekł kpiąco. — We własnym interesie chcę, żebyś został w łóżku jak najdłużej, a jeśli nadal będziesz tak mówił, mogę ulec pokusie i zrobić coś, by zatrzymać cię w nim.

— Obiecujesz, ale nigdy nie dotrzymujesz słowa — odparował Karal, zaskoczony radością, jaką czerpał z rozmowy. — Mam jednak nadzieję, że moja deli-

katna skóra jest przy tobie bezpieczna.

— Wątpisz? — Śpiew Ognia uniósł brwi i spojrzał w górę; zapewne słuchał Floriana. Jego kolejne słowa potwierdziły to przypuszczenie. — Cóż, może i masz rację. Odcisk podkowy na środku twarzy z pewnością nie poprawi mi wyglądu. . . — opuścił wzrok i spojrzał w błyszczące, niebieskie oczy Altry — . . . i nie podoba mi się sposób, w jaki twój kot ostrzy sobie pazury.

Nie zraniłbym cię tak, by było to widać — odezwał się sucho Altra do umysłów ich obu. — *Srebrny Lis mógłby mieć do mnie pretensję. Ale byłaby z ciebie czarująca dziewczyna.*

Śpiew Ognia szeroko otworzył oczy, udając przerażenie, ale w jego spojrzeniu odbijał się cień szacunku.

— Przypomnij mi, żebym nigdy nie wprawiał cię w gniew, Altra. To trochę złośliwe, nawet jak na żart.

Gdybym przez chwilę myślał, że mówisz poważnie, nie byłby to żart — ognisty kot z rozmysłem podniósł łapę i polizał pazury. Był wielkości dużego psa i miał odpowiednio duże łapy, a jego pazury naprawdę wyglądały groźnie.

To nie było zbyt subtelne, kocie — pomyślał ostrzegawczo Karal, wiedząc, że Altra go usłyszy.

I nie miało być — odrzekł Altra tylko do jego umysłu. — *W swoim czasie rozważał możliwość zranienia cię. Jeśli kiedykolwiek jeszcze pomyśli o tym, chcę, żeby się nad tym dobrze zastanowił.*

Karal nie zmienił wyrazu twarzy, kiedy Altra przekazał mu tę informację. Była to rzeczywiście nowina. „A teraz każdy stara się mnie chronić!” Jednak mag czekał na odpowiedź, więc zanim zdołał zapytać, co się stało, Karal podniósł drżącą rękę do czoła.

— Koty! Nie można z nimi żyć, a futro jest zbyt cienkie na dywanik.

Altra wydał z siebie przesadzone prychnięcie niesmaku, a Śpiew Ognia roześmiał się głośno.

— Naprawdę czujesz się lepiej — powiedział, tym razem bez kpiny. — To dobrze. Może dziś wieczorem będziesz w stanie zjeść coś innego niż ta zupa bez smaku, którą karmił cię szaman. Spróbuj tylko nie wyzdrowieć zbyt szybko, żebym nie musiał wkrótce znów zmywać po sobie naczyn.

Zanim Karal zdążył odpowiedzieć, mag wstał, by wynieść ociekający wodą kompres. Karal powoli odwrócił głowę w kierunku Floriana i reszty. Jak można się było spodziewać, tuż za wejściem do pomieszczenia stali Florian z An'deshą. Towarzysz wpatrywał się w to, co szaman rysował na posadzce.

Gdyby Karal nieco się odprężył, mógłby widzieć wszystko oczami Floriana. Jednak nie chciał się aż tak rozluźniać.

„Pragnę tylko, żeby głowa przestała mnie boleć. Chcę móc wstać i pracować z innymi. Nie chcę być już dłużej ciężarem. Kapłan Słońca nie jest tym, któremu trzeba udzielać pociechy, to on powinien pomagać. . .”

Zamknął oczy i usiłował znaleźć technikę medytacji, która pomogłaby mu zasnąć pomimo bólu. Jeśli zaśnie, nie będzie świadomy tego, jakim kłopotem stał się dla reszty.

Nie usłyszał nadchodzącej osoby, ale poczuł dotyk na ramieniu. Otworzył szybko oczy — była to jedyna reakcja zaskoczenia, na jaką mógł sobie pozwolić.

Stwierdził, że spogląda w intensywnie niebieskie, rozbawione oczy, osadzone w trójkątnej twarzy o złocistej skórze. Oczy i twarz należały do postaci ubranej w nie ozdobiony strój Shin'a'in w kolorze zgaszonego brązu; był to, jak sobie teraz przypominał, codzienny kolor Zaprzysiężonych Mieczowi, o ile nie znajdowali się oni — co zdarzało się rzadko — na ścieżce nieustępliwej krwawej zemsty.

Zaprzysiężeni Mieczowi mieli i inne imię. „Kal'enedral. Zaprzysiężeni w służbie Kal'enedl, Wojowniczkę”. Teraz wiedział o nich więcej niż jakikolwiek inny żyjący Karsyta. Osoba siedząca lekko na piętach była zapewne jednym z Zaprzysiężonych osłaniających ich w drodze do Wieży. Karal nie umiał powiedzieć, czy był to mężczyzna, czy kobieta, zresztą w przypadku Zaprzysiężonych właściwie się to nie liczyło. Składali oni śluby czystości i musieli ich przestrzegać, przy czym wież z Boginią czyniła ich niewrażliwymi na jakiegokolwiek impulsy seksualne. Taki stan rzeczy nie miał swego odpowiednika w hierarchii Pana Słońca; choć jego kapłanów nie zachęcano do małżeństwa, jednak nie broniono im tego.

— Cóż, nie o to nam chodziło, kiedy odsłonił się przed tobą nasz sekret, młody cudzoziemcze — powiedział Shin'a'in czystym, lekko szorstkim tenorem, który mógł należeć zarówno do mężczyzny jak i kobiety. Mówił dobrze po valdemarsku, z ledwo wyczuwalnym akcentem. Karal poczuł ulgę, gdyż on opanował zaledwie podstawy shin'a'in. — Myśleliśmy, że przyjdiesz i odejdziesz. . .

Zamilkł, jakby nagle zdał sobie sprawę, iż słowo „odejść” niemal się spełniło. Karal wzruszył ramionami.

— My również nie mieliśmy takich planów, Zaprzysiężony — odrzekł uprzejmie.

Shin'a'in roześmiał się.

— Prawda; zapewne nawet twój bóg nie był w stanie przewidzieć tego co się stało. Na pewno zaś nie nasza Bogini! A jeśli nawet wiedziała, uznała, że lepiej nie dzielić się z nami swą wiedzą. Ale teraz — cóż, skoro Bramy, którą się tu dostaliście, już nie ma, a zbliżają się nasze zimowe zawieje, uznaliśmy, że musimy stać się gospodarzami z prawdziwego zdarzenia.

Kiedyś Karal byłby wstrząśnięty wezwaniem innego bóstwa niż Vkan-dis Pan Słońca — i jeszcze bardziej tym, że jednym tchem można wymienić Jego i Gwiazdzistooką Boginię Shin'a'in. Później zdołałby to znieść, lecz oburzyłby się na tak poufały sposób mówienia o bóstwie, jakby ten, kto mówi, stykał się z nim osobiście.

Teraz wiedział więcej; Zaprzysiężeni Mieczowi rzeczywiście się z Nią stykali. Znano Ją z tego, że do niektórych swych wyznawców przemawiała regularnie,

a czasami nawet interweniowała w ich życie. W końcu nie bardzo różniło się to od więzi pomiędzy Vkandisem a Synem Słońca.

— Mówiono mi, że znaleźliśmy się na takim rozdrożu, iż każdy rezultat był równie prawdopodobny — odrzekł ostrożnie, mrużąc oczy z bólu. — Może dlatego Ona nie dała wam znać, że zostaniemy raczej niespodziewanymi lokatorami niż gośćmi.

— Dobrze powiedziane! — odparł ciepło Shin'a'in. — No tak, zostaliście lokatorami. Mieszkacie pośród naszych namiotów, więc wypada zapewnić wam nieco lepsze warunki niż te, jakie mieliście do tej pory. Po pierwsze: jestem Chagren shena Liha'irden i mam być twoim uzdrowicielem. Lo'isha to dobry człowiek i doskonały szaman, ale jego zdolności uzdrowicielskie nie są wystarczające. Uwierz mi, ja potrafię ci pomóc.

Karal nie zdołał ukryć zaskoczenia; uzdrowiciel pośród Zaprzysiężonych? Chagren dostrzegł jego zdziwienie i zachichotał.

— Biorąc pod uwagę nasze zadanie, czyli strzeżenie Równin, czy nie wydaje się logiczne, iż czasami potrzebujemy uzdrowiciela? Byłem nim, zanim zostałem Zaprzysiężony, a zaprzysiężyłem się częściowo dlatego, że chciałem walczyć z Ancarem. Ślubowałem sobie, iż nigdy już nie postawię się w sytuacji, kiedy nie będę zdolny obronić tych, których miałem uzdrowić. Wezwałem Ją. Przyjęła moją przysięgę. Nie wszyscy z nas, którzy służą tak blisko Niej, mają za sobą tragiczne przejścia i utracili bliskich. — Spoważniał na moment. — Chociaż wielu, owszem. Ci, którzy widzieli zbyt wiele, by przetrzymać i zachować zdrowe zmysły, wzywają Ją i są włączani w Jej szeregi.

„Ci, którzy widzieli zbyt wiele...” Karal mimowolnie spojrzał na An'deshę; wzrok Chagrena powędrował w ślad za spojrzeniem Karala. Uzdrowiciel zerknął na niego z góry.

— Ciekawe. Myślisz o nim?

Karal zamrugał zaskoczony bezpośredniością Shin'a'in.

— Czasami zastanawiam się, czy dla An'deshy istnieje miejsce po tym, co przeszedł.

Chagren zamknął na chwilę oczy, przestając się uśmiechać.

— Jest — odpowiedział po chwili. — Jeśli zdecyduje się je zająć. Nie ma zdarzeń tak niezwykłych, byśmy nie mogli ich przyjąć. Może jego miejsce nie jest pomiędzy Zaprzysiężonymi Mieczowi, ale pośród Mądrych, noszących granat nocnego nieba i kończącego się dnia. Oni przysięgają raczej mądrości niż mieczowi i według mnie wśród nich poczułby się dobrze. Ale to on musi podjąć decyzję. Znów się uśmiechnął.

— Tymczasem to ja mam ci ulżyć, podczas gdy moi rodacy spróbują sprawić, by on odnalazł swoje miejsce na jak najdłuższy czas. Zatem — czy byłeś już kiedyś uzdrawiany?

— Nie. Valdemarska uzdrowicielka uznała, że bardziej pomogą mi zioła i lekarstwa niż prawdziwe uzdrawianie.

— Mądry uzdrowiciel wie, kiedy uzdrawiać, a kiedy zostawić to czasowi — odrzekł z aprobatą Chagren. — Tym razem jednak będziesz poddany prawdziwemu uzdrawianiu, które, jak sędzę, nie jest obce kapłanom Słońca. Proszę tylko o to, żebyś zamknął oczy i odprężył się, a kiedy poczujesz mojego ducha, pozwolił mu się dotknąć. To chyba proste, prawda?

— Chyba tak — odrzekł Karal, czując powracający i coraz silniejszy ból głowy. Wszelka niechęć, jaką mógł poczuć, zniknęła z tym nowym atakiem bólu. Posłusznie zamknął oczy i czekał, powoli zmuszając napięte mięśnie do rozluźnienia.

W chwili, kiedy „poczuł ducha” Chagrena, wiedział dokładnie, o co chodziło uzdrowicielowi. Poczuł się podobnie jak wtedy, gdy pierwszy raz porozumiewał się z Florianem. I tak jak wtedy, kiedy Florian poprosił go o „wpuszczenie do umysłu”, opuścił wewnętrzne bariery, z których istnienia nawet nie zdawał sobie sprawy, będąc Karalem z Karsu.

Jednak tym razem zamiast myśli i uczuć napływających do umysłu, poczuł łagodną falę ciepła; zmywała ból, odprężała go i dawała poczucie bezpieczeństwa.

Otworzył oczy. Zdawało mu się, że wszystko trwało chwilę, ale Chagrena już nie było. Na jego miejscu stały metalowy dzbanek i kubek, a w całej komnacie i w sąsiednich pomieszczeniach pojawiły się, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, nowe sprzęty i osoby.

U stóp Karala umieszczono mały piecyk z lanego żelaza; jego samego owinięto dodatkowymi kocami. Kilka długich, płaskich poduszek ułożonych obok tworzyło wygodniejsze posłanie niż to, na którym leżał. Na piecyku stał parujący imbryk.

Za drzwiami dostrzegł jeszcze jeden piecyk, a zapewne było ich więcej. Pojawiły się lepsze posłania i większe wygody. W drzwiach stanął Śpiew Ognia; zajrzał do komnaty, a kiedy zobaczył, że Karal się obudził, bez pośpiechu wszedł do wewnątrz i lekko podszedł do posłania.

— Przespałeś większość zamieszania — powiedział. — Pojawiło się więcej Kal’enedral z całą karawaną rzeczy; teraz to miejsce wygląda niemal na cywilizowane. — Uśmiechnął się. — Obiecali, że nie będziemy musieli więcej gotować, choć niestety będziemy musieli nadal spełniać obowiązki hertasi. To i tak dobrze; nie sędzę, bym zdołał zjeść jeszcze jeden posiłek mojej roboty, nawet gdybym miał umrzeć z głodu.

Karal zdołał rozeźmiać się ochryple i z radością odkrył, że nie spowodowało to kolejnego ataku bólu.

— Ból głowy przeszedł! — zawołał radośnie.

Śpiew Ognia kiwnął głową.

— Chagren powiedział, że przejdzie. Następnym razem, kiedy będzie cię

uzdrawiał, chciałbym mu pomagać. Wyjaśnił mi, co powodowało ból, a wtedy wszystko stało się oczywiste. — Podniósł dłoń, uprzedzając pytania Karala. — I wyjaśnię ci to szczegółowo później, kiedy będę miał czas opowiedzieć ci, w jaki sposób i dlaczego mag lub uzdrowiciel może robić to, co robi. Na razie wystarczy jeżeli ci powiem, iż przeciążyłeś tę część swego organizmu, która kanalizuje energię; podobnie poraniłbyś sobie czaszkę, gdyby znajdował się w niej kamień objający ją od wewnątrz. Można powiedzieć, że Chagren zajął się siniakami.

Karal usiłował się podnieść, lecz ku swemu rozczarowaniu stwierdził, iż nadal jest słaby jak nowo narodzony źrebak.

— Jaka szkoda, że nie wróciłem do pełni sił. Zapewne jednak Chagren nie może uleczyć wszystkiego od razu — powiedział z westchnieniem, kiedy Śpiew Ognia przytrzymał go za łokieć, by mu pomóc.

— Oczywiście, że nie — odrzekł rozsądnie mag. — Niektóre rzeczy, jak siła i wytrzymałość, powrócą z czasem. A teraz, jeśli się przesuniesz, przeprowadzimy cię do tego wygodnego łóżka. Potem wypijesz to, co ci zostawił, zjesz i znów będziesz spał. Przez kilka następnych dni droga do toalety i z powrotem to wszystko, do czego będziesz zdolny.

Śpiew Ognia pomógł Karalowi ułożyć się na pościeli z poduszek, które okazały się bardziej wygodne, niż się zdawały. Potem przykrył go kocami, derkami i futrami, a następnie podał mu metalowy kubek. Była w nim kolejna ziołowa mikstura, ta jednak miała przyjemny, owocowy i lekko słodkawy smak, pozostawiający uczucie świeżości, i gasiła pragnienie, którego woda nie mogła zaspokoić. Na nalegania Śpiewu Ognia Karal wypił drugą porcję naparu, a kiedy skończył, pojawił się An'desha z miską i łyżką.

— Chagren obiecał, że będziesz w stanie sam jeść, więc to jest twoje zadanie na dziś — powiedział, podając mu jedno i drugie. W misce była prawdziwa zupa, a nie papka bez smaku, jaką karmił go Lo'isha. Choć ręka drżała mu trochę, Karal zdołał sam zjeść wszystko. An'desha i Śpiew Ognia przez cały czas siedzieli obok i patrzyli jak para troskliwych nianieek. An'desha z triumfalnym uśmiechem odebrał puste naczynie.

— Wkrótce będziesz zmywał i zmiatał razem z nami — powiedział, wstając. Kiedy wyszedł z komnaty, Karal spojrzał poważnie na Śpiew Ognia.

— Mam wrażenie, że powinienem zmywać i zmiatać za ciebie, An'deshę i Srebrnego Lisa razem wziętych — odezwał się z poczuciem winy, którego nie zdołał ukryć. — Zabieram wam tyle czasu, a do niczego się nie przydaję.

— Teraz — odrzekł Śpiew Ognia surowo. — Ale pamiętaj o tym, co zrobiłeś i co jeszcze możesz zrobić. Poza tym zabierasz bardzo mało mojego czasu, ponieważ dużo śpisz. Zresztą to właśnie powinieneś teraz robić — spać, po wypiciu kolejnej porcji tego doskonałego napoju.

Karal posłusznie wypił trzeci kubek mikstury i zamknął oczy, choć nie był senny. Jednak widocznie w naparze było coś, albo rzeczywiście jego organizm

potrzebował snu i korzystał z każdej sposobności, gdyż zaledwie zamknął oczy i rozpoczął pierwszy etap rytuału rozluźniania, zaraz twardo zasnął.

Śpiew Ognia zaczekał chwilę, by upewnić się, że młody Karal pogrążony jest w głębokim śnie, po czym zabrał pusty dzbanek, miskę, kubek i zaniósł je do mycia. Komnata, przez której zewnętrzną ścianę weszli do Wieży, została przeznaczona do mycia wszystkiego, od naczyń po ludzi. Dzięki rozsądnemu wykorzystaniu magii, Śpiew Ognia poprowadził na powierzchnię rurę, kończącą się czarno emaliowanym zbiornikiem, który Shin'a'in napełniali śniegiem. Nie topiła go żadna magia, jedynie słońce wspomagane przez ognisko podsycane końskim nawozem. Rura biegła ukośnie w dół, do komnaty, gdzie kończyła się kranikiem pochodzącym z beczki na wino. Woda z kranu zaspokajała ich potrzeby. Ścieki spływały w ziemię kolejną rurą, osadzoną tuż obok tunelu. Do tej pory to wystarczyło.

Przy zlewie używanym zarówno do mycia naczyń, jak i prania stał Srebrny Lis; Śpiew Ognia poczuł wyrzuty sumienia, widząc kestra'chern marnującego swój talent i czas przy tak prozaicznym zajęciu. Wydawało się to równym absurdem, jak wymaganie od wybitnego rzeźbiarza, by odgarniał śnieg; a jednak to właśnie Srebrny Lis był teraz przy zlewie i swymi delikatnymi palcami najspokojniej w świecie zmywał tłuszcz i brud obozowego życia.

Przystojny Kaled'a'in podniósł wzrok i uśmiechnął się na widok przybysza, po czym powiedział wesoło:

— Gdyby i inne kłopoty dały się tak łatwo usunąć! Właściwie podoba mi się nasza wycieczka. Czuję się niemal jak na wakacjach!

Śpiew Ognia z jękiem podał mu naczynia.

— Dlaczego nagle nabrałem przekonania, że jesteś jednym z tych ciemnych prostaczków, którzy uważają, iż dwutygodniowy wyjazd do dziczy można uznać za wakacje?

— Coś takiego? — zdziwił się niewinnie kestra'chern. — A ty tak nie uważasz? — W niebieskich oczach zamigotały ogniki. — Pomyśl o cudownej samotności, odludnych okolicach, radości robienia wszystkiego samemu, ze świadomością, że można polegać tylko na sobie! Samowystarczalność! Wolność od reguł i zasad, które wciąż cię ograniczają!

— Pomyśl o braku cywilizowanej rozmowy, rozrywek, przyzwoitego jedzenia, gorącej kąpieli i wygodnego pośłania! — odparował Śpiew Ognia. — Wolałbym przez godzinę zmagać się z odrobiną bełkotu znudzonego dworzanina niż słuchać takiego samego bełkotu strumyka, podczas gdy marzną mi palce u stóp, nos lodowacieje i nie ma poduszki, żeby się na niej oprzeć. Poza tym zapewniam cię, że nie czerpię wielkiej radości ze zmywania naczyń i cerowania ubrań. W najlepszym razie są to zajęcia męczące, w najgorszym — marnujące cenny czas!

Inteligentne, ostre rysy twarzy Srebrnego Lisa złagodniały na chwilę.

— Może dla ciebie rzeczywiście; jednak, pomijając okoliczności takie jak te,

kestra'chern nigdy nie jest wolny od potrzeb innych. Dla ciebie to miejsce wygnania, ale dla mnie odpoczynek w dziczy to ucieczka.

Śpiew Ognia poczuł się winny; usiadł przy zlewie.

— Nawet tutaj nie dają ci spokoju — powiedział z pretensją skierowaną pod własnym adresem. — Przecież i ja wymagam od ciebie. . .

Jednak Srebrny Lis roześmiał się i odrzucił na plecy długie, czarne włosy.

— Nie, to nie są wymagania, ahela, to wzajemne pragnienie. Mógłbym powiedzieć, że moje oczekiwania wobec ciebie równie cię krępują, nie pozwalając ci odetchnąć, ale tego nie powiem. Ale tak jest — wreszcie mogę działać zgodnie z moimi potrzebami, nie koncentrować się całkowicie na innych, zapominając o sobie.

Śpiew Ognia poczuł, że poczucie winy opuszcza go, przynajmniej częściowo.

— Czy. . . sprawiam, że czujesz się bardziej wolny, gdyż jestem taki, jaki jestem? W takim razie może powinienem być bardziej wymagający!

Kestra'chern zaczął się tak śmiać, że dwa gryfy, obciążone podróżnymi bagażami, z ciekawością wsunęły dzioby do komnaty.

— Ssskąd ta wesssołość? — zapytał Treyvan. — Czy garrnki sssą tak zabawne?

— To zależy od tego, kto je myje, ptaku — odrzekł Srebrny Lis. — Czy jesteście już gotowi do drogi?

Gryficy Hydona energicznie pokiwała głową.

— Teraz, kiedy przybyła pomoc, tak. Gdybym była młoda i nie związana, zostałabym, ale. . .

— Ale nic z tego — powiedział stanowczo Śpiew Ognia, wyczuwając w jej głosie obawę, że poproszą ją o pozostanie. — Wasze maleństwa potrzebują was o wiele bardziej niż my. I tak jesteście wam wdzięczni.

— Kiedy przyjdzie strażnik historii, i tak staniemy się niepotrzebni — przyznał Treyvan. — On o wiele lepiej potrafi odczytywać stare pisma.

Śpiew Ognia wiedział, że gryfy martwiły się niemożnością odczytania starych tekstów, które znaleźli w Wieży, i przyjmowały to jako osobistą porażkę. Wszyscy założyli, że ostatni klan, który słuszniej mógł nazywać siebie raczej Kaled'a'in niż Tayledras czy Shin'a'in, zachował język w czystszej postaci niż inne odłamy pierwotnego klanu. W związku z tym gryfy powinny były odczytać starożytne teksty. Uczestnicy wyprawy założyli także, iż skoro k'Leshya żyli pomiędzy niecierpiącymi wszelkich zmian Haighlei, ich język pozostanie tak czysty jak w dniu, w którym w ucieczce na zachód przekroczyli Bramę.

Jednak Kaled'a'in, w przeciwieństwie do Haighlei, nie unikali wszelkich zmian, toteż ich język zmienił się od czasów starożytnych równie mocno, jak mowa Shin'a'in i Tayledrasów. Może nie nastąpiło to tak szybko i nie posunęło się tak daleko, jednakże zmiany zaszyły, co uczyniło stare teksty równie nieczytelnymi dla gryfów, co dla Śpiewu Ognia czy Lo'ishy.

Jednak na szczęście pomiędzy pionierami k'Leshya znalazł się taki, który nie tylko zapisywał to, co się działo, ale który pasjonował się najstarszymi tekstami. Historyk ów nie był takim znawcą, jakim byłby uczony wyspecjalizowany w epoce Białego Gryfa, ale zaoferował się przyjść z pomocą grupie zamieszkałej w Wieży; powinien przy tym okazać się większym ekspertem od gryfów.

Na razie jednak były to tylko przypuszczenia. W ich niezwykleym położeniu sprawdziły się jak dotąd tylko nieliczne przypuszczenia.

— Przykro mi, że wyjeżdżacie — powiedział szczerze Śpiew Ognia. — Oboje mieliście dla nas bardzo dużo cierpliwości, ale nawet ja potrafię sobie wyobrazić, że gryf pod ziemią nie czuje się najlepiej.

Hydona nie odezwała się, ale Treyvan zadrżał i nastroszył pióra.

— To nie było łatwe — przyznał. — Czassami podtrzymywała mnie na duchu jedynie świadomość, że tymi śśścieżkami chodził sssam Ssskandranon.

Śpiew Ognia ze zrozumieniem kiwnął głową; wcześniej z takim samym szacunkiem mówiłby o wizycie w komnacie kamienia-serca w pałacu w Przystani, gdzie niegdyś pracował jego przodek Vanyel. Jednak tak zachowałby się wcześniej, zanim ten sam przodek nie porwał ich i nie wplątał w sprawy królestwa Valdemaru. Zmuszenie przez upartego ducha do pomocy ludziom, którzy dotąd byli dla niego jedynie mglistą legendą, nasyciło jego poglądy na temat przodków goryczą nieznaną większości ludzi.

„Ech, zostawię im ich złudzenia. Dzięki bogom, Skandranon raczej nie wełtknie swego dzioba w nasze sprawy; gdyby miał się pojawić w podobny sposób jak Vanyel, już by to zrobił. Jeśli to uczucie pomogło im przetrwać zagrzebanie żywcem w tej norze, to złudzenie jest bardzo cenne”.

Poza tym Skandranon umarł spokojnie, w niezwykle późnym wieku, otoczony gromadą uwielbiających go wnuków i prawnuków. Z jego pamięcią nie wiązały się legendy o nawiedzanej puszczy, w której rozgrywały się niesamowite wydarzenia, a długa linia jego potomków miała własne historie.

Jednak Śpiew Ognia nie mógł powstrzymać się od rozmyślenia nad tym, co planuje jego przodek Vanyel. Po usunięciu podwójnego zagrożenia ze strony Zmory Sokołów i Ancara nie dał im żadnej wskazówki co do swych dalszych posunięć. Do tej chwili musiał już odzyskać moc, którą wyczerpał na zdjęcie sieci — a Vanyel w pełni sił był dość potężny, by przejąć kontrolę nad Bramą stworzoną przez kogoś innego, by przeprowadzić przez nią pięciu ludzi, cztery gryfy, dyheli, dwóch Towarzyszy i dwa więź-ptaki z Równin Dorisza do serca Puszczy Smutków za północną granicą Valdemaru. Trudno powiedzieć, do czego jeszcze był zdolny.

„Myślę, że wiem, dlaczego sam nie stał się ze Zmorą Sokołów — ale nie dałbym szansy Zmorze Sokołów, gdyby Vanyelowi — i Yfandes ze Stefanem — pozwolono z nim walczyć”.

— Zatem ty zosstajesz, tak? — zapytał Treyvan. Śpiew Ognia i Srebrny

Lis skinęli głowami, ale to Srebrny Lis odpowiedział.

— To dlatego przyjechała karawana Shin'a'in z całym wyposażeniem. Właśnie mówiliśmy o tym Karalowi, ale zasnął zbyt szybko, by wysłuchać dłuższej wiadomości. Według Kal'enedral mieliśmy szczęście, że nie trafiliśmy na zawieję, ale nie możemy na nie długo liczyć. Jeśli złapie nas burza śnieżna, będziemy musieli zrobić to, co Shin'a'in — okopać się w nadziei, że nie zamrzniemy na śmierć, a potem przeczekać resztę zimy. Kiedy trakt zostanie zasypany przez śnieg, nie da się go odkopać. Jeśli mamy utknąć, wołę tutaj, gdzie możemy przynajmniej prowadzić badania nad tym, co zostawił Urtho. Szukam tajnych drzwi i ukrytych komnat, a reszta próbuje wyliczyć efekty fali, jaką wywołaliśmy, i czas ich trwania.

— To rrozsssadne — powiedział poważnie Treyvan. — Nie sssadzę, by Karal przeżył podrrróż, a co dopierrro gwałtowną śśśnieżycę.

— Też tak myślę, dlatego wolałem zostać — odezwał się Śpiew Ognia. Po czym dodał z westchnieniem: — Nawet jeśli oznacza to życie aż do wiosny jak w jaskini rozbójników.

Treyvan uśmiechnął się gryfim uśmiechem i dał mu szturchańca mocno zaciśniętą łapą.

— Prrróżny jak paw! — zachichotał. — Jesssteś niezadowolony, gdyż oprrrócz Srrrebrnego Lissza nie ma tu nikogo, kto podziwiałby twoją przystojną twarzą!

— Jestem niezadowolony, gdyż nie przepadam za szyciem i szorowaniem garnków, a to podejście czysto rozsądkowe — odparował Śpiew Ognia i zamachał gwałtownie rękami. — Idźcie już! Zapewne nie możecie doczekać się krzyków: „Ale przecież tata nam pozwolił!” i „Mama Andry jej pozwoliła!” albo „Muszę?”

Śpiew Ognia potrafił doskonale naśladować miny, a teraz tak dokładnie oddał skrzywioną dziecięcą minę, że obu gryfom opadły pędzelki na uszach.

— Może Hydona poleci przodem? — zaryzykował Treyvan, ale na widok spojrzenia gryficy aż się skulił. — ... A może nie. Cóż, trudno; stawiliśmy czoło Ancarowi, Zmorze Sokołów, armii Imperium i magicznym burzom. Cóż znaczy dwoje dzieci w porównaniu z tym wszystkim?

— Są gorsze od tego wszystkiego, bo zawsze muszą dostać to, czego chcą — podpowiedział Śpiew Ognia i Hydona tym razem jego spopieliła wzrokiem. — Oczywiście moja opinia nie ma znaczenia — poprawił się szybko. — Ja nie mam dzieci!

Hydona prychnęła, ale wydawała się udobruchana, zaś Śpiew Ognia mądrze zachował resztę poglądów dla siebie.

— Uczyniliście więcej, niż wymagały wasze obowiązki, a dzieci potrzebują rodziców. Lećcie bezpiecznie, przyjaciele.

— Dzięki — odpowiedział Treyvan.

Mimo że Shin'a'in napracowali się, wybijając w ścianie duży otwór, by powiększyć wejście do tunelu, oba gryfy nadal musiały się przez niego przeciskać, zwłaszcza teraz, obciążone bagażami. Z uprzejmości Śpiew Ognia wysłał przodem magiczne światełko, chociaż Treyvan bez trudu sam mógłby takie stworzyć. W prostym tunelu gryfy na pewno nie mogły się zgubić, ale światło czyniło go mniej ciasnym.

Srebrny Lis siedział i patrzył, jak odchodzą.

— Wiesz — odezwał się w końcu — w młodości jedynymi istotami, którym zazdrościłem, były gryfy.

— Gryfy w ogóle? — zapytał Śpiew Ognia. — Czy tylko tych dwoje?

— Gryfy w ogóle — odrzekł Srebrny Lis, odwracając się z powrotem ku naczyniom. — Oczywiście głównie chodziło o to, że umieją latać, ale poza tym to po prostu wspaniałe istoty. Mają niezwykle pierzaste stroje, broń lepszą niż niejeden wojownik, mogą wykonać praktycznie każde zadanie z wyjątkiem tych wymagających niezwyklej zręczności palców. Mogą nawet zostać kestra'chern! Dlatego im zazdrościłem.

— A teraz?

— Teraz jestem na tyle dorosły i doświadczony, by znać cenę, jaką płacą za te dary. Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, jak delikatne mają żołądki, jak niszczą je choroby, które dla ludzi są tylko nieszkodliwymi dolegliwościami, jak ich stawy sztywnieją i z wiekiem coraz bardziej bołą. Wciąż nie mam jednoznacznego zdania na temat: być czy nie być gryfem — dodał — ale już im nie zazdroścę.

— Ja nigdy im nie zazdrościłem — powiedział cicho Śpiew Ognia. — Zazdrościłem tylko sobie.

— ... i Mag Ciszy zgromadził całą swą armię tutaj, w Ka'venusho — powiedział Chagren, wskazując kijkiem miejsce na planie narysowanym na posadzce. Karal kiwnął głową i skupił się, podczas gdy Chagren relacjonował resztę historii Maga Ciszy. Oczywiście Karal słyszał ją już wcześniej od Lo'ishy, ale Chagren przeżył skróconą jej wersję. Stało się to podczas jego szkolenia, kiedy pojechał do Kata'shin'a'in i wszedł do świątyni mieszczącej coś, co nazywał Sieciami Czasu. Karal nie znał języka na tyle dobrze, by zrozumieć, jaką fizyczną postać miały owe sieci, lecz według Chagrena przechowywały one wspomnienia tych, którzy je stworzyli, i w pewnych szczególnych warunkach można było owe wspomnienia obudzić. Karal mu wierzył; w końcu po tym, co już widział, cóż znaczył jeden cud więcej?

Gryfy przekazały mu już własną wersję tej opowieści, oczywiście z bardziej rozwiniętym wątkiem bohaterstwa Czarnego Gryfa. Nawet Srebrny Lis opowiedział mu ją nieco zmienioną, według przekazów kestra'chern z klanu Kaled'a'in, począwszy od Bursztynowego Żurawia, Tadritha Zmory Wyrsa.

— ...dlatego było to dla nas miejsce uświęcone nawet przed tym, zanim dowiedzieliśmy się o broni, jaka tu spoczywa — zakończył Chagren. — Zwróć uwagę: uświęcone, nie święte. My z Równin nie nazywamy świętym żadnego człowieka, nawet Jej avatarów ani Kal'enedral. Mag Ciszy był wspaniałym człowiekiem, ale miał wady jak wszyscy. Od większości z nas różniło go to, iż znał swe słabości i całe swe życie starał się poddać je kontroli, by nie krzywdzić innych; także to, że poświęcił dużo więcej swego czasu dla dobra innych niż większość ludzi. Niebezpiecznym czyniły go cechy, których nie starał się poddać kontroli: ciekawość, żądza poznania i chęć wprowadzania zmian dla samych zmian.

Karal słuchał i zastanawiał się; ciekawie było poznać różne wersje nie tylko historii kataklizmu, ale i sposób, w jaki postrzegały Urtho odmienne kultury. Dla gryfów był to wielki ojciec; nic dziwnego, przecież wiedziały, że to on je stworzył. Dla Srebrnego Lisa była to postać znana z historii i obiekt uwielbienia, mniej niż bóstwo, ale o wiele więcej niż człowiek. Dla Tayledrasów był figurą z odległej przeszłości; większość z nich nie znała nawet jego imienia, nazywając go tylko „Magiem Ciszy”. Dla większości Shin'a'in nie był nawet kimś takim. . .

Wyjątek stanowili Kal'enedral. Dla nich Urtho był człowiekiem; potężnym, dobrym, ale takim, który nie mógł się oprzeć pokusie wtrącania się w sprawy, jakich nie powinien nigdy dotykać. Bez wątpienia ich wersje przesycala charakterystyczna im niechęć do magii. Nawet Chagren nie był od niej całkiem wolny, chociaż w nim było jej mniej niż w innych.

Shin'a'in zostali mianowani strażnikami Równin przez samą Boginię, choć większość z nich nie zdawała sobie sprawy z tego, iż rzeczywiście ma co chronić przed intruzami. Z pewnością Bogini mogłaby usunąć broń i związane z nią niebezpieczeństwo, gdyby tylko zechciała, ale pobudki działania bóstw nie zawsze są zrozumiałe nawet po kilku stuleciach obserwacji. Główni słudzy Bogini, Kal'enedral, udostępnili obcym Równiny i Wieżę dopiero na wyraźne jej polecenie. Karal nie potrafił sobie wyobrazić ich reakcji na wieść, iż wpuszczają do Wieży magów.

„Muszą mieć wielką wiarę” — pomyślał ze zdziwieniem. — „Ile czasu zabrało mi przekonanie się, że heroldowie i Towarzysze to nie demony; oni o wiele szybciej wyzbyli się swych lęków”.

Jeśli nawet się ich nie wyzbyli, to w każdym razie potrafili je pokonać. Karal nie spotkał się z ich strony z żadnymi oznakami wrogości; jedynie z czujnością, jaką sam zachowywał w zetknięciu z ludźmi obcego narodu. Może jednak Kal'enedral starannie wybierali tych, którzy mieli służyć pomocą cudzoziemcom.

— Myślę, że odpowiadałaby mi nieco mniejsza ilość zmian — odrzekł ze słabym uśmiechem. — Jednak magiczne burze nie dają nam wyboru.

Chagren uśmiechnął się; jego ostre, ptasie rysy podkreślały uśmiech.

— Kolejny pechowy przypadek, który można by przypisać Urtho. Niektórzy mogą twierdzić, że gdyby nie dokonał takich wyborów, nie byłoby teraz tego

wszystkiego.

„Ciekawy dobór słów. Czy Chagren tak nie myśli?”

— Ale ty tak nie myślisz? — zapytał Karal delikatnie.

Chagren przez chwilę wyglądał, jakby nie chciał odpowiedzieć, ale potem wzruszył ramionami.

— Ja nie. Nie jestem pewien, czy wielki wróg Urtho, Ma’ar, nie rozpętałby jeszcze gorszej nawałnicy; spójrz chociażby na skutki postępów Zmory Sokołów i Ancara, a oni przecież ustępowali potęgą Ma’arowi. Zresztą moi nauczyciele leshy’ a mieli. . . doświadczenie z magami.

To było nowe słowo; Karal miał wrażenie, że rozpoznaje jego rdzeń. Coś związanego z duszą.

— Co to za nauczyciele? — zapytał, by potwierdzić swój domysł.

— Przypuszczam, że nazwałbyś ich duchami, choć jeśli Ona zechce, mogą być całkiem realni — odrzekł rzeczowo Chagren, jakby codziennie rozmawiał z duchami. Może rzeczywiście rozmawiał. — W życiu niemal każdego Zaprzysiężonego Mieczowi nadchodzi chwila spotkania jednego lub kilku leshy’ a Kal’enedral. Nawet. . . — Chagren przerwał, wpatrzył się w przestrzeń za Karalem i Zakrztusił się. Otworzył szeroko oczy i skłonił lekko głowę. — Wydaje mi się, cudzoziemcze — przemówił zupełnie innym, pełnym szacunku tonem — że za chwilę sam się dowiesz.

Karal odwrócił głowę; w drzwiach stał kolejny Shin’a’in, tym razem z pewnością była to kobieta, wojowniczką z krwi i kości. Od stóp do głów ubrana była w czerń, a dół jej twarzy zakrywał welon czy też szal. Z jej paska zwisały miecz i długi nóż, ale ona zdawała się nie zauważać ich ciężaru. Dwoma krokami przeszła komnatę, stanęła przy posłaniu Karala i popatrzyła na niego.

Mogła wydawać się przerażająca choćby ze względu na strój, jednak nie emanowało z niej nic złowróżbnego. Była z pewnością doskonała w swoim fachu, na pewno onieśmiała, ale Karal zaufałyby jej bez wahania. Nad welonem błękitne oczy patrzyły z rozbawieniem i życzliwością; czuł, że się uśmiecha.

— Wybacz, że nie mogę wstać, by cię odpowiednio przywitać, pani — odezwał się z najgłębszym szacunkiem.

— Rozumiem — odrzekła dziwnym, nieco głuchym głosem, jakby mówiła z wnętrza bardzo głębokiej studni. — Widzę, że w tej chwili raczej nie jesteś w formie.

Zmrużył oczy i zaczął dostrzegać czy też wyczuwać coś niezwykłego. Przypominała mu coś bardzo znajomego; szczerze mówiąc, wokół niej unosiła się aura jak wokół. . .

„Panie Słońca! Czy to nie jest. . .”

— Mam wrażenie — odezwał się ostrożnie po wzięciu głębokiego oddechu — iż Zaprzysiężeni, którzy wybierają nauczanie kolejnych pokoleń, nie zadają sobie trudu szukania kolejnej fizycznej powłoki, jak ogniste koty czy Towarzysze. —

„Ona jest duchem, ot co! Jak avatary An'deshy, tylko bardziej rzeczywista”. Właśna odwaga spojrzenia duchowi w oczy i rozmawiania z nim jak równy z równym przyprawiła go niemal o zawrót głowy.

— Powiedzmy raczej: są wybierani, a będziesz miał rację, młody kapłanie — odrzekła z cieniem śmiechu w głucho brzmiącym głosie. — Chociaż muszę przyznać, że zdarzyło Jej się raz czy dwa razy rozważać możliwość czarnych Towarzyszy. A może Czarnych Jeźdźców.

Karal doskonale mógł sobie wyobrazić oburzenie Floriana na taki pomysł i ukrył uśmiech. „Heroldom by się to nie spodobało!”

— Przypuszczam, iż spotkałeś moją krewniaczkę — ciągnął duch. — Została na tobie swój znak, co pozwala mi przypuszczać, że ma o tobie dobre zdanie. Raczej trudno ją zadowolić.

Karal przez chwilę zastanawiał się gorączkowo, o kogo może chodzić.

— Czy... to Querna? — zaryzykował, usiłując sobie wyobrazić, w jaki sposób ta raczej odległa od niego osoba mogła zostawić na nim jakikolwiek znak.

Duch roześmiał się głośno.

— Nie, młody przyjacielu klanów Kerowyn. Widzę, że otoczyłeś się wszystkim, co może posłużyć jako broń, abyś mógł w każdej chwili po nią sięgnąć. Ten znak miałam na myśli. Wyszkoliła cię tak doskonale, że stało się to odruchem.

Zaskoczony mimowolnie rozejrzał się i zobaczył, że duch ma rację; przedmioty, którymi mógłby rzucić, leżały najdalej, a sztylet tuż przy łokciu. Oblał się rumieńcem. Co sobie pomyśli Chagren — że Karal im nie ufa? Że wpuścili między siebie potencjalnego zabójcę?

— Nie wstydz się, chłopcze — zganił go duch szorstko. — To jeden z najlepszych nawyków. Co by się stało, gdyby dostał się tu ktoś z wrogimi zamiarami? Albo gdyby jeden z naszych bardziej fanatycznych krewniaków doszedł do wniosku, iż oszukaliście Ją i musicie umrzeć? Nie wiesz, co na ten temat mówimy? „Znaj wszystkie wyjścia. Nigdy nie siadaj tyłem do drzwi. Obserwuj odbicia. Obserwuj cienie. Miej ręce wolne i broń w pogotowiu”.

„Panie słońca!” — pomyślał Karal rozpaczliwie. — „Ostrzał powiedzeń Shin'a'in — co za okropna śmierć!”

Chciał podejść do tego żartobliwie, ale Kale'enderal wydawała się zdecydowana wyrecytować mu wszystkie przysłowia na temat samoobrony, jakie Shin'a'in kiedykolwiek wymyślili.

— „Nigdy nie siadaj do jedzenia z mieczem u boku — zawieś go na plecach, by łatwiej było po niego sięgnąć. Lepszy szczerzy wróg niż fałszywy przyjaciel. Kiedy...”

— „Najmądrzejszy mówi najmniej” — wtrącił z determinacją, zdecydowany przerwać ów, zdawałoby się, nie kończący się strumień przysłów. Czy wszyscy Shin'a'in byli tacy? Nawet Kerowyn zdarzało się cytować jako wskazówki przy-

słowa Shin'a'in. A duch Kal'enedral znał prawdopodobnie wszystko, co kiedykolwiek wymyślono!

Duch znów głośno się roześmiał.

— Dobrze powiedziane! — przyznał. — Zachowaj poczucie humoru, a może uda ci się przeżyć. Chagren, opiekuj się nim szczególnie starannie; jest w nim więcej, niż się wydaje.

Chagren skłonił się nisko.

— Jak każesz, nauczycielko — odrzekł.

Karal nie był przygotowany na odejście ducha; ledwo mrugnął — kobiety nie było. Dreszcz przebiegł mu po plecach, ale nie chciał tego po sobie pokazać.

— Jeśli zobaczysz Zaprzysiężonego w zasłonie — powiedział wolno Chagren — to jest to leshy'a. Było ich kilku pomiędzy nami. Przypuszczamy, że pilnowali waszego bezpieczeństwa. . . albo naszego. Nadal nie jesteśmy pewni.

— Pewnie chodziło o jedno i drugie — odparł Karal, czując zamęt w głowie. — Kerowyn jest jej krewną?

Chagren wzruszył ramionami.

— Tak twierdzi. To coś nowego, gdyż leshy'a niechętnie mówią o swojej przeszłości. Często nie znamy nawet ich imion. Ona była moją pierwszą nauczycielką miecza; przysłała w nocy, kiedy zostałem Zaprzysiężony. . . — przerwał i potrząsnął głową. — Płotę bez sensu. Ty zaś, cudzoziemski kapłanie, możesz uznać, że przeszedłeś swego rodzaju test. Nikt z Zaprzysiężonych nie będzie więcej kwestionował twego prawa do przebywania tutaj.

Wygłosiwszy to raczej zaskakujące stwierdzenie, odwrócił się i wyszedł, zostawiając zdezorientowanego Karala.

„Zatem moje prawo do przebywania tutaj nie będzie kwestionowane. To świetnie, ale co z innymi?”

Śpiew Ognia westchnął, ze zmarszczonym czołem oglądając swoją zniszczoną koszulę. Jego ulubione stroje nie były przeznaczone do tak surowych warunków i obozowego życia.

— Przyglądanie się nie przywróci im świetności — zauważył Srebrny Lis z garścią szpilek w ustach. — Równie dobrze możesz się z tym pogodzić i spróbować poradzić sobie w trudniejszy sposób. Śpiew Ognia zamruczał coś pod nosem, ale niechętnie wziął do ręki igłę i nici.

— Łatwo ci mówić — jęknął. — Udało ci się wymienić z An'deshą zamiatanie i mycie podłogi w sypialni na mycie naczyń. A z Lo'ishą zamieniłeś masaże na ścielenie i wietrzenie pościeli. Ja nie mam nic, co mógłbym wymienić! Valdemar, chociaż tak barbarzyński, wydaje mi się coraz lepszy!

Srebrny Lis zachichotał.

— Mogło być gorzej; mogliśmy wciąż żywić się tym, co ugotujesz. Nasi kuzyni okazali wielkoduszność, przejmując większą część pracy.

Śpiew Ognia znów jęknął.

— Mówisz tak tylko dlatego, że potrafisz robić to, co interesuje Kal'enedral. Ja jestem magiem, to wszystko, co umiem, a oni nie potrzebują nic z tego, co mógłbym dla nich zrobić!

Srebrny Lis odłożył igłę i spojrzał na niego ze współczuciem.

— Jesteś nie tylko magiem, ale i kochankiem, lecz dla nich zbyt egzotycznym. Łatwiej pewnie byłoby im marzyć o chmurach niż o tobie w tej roli. Jeśli jest coś, czego naprawdę nie cierpisz, powiedz mi, a ja to zrobię albo przekażę wiadomość Shin'a'in, może oni się tym zajmą? Jesteś magiem, ashaka, i czuję w kościach, że niedługo będziesz miał ważniejsze sprawy niż przejmowanie się podartymi szwami i podszewką.

Śpiew Ognia zamierzał odpowiedzieć, ale tylko potrząsnął głową i zaśmiał się sam z siebie.

— Dlaczego mówią takie rzeczy, zawsze sprawiasz, że czuję się mniej potrzebny? Przerażasz mnie!

Srebrny Lis przechylił głowę na bok. — Naprawdę? — zapytał.

„Zmieńmy temat” — pomyślał Śpiew Ognia. — „Nie potrzebuję kolejnej rozmowy na temat mojej osobowości”.

— Skoro przeszła fala uderzeniowa, można teraz w większym stopniu polegać na magii. Nadal panuje straszliwe zamieszanie, ale wkrótce chyba uda mi się postawić Bramę wychodzącą na skraj Równin; jeśli mi się powiedzie, będziemy mogli poprosić o kilka rzeczy, które ułatwią nam życie. Z ilu wygód mogliby zrezygnować k'Leshya, jak myślisz? Od kilku tygodni nie wykapałem się porządnie, podobnie jak wszyscy tutaj. Przydałaby się balia, nawet taka do pojenia koni. Miedziany kocioł do grzania wody przydałby się jeszcze bardziej.

Srebrny Lis zamyślił się.

— Mogliby nam przesłać sporo rzeczy, zarówno z tego, co zostawili Tayledra-si, jak i z twoich własnych. I wiesz — gdyby udało się otworzyć Bramę, moglibyśmy poprosić o ochotników hertasi. Zimą nie są w stanie przekroczyć Równin, to dla nich zbyt ciężka podróż i nie prosiłbym ich o to, ale mogliby przejść przez Bramę, o ile upewnią się, że tutaj będzie im wystarczająco ciepło.

W przypiływie tęsknoty Śpiew Ognia zamknął na moment oczy. Tak mu brakowało armii małych pomocników! Gdyby miał chociaż jednego lub dwóch, nie musiałby już sam wykonywać najgorszych prac. Hertasi uwielbiali robić to, czego on starał się unikać i nawet miejscowym mogliby pokazać, jak wygląda organizacja pracy.

— Zanim tego spróbujemy, musimy sprawdzić, czego dowiedzieli się o Bra-mach Sejanes i cała reszta w Przystani — odrzekł po chwili namysłu. — Oczywiście z chęcią powitałbym tu hertasi, ale nie chcę narażać ich na niebezpieczeń-

stwo. Czym innym jest przerzucenie przez Bramę balii czy worka żywności, a zupełnie czym innym przesyłanie żywej istoty.

Srebrny Lis kiwnął głową i odgryzł kawałek nitki.

— Czy powinniśmy odesłać Karala z powrotem, kiedy upewnimy się, że Brama jest bezpieczna? Będzie mu lepiej u k'Leshya.

Śpiew Ognia znów się zawahał. „To jest pytanie. Z pewnością tam miałby lepszą opiekę — ale ile z przyrządów, które się tu znajdują, wymaga kanału magii? Co będziemy musieli zrobić, by przeciwstawić się ostatecznej burzy, która ma być odbiciem pierwotnego kataklizmu?”

— Możesz zapytać An'deshę i Lo'ishę, ale mam dziwne przeczucie, że będziemy go jeszcze potrzebowali. Jeśli Karal zdecyduje się zostać, powinniśmy mu na to pozwolić. — Zrobił jeszcze kilka ściegów i zawiązał nitkę. — Chyba będzie mu na tym zależało. Czasami to dziecko sprawia, że ogarnia mnie wstyd. Siedzę i jęczę, ponieważ muszę po sobie sprzątać, a on się martwi, bo jest zbyt słaby, by pomagać.

— Może dlatego to on jest kapłanem, a nie ty — powiedział Srebrny Lis łagodnie. — Stara się oddawać siebie nawet wtedy, kiedy już nie ma nic do dawania. To go boli, ale jednocześnie daje mu poczucie spełnionego obowiązku. Nie wszystkich nas stać na takie poświęcenie. Pani wie, że ja nie. . .

Przerwał mu odgłos kroków.

— Hej, wy dwaj! — w drzwiach komnaty pojawiła się głowa An'deshy. — Chodźcie do Karala. Altra był w Przystani i wrócił z wiadomością od Sejanesa!

Obaj rzucili swoje rzeczy, poderwali się i pośpieszyli do komnaty Karala — wcześniej znajdowała się w niej broń, która uwolniła swą potężną moc przez Karala. Śpiew Ognia jeszcze mu tego nie powiedział; kiedy zdecydowali się go nie ruszać, uznał, iż wszystkie pomieszczenia są do siebie podobne i młodzieniec nie zauważy, w którym z nich się znajduje. „Nie jestem pewien, jak by zareagował. Może nie miałby nic przeciwko temu — a może przebywanie w tej samej komnacie, w której omal nie zginął, uczyniłoby go nerwowym i nieszczęśliwym”.

Kiedy znaleźli się na miejscu, zastali już Lo'ishę, kilku Kal'enedral, Floriana i An'deshę, czekających w pogotowiu; Altra siedział na kolanach Karala, a obok niego leżała zamknięta tuba na wiadomości.

Śpiew Ognia zamrugął i zdał sobie sprawę, że po długiej współpracy z magami i rzemieślnikami w Przystani podświadomie oczekiwał większej liczby ludzi. „Zostaliśmy tylko my. Nie wiem, czy mi się to podoba. Niechętnie się do tego przyznaję, ale rzemieślnicy miewali dobre pomysły”.

— Cieszyłbym się, gdyby wiadomość była napisana po valdemarsku, ale wątpię w to — odezwał się Karal. — Znam jednak język Imperium na tyle, by ją przetłumaczyć, jeśli chcecie.

— Zaczynaj — powiedział Śpiew Ognia, wskazując ręką tubę. — Ja nawet po valdemarsku nie czytam zbyt dobrze, a ty, nie licząc Floriana, jesteś najlepszy.

— Wyobrażam sobie Floriana usiłującego rozwinąć rulon! — zachichotał Karal; Śpiew Ognia zauważył jednak, iż Towarzysz podszedł, by zaglądać młodemu magowi przez ramię, próbując pomóc w tłumaczeniu.

„Gdyby Aya potrafił czytać w obcych językach!” — pomyślał z zazdrością. „Moglibyśmy się wyspecjalizować; byłoby to takie wygodne!”

Karal otworzył tubę i wyjął rulon papieru, po czym otworzył go z szelestem. Najwyraźniej zobaczył pismo valdemarskie, bo rozpogodził się i zaczął czytać. Zapewne Florian mu pomagał. List nie miał wstępu, od razu przechodził do sedna.

„Pozdrowienia — i nie próbujcie otwierać ani wykorzystywać Bramy. My próbowaliśmy i rezultaty były Nieszczęśliwe. Przy okazji — jest to wielka litera N”.

Śpiew Ognia skrzywił się. „Tego się obawiałem”.

— Sytuacja musi wyglądać gorzej, niż myślałem — odezwał się poruszony An'desha. — Moja mała magia działała tak dobrze, że myślałem, iż z wielką magią też jest wszystko w porządku.

— Może to po prostu skutek miejsca, w jakim się znajdujemy — przypomniał mu Śpiew Ognia. — Z tego, co wiemy, nad ruinami Wieży pozostały osłony tak silne, że możemy tu robić, co chcemy, nie odczuwając wpływu wydarzeń na zewnątrz.

Karal chrząknął, by ponownie przyciągnąć ich uwagę. Śpiew Ognia odwrócił się i kiwnął głową; chłopak czytał dalej:

„Obawiam się, że oznacza to dla was czasowe wygnanie, kiedy. Kiedy tylko stało się to możliwe po uwolnieniu przez was mocy broni, otworzyliśmy niewielką Bramę i spróbowaliśmy przesłać przez nią kilka przedmiotów. Dobrze, iż okazaliśmy się ostrożni i wysłaliśmy przedmioty, a nie istoty żywe, gdyż efekty naszej pracy okazały się raczej... zniechęcające. Tylko część przesłanych rzeczy była rozpoznawalna. Niektóre z nich zostały kompletnie wysuszone, inne się zestarzały, jeszcze inne zostały sprasowane. W tej chwili jedynie skoiki Altry wydają się nie sprawiać kłopotu, nawet jeśli przenosi kogoś ze sobą, ale on twierdzi, że jest mu coraz trudniej”.

Przy tych słowach Altra podniósł głowę i odezwał się: *Zbiegiem czasu odległość jaką mogę pokonać, zmniejsza się. Boję się, że za kilka tygodni nie będę szybszy od Towarzysza, który miałby przebiec ten sam dystans.*

Śpiew Ognia westchnął ciężko. „Zastanawiam się, czy rzeczywiście powinienem wracać do k'Leshya? Nie jestem pewien, czy zdołam jeszcze długo żyć w ten sposób i zachować cierpliwość, a może nawet rozsądek”.

— To nie jest dobra wiadomość — powiedział najspokojniej, jak potrafił. — Czy jest coś jeszcze?

Karal szybko przebiegł wzrokiem pozostałą część listu.

— Po przekazaniu najgorszych informacji, pisze bardziej formalnie. W skrócie: Altra prawdopodobnie zdoła przenieść tu z Przystani jeszcze jedną lub dwie osoby, zanim nie będzie już mógł skakać, ale potem musimy znaleźć inny sposób na przesyłanie wiadomości — może wykorzystując zaklęcie poszukujące. Magia, która nie przekształca i nie przenosi fizycznie przedmiotów, wydaje się działać. Mam tylko nadzieję, że jeśli to miejsce jest chronione osłonami, nie przeszkodzi to zakłęciu.

Podał list Śpiewowi Ognia.

— Proszę, sam możesz doczytać później szczegóły, większość z tego, co pisze, jest dla mnie tylko częściowo zrozumiała.

— Przestudiuj go później — obiecał Śpiew Ognia. — Pytanie na teraz brzmi: co robimy? Jeśli Altra ma sprowadzić kogoś z Przystani, lepiej niech zrobi to jak najszybciej.

— Jeśli nam się uda — powiedział wolno An'desha — chciałbym tu widzieć Sejanesa i mistrza Levy'ego.

Śpiew Ognia przewrócił oczami, ale, choć niechętnie, musiał się zgodzić.

— Jeśli zgodzą się na przykre efekty skoków, będą najlepszymi kandydatami — westchnął. — Sejanes opanował magię, która jest nam całkowicie obca, a mistrz Levy... — zamilkł na chwilę, przypomniał sobie, że ma być litościwy, i starannie dobrał słowa. — Mistrz Levy w szczególny sposób patrzy na problemy. Jeśli nie on, to powinien się tu znaleźć ktoś z mistrzów rzemiosł. Nawet ja muszę przyznać, że bez ich pomocy nie osiągnęlibyśmy nic.

An'desha i Karal energicznie pokiwali głowami, co nieco zepsuło humor Śpiewu Ognia, ale zdawał sobie sprawę, że obecność rzemieślników będzie się równać obecności dodatkowego adepta. „Potrzebujemy ich całkowicie odmiennego sposobu patrzenia. A mistrz Levy może być nawet tak inteligentny, za jakiego się uważa”.

Mistrz Levy i Sejanes już się zgłosili — wtrącił niespodziewanie Altra. — *Czekałem tylko, czy będziecie chcieli ich tutaj widzieć. Mogę zaraz po nich wrócić, jeśli chcecie, choć z nimi podróż do Przystani i z powrotem zabierze mi kilka dni.*

Ta wiadomość zaskoczyła Śpiew Ognia. Kilka dni? Zdolności Altry do skakania rzeczywiście zmalały!

— Jeśli zajmie ci to kilka dni, to lepiej ruszaj już teraz — powiedział. — Nie chcę myśleć, jak sytuacja może się pogorszyć, jeśli będziemy zwlekali.

Ognisty kot kiwnął głową i zniknął z kolan Karala. Po jego zniknięciu jedynie Lo'sha wyglądał, jakby miał wątpliwości.

— O co chodzi, szamanie? — zainteresował się uprzejmie Śpiew Ognia, widząc jego zatroskane spojrzenie.

Shin'a'in wzruszył ramionami.

— Zastanawiam się jedynie, czy nie powinniśmy postarać się o pozwolenie naszych gospodarzy, zanim sprowadzimy im dwie dodatkowe osoby. Mam nadzieję, iż nie obrażą się z powodu przybycia dwóch kolejnych cudzoziemców.

Dziwne, ale to zastrzeżenie przekonało Śpiew Ognia o słuszności jego decyzji.

— Gdyby byli z nami wcześniej, może znaleźlibyśmy już rozwiązanie na stałe, a nie na krótki czas — wytknął uparcie. — Ja na przykład chciałbym, żeby tu byli. Na wiatr i burzę, Lo'isha, chyba nie chodzi ci o to, że mogą nas pokonać i uciec z sekretami zakazanej magii Urtho! Mistrz Levy nie ma pojęcia o praktykowaniu magii, zaś Sejanes jest tak stary, że mocniejsze słowo może połamać mu kości! Razem czy osobno z pewnością nie stanowią zagrożenia!

— Zgadzam się z tobą, ale moje zdanie nie jest najważniejsze... — zaczął Lo'isha, po czym wzruszył ramionami. — A może tak. Zdaje się, że mam tu autorytet równy Kal'enedral — skrzywił się. — Nie cierpię występować w tej roli, ale tym razem chyba powinienem.

Ponieważ Śpiew Ognia od dawna tak uważał, ugryzł się w język i zamilkł, potakując tylko głową. Karal wyglądał na zmęczonego; Śpiew Ognia wstał nagle.

— Idę szukać kolejnej ukrytej komnaty. Mam przeczucie, że to miejsce dopiero zaczęło ujawniać nam swoje tajemnice. Czy ktoś chciałby się do mnie przyłączyć?

Urtho Był zapewne jednym z najbardziej błyskotliwych i wspaniałych umysłów, a i jego architekci mieli nieprzeciętne zdolności. Śpiew Ognia znalazł już małą, ukrytą komnatę dzięki temu, że starannie przyjrzał się posadzce w komnacie służącej za zmywalnię i zauważył, iż woda zbierająca się w jednym miejscu wsiąka w podłogę poprzez niewidoczne gołym okiem szczeliny. Komnata nic nie kryła — zapewne niegdyś służyła jako komórka — lecz teraz wiedział, że mogą istnieć podobne miejsca ukryte pod podłogą; miał wrażenie, że jeśli będzie wytrwale szukał, znajdzie coś więcej niż dawne magazyny.

— Pomogę ci — odezwał się An'desha niespodziewanie.

Śpiew Ognia uśmiechnął się.

— Chodź zatem — odrzekł. — Najpierw spróbujemy w komnacie czaszek.

Odkryli tam wcześniej bezładną mieszanię czegoś, co wyglądało jak pozostałość po kilku rzemieślnikach i szamanach połączona z resztkami z uczt. Na środku pomieszczenia leżała bogato zdobiona krowia czaszka — nikt nie potrafił odgadnąć, do czego mogła służyć. Baliby się jej dotykać, ale sama popękała w kilku miejscach i wskutek ich ostrożnych magicznych prób rozpadła się całkowicie bez jakichkolwiek groźnych konsekwencji.

Komnata na odległość „pachniała” magią, więc Śpiew Ognia nie próbował zaklęć, polegając jedynie na zmysłach; zaczął od odpływu wody — wylał na podłogę strumyk wody zabarwionej atramentem, aby była lepiej widoczna i patrzył czy stoi, czy odpływa.

We dwójkę mogli pracować skuteczniej. Było to bardzo nudne zajęcie i Śpiew Ognia wiedział, że An'desha rozpocznie rozmowę, ale nie spodziewał się tematu, jaki ten poruszył.

— Zamierzasz wracać, prawda? — zapytał An'desha. — Do k'Leshya albo do rodzinnej Doliny.

Początkowo nie odpowiedział, udając, że pilnie przygląda się wodzie na posadzce.

— Nie przywykłem do takiego życia — powiedział w końcu wymijająco. — Jest mi trudniej niż wam.

— Nie przeczę. Chyba nie myślisz, że będę cię za to winił. Gryfy odeszły.

— Ale one mają dwoje dzieci, które ich potrzebują — warknął Śpiew Ognia. — Ja nie. Nie mam żadnego powodu, by wyjechać, oprócz tego, że tęsknię do wygodnego życia! — poczuł irracjonalną złość na An'deshę za te wymówki, jakby były one tak widoczne, że młody mag bez kłopotu mógł przewidzieć jego usprawiedliwienia. Problem polegał na tym, że za każdym razem, kiedy patrzył na Karala, czuł wstyd.

— Zrobiłeś przecież więcej niż większość ludzi — powiedział łagodnie An'desha. — Najpierw stawiałeś czoło Zmorze Sokołów...

— Mornelithe Zmora Sokołów był wyzwaniem, ale niczym więcej — odparł sztywno Śpiew Ognia. — Poza tym nie walczyłem z nim sam.

— Ale nie miałeś żadnego powodu, by to zrobić — odparował nieubłaganie An'desha. — Valdemar nie był twoją ojczyzną. Zmora Sokołów nie zagrażał Dolinom. Spełniłbyś swój obowiązek, szkoląc heroldów na magów. Potem mogłeś wracać do domu.

— A kto miałby walczyć ze Zmorą Sokołów? — zapytał gwałtownie Śpiew Ognia, rumieniąc się. — Któryś z tych na pół wyszkolonych heroldów? Elspeth? A może Mroczny Wiatr? Nikt z nich nie zdołałby cię uwolnić. Nie jestem pewien, czy nawet Potrzeba potrafiłaby uwolnić ciebie, zmagając się jednocześnie ze Zmorą Sokołów.

An'desha bez słowa kiwnął głową.

— Ale kiedy było po wszystkim, mogłeś wrócić do domu. Mogłeś mnie ze sobą zabrać i sprawy potoczyłyby się inaczej. Dawno wypełniłeś to, co nazywasz obowiązkiem. Nikt by cię nie winił, gdybyś zrezygnował. Jesteś już zmęczony.

— Jeśli to zrobię, jak będę wyglądał obok kogoś takiego jak Karal? — zapytał Śpiew Ognia, czerwieniąc się jeszcze bardziej. — Zbyt zmęczony? Jak bym wyglądał, gdybym odszedł teraz, obok kogoś, kto naraził swoje życie?

— Z tego, co mówisz, Karal wygląda niemal na męczennika — upomniał go An'desha. — Karal ma różne wady. Bywa uparty, czasami bigoteryjny, często niewiarygodnie naiwny, ale nie jest męczennikiem. Ani ty, ani nikt z nas.

— Zatem? — Aya musiał wyczuwać podenerwowanie swego pana, gdyż wleciał przez otwarte drzwi, zgrabnie wyminał płataninę drutów i innych pułapek, po

czym wylądował na ramieniu Śpiewu Ognia. Mag pogłaskał ptaka, szukając ukojenia. — Jeśli nawet nie jest męczennikiem, to... — zamilkł, zdając sobie sprawę, że zaczyna mówić coraz głośniejszym i bardziej gwałtownie.

Wziął kilka głębokich oddechów.

— An'desha, nie wiem, dlaczego tak mnie traktujesz...

Nagle, w przebłysku olśnienia, zrozumiał.

„Zmusza mnie do przemyślenia wszystkiego, abym podjął słuszną decyzję, a nie pozwalał emocjom i niedokończonym sprawom miotać mną w każdą stronę”.

An'desha kiwnął głową, jakby czytał w myślach Śpiewu Ognia.

„Nie potrafię podjąć decyzji, ponieważ usiłuję dowieść, że jestem lepszy od Karala. Nie mogę jej podjąć również z powodu poczucia winy. Zatem dlaczego zostaje?”

— To, co robi Karal, to jego sprawa, ale... cóż nie jestem zbyt stary, by nie móc wziąć dobrego przykładu z kogoś tak młodego — uśmiechnął się lekko. — Potrzebujecie mnie tak, jak potrzebujecie Sejanesa, mistrza Levy'ego czy Altry. Zostanę, ponieważ mimo zmęczenia i niechęci do takiego trybu życia wiem, że byłoby złe, gdybym odszedł i pozbawił was moich umiejętności. Nie chcę umrzeć z zimna i brudu, lecz jeśli trzeba, to trudno. Byłoby złe opuścić wszystkich tych ludzi, którzy wierzą, że znajdziemy rozwiązanie przed ostateczną burzą. Byłoby złe złamać daną im obietnicę pomocy. Czy te powody wydają ci się dość dobre?

An'desha zaśmiał się.

— Nie zwódź mnie, Śpiewie Ognia. Prowadzenia cię przez gąszcz twych własnych emocji i motywów uczył mnie prawdziwy ekspert.

Śpiew Ognia spojrzał na niego groźnie.

— Czy podoba ci się wynik? — warknął.

— Chodzi o to, czy podoba się tobie, nie mnie — odparował An'desha. — Jeśli tak, ja nie będę się sprzeciwiał. Jeśli inni zaprotestują przeciwko twojej decyzji, będziesz musiał sobie z nimi poradzić.

Wstał i poszedł w inną część komnaty. Śpiew Ognia poczuł, że budzi się w nim perwersyjna przekora. Do niego musiało należeć ostatnie słowo.

— Nie wspominałem o najważniejszym — powiedział słodko. An'desha odwrócił się, by spojrzeć na niego.

— O co chodzi? — zapytał niechętnie, jakby zmuszał się do wypowiedzenia każdego słowa.

Śpiew Ognia uśmiechnął się.

— Srebrny Lis chce, abym został — odrzekł. — Możesz podać mi lepszy powód?

ROZDZIAŁ DRUGI

Elspeth westchnęła, wydychając obłoczek lodowych kryształków, i jeszcze bardziej ściągnęła końce szalika owiniętego wokół szyi. Po raz kolejny pomyślała z wdzięcznością o Valdemarze i niestrudzonych hertasi z k'Leshya, które szyły jej nowy kostium. Małe jaszczurki, przybyłe z barką pełną posłów z klanu k'Leshya, spojrzały na jej zimową garderobę i natychmiast postanowiły ją przerobić, jakby nie miały już dość pracy. Hertasi z k'Sheyna już sprawiły jej letni komplet Bieli heroldów w stylu Tayledrasów, ale tamte ubrania uszyły z letnich, cienkich materiałów. Nowe hertasi użyły wełny, futer i skóry lamowanej jedwabiem według wzorów zaprojektowanych przez Mroczny Wiatr. Był to jego prezent na Śródzimie — i miła niespodzianka, gdyż Elspeth naprawdę potrzebowała cieplejszych rzeczy. Zimowa polowa Biel heroldów przeznaczona była na ciężkie warunki, ale nie aż tak ciężkie i nieprzewidywalne jakie zapanowały teraz w Hardornie.

A właśnie w Hardornie znaleźli się wkrótce po Śródzimowych Świętach Elspeth, Mroczny Wiatr i niewielka grupka złożona częściowo z valdemarskich strażników, a częściowo z najemników Kerowyn.

Nie mieli dużego wyboru; odkąd komunikacja poprzez Bramy stała się niemożliwa, wiadomo było, że Valdemar będzie musiał wysłać poselstwo do wielkiego księcia Tremane. Elspeth była obecna przy próbie otworzenia ostatniej Bramy; skrzynia, która przez nią dotarła, wyglądała, jakby została całkowicie przecinowana — niczego nie dało się rozpoznać. Dobrze, że zawierała jedynie kilka przedmiotów należących do Sejanesa — i że byli na tyle ostrożni, by wypróbować Bramę, przesyłając przez nią przedmioty, zanim spróbowali tego samego z istotami żywymi.

Jednak podróż do Hardornu i przejazd przez kraj nie były łatwe nawet dla tych, którzy dotarli z Valdemaru do Równin Dorisza, a potem patrolowali ziemie skażone, oczyszczane i pilnowane przez Sokolich Braci z Doliny. Elspeth nigdy w życiu nie widziała tak głębokiego śniegu. Droga, którą wjechali do Hardornu, była odśnieżana, by umożliwić przejazd, jednak tylko na taką szerokość, by zmieścił się na niej dwukonny wóz. Zresztą koła takiego wozu i tak co jakiś czas strącałyby śnieg ze stoków przydrożnych zasp. Co dziesięć lig wycięto szersze miejsce, aby umożliwić wozom wymijanie się, lecz na pozostałej długości śnieg piętrzył się

po bokach, sięgając do wysokości ramion, a tam, gdzie nawiało go więcej, nawet ponad głowę jeźdźca. Nie wspominając o zimnie i wietrze; właściwie Elspeth cieszyła się z zasp, gdyż zapewniały one osłonę przed ostrymi jak brzytwa, przenikającymi do szpiku kości podmuchami. Jedynie zaprojektowane przez hertasi tuniki obszywane futrem i płaszcze z owczej skóry z wełną do wewnątrz pomagały znieść podróż. Cieszyła się również z tego, że tajemnicze, pracowite jaszczurki zdążyły wyposażyć w podobne płaszcze wszystkich uczestników wyprawy.

— Dlaczego wzdychasz? — zapytał Mroczny Wiatr, wydychając przy okazji obłoczki pary. Jego więź-ptak imieniem Vree wczepił się pazurami w poduszkę przy siodle, nie okazując niezadowolenia — jedynie nastroszył pióra i wtulił w nie głowę, co sprawiło, że przypominał kulkę puchu z wystającym dziobem. Był to myszołów, a według tego, co powiedział kiedyś Mroczny Wiatr, pochodził z gatunku przystosowanego do znacznie ostrzejszego klimatu niż panujący tutaj. Sam Mroczny Wiatr wyglądał dziwacznie nie tylko z powodu stroju Sokolich Braci i więź-ptaka na siodle, ale także wierzchowca. Nie był to ani koń, ani Towarzysz, lecz istota równie inteligentna i równie obca Valdemarczykom jak gryfy. Był to dyheli, w dodatku biały — przedstawiciel swojej rasy w Valdemarze. Nazywał się Brytha; na grzbiecie przeniósł Śpiew Ognia z k'Treva do k'Sheyne, potem z k'Sheyne do Valdemaru, a teraz zgodził się służyć za wierzchowca Mrocznemu Wiatrowi. Dlaczego — nie wiedzieli tego ani Elspeth, ani Mroczny Wiatr, a dyheli nie kwapił się do wyjaśnień. Oboje cieszyli się jednak z jego obecności; chociaż wytrzymałością i szybkością nie dorównywał Towarzyszom, jednak lepiej nadawał się do tej podróży niż koń, miał pewniejszy krok i był o wiele bardziej inteligentny. Reszta uczestników wyprawy jechała na twardych, kudłatych jak psy koniach Shin'a'in, o ciężkich, mocnych głowach, wybieranych ze względu na wytrzymałość.

— Wzdycham, bo postanowiłam, że jedyne słowa, jakich nigdy więcej nie wypowiem, to „nigdy więcej” — odparła Elspeth z krzywym uśmiechem. — Kiedy tylko je powiem, muszę znów robić to, czego nigdy więcej miałam nie robić.

Zaśmiał się smutno; nie potrzebował dokładniejszych wyjaśnień. Żadne z nich nie sądziło, że kiedykolwiek wróci do Hardornu. Ich poprzedni pobyt w tym kraju, choć pamiętny, nie należał do przyjemnych — ani dla nich, ani dla hardorneńczyków. Kiedy skończyli, szalony król Ancar i jego doradczyni Hulda leżeli martwi, krajem wstrząsały wywołane przez magię burze, w stolicy panował chaos, a armia Imperium skorzystała z okazji i przekroczyła wschodnią granicę. I chociaż niewielu mieszkańców zdawało sobie z tego sprawę, Elspeth i Mroczny Wiatr byli bardziej lub mniej bezpośrednio odpowiedzialni za większość zamieszania, jakie zostawili po swoim wyjeździe.

„Postępki armii Imperium nie były naszą winą, ale to chyba jedyna rzecz, do której nie przyłożyliśmy ręki”.

Po inwazji nadeszły prawdziwe magiczne burze, które spowodowały nadejście

niewiarygodnie złej pogody i wzbudziły popłoch wśród nieuprzedzonych mieszkańców. Nie była to wina nikogo z żyjących, ale te wydarzenia uczyniły życie w Hardornie jeszcze gorszym. Dlatego podróż do tego kraju jeszcze kilka miesięcy temu wydawała się szaleństwem.

Jednak miało to miejsce, zanim książę Tremane nie wystąpił z propozycją sojuszu; zanim komukolwiek w kraju nie przyszło do głowy, że magiczne burze stanowią większe zagrożenie niż wszystko to, co mogą wymyślić ludzie przeciwko innym ludziom. Teraz pośpiesznie wprowadzano w życie plany, które jeszcze niedawno wydawały się całkowicie nierealne.

— Czy zauważyłaś, że mimo złej pogody ziemia już nie cierpi? — zapytał Mroczny Wiatr. — Nie jest już wyczerpana ani chora, lecz po prostu śpi, czekając na wiosnę. Nie wiem, jak dla ciebie, ale dla mnie był to jeden z powodów, dla którego nie chciałem tu wracać.

Elsbeth i jej Towarzysz Gwena pokiwały głowami; dzwoneczki przy uździe zadzwieczyły w ostrym, mroźnym powietrzu.

Po odejściu Ancara, który wysysał z ziemi moc, sprawy zaczęły wracać do normalności — odparła Gwena. — *Ziemia i zapewne także ludzie już nie chorują. Poza tym — mówię to bardzo niechętnie — krew i energia życiowa wszystkich tych biedaków, którzy zginęli w czasie inwazji, mogły przyspieszyć odrodzenie.*

— To okropny pomysł — powiedział Mroczny Wiatr, czując dreszcz przebiegający po ciele, gdyż Gwena zadbała o to, by mógł usłyszeć jej myśl. —

Elsbeth zadrżała; rozum podpowiadał jej, że może to być prawda, ale nie zmniejszało to potworności samego przypuszczenia.

— To zbyt przypomina pomysły Zmory Sokołów — odrzekła niechętnie. — Ale w końcu Zmora Sokołów jedynie wypaczył to, co było całkowicie normalne i dobre. Poza tym przypuszczam, iż gorzej byłoby myśleć, że energia życiowa tych zabitych poszła na marne lub, co gorsze, została wykorzystana przez kogoś podobnego do Zmory Sokołów.

Magowie i ludzie posiadający zmysł ziemi od stuleci wiedzą, że właśnie dlatego po wojnie ziemia rozkwita — zauważyła beznamiętnie Gwena. — *Nie chodzi tylko o to, że wszystko wydaje się lepsze, ani o to, że ludzie z radością witają wszelkie pozytywne zmiany. Po prostu stracone życie wraca do ziemi, a ta wykorzystuje je do uzdrowienia.*

— Cieszymy się przynajmniej z tego, iż wielki książę Tremane pozwala ziemi na samo-uzdrowienie, a nie wykorzystuje jej mocy do własnych celów — odpowiedział Mroczny Wiatr, odwracając się, by spojrzeć na wschód. Nie powiedział nic więcej, ale Elspeth wiedziała, o czym myśli.

Mieli tylko zapewnienie trojga młodych ludzi i poddanych Tremane'a, że można mu zaufać. W tej chwili mogli jedynie mówić o tym, jaki wydawał się być dowódca sił Imperium. Kilka faktów, które znali, nie przemawiało na jego korzyść.

Tremane został przysłany przez swego władcę, cesarza Charlissa, by podbić dla Wschodniego Imperium słaby i ogarnięty zamęt Hardorn. To zadanie miało dowieść, czy nadaje się na spadkobiercę cesarza. Armia Imperium podbiła niemal połowę kraju, zanim została zatrzymana przez hardroneńskich partyzantów, walczących w małych, nieskoordynowanych grupkach, liczących kilka osób lub małych armiach; łączyła ich tylko determinacja, z jaką chcieli wyzwolić kraj spod władzy najeźdźców. Ponieważ znajdowali się na własnej ziemi, mieli przewagę nad rozciągniętymi na długim froncie siłami Imperium, które dodatkowo osłabiała odległość. Jednakże gdyby nic się nie zmieniło, Tremane zapewne zdołałby zreorganizować i przegrupować oddziały oraz zakończyć podbój, docierając prawdopodobnie aż do Valdemaru.

Jednak zaszły zmiany — takie, jakich nikt nie mógł przewidzieć, ze strony, w którą nikt nie spoglądał — z dalekiej przeszłości.

„Nigdy nie zastanawiamy się nad przeszłością, prawda? A powinniśmy. Czy Zmora Sokołów nie był upiorem przeszłości? Czy to ostrzeżenie nie powinno skierować naszych oczu i myśli w tę stronę? Ale z drugiej strony jak można wszystko przewidzieć? Nawet gdybyśmy znali wszelkie zagrożenia w danej chwili, przygotowanie obrony przed połową z nich zniweczyłoby przygotowania do drugiej połowy. Lepiej szukać pomysłów niż usiłować być wszystkowiedzącym”.

Przed powstaniem Valdemaru, w czasach tak odległych, że nie zostało z nich żadnych zapisków, a jedynie mgliste wzmianki w bibliotece heroldów, starożytne wojny zakończyły się wielkim kataklizmem. Dopóki Elspeth nie spotkała legendarnych Sokolich Braci, Shin'a'in z Równin Dorisza i w końcu zagubionego klanu Kaled'a'in — przodków zarówno Sokolich Braci, jak i Shin'a'in — było to wszystko, co wiedzieli Valdemarczycy na temat magicznych wojen. Teraz jednak, dzięki opowieściom — tym znanym niewielu i tym mniej i bardziej znanym — zrekonstruowano całą historię.

Elspeth zastanawiała się nad nią, jak to często czyniła w wolnych chwilach, usiłując wydobyć z niej jak najwięcej przydatnych informacji. Mimo zamieszanych w nie ogromnych ilości energii, za wydarzeniami sprzed wielu wieków kryły się ludzkie motywy i działania. Nawet szalencie kieruje się potrzebami, więc im bardziej wnikliwie będzie się rozważać wydarzenia historyczne, tym więcej można z nich wywnioskować o owych potrzebach. Kiedy zaś zrozumie się potrzeby i motywy ludzi wplątanych w te wydarzenia, można będzie zastanowić się nad tym, co mogło się jeszcze zdarzyć albo dotrzeć do szczegółu, który, choć sam w sobie drobny, w kontekście historii odegrał dużą rolę.

Żył wtedy dwóch adeptów magii, być może najpotężniejszych z wszystkich znanych kiedykolwiek, którzy nazywali się Urtho i Ma'ar. Ma'ar, potomek barbarzyńskich koczowników, był opanowany żądzą podboju, początkowo w szczytnych intencjach zjednoczenia klanów, by nie wyniszczyły się nawzajem. Urtho, uosobienie cywilizacji i nauki, opierał się jego planom. Jednak pomimo najwięk-

szych wysiłków Ma'ar zatriumfował... Ale tylko chwilowo. W godzinie jego zwycięstwa umierający Urtho sprowadził na niego zgubę za pomocą urządzeń, które uwolniły wszelką magię. Jedno urządzenie uruchomił we własnej Wieży, drugie wysłał do Ma'ara. Oba zaczęły działać niemal jednocześnie, a ich skutki okazały się niszczycielskie i całkowicie nieprzewidywalne.

Kiedy wszystko się skończyło, na miejscu Wieży Urtho i pałacu Ma'ara powstały dwa kratery. Pierwszy stał się Równiną Dorisza, drugi — Jeziorem Even-dim. Nałożenie się dwóch fal uderzeniowych spowodowało straszliwe magiczne burze, które przez kilkanaście lat pustoszyły kraj, podnosząc góry i równając je z ziemią, niszcząc magię, zmieniając nie do poznania żywe istoty, a nawet przenosząc całe fragmenty lądu z jednej części świata do innej.

W końcu burze ucichły i przez kolejne stulecia zapomniano o nich. Jednak siły uwolnione przez kataklizm były większe i bardziej niesamowite, niż ktokolwiek mógł przewidzieć. Teraz magiczne burze powróciły z drugiego końca świata, za każdym razem przybierając na sile.

To właśnie tak diametralnie zmieniło sytuację, w jaką wkroczył Tremane. Valdemar znalazł się w położeniu trudnym, lecz nie katastrofalnym. Niedawno dopiero ponownie odkryto tu prawdziwą magię i niezbyt na niej polegano. Z innymi skutkami burz — zmienną i pogarszającą się pogodą, wypaczeniem żywych stworzeń — można było sobie poradzić w ten czy inny sposób. Jednak dla wojsk Tremane'a, które wykorzystywały magię we wszystkim, począwszy od zaopatrzenia, a skończywszy na zwiadach i gotowaniu pożywienia, była to klęska. Nagle zostali odcięci od Imperium, głodni i bez możliwości rozpoznania terenu. Nikt nie wiedział, co się dzieje w samym Imperium. Tremane początkowo założył, że burze były nową bronią sojuszu Valdemaru, Karsu, Rethwellanu i klanów Shin'a'in oraz Tayledrasów. Zgodnie z tym założeniem zadziałał — i to w sposób typowy dla Imperium, gdzie zdrada i skrytobójstwo były tak rozpowszechnione, iż dzieciom w kołysce dawano w prezencie związanych z nimi strażników. Wysłał mordercę, by zerwać sojusz.

To właśnie tutaj kończyły się możliwości rozumienia i Elspeth, i większości Valdemarczyków. Valdemar nie zaatakował sił Imperium. Żaden z sojuszników nie okazał śladu agresji oprócz wzmocnienia posterunków granicznych i cichej pomocy hardorneńskim lojalistom. Oprócz oczywistego faktu, że Valdemar nie ucierpiał z powodu magicznych burz tak mocno, jak wojska Imperium, Tremane nie miał powodu przypuszczać, że burze to napaść ze strony królowej Selenay albo jej sprzymierzeńców. A jednak tak właśnie je potraktował — i wysłał agenta uzbrojonego w magiczną broń, by zabił każdego, kto posiadał jakąkolwiek pozycję na dworze Selenay.

Agentowi udało się zamordować posłów Karsu i Shin'a'in oraz zranić kilku innych. To źle, ale czystemu przypadkowi zawdzięczali, że nie stało się nic gorszego — i wszyscy doskonale to rozumieli. Gdyby zabójca poczekał do świtu,

kiedy ludzie spali, zdołałby wymordować wszystkich od Selenay po gryfy.

Tu właśnie zaczynał się problem Elspeth i Mrocznego Wiatru. Mieli zaufać człowiekowi wysyłającemu zabójców nawet przeciwko tym, których tylko podejrzewał o chęć napaści. Elspeth nie mogła się z tym pogodzić, chociaż Tremane zdołał przekonać do siebie ostatnią osobę, jaka zdołałaby mu wybaczyć — młodego Karala, sekretarza i ucznia posła Karsu, kapłana Słońca i maga, mistrza Ulricha. Przekonał nawet Solaris, Syna Słońca, najwyższego kapłana i władczynię Karsu, o swej szczerzej intencji zadośćuczynienia za zło, jakie wyrządził — choć bogowie tylko wiedzą, jak mu się to udało.

„Cóż, nie przekonał ani mnie, ani Mrocznego Wiatru” — pomyślała z uporem. „Jakikolwiek czar rzuciły jego słowa czy osobowość, mam nadzieję, że z nami pójdzie mu trudniej. Znam magię umysłu, zaś Mroczny Wiatr jest tak obcy Tremane’owi, jakby należał do innego gatunku. Poza tym nie zdziwiłabym się, gdyby Kerowyn włączyła do naszej eskorty z pół tuzina swych specjalnych agentów. W końcu obie strony mogą grać mordercę”.

Miała nadzieję, że do tego nie dojdzie, choć doświadczenie nauczyło ją opierać plany raczej na przesłankach pesymistycznych niż nadziei. Oficjalnie nie wiedziała nic o obecności specjalnych agentów Kero w eskorcie, lecz przecież знаła Pioruny Nieba — wszyscy oni byli „nieregularni”. Ich umiejętności nie obejmowały tylko bezpośredniej walki, choć w razie potrzeby mogli służyć jako specjalistyczny oddział zwiadowczy — zresztą w przeszłości już się to zdarzało.

„Z drugiej strony. . . Solaris ma Hansę, drugiego ognistego kota. Gdyby chciała zabić Tremane’a, nic by jej nie przeszkodziło. Może ta świadomość sprawi, że księżę będzie się teraz zachowywał poprawnie”.

Musiała jeszcze zastanowić się nad inną kwestią. Ogniste koty miały zdolność „skakania” i przenoszenia kogokolwiek, kto ich dotykał, z jednego miejsca w inne. Elspeth nie miała pewności, jak daleko mogły sięgnąć. Bardzo dobrze, że Hansa i Altra służyły jako posłańcy pomiędzy Solaris i Selenay oraz między grupą w ruinach Wieży Urtho a magami i rzemieślnikami w Przystani — stolicy Valdemaru. Solaris mogłaby z łatwością umieścić zabójcę tuż pod bokiem Tremane’a, który na jej życzenie wbiłby mu nóż pod żebra; zresztą sam Hansa zdołałby zapewne zabić człowieka. Chociaż ogniste koty wyglądały jak zwykłe koty, jeśli tylko chciały, osiągały wielkość olbrzymich psów, z odpowiednio długimi i ostrymi pazurami.

Elspeth zamrugła, chcąc przepędzić obrazy, które pojawiły się przed jej oczami w związku z tym spostrzeżeniem. „Mam dziś ponure myśli. Może widok rozlanej krwi stanowi antidotum na tę biel. Bogowie, jak zimno. . . odkąd opuścili nas przewodnicy, nie widzieliśmy ani jednego człowieka”.

Na granicy Valdemaru mieli szczęście. Para hardorneńskich uchodźców — za których wiarygodność poręczyli agenci Kerowyn — zdecydowała się wracać do domu i aż do tego ranka służyła im za przewodników za dwie sakiewki monet

i dwa worki żywności. Teraz jednak musieli poradzić sobie bez nich, gdyż małżeństwo dotarło już do miejsca, do którego zmierzało.

Poprzedniej nocy stanęli we wsi, z której uciekło dwoje Hardorneńczyków. Była opuszczona i wyludniona, jak inne osady, które mijali. Pomimo śnieżnego pustkowi, w jakie zmieniała się okolica, małżeństwo marzyło już o lepszej przyszłości i dzieciach bawiących się na rojnym rynku miasta.

Podróż była nieco denerwująca, gdyż jechali przez zupełnie wyludniony kraj. Elspeth zastanawiała się, co mogło się wydarzyć. „Ziemia może zdrowieje, lecz gdzie są ludzie?” To prawda, że Ancar zdziesiątkował ludność, ale dlaczego na drodze nie spotkali nikogo? Dlaczego wszystkie mijane wsie były całkowicie opustoszałe?

Opuszczone wsie nasuwały więcej pytań bez odpowiedzi, gdyż zabrano z nich wszystko oprócz najcięższych mebli, a jednak nie było śladu przemocy. Czy opuszczono je, czy może ograbiono? Kto uprzętał śnieg? Czy Hardorneńczycy ukrywali się w obawie przed uzbrojonym i zapewne wrogim oddziałem? To było możliwe, zważywszy, że był to naród doświadczony przez wojny. Ale dlaczego, skoro w oddziale znajdował się herold z Valdemaru, jadący na przedzie i wyraźnie widoczny?

„Może z takiej odległości nie dostrzegają, że jestem naprawdę heroldem. Nie trudno o białego konia i białe ubranie”.

— Jakie mamy plany co do postoju — czy w ogóle je mamy? — krzyknęła do tyłu, do przywódcy eskorty. Nie przygotowali się na noclegi pod gołym niebem, choć wieźli pożywienie na całą podróż, zakładając, że w wyniszczonym magicznymi burzami Hardornie trudno o jedzenie. Całe szczęście, że tak zrobili, gdyż inaczej mogliby wybierać pomiędzy śmiercią głodową a — dosłownie — jedzeniem wron.

— Teoretycznie przed nami powinno znajdować się miasto, w którym niegdyś odbywały się cotygodniowe targi. Było tam pięć dużych zajazdów — odparł dowódca eskorty. Jego głos tłumił szal owinięty wokół twarzy. — Czy nadal są czynne... — wzruszył ramionami. — Ktoś jednak dba o to, by droga była przejezdna. Mam nadzieję, że to oni.

Elspeth również miała taką nadzieję. Nie chciała spędzić kolejnej nocy w opuszczonym, zaniedbanym budynku. Zawsze zdołali znaleźć dom, który nadawał się na schronienie, nie brakowało im też opału, lecz Elspeth cieszyła się z obecności innych. W nocy trudno jej było zasnąć — czuła mrowienie na plecach, jakby obserwowały ją niewidzialne oczy. Właściwie nikt nie widział ani nie słyszał niczego, co przypominałoby ducha, jednak takie miejsca wydawały się nawiedzone.

Zastanawiała się, skąd Rusi i Severn mieli odwagę, aby zostać w swej wsi na całą zimę. Owszem, dysponowali taką ilością materiału, by ocieplić i uszczelnić cały dom, oraz potrzebnym wyposażeniem. Mimo to bolesna pustka opuszczonej

wsi sprawiłaby, iż Elspeth po tygodniu pobytu uciekłaby z krzykiem do Valdemaru. Nie mogła teraz o tym myśleć. „Dokonałam wielu czynów, które ludzie uznają za odważne, ale nie jestem aż tak odważna”.

Jednak w ten sposób zakładała, iż tereny wokół wsi są tak wyludnione, jak na to wyglądały. Kiedy magiczne burze stworzyły zabójczą pogodę i krwiożercze potwory, czy nie było mądrzej i bezpieczniej umocnić gospodarstwa i zostać tam, gdzie jedzenie, czy też co jakiś czas przychodzić do wsi, ufając w liczbę ludzi i broń, lecz ryzykując stratę pożywienia? Elspeth nigdy nie musiała podejmować takiej decyzji i miała nadzieję, iż nikt w Valdemarze nie będzie do tego zmuszony.

Wszystkie swe nadzieje ulokowali w małej grupce znajdującej się gdzieś w głębi Równin Dorisza, w ruinach Wieży Urtho. Jeśli ktokolwiek zdoła znaleźć odpowiedź, to tylko oni. Chociaż Elspeth i Mroczny Wiatr byli magami klasy adepta, Elspeth przeszła tylko częściowe szkolenie, Mroczny Wiatr zaś nie praktykował magii przez tyle lat, że mimo sporej mocy, jaką posiadał, wciąż uważał, że wyszedł z wprawy. Jako magowie nie zdołaliby pomóc poszukiwaczom, którzy pojechali do Wieży. Mogli za to przydać się w kontaktach z Imperium — i na pewno jako posłowie.

Elspeth wiedziała, iż królowa Selenay zastanawiała się długo, zanim wysłała ich jako posłów sojuszu do księcia Tremane. Królowa nie chciała wysłać Elspeth, jednak była to jedyna logiczna możliwość. Elspeth mogła podejmować samodzielne decyzje, została wyszkolona jako herold i kandydatka do tronu — po Selenay była najlepszą osobą, która potrafiła myśleć w kategoriach dobra Valdemaru. Dowiodła, że posiada umiejętność trafnego osądu sytuacji, a ponieważ od czasu swej abdykacji nie była już następczynią tronu, nie miała zbyt wielkiej wartości jako ewentualna zakładniczka. Co więcej, Kerowyn nauczyła ją bronić się przed zabójcami; Elspeth mogła zatroszczyć się o siebie w razie napadu i równej walki, poza tym była tak podejrzliwa, jak tylko budząca grozę Kero mogłaby sobie życzyć.

Pozostawała jeszcze magia — była adeptem; Tremane osiągnął tylko poziom mistrza, choć w zupełnie innej dyscyplinie sztuki niż ta, której uczono Elspeth. Bardzo niewielu heroldów z Valdemaru było magami, nie mówiąc już o adeptach, a chociaż Towarzysze mogli im do pewnego stopnia pomóc, nie zastępowało to umiejętności prawdziwego maga.

To wszystko mogłoby nie wystarczyć, lecz był jeszcze Mroczny Wiatr. Adept, ale z dłuższą praktyką niż Elspeth, i również zwiadowca Tayledrasów, co uczyniło z niego swego rodzaju wojownika. Odmówiłby towarzyszenia komukolwiek innemu; nie był heroldem, a jego lojalność związana była z Elspeth, a nie z Valdemarem. Elspeth zaś nie pojechałaby bez niego; razem tworzyli zgrany duet.

Biorąc pod uwagę kompetencje i jej, i Mrocznego Wiatru, nie było nikogo tak dobrze nadającego się do tej misji. Gdyby Elspeth była córką kogoś innego, Selenay nie zawahałaby się ani chwili przed wysłaniem jej.

„Muszę przyznać, że matka nie wahała się zbyt długo”. Elspeth cieszyła się z tego; Selenay coraz mniej traktowała ją jak córkę, a coraz bardziej jak osobę dorosłą. Elspeth miała wrażenie, że kiedy zapomniiała myśleć o niej jak o dziecku, zachowywała się bardziej naturalnie. W pewien sposób, widząc zachowanie królowej przed ich wyjazdem, Elspeth dziwiła się, iż królowa w ogóle się zastanawiała. „Może jej wahanie kiedyś, w przeszłości, pochodziło bardziej z poczucia winy niż czegokolwiek innego”.

Czy mogło tak być? Elspeth i jej matka nigdy nie czuły się ze sobą zbyt swobodnie. „Niezależnie od tego, jak bardzo się starała, zawsze widziała we mnie ojca. W pewnym sensie byłam bardziej dzieckiem Talii niż jej”. Teraz Selenay miała bliźnięta — dzieci, którym mogła oddać całe serce; czyżby czuła się winna, że nie łączyła jej podobna macierzyńska więź z Elspeth? Czy to dlatego zawsze reagowała tak przesadnie, kiedy Elspeth robiła coś, co groziło jej niebezpieczeństwem? Może czuła, iż powinna być bardziej zaangażowana emocjonalnie, bardziej zatroskana niż naprawdę była?

„Ciekawa teoria — zapewne nigdy nie dowiem się, czy prawdziwa. Na pewno jej o to nie zapytam, a jedyna poza nią osoba, która może wiedzieć, nigdy mi tego nie powie. Talia za nic nie zdradziłaby tego, czego dowiedziała się o sercu matki — i słusznie”. Elspeth zadrżała. Czy to ważne? Nie. Oprócz tego, że... jeśli naprawdę chodziło o to, chciałyby móc przekonać matkę, iż to naprawdę się nie liczy. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała królowa Valdemaru, było kolejne zmartwienie. I tak dźwigała brzemię winy wystarczające dla dwudziestu ludzi.

„A wolę być przyjaciółką i heroldem królowej Valdemaru niż jej córką”. Jednak ta myśl wyjaśniała, dlaczego zachowania Selenay czasem przeczyły sobie. Z pewnością warto było o niej pamiętać. Można było na własną rękę zbierać dowody na jej poparcie; poza tym ciekawie byłoby zachowywać się według tej teorii i obserwować, co się stanie.

Mimo że czekało ją długie i trudne zadanie do wykonania, istniała możliwość, że — jeśli wkrótce nie znajdą jakichkolwiek Hardorneńczyków — wszyscy zamrzną, zanim się do niego zabrają.

— Jak sądzisz, daleko jeszcze do miasta? — zawołała przez ramię do dowódcy straży. Obejrzała się i ujrzała — jak on miał na imię? Vallen, tak — ujrzała, jak żołnierz wrzusza ramionami, co ledwo można było dojrzeć pod warstwą skór, futer i wełny.

— Myślę, że nie, ale to tylko przypuszczenie — odparł. Mimo szalika zakrywającego twarz jego słowa słyhać było wyraźnie przez stukot kopyt ich różnorodnych wierzchowców i chrzęst śniegu. Popędził piętami konia i ruszył do przodu, podczas gdy Elspeth i Mroczny Wiatr usunęli się na bok, by go przepuścić.

Elspeth stanęła na moment w strzemionach, by spojrzeć na drogę przed sobą, ale jeśli nawet istniały jakieś ślady życia, na przykład dym, który powinien unosić się z kominów, i tak na tle jednolitego, białoszarego nieba nic nie było widać.

Słońce zaznaczało się jedynie niewyraźną jaśniejszą plamą w połowie wysokości nad horyzontem.

Opadła z powrotem na siodło; przy tak krętej drodze nie można było wiele dojrzeć przed sobą, zaś to, co znajdowało się po bokach, widzieli tylko wtedy, kiedy obniżały się zasy.

„Moglibyśmy stać tuż nad miastem i nawet o tym nie wiedzieć” — pomyślała.

Kilka minut później droga ponownie skręciła i poprowadziła w dół. Zasy obniżyły się i sięgały do połowy wysokości człowieka. Jakby wyczarowane w kryształowej kuli, przed nimi i w dole pojawiło się miasto, którego wypatrywali. Leżało w płytkiej dolinie, a domy wystawały spod śniegu jak pieńki drzew w ośnieżonym lesie.

Nie po raz pierwszy ujrzeli przed sobą miasto, lecz po raz pierwszy dojrzelili jego mieszkańców. Niektóre domy wyglądały jak kolejne zasy, ale z dachów innych usunięto biały ciężar. Z połowy kominów unosił się dym, porywany przez wiatr, zanim wznosił się na tyle wysoko, by utworzyć obłok. Na drodze przed miastem poruszało się kilka postaci; z ich celowych ruchów można było wnioskować, że goście zostali zauważeni, a może nawet ich oczekiwano.

Miasto wyglądało nieco lepiej niż opuszczone wsie, przez które przejeżdżali. Połowa domów stała zaniehbana, na jednym i drugim zapadł się dach, a z powodu zalegającego śniegu trudno było stwierdzić, jak mocno ucierpiały inne. Elspeth zgadywała, że ludzie mieszkali tylko w domach, z których kominów unosił się dym; na myśl, że działania Ancara i inne nawiedzające ostatnio Hardorn nieszczęścia rzeczywiście o połowę zmniejszyły liczbę jego mieszkańców, zabrakło jej tchu. „Może nawet więcej niż o połowę” — przypomniała sobie. „Ile opuszczonych wsi mijaliśmy?”

Czy podobne warunki panowały wszędzie? Jeśli tak — nie zazdrościła żadnemu przywódcy zadania doprowadzenia kraju do porządku po takich zniszczeniach. „Jeżeli Tremane zdoła przekonać Hardorneńczyków, by go zaakceptowali, ma przed sobą więcej pracy, niż zgodziłabym się podjąć”.

Przed nimi w poprzek drogi ustawiła się grupka kilkunastu ludzi, jakby broniących wejścia do miasta — przynajmniej w tej chwili, równie okutanych w ciepłe ubrania, jak oddział Elspeth, co sprawiało, że trudno było cokolwiek o nich powiedzieć — nawet określić ich płeć; pomimo tego, według Elspeth ich zachowanie wyrażało zarówno obawę, jak i wrogość.

Strach? Kiedy ktoś się jej bał? Nie dotarli jeszcze tak daleko, by mieszkańcy nie wiedzieli, kto to jest herold i co oznacza ta nazwa. Jak mogli bać się herolda? Czy to Ancar zaszczerpił w nich tak silny strach?

Poczuła, że wojownicy znajdujący się za nią sięgają po broń, niedbale kładąc dłonie na rękojeściach mieczów i zwiększając czujność. Zatem nie pomyliła się; oni również wyczuli wrogość. Vallen ściągnął wodze i pozwolił Elspeth wyjechać na przód; Mroczny Wiatr przekazał dyheli, by się cofnęła i jechał z głową na wy-

sokości boku Gwenty. Elspeth podprowadziła oddział na niewielką odległość od grupy powitalnej, po czym zatrzymała go podniesioną dłonią.

— Jesteśmy spokojnymi podróżnymi z Valdemaru — powiedziała we własnym języku, zsuwając szal, by widzieli jej twarz, chociaż zastanawiała się, czy jej uwierzą, widząc tyle broni. — Kto tu dowodzi?

Dwie osoby spojrzały na siebie, a potem jedna z nich wystąpiła do przodu, nie odsłaniając twarzy. Teraz, kiedy znaleźli się bliżej siebie, dostrzegła w jakim opłakanym stanie znajdowały się ich ubrania. Płaszczki były pieczołowicie pocerowane, lecz łąty pochodziły z różnych tkanin.

— Ja. Ja tu dowodzę, jak się zdaje — odpowiedział niechętnie mężczyzna i niezgrabnie założył ręce na piersi. Nie zauważyła przy nim broni, lecz nie łudziła się, że są bezbronni. Gdyby to ona dowodziła, ustawiałaby w każdym oknie łuczników ze strzałami na cięciwach. Nie spojrzała w górę, by potwierdzić słuszność swego przypuszczenia.

— Po co tu przyjechaliście? — ciągnął mężczyzna, splatając ręce jeszcze ciasniej i prostując się. Mówił coraz głośniej, z gniewem w głosie. — Jeśli myślicie, że wy z Valdemaru możecie przyjść tu i zabrać nas i naszą ziemię. . .

— Nie! — przerwała Elspeth bardziej ostro, niż zamierzała. Zdenerwowanie mężczyzny udzieliło się i jej; wzięła głęboki oddech, by się uspokoić. — Nie — powtórzyła z mniejszym naciskiem. — My, Valdemar, nie mamy zamiaru zabrać nawet piędzi ziemi z Hardornu. Dopóki nie zaatakował nas Ancar, byliśmy zawsze lojalnym przyjacielem i sojusznikiem Hardornu. Skoro Ancara już nie ma, zamierzamy przywrócić ten stan rzeczy.

Mężczyzna roześmiał się gorzko.

— Ha! — parsknął. — Ty tak mówisz, ale dlaczego miałibyśmy ci wierzyć?

— Przysięgam na mój honor jako herolda — odparła szybko. — Musicie wiedzieć, co to znaczy! Z pewnością nie straciliście wiary także w to!

Sprawa to wrażenie próby, jakby jej słowa miały zadecydować o tym, jak będą traktowani później.

„Czy nadal mają jakiś sposób, aby porozumiewać się z innymi miejscowościami?” Nie wyobrażała sobie, by ktokolwiek przebył zlodowaciałe pustkowie szybciej od nich, ale oddział valdemarski poruszał się drogami, miejscowi zaś znali skróty i mogli je wykorzystać do przekazywania nowin. Może stare wieże sygnalizacyjne nadal działały.

„To może być odpowiedź. Może stąd wiedzieli o naszym przyjeździe”.

— Przysięgam jako herold — powtórzyła. — I jako poseł królowej. Ani Valdemar, ani jakikolwiek inny kraj sojuszu nie mają złych zamiarów wobec Hardornu.

„Chociaż Solaris musiała uciszyć kilku kapanych w gorącej wodzie w Karsie. A raczej zrobił to Vkandis. . .”

— Jesteśmy podróżnymi — ciągnęła gładko. — Będziemy wdzięczni za przemocowanie nas, ale mamy własne zapasy. Wiemy, jak trudno tu o pożywienie i nie

chcielibyśmy nikogo wykorzystywać.

Zapanowała długa cisza, podczas której mężczyzna przyglądał się jej uważnie. W końcu kiwnął głową, jakby zadowolony z tego, co zobaczył.

— Ten strój wygląda na cudzoziemski, ale masz konia, niebieskie oczy i wszystko inne, a tego nie można podrobić — wzruszył ramionami i machnął ręką, jakby dając znać ukrytym łucznikom, że wszystko w porządku. — Chyba nadal wierzymy w heroldów — głównie dlatego, że Ancar usilnie chciał przekonać nas, że jesteście gromadą czarnoksiężników przywołujących demony. Przyjmę twoje słowo jako porękę za ciebie i pozostałych, ale pamiętaj, że ty za nich odpowiadasz.

Kiwnęła głową, usiłując nie okazywać, jak bardzo jego słowa zbiły ją z tropu. Po raz pierwszy zdarzyło jej się spotkać tak blisko granic Valdemaru kogoś, kto nie ufał heroldom i nie zaakceptował ich od razu. Co się tym ludziom stało?

Ancar, kochanie. Upłynie dużo czasu, zanim znów komukolwiek zaufają — odpowiedziała Gwena cicho. — *Być może jego pokolenie nigdy już nikomu nie zaufa.*

— Zatem dokąd jedziecie? — zapytał mężczyzna z obudzoną na nowo czujnością.

— Powiedz im prawdę, ke'chara — odezwał się cicho Mroczny Wiatr po taylordrasku. — Nie owijaj niczego w bawełnę. Przynajmniej dowiemy się, jak nas przyjmą, a wciąż mamy zapasy na drogę powrotną do domu. Nie możemy siłą przebijać się przez kraj, by dotrzeć do Tremane'a.

Kiwnęła lekko głową na znak, że usłyszała; oczywiście miał rację. Jeśli nie uda im się dojechać do kwatery Tremane'a bez walki, nie ma sensu jechać dalej.

— Zdążamy do miasta zwanego Shonar — powiedziała ostrożnie, zastanawiając się, jak wiele lub jak mało wie mężczyzna.

Wiedział wystarczająco dużo; cofnął się o krok.

— Jedziecie do Tremane'a? — zapytał. — Księcia Imperium?

Nie wiedziała, czy był rozgniewany, ale skoro zdecydowała się mówić prawdę, potwierdziła.

— Jesteśmy poselstwem Valdemaru do Tremane'a — wyjaśniła. — On... chce się przyłączyć do sojuszu. To, czego się dowiedzieliśmy, sprawiło, że możemy uznać go za godnego zaufania.

„Mamy nadzieję”.

W grupie za mężczyzną rozległy się szepty — nie były wrogie, wynikały raczej z zaciekawienia, co dodało Elspeth odwagi. Dowódca namyślał się przez chwilę, po czym gestem kazał swym ludziom ustąpić z drogi.

— Musimy porozmawiać, heroldzie z Valdemaru — odezwał się nieco bardziej formalnym tonem. — A nie ma sensu stać i marznąć. Chodźcie za mną; w gospodzie jest ciepło, nawet jeśli nie ma karczmarza. Swoje posłania połóżcie na łóżkach, które się tam znajdują. Jeżeli potraficie zatroszczyć się o siebie, możemy zaoferować wam całkiem przyzwoity nocleg.

Było to najbardziej gościnne zaproszenie ze wszystkich w ciągu całej podróży, pozwoliła więc Gwenie ruszyć posłusznie za mężczyzną.

Gospoda rzeczywiście była w dobrym stanie, podobnie jak stajnie. Oddział zsiadł z koni i poprowadził je razem z jucznymi zwierzętami do dużego budynku, w którym znajdowała się już zadziwiająco duża liczba wierzchowców.

„Zapewne trzymają tu wszystkie konie i kuce z całego miasta” — domyśliła się Elspeth, rozglądając się wokół. „Ma to więcej sensu niż rozpraszenie ich po kilka w każdej stajni”.

Hardorneńcy szybko zabrali się do zrzucania słomy ze strychu, by przygotować boksy dla przybyłych zwierząt. Jak się okazało, mieli także siano, choć brakowało im ziarna. To jednak wystarczyło; Valdemarczycy przyprowadzili ze sobą kilka chirra, którym wystarczyło samo siano, w zapasach zaś wieźli pod dostatkiem ziarna dla koni, Gweny i dyheli Brythy.

Wszyscy pomagali w stajni; podstawowa zasada Elspeth, wpojona jej przez Kerowyn, nakazywała zadbać najpierw o zwierzęta, dopiero potem o ludzi — i nikt się temu nie sprzeciwił.

Kiedy konie, chirra, Brytha i Gwena zostały ulokowane w ciepłych boksach i nakarmione, a słońce zniżało się ku zachodowi za zasłoną szarych chmur, ludzie przeszli do gospody, niosąc bagaże.

Wewnątrz stanęli przez chwilę w grupie, rozglądając się wokół. Świetlica — duże pomieszczenie z ogromnym kominkiem na jednym końcu, solidnymi drewnianymi ścianami i podłogą oraz osmalonymi od dymu łupami podpierającymi sufit — nie wyglądała na opuszczoną i zaniedbaną, czego obawiała się Elspeth.

Odgadła, że mieszkańcy osady przeznaczili gospodę na miejsce spotkań, gdyż było tu zbyt czysto jak na miejsce sprzątnięte w pośpiechu dla przyjezdnych. Drzwi wiodące na ulicę otwierały się co chwilę, wpuszczając kolejnych wchodzących; Elspeth miała wrażenie, że przybywają tu niemal wszyscy dorośli mieszkańcy. Każdy przynosił ze sobą drewno do kominka, co uspokoiło Elspeth, gdyż martwiła się wcześniej, w jaki sposób Valdemarczycy zdobędą opał.

Dowódca nie zdjął jeszcze płaszcza, ale zsunął szal z twarzy. Przepchnął się przez tłum i wskazał ręką w mitence schody; jego ogorzała, poorana zmarszczkami twarz miała bardziej przyjazny wyraz, niż się Elspeth spodziewała.

— Pokoje są na górze, rozłokujcie się — powiedział. — Kiedy skończycie, zejździe na dół, porozmawiamy.

Kilku mieszczan weszło po drewnianych schodach razem z gośćmi, zanosząc do pokoi opał, który zostawili koło kominków. Nie odzywali się, ale Elspeth miała wrażenie, że byli raczej małomówni lub nieśmiali niż wrogo nastawieni. Rozpaliwszy ogień w sypialniach i położywszy rozgrzane cegły w łóżkach tam, gdzie nie było kominków, Valdemarczycy zaczęli schodzić na dół do swych jeszcze tak niedawno wrogo nastawionych gospodarzy.

Elspeth stanęła na przedzie. Miejscowi obserwowali ją z ukrytą ciekawością,

lecz kiedy po schodach zszedł Mroczny Wiatr, porzucili wszelkie pozory dobrego wychowania i patrzyli na niego z otwartymi ustami. Elspeth poczuła, że kąciki jej ust unoszą się, ale zdołała nie roześmiać się głośno na widok ich wyrazu twarzy.

„Chyba nigdy nie widzieli kogoś takiego jak mój Mroczny Wiatr. Zapewne dla nich wygląda jak postać z ballady minstrela”.

Mroczny Wiatr rzeczywiście wyglądał niezwykle — z długimi srebrnymi włosami, w egzotycznym kostiumie i z ogromnym więź-ptakiem na ramieniu. Kiedy wyciągnął rękę, niedbale zdjął ptaka z ramienia i podrzucił go w powietrze, a ten przeleciał przez komnatę i usiadł na belce pod sufitem, wszyscy Hardorneńscy uchyliłi się, a niejeden bał się zapewne, że myszołów go zaatakuje.

Vree ze swojej strony zachowywał się najlepiej, jak umiał; usiadł tak, by nikt nie stał za nim ani bezpośrednio pod nim. Była to z jego strony duża uprzejmość, bo gdyby zasnął, instynkt wzięłby górę nad tresurą — a ptak tej wielkości mógł wytworzyć zadziwiająco dużą ilość nawozu.

Elspeth poczekała, aż Mroczny Wiatr stanie obok niej, po czym ujęła jego dłoń.

— To jest Mroczny Wiatr k’Sheyna, Sokoli Brat jednego z klanów należących do sojuszu — powiedziała tak rzeczowym tonem, jakby mówiła: „To jest Tom, rolnik z sąsiedniej doliny”. Miejscowym oczy wyszły na wierzch; nie dziwiła się. Nawet w Valdemarze Sokoli Bracia do niedawna byli bardzo tajemniczą i raczej niesamowitą legendą — co w takim razie musieli myśleć ci Hardorneńscy?

— To poseł, mój partner i mąż — mówiła dalej. — Reprezentuje interesy Sokolich Braci, Shin’a’in i innych. Jak powiedziałam, jedziemy do Shonaru, do wielkiego księcia Tremane, jako oficjalne poselstwo Valdemaru i innych członków sojuszu.

Mężczyzna, który przewodził spotkaniu, kiwnął głową. Do tej pory zdążył już zdjąć płaszcz; miał na sobie ubranie rzemieślnika — kowala, jak zgadywała Elspeth, sugerując się śladami ognia i łatami, zapewne zakrywającymi wypalone miejsca. Wyglądał o wiele biedniej niż widziani przez nią kowale z Valdemaru, którzy należeli tam do bogatszych obywateli miast.

„Może tu także jest zamożny. Co za myśl! Jeśli wygląda jak żebrak, w jakiej sytuacji znajdują się inni?”

Zastanawiała się, czy to z powodu zawodu mężczyzna nie został wcielony do armii Ancara, gdyż wyglądał na zdrowego i był w odpowiednim na wojownika wieku. Miasto tej wielkości musiało mieć kowala — w dodatku przewyższającego umiejętnościami zwykłego czeladnika.

— Jestem Hob — powiedział mężczyzna i gestem wskazał jeden ze stołów. Gdyby był odpowiednio odżywiony, miałby okrągłą twarz przypominającą starą, pomarszczoną piłkę. Choć nie wyglądał na zagłodzonego, widać mu było kości

— oznaczało to, że ludzie ci przeżyli ciężkie chwile, jakby Elspeth już tego nie wiedziała.

— Podczas gdy twoi ludzie będą przygotowywać posiłek, chcielibyśmy porozmawiać z tobą i twoim mężem.

— Chętnie podzielimy się tym, co mamy. . . — zaczęła Elspeth, rumieniąc się w poczuciu winy, ale mężczyzna potrząsnął głową.

— Mamy dość, by dotrzeć do wiosny, o ile się nie spóźni — odparł. — Wy zaś będziecie potrzebować zapasów, by dotrzeć do Shonaru. Dzięki pewnym. . . dobrym radom większość ludzi ma jedzenie, ale nikomu na nim nie zbywa. Wątpię, czy znajdziecie kogoś, kto sprzeda wam więcej niż torbę otrąb, a i to nie za pieniądze.

Elspeth spojrzała przez ramię w tył, na Vallena; ten kiwnął głową i gestem dłoni odesłał strażę do kuchni. Reszta usiadła przy — i wokół — Elspeth. Mroczny Wiatr pozostał po jej prawej stronie; w najmniejszym stopniu nie zwiódła jej jego niedbała poza. Wystarczyłoby, żeby ktoś podniósł głos i zagroził Elspeth, natychmiast znalazłby się oko w oko z końcem noża, zostałby unieruchomiony zaklęciem albo sparaliżowany.

„Zakładając, że ja sama nie zadziałałabym od razu”.

Hob usiadł naprzeciw Elspeth i potarł nos, jakby zastanawiając się, od czego zacząć. W końcu wyprostował ramiona i zapytał prosto z mostu:

— Jedzcie do Shonaru. Co wiecie o tym Tremanie?

„Na takcie mu nie zbywa, ale zapewne nie jest przyzwyczajony do występowania w roli przywódcy i nie miał zbyt wielu okazji, aby nauczyć się dyplomacji”.

Elspeth wzruszyła ramionami.

— Wiemy tyle: sprowadził wszystkie swe oddziały do Shonaru i zakończył wrogie działania wobec hardorneńskich lojalistów. Słyszałam, że idzie na ustępstwa, by uniknąć konfliktu, co, przyznacie, w taką pogodę nie jest zbyt trudne.

Hob prychnął potwierdzająco.

— Nie tylko wyraził chęć przystąpienia do sojuszu, ale też przysłał nam kilku magów do pomocy w. . . — zawałała się. Co rozumieją, jeśli zaczną opowiadać im o magicznych burzach? — W problemach z magią, które leżą u podłoża wszelkich dziwnych zdarzeń, jakie się rozgrywają.

— Potwory? Pogoda? Koła? — Hob szeroko otworzył oczy, wyraźnie poruszony. — Tremane pomógł wam się z nimi uporać?

— Owszem, i nadal tak robi — odparła Elspeth. — To problem większy, niż sobie wyobrażacie. Nie tylko Hardorn nawiedzają te potworności. To samo dzieje się w Valdemarze, Rethwellanie, Karsie, na Równinach Dorisza i, jak zgadujemy, wszędzie aż do samego Imperium. Sojusz, dzięki pomocy Tremane’a, poradził sobie z tym wszystkim, ale to rozwiązanie tymczasowe i obejmuje tylko tereny krajów — członków sojuszu. — Zdecydowała się nie wspominać o osobistej rozmowie Solaris z wielkim księciem; w końcu wiedziała tylko tyle, że taka rozmowa

się odbyła, a nie — co powiedziano. — Co jeszcze wiemy o Tremanie? Mieszkańcy Shonaru i okolicy traktują go jak protektora, a on pomaga im.

— Tak — potwierdził Hob. — My słyszeliśmy to samo. Podobno ci, którzy walczyli przeciw niemu, przeszli na jego stronę, a on traktuje ich jak swoich ludzi. A teraz pomaga Valdemarowi?

Kiwnęła głową. Hob zacisnął usta i wymienił spojrzenia ze swymi ludźmi. Nie mieli wprawy w ukrywaniu uczuć i z ich twarzy Elspeth mogła wiele wyczytać. To, co mówiła, zgadzało się z tym, co słyszeli — i zaskoczyło ich to, iż przybysze z zewnątrz potwierdzili pogłoski uważane przez nich za miłe, ale mało prawdopodobne.

— Słyszeliśmy, że w Shonarze dzieje się coraz lepiej — odezwał się w końcu Hob. — Podobno dzięki Tremane'owi. Wysłał swych ludzi do pomocy przy zniwach i zbudował mury wokół miasta, poza tym tępi potwory.

Rozłożyła ręce w geście, który mógł odczytać, jak tylko chciał.

— Doszły nas te same słuchy — odrzekła. — Nie wiem, ile w nich prawdy, ale z pewnością wasze źródła są zupełnie inne od naszych. Tyle mogę wam powiedzieć — nie wszystkie z nich to ludzie Tremane'a.

— A kiedy dwóch ludzi mówi to samo... no tak. — Za ich plecami rozległy się pomruki. Hob przygryzł wargę. — Mimo wszystko...

— Mimo wszystko, on po prostu mógł nałożyć maskę, by nas oszukać i skłonić do współpracy — powiedziała tak bezpośrednio, jak on. — Nie wiemy i nie dowiemy się, póki nie znajdziemy się na miejscu.

Hob przesuwiał palcem po wzorach drewna na blacie stołu, unikając jej wzroku.

— Mimo wszystko, pani — potrzebujemy przywódcy. Ze starej krwi nikt się nie ostał; dopilnował tego przeklęty Ancar.

— A ludzie zaczęli mówić o tym, że można uznać wielkiego księcia? — było to więcej, niż spodziewała się usłyszeć po tej stronie dawnego frontu. — Cudzoziemca? Z Imperium?

— Księcia, a nie jego przeklęte Imperium! — odezwał się ktoś z tyłu. — Słyszeliśmy, że jak tylko zaczęły się kłopoty, cesarz zostawił ich samym sobie; on już nie jest jego wiernym psem gończym.

— Do licha, nie może być, skoro przychodzi do was z czapką w ręce i prosi o przyjęcie do sojuszu — powiedział z nadzieją Hob. — Shonarowi udowodnił, że o niego dba; jeśli sprawdzi się tam, dlaczego nie może mu się udać z całym Hardornem?

— Ale jeśli on nie zechce zostać waszym przywódcą? — zapytała Elspeth cicho. — A jeśli zechce zostać królem?

Hob zawahał się na moment, potem wzruszył ramionami.

— Będziemy się o to martwić później — odrzekł filozoficznie. — Najpierw musimy przetrwać zimę — uśmiechnął się nieśmiało do Elspeth. — Powiem ci:

istnieje jeden sposób, żebyśmy go uznali.

— Nawet jako króla? — zapytał Mroczny Wiatr stłumionym głosem.

Hob powoli pokiwał głową.

— Nawet jako króla. Musiałby przysiąc na coś, w co wierzymy, że nie jest już człowiekiem Charlissa. Potem musiałby przysiąc Hardornowi i zrobić coś, czego nie zrobił ani Ancar, ani jego ojciec, ani dziadek... — przerwał, by uzyskać większy efekt. — Musiałby przyjąć ziemię według starego rytuału.

Elspeth potrząsnęła głową.

— Nic o tym nie wiem — powiedziała.

Hob znów się uśmiechnął.

— Przyjęcie ziemi to bardzo stary obyczaj, pani. Starszy niż Valdemar, przynajmniej tak mówią. To co stare, jest pewne, to też przysłowie. Podobno ten, kto przyjął ziemię, nie może jej zdradzić. Wciąż żyje jeden kapłan czy dwóch, którzy umieją to poprowadzić. Jeśli Tremane przyjmie ziemię i jeśli ziemia przyjmie jego — cóż, nie ma odwrotu. Jest związany mocniej i bardziej nieodwracalnie, niż gdybyśmy spętali go łańcuchami.

Elspeth nie okazała swego niedowierzania. Po wszystkim, co widziała, nie mogła od razu powiedzieć, czy Hob miał rację, czy nie.

— W każdym razie możecie wierzyć, że Valdemar nie ma zamiaru zabierać władzy mieszkańcom Hardornu; co z tym zrobicie, to już wasz problem — powiedziała ostrożnie. — My mamy za zadanie sprawdzić, czy to, co nam mówiono, jest prawdą i ostrzec sojusz, gdyby okazało się inaczej.

Kiwnął głową i nie zadał oczywistego pytania, jak Elspeth zamierzała wyprować swój oddział nienaruszony, gdyby okazało się, że Tremane prowadzi własną grę. Nie było to jego zmartwienie i Elspeth nie winała go za to, że nie oferował pomocy w razie trudności. Mieszkańcy Hardornu mieli tyle, by przetrwać, ale nic, czym mogliby podzielić się z przybyszami z Valdemaru.

Z kuchni napłynęły miłe zapachy jedzenia, co Hob z radością przyjął jako pretekst do zakończenia rozmowy.

— Jak się zdaje, twoi ludzie już przygotowali posiłek; zostawimy was teraz, byście w spokoju zjedli. Możecie wyjechać rano, kiedy zechcecie i... — zarumienił się lekko — w dalszej drodze będziecie lepiej witani. Wieże sygnalizacyjne nadal stoją i niektórzy jeszcze pamiętają sygnały. Prześliśmy wiadomość, że jesteście przyjaciółmi i jedziecie do Tremane'a. Nikt nie będzie was zatrzymywał; jest dość miejsc z czterema solidnymi ścianami i dachem, byście znaleźli schronienie na każdy nocleg.

Kiedy wstał, Elspeth siedziała nadal, ale wyciągnęła do niego rękę.

— Czy wielki książę wie o tym, że wieże działają? — zapytała.

Zaśmiał się — to jej starczyło za odpowiedź. Zatem Tremane nie zdawał sobie sprawy z tej szybkiej metody przesyłania wiadomości. To mogło się przydać, jeśli okaże się, że gra podwójnie.

Hob odszedł ze swymi ludźmi, zostawiając Valdemarczyków, a Elspeth odwróciła się do Vallena, podczas gdy inni roznosili miski z potrawką z suszonego mięsa i owoców oraz talerze z sucharami.

— I co? — zapytała. — Co myślisz?

Usiadł naprzeciwko niej na miejscu Hoba i zanim odpowiedział, wziął do ręki suchar i miskę.

— Pasuje do tego, co słyszeliśmy, ale w co tak naprawdę nie wierzyliśmy — odparł powoli, zanurzając chleb w sosie i jedząc go małymi, eleganckimi kęsami. — Tremane wydaje się zbyt dobry, by był prawdziwy. Całkowicie bezinteresowny i godny podziwu przywódca. — W jego głosie zabrzmiała lekka kpina.

— Selenay też tak uważa, jeśli chcesz spojrzeć na to obiektywnie — przypomniał mu Mroczny Wiatr. — I tak, wiem, Tremane nie ma Towarzysza, który przypominałby mu o honorze, ale nie jestem pewien, czy potrzebowałby go w takim położeniu, w jakim się znalazł. Nie może czuć się pewnie. Czyha na niego tyle zagrożeń, co na przeciętnego rzemieślnika z Shonaru. On potrzebuje ich tak samo, jak oni jego jako przywódcy; jeśli padną, on po krótkim czasie również. Jeśli się zbuntują, nie będzie miał kto utrzymywać jego oddziałów. Latem walczyli z nim i przy każdej próbie wykorzystania ich, znów mogą zwrócić się przeciwko niemu.

Elspeth kiwnęła potwierdzająco głową, choć Vallen nie wyglądał na całkowicie przekonanego.

— Ma zbrojne oddziały lojalne tylko wobec siebie — zauważył.

— Ale nie wyżywi ich bez pomocy miejscowych rolników — odparła Elspeth. — Może mieć dość srebra na żołąd, lecz jeśli nie będzie miał na co go wydać, lojalność żołnierzy zacznie maleć. Nie można trzymać armii w oblężeniu, głodzie i z dala od domu, nie tracąc jej poparcia.

Vallen odciął kęs mięsa i podmuchał, by je ostudzić.

— Mogę powiedzieć tyle — odezwał się, kiedy zjadł kawałek. — Dla przywódcy z charyzmą nie jest wcale trudne przywiązać do siebie ludzi tylko pełnymi patosu słowami, a nie uczynkami. O wiele trudniej jest to zrobić z ludźmi znajdującymi się poza zasięgiem wpływu jego osobowości. Tamci mają skłonność do szukania potwierdzenia pogłosek, jakie do nich dotarły, a jeśli nic w nich nie ma, zapominają o nim.

— Ale zaskoczyły cię słowa Hoba — odrzekła Elspeth.

Vallen kiwnął głową.

— Bardzo. I także dlatego, że kilka miesięcy temu ludzie ci wszelkimi sposobami chcieliby pozbyć się tego człowieka. Teraz rozważają możliwość uznania go przywódcą. Czy nie wygląda na to, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy dowiedzieli się czegoś na tyle istotnego i przekonującego, że zmienili poglądy? Mam tylko nadzieję, iż są to prawdziwe wieści, a nie plotki.

Elspeth westchnęła, po czym razem ze wszystkimi zabrała się do jedzenia.

Był to ich pierwszy ciepły posiłek tego dnia, zaś poprzednią kolację przygotowali w pośpiechu w zadymionej kuchni na pół zrujnowanego domu. W miarę jak zmniejszał się nękający ją głód, a żołądek napełniał się, zaczynała zdawać sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczona. Rozejrzała się wokół: oprócz Mrocznego Wiatru nie było nikogo, kto nie opierałby głowy na rękach. Elspeth czuła się tak samo — wyczerpana przez zimno i gotowa pójść spać natychmiast po posiłku. Mroczny Wiatr wydawał się być w swoim żywiole i Elspeth nie zawahałaby się powierzyć mu losów całej wyprawy.

Niektórzy wydawali się gotowi zasnąć nad talerzami.

— To zimno — odezwał się cicho Mroczny Wiatr. — Nie martw się, to normalne. Przebywanie na zimnie od świtu do zmierzchu bez szansy na rozgrzanie się, a potem spanie w zimnych łóżkach i nie ogrzewanych pomieszczeniach. Dziś będzie inaczej — mamy gorący posiłek i ciepłe łóżka, więc jutro wieczorem ludzie nie będą tak wyczerpani. Jeśli przez resztę podróży uda nam się nocować w takich warunkach, nasi ludzie dojdą do siebie w bardzo krótkim czasie.

Znał się na tym, a ona powinna o tym pamiętać. Z drugiej strony może niepotrzebnie winiła się za zapomnienie, gdyż w czasie, kiedy oboje byli zwiadowcami i strażnikami w k'Sheyna, mieszkali w Dolinie. Z patroli wracali do ekele stojącego w ogrodzie, w którym panowała pełnia lata. Przedtem Mroczny Wiatr mieszkał poza Doliną i na pewno zdarzało mu się wracać do zimnego domu, a może nawet nocować na pustkowiu. Nawet jeżeli Elspeth nie przebywała nigdy wcześniej w tak ciężkich warunkach, nie znaczy to, że Mroczny Wiatr tego nie przeżył.

— Chodźmy spać — odezwał się nagle Vallen, po tym jak kolejny raz opadła mu głowa, pomimo usilnych prób odegnania senności. — Oczy same mi się zamykają.

— Posprzątam, jestem w tym dobra — zaferowała się Elspeth i uśmiechnęła na widok zaskoczonego spojrzenia Vallena. Czyżby sądził, że uważała się za zbyt dobrą, aby wykonywać takie zajęcia? Czy zapomniał, iż przynajmniej na kilku postojach razem ze wszystkimi zbierała paszę dla zwierząt w zrujnowanych gospodarstwach, pomagała stawiać prowizoryczne zagrody dla chirra i koni oraz zbierała świeży śnieg, z którego uzyskiwali wodę? — Byłam kiedyś uczniem-heroldem, nie pamiętasz? W swoim czasie wyszorowałam całkiem sporo garnków i myślę, że niczego nie stłukę.

Mroczny Wiatr mrugnął do niej i pozbierał puste miski, noże i łyżki. Czasem oboje zapominali, jak traktowali ich ludzie. Elspeth zauważyła spojrzenie Vallena jakim podążył on za Mrocznym Wiatrem — odbijało się w nim większe zaskoczenie niż wtedy, kiedy zaferowała się pozmywać naczynia.

„Czy według niego Sokoli Bracia myją talerze za pomocą magii? Pewnie tak — a nie przychodzi mu do głowy, że magiczne wyszorowanie garnka wymaga więcej wysiłku niż uczynienie tego rękami”.

Zebrała to, czego nie zdołał wziąć Mroczny Wiatr, i poszli oboje do kuchni.

Kiedyś musiała to być doskonała gospoda, z pompą doprowadzającą wodę do kuchni. Kucharze zostawili na kominie wodę do podgrzania. Zarówno strażnicy sił regularnych jak i najemnicy Kerowyn byli przyuczeni do różnorodnych zadań, jakie mogły ich czekać podczas takich misji, i przy gotowaniu wykazywali się równą fachowością jak przy innych zajęciach. Umycie misek, sztućców i dwóch garnków, w których gotowano posiłek, nie zajęło wiele czasu.

— Wciąż zastanawiam się nad tą podróżą — odezwała się cicho Elspeth.

Mroczny Wiatr kiwnął głową.

— Rozumiem, dlaczego tak się czujesz, ale uważam, że czynimy jedną z wielu rzeczy, które mogą prowadzić we właściwym kierunku — odrzekł, starannie wycierając garnek i odkładając go. Była to odpowiedź typowa dla Tayledrasów.

— Musimy utrzymać kontakt z Tremane'em, tego jestem pewien. Jak to zrobimy — cóż, to jeden ze sposobów. Mogą istnieć inne, ale wybraliśmy ten i chyba był to słuszny wybór.

— Przynajmniej w tym przypadku mamy oczy i uszy w Shonarze — odparła. Uśmiechnął się.

— I języki! Możemy mu również doradzać, jeśli zgodzi się nas wysłuchać.

Garnki, miski i inne kuchenne przybory przywieźli ze sobą, więc teraz Elspeth spakowała je w podróżne torby z zapasami.

— Biorąc pod uwagę to, jak nam się dotąd układało — odrzekła — jest więcej niż prawdopodobne, że zdarzy się coś nieprzewidzianego. A w takim przypadku dla sojuszu będzie lepiej mieć swoich na miejscu wydarzeń, by mogli obserwować i pomóc. . .

Mroczny Wiatr objął ją i skierowali się w stronę drzwi świetlicy.

— Oraz naprawiać, zmieniać, łagodzić i w każdy inny sposób uzdrawiać sytuację. Według Kerowyn Tremane pochodzi z kultury, w której zdrada to codzienność — przypomniał jej. — Jeśli zdarzy się coś nieprzewidzianego, będzie to pierwsze wyjście, jakie przyjdzie mu na myśl.

Potrząsnęła głową i pozwoliła poprowadzić się ku drzwiom. Gdyby nie była zbyt zmęczona, by myśleć, mogłaby z nim na ten temat podyskutować. Jednak teraz. . .

— Wiesz, niemal mi go żal — przyznała niechętnie, kiedy wchodzili po schodach do swojej sypialni. Wysoka ranga dawała pewne przywileje — Elspeth zajęła jedną z komnat z prawdziwym łóżkiem i kominkiem; w lepszych dla gospody czasach był to zapewne jeden z droższych apartamentów. Z przyjemnością pomyślała o położeniu się w łóżku ogrzanym ciepłą cegłą.

„Hm, może nie zasnę od razu. Jest przecież Mroczny Wiatr. . .”

— Naprawdę jest mi go szkoda — powiedział niespodziewanie Mroczny Wiatr. — Chyba wiem, dlaczego młody Karal mu wybaczył. To, że był zmuszony codziennie stykać się ze zdradą, nie czyni z niego zdrajcy. Nie wiemy, jaki jest naprawdę; możemy to jedynie zgadywać z jego uczynków.

Ta przemowa trwała tak długo, iż dotarli na górę, przed drzwi sypialni. Elspeth otworzyła je, wciągnęła Mroczny Wiatr do środka i przerwała jego wywód pocałunkiem.

— Mam dość Tremane'a, starczy mi aż do jutra — powiedziała stanowczo, kiedy odpowiedział tak, jak tego oczekiwała, przyciągając ją do siebie i jednocześnie zamykając drzwi. — Chyba możemy sobie pozwolić na to, by o nim nie myśleć przynajmniej przez pewien czas.

— Przynajmniej — zgodził się i przez długi czas nie mówił nic.

Hob dotrzymał słowa. Od tego dnia zaczęli spotykać mieszkańców Hardornu, którzy oferowali im skromną gościnność, na jaką ten zniszczony kraj mógł sobie pozwolić. Elspeth wciąż zaskakiwała podejrzliwość, z jaką przyjmowano Valdemarczyków. Nie rozumiała dlaczego uparcie upatrują w nich przedniej strażnicy wrogiej armii. Gdyby naprawdę nią byli, nie jechaliby tak otwarcie.

W końcu uznała, że powody takiego zachowania nie mają nic wspólnego z logiką. Ancar zatrął umysły tych ludzi w kwestii postrzegania Valdemaru i część tej trucizny nadal działała. Na początku wojny, kiedy poddani jeszcze nie zdawali sobie sprawy, jaki jest Ancar, zdołał wmówić im, że wojna jest słuszna, że Valdemarczycy odpowiadają za śmierć jego ojca i większości wielkiej rady, a królowa Valdemaru zamierza podbić kraj i uczynić z niego kolejną prowincję. Później oczywiście Ancar udowodnił nawet najbardziej naiwnym, że nie wolno mu ufać, ale mimo to niektóre z jego kłamstw nadal tkwiły w umysłach ludzi. Może nawet już nie pamiętali, iż to Ancar je rozprzestrzenił.

Dla ludzi, którzy zawsze byli pokojowo nastawieni, a teraz cierpieli niedostatek — pod pewnymi względami większy niż za czasów Ancara — oddział Elspeth, najwyraźniej dobrze nakarmiony, dobrze ubrany, uzbrojony i w najlepszej formie, musiał wyglądać niemal jak armia. Ci ludzie nie widzieli jeszcze armii Imperium, słyszeli jedynie pogłoski o jej potędze i niewiarygodnej sprawności. Z dala od pogranicznych konfliktów nie spotkali się z niczym większym od garnizonów Ancara rozlokowanych po wsiach, które zapewniały mu lojalność ludzi i ściągaly podatki. Może nie umieli sobie nawet wyobrazić armii, niezależnie od jej wielkości. I nagle pojawił się oddział na tyle duży, by podbić każde miasto na swej drodze — nie musieli sobie nic wyobrażać, gdyż mieli go przed sobą w rzeczywistości.

Po krótkim spotkaniu, podobnym do tego, jakie odbyli z Hobem, zwykle przychodzili do nich miejscowi. Wtedy już Valdemarczyków traktowano jak podróżnych, nie jak zdobywców. Ludzie przypominali sobie o gościnności i otwierali dla nich gospodę, salę gildii lub świątynię. Oferowali im ciepłe łóżka, ciepłe pokoje i czasami kęs świeżego mięsa. Tej zimy nie było kłopotu ze znalezieniem opału — w każdej wsi ponad połowa budynków stała pusta i niszczała. Ci, którzy prze-

trwali, rozsądnie wprowadzili się do domów w najlepszym stanie i dbali o nie, a resztę wykorzystywali do rozpalenia ognia. Jedzenia im brakowało, lecz resztę zimy mogli spędzić w ciepłe.

I to właśnie, jak sobie zdała sprawę Elspeth — gdyż ona i jej ludzie każdego dnia musieli podróżować w chłodzie, który przyprawiał o ból — ocalało mieszkańców wsi. Dopóki było im ciepło, mogli przeżyć na zmniejszonych racjach żywnościowych. Wiosną będą wychudzeni jak niedźwiedzie budzące się ze snu, ale żywi, a zimno zabija szybciej niż niedostatek żywności.

Jednak im bardziej zbliżali się do Shonaru, tym więcej ludzi wydawało się być pod urokiem Tremane'a, a przynajmniej historii, które o nim słyszeli. Kiedy przerażające, zabójcze śnieżyce wywołane przez fale magicznych zakłóceń zelzały, książę zaczął czynić ostrożne próby pozyskania sobie tych, którzy mieszkali poza sferą jego wpływów. Wysyłał żołnierzy, by odśnieżali drogi i utrzymywali je w porządku; popierał handel, choćby na tak małą skalę, jak to możliwe w pełni zimy. Jeśli wierzyć pogłoskom, wysyłał również wojowników na polowania na potwory.

Podobno każdy mieszkający w odległości trzech dni od Shonaru mógł poprosić o pomoc w zabiciu potwora, pod warunkiem, że znał jego kryjówkę albo terytorium, na jakim się pojawiał. Wielki książę najwidoczniej nie zamierzał narażać swych ludzi na bezcelowe wędrówki w śniegu w daremnym poszukiwaniu potworów, gdyż sami polujący łatwo mogli stać się celem. Wysyłał po dwudziestu ludzi, uzbrojonych po zęby i doświadczonych w walce z magicznie przeobrażonymi istotami, a zadaniem miejscowych było doprowadzenie ich do legowiska zwierzęcia bądź miejsca, gdzie można je było osaczyć. Reszta należała do wojowników; miejscowi mogli decydować, co zrobić z tuszą. Często wydawało się, że można ją zjeść — wtedy prosili uzdrowiciela, który zawsze znajdował się w oddziale, by to sprawdził, on zaś spełniał ich prośbę.

Dodatkowo po zabiciu potwora — lub potworów — oddział zostawał na dłużej, by wytropić resztę stada, co na ogół nie stanowiło dużego problemu. Połowę łupu zabierano do Shonaru, resztę zostawiano mieszkańcom okolicy. Było to zawsze więcej, niż mieli oni przed rozpoczęciem polowania, więc nikt nie protestował, kiedy Tremane zabierał „imperialną część”. Poza tym w czasie polowań uzdrowiciel towarzyszący każdemu oddziałowi zajmował się miejscowymi chorymi i rannymi.

Krótko mówiąc: kiedy oddział imperialny wracał do Shonaru, zostawiał za sobą spory zapas tak potrzebnego mięsa, opatrzonych ludzi, którzy mieli szansę skorzystania z opieki medycznej, jakiej nie znali od czasu wstąpienia Ancara na tron, i nieco bezpieczniejszą ziemię, choć nie tak spokojną i sielską jak kilka pokoleń wcześniej. Jeśli potwory pojawiały się ponownie, miejscowi znów prosili o pomoc i wszystko się powtarzało.

Tremane nie wysyłał żołnierzy przeciwko wilkom, niedźwiedziom i bandy-

tom; stwierdził, że miejscowi powinni sami bronić się przed zwierzętami, a bandytów nie odróżnia od „patriotów”. Nie było to zbyt wygodne dla nękanych grabieżami Hardorneńczyków, ale może dawało im to powód, by odnaleźć swych dawnych pobratymców i przypomnieć o prawie, tak długo nieobecnym w Hardornie.

Wieści, które do nich docierały robiły duże wrażenie — tym większe, że pokrywały się w dużej mierze. Mimo wszystko Elspeth czekała, by dowiedzieć się, co mówią ludzie mieszkający najbliżej Shonaru. W końcu, kiedy znaleźli się trzy dni drogi od sfery wpływów Tremane’a, przekonali się sami, iż pogłoski o „filantropii” księcia są prawdziwe.

Nieoczekiwanie z drogi odśnieżonej tylko na tyle, by przejechał nią pojedynczy wóz, wjechali na całkowicie oczyszczony trakt z widocznym brukiem, najwyraźniej utrzymywany w takim stanie. Widzieli trofea — głowy i inne części ciała potworów zabitych przez ludzi księcia. Słyszeli również od ludzi nakarmionych i wyleczonych przez imperialnego uzdrowiciela, jakim sprawiedliwym i dobrym jest przywódca.

Nikt jeszcze nie wypowiadał głośno słowa „król”, lecz Elspeth czuła, że pojawiało się ono w myślach miejscowych. Jak to się stało, że w najcięższych czasach, jakie kraj kiedykolwiek przeżył, jeden człowiek wprowadzał powoli prawo i porządek? Nie narzucał nic siłą, nie była to tyrania — widzieli ją pod rządami Ancara i umieli rozpoznać. To było prawo i porządek, z którym ludzie mogli spokojnie żyć.

Elspeth nie mogła nie porównać ich losu z sytuacją ich rodaków mieszkających dalej od Shonaru. Niechętnie musiała przyznać, że na ich miejscu miałyby takie same poglądy. Co więcej, odkryła, że zgadza się z większością decyzji i poczynań księcia. Kilka z nich wynikało z praw i zwyczajów Imperium i ona by tak nie zrobiła, ale reszta... widać było za nimi rękę i myśl człowieka, który dba o dobro poddanych i umie najlepiej wykorzystać ograniczone zasoby, jakimi dysponuje.

Dzień przed spotkaniem z księciem, w czasie kolacji, do Elspeth i Mrocznego Wiatru zbliżyła się grupa poważnych Hardorneńczyków. Tym razem karczma miała gospodarza, ale od dawna nie było w niej gości. Gospodarz zaproponował Elspeth i Mrocznemu Wiatrowi posiłek w osobnej salce, bez towarzystwa eskorty — była to propozycja zbyt nęcąca, by z niej zrezygnować.

Zostali usadowieni w małej jadalni, a ich oddział w większej sali obok. Elspeth nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo brakowało jej możliwości rozmowy w cztery oczy, bez przejmowania się podsłuchującymi. Aby omówić interesujące ją sprawy na osobności, często musiała czekać, aż znajdą się w swojej sypialni — o ile nie dzielili jej z całym oddziałem, co zdarzało się często.

Siedzieli nad ostatnim kubkiem, starając się przedłużyć czas spędzony tylko we dwoje, kiedy przerwał im gospodarz.

— Pani, panie, rada miejska chciałaby z wami porozmawiać — powiedział nieśmiało, wsuwając głowę przez drzwi. — Tutaj, na osobności. Czy mogą?

Elspeth westchnęła. Nie mogli, ale nie było sensu tego mówić.

— Jeśli muszą... — odparła, pozwalając, by w jej głosie zabrzmiało nieco rozdrażnienia.

Gospodarz zniknął; delegacja musiała czekać tuż za drzwiami, gdyż weszła natychmiast.

— Nie zajmujemy wam wiele czasu — przemówił najlepiej ubrany mężczyzna, mogący poszczycić się aksamitem i futrem z czasów świetności. — Mamy tylko prośbę, byście przekazali coś od nas księciu.

— Nie skargę! — wtrącił drugi, nieco mniej elegancki. — Nie, nie skargę! Coś, co może chciałby usłyszeć...

— Krążyły pogłoski — przerwał pierwszy, spoglądając na drugiego. — Słyszeliśmy je. Byłem kiedyś mistrzem gildii tkaczy i kupców wełny całej okolicy...

„Co wyjaśnia jego strój” — pomyślała Elspeth.

— A... Keplan był mistrzem gildii skór i futer. Tak więc, jak mówię, słyszeliśmy pogłoski, ludzie sami z nimi do nas przyszli. Księżę Tremane jest dla nas dobry; niektórzy chcą uczynić z niego naszego przywódcę — mistrz gildii rozłożył szeroko ręce — a nawet mówią o koronie.

Przerwał mu kolega.

— Rozesłaliśmy wieści, a mamy sposoby na przesyłanie ich dalej i szybciej, niż przypuszczacie, poszukując kogoś z krwi królewskiej. Nie ma nikogo; nikt z dynastii nie przeżył.

— Nie powiem, żeby mnie to dziwiło — odrzekła sucho Elspeth. — Ancar nie tolerował konkurentów. Nie pozwalał, by drobiazg w rodzaju płci lub wieku przeszkodził mu w usunięciu możliwego rywala do tronu.

Mistrz gildii wełny zakaszłał.

— Właśnie. I biada temu, kto stał mu na drodze — spojrzał na Elspeth, jakby próbując usprawiedliwić się za to, że nie usiłował temu przeszkodzić. Wyniosła z tego, iż nadarzyła mu się do tego okazja, ale nawet nie próbował.

„A kim ja jestem, by sądzić? Nie było mnie tutaj, nie wiem, co się działo. Jeśli stchórzył, ukarało go własne sumienie”.

— Jak mówiliście, nie został nikt ze starej dynastii — podpowiedziała. — Zatem?

— Zatem — cóż — zgodziliśmy się zaproponować księciu Tremane koronę. Pod pewnymi warunkami — wstrzymał oddech i czekał na jej reakcję.

— Ciekawa propozycja — odezwał się spokojnie Mroczny Wiatr. — Zapewne warunki będą niezwykle, skoro o nich wspominacie.

Mistrz przeniósł wzrok z Elspeth na Mroczny Wiatr.

— Możliwe — odpowiedział. — To... to coś, czego nasi poprzedni królowie nie robili od wielu pokoleń. To...

— Musiałby się związać z ziemią — wtrącił gwałtownie kupiec futer. — Mam kapłana starych wierzeń, który zna ceremonię i może ją poprowadzić. Musiałby się związać z ziemią, z Hardornem, tak, by to, co ją zrani, dotknęło i jego!

Mistrz gildii wełny spojrział zaskoczony na kolegę, lecz Elspeth tylko wzruszyła ramionami.

— To rozsądne zabezpieczenie — powiedziała. — Jeśli tylko nadarzy się okazja, przedstawimy waszą propozycję wielkiemu księciu. Jednakże nie możemy niczego obiecać, z pewnością zaś nie możemy obiecać, iż księżę na to przystanie.

— Ależ to wszystko, o co nam chodzi, pani! — powiedział kupiec wełny, dając znak swojej grupie i wycofując się pośpiesznie z jadalni. — To wszystko! Dziękujemy!

Cały czas mówiąc, kierował swych ludzi przed sobą ku drzwiom, a z ostatnim słowem zamknął je za sobą.

Mroczny Wiatr zerknął na Elspeth; ta skrzywiła się.

— Cóż — odezwała się w ciężkiej ciszy. — Było to z pewnością ciekawe.

— Zostaje tylko jedno pytanie — odparł z ponurym uśmiechem. — Jak przedstawić tę propozycję Tremane'owi?

— Chyba powinniśmy poczekać, aż dotrzemy do Shonaru i przekonamy się co do planów Imperium na podstawie postępowania wielkiego księcia — odparła. — Dowiemy się wtedy, czy jest sens składać propozycję.

* * *

Mimo przenikającego przez płaszcz zimna, Elspeth wyprostowała się w siodle i wyteżyła wzrok, aż oczy zaszyły jej łzami od blasku śniegu.

— Nie mogę uwierzyć, że wybudowali to w ciągu jednego sezonu — wymruczała.

I bez magii — przypomniała jej Gwena, przesuając się lekko, by nie zmarznąć. — *Oczywiście mieli silną motywację — możliwość ataku ze strony oddziałów hardorneńskich i pewność odwiedzin potworów — jak je nazwał ten miły młody człowiek?*

— Straszydła — odparła Elspeth mechanicznie, wpatrując się w dwupiętrowy, ceglany mur — nie drewnianą palisadę, lecz mur z prawdziwych cegieł. Otaczał on nie tylko cały Shonar, ale i o wiele większy garnizon, obóz oddziałów Imperium oraz kawałek łąki, służący kiedyś jako wspólne pastwisko. Ogromne zadanie? Z pewnością.

Kiedy dodało się do tego równie wielkie zadanie postawienia przed pierwszymi śniegami baraków dla wojowników, można było podziwiać ogrom wykonanej

pracy. Jak udało mu się to wszystko wybudować? Gdzie znalazł robotników?

— Jesteśmy bardzo dumni z naszej pracy, siara — powiedział eskortujący ich „miły młody człowiek” w mundurze sił Imperium, który spotkał się z nimi pół dnia drogi od miasta. „Siara” było najwidoczniej zwrotem grzecznościowym używanym wśród imperialnych wobec osób nieznanego rangi niezależnie od ich płci. Zapewne odpowiadało tytułowi „panie”, którego najemnicy używali, zwracając się do swych oficerów — zarówno kobiet, jak i mężczyzn, co Elspeth w pełni akceptowała.

— Wszyscy, co do jednego, pracowaliśmy przy murze i barakach — ciągnął młodzieniec o policzkach zaróżowionych od mrozu. — Niektórzy z nas pomagali przy żniwach, a wtedy wymienialiśmy się z miejscowymi. Niezależnie od tego, ilu ludzi wymagało zastąpienie jednego z nas, tak właśnie wymieniał nas książę Tremane, dlatego budowa muru i baraków trwała nieprzerwanie.

Rozsądne. Zauważyłaś? Wymieniał pracę za pracę, zamiast zmuszać do niej miejscowych — Gwena podniosła głowę, czyniąc obserwacje na własną rękę. — *Jasne, nie byłoby mądre zatrudniać przymusowo ludzi do budowy muru, który ma chronić przede wszystkim ciebie, ale przecież w przeszłości władcy czynili równie głupie rzeczy.*

Elspeth kiwnęła głową; nie zamierzała zaskakiwać biedaka, odpowiadając komuś, kogo nie mógł usłyszeć. Imperialni byli już wystarczająco zakłopotani tym, że należała na specjalne traktowanie Gweny i Brythy — choć przecież zgodzili się na to na długo przedtem, zanim jakikolwiek Valdemarczyk postawił stopę na drodze do Shonaru.

Mroczny Wiatr chrząknął cicho.

— Mur rzeczywiście robi wrażenie, ale nasi towarzysze są zapewne równie zmarznięci jak ja, a od stania tutaj nie zrobi się nam cieplej.

Młody wojownik natychmiast wrócił do rzeczywistości i wymamrotał przeprosiny.

— Oczywiście, siara, proszę o wybaczenie! Już ruszamy!

Niegrabnie pogonił piętami swego wierzchowca i pojechał w kierunku bramy. Najwyraźniej, przynajmniej według Elspeth, nie przywykł do jazdy konnej, a jego wierzchowiec — o muskularnych nogach, pękatej głowie i kudłatej sierści — nie był koniem kawaleryjskim. Zapewne należał do rolnika, który o tej porze go nie potrzebował. Żołnierz chyba się cieszył, że nie musiał jechać zbyt daleko na spotkanie gości; trzymał wodze tak, jakby się bał, iż stary, spokojny wałach nagle zerwie się do szaleńczego galopu. Koń nie miał takich zamiarów; wystarczyło mu to, że wraca do miasta, cieplej stajni i dobrego pożywienia. Elspeth za nic nie zraniłaby uczuć biednego młodzieńca, śmiejąc się z niego, ale cieszyła się z zasłaniającego jej usta szalika.

Stojące na murze strażnice patrzyły na nich z zainteresowaniem, ale bez niepokoju. Kiedy zauważyli dyheli Mrocznego Wiatru, nastąpiło pewne poruszenie, ale

tego można się było spodziewać.

Elsbeth nie zauważyła niczego, co wzbudziłoby w niej podejrzenia. Gdyby nie mundury, ci ludzie mogliby należeć do jakiegokolwiek armii sojuszu, obserwującej wjazd posłów innego sojuszniczego kraju. Nie czuli wrogości ani nie mieli poczucia zamykającej się pułapki. Nie zaczepiani przez strażę przejechali przez bramę i w ślad za przewodnikiem wjechali na główną ulicę miasta. Po tylu tygodniach słuchania jedynie skrzypienia śniegu pod kopytami wierzchowców dziwnie było słyszeć znów specyficzny dźwięk kopyt Gwenty na kocich łbach wewnątrz murów; towarzyszył mu szybszy stukot rozdwójonych kopyt Brythy. Mieszkańcy miasta, najwidoczniej uprzedzeni o ich przyjeździe, zebrali się po obu stronach ulicy, witając, pozdrawiając ich i wpatrując się w Mroczny Wiatr. Elspeth przypomniał się ich poprzedni wjazd do Hardornu w przebraniu wędrownych komediantów. Wtedy nie wyróżniali się aż tak bardzo w swych fantazyjnych, jaskrawych kostiumach; zapewne widzowie uważali dyheli za konia lub kuca zamaskowanego iluzją. Teraz Mroczny Wiatr skupiał na sobie całą uwagę otoczenia i musiała przyznać, iż nie robiło to na nim zbyt wielkiego wrażenia.

Minęli kilka dość dużych zajazdów i innych budynków, które mogłyby posłużyć im za kwatery, po czym dojechali do przeciwległego krańca miasta. Kierowali się nie ku barakom, lecz ku kamiennej, przynajmniej czteropiętrowej budowli z wieżami wyrastającymi na wysokość sześciu pięter. Najwyraźniej Tremane zamierzał umieścić ich we własnej kwaterze. Elspeth zastanawiała się, ilu urzędników, oficerów i innych podwładnych musiał książe przenieść do innych pomieszczeń, by wygospodarować dla nich miejsce. Nie zamierzała rozstawać się z eskortą; zresztą Tremane nie był chyba na tyle głupi czy naiwny, by tego oczekiwać — oznaczało to jednak znalezienie komnat dla dość sporej liczby ludzi.

— Poprzedni właściciel miał w zamku małą stajnię — odezwał się wojownik, kiedy dotarli do drugiego muru otaczającego twierdzę. — Znajduje się obok kuchni i ma wyjście na dziedziniec. Koniuszy księcia trzyma tam najcenniejsze żrebne klacze. Są tam cztery wolne boksy i jest na tyle ciepło, by w razie potrzeby mogli spać ludzie. Czy to wystarczy dla waszych... wierzchowców? — Spojrzał z powątpiewaniem na Gwene i Brythę, jakby wciąż nie wiedział, o co tyle zamieszania.

Elsbeth ucieszyła się, iż dla nie-ludzi znaleziono nie tylko przyzwoite pomieszczenia, ale że znajdowały się one w pobliżu ich własnych kwater.

— Doskonale — odparła. Tym razem ona się zawahała. — Zanim pójdziemy do naszych komnat, a nawet przed spotkaniem z wielkim księciem, musimy się nimi zająć. Mam nadzieję, że to zrozumie.

Wojownik kiwnął głową; najwyraźniej według niego książe nie rozumiał takiego postępowania, ale był gotów pogodzić się z osobliwymi zwyczajami Valdemarczyków.

Gwena zachichotała w umyśle Elspeth.

Nie przejmuj się tym, kochana. Jediną osobą, którą musimy przekonać o mojej inteligencji, jest Tremane, a to nie zajmie dużo czasu. Możemy zresztą poczekać do jutra, dziś i tak czeka go wiele wrażeń. Szczerze mówiąc, bardziej interesuje mnie ciepła breja z owsa i odpoczynek w ciepłej stajni niż spotkanie z księciem.

Ostatnio z Gwena naprawdę łatwiej się żyło. „A może to ja w końcu dorosłam?” — pomyślała wesoło Elspeth, pozwalając sobie na moment odprężenia. Gdyby coś im zagrażało, Gwena zapewne by to wyczuła.

Zarówno mury zamkowe, jak i sam zamek zbudowano z ciemnoszarego kamienia, który wprawiałby w przygnębienie, gdyby był o ton ciemniejszy. Na murach również czuwały strażnicy, jednak i one nie okazały zaniepokojenia. Widać było, że są to doświadczeni wojownicy, jednak, jak z ich zachowania wywnioskowała Elspeth, nie czuli żadnego szczególnego zagrożenia.

Wjechali bramą z żelazną kratą, ale zamiast wynurzyć się na dziedzińcu, znaleźli się w ciemnym korytarzu pod murami zamku. Ciemności tylko częściowo rozjaśniały pochodnie. Uwadze Elspeth i jej towarzyszy nie umknęły otwory w sklepieniu. Gdyby zamknąć bramy na obu końcach, nie dałoby się uciec przed lejącym się z otworów wrzącym olejem czy innymi niemiłymi niespodziankami. Na szczęście zamek zbudowano na długo przed nadejściem Tremane’a, inaczej Elspeth zaczęłaby się o wiele bardziej denerwować.

Księżę zapewne mógłby skorzystać z tych urządzeń, ale nie on je tu umieścił. Były one dziełem podstępного umysłu wywodzącego się z Hardornu.

„Może jakiś przodek Ancara...”

Na dziedzińcu orszak rozdzielił się. Część ludzi Vallena zabrała bagaże i poszła do przydzielonych dla poselstwa kwater, podczas gdy pozostali, z Mrocznym Wiatrem i Elspeth, zajęli się wierzchowcami. Elspeth drażniła zbyt widoczna obecność straży, ale zdawała sobie sprawę z tej konieczności. Dopóki nie przekonają się, jak wygląda sytuacja, lepiej zachować przesadną ostrożność, by uświadomić gospodarzom, jak ważnymi osobistościami są Elspeth i Mroczny Wiatr.

Irytacja Elspeth szybko przeszła, gdyż Vallen i jego ludzie pomogli im, i wkrótce wierzchowce ulokowano wygodnie w stajniach ku zadowoleniu wszystkich. Jeden z wojowników Imperium, który został z nimi, poprowadził ich do kwater; Elspeth z Mrocznym Wiatrem poszła za nim poprzez brukowany dziedzińiec do jednego z wielu wejść; eskorta szła za nimi.

— Przygotowaliśmy dla was tę wieżę — powiedział nieśmiało przewodnik w boleśnie poprawnym, pełnym wysiłku hardorneńskim, prowadząc ich w kierunku schodów. — Księżę Tremane ma nadzieję, że będzie wam wygodnie.

— Na pewno — odparła Elspeth, wchodząc na piętro mieszkalne. Połowa oddziału, która weszła wcześniej, już się rozgościła. Znaleźli się w dość dużej komnacie z łózkami i skrzyniami, nie różniącej się wiele od koszar valdemarskich. Drugie piętro wyglądało identycznie, ale nie było zamieszkane.

Wchodzili dalej po schodach pnących się wokół zewnętrznych murów.

— Pani, panie, to wasza kwatera — powiedział przewodnik, kiedy dotarli na trzecie piętro.

Stali w antykamerze, która służyła jako przedsionek, poczekalnia, ale i miejsce spotkań — znajdowały się w niej stół i krzesła, biurka i trzy wygodne siedziska przy kominku.

— Na czwartym piętrze są wasze sypialnie i gabinet, a na piątym magazyn — powiedział przewodnik. — Ja jestem jednym z adiutantów księcia i pozostaję do waszej dyspozycji.

Kiedy Elspeth i Mroczny Wiatr rozglądali się po swej kwaterze, adiutant z całą powagą wyjaśnił im, że nie mieli zamiaru wykorzystywać ostatniego piętra na nic innego prócz magazynu, gdyż nie ma tam kominka, za to z wszystkich stron wieją wiatry. Elspeth zgodziła się z nim po tym, jak wsunęła głowę do pomieszczenia i zobaczyła na kamieniach cienką warstwę szronu.

Tremane dał im dość dużo czasu na rozlokowanie się i przebranie w bardziej reprezentacyjne stroje. Elspeth bardzo brakowało wygod, jakimi dysponował pałac w Przystani; gorąca kąpiel oznaczała tutaj grzanie wody w czajnikach na palenisku i wlewanie jej do balii wniesionej przez służbę do komnaty. Reszta urządzeń była równie prymitywna; Elspeth zmarszczyła nos na widok nocnika. Jednak alternatywa mogła być jeszcze gorsza. . . nie po raz pierwszy ona i Mroczny Wiatr musieli pogodzić się z tym, co zastali.

W końcu, kiedy przygotowali się na spotkanie, Tremane przysłał kolejnego adiutanta z zaproszeniem na kolację.

„Okazja do nawiązania kontaktu równie dobra jak każda inna”.

Mroczny Wiatr kiwnął lekko głową; Elspeth w imieniu ich obojga przyjęła zaproszenie i poszli za młodym mężczyzną schodami w dół, do głównego gmachu. Przez pewien czas szli ciemnym i chłodnym korytarzem, oświetlanym jedynie przez latarnie pozawieszane na ścianach. W końcu doszli do kolejnych schodów; za przewodnikiem weszli do czegoś, co najwyraźniej było kolejną wieżą. Jeżeli kwatera Tremane’a znajdowała się tutaj, a rozplanowanie wnętrza było podobne, okna ich sypialni wychodziły zapewne na jego komnaty.

Ciekawe spostrzeżenie; księżę najwyraźniej okazywał im pewne zaufanie. Jeżeli można spojrzeć w okno, można również strzelić. . .

Kiedy adiutant wprowadził ich do komnaty podobnej do ich własnej, odkryli, iż spotkanie miało mieć charakter raczej nieformalny. Stół zastawiono na trzy osoby, a przy kredensie pełnym zakrytych półmisków stał jeden służący. Tremane już na nich czekał. Elspeth przyjrzała mu się uważnie, on również ich obserwował.

Nie domyśliłaby się w nim błyskotliwego dowódcy, za jakiego uchodził. Nie wyglądał na zawodowego wojownika — ale połowa najlepszych ludzi Kerowyn również nie wyglądała na wojowników. Jego szarobrązowe włosy zaczynały siwieć i rzednąć. Na inteligentnej twarzy zostały swe ślady przeżycia i wiek.

Tremane był pełen przeciwieństw. Miał szersze i mocniejsze ramiona niż

większość urzędników, ale prawą dłoń poplamioną atramentem. Nosił miecz jak ktoś, dla kogo jest to naturalna część stroju, lecz w kącikach oczu miał zmarszczki jak ludzie, którzy mrużą oczy, czytając długo w źle oświetlonych pomieszczeniach. Z jednej strony — uczony. Z drugiej — wojownik.

Wstał na chwilę, jakby zaskoczyli go, przybywając wcześniej niż oczekiwał, i wyciągnął rękę. Elspeth nie potrafiła odczytać wyrazu jego twarzy; była nieprzenikniona, ale nie tajemnicza. Twarz hazardzisty, może twarz człowieka nie chcącego się przedwcześnie zdradzić.

Jednak to, co ukrywała twarz, zdradzały inne części ciała. Jego strój stanowił odmianę munduru Imperium, jednak bez żadnych emblematów kojarzonych zwykle z wysoką rangą. Miał jedynie naszywkę z koroną książęcą i drugą — może z własnym herbem. Elspeth nie dostrzegła nigdzie herbu Imperium, naszywka z piórem skrzyżowanym z mieczem wyglądała, jakby naszyto ją w miejsce innej, większej.

„Właściwie nikt nie miał na sobie herbu Imperium”. To bardziej niż cokolwiek innego przekonało ją, iż książę naprawdę przestał być poddanym cesarstwa. Wojownicy przywiązywali dużą wagę do tego, pod jakim herbem walczą; jeśli porzucili symbole Imperium, nie byli również wobec niego lojalni.

Jednak brak ozdób... ludzie wojny uznawali pompę i ozdoby za coś oczywistego. O czym świadczył ten brak ozdób? Że książę był skromny? Czy też chciał za takiego uchodzić?

Tremane wyciągnął do niej rękę i Elspeth chwyciła ją, oddając uścisk z równą siłą. Nie była to z jego strony próba; jednak był to mocny uścisk — podobnie jak jej.

— Miło mi cię wreszcie poznać, wasza książęca mość — zaczął. Potrząsnęła głową; zamilkł w pół słowa, przekrzywiając głowę w nawykowym geście zaciekawienia.

— Nie „wasza książęca mość” — poprawiła. — Jakiś czas temu zrezygnowałam z tytułu na rzecz innych obowiązków. Wystarczy „pani”, choć nadal posiadam ziemię i tytuły równe twoim, wielki książę. Nikt w Valdemarze nie uważa mnie za kandydatkę do tronu.

„Nie można pozwolić mu myśleć, że go zlekceważono, przysyłając kogoś o niższej randze”.

— Mój partner i mąż, Mroczny Wiatr k’Shenya, jest adeptem. Jego naród nie posiada tytułów określających pozycje rodu — ciągnęła — lecz uznaliśmy jego status jako maga za odpowiadający tytułom szlacheckim.

Tremane kiwnął głową, puścił jej dłoń i uściśnął rękę Mrocznego Wiatru. Obaj mężczyźni spojrzeli sobie badawczo w oczy, zanim rozluźnili uścisk.

— Bardzo się cieszę, mogąc was wreszcie poznać; byłbym zaszczycony, gdybyście zrezygnowali z tytułów i mówili do mnie po prostu Tremane, jak to czynili moi rodacy — odrzekł wielki książę, łagodząc swoją formalność lekkim uśmie-

chem. — Usiądźcie proszę. Obawiam się, iż nasze potrawy wydadzą wam się proste, ale w naszym położeniu nie możemy sobie zbyt dogadzać.

Tym razem odpowiedział Mroczny Wiatr, posuwając krzesło Elspeth.

— Całkowicie się z tobą zgadzam, Tremane — powiedział.

— Ale wydaje mi się, iż ludziom pod twoją władzą żyje się lepiej niż większości mieszkańców Hardornu.

Tremane czekał, aż oboje zajmą miejsca, potem sam usiadł.

— To zarówno kwestia szczęścia, jak i innych okoliczności — odparł. — Mieliśmy szczęście, gdyż posiadaliśmy to, czego w Hardornie brakuje najbardziej — ludzi. Jeśli ma się odpowiednio dużo sprawnych ludzi, jest tu dość rzeczy, które można zebrać.

Adiutant podał Elspeth proste danie z jarzyn gotowanych z serem; podziękowała, skinąwszy głową. Kiedy skończył nakładać jej porcję i zwrócił się do Mrocznego Wiatru, podjęła rozmowę.

— Mimo wszystko wywarłeś korzystne wrażenie na tych, którzy żyją w strefie twoich wpływów.

Tremane upił łyk wina.

— Jedną z zalet Imperium są dobrze wyszkoleni przywódcy — powiedział po chwili. — Ma ono wiele wad, ale jest dobrze rządzone. W najlepszych czasach jego poddani nie mieli wielu powodów do narzekania.

— A w najgorszych? — zapytał Mroczny Wiatr prosto z mostu.

Książę pochylił głowę.

— Przy tak wielkiej władzy łatwo o nadużycia — odrzekł w końcu i zajął się jedzeniem, kończąc na razie rozmowę.

Kiedy podjęli ją na nowo, poruszali tylko neutralne tematy. Tremane był dobrym, choć niekoniecznie błyskotliwym rozmówcą. Nie poświęcał temu zajęciu większości swego czasu. Jednak był również zbyt ostrożny, by pozwolić sobie na bezpośredniość, zbyt doświadczony, by powiedzieć coś, co mogłoby zaszkodzić jemu lub jego ludziom. Żył na bardzo niebezpiecznym dworze; przeżył i dobrze nauczył się lekcji.

Kiedy się pożegnali — serdecznie, choć z rezerwą — Elspeth wiedziała jedno. Wielki książę Tremane był człowiekiem kierującym się własnym rozsądkiem; trudno będzie przejść przez ściany, które wokół siebie zbudował. W razie niebezpieczeństwa starał się ochronić swój honor, milcząc i stosując uniki, jeśli to było możliwe. Ktokolwiek usiłowałby zgłębić motywy działania tego skomplikowanego człowieka, stawał przed bardzo trudnym zadaniem. A tego właśnie mieli dokonać Elspeth i Mroczny Wiatr.

ROZDZIAŁ TRZECI

Cesarz Charliss siedział w swych ciężkich ceremonialnych aksamitach pośród ponurego splendoru kartuszy otaczających Żelazny Tron. Znosił ciężar Wilczej Korony ugniatającej mu czoło, ignorował szum ludzkich rozmów i obserwował swych dworzan na próżno usiłujących ukryć zdenerwowanie.

Z pozoru dwór wyglądał jak każdy inny — z wyjątkiem atmosfery. Plotki, flirty, negocjacje, mianowania, zdrady, zwierzenia — wysoko urodzeni i postawieni bogacze wykonywali swe tańce podobnie jak przez całe lata ich ojcowie i dziadkowie. Przez lata formy prezentacji i zachowania przeszły ze zwyczajów w maniery, a z manier w manieryzm, zmieniany pod wpływem mody i strachu. Dziś każdy jak zwykle miał na sobie zbyt bogate ubranie i ozdoby, jednak prawdziwy stan ducha dworzan ujawniał się w sztywnych gestach, ukradkowych spojrzaniach rzucanych na niszę z tronem cesarza i lekko histerycznym tonie cichych rozmów. Dwór zawsze słynął z bogatych kostiumów, lecz coraz mniej dworzan poświęcało czas i wysiłek na wyszukiwanie coraz to nowych strojów — to bardziej niż co innego dowodziło, iż większość swej energii ludzie kierowali w inną stronę. Bali się, a ci, którzy się boją, nie zajmują się kreowaniem nowej mody i okazywaniem wrogom swego bogactwa.

Pod podwyższeniem, na którym stał tron, obecni tłoczyli się według pozycji i zwyczajów, jednak cesarz zdawał sobie sprawę, iż w tym układzie kryją się luki. Sam dwór liczył teraz mniej niż połowę zwykłej liczby ludzi. Jak mogłoby być inaczej? Ci, którzy zdołali wyjechać do swoich posiadłości, już to zrobili, mimo że sezon dopiero się zaczynał.

Było to niezgodne z obyczajem: nikt, kto aspirował do władzy, nie opuszczał zimą dworu. Arystokracja Imperium wyjeżdżała do swych rezydencji latem, nie zimą. Zimą, kiedy śnieg i lód broniły dostępu do daleko położonych zamków, należało przebywać na dworze i uczestniczyć w nie kończących się zabawach i intrygach, podczas gdy na podwładnych spadało nużące zadanie zarządzania majątkiem. Właściciele rzucali się w wir tak zwanego sezonu. Rodzice przywozili dzieci na wydaniu, by pokazać je innym rodzicom lub podstarzałym kandydatom. Ci, którzy pragnęli władzy, starali się o stanowisko; ci, którzy już je mieli, walczyli o jego utrzymanie. Zwolennicy rozrywek przybywali tu w poszukiwaniu

zabawy. Jedynie głupcy, osoby zbyt zajęte albo samotnicy pozostawali podczas sezonu w domu.

Ale nie tej zimy.

Kiedy znikąd pojawiły się magiczne burze i zaczęły niszczyć wszelką magię, oprócz tej najsilniej chronionej, cesarz był zły, ale nie poważnie zaniepokojony. Stworzenie tak wielkiej mocy nie było łatwe, więc Charliss nie spodziewał się, by jej twórca zdołał szybko wysłać kolejną falę burz. Owszem, burze zniszczyły wszelkie portale stanowiące podstawowy środek transportu na większe odległości, ale w krótkim czasie można je było odtworzyć. Spowodowały też pewne niedogodności, nic więcej. Cesarz nie wątpił, iż jego magowie przywrócą normalny stan rzeczy, a wtedy nadejdzie czas, by ukarać głupców odpowiedzialnych za całe zamieszanie. Kara ta wzbudzi przykładowy strach nie tylko wśród magów, ale i wśród wszystkich choćby pośrednio związanych z tą sprawą.

Jednak bez żadnego ostrzeżenia przez kraj przewaliła się druga burza. Według wszelkich reguł znanej mu magii było to niemożliwe. Potem nadeszła trzecia. Po niej kolejne, w coraz krótszych odstępach czasu, powodując coraz większe szkody.

Dworzanie mogli nie zdawać sobie sprawy ze spustoszeń, jakich burze dokonały w całym państwie, ale z pewnością uświadamiali sobie ich wpływ na własne życie. Magiczne ognie ogrzewające ich komnaty i łaźnie znikły. Zgasły magiczne światła; trzeba je było zastąpić świecami i latarniami, używanymi dotąd jedynie przez najuboższych do oświetlania ich nędznych lepianek. Posiłki się opóźniały — nawet w Skalnym Zamku — i często były zimne. Nikt już nie mógł postawić portalu, by sprowadzić coś z domu. Duża liczba służby pozwoliła nieco zmniejszyć niewygody, lecz nie do końca. Ci, którzy pozostali na dworze, nie mieli ważnych ku temu powodów — ci zaś, którym starczyło inteligencji, by przewidzieć, co się może dzieć dalej, znaleźli wymówki i sposoby powrotu do domu.

W tej chwili utrzymanie czegokolwiek opartego na magii stało się niemal niemożliwe bez wyczerpującego utrzymywania szczelnych osłon; po każdej kolejnej burzy osłony wymagały gruntownej naprawy. Transport w kraju stanął, komunikacja ograniczała się do niezbędnego minimum. Fizyczne konstrukcje oparte na magii, jak budynki i mosty, popękały lub zawaliły się. Każda taka katastrofa powodowała panikę i kolejne szkody, a czasami pociągała za sobą liczne ofiary. Nie był to jedyny widoczny efekt burz; wielkie połącze łądu zmieniły się nie do poznania, znikąd, jak wyczarowane, pojawiły się potwory. Ptaki zmieniły trasy przelotów i często gubiły się. Z ziemi i kamieni w niewytłumaczalny sposób wyrastały olbrzymie rośliny o szerokich, parzących liściach, a w stolicy i wokół niej winorośle dusiły w nocy konie. Na dowód, że burze z każdym dniem odmieniają świat w coraz bardziej nieprzewidywalny i straszny sposób, przynoszono zwłoki niepodobnych do niczego żyjących istot.

Do tego czasu wszyscy, którzy mieli choćby najmniejszą możliwość dotarcia

do domu, opuścili dwór. W swych zamkach dworzanie dysponowali przynajmniej zapasami jedzenia, a wiele posiadłości miało jeszcze stare, nie magiczne sposoby ogrzewania, oświetlenia i kanalizacji. Jak na ironię, ci mniej modni i biedniejsi, których nie stać było na wydawanie pieniędzy na magiczne udogodnienia, teraz cierpieli najmniejsze niewygodny. Życie w zamkach stało się niebezpieczne, gdyż zewsząd mogły pojawić się i zaatakować potwory, ale bardziej przewidujący i rozsądniejsi wiedzieli, że w stolicy grozi im jeszcze większe niebezpieczeństwo. Po jakim czasie brak jedzenia popchnie biedaków do buntu przeciw bogatym?

Charliss wpatrywał się zmrużonymi oczami w swych dworzan. Na jego zwykle nieprzenikliwej twarzy odbijała się lekka irytacja. Zastanawiał się, czy ci, którzy pozostali, zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Została tu duża liczba głupców.

— Przyjechałam tutaj, by zapomnieć o świecie poza murami — dostyszał uwagę jednej z kobiet. — Nie chcę słyszeć o niczym, póki trwa sezon. Mam ważniejsze sprawy na głowie: bale i pięć córek na wydaniu, których muszę się pozbyć!

Jednak świat na zewnątrz Skalnego Zamku ginął, kiedy kobieta tańczyła i chwaliła się córkami — zapominanie o tym nic nie mogło zmienić. Prowincje położone najdalej od stolicy i najpóźniej przyłączone już się zbuntowały i odzyskiwały niepodległość. Charliss nie wiedział, co się stało z większością tamtejszych garnizonów Imperium. Nieliczne oddziały wróciły w okolice nadal pozostające we władzy Imperium, a po innych ślad zaginął. Może zbuntowały się i połączyły z tymi, którymi miały rządzić, może — co bardziej prawdopodobne — zostały wybite lub otoczone, zmuszone do kapitulacji i uwięzione. Cesarz nie wiedział — i nie wiedział nikt inny. Charliss musiał ostatecznie niechętnie przyznać, iż Imperium, tak ogromne i potężne, miało jedną niebezpieczną słabość. Zabezpieczono je przed wszelkimi możliwymi zagrożeniami z wewnątrz — od buntów i intryg politycznych po wojnę domową — jednak pozostawiono je żałośnie bezsilnym wobec niebezpieczeństw zewnętrznych w rodzaju choćby magicznych burz.

W samym Imperium, gdzie transport opierał się teraz na prymitywnych wozach konnych, sytuacja pogarszała się szybciej, niż mógł przeciwdziałać. Najważniejszą sprawą była żywność; zwykle przez całą zimę przywożono ją do stolicy z produkujących je posiadłości, jednak zapasy kurczyły się w miarę opróżniania imperialnych magazynów. Jedzenie przywozili gospodarze i wozacy pojedynczymi saniami, ale przy jego dowozie trzeba było brać pod uwagę nie tylko odległość, lecz również straszliwe burze śnieżne. Ceny żywności nietrwalej co tydzień rosły trzykrotnie, podobnie działo się z mąką i innymi półproduktami, choć proces ten cesarz zdołał nieco zwolnić, rozkazując rzucić na rynek zapasy ze swych magazynów, by ustabilizować ceny. W niektórych miastach już wybuchły bunty i cesarz, w celu ich stłumienia, przesunął tam oddziały armii.

Przynajmniej w wiejskich posiadłościach, na ogół samowystarczalnych pod

względem pożywienia, pozostały duże zapasy, a ich właściciele dysponowali własnymi oddziałami straży dla utrzymania porządku. Jeśli pan lub pani zamku okażą się mądrymi zarządcami, ich podwładni i poddani będą musieli bardziej ze sobą współpracować niż rywalizować. Jeśli nie — cóż, będą musieli stawić czoło temu, co ich czeka.

W miastach, w których znajdowały się akwedukty podtrzymywane przez magię, wskutek zniszczenia wodociągów i pozbawienia mieszkańców wody pitnej już wybuchły duże zamieszki. Cesarz zdołał stłumić wieści o tych buntach, lecz nie wiedział, czy podobnie uda mu się to samo z nowinami o buntach spowodowanych brakiem żywności, jeśli się rozszerzą. Niezależnie od trudności komunikacyjnych, złe wieści zawsze szybko się rozchodziły. To nie ciężar Wilczej Korony przyprawiał go o ból głowy, ale ciężar nieszczęść.

„Dlaczego zdarzyło się to za mojego panowania? Dlaczego nie mogło poczekać na mojego następcę?”

Kolejną dziwną konsekwencją katastrof, jakie spadły na mieszkańców kraju — jakby brakło dziwnych wydarzeń — było rozprzestrzenianie się po rozpadającym się Imperium najróżniejszych kultów. Wydawało się, że każde miasto ma własnego proroka, z których większość przepowiadała koniec świata — przynajmniej tego, który był znany mieszkańcom Imperium. Każdy kult miał własne obrzędy i proponował najróżniejsze metody zbawienia. Jedne zalecały całkowitą ascezę, drugie — absolutne jej przeciwieństwo. Niektóre głosiły kult jednego bóstwa, inne przypisywały duszę wszelkim istotom, przedmiotom i zjawiskom.

Niektórzy wysyłali najbardziej żarliwych wyznawców na ofiarę potworom w nadziei przebłagania tego, kto je wysłał — ale oczywiście nie przebłagali nikogo, jedynie na krótki czas zaspokoili ich apetyt. Nie trzeba dodawać, iż takie kultury nie przetrwały długo, gdyż ich wyznawcy wkrótce pozbywali się złudzeń i odchodzili od swych przywódców albo wpadali w gniew i składali ich w ofierze tym samym potworom.

Kultury nie martwiły cesarza, wręcz go nie obchodziły, mimo że ich wyznawcami stawali się źle wyszkoleni albo w ogóle nie przeszkoleni magowie, a część z nich osiągała krótkotrwałą, ale efektowną moc. Zadanie jej zneutralizowania pozostawił swym magom. Codziennymi kłopotami obciążał podwładnych, w większości wojowników. Pochłaniały go inne troski: większość uwagi poświęcał własnemu zdrowiu, a nawet życiu, gdyż jedno i drugie znalazło się w wielkim niebezpieczeństwie. Uzależnił się od magii — silnych i godnych zaufania zaklęć, trzymających go od dwóch stuleci w dobrej formie. Magia zaś nie była już ani silna, ani godna zaufania. Mógłby umrzeć przedwcześnie — już kilka razy znalazł się na skraju zagłady. Chciał to ukryć za wszelką cenę przed całym światem.

Wielu dworzan było magami i cesarz zastanawiał się, jak wielką mieli pokusę wykorzystania ciężkiej sytuacji, w jakiej się znalazł. Nie łudził się co do ich lojalności; sam był kiedyś dworzaniec, i podobnie jak oni, był lojalny tylko wobec

siebie samego. W wielkiej sali znajdowali się teraz ludzie dwojakiego rodzaju: ci, którzy pozostali z głupoty i ci, którzy dostrzegli możliwość wyciągnięcia korzyści dla siebie. Ci ostatni stwarzali o wiele większe zagrożenie niż pierwsi — cesarz pamiętał o tym nieustannie.

Dotąd udało mu się uchronić przed skutkami burz przez utrzymywanie najsilniejszych osłon, jakie zdołał wznieść wokół siebie, lecz potrzebował do tego coraz większej liczby pomniejszych magów, a z każdą burzą coraz bardziej tracił grunt pod nogami. Nawet grupa jego własnych magów nie uświadamiała sobie, w jak krytycznej znalazł się sytuacji.

Na razie udało mu się utrzymać w tajemnicy najmniejsze nawet trudności. Dworzanie chyba nie zauważyli różnicy w jego wyglądzie; jednak było tylko kwestią czasu, by ktoś o przenikliwym wzroku — lub dobrej sieci szpiegów — dowiedział się o ciężkim położeniu cesarza i złożył w całość wszelkie drobne wskazówki, jakie zdołał zebrać. W takiej chwili panika w mieście znalazłaby swe odbicie — na mniejszą skalę — w podobnej panice na dworze, o ile Charlissowi nie udałoby się szybko przejąć kontroli nad wszystkimi dworzanami. Jak miałby to zrobić, skoro każdą wolną chwilę i resztki mocy poświęcał na podtrzymywanie swych nikanących rezerw energii? Czuł, że wydarzenia wymykają mu się z rąk, bezsilność doprowadzała go do szału — równie potężnego, jak bezużytecznego.

„Imperium rozpada się pode mną. Wkrótce mogę je stracić; może będę uważał się za szczęściarza, jeżeli zostanie mi królestwo — albo miasto — albo życie”.

Jednak nie rozpaczał. Rozpacz to uczucie dla słabych i nieudaczników, w sercu tego, kto nosi Wilczą Koronę, nie ma dla niej miejsca. Gniew — zimny ogień w żołądku — wzrastał się coraz bardziej, aż Charliss poczuł, że musi znaleźć dla niego ujście albo spłonąć. Nagle zrozumiał, w którą stronę skierować gniew. Wiedział dokładnie, na kogo złożyć winę za to, co się działo; złość jak zatruta strzała wskazywała na zachód, na ojczyznę wroga — Valdemar.

Mogła istnieć tylko jedna przyczyna kłopotów, magicznych burz i wszystkiego, co ze sobą niosły. Nigdy dotąd nie zdarzyło się nic takiego — do czasu, kiedy wysłał Tremane'a, by zakończył podbój Hardornu, i rozważył zajęcie graniczącego z nim Valdemaru. Valdemar nie dysponował taką magią, jaką znano w Imperium, a jednak udało mu się obronić przed magicznymi atakami Ancara. Władcy Valdemaru od dziesięcioleci z powodzeniem strzegli swych granic przed szpiegami cesarza; jedynie garstce agentów udało się zdobyć mało ważne informacje, a tylko trzem — dostać na sam dwór. Dwóch z nich nie było magami, co poważnie zmniejszało ich skuteczność. Trzecia agentka musiała zaprzestać posługiwania się magią, gdy przekroczyła granice Valdemaru. Kraina ta sprzymierzyła się z obcymi, dziwolągami, którzy swoim wyglądem nie odbiegali wiele od pojawiających się wszędzie potworów — z ponurymi Shin'a'in, całkowicie nieznanymi Sokolimi Braćmi i monoteistycznymi fanatykami z Karsu. Jedynie Valdemar mógł się zdobyć na użycie tak nieprzewidzianej broni. Fakt, że zarówno Valdemar, jak i je-

go sojusznicy nie ucierpieli od magicznych burz, jedynie potwierdzał te domysły. Na pewno ci, którzy wysłali tak groźną broń, umieli się przed nią obronić.

Poza tym Valdemarczycy zamordowali jego posłów i agentów. Miał pewność, gdyż wypadli oni z portalu przebici sztyletami z królewskim herbem. Doradcy cesarza nie zgadzali się ze sobą, czy była to prowokacja, wypowiedzenie wojny, czy po prostu wyzwanie, ale osoba sprawcy nie pozostawiała wątpliwości. Musiał to być ktoś z najbliższego otoczenia władcy, następca tronu lub osobisty agent, a nie byle prowokator czy herold.

Tremane, stacjonujący niemal na granicy Valdemaru, zgodził się z tą opinią, lecz jego wysiłki zmierzające do rozbitcia sojuszu nie przyniosły efektów.

Czy na pewno?

Może w ogóle nie podjął takiej próby, może tylko wymyślił sobie agenta na dworze. Może, odkąd zdał sobie sprawę, iż nie zdoła zwyciężyć hardorneńskich rebeliantów, przez cały czas planował przejście na stronę sojuszu w nadziei, że dostanie królestwo. To miałyby sens, zważywszy, że cesarz obiecał mianować go swym następcą dopiero wtedy, kiedy podbije Hardorn — cały Hardorn — dla Imperium. Tremane miał wybór: powrót w niełasce do domu — utrzymanie ledwie własnego księstwa — lub zdobycie dla siebie królestwa. Nie byłoby mu trudno podjąć decyzję.

Oczywiście były to tylko domysły, ale cesarz Charliss miał podstawy, by tak sądzić. Tremane bez wątpienia zbuntował się, ograbił magazyn Imperium, wyjaśniając swym ludziom, iż cesarz zostawił ich na łasce losu i porozumiał się z Hardorneńczykami, których miał podbić. Może to Valdemar go przekonał, a nawet podsunął pomysł buntu.

Tremane był najlepszym kandydatem spośród tych, którym Charliss zaproponował możliwość ubiegania się o koronę. Nic w jego zachowaniu nie dało cesarzowi powodu, by posądzać go o buntownicze skłonności. Był inteligentny, lecz brakowało mu wyobraźni. A jednak agent, który z niewyobrażalnym trudem dotarł do stolicy, bardzo dokładnie opisał zdradzieckie słowa i uczynki księcia.

Ta zdrada była jednym z bardziej gorzkich doświadczeń w życiu cesarza i nie zamierzał puścić jej płazem. Szkoda, iż Tremane nie zostawił na dworze nikogo, kto mógłby stać się zakładnikiem — żony lub dziecka. Jego posiadłość leżała tak daleko od stolicy, że próba jej zniszczenia miała tyle sensu, co ściganie samego księcia. W najlepszym wypadku można było tam dotrzeć późną wiosną, a jeśli Imperium nadal będzie się rozpadać, nie miało to sensu. A jednak musiał coś zrobić. Musiał pokazać swym poddanym, choćby i głupcom, że jest cesarzem i nie wolno go lekceważyć.

Dał znak marszałkowi, który trzy razy uderzył laską w posadzkę, by zwrócić uwagę dworzan. Lodowatego spokoju marszałka nic nie było w stanie zakłócić, nie mącili go nawet ludzie zabijani przez straż u jego stóp. Stał ubrany w fioletowe aksamity ze złotymi ozdobami, z imperialną laską w dłoni, wyższą od niego —

jakby był magicznie stworzonym homunkulusem albo maszyną. Urząd przysłał go tak bardzo, że cesarz nie znał nawet jego imienia.

Już po pierwszym uderzeniu zapadła cisza — dwa następne odbiły się echem poprzez salę, jakby to sama śmierć puknęła do jej drzwi. Wszystkie oczy zwróciły się na Żelazny Tron; Charliss wstał, by się z nimi zmierzyć, czując na ramionach ciężar szat ceremonialnych. Oparł się dyskretnie o tron, ciesząc się z tej podpory.

Mógłby rozkazać marszałkowi, by wygłosił tę przemowę, ale to zmniejszyłoby wrażenie, jakie chciał wywołać — i wzbudziłoby podejrzenia, że nie jest już w tak dobrej formie. Na to nie mógł sobie pozwolić, zwłaszcza teraz. Musiał wydawać się tak potężny, jak w dniu, w którym objął Żelazny Tron.

Jego głos zabrzmiał majestatycznie nad tłumem dworzan, nabierając mocy i powagi dzięki konstrukcji ścian otaczających niszę tronową.

— Z najpewniejszego źródła otrzymaliśmy wieść, iż Tremane, wielki książę Lynnai, zdradził Imperium oraz złamał swe przysięgi wobec niego i wobec nas.

Ciche okrzyki zaskoczenia, jakie rozległy się wśród tłumu, nie były udawane i potwierdziły jedynie opinię Charlissa, iż ci, którzy pozostali, nie zaliczali się do najbardziej bystrych. Poszukał wzrokiem twarzy mężczyzn i kilku kobiet należących do jego doradców — nie malowało się na nich ani zdziwienie, ani wstrząs.

„Dobrze. Miło wiedzieć, że nie wybrałem samych skończonych głupców”.

— Nie ma wątpliwości co do jego intencji — ciągnął Charliss, kiedy szmery i westchnienia ucichły. — Dla własnej korzyści obrabował magazyn Imperium, kradnąc także zawartość kasy, pieniądze przeznaczone na zasłużony żołd dla wiernych wojowników Imperium.

Spojrzał na sztywne postacie stojące pod ścianami sali. „O, moja własna straż ma ponure miny. Świetnie. Wieść rozejdzie się po całej armii i niech stu małych bogów ma go w opiece, jeśli pokaże się gdziekolwiek, gdzie zdoła go dopaść choćby jeden wojownik Imperium”. Z wszelkich zasad Imperium dotyczących zachowania życia, zdrowia i powodzenia ta była najważniejsza: „płać armii, płac jej dobrze i na czas”.

Charliss pozwolił na to, by w jego głosie i na twarzy odbił się ślad przepełniającego go gniewu.

— Głosił wierność Imperium do samego końca, a okazało się, że powierzone mu oddziały również skłonił do złamania przysięgi. Zakończył wojnę z hardorzeńskimi rebeliantami, wchodząc z nimi w zdradziecki sojusz, a teraz postępuje tak, jakby zamierzał ogłosić się królem tego barbarzyńskiego kraju.

Potrząsanie głowami i pełne chciwości spojrzenia świadczyły, że każdy ze zgromadzonych miał nadzieję skorzystać z upadku Tremane’a. Cóż, kiedy pada wielkie drzewo, o jego miejsce i dostęp do słońca rywalizują mniejsze. Nawet w tym dziwnym czasie mogło się tak dziać.

Teraz jednak należało uświadomić głupcom niebezpieczeństwo.

— Co najgorsze, sprzymierzył się z dwulicowym i przewrotnym monarchą

Valdemaru, który ostatnio zaatakował magicznie, bez ostrzeżenia i bez powodu, nasze pokojowe Imperium — przerwał, by zaczerpnąć powietrza i oprzeć się pewnie o tron pod osłoną ciężkich szat. Ostatnie stwierdzenie było tylko przypuszczeniem, ale nawet ci, którzy posiadali sieć szpiegów niemal równą cesarskiej, nie mogli tego wiedzieć, zresztą, nie zależało mu na tym. Tremane nie miał tu przyjaciół; jego zwolennicy szybko znajdą sobie kogoś, kto pomoże im w dalszej karierze. A wskazanie źródła ostatnich nieszczęść mogło zjednoczyć część z tych idiotów. Jeśli chce się zmusić rozproszonych, skłóconych ludzi do wspólnego działania, najlepiej znaleźć im wspólnego wroga.

Teraz stary lew musi pokazać zęby. Charliss przyoblekł najgroźniejszy wyraz twarzy, który nawet najbardziej zahartowanych strażników przyprawiał o drżenie kolan i dłoni, po czym wygłosił kolejne zdania głosem grzmiącym jak głos barbarzyńskiego bóstwa.

— Dlatego ogłaszamy Tremane’a z Lynnai zdrajcą, pozbawiamy go tytułów i ziem, a jego imię skazujemy na zapomnienie! Wydajemy na niego wyrok śmierci, a może go wykonać każdy, kto znajdzie sposobność i środki! Niech żaden lojalny obywatel nie waży się udzielić mu pomocy pod groźbą takiej samej kary! Jego imię zostanie wykreślone z kronik rodziny, a ród Lynnai ma umrzeć razem z nim! Jego imię ma zostać wymazane z pomników bitew i kronik Imperium, jakby nigdy nie istniało!

Był to najcięższy wyrok w Imperium; wiele twarzy pobladło. Dla większości z tych ludzi wykreślenie z kronik i rejestrów było gorsze od śmierci, gdyż karało Tremane’a na wieczność. Kiedy umrze, nie czeka go nieśmiertelność, gdyż bez żadnego zapisu mówiącego o tym, kim był, jego dusza zginie w chwili śmierci lub będzie się błąkać po pustych połaciach przedświatła bez pamięci o tym, do kogo należała.

Tak przynajmniej wierzą. Jeśli obywatel Imperium w cokolwiek wierzył — wierzył w nieśmiertelność rejestrów; jeśli cokolwiek wielbił, zawsze włączał w to swych przodków. Usunięcie kogoś z należnego mu miejsca pomiędzy przodkami oznaczało usunięcie fragmentu wszechświata.

Charliss uśmiechnął się ponuro. „Teraz wiedzą, że nie zrobiłem się mniej surowy tylko dlatego, że szykowałem się do wyboru następcy”.

Złagodził nieco wyraz twarzy.

— Wiemy, że jest to wielkim wstrząsem dla naszych wiernych poddanych, zwłaszcza iż Bezimienny został zaproponowany na następcę tronu. Ta zdrada szkodzi zarówno wam, jak i nam, gdyż naraża na niebezpieczeństwo Imperium. Nie chcemy widzieć naszych dzieci zasmuconych zdradą i niepewnością co do ich losu. Dlatego teraz zamierzamy wyznaczyć naszego następcę i przekazać mu wszelkie tytuły, ziemie i dobra należące poprzednio do Bezimiennego.

Znów pojawiły się drapieżne, chciwe spojrzenia, szybko maskowane. Nikt nie wiedział, kogo wyznaczy Charliss, najmniej domyślał się sam przyszły kandydat.

Po wyborze Tremane'a cesarz starał się nie okazywać szczególnej sympatii nikomu innemu; chciał stworzyć mu w miarę uczciwe pole działania na tak przepełnionym intrygami dworze. Poza tym, nie okazując nikomu łaski, otworzył kolejne możliwości, gdyby Tremane nie podbił Hardornu — możliwości dla wszystkich. Wysiłki dworzan bawiły go nadzwyczajnie, jeśli tylko miał czas się im przyjrzeć. Kolejnym kandydatem mógł zostać każdy z cesarskich doradców lub kilku magów. Ci, którzy uważali, że mają szansę, przesuwali się w kierunku tronu, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, starając się stanąć jak najbliżej, by cesarz ich zauważył.

Ale należało zebrać myśli; napięcie mogło doprowadzić kogoś do apopleksji. Musiał ogłosić decyzję, choć zapewne niektórzy będą wstrząśnięci i obrażeni jego wyborem. Melles był jednak drugim kandydatem jeszcze przed wysłaniem Tremane'a do Hardornu — i pozostał nim.

— Zatem ogłaszamy, że kandydatem i naszym następcą zostanie najlepszy doradca oraz najbardziej lojalny sługa Imperium, baron dworski Melles.

Wyzaczył najbardziej zawziętego i nieprzejednanego wroga Tremane'a. Jeśli ktokolwiek zdobędzie się na próbę wykonania wyroku śmierci na księciu, będzie to na pewno Melles. Pałali do siebie tak silną nienawiścią, jakiej Charliss nie widział od długiego czasu. Na dworze Imperium na ogół nie było na nią miejsca, gdyż dzisiejszy wróg mógł jutro stać się sprzymierzeńcem.

Melles stał tuż obok ściany niszy tronowej, widoczny, lecz nie narzucający się, jak to miał w zwyczaju. Pod pewnymi względami był bardziej reprezentacyjną wersją Tremane'a — szczuplejszy, nie tak umięśniony i nie wyglądający na wojownika. Miał ciemniejsze, gęstsze włosy i był dwa lub trzy lata młodszy od księcia. Z drugiej jednak strony byli niemal jednakowi. Obaj pielęgnowali sztukę pozostawania na uboczu, choć według cesarza powody ich postępowania różniły się diametralnie. Charliss znał motywy Mellese, jednak, jak teraz stwierdził, nie znał zamysłów Tremane'a.

W przeciwieństwie do Tremane'a Melles nie odziedziczył szlachectwa, lecz, podobnie jak ojciec, był baronem dworskim — z tytułem, ale bez ziemi. Jego bogactwo pochodziło z handlu, jak i bogactwa większości dworskich baronów, lecz nie był to żywy inwentarz, który kupował i sprzedawał jego ojciec. Powszechnie wiadano, że ambitny handlarz z odpowiednią ilością gotówki może sam sobie kupić dworski tytuł, a za pomocą większej ilości owej gotówki zapewnić dziedzictwo tytułu swemu synowi. Nie było w tym nic wstydliwego, chociaż większość notabli była przewrażliwiona na punkcie tytułów, a wielu ziemian dawało jasno do zrozumienia, iż uważają dworskich baronów za zwykłych dorobkiewiczów. Pomiędzy obiema frakcjami dochodziło do starć, choć owe animozje znikwały zadziwiająco szybko, gdy rodzinie z tytułem, ale bez majątku zaproponowano jako kandydata do małżeństwa dziedzica lub dziedziczkę z pieniędzmi, lecz bez tytułu.

Czy tak zaczęła się wrogość pomiędzy Tremane'em a Mellesem? Czy Tre-

mane lub jego ojciec uraził Mellesa lub jego ojca? Wydawało się niemożliwe, by tak wielka nienawiść miała tak prozaiczną przyczynę. Zastanawiające, że Charliss nie potrafił wyobrazić sobie Tremane'a zachowującego się obraźliwie wobec kogokolwiek, nawet jeśli nim pogardzał. Książę był zbyt sprytny, by robić sobie wrogów.

Cóż, teraz to się nie liczyło. Niezależnie od przyczyny, okoliczności służyły interesom cesarza.

Baron — teraz wielki książę — Melles przesunął się przez tłum dworzan do przodu, ku stopniom wiodącym do tronu. Przez chwilę stał samotnie, po czym z wystudiowaną powagą wszedł po trzech stopniach, na co pozwalał mu teraz protokół, a na czwartym stopniu przykłęknął i schylił głowę. Charliss skinął na strażnika stojącego po prawej stronie, aby przyniósł mu diadem następcy tronu spoczywający w niszy ściany od czasu, gdy sam Charliss zdjął go z głowy, by założyć Wilczą Koronę.

Choć ceremonia wydawała się spontaniczna, absolutnie taka nie była. Był to kolejny taniec o krokach dyktowanych przez zwyczaj sprzed wieków, ruchach opracowanych setki lat wcześniej. Zmieniali się jedynie jego uczestnicy, nigdy same kroki.

Nawet strażnik, który przyniósł diadem następcy tronu, powtarzał tę czynność tysiące razy, choć nie wiadomo było, któremu ze strażników przypadnie zadanie przyniesienia korony ani komu ją przyniosą. Stanowiło to po prostu kolejny obowiązek straży cesarskiej, ćwiczony tak jak wszystkie inne.

Strażnik wywiązał się z zadania nienagannie, podając diadem Mellesowi, który zgodnie z tradycją nałożył go sobie na głowę, tak jak nałoży Wilczą Koronę po śmierci Charlissa. Moc i autorytet w Imperium pochodziły z wnętrza człowieka, nie zapewniały ich ręce kapłanów — i na znak tego każdy cesarz i następcą sam przyjmował na siebie moc razem z jej wszystkimi pułapkami.

Po koronacji — choć korona nie wyglądała imponująco: żelazna obręcz w kształcie miecza z topazem podobnym do kamienia w Wilczej Koronie na przedzie — Melles wstał i pokłonił się cesarzowi. Charliss spojrział na niego z zadowoleniem; powinien był od razu go wybrać. W przeciwieństwie do Tremane'a Melles był potężnym adeptem, który po kilku dekadach praktyki miał szansę dorównać Charlissowi. Biorąc to pod uwagę, wydawało się niemal niemożliwe, by Melles usiłował odnaleźć i zabić Tremane'a.

Charliss postanowił abdykować natychmiast, jeśli mimo to Mellesowi się uda. Nie wierzył w to, ale taki wyczyn zasługiwałby na nagrodę, a nic innego nie mógłby mu ofiarować.

„Jeśli tego dokona, dowiedzie, że ma wystarczającą potęgę, by przejąć ode mnie koronę. Lepiej wycofać się z honorem i skupić na tym, by podtrzymać życie”.

Niezależnie od tego, z jaką radością wrogowie Mellesa przebiliby go w tej

chwili nożem, nie zdradzili się ze swymi uczuciami.

— Przyjmij zasłużone gratulacje od dworu — powiedział Charliss z chłodną aprobatą. — Później omówimy twoje nowe obowiązki i przywileje.

Melles skłonił się i tyłem zszedł ze schodów. Dla następcy nie przeznaczono osobnego tronu ani miejsca podczas uroczystości. W przeszłości cesarze nie uznawali za słuszne i potrzebne przekazywania następcom zbyt dużej władzy lub jej pozorów, gdyż mogliby się do nich przyzwyczaić i zapragnąć jeszcze więcej. Kiedy Melles u stóp schodów odwrócił się, by przyjąć gratulacje, Charliss zdecydował, iż poprzedni cesarze wykazali wielką mądrość. Melles z pewnością należał do tych, którzy przyzwyczailiby się do potęgi i chcieliby więcej, niż powinni otrzymać.

Obserwując rozpoczynający się taniec wokół nowej osoby, postanowił krótko trzymać swego następcę.

W końcu jeden Tremane w zupełności wystarczy.

Ostatnio Melles często myślał, że po tylu, wydawałoby się, niemożliwych wydarzeniach już nic nie zdoła go zaskoczyć. I choć jego siatka szpiegów należała do najlepszych — to jego agent przyniósł do Skalnego Zamku wiadomość o zdradzie Tremane'a — nie oczekiwał mianowania na następcę tronu.

Według własnej oceny nie nadawał się na kandydata. Od początku magicznych burz i związanych z nimi katastrof niszczących cały kraj wydawało mu się, że nowy następcą powinien być osoba, która praktycznie nie ma na dworze wrogów. Następcą Charlissa będzie musiał poradzić sobie z rozpadającym się krajem, na terenie którego wybuchną bunty i zapewne ze źle nastawioną armią; będzie musiał przekonać najbardziej zawziętych wrogów, by działali razem i stworzyli sojusze, póki kraj nie wróci do normalności. Melles miał zbyt wielu wrogów; Tremane nie był jedynym, nie był nawet najbardziej zawziętym. Melles należał do tych, którzy o wiele łatwiej zdobywają wrogów niż przyjaciół. Ogólnie rzecz biorąc, wolał nieprzyjaciół, gdyż łatwiej mógł nimi manipulować niż sprzymierzeńcami, poza tym w razie odkrycia manipulacji nie pozbywali się złudzeń.

Przyjaciele nie wchodzili w rachubę; stanowili słaby punkt w pancerzu i Melles nie pozwolił sobie na taką słabość, odkąd osiągnął wiek męski. Poza tym pozostawała kwestia jego obowiązków wobec Charlissa, które również nie przysparzały mu sympatii innych. Nie przychodziła mu na myśl ani jedna osoba na całym dworze, która by go lubiła. Wielu się go bało, wielu go podziwiało i zazdrościło mu, inni tolerowali go jako zło konieczne, ale nikt go nie lubił.

A jednak wszyscy tłoczyli się teraz wokół niego, jak gdyby starali się o jego przyjaźń. Może rzeczywiście niektórzy mieli takie intencje, choć świadczyło to o czystej głupocie. Cóż, otaczali go głupcy — innych już tu nie było.

Uśmiechnął się i zaczął przyjmować gratulacje z wyrazem twarzy świadczą-

cym o tym, iż marzy o zaprzyjaźnieniu się z nimi. Dlaczego nie? Nawet głupcy mogą przynieść korzyści, a podobnie jak cesarz, który przyznał mu właśnie tytuł, Melles nigdy nie odrzucał narzędzia, mogącego przydać się w przyszłości.

Początkowo tłoczyli się wokół niego mężczyźni, prześcigając się w próbach powiedzenia czegoś oryginalnego, przypominając mu przysługi, jakie mu wyświadczyli i obiecując pomoc na przyszłość. Zaskakujące, jak wiele rzeczy uznawali za przysługę: nie zdawał sobie dotąd sprawy, że zaproszenie na nieopisanie nudny obiad czy absolutnie nieciekawe rozrywki można uznać za przysługę.

A kobiety! Zachowywały się gorzej od mężczyzn! Niezameżne spojrzeniami i przybieranymi pozami niemal jednoznacznie dawały mu do zrozumienia, iż może z nimi zrobić, co zechce. Jeśli nie były szczęśliwymi żonami (a takich zostało na dworze naprawdę niewiele, zwłaszcza teraz), zachowywały się tak samo. Te, których córki były w wieku choćby zbliżonym do nadającego się do zamążpójścia — a pojęcie o wieku odpowiednim do zamążpójścia miały naprawdę liberalne — wygłaszały aluzje co do podziwu, jakim darzyły go ich córki i wysuwały w ich imieniu zawołowane zaproszenia.

„Jakby miały jakiegokolwiek pojęcie o tym, kim jestem albo jak wyglądam. . .”

Nie, to niesprawiedliwe. Nie wszyscy obecni znaleźli się tutaj tylko dlatego, że byli głupcami i nie chcieli psuć sobie sezonu drobiazgami w rodzaju katastrof nawiedzających Imperium. Część z nich musiała zostać na dworze, gdyż nie mogli dotrzeć do domów, cesarscy doradcy z powodu stanowiska, a inni — ponieważ nie posiadali majątków, do których mogliby pojechać. Znajdowały się tu młode i trochę starsze dziewczęta dobrze wiedzące, kim jest i jak wygląda; znały przecież tytuł, posiadłości i nazwiska wszystkich nieżonatych mężczyzn spodziewanych na dworze w tym sezonie. Należało to do ich obowiązków, jeśli tylko one i ich rodzice zabierali się do poważnego zadania — polowania na męża. Może do tej pory Melles nie zajmował wysokiej pozycji na liście kandydatów, ale z pewnością go znały.

A jeśli pokazałby się teraz na jakimkolwiek nieoficjalnym przyjęciu, wieczorku muzycznym czy innym spotkaniu, każda z nich z ponurą determinacją usiłowałaby go przekonać, iż marzy jedynie o tym, aby wybrał ją na legalnie poślubioną przyszłą cesarzową.

Godzinę temu większość z nich — o ile nie wszystkie — bez oporów przyznałaby, że myśl o poślubieniu Mellea przyprawia je o mdłości, ale to nie miało teraz żadnego znaczenia.

„Wystarczy spojrzeć, jak te same kobiety płaszczą się przed tą starą mumią, Charlissem! To nie jego przystojne oblicze każe im zachowywać się równie bezwstydnie, jak samice w czasie rui. . .” Co więcej, Melles doskonale zdawał sobie sprawę, że nawet gdyby wyraził jakiegokolwiek zainteresowanie mężczyznami, nie uchroniłoby go to przed zbytnim zainteresowaniem panien i ich rodziców. W końcu, jak oczekiwano, będzie się starał o dziedzica z własnej krwi. Fakt, że jedynie

połowa cesarzy pochodziła z rodów panujących, nic nie znaczył. I tak będą tego oczekiwać.

„A jeśli chociaż część z tego, co przeczytałem w prywatnych kronikach, jest prawdą, niektórzy w swych usiłowaniach posuwali się do fascynujących skrajności...”

Cóż, to również się nie liczyło. Nie gustował w mężczyznach ani chłopcach, ani w małych dziewczynkach. Jednak z wyborem żony poczeka do momentu włożenia Wilczej Korony — a wtedy, choćby z czystej przekory, rozejrzy się od razu za sierotą bez żyjącej rodziny!

— Tak, oczywiście — wymamrotał do jednej z kobiet, gdy upewnił się, iż nie zgadza się z niczym ważnym. Znalezienie sobie żony pomiędzy zwykłymi poddanymi będzie świetnym dowcipem. Na pewno uda mu się znaleźć atrakcyjną sierotę!

Wyszeptał kilka słów do jednego z doradców — niegdyś sojusznika, który stracił dla niego zainteresowanie. „Uderza mi to do głowy. Później będzie czas pomyśleć o kobietach, teraz muszę skupić się na tym, jak skonsolidować moc i znaleźć sposób na przeprowadzenie Imperium przez czas kryzysu”.

Wszelkiego rodzaju przyjemności będą musiały poczekać aż sytuacja w kraju się ustabilizuje. Może w przyszłości znajdzie nawet okazję do wykonania wyroku na Tremanie. Jednak ten czas jeszcze nie nadszedł, będzie więc musiał poczekać. Nienawiść zawsze dostarczała mu wiele energii i przyjemności; lubił ją.

Nie bez powodu wrogowie często porównywali go do pająka siedzącego pośrodku sieci. Jeśli posiadał jakieś zalety, należała do nich cierpliwość, gdyż jako jedyna przynosiła korzyści.

Kiedy dworzanie zakończyli taniec, a sprawy cesarstwa zostały omówione na zebraniu Rady, Melles uzyskał prywatne posłuchanie u Charlissa. Prywatne? Cóż, niezupełnie; cesarz nigdy nie był sam. Jednak nikt, kto rościł pretensje do władzy i bogactwa, nie zwracał uwagi na strażę i służbę... Chyba że był to Melles albo ktoś jemu podobny. Cesarz zapewne w ogóle ich nie zauważał. Dla barona mogli być szpiegami.

Tematem rozmowy, jak przystało pozycji i obowiązkom nowego następcy, był stan państwa. Melles bez zbytniego zaskoczenia odkrył, iż Charliss wiedział o nim mniej od niego. Cesarz od dziesięcioleci nie uczestniczył w codziennych zajęciach swego Imperium; stać go było na pozostawienie tych obowiązków swoim podwładnym. Zdaniem Mellese w obecnej sytuacji nie mógł już sobie pozwolić na taki luksus.

— Mój panie — mówił cierpliwie baron. — Wydaje mi się, iż nie do końca zaznajomiono cię z potrzebami i pragnieniami zwykłego poddanego.

„Porównują mnie do pająka w sieci” — pomyślał obojętnie, spoglądając na

starego człowieka patrzącego na niego przez polerowany blat marmurowego stołu. „Powinni zobaczyć go, kiedy przestaje grać swą rolę. Wygląda jak bardzo stary żółw zastanawiający się nad tym, czy wysunąć nos ze skorupy o włos dalej, czy jednak nie”.

Pod osłoną wysokich oparców swego podobnego do tronu krzesła Charliss dokładnie tak wyglądał. Według podejrzeń Mellesa, podobnie jak żółw, cesarz wolałby schować się w swej skorupie.

Nie przypominał władcy chcącego dbać o podstawowe potrzeby Imperium; to zgadzało się z planami Mellesa. „Zatem muszę jedynie przekonać go, że powinien złożyć władzę w moje ręce”. Melles już przedtem dysponował dużymi uprawnieniami; od lat zajmował się wymierzaniem kar ustanowionych przez cesarza. Nie był ich wykonawcą, a jego status na pewno przewyższał pozycję zwykłego prawnika. Jeśli komukolwiek z dworu przytrafiło się nieszczęście, którym zainteresował się cesarz, wszyscy wiedzieli, kto stoi za pozornymi wypadkami i zbiegami okoliczności. Melles był dla cesarza wartościowy pod tym względem, że po takich wypadkach nie można było nikomu nic udowodnić.

„Wypadki” nie zawsze bywały śmiertelne. Czasami cesarz wolał widzieć czyjś upadek niż śmierć — czy byłaby to utrata majątku, czy dobrego imienia. Melles najbardziej lubił snuć intrygi miłosne, które prowadziły do katastrofy; zadziwiające, co gotowi byli uczynić ludzie, by ukryć swe szaleństwa przed innymi, szczególnie kiedy dotyczyły one zaślepienia lub związków seksualnych — lub połączenia jednego i drugiego.

— Co przez to rozumiesz? — zapytał cesarz z niechęcią.

Melles szeroko rozłożył ręce.

— Panie, poddany to bardzo prosta istota. Ty myślisz o nim w kategoriach tłumy, czyli stworzenia o wielu nogach i rękach, lecz bez głowy, które w rezultacie zachowuje się w sposób nieprzewidywalny dla logicznie myślącego człowieka. Ja zaś myślę o nim takim, jakim jest przed osiągnięciem tego stanu bezmyślności. — Przechylił głowę na bok; była to o wiele dłuższa przemowa niż te, jakie wygłaszał zwykle przed cesarzem; nauczył się zawsze przerywać na chwilę, by Charliss mógł wtrącić własne komentarze.

— Zatem jaki jest tak zwany zwykły człowiek, kiedy nie należy do tłumy? — zapytał cesarz z drwiną.

Melles nie zamierzał dać się sprowokować do zrzucenia maski powagi. Drwina była taką samą próbą, jak mianowanie Tremane’a.

„A ja nie mam zamiaru dać się omamić złudzeniu, że jestem jedynym wykonawcą poleceń cesarza. Jeśli nie spełnię jego oczekiwań, nie pożyję na tyle długo, by zdążyć się zbuntować”.

Pochylił głowę — nie na tyle głęboko, by uznać to za ukłon, lecz tak, by dać wyraz swemu najgłębszemu respektowi, podczas gdy korygował niewiedzę cesarza.

— Jak powiedziałem, Wasza Wysokość, jest on bardzo prosty. Tak jak jego potrzeby i pragnienia. Przede wszystkim chce mieć nad głową szczelny dach, obfitość pożywienia na stole, aby codziennie mieć co jeść, i w spokoju zajmować się pracą oraz cieszyć przyjemnościami łoża, domu i stołu. Jeśli się go tego pozbawi, ma skłonność do sięgania po wszelkie środki, by to odzyskać — podniósł palec, by podkreślić wagę kolejnej wypowiedzi. — Większość poddanych, jeśli nie wszyscy, została pozbawiona tych rzeczy i dostrzega ciągle pogarszanie się poziomu życia, ale jeśli podejmie się próby przywrócenia im tych wygod, które uznają za tak ważne. . .

— Rozumiem, co masz na myśli — odparł cesarz, już bez drwiny w głosie. Siedział bez ruchu i gdyby nie blask oczu, mógłby uchodzić za groteskowy posąg. Charliss nie kręcił się, nie przestępował z nogi na nogę i nie poprawiał w krzesła ani też nie wykonywał żadnych nieświadomych, drobnych ruchów; częściowo zawdzięczał to szkoleniu — tak wielki spokój wzmacniał jeszcze wrażenie jego nadnaturalnej mocy — częściowo jednak, według podejrzeń Mellea, kierował się zdrowym rozsądkiem, oszczędzając gasnące siły i energię.

W końcu cesarz przemówił niskim i chrapliwym głosem.

— Chcesz, abym dał ci uprawnienia do podjęcia działań mających przywrócić porządek na ulicach.

Melles bardzo powoli kiwnął głową; spojrzenie przenikliwych oczu, błyszczących straszliwym blaskiem świetnie wykutego ostrza, przygwoździło go do miejsca. Nie mógł, nie śmiał w nie patrzeć. Nie znalazł się tutaj po to, by rzucać cesarzowi wyzwania, ale po to, by skłonić starca do oddania mu części władzy. Jednak nie osiągnie niczego, jeśli nie przyzna się, o co mu chodzi. Kiedyś jeden z jego nauczycieli poczynił ciekawą obserwację: jedynie trzy grupy ludzi mogą sobie pozwolić na to, by mówić prawdę bez osłonek — ci z najniższych klas, ci z najwyższych i dzieci. Biedacy z tego względu, że nie mają już nic do stracenia, bogacze — bo nie muszą odpowiadać za to, co mówią, a dzieci — gdyż nie posiadają władzy, a więc nie stanowią zagrożenia. Melles nie zapomniał ani tego stwierdzenia, ani wypływających z niego wniosków. Cesarz mógł sobie pozwolić na mówienie prawdy, Melles — nie. Jeśli Charliss zada bezpośrednie pytanie, on powinien uważać na to, ile z tego będzie prawdą.

Ale istniała jeszcze jedna kwestia. W młodości, w pełni sił, cesarz nigdy nie miał dość czasu na wszystko. Nie miał go żaden dobry władca; dlatego przekazywali część swej władzy podwładnym, którym, jak sądzili, mogli zaufać. Teraz zaś cesarz postarzał się, jego moc zmalała, a sprawą podstawową i najbardziej go obchodzącą stało się zachowanie energii i życia.

Zasadnicze pytanie, na które Melles jeszcze nie znalazł odpowiedzi, brzmiało: ile czasu pozostało cesarzowi? To dałoby mu wskazówkę, na ile Charliss byłby skłonny przekazać władzę następcy. Czy będzie się jej kurczowo trzymał, czy przekaże ją następcy, by ochraniać życie?

Przenikliwe, chłodne oczy spoglądały na niego taksująco; zapewne dostrzegły wszystko.

— Dobrze — głos był równie chłodny jak spojrzenie. — Napisz rozkazy, a ja je opieczę i podpiszę, dając ci władzę nad strażą miejską i gwardią oraz prawo wykorzystania oddziałów armii w dławieniu lokalnych zamieszek. To wystarczy, by sprawdzić, czy rzeczywiście znasz zwykłych ludzi tak dobrze, jak utrzymujesz — jego usta wygięły się w lekkim uśmiechu bez śladu wesołości. — Jeżeli ci się uda, rozważę możliwość udzielenia ci większych uprawnień.

Melles machnął ręką, zaprzeczając posądzaniu go o pragnienie większej władzy.

— Panie, to wystarczy, zapewniam cię. Chciałbym tylko przywrócić porządek, gdyż bez tego zarzewie buntu rozprzestrzeni się i pochłonie nas wszystkich.

Charliss chrząknął z cynicznym rozbawieniem.

— Wątpię, czy to ci wystarczy. Jednak teraz nie dostaniesz więcej. Idź do skrybów i napisz rozkazy.

Była to jednoznaczna odprawa i Melles to zrozumiał. Wstał, skłonił się z wystudiowaną dokładnością i cofał się aż do drzwi. Oczy cesarza śledziły każdy jego krok, a lekki uśmiech na wargach zmroziłby serce mniej odważnego człowieka. Melles sięgnął ręką za siebie i nie patrząc, otworzył drzwi, wycofał się przez nie i zamknął, nie spuszczać wzroku z cesarza. Kiedy drzwi się zamykały, cesarz wciąż na niego patrzył, wciąż oceniał, wciąż szukał śladów nieposłuszeństwa. Kiedy rozległ się szcęk zamykanych drzwi, Melles powoli wypuścił powietrze.

„Poszło lepiej, niż mogłem się spodziewać. Wciąż jest przy zdrowych zmysłach; jeśli nadal taki pozostanie, dam sobie z nim radę”.

Odwrócił się i podążył cicho chłodnym korytarzem z szarego marmuru o wysokim suficie i ścianach udekorowanych bronią zdobytą w wojnach z zamierzonych czasów. Podobnie jak komnata, którą właśnie opuścił, korytarz był chłodny i Melles żałował, że nie ubrał się cieplej. Oficjalnie chłód wynikał z kłopotów z ogrzewającymi go zaklęciami, ale w rzeczywistości miał on zniechęcać do bezcelowych wędrówek. Korytarz miał wpoić w odwiedzających przekonanie o tym, że sami nic nie znaczą, to wrażenie podkreślała jeszcze jego akustyka.

Tutaj, tak blisko siedzib najważniejszych instytucji Imperium — komnaty przyjęć, komnaty Rady i wielkiej sali — mieściło się jeszcze jedno pomieszczenie dla świetnie wyszkolonej kadry urzędniczej, zamieniającej decyzje w pisemne rozkazy. Nic nie mogło działać bez pisemnego rozkazu. Prawa, polecenia i doktryny, niezależnie od tego, jak wydawały się drobne, nie miały mocy, dopóki nie ujęto ich w formie dokumentów. Papiery były dla Imperium tym, czym dla wojownika woda, pożywienie i powietrze; oficjalny dokument miał większą moc niż jakkolwiek dworzanin wypowiadający dokładnie te same słowa.

Oczywiście istniała grupa najważniejszych urzędników, mała armia rezydująca w wygodnej komnacie wtulonej pomiędzy wielką salą a salą posiedzeń Rady.

Dobrze działające Imperium w dużej mierze zależało od urzędników, choć to nie oni nim władali. Nawet jeśli ci ludzie nie zdawali sobie z tego sprawy, wiedzieli o tym ich zwierzchnicy i zadawali sobie trud, by w wielkim imperialnym ulu zapewnić im przytulne schronienie. Duże okna osłonięte przed owadami wpuszczały chłodny wiatr w największy letni skwar. A chociaż we wszystkich innych pomieszczeniach zakłęcia ogrzewające nie działały — oficjalnie — ta komnata była na to przygotowana. Na ścianie wspólnej z salą Rady umieszczono trzy wielkie kominki, a kolejne dwa na ścianie wielkiej sali; we wszystkich płonął wesoły ogień. Pod biurkami stały małe piecyki, a ręce pisarzy ogrzewały małe metalowe grzejniki na biurkach. Każdy skryba miał własną lampkę olejową, przy której mógł pisać i czytać. Komnatę obsługiwali przydzieleni paziowie przynosząc w razie potrzeby pożywienie i picie.

Niektórzy — zwłaszcza spomiędzy „świeżych” nobilów, nie zaznajomionych z funkcjonowaniem dworu — szemrali na takie traktowanie „zwykłych” urzędników. Nie zdawali sobie sprawy z tego, że nie byli to zwykli urzędnicy, a większość z nich zajmowała wyższą pozycję niż oni sami. Tutaj pełnili służbę synowie najwyższych rodów Imperium, także ci przeznaczeni później do armii. Byli przyzwyczajeni do dobrego traktowania, ale nie oznaczało to, iż nie zapracowali na nie. O każdej porze pracowało tu co najmniej sześciu skrybów, a od świtu do zmierzchu było ich dwudziestu. Służyli tu jedynie najlepsi i najbardziej dyskretni, a ich umiejętność dotrzymania sekretu na temat tego, co leżało na ich biurkach, stała się legendarna.

Wejście do tego zakątka ciepła i światła przyniosło Mellesowi ogromną ulgę; poczuł, jak pod wpływem ciepła rozluźniają się jego napięte mięśnie. Było na tyle wcześniej, że przy biurkach pracowała cała dwudziestka skrybów; Melles rozejrzył się i podszedł do pierwszego pisarza, który nie wyglądał na zajętego.

Młody mężczyzna siedział, jak inni, za dużym drewnianym biurkiem, na którym znajdowały się wszystkie potrzebne przyrządy. Stos papieru do brudnopisów, drugi, mniejszy, imperialnego pergaminu, kałamarze z czerwonym i czarnym atramentem, piasek do posypywania gotowych dokumentów, szklane pióra i grzejnik do rąk ułożył w najwygodniejszy dla siebie sposób. Na boku leżała książka, którą odłożył, kiedy tylko zbliżył się do niego Melles. Jedynym przedmiotem nadającym miejscu bardziej osobisty charakter była mała, owalna rzeźba skreconej półkuliście ryby.

Sam urzędnik wyglądał niepozornie — jak ci, których się natychmiast zapomina — jak wszyscy tutaj. Przed rozpoczęciem służby uczono ich jak być niezauważalnym. Tutaj oznaczali jedynie parę rąk potrafiącą wykonać określone czynności; każdego z nich można było zastąpić innym. Sam Melles nigdy tu nie trafił, jednak tylko dlatego, że służył Imperium i cesarzowi, opanowując zupełnie inne umiejętności.

Melles dyktował rozkazy, a pisarz szybko je notował; potem spisał pierwszą

wersję i słowo po słowie przeczytał baronowi, a następnie, po uwzględnieniu poprawek, sporządził ostateczny dokument na imperialnym pergaminie. Melles bardzo starannie dobierał słowa, przyznając sobie dokładnie tyle uprawnień, ile dał mu cesarz, nie więcej. W końcu wezwał trzech kolejnych pisarzy, by spisali dodatkowe kopie — razem powstało ich pięć.

Na razie rozkazy nie były niczym więcej niż kawałkami zapisanego papieru. Kiedy pisarz skończył, wezwał jednego z siedzących i gawędzących przy kominku paziów, po czym wysłał go z papierami do cesarza. Paż nie poszedł tym samym korytarzem, którym przyszedł tu Melles; dla nich przeznaczono osobne przejście do cesarskich komnat, z którego tylko im wolno było korzystać; w ten sposób nikt ich po drodze nie zatrzymywał, nie wypytywał i nie opóźniał.

Melles nie mógł pójść z chłopcem. Straże nie dopuściłyby go do cesarza, gdyby sam zjawił się przed nim z dokumentami do podpisu. Miało to zapobiegać wywieraniu wpływu na cesarza lub podpisywaniu dokumentów bez czytania. Wszystkie te skomplikowane zasady miały swoje przyczyny.

W końcu paż powrócił; błysk imperialnej pieczęci na wierzchniej kartce oznaczał, że wszystko poszło dobrze i cesarz zaakceptował rozkazy bez poprawek. Gdyby było inaczej, chłopiec miałby jedną kopię, nie pięć, z naniesionymi przez cesarza korektami. Pozostałe kopie straż spaliłaby na miejscu, aby nikt nie podrobił widniejącej na nich pieczęci.

Melles z ukłonem wdzięczności przyjął dokumenty i wyszedł. Na zewnątrz, mimo że był na to przygotowany, znów poczuł dreszcz chłodu; jednak nie zawałał się nawet przez chwilę. Teraz najważniejsze było dostarczenie jednej kopii komendantowi cesarskiej armii. Zanim przystąpi do realizacji reszty ambitnych planów, musi zdobyć poparcie wojska.

Słowa rozkazu dobrał tak, by nie pomniejszały autorytetu dowódcy wojsk na rzecz samego Mellesa. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył, byłoby uczynienie sobie wroga z generała Thayera. Generał był groźnym przeciwnikiem — nie zapominał i nie wybaczał. Rozkazy dawały Mellesowi moc wykorzystywania pojedynczych oddziałów do uśmierzania buntów, ale tylko pod warunkiem, że owe oddziały nie miały innych obowiązków. „Jeśli nie stłumię zamieszek pojedynczym regimentem, większy oddział też mi nie pomoże. Postępując w ten sposób, nie będę stanowił zagrożenia dla Thayera, a moje rozkazy nie będą kolidowały z jego rozporządzeniami dla całej armii”.

Jeśli dopisze mu szczęście, nie będzie musiał zbyt często korzystać z wojska, ale ostatnio nikomu nie dopisywało szczęście. Wiedział już, że w każdym mieście będzie musiał przynajmniej raz wydać żołnierzom rozkaz zabijania. Pierwszy raz od stuleci wojsko zostanie użyte przeciwko cywilom — na pewno wywoła to ogromny wstrząs. Miał nadzieję, że taki, iż nie będzie musiał powtarzać lekcji. Każdy zabity cywil oznaczał mniejsze wpływy z podatków, a w tej chwili Imperium nie mogło sobie pozwolić na duże straty.

Komendant armii miał kwaterę w Skalnym Zamku, gdyż od czasów trzeciego cesarza każdy władca wołał mieć dowódcę wojska na oku. Trzeci cesarz przed wstąpieniem na tron był głównodowodzącym armii. Nie spodobał mu się wybrany przez władcę następcę, więc tuż po śmierci cesarza postanowił wziąć sprawę w swoje ręce. Potem zaś nie zamierzał dać swojemu dowódcy armii sposobności podobnej do tej, z jakiej sam skorzystał. Jego potomkowie wzięli przykład z mądrego przodka.

Kiedy Melles szedł korytarzami i schodami, owiewały go na przemian słabsze strumienie ciepłego i znacznie mocniejsze — chłodnego powietrza, przechodzącego w niemal lodowaty powiew. Mieszkańcy zamku ogrzewali się teraz kominkami i innymi prymitywnymi sposobami, na których zwykle nie można było polegać, a nawet przewidzieć ich działania. Do wiosny na pewno rozprzestrzenia się choroby powszechne na ogół wśród biedaków.

„Czasy są... ciekawe. A mogą stać się jeszcze ciekawsze”.

Korytarze wyglądały identycznie — miały taką samą wysokość, szerokość i wystrój: wyłożono je szarym marmurem i udekorowano zdobyczną bronią. Kiedy Melles wyszedł z części pałacu będącej siedzibą cesarza i oficjalnych komnat Rady, korytarze stały się dużo węższe i niższe — jedynie po tym można było poznać, iż nie jest się już w apartamentach cesarskich.

Komendant armii był jednym z najwyższych dygnitarzy w państwie, więc jego komnaty znajdowały się bardzo blisko cesarskich. Jedynie apartament dla następcy tronu, teraz urządany dla Mellesa, umieszczono bliżej. Po obu stronach drzwi stali strażnicy — oznaczało to, iż komendant był u siebie, jak tego oczekiwał Melles. Wkrótce i on sam jako następcę tronu, będzie miał takich strażników. Mieli oni strzec nie tylko bezpieczeństwa dygnitarzy, ale i samego cesarza. Straż pałacowa była jednostką elitarną, dzięki szkoleniu i zaklęciom zobowiązaną do służby cesarzowi. Żadna siła na świecie nie zdołałaby zwrócić ich przeciwko Charlissovi, a jeśli następcę tronu lub dowódcę armii sprawialiby kłopoty, cóż... następny kłopot sprawiały jedynie szczegóły pogrzebu. Można było złamać zaklęcia wiążące strażników z cesarzem, może nawet dokonały już tego magiczne burze. Jedynym sposobem, by się o tym upewnić, było złożenie im propozycji zamordowania cesarza — jeśli jednak zaklęcia nadal działały, mogło mieć to fatalne skutki.

Tremane'owi udało się zostawić za sobą dwóch strażników, kiedy wyjeżdżał na podbój Hardornu — może cesarz nie oczekiwał kłopotów z jego strony, z dala od Skalnego Zamku. Gdyby Charliss nalegał na zabranie strażników, może sprawy potoczyłyby się inaczej...

„A może nie, jedynie straż rozprawiłyby się z Tremane'em w naszym imieniu, a ja i tak zostałbym następcą”. Miałby wtedy jeszcze magiczne burze, Imperium rozpadające się na części, a cała reszta wyglądałaby tak samo. Mieliby tylko jedną troskę mniej — jak nikt z całego dworu Melles wiedział, że sojusz Tremane'a z Valdemarem nie był wcale pewny. Szczerze mówiąc, miał szczerą nadzieję,

iż nie jest to prawda. Magiczne burze sprawiały dość kłopotu, ale jeśli po stronie Valdemaru znalazłby się doświadczony mag, znający doskonale wszystkie newralgiczne punkty Imperium, co by się wtedy stało? A jeżeli burze można było wysłać na określony cel, by spowodowały jak najwięcej zniszczeń i szkód? Gdyby Tremane rzeczywiście sprzymierzył się z Valdemarem, zapewne musieliby stawić czoło właśnie takiej sytuacji.

A co do tego, jak zareagowałby cesarz na taką sensację...

„Kiedyś, gdy był zdrowy i nie miał zbyt wielu trosk, po prostu wpadłby w gniew, przemógł go i zdławił do chwili, w której ktoś przyniósłby mu głowę Tremane’a. Teraz — nie wiem. Możliwe, że jego stan, tak jak całego państwa, również się pogarsza, a z czasem straci rozum i zdrowie”.

Kiwnął głową strażnikom, którzy zaszalutowali i odstąpili na widok imperialnej pieczęci na dokumentach. Zapukał do drzwi, otworzył je i wszedł. Znalazł się w poczekalni wyścielonej dywanami; na ścianach wisały sztandary wojskowe, a całe umeblowanie stanowiły biurko i trzy wygodne krzesła; znajdował się tam służący w stroju pośrednim pomiędzy liberią a wojskowym mundurem, zapewne jeden z sekretarzy Thayera.

— Mam dla komendanta rozkazy cesarskie — powiedział Melles do niepozornego mężczyzny za biurkiem. — Jeśli znajdzie chwilę, chciałbym je z nim omówić.

„Bądź uprzejmy i pokorny. To nic nie kosztuje, a pomaga w kontaktach z ludźmi”.

Sekretarz natychmiast wstał i wyciągnął rękę po papiery.

— Natychmiast je zaniosę, lordzie następcu — powiedział gładko. — Proszę usiąść. Zapewniam, iż komendant zawsze znajdzie czas, by omówić z tobą sprawy Imperium. Zostawił mi polecenie, by wpuścić cię do niego niezależnie od okoliczności.

Baron ukrył zaskoczenie, sekretarz zaś wziął dokumenty i szybko wyszedł drzwiami znajdującymi się za biurkiem. Melles usiadł i zaczął szczegółowo przyglądać się paznokciom swej prawej dłoni, by ukryć myśli. Odkąd został członkiem Rady, zdawał sobie sprawę, że Thayer jest zręcznym politykiem, ale dopiero teraz docenił całą jego dyplomację. Większość doradców nadal nie wiedziała, jak traktować go po mianowaniu na następcę; rozkazy zostawione przez Thayera, by wpuszczać Mellesa o każdej porze, stanowiły interesujący rozwój sytuacji. Zastanawiał się, czy oznaczało to chęć współpracy na wszelkich poziomach. Jeśli tak, bardzo ułatwiałoby mu to wykonanie zadania.

„Mieć w kieszeni dowódcę armii... podzielibyśmy się połową potęgi Imperium. A reszta... może poczekać”.

Zanim zdążył znaleźć kolejny obiekt do obserwacji, sekretarz wrócił.

— Proszę za mną, wielki lordzie — powiedział, kłaniając się nisko. — Lord komendant niecierpliwie oczekuje na rozmowę. Melles wstał i poszedł za sekre-

tarzem do kolejnej komnaty, bardzo podobnej do poprzedniej. Komendant miał doskonały gust; większość podłóg przykrył kobiercami plemienia Bijał zamieszkałego na Wschodnich Wyspach, a na ścianach powiesił najciekawsze sztandary wojenne. Na kominku płonął ogień. Podobnie jak poczekalnia, i ta komnata była skromnie umeblowana — stało w niej wielkie biurko, kilka wygodnych krzeseł i dwa mniejsze stoliki. Zamiast zwykle używanych magicznych świateł oświetlały ją lampy olejowe, niedawno zapalone, gdyż zapadał właśnie zmierzch.

Generał Thayer czekał z rozkazami w dłoni, stojąc obok biurka. Zgodnie z niepisany protokołem dworu przyjmował Mellesa jak równego sobie, nie jak petenta. Był to dobry znak; Thayer nie zamierzał podważać autorytetu następcy.

Generał mógłby sam zająć miejsce w szeregach armii; choć włosy miał siwe jak granit, to ciało twarde i zahartowane jak kamień. Nieliczni głupcy, którzy pod różnymi pozorami wyzwalali go na pojedynek, nie przeżyli tego doświadczenia. Zarówno wrogowie, jak i przyjaciele porównywali go do wilka — wrogowie do nienasyconej, dzikiej bestii, przyjaciele — do potężnego przywódcy stada. Był szary jak wilk i podobnie jak on miał ostre zęby i umysł.

Dziś jednak twarz o ostrych rysach miała bardziej przyjazny wyraz; Melles wiedział, że pomimo zręczności w polityce Thayer nie potrafi dobrze ukrywać uczuć. W tej grze twarz była dla niego dużą przeszkodą, podczas gdy umysł bardzo mu pomagał. Starając się ukryć tę swoją słabą stronę, Thayer rozgrywał grę na piśmie, pokazując się publicznie tylko wtedy, kiedy reguły pozwalały na mówienie prawdy. Sekretarz skłonił się i wycofał; generał z uśmiechem wyciągnął dłoń, a Melles, również z uśmiechem, ujął ją w swoją.

— Na stu małych bogów, miałem nadzieję, że przyjdiesz najpierw do mnie! — odezwał się chrapliwie. Uderzenie rękojeścią miecza w młodości pozostawiło ślad w postaci ochryplego głosu. — Gratulacje, Melles. Cesarz nareszcie dokonał dobrego wyboru. Tremane cieszył się zbyt dużą popularnością wśród własnych ludzi, bym mógł być o niego całkowicie spokojny.

— Ja zaś jestem w równej niełasce u wszystkich, dlatego akceptujesz mnie jako następcę? — Melles uniósł brwi, a generał zaśmiał się szczeliwie.

— Powiedzmy, że po odkryciu popularności jednego ze swych dowódców, komendant zaczyna się zastanawiać, dlaczego ów dowódca stara się być popularny — Thayer odsłonił zęby w uśmiechu. Melles kiwnął głową. — Czasami jest to przypadek, jednak częściej wynik świadomych zabiegów. Ty jednak...

— Ja, znany jako cesarski kat, nie muszę przejmować się takimi drobiazgami jak popularność — Melles złagodził uwagę krzywym uśmiechem. — Wolę szacunek niż popularność.

Thayer zareagował na ten wybuch uniesieniem brwi.

— Zatem i w tej kwestii, jak i w innych, jesteśmy zgodni. Cesarz, oby żył długo, nie jest jedynym, który musi się przejmować zbyt ambitnymi podwładnymi; cieszę się, że Tremane został wyeliminowany. A co do rozkazów — czy to twój

pomysł?

Melles potwierdził, uważnie obserwując zachowanie Thayera, zanim sam odpowiedział. Nie musiał się martwić, gdyż najwyraźniej Thayer cieszył się tak, jakby sam dyktował owe rozkazy!

— Świetny pomysł! Usiądź, omówimy wszystkie szczegóły — generał wskazał ręką jedno z krzeseł przy kominku, sam wziął drugie; rozkazy rzucił na stół, jednakże nie próbował przed nim usiąść. Melles usiadł, generał przysunął swoje krzesło bliżej i również usiadł.

— Pieknie dobry pomysł! — powtórzył. — Ogłoszenie stanu wyjątkowego spowodowałoby natychmiast bunt i zamieszki, ale jeśli ściągniemy armię bez nazywania tego stanem wyjątkowym, ludzie natychmiast się uciszą, jeśli tylko potrafisz przywrócić porządek — zakaszał. — Pozwól im znów żyć wygodnie, a nazwą cię bogiem i nie będą się zastanawiać, jak to osiągnąłeś.

— Zamierzam zdławić bunt przy pomocy najmniejszej liczby żołnierzy — odezwał się ostrożnie Melles. — Nie chcę, by ludzie zaczęli szemrać, że wysłałem przeciwko nim wojsko; tego nie znieś chyba żaden obywatel Imperium. Spójrz na rozkazy — oddają mi pod bezpośrednią komendę straże miejskie, konstablów i gwardię. Mam wrażenie, że jeśli ustawię ich w pierwszych szeregach, a regularnych oddziałów użyję tylko jako osłony na tyłach i ewentualnej pomocy, osiągnę cel bez sprawiania wrażenia, że rządy przejęła armia.

— Świetnie. Dobra strategia — pochwalił Thayer. — W odległych prowincjach ludzie oczekują, że wojsko rozwiąże ich kłopoty, ale obywatele uważają się za lepszych. Kiedy zdławisz pierwsze zamieszki, zabijesz tych, którzy sprawią najwięcej kłopotów, bez większego problemu uda ci się przywrócić porządek. Miałem nadzieję, iż w końcu ktoś uświadomi sobie groźbę wojny domowej i podejmie odpowiednie działania.

„Oczywiście sam nie odważył się tego zaproponować. Charliss uznałby to za bezpośredni zamach na jego osobę i poprosiłby mnie o wysłanie Thayera na... emeryturę. Generał wiedział o tym”. Kiwnął głową i oparł się wygodnie, czując się znacznie bardziej pewnie teraz, kiedy miał w generale otwartego sprzymierzeńca.

— Wie o tym niewiele osób, ale wybuchło już kilka mniejszych buntów. Oczekuję kolejnych w miarę kończenia się żywności i pogarszania sytuacji — powiedział spokojnie. — Jeśli będziemy przygotowani, i nie będziemy mieli skrupułów, myślę, że obywatele zaakceptują nasze postępy jako zło konieczne.

— Owszem, jak powiedziałem, musisz znaleźć sposób, aby zapewnić im posiłki i spokój, a wtedy zaakceptują wszystko, oprócz spalenia miasta — odparł z pogardą Thayer. — W jaki sposób mam ci pomóc? Chcesz dostać oddział, który będzie można posłać tam, gdzie trzeba, czy... — przerwał; wydawał się zainteresowany, ale niezbyt chętny do wysuwania własnych propozycji. — Cóż, jestem wojskowym, nie mam doświadczenia w tłumieniu buntów, ale...

— Ale masz pomysł — dokończył Melles, z zaciekawieniem pochylając się ku niemu. — Proszę. Mów.

— Wciąż dysponujemy ograniczonymi możliwościami magicznej komunikacji z wszystkimi bazami, a, jak wiesz, w pobliżu każdego większego miasta znajduje się przynajmniej jedna — odparł Thayer. — Gdybym przesunął pewną liczbę ludzi, powiedzmy kompanię, do każdego miasta i gdybyś ty zorganizował gwardię, straż i całą resztę tak, jak mówisz, cóż, zaraz po rozpoczęciu buntu straż miejska z pewnością się nim zajmie. Naturalnie kapitan oddziału zaoferuje pomoc. Kapitan straży przyjmie ją, dlaczego nie, przecież są towarzyszami broni. Z poparciem armii zdławisz każdy bunt. Technicznie rzecz biorąc, nie wierzę, by w każdym mieście bunt wybuchał tego samego dnia, nie wykorzystasz nawet tylu ludzi, o ilu prosiłeś. — Uśmiechnął się chytrze. — Widzisz, wojsko pójdzie pod twoją komendę tylko na czas tłumienia zamieszek, a zaraz potem wróci pod moje rozkazy.

Melles pozwolił sobie na suchy śmiech. Thayer okazał się niedoścignionym mistrzem w wykorzystywaniu wszelkich luk w zasadach; jego pomysł zastosowania rozkazów układanych przez samego Mellesa nie przyszedł temu ostatniemu do głowy.

„Ale przecież nie spodziewałem się, że znajdę w generale tak gorliwego stronnika”.

— To doskonały plan, generale, świetnie służy naszym celom — odpowiedział, pozwalając, by w jego głosie zabrzmiała akceptacja. Thayer odpowiedział uśmiechem, w którym było tyle samo stali co ciepła.

— Dobrze. Zatem się zgadzamy. — Kiwnął stanowczo głową. — W zamian byłbym wdzięczny, gdybyś zrobił coś dla mnie w sprawach wewnętrznych. Nie chodzi mi o rekwizycje, raczej zajęcia. To również wchodzi w zakres przywracania porządku w państwie.

— Zrobię, co będę mógł. — Melles nie był zaskoczony prośbą, gdyż odpłacanie przysługą za przysługę stanowiło przyjętą formę załatwiania interesów w świecie polityki Imperium. Nie miał zamiaru nic obiecywać, póki nie dowie się dokładnie, o co chodzi, ale Thayer zdawał sobie z tego sprawę.

— Oddaj armii nadzór nad transportem pomiędzy miastami. — Generał spojrział mu prosto w oczy. — W tej chwili przewóz towarów odbywa się chaotycznie, ale zawsze korzystają na tym woźnice. Armia cierpi, gdyż podobnie jak obywatele musimy płacić tyle, ile zażądają. Należy spisać woźniców, przejąć ich cech i poddać go wojskowej dyscyplinie, a w krótkim czasie usuniemy część powodów do buntu. Wszystkie psy w Imperium wiedzą, co się dzieje, i będą szczęśliwe, kiedy ukroćmy swobodę cechu woźniców. Cywile mają dość nabijania ich kiesy tak samo jak ja.

„A wtedy zyski cechu przejmiecie ty i twoi oficerowie”. Melles przejrzał go od razu, jednak generał miał rację w kilku punktach. Transport rzeczywiście był

teraz kwestią szczęścia, a woźnicy osiągnęli nieprzyzwoite zyski. Przejęcie przez armię nadzoru nad przewozem towarów ukróciłoby te praktyki i pomogło lepiej go zorganizować. Zyski woźniców rzeczywiście stały się powodem niezadowolenia; przynajmniej w jednym mieście w czasie rozruchów zniszczono budynek cechu i stojące obok domy.

„Nie, jeśli oddam armii kontrolę nad woźnicami, ich wozami i zwierzętami, nie będzie płaczu”.

Pozostawało pytanie, czy mógłby potraktować to posunięcie jako wypełnianie rozkazów podpisanych właśnie przez Charlissa? Rozwinął więc jedną ze swych kopii i przeczytał ją szybko, po czym spojrzął w brązowe oczy Thayera.

— Te rozkazy chyba dają mi takie uprawnienia — powiedział, wiedząc, że cesarza nie będzie to obchodziło, póki nie znajdą się powody do narzekań. Skoro jednak Thayer był żywo zainteresowany tym, by zapobiegać niezadowoleniu...

— Kiedy prześlę kopie rozkazów, dopilnuję, by uzupełniono je o tę klauzulę.

Generał uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Każę moim magom natychmiast zabrać się do pracy — obiecał. — Do jutrzejszego wieczora wybierzemy oddziały, pojutrze zakwaterujemy je w miastach. Nie martw się, każę wybrać doświadczonych wojowników, którzy nie poddadzą się panice, nie zaczną strzelać bez rozkazu i nie przekroczą swoich kompetencji. Wyślę kapitanów, którym będzie zależało na utrzymaniu spokoju, ludzi rozsądnych, a nie sadystów lubujących się w rozbijaniu głów innym.

„Skuteczność armii” — pomyślał z zazdrością Melles. „Wspaniale widzieć ją w działaniu”.

— Moje rozkazy będą musiały zostać przekazane przez sygnały, a czasami przez kurierów, lecz powinny dotrzeć na większość terenów w ciągu dwóch tygodni — odparł i wstał. — Współpraca z tobą będzie przyjemnością, lordzie komendancie — zakończył, wyciągając dłoń.

Generał wstał i mocno ją uściśnął.

— Będzie mi równie przyjemnie — odparł. — I, pozwól mi powiedzieć, będzie o wiele lepsza niż praca z tymi piekielnymi liczykrupami! — Szedł tuż za Mellesem, radośnie odprowadzając go do drzwi.

Melles wiedział, o co mu chodziło; kilku możliwych kandydatów do tronu odznaczało się raczej ostrożnością niż zdolnością przewidywania. Niewielu z nich zdołałoby przepowiedzieć bunt, których nadejścia Melles był pewien, nie mówiąc już o przygotowaniu się na nie.

— Pamiętaj — chcemy, by nasze działania były jak najmniej widoczne, aby wojsko na ulicach wzbudzało raczej przyjazne uczucia niż niechęć.

Thayer otworzył drzwi poczekalni, energicznie kiwając głową.

— Właśnie. Napiszę dla ciebie rozkazy na wypadek buntów; przejrzyj je i popraw, a potem odeślij do mnie. — Przepuścił go w drzwiach. — Grevas, odprowadź lorda następcę, dobrze? Lordzie Mellesie, jestem ci bardzo wdzięczny za to,

że przyszedłeś do mnie osobiście.

— Nie ma za co; cieszę się, że tak szybko doszliśmy do porozumienia — Melles przeszedł do poczekalni, gdzie sekretarz powitał go głębokim ukłonem, a potem pośpieszył otworzyć drzwi. Skinął mu w podziękowaniu dłonią i wyszedł na zimny korytarz z poczuciem dobrze wypełnionego obowiązku.

„Co teraz? Rozkazy przejmowania żywności, jeśli zajdzie taka potrzeba. Rozkazy przekazywania wolnych zwierząt i pojazdów w majątkach ziemskich w ręce armii. Muszę dokładnie określić zasady rekwizycji; nie można zabierać chłopom jedynego konia i wozu, bo to obróci się przeciwko nam. Powierzę to zadanie jednemu z moich sekretarzy. Mertun — on był synem rolnika”. To na razie wystarczy; zbyt wiele rozkazów na raz spowoduje jeszcze większe niezadowolenie.

„Muszę wzmocnić swoją pozycję”. To na szczęście oznaczało jedynie przesłanie kolejnych poleceń do agentów specjalnych. Oni zaczną działać — i dostarczą mu wszelkich potrzebnych informacji. Co zaś do pozycji w Radzie i na dworze — większość ludzi będzie się uśmiechać i prawić komplementy, on zaś będzie je przyjmować. Przyszłość pokaże ich prawdziwe intencje, a szpiedzy dowiedzą się tego, co mówi się nieoficjalnie.

Istniał tylko jeden wyjątek. Jeśli armii udało się utrzymać komunikację, zapewne udało im się wykorzystywać choć część magii. „Może zaklęcia o krótkim czasie działania; może to tajemnica. To i ogromna ilość mocy potrzebna do uaktywnienia zaklęć. Ja mam moc i wielu własnych magów. Dotąd po prostu nie myślałem o wykorzystywaniu wielkiej mocy dla osiągnięcia małych celów, ale może te cele nie są jednak tak małe”.

Pośpieszył do swej nowej kwatery, leżącej blisko mieszkania generała. Przed drzwiami stali cesarscy strażnicy. Ceremonialnie otworzyli mu drzwi, wewnątrz zaś powitali go służący, którzy natychmiast otoczyli go i zaczęli się krzątać wokół niego, robiąc duże zamieszanie, ale i okazując nieco strachu.

Niecierpliwie machnął ręką, odprowadzając ich. Nowy apartament przypominał poprzedni, ale komnaty były nieco większe, ładniej umeblowane, bardziej luksusowe, a całość znajdowała się w lepszym miejscu pałacu, jeśli chodzi o dostęp do łaźni i innych urządzeń. Podczas gdy Melles rozmawiał z Thayerem, służący usunęły wszelkie ślady bytności poprzedniego lokatora i urządzili komnaty tak, jakby Melles zawsze w nich mieszkał. Rozłożyli na posadzkach jego własne dywany, na ścianach — mapy i kobierce, na półkach i biurkach poustawiali książki. Melles podszedł prosto do biurka, by napisać rozkazy — a raczej epistoły — mające stanowić uzupełnienie rozkazów cesarskich, które miał przy sobie. Kiedy skończył, wręczył brudnopisy swemu sekretarzowi razem z czterema kopiami rozkazów cesarza.

— Zajmij się nimi... i niech Mertun dokładnie określi warunki, pod jakimi wolno zwolnić rolnika z rekwizycji — polecił. Sekretarz skłonił się i zabrał papiery. Dopiero wtedy Melles pozwolił sobie na chwilę odprężenia, oddając się

pod opiekę lokaja. Sekretarz dopilnuje, by trzy zestawy rozkazów dotarły do cesarskich skrybów, którzy je skopiują i roześlą. Jeden zestaw zostawi sobie.

Przeszedł do prywatnego apartamentu, który wskazał mu lokaj; urządzone go tak samo jak poprzedni, stały w nim te same meble, miał więc wrażenie, że nic się nie zmieniło.

„Prawie. Zaczęło się. Poruszyłem lawinę i teraz już nic nie może jej zatrzymać”.

Pozwolił lokajowi zdjąć z siebie sztywny płaszcz z ciężkiej, zdobionej satyny i pomóc sobie w przebraniu się w bardziej wygodny strój. Po krótkiej chwili siedział przed kominkiem, a na stole stał posiłek. Wpatrzył się w płomienie, rozbawiony i zdziwiony tym, co zdarzyło się w ciągu dnia. Był to z pewnością dzień bogaty w wydarzenia, taki, który długo się pamięta. A przecież jeszcze się nie skończył. Melles zadzwonił na służącego, a kiedy ten przyszedł, wymruczał kilka umówionych słów, oznaczających, że należy skontaktować się z agentami i wzywać ich pojedynczo.

„Dojdą im dodatkowe zajęcia. Moi magowie — jeśli armii udało się utrzymać komunikację, może nam też uda się coś osiągnąć”.

Przyszło mu do głowy jeszcze jedno: choć zemsta na starym wrogu Tremanie nie wchodziła w grę, powinien się dowiedzieć, czego można się po nim spodziewać. Zakłęcie poszukujące nie wymagało długiego czasu i dużego wysiłku, a może wystarczy do tego, by dowiedzieć się, czy Tremane stanowi zagrożenie dla Imperium.

Rozsiadł się wygodniej i powoli popijał grzane wino, czekając na pierwszego agenta. Nie, choć bardzo chciał, nie mógł pozbyć się Tremane'a — ale nie mógł go również ignorować. W wojnie, jaką rozpoczynał, najlepszą i najbardziej godną zaufania bronią była wiedza. Nadszedł czas, by użyć tej broni — z większą finezją i uwagą, niż kiedykolwiek przedtem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Po odlocie gryfów w przypominającym jaskinię wnętrzu Wieży Urtho zrobiło się znacznie ciszej. An'desha nie zdawał sobie dotąd sprawy z tego, ile różnych dźwięków wydawały te stworzenia — szcęk pazurów po kamieniach, przypominający świst wiatru, oddech czy szum piór. Przyzwyczyił się do tych odgłosów i gdy ich zabrakło, własny głos wydawał mu się nienaturalnie donośny, mimo słyszalnych w tle szmerów innych czynności.

— Zobacz, to naprawdę logiczne — powiedział An'desha, wodząc palcem po znakach — tych samych słowach w trzech językach. Karal spojrział na nie ze zmarszczonym w skupieniu czołem. — To język Sokolich Braci, tutaj — Shin'a'in, możesz sam zobaczyć, jak podobne...

Przerwał mu głuchy, głośny odgłos, po którym zabrzmiały głosy — jedne zaniepokojone, inne narzekające. Zaskoczony An'desha spojrział w górę, poprzez Karala, do centralnej komnaty Wieży. Znał te głosy, chociaż nie spodziewał się usłyszeć ich tego dnia. Wstał i podszedł do drzwi — tylko po to, by sprawdzić, na ile się pomylił. Nie pomylił się. Mag Imperium o imieniu Sejanes w swym ubraniu o dziwnym wojskowym kroju stanowił kontrast dla mistrza rzemiosł Levy'ego odzianego w praktyczny, ale i luksusowy strój z czarnego jedwabiu i skóry. Przed nimi szedł Altra.

— Na stu małych bogów! — wykrzyknął Sejanes; jego siwe włosy dosłownie stały dęba. — Nigdy to za mało na czas do następnej takiej podróży!

Mistrz Levy przełknął ślinę, spoglądając na An'deshę z takim wyrazem twarzy, jakby ze wszystkich sił powstrzymywał mdłości. Jego twarz miała zielonkawy odcień, a kostki zaciśniętych palców zbieleły.

— Masz... całkowitą rację, Sejanesie — powiedział zdławionym głosem. — Wydaje mi się, że jeśli będę miał jakikolwiek wybór, pójdę do domu piechotą.

Altra spojrział na nich z nieskrywaną pogardą, niepewnym krokiem wszedł do komnaty Karala i padł w nogach jego posłania. An'desha poszedł za nim. Nie słyszał, by ognisty kot „powiedział” cokolwiek, lecz Karal przesunął w jego stronę swoją niemal nie tkniętą porcję potrawki; kot spojrział na niego z wdzięcznością i pochłonął ją tak łakomie, jakby nie jadł od tygodni.

W tym czasie Lo'isha, Śpiew Ognia i Srebrny Lis pośpieszyli zająć się przy-

byłymi gośćmi. W komnacie znajdowało się niewiele mebli, lecz Srebrny Lis przyniósł im składane stołki, na których obaj usiedli z widoczną wdzięcznością. An'desha nie winił ich za tę reakcję na podróż; z własnego doświadczenia wiedział, że nie przesadzali ani ze zmęczeniem, ani ze złym samopoczuciem.

Jemu zdarzyło się tylko raz podróżować pod opieką ognistego kota, który w swój własny, niesamowity sposób przenosił go ze sobą, przemieszczając się w tak zwanych skokach — i nie chciałby przeżyć tego powtórnie. Ogniste koty umiały pokonywać wielkie przestrzenie w mgnieniu oka i potrafiły zabrać ze sobą — osobę lub przedmiot — każdego kto ich dotykał. Podróż wykręcała wnętrzności; przypominała przekraczanie Bramy, lecz to samo powtarzało się przy każdym skoku. Im częstsze były skoki, tym gorsze ich skutki. Samopoczucie podróżującego zależało od indywidualnej wytrzymałości, lecz sądząc z wyglądu dwóch przyszłów, Altra nie robił zbyt długich przerw pomiędzy kolejnymi etapami; ostatni z nich musiał być dla nich naprawdę ciężkim doświadczeniem.

An'desha przyglądał się przez chwilę zgromadzonym, jednak Śpiew Ognia, Srebrny Lis i reszta wydawali się panować nad sytuacją. Sejanes najwyraźniej potrzebował odpoczynku; mistrz Levy musiał posiedzieć spokojnie i dostać coś na uspokojenie żołądka. Po krótkim wytchnieniu obaj zostali zabrani do komnaty obok, poprzednio służącej za mieszkanie gryfom. Karal tymczasem krzątał się wokół Altry, który po raz pierwszy, odkąd An'desha go znał, wyglądał na naprawdę wyczerpanego. Najwyraźniej podróż i dla niego nie była łatwa.

Młody mag przypomniał sobie to, co kot mówił o coraz większych trudnościach w skakaniu.

— Dobrze się czujesz? — zapytał, kiedy zaniepokojony Karal pochylał się nad nim.

Bywało lepiej — odrzekł oschle kot. — Ale po krótkim wypoczynku i posiłku dojdę do siebie. Prądy w polach energetycznych są nieprzewidywalne. Pokonanie nawet jednej dziesiątej dotychczasowej długości skoku stało się bardzo niebezpieczne. Wydaje mi się, iż od dzisiaj ja również będę chodził pieszo, jeśli będzie taka możliwość.

Stukot kopyt na posadzce oznajmił nadejście Floriana.

Nie bądź śmieszny, Altra — odezwał się Towarzysz z kpina w głosie. — Przecież nie będziesz musiał chodzić. Przekonasz jednego z nas, by cię poniósł.

Kot zignorował go, udając, że całkowicie pochłania go wylizywanie do czysta miski. Nie zajęło mu to wiele czasu; kiedy tylko zniknęły wszelkie ślady sosu, zwinął się w kłębek tak, by nie przeszkadzać Karalowi, gdyby ten chciał położyć się na pościeli. Wtedy zamknął oczy, wciąż ignorując docinki Floriana.

Ten wydał z siebie dźwięk tak bardzo przypominający chichot, że An'desha nie miał wątpliwości, co myśli Towarzysz.

— Zostaw go w spokoju — odezwał się mag. — Przynajmniej na razie. Nie możesz zaprzeczyć, iż napracował się bardziej, niż niejeden z nas. Jeśli przekra-

czanie Bram stało się niebezpieczne, ryzykowne są także skoki.

Racja — odparł Florian rozsądnie. — *Masz słuszność, An'desha, zawiniłem. Altra przysłużył się nam wszystkim i wykazał się wielką odwagą. Nie powinienem mu dokuczać, zwłaszcza kiedy jest równie wyczerpany, jak jego pasażerowie. Przyjmij przeprosiny, kocie.*

Przyjmuję, koniu — odpowiedział pozornie śpiący kot.

Florian podszedł i w geście pojednania dotknął nosem jego futerka, po czym wycofał się ku drzwiom. Stał w nich przez chwilę, zerkając raz do głównej komnaty, a raz na Altrę i przyjaciół; w końcu po cichu wyszedł.

— Cóż, mamy wszystkich, których potrzebujemy — odezwał się An'edsha do Karala. — Może oprócz tego uczonego Kaled'a'in, którego nam obiecano. Możemy rozpocząć badanie reszty naszych znalezisk.

— Wciąż mam wrażenie, że jest tu więcej komnat i pomieszczeń, których jeszcze nie odkryliśmy — odparł Karal, kładąc się ostrożnie na posłaniu tak, by nie potrącić Altry.

— Zapewne tak — przyznał An'desha. — Znaleźliśmy przynajmniej cztery inne miejsca, gdzie mogą znajdować się magazyny lub nawet przejścia na niższe poziomy. Kłopot w tym, że nie potrafiliśmy ich otworzyć. Może Sejanes albo mistrz Levy zdołają nam pomóc. — Uśmiechnął się do przyjaciela. — Powiem ci prawdę: podejrzewam, że zrobi to mistrz Levy, gdyż mam przecucie, iż te ukryte komnaty są zabezpieczone czysto mechanicznymi urządzeniami.

Karal odpowiedział uśmiechem.

— Chyba masz rację. To pasowałoby do tego, co Treyvan opowiadał mi o Magu Ciszy. Byłoby to w jego stylu: posłużyć się mechaniką, gdyż każdy, kto trafi tu w złych intencjach, będzie oczekiwał zabezpieczeń magicznych, a nie zwykłych zapadni i zamków.

An'desha zaśmiał się.

— To znów popsuje humor Śpiewu Ognia. Biedak! Za każdym razem okazuje się, iż jego moc jako adepta jest nam coraz mniej potrzebna!

Karal kiwnął głową i w zamyśleniu potarł kark.

— Każdy dzień musi być dla niego bardzo trudny. Przypomnij sobie, co się do tej pory działo. Śpiew Ognia był kiedyś najjaśniejszą gwiazdą, a teraz... widzi, jak jego moc maleje i staje się coraz mniej godna zaufania; co dnia znajdujemy nowe metody na osiągnięcie tego, co on robił kiedyś. Niektóre z nich zaprzeczają temu, w co wierzył przez całe życie.

An'desha zachmurzył się i kiwnął głową.

— Czasami czuję się tak, jakbym pozbawił go jego chwały tylko przez to, kim jestem; jednak nikt z nas nie mógł przewidzieć rozwoju wypadków. Z łaski Gwiazdzistookiej zawdzięczam mu życie, jestem mu wdzięczny, lecz chciałbym, by był teraz tak szczęśliwy, jak w Dolinach. A co do upadku wiary w niezmienną zasadę... ty doświadczasz tego samego, jeśli chodzi o kwestie duchowe, my

wszyscy zresztą także. — Przerwał i założył ręce, zastanawiając się nad dobo-rem słów. — A jednak... mistrz Levy twierdzi, że wszystko w naszym świecie, niezależnie od tego, jak bardzo nielogiczne mogłoby się wydawać, podlega niewidzialnym prawom. Duchy, z którymi rozmawiałem na Księżycowych Ścieżkach, dawały mi to samo do zrozumienia. Magia we wszelkich formach podporządko- wuje się tym prawom, podobnie jak deszcz, wiatr i zwierzęta. Może Śpiew Ognia i my wszyscy uczymy się właśnie nowych postaci praw, którym byliśmy posłuszni przez całe życie.

— Skoro jest tu mistrz Levy, by wprowadzać zamieszanie swymi naukami o prawach uniwersalnych, będziecie znów potrzebować sekretarza — odezwał się Karal, wygładzając swą ciepłą tunikę i uśmiechając się ciepło. — Cieszę się, że znów się na coś przydam.

An'desha pokiwał ze zrozumieniem głową; wiedział dobrze, jak bezczynność, nawet przymusowa, martwiła jego przyjaciela; cieszył się również, iż Karal znów poczuł się przydatny. Nie podołałby jeszcze żadnym pracom fizycznym, lecz ro- la sekretarza bardzo mu odpowiadała. Chciał powiedzieć jeszcze coś, ale Karal wyglądał na bardzo zmęczonego; w końcu od śniadania, jak sobie teraz uświado- mił An'desha, pracowali bez przerwy, porównując teksty Shin'a'in, Tayledrasów i Kaled'a'in. Praca umysłowa może wyczerpywać na równi z pracą fizyczną, na- wet jeśli, jak Karal, miało się do niej wyjątkowe predyspozycje.

— Popilnuj trochę Altry — odezwał się An'desha, sprytnie wykorzystując ognistego kota jako pretekst, by Karal odpoczął. — Ja pójdę sprawdzić, czy nasi gospodarze chcą dowiedzieć się czegoś o Sejanecie i mistrzu Levym.

Młodzieniec kiwnął głową, zamknął oczy i jedną ręką zaczął głaskać Altrę. An'desha zabrał pustą miskę i pomyślał, że następnym razem musi pamiętać o tym, by poprosić Shin'a'in o posiłek bardziej dostosowany do diety kota. Kiedy wychodził, Karal zapadał w drzemkę, Altra twardo spał, zaś Florian pilnował ich obu. An'desha poszedł do głównej komnaty w centrum Wieży. Mistrz Levy, już w dobrej formie, na kolanach, opierając się na rękach, przyglądał się posadzce. Spojrzał w górę, kiedy usłyszał wchodzącego.

— Czy ktoś już badał tu podłogę? — zapytał.

— Oglądaliśmy ją, ale nic nie wykryliśmy — odrzekł Shin'a'in. — Dlaczego pytasz? Znalazłeś coś?

— Być może. — Mistrz Levy wstał. — W czasie studiów zarabiałem, projek- tując i pomagając w budowie ukrytych drzwi i komnat dla bogatych lub ekscen- trycznych klientów. Wydaje mi się, że tutaj może coś być.

— Hmm — An'desha przyjrzał się uważnie posadzce i potrząsnął głową. — Wierzę ci na słowo. Jak myślisz, czy — o ile cokolwiek tam jest — zdołałbyś się do tego dostać?

— Być może — powtórzył mistrz Levy. — Kiedy odpocznę, muszę ją zbadać dokładniej. Na razie podtrzymuje mnie energia zdenerwowania plus raczej głu-

pia chęć pokazania, że jestem w lepszym stanie niż staruszek Sejanus. Za chwilę opuszczą mnie siły. Pójdę zjeść tę potrawkę, której zapach czuję, a potem zamierzam przespać cały dzień.

An'desha roześmiał się, a mistrz Levy wzruszył ramionami z politowaniem dla samego siebie. Kiedy skierował się w stronę piecyka i dymiącego kociołka z potrawką, An'desha ruszył z powrotem do Karala. Jednak w połowie drogi stanął i odwrócił się, nieco zaskoczony, słysząc wołający go miękki głos.

Należał on do jednego z czarno ubranych Kaled'a'in; obok niego stał drugi, w niebieskim stroju. Człowieka w czerni An'desha znał — był to Ter'hala, starszy mężczyzna, który nie mógł się zemścić za śmierć swego brata krwi, gdyż zamordował go Mornelithe Zmora Sokołów. Ironią losu było to, że w ciągu ostatnich kilku dni Ter'hala zaprzyjaźnił się z An'edshą. Oczywiście wiedział, kim był An'desha. Młody mag, zdenerwowany, co było zupełnie zrozumiałe, zapytał go, dlaczego wciąż nosi czerni; ten roześmiał się i odparł, że przyzwyczyił się do tego koloru i jest już za stary na zmiany.

— Ter'hala! — przywitał go An'desha. — Kim jest twój przyjaciel?

Kal'enedral wykonał powitalny gest.

— To Che'sera, młody przyjacielu. Chciał cię poznać.

An'desha skłonił się lekko.

— Zawsze czuję się zaszczycony, mogąc poznać ludzi służących Mądrej — powiedział uprzejmie, choć za cenę życia nie zdołałby odgadnąć, z jakiego powodu przybyło tu z Kata'shin'a'in aż tylu „Zaprzysiężonych Zwojom”, jak ich nazywał, w odróżnieniu od prawdziwych Zaprzysiężonych Mieczowi. — Jesteśmy wszyscy bardzo wdzięczni za gościnę i wyrozumiałość, jaką nam okazujecie.

„Może skłoniło ich do tego przybycie dwóch nowych intruzów, z czego jeden to mag z nieznanego im kraju. Chyba im się nie dziwię. My również jesteśmy intruzami; Gwiazdzistooka im, a nie nam, powierzyła zadanie ochrony Wieży i jej sekretów”.

Che'sera odwzajemnił ukłon.

— Miło mi cię poznać, An'desha — odrzekł głosem tak pozbawionym emocji, iż Shin'a'in nie mógł odczytać żadnego ukrytego znaczenia jego słów. — Nieczęsto ktoś, kto odszedł z Równin, by zostać magiem, znów do nas powraca.

— Nieczęsto szamani pozwalają mu powrócić — odpowiedział An'desha najspokojniej jak potrafił, choć w żaden sposób nie zdołał dorównać Che'serze. — Do niedawna nawet magowie pochodzący z Ludu nie mieli tu wstępu.

— Z pewnością rozumiesz, z jakiego powodu — odparł natychmiast Che'sera, gestem wskazując wewnątrz Wieży. — To ogromna pokusa. Czy jesteś pewien, iż będąc magiem Tayledrasów, nie spróbowałbyś użyć tej broni przeciwko temu, kogo zwano Zmorą Sokołów?

An'desha zadrżał. Wciąż pamiętał zbyt wiele z tego, co uczynił Zmora Sokołów w czasie, kiedy wykorzystywał jego ciało jako swoje. Za tymi wspomnieniami

mi zaś cisnęły się inne, nieskończona lista okropności sięgających w zamierzczłą przeszłość.

— Spróbowałbym — przyznał. — Spróbowałbym wszystkiego, by pokonać potwora. Wszystkiego, co oszczędziłoby innym jego okrucieństwa.

Che'sera wzruszył ramionami.

— A ilu z was musiało pracować razem, by wykorzystać tylko energię jednej z tych broni, a nie samą broń?

— A jednak wpuściliście nas tutaj. — An'desha pozwolił sobie unieść brwi.

— Owszem. I częściowo z tego powodu chciałem z tobą porozmawiać — odrzekł Che'sera. — Czy jest tu jakieś odosobnione miejsce, żebyśmy mogli porozmawiać jak Shin'a'in z Shin'a'in?

Teraz An'desha był o wiele bardziej zaskoczony i nie całkiem pewien, co Che'sera miał na myśli. Po raz pierwszy którykolwiek z obecnych tu Shin'a'in zwrócił się do niego w taki sposób; większość wydawała się czuć niepewnie na widok maga będącego Shin'a'in, a niektórzy twierdzili że jego mieszane pochodzenie czyni z niego bardziej obcego niż Shin'a'in.

— Oczywiście, jeśli chcesz — kiwnął głową w kierunku sypialni. — Śpi tam mój przyjaciel Karal; nie usłyszysz nas, a my nie będziemy mu przeszkadzać, jeśli będziemy mówić cicho. Obawiam się, że nie mogę zapewnić bardziej odosobnionego miejsca, gdyż pomimo dużej powierzchni nieco nam go brakuje.

Che'sera kiwnął głową.

— Wystarczy — odparł i gestem poprosił An'deshę, by poprowadził.

Mag przeszedł ostrożnie obok śpiących Karala i Altry; żaden z nich się nie poruszył, a jedyną oznaką życia był ich równy oddech. Przez chwilę miał mieszane uczucia: czuł jednocześnie obawę i ciekawość. Zastanawiał się, co Che'sera ma mu do powiedzenia na osobności.

Wskazał na swoje postanie, poczekał, aż gość usiądzie i dopiero sam zajął miejsce.

— Zatem, czego chcesz ode mnie, Zaprzysiężony?

Kiedy Che'sera wreszcie go zostawił, An'desha przez chwilę siedział oparty o delikatnie zaokrągloną ścianę i nie myślał o niczym. Czuł się tak, jakby Shin'a'in wyjął mu mózg z czaszki, obejrzał go, przewrócił na lewą stronę, a potem, kiedy skończył, starannie włożył z powrotem i wsunął końce, żeby nie wystawały.

Prawdopodobnie był o wiele lepszy w prowadzeniu przesłuchań niż ktokolwiek, kogo spotkał w życiu An'desha czy Zmora Sokołów we wszelkich swych wcieleniach. „W tej chwili mógłby przewidzieć moją reakcję niemal w każdej sytuacji i to lepiej niż ja sam!”

Choć pytał dosłownie o wszystko, wydawał się szczególnie zainteresowany awatarami. To akurat nie zaskoczyło An'deshę, gdyż wcześniej czy później wszyscy Zaprzysiężeni chcieli jak najwięcej dowiedzieć się o Jutrzence i Tre'valenie.

Niektórzy z nich byli obecni przy przemianie Jutrzenki, uwięzionej w ciele własnego więź-ptaka, w awatara. An'desha uważał, że to dość kiepski substytut przywrócenia jej ludzkiego ciała. Jednak może to nie było możliwe; owszem, Gwiazdzistooka zdołała odwrócić większość zmian, jakie poczynił w ciele An'deshy Zmora Sokołów, ale polegało to na przywróceniu stanu pierwotnego, a nie całkowitej jego zmianie.

„Może zdołałaby jedynie zmienić Jutrzenkę w trevardi, ptasiego człowieka, a to byłoby dość okrutne, gdyż trevardi są bardzo słabe i nie przypominają ludzi, a tak przynajmniej Jutrzenka pozostała sobą i na pewno nie jest słaba”.

Czuł także inne możliwe komplikacje, o których nikt mu nie wspominał. Do tego dochodził fakt, iż Jutrzenkę już oplakano, a jej ciało pogrzebano, kiedy jego więź z duszą przerwał Zmora Sokołów. Bóstwo niekoniecznie musiało wskrzeszać, gdyż to prowadziło nieuchronnie do pytań w rodzaju: „Dlaczego ona, a nie mój ojciec, matka, siostra czy kochanek?” Ogólnie rzecz biorąc lepiej tego nie próbować. Wystarczy wspomnieć wysiłki Towarzyszy ukrywających sekret swojej natury, a oni przecież nawet nie wracali w ludzkiej postaci!

Takie filozoficzne pytania pojawiły się w czasie rozmowy z Che'serą — chociaż raczej ze strony An'deshy niż tego ostatniego — jednak Che'sera zřęcznie uchylał się od odpowiedzi. Może chciał, by mag sam jej poszukał; to uczucie wzmagało się w trakcie trwania rozmowy.

„I przez cały ten czas nie dowiedziałem się niczego o samym Che'serze”. To było naprawdę niezwykle, gdyż Zmora Sokołów potrafił świetnie prowadzić podobne rozmowy, a część jego umiejętności przejął An'desha. W odpowiednich okolicznościach mag nie wzdragał się ich użyć, jednak przez cały czas tej rozmowy udało mu się przemycić zaledwie jedno czy dwa osobiste pytania. Che'sera był wyjątkowy nawet jak na Shin'a'in.

Czuł potrzebę zrobienia czegoś. Naczynia czekały na pozmywanie, ubrania na naprawę, pozostało jeszcze wiele innych zajęć. A może powinien przejrzeć zapasy jedzenia przywiezione przez Shin'a'in i spróbować ugotować coś innego niż kolejną zupę czy potrawkę, którymi dotychczas ich karmiono. An'desha nie był może najlepszym kucharzem, ale umiał przygotować potrawy, jakich nie znał nikt z obecnych. Wstał i poszedł szukać czegoś pożytecznego do zrobienia.

Kuchnią i ubraniami już ktoś się zajął, ale można jeszcze było ugotować nowe danie na kolację. Mieli świeże mięso przywiezione przez myśliwych Shin'a'in, fasolę, trochę cebuli, przypraw i suszonej papryki. Przypomniał sobie o potrawie ugotowanej przez Karala, kiedy przyszli zbyt późno, by zjeść kolację z dworem czy młodymi heroldami. Pokroił w kostkę część mięsa i paprykę, dodał cebulę, fasolę i słodkie przyprawy, po czym wszystko wymieszał i postawił na słabym ogniu. Jedli już wszystkie te składniki, ale nie w takiej kombinacji. Na pewno to danie będzie się różniło od tego, co gotowali Shin'a'in, a o to magowi chodziło.

Pokrojenie mięsa tak drobno, jak tego wymagał przepis, zajmowało dużo cza-

su, a kiedy ręce były zajęte, umysł mógł odpocząć. Jednak odpoczął nie tylko umysł An'deshy; mimo że Karal spał dalej, pozostali zaczęli się budzić. Kiedy mag kończył przygotowania, mistrz Levy poszedł znów obejrzeć główną komnatę; na kolanach przypatrywał się uważnie posadzce i maleńkimi narzędziami wyjętymi z woreczka przy pasku sprawdzał wszelkie szczeliny.

An'desha umył naczynia i nóż, wytarł ręce i poszedł do niego.

— Czy mogę w czymś pomóc? — zapytał, kucając tuż za plecami mistrza.

— Tak, tu na pewno coś jest — odrzekł z roztargnieniem mistrz Levy. — To ruchomy kamień; zapewne spada w dół prosto na otwór wyrzeźbiony w skale. Znalezienie mechanizmu zapadni może mi zająć trochę czasu. Powiedz, czy rozumiesz, w jaki sposób ten mag myślał? Liczbami czy przedmiotami? Jak w... na przykład Karsyci myślą systemem jedynek, siódemek i ósemek. Jeśli budują pułapkę z zapadką, umieszczają w niej pojedynczy punkt uruchamiający mechanizm albo siedem takich punktów. Mają bowiem jednego boga, lecz zwykle przedstawiają go w postaci wschodzącego słońca z siedmioma promieniami lub słońca w zenicie — z ośmioma promieniami. Rethwellańczycy niemal zawsze używają liczby trzy ze względu na trzy twarze ich bogini. Większość Valdemarczyków użyłaby liczby trzy lub dwa; trzy — z tego samego powodu co Rethwellańczycy, a dwa — dla ich boga i bogini. To nie jest świadome rozumowanie, jedynie wzory, które ludzie przyswajają jeszcze w dzieciństwie.

— Spróbuj czterech — poradził mu An'desha po chwili namysłu. — Urtho, jeśli wyznawał jakąkolwiek religię, wyznawał wiarę Kaled'a'in. To również wiara Shin'a'in. Mimo że widać tu wiele linii falistych i bardzo swobodnych, jest też sporo ornamentów o kształtach rombu i kwadratu.

Mistrz Levy chrząknął, jakby w podzięcie, i zaczął sprawdzać większą powierzchnię podłogi. W końcu przysiadł na piętach, rozłożył palce i potrząsnął głową.

— Sprawdźmy, czy mamy niesamowite szczęście i punkty uruchamiające mechanizm rzeczywiście zostały ułożone według planu? — zapytał. Jego zwykle ponura twarz miała wyraz radosny. — Jeśli słusznie odgadłeś, znaleźliśmy wszystkie cztery punkty; jeśli ja miałem rację, tak daleko wewnątrz Wieży Urtho nie kłopotał się zbyt starannym ukrywaniem dodatkowych pracowni i nie będzie nam trudno do nich dotrzeć. Zapewne nie domyślasz się porządku uruchamiania tych przycisków?

— Myślisz, że nie naciska się wszystkich naraz? — An'desha zastanowił się. — Wschód, południe, zachód, północ. Taki porządek zachowują obrzędy; wschód oznacza Pannę, a północ — Staruchę.

— Propozycja dobra jak każda inna. Zobaczmy, co się stanie.

Mistrz Levy wyciągnął narzędzie, ale An'desha chwycił go za rękę.

— Zaczekaj! — zająknął się. — Jeśli zrobisz to niewłaściwie, czy coś... może się stać? Na przykład sufit spadnie nam na głowy, miażdżąc nas, albo skądś

zacznie się wydobywać trujący gaz?

Mistrz Levy zatrzymał się na chwilę.

— To możliwe... — zaczął, a potem roześmiał się na widok wyrazu twarzy maga. — Na niebiosa, przecież nie umieściłby czegoś podobnego w podłodze, prawda? Tam, gdzie mechanizm mógłby zostać uruchomiony przez przypadek, gdy ktoś na tym stanie?

Zakłopotany An'desha zaczerwienił się.

— Chyba nie... — odrzekł, puszcżając rękę mistrza. Mistrz Levy wrócił do przerwanege zajęcia — przycisnął mały punkcik na posadzce. An'desha zafascynowany stwierdził, iż punkt obniżył się lekko — gdyby włożyć w niego monetę, nie wystawałaby ponad poziom posadzki. Potem mistrz nacisnął drugi przycisk, trzeci — oba również nie wróciły do poprzedniego położenia — a chociaż An'desha nie domyślał się wcześniej, gdzie znajduje się drugi punkt, kiedy już widział odległość pomiędzy nimi, zdołał przewidzieć położenie trzeciego i czwartego, zanim jeszcze mistrz ich dotknął. Wstrzymał oddech, kiedy Levy nacisnął ostatni przycisk.

Przez długą chwilę nic się nie działo i mag westchnął z rozczarowaniem. Jednak mistrz przechylił głowę na bok, a kiedy usłyszał westchnienie — wstał, przyjrzał się wzorom na podłodze układającym się w kształt ośmiokąta, po czym nogą w ciężkim bucie stanął mocno na jednym z kątów. Powoli, ze zgrzytem kamień obniżył się na głębokość kciuka. Mistrz Levy znów tupnął silnie — kamień wpadł trochę głębiej.

— Zaciął się. Rozumiesz, jest stary — powiedział sarkastycznie, uderzając dalej w starannie wybrane miejsce; w końcu kamień opadł na głębokość równą długości dłoni i wtedy zaczął przesuwac się w bok. Kiedy pomiędzy nim a resztą podłogi ukazała się wążiutka szpara, mistrz uklęknął i spojrzał w nią.

Do tej pory dzięki tupaniu i zgrzytaniu kamienia o kamień mistrz ściągnął na siebie uwagę wszystkich, którzy nie spali.

— Patrzcie! — zawołał Srebrny Lis, kiedy ciekawscy zgromadzili się wokół. — Nigdy bym nie odgadł, że to tu jest!

— Patrzę — odparł mistrz. — Mechanizm chodzi trochę ciężko, ale to nic dziwnego, zważywszy na jego wiek. Obawiam się, że po otwarciu już nie uda się go zamknąć.

— Nie ma problemu — odezwał się Śpiew Ognia, klękając obok, by samemu spojrzeć w szczelinę, podczas gdy Srebrny Lis poszedł pożyczyc łom od ludzi z Równin. — Jeśli tam na dole znajduje się coś, czym warto się zainteresować, nie będziemy chcieli zamykać tej komnaty, a jeśli nie, sprzątniemy ją i wykorzystamy na przykład na sypialnię.

Mistrz chrząknął i kiwnął głową, bardzo ostrożnie przesuwając palcami wzdłuż szczeliny. Potem zbliżył do niej nos i zaczął mocno wdychać powietrze.

— Nie czuję niczego podejrzanego — powiedział w końcu. — A zawsze miałem najlepszy nos w grupie. Kiedy studenci przeprowadzali doświadczenia, mistrz alchemii zawsze liczył, że go zawiadomię, jeśli trzeba by ich ewakuować.

— Pocieszające, biorąc pod uwagę, że w komnacie pod spodem, mógłby się znajdować mechanizm wypuszczający trujący gaz — powiedział Sejanes, podchodząc do nich z włosami potarganymi od snu. W tej chwili nadszedł Srebrny Lis z łomem i pokręcił głową.

— Nie Urtho, to niemożliwe, zwłaszcza we własnej Wieży — odparł stanowczo. — Był to współczujący, godny zaufania i rozważny człowiek; miał wiele pomysłów, ale nie był mściwy. Stworzyłby osłony mające zabezpieczać, a nie karać. Nie ryzykowałby tego, że jakiś ciekawski hertasi albo inne niewinne stworzenie uruchomi pułapkę.

Sejanes nie wydawał się przekonany, lecz nic nie odpowiedział. Jednak Srebrny Lis właściwie odczytał jego spojrzenie.

— Nie jesteś w Imperium, Sejanesie — powiedział. — Nie masz do czynienia z ludźmi dążącymi do stanowiska za wszelką cenę. Służba Urtho i jego przyjaciele mogliby za niego umrzeć — i ku jego żalowi wielu za niego zginęło. Tutaj, w sercu jego własnej twierdzy, nie użyłby czegoś, co mogłoby zranić jego ludzi.

Mistrz Levy wsunął pręt w szczelinę i pociągnął.

Kamień zazgrzytał i przesunął się lekko, po czym zaczął poruszać się sam dalej. Teraz szczelina miała szerokość dłoni.

— Czy chcemy ją zbadać, zanim otworzymy dalej? — zapytał mistrz Srebrnego Lisa. — Polegam na twoim wyczuciu, gdyż wydajesz się wiedzieć o gospodarzu tej wieży więcej niż ktokolwiek inny.

Srebrny Lis spojrzął znacząco na An'deshę, który w odpowiedzi na milczące pytanie potrząsnął głową.

— Moja wiedza jest skażona, gdyż pochodzi od wroga — powiedział od razu. — Ma'ar zapewne nie doceniał przeciwnika, którego uważał za sentymentalnego słabeusza.

— Moglibyśmy opuścić w dół latarnię na linie — zaproponował Srebrny Lis. — Wtedy przynajmniej coś zobaczymy. Może to być na przykład studnia, a nie magazyn czy kolejna pracownia.

— Źródło wody inne niż śnieg na zewnątrz bardzo by się przydało — mruknął Lo'isha. Mistrz Levy usłyszał jego uwagę i kiwnął głową w odpowiedzi na oba stwierdzenia.

Tym razem to An'desha poszedł szukać lampy i odpowiednio mocnego sznurka. Od czasu przyjazdu tutaj nie potrzebowali latarni, choć Shin'a'in przywieźli kilka na wypadek, gdyby magiczne światła zawiodły. Magiczne lampy, zwisające ze środka sufitu w każdej komnacie, świeciły wystarczająco intensywnie i jak do tej pory nie ucierpiały od magicznych burz, które powodowały tyle kłopotów na zewnątrz Wieży. An'desha wyciągnął latarnię ze stosu przedmiotów, których

nikt nie potrzebował, a w kuchni znaleźli kawałek sznurka. Napełnił latarnię olejem, nożyczkami z krawieckiego przybownika przyciął knot, zapalił go i ruszył do komnaty, gdzie czekali pozostali.

Mistrz Levy przywiązał sznurek do latarni i opuścił ją do studni, a inni skupili się wokół. An'desha ze swojego strategicznego miejsca nie mógł nic dojrzeć, podobnie jak większość Shin'a'in.

— I co? — zawołał Che'sera. — Co tam jest?

— Głównie schody — odrzekł mistrz Levy. — Zatem to nie studnia. Chyba widzę na dnie coś, co przypomina meble, ale światło nie sięga zbyt głęboko.

— Ale nie przygasa z powodu powietrza, prawda? — zapytał niespokojnie An'desha, któremu nasunęły się wspomnienia Zmory Sokołów z otwierania grobów. — Nawet jeśli nie ma tam trucizny, powietrze mogło się zepsuć od tego, co zostało tam zamknięte.

— Nie, pali się dość jasno. Po prostu do kolejnego piętra w dole jest dość daleko, a lampa znajduje się za wysoko — odpowiedział mistrz Levy. — To tylko kwestia kontrastów i przejrzystości powietrza. Cóż, nic na to nie poradzimy. Wracamy do pracy.

Ponownie wsunął w szczelinę pręt i zaczął podważać oporny kamień. Kilku obserwatorów spojrzało na siebie, zastanawiając się, dlaczego mistrz użył tak wyszukanych słów na stwierdzenie faktu, iż nie widzi dobrze. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, zestarzały mechanizm ustąpił. Kamień wsunął się w kryjówkę pod podłogą, a mistrz Levy, zaskoczony, upadł do tyłu. Pręt wypadł mu z dłoni i potoczył się na schody, dzwierząc głośno.

Jedynie An'desha pozostał, by pomóc oszołomionemu mistrzowi wstać; reszta widzów pośpieszyła ku schodom. Śpiew Ognia biegł pierwszy. W ciągu kilku chwil znikli z pola widzenia. Śpiew Ognia wypowiedział jedno słowo; z dołu błysnęło światło i rozległy się stłumione okrzyki.

— Moglibyście chociaż powiedzieć „dziękuję”! — zawołał mistrz Levy za nimi i westchnął, masując stłuczone biodro. — Idź też zobaczyć, co odkryli, mam tylko nadzieję, że nie jest to skarbiec Urtho; złoto i klejnoty na wiele nam się nie przydadzą.

— W skarbcu Urtho znaleźlibyśmy książki, nie błyskotki — zapewnił go An'desha. — Ale my też powinniśmy zejść, zanim entuzjazm pozbawi ich rozsądku.

Mistrz Levy ostrożnie szedł po stromych kamiennych stopniach, za nim An'desha. Zeszli w dół dalej, niż przewidywali, gdyż kamienna posadzka nad głową okazała się gruba na szerokość dłoni, a może nawet bardziej — zapewne dlatego nie dzwięczała głucho pod stopami, lecz odzywała się jak kamień w innych komnatach. To pomieszczenie wydawało się być wydrążone w skale już po zbudowaniu samej Wieży.

Mimo że powietrze było nieco duszne i pełne kurzu, z wyczuwalnym metalicz-

nym zapachem, nie było wilgotne. Pomieszczenie zaś nie wyglądało na tak ciemne i ponure, jak oczekiwał tego An'desha. Wszędzie paliły się magiczne światła, a kiedy rozejrzał się wokół, nie miał wątpliwości co do przeznaczenia komnaty. Była to niegdyś pracownia, kryjąca wszelkie pomoce niezbędne człowiekowi o wszechstronnych zainteresowaniach.

Nie trzeba wspominać, iż komnata była zatłoczona, mimo że wielkością niemal nie ustępowała głównej komnacie na górze. Nie przypominała klasycznej pracowni maga — miejsca przeznaczonego na praktykowanie magii, zawierającego jedynie niezbędne fizyczne przedmioty. Tutaj znajdowało się wszystko, nad czym można było pracować i czym można się było bawić. Stały tu ławki, na pierwszej — mnóstwo szklanych pojemników oraz rzędy słoików, kiedyś pełnych substancji, zarówno stałych, jak i ciekłych, z których większość wyparowała, pozostawiając po sobie jedynie kurz albo oleiste resztki na dnie. Na drugiej ławce znajdowały się tokarka, imadło, narzędzia do obróbki drewna i kości słoniowej oraz narzędzia do obróbki metali miękkich, a na trzeciej — narzędzia do cięcia oraz polerowania kryształów, szkła i soczewek. Przy tym wszystkim nie na miejscu wydawało się koło garncarskie i rurki do wydmuchiwania szkła, a także stojące pod ścianą stemple oraz piecyki do wypalania ceramiki, szkła i rud metali. Zapewne kiedyś uchodziły do wspólnego przewodu kominowego, od dawna zablokowanego wskutek zburzenia Wieży. Oprócz tego w komnacie znajdowało się jeszcze wiele ławek i przyrządów, lecz ze schodów An'desha nie mógł ich dojrzeć; widział jedynie, że większość z nich była używana do dnia kataklizmu.

An'desha stał i patrzył, podczas gdy reszta wędrowała po komnacie i oglądała znaleziska, nie dotykając niczego. Mistrz Levy z kolei przyjrzał się dokładnie komnacie z wysokości schodów i wydawał się wyjątkowo zadowolony z tego, co zobaczył.

— To o wiele bardziej pasuje do moich metod pracy — powiedział, zakładając ręce na piersi i z aprobatą prześlizgując się wzrokiem po warsztacie. — Chyba polubiłbym tego Urtho.

Na wszystkich ławkach leżały dokończone, bądź nie, projekty. Czasami trudno byłoby stwierdzić, czemu niektóre z nich służyły — jeśli w ogóle miały cel. Obok nich znajdowały się starannie poskładane notatki; najwyraźniej Urtho był człowiekiem metodycznym i lubiącym porządek, przynajmniej w pracowni. Śpiew Ognia stanął przy ławce zastawionej bardzo dziwnymi narzędziami. Spojrzał z tęsknotą na papiery, choć powstrzymał się od dotknięcia ich.

— To doprowadza mnie do szału — jęknął, nachylając się nad małym skrawkiem manuskryptu. — Boję się nawet oddychać przy tych notatkach w obawie, by się nie rozpadły, ale umrę, jeśli nie dowiem się, co jest na następnych stronach!

Jednak coś w wyglądzie papieru poruszyło najgłębsze wspomnienia An'deshy; mag zszedł ostatnie kilka stopni i podszedł do ławki wyglądającej jak warsztat jubilera. Leżała na niej na pół skończona broszka — nic magicznego ani

mechanicznego, zwykły klejnot w kształcie kolibra inkrustowanego kawałeczkami agatu tworzącymi pióra.

— Zaczekaj — mruknął. Obok broszki leżał projekt; po starannym obejrzeniu kartki An'desha wziął ją do ręki.

Srebrny Lis stłumił westchnienie zaskoczenia, Śpiew Ognia — okrzyk protestu. An'esha pomachał przed nimi nietkniętą kartką, by dowieść, że nie rozpadła się w proch.

— Bierzcie, co chcecie — zachęcił. — To nie jest papier. A raczej nie taki papier, jaki znamy i jakiego używamy teraz. To specjalny papier z materiału nasyczonego gumą, aby się nie rozpadł. Można po nim pisać ołówkiem albo rysikiem z grafitu lub świecy, ale nie atramentem, bo rozleje się on i nie wsiąknie.

— Naprawdę? — mistrz Levy podszedł do najbliższej ławki i podniósł kolejną kartkę. — W pobliżu chemikaliów taki wynalazek bardzo się przydaje.

— Przydaje się w pobliżu wszystkiego, co mogłoby zrujnować twoje notatki — zauważył Śpiew Ognia, chwytając papier, w który tak chciwie się wpatrywał. — O... a to... a niech mnie... — Trzymał kartki wysoko, by również Srebrny Lis mógł się im przyjrzeć; obaj nachylili się nad nimi, usiłując odcyfrować notatki Urtho zapisane w starożytnym kaled'a'in, posiłkując się językiem Sokolich Braci, który znał Śpiew Ognia, oraz nowoczesnym kaled'a'in — językiem Srebrnego Lisa.

Che'sera spojrział na nich z ciekawością, ale Lo'isha roześmiał się z ich entuzjazmu.

— Chyba straciliśmy ich na jakiś czas — powiedział. — Znam to spojrzenie. Tkacz wplata się we własną tkaninę!

— Nie całkiem — odparł Śpiew Ognia z roztargnieniem. — Ale będę się bardzo cieszył, gdy dołączy do nas ów uczony Srebrnego Lisa i pomoże nam się z tym uporać — machnął ręką w stronę ławki z przedmiotami przypominającymi dwa lustra stanowiące pokrywy dwóch pojemników. — Te są skończone, ale to wcale nie zabawki. Powinny działać jak para połączonych zaklęć poszukujących; jednakże nie posługują się prawdziwą magią, lecz magią umysłu. Widocznie może ona pokonać niewyobrażalne odległości. W jakiś sposób zwierciadła wzmacniają ją tak, że do uruchomienia tego przyrządu wystarczy tylko jedna osoba z darem myślmagii... przynajmniej według mnie tak tu jest napisane.

Wszystkie głowy zwróciły się w kierunku adepta. Ten w końcu oderwał wzrok od notatek, którym przyglądał się wspólnie ze Srebrnym Lisem, i odgarnął włosy z oczu.

— Jednak przyciągnąłem waszą uwagę? — zapytał z kpiącym uśmiechem.

Jeśli to urządzenie korzysta z magii umysłu, jego działanie nie zostało zaburzone magicznymi burzami — odezwał się myślęty z góry; ze schodów z wdziękiem zszedł Altra i usiadł na stopniu na wysokości głów ludzi. — *To nie tylko może się przydać; jeżeli nauczymy się ich używać, mogą zabrać jeden komplet do Przysta-*

ni; jeśli nauczymy się je konstruować, zabiorę drugi komplet do Solaris. A mój dar myślmagii z pewnością wystarczy, żeby je uruchomić niezależnie od tego, kto zechce z nich korzystać.

— Myślałem, że nie chcesz już więcej skakać — odezwał się ironicznie Śpiew Ognia. An'desha zachichotał.

Nie chcę, ale takie urządzenie mogłoby zastąpić część moich obowiązków, a ponadto zapewnić nam dostęp do wszystkich kolegów mistrza Levy'ego w Przy-stani — odrzekł Altra z godnością. — Jeśli o to chodzi, nie musiałbym koniecznie skakać do Solaris; Hansa może przenieść się tutaj i zabrać przyrząd.

An'desha stłumił uśmiech będący reakcją na nie wyrażoną słowami, ale wyczuwalną aluzję Altry, iż jego współtowarzysz, również ognisty kot, trochę za łatwo wykreślił się od uciążliwych obowiązków związanych z transportem.

Nasza zdolność skakania opiera się częściowo na prawdziwej magii, a częściowo na magii umysłu — ciągnął Altra, wyjątkowo bez śladu ironii i drwiny w głosie. — Jak odkryli mistrz Levy i Sejanos, również dla pasażerów skakanie staje się ryzykowne. Nie możemy już pokonywać dużych odległości; nie przesadza-łem, mówiąc o moim złym samopoczuciu po podróży. Byłem wyczerpany i znużony, co do tej pory zdarzało się rzadko. Według mnie już niedługo skakanie może stać się bardzo niebezpieczne. Jeśli znajdziemy sposób na porozumiewanie się z Przy-stanią i z Karsem, będzie to bezcenne odkrycie.

— Sam się tego domyśliłem, dziękuję — odparł nieco kwaśno Śpiew Ognia. — Jeśli wyczarujesz tego uczonego Kaled'a'in, mamy szansę nauczyć się obsługi tego urządzenia do czasu, kiedy już nie będziesz mógł zabrać go do Valdemaru.

— Uczony będzie tu wkrótce — wtrącił Che'sera, podnosząc wzrok znad ławki ze szkłem. Jego granatowy strój odbijał się na zakurzonej tle. — Problem w tym, że jego asystent jest... jak nazywacie lud jaszczurek?

— Hertasi — odparł Srebrny Lis. Twarz przystojnego kestra'chern rozjaśniła się na słowa Che'sery. — A, więc to Tarn przyjedzie! To świetnie! Może jest delikatny, ale to najlepszy znawca starożytnej wersji naszego języka poza krajem Białego Gryfa, a poza tym dobre stworzenie. — Wydawał się bardzo uradowany tą wiadomością; a to dało An'deshy poczucie, że wreszcie zaczęli posuwać się naprzód.

— Tak. Mieli tylko kłopot z przetransportowaniem ich w koszu gryfów i za-pewnieniem ciepła bez pomocy magii. — Che'sera zostawił ławkę i podszedł ku schodom. — Kiedy wyjeżdżałem, znaleźli rozwiązanie i planowali przyjechać dwa albo trzy dni po mnie. Mieli jedynie skonstruować jakiś przyrząd i natych-miast wyjechać. Chciałem powiedzieć wam o tym wcześniej, kiedy przyjechałem, ale wydawaliście się zajęci, a potem musiałem przede wszystkim załatwić pewne sprawy z An'deshą.

— To jeszcze lepsza wiadomość! — Śpiewowi Ognia nastrój poprawił się tak bardzo, że nie skomentował ostatnich słów. — Jeżeli po pobieżnej obserwacji nie

znajdziemy tu nic godnego uwagi, proponuję skupić się na tym urządzeniu. Jeśli uda nam się nawiązać regularną łączność z magami i mistrzami rzemiosł, będziemy w takiej sytuacji jakbyśmy przebywali w Przystani, z wszystkimi korzyściami płynącymi z pobytu w Wieży i możliwością wprowadzenia w życie naszych pomysłów.

Rozejrzał się po pozostałych członkach grupy, ale większość wzruszyła ramionami z obojętnością lub zakłopotaniem.

— To ty i Sejanes powinniście zdecydować. Ja bez tłumacza nie przydam się na wiele — powiedział mistrz Levy z wielką szczerością. — W tej chwili nie mam nad czym pracować, gdyż, jak widzę, musimy opracować nowe teorie, które będą pasować do zmieniających się warunków. Jednak do tego trzeba przestudiować sam kataklizm i metody stosowane przez Urtho. Zatem do przyjazdu tłumacza jedyne, co mogę i postaram się zrobić, to sprawdzić, czy to miejsce nie kryje jeszcze podobnych sekretów.

— Nie przydasz się! — parsknął Śpiew Ognia. — A kto znalazł tę komnatę? Proszę, tylko bez fałszywej skromności!

— To może ja będę mógł w czymś pomóc — wtrącił ostrożnie Che'sera. — Zbadam przedmioty, które zdają się mieć przeznaczenie szamańskie; sprawdzę, co uda mi się wymyślić. My, Shin'a'm, straciliśmy wiele, kiedy kataklizm zniszczył nasze ziemie i rozproszył klany. Może uda mi się odzyskać część z tego, co zaginęło, a co może nam się przydać.

„Aha!” — pomyślał triumfalnie An'desha. — „Teraz wiem, kim jesteś, tajemniczy незнаjomy! Zaprzysiężony Staruchy i zarazem szaman! Ciekawe, czy sprowadziła cię tutaj potrzeba pilnowania magów, czy nadzieja powstrzymania nas przed odkryciem czegoś, co klany wołałyby zachować dla siebie? Czy to ciekawość znalezisk, jakich możesz dokonać w Wieży, czy coś zupełnie innego? A może ja?”

Mogło tak być, ale nie zamierzał pysnić się i uznawać siebie za główny powód przybycia szamana. Kal'enedral mogli go tu potrzebować z wielu powodów; większość Zaprzysiężonych nie była le'shya, połączonymi z Gwiazdzistooką bezpośrednio, choć wszyscy mogli wejść na Księżycowe Ścieżki, kiedy tylko zechcieli. Choć An'desha nie raz i nie dwa widział wokół siebie postacie w zasłonach na twarzach, nigdy nie zostawały one długo; miał wrażenie, iż nie pozwalano im przybierać fizycznej postaci na zbyt długi czas — jedynie w razie potrzeby albo wtedy, kiedy oni sami stawali się swego rodzaju wieścią.

„Księżycowe Ścieżki... może sam powinienem na nie wejść. Nie rozmawiałem z Tre'valenem ani Jutrzenką, odkąd spaliliśmy broń Urtho”.

Śpiew Ognia podniósł wzrok jakby coś na moment odwróciło jego uwagę — spojrzał zamyślony na An'deshę.

— Wiesz — zaczął — to wszystko wydaje mi się zbyt szczęśliwym zbiegiem okoliczności... mam na myśli znalezienie tego urządzenia.

An'desha uśmiechnął się lekko, widząc Che'serę spoglądającego na niego w taki sam sposób.

— To w stylu Gwiazdzistookiej — usłyszał odpowiedź. — Ona daje takie okazje tym, którzy sami sobie pomagają. Na twoim miejscu traktowałbym jednak te znaleziska z ostrożnością, gdyż Ona nie zapewnia łatwych rozwiązań. Umysł panujący nad ręką musi mądrze używać narzędzia, które przecież zawsze może zranić tego, kto je trzyma.

Śpiew Ognia chrząknął i przez chwilę wydawał się analizować te słowa tak, jak Shin'a'in rozważa enigmatyczną radę szamana, którą uznaje za godną przemyślenia. Po chwili jednak adept wzruszył ramionami i wyszedł z garścią kartek.

An'desha popatrzył na innych: Che'sera stłumił lekki uśmiech i dołączył do Lo'ishy, zgiętego nad skarbami leżącymi na ławce w odległym kącie. Sejanes badał ławkę z przyrządami, których mag nie rozpoznawał. Śpiew Ognia i Srebrny Lis w jednej chwili znaleźli się w połowie schodów, z papierami w rękach, gawędząc z ożywieniem i nie zwracając uwagi na pozostałych. Mistrz Levy wszedł już z powrotem na piętro, które An'desha traktował teraz jak parter, Karal zaś najprawdopodobniej wciąż spał. Oprócz Che'sery mogli tu być jeszcze inni Kal'enedral, ale nie było to pewne. Na ogół większość czasu spędzali w obozie na powierzchni, a skoro An'desha wziął na siebie przygotowanie kolacji, nie mieli tu nic do zrobienia. Właściwie nic nie przeszkadzało temu, by odwiedzić teraz Księżycowe Ścieżki.

Wszedł na górę najciszej, jak potrafił, po drodze kiwając głową Altrze. Ognisty kot kiwnął w odpowiedzi z ogromnym dostojeństwem, po czym odwrócił się, by pójść za Śpiewem Ognia i Srebrnym Lisem; jego ogon powiewał jak królewski sztandar. Najwyraźniej chciał się przekonać, jakie mieli zamiary; zapewne byli w tej chwili najbardziej interesującymi osobami w całej Wieży.

An'desha skierował się w stronę sypialni. Karal rzeczywiście nadal spał. Kiedy mag na moment zatrzymał się w drzwiach, zauważył mistrza Levy'ego w sąsiedniej komnacie, gdzie An'desha i Karal znaleźli wcześniej ślady innego mechanizmu. Mistrz znów badał podłogę na kolanach. Obok niego stał Florian, który czasami stukał w posadzkę kopytem.

An'desha przekradł się na palcach obok pościania Karala do własnego łóżka. „Jeśli będę wyglądał, jakbym uciął sobie drzemkę, nikt mi nie przeszkodzi”. Zdjął buty i ułożył się w pozycji, jaka wydała mu się najbardziej naturalna dla śpiącego.

Wtedy zastanowiło go, że bardzo stara się zachować sekret, a przecież nie ma do tego powodu. „Z drugiej strony, chyba nie chcę, żeby Che'sera dowiedział się o wszystkim, co robię, zanim ja nie dowiem się więcej o nim”. Gdyby Che'sera okazał się człowiekiem o tak sztywnych przekonaniach jak początkowo Jarim albo tak nietolerancyjnym jak szaman klanu An'deshy, łatwiej będzie się utrzymać z dala od niego i jego żądań, jeśli nie będzie świadomy tego, co An'desha wie i może zrobić.

„Powiedziałem mu jedynie, że awatary do mnie przychodzą, a nie — że mogą ich poszukać. I na razie niech tak zostanie”.

Ułożył się wygodnie, zwolnił oddech i wprowadził w owo specyficzne połączenie odprężenia i napięcia, znaczące trans Księżycowych Ścieżek. Dla nie wprawionych w tej technice było to o wiele trudniejsze, niż się wydawało; przy zbyt wielkim napięciu nie udawało się wejść w trans, przy zbyt wielkim odprężeniu po prostu się zasypiało. Kiedy An'desha znalazł się na krawędzi transu, całkowicie skoncentrowany, nie rozpraszany przez rzeczywisty świat, wysłał myśl do wewnątrz, a potem na zewnątrz, w sposób, jakiego uczył go Tre'valen — wydawało się to tak dawno temu.

W tej wizji znalazł się na ścieżce srebrnego, migoczącego pyłu, otulony wirującą, lśniąca przytłumionym blaskiem mgiełką. Raczej wydawał się tam stać — to ciało było jedynie iluzją, którą mógł zmienić w cokolwiek innego, gdyby chciał. Było ono jednak wygodne, nie musiał się koncentrować na jego podtrzymaniu, a marnowanie czasu i energii na zmianę nie wydawało się rozsądne. An'desha wciąż nie był pewien, czy same Księżycowe Ścieżki nie są również złudzeniem; nigdy nie zadał sobie trudu, by to sprawdzić. Mgła nie miała zapachu, nie była ciepła ani zimna; piasek pod stopami nie był ani na tyle miękki, by stopy się w nim zapadały, ani na tyle twardy, by to zauważyć.

— Tre'valen? — zawołał An'desha w głąb mgły; jego głos rozbrzmiał echem w sposób, który nie miał odpowiednika w realnym świecie. — Jutrzenka? — Mgła kręciła się wokół niego, odbijając jego słowa małymi wirami barw, blednących po chwili.

Odpowiedź nie nadeszła od razu, jednak nie oczekiwał tego. Awatary nie istniały po to, by mu służyć i zaspokajać jego zachcianki, a on dobrze o tym wiedział. Poszedł ścieżką dalej, od czasu do czasu cicho wołając przyjaciół po imieniu. Przecież gdyby nie byli zajęci czymś ważnym, przyszliby na jego wezwanie.

I przyszli. Wyłonili się z mgły w postaciach ptaków — jastrzębi, ale ludzkich rozmiarów, o upierzeniu mieniącym się kolorami tęczy jak u ptaków ognistych. Wiedział, że nadchodzą, zanim jeszcze ich zobaczył, gdyż mgła daleko przed nim rozjarzyła się jakby od błyskawicy; nadlatywali w dwóch świetlistych smugach, zostawiając za sobą splecioną, podwójną ścieżkę blasku.

Tutaj nie musieli hamować przed lądowaniem, jak ptaki w realnym świecie. Po prostu zwolnili lot, zawisając nad ścieżką, po czym opadli w postaci zamglonych ptasio-ludzkich sylwetek, jakie zwykle przybierali, kiedy rozmawiali z An'deshą. Tre'valen ubrany był jak szaman Shin'a'in, którym był, zanim stał się awatarem Gwiazdzistookiej, a Jutrzenka, choć wyraźnie przypominająca bardziej Tayledrasów niż Shin'a'in, miała na sobie prostą tunikę nie pochodzącą z żadnej konkretnej kultury. Jej długie, srebrne włosy falowały lekko razem z wirującą powoli mgłą. Oboje wydawali się być zwykłymi ludźmi — gdyby nie oczy.

„Nie oczy, ale okna w kształcie oczu, wychodzące na nocne niebo... Ciem-

ność najciemniejszej nocy usianej najjaśniejszymi gwiazdami. Tak piękna...”

Podobno sama Kal’enel miała takie oczy; w ten sposób, którego nie można było pomylić z niczym innym, nazaczyła tych dwoje jako swoje awatary.

— Młodszy braciszku! — powitał go ciepło Tre’valen. — Zbyt długo się nie widzieliśmy, ale zapewniam cię, że nie spędziliśmy tego czasu beczynnienie!

— Dla zwykłego śmiertelnika nie trwało to aż tak długo — powiedział z uśmiechem An’desha. — Jednakże i u nas wiele się działo. Nie byłem pewien, czy wiecie o naszych odkryciach, a poza tym chciałem się upewnić, czy po ostatniej próbie wszystko u was w porządku.

„Nawet gdyby nie było, nie mógłbym nic na to poradzić”.

Jutrzenka płynnie wzruszyła ramionami.

— Główna siła ciosu spadła na biednego Karala; my byliśmy tylko nieco wyczerpani — powiedziała, wyciągając do niego chłodną dłoń, którą ujął w krótkim powitaniu. — Ale wygląda na to, że wy w Wieży również nie próżnowaliście.

Jej słowa potwierdziły przypuszczenia An’deshy — awatary nie były ani wszechwiedzące, ani wszechmocne. Wiązały je przynajmniej niektóre prawa fizyki. Czy to dlatego, że w rzeczywistości nie były zmarłymi, jak duchy Kal’enedral? Czy też dlatego, że Gwiazdzistooka obdarzyła je większą mocą?

— Czy powiecie mi to, co możecie, czy najpierw chcecie wysłuchać nowin ode mnie? — zapytał.

— Zaczynij ty. Zapewne to, co mamy ci do powiedzenia, tylko potwierdzi to, co już wiesz — odparł Tre’valen. — Dotarliśmy daleko w świat i w pustkę, by sprawdzić, jak nasza próba zmieniła ścieżki energetyczne burz i jak daleko owe zmiany sięgają. Obawiam się, że nie mamy dla ciebie dobrych wieści.

An’desha kiwnął głową i szczegółowo opowiedział o wszystkim, co zdarzyło się od czasu próby, w której Karal odegrał rolę kanału energii: od skutków, jakie miało dla karsyckiego kapłana operowanie tak wielką mocą, do wyjazdu gryfów i przybycia tak wielu Kal’enedral oraz żywego zainteresowania Che’sery samym An’deszą. W końcu opisał to, co zdarzyło się tego popołudnia — odkrycie tajnego przejścia i warsztatów.

Oboje słuchali uważnie, a kiedy opisywał pracownię, byli najwyraźniej zaskoczeni.

„Zatem Gwiazdzistooka nie powiedziała im o istnieniu warsztatów, choć jej wysłannicy z pewnością byli tam obecni. Ciekawe”.

— Tam mogą znajdować się odpowiedzi — odezwał się w końcu Tre’valen; przez moment na jego twarzy pojawił się ów szczególny wyraz zaśłuchania, jaki miał Karal, kiedy mówił do niego myślą Altra lub Florian. Czy możliwe, by Gwiazdzistooka mówiła w tej chwili do swego awatara? Kolejne słowa szamana zdawały się potwierdzać przypuszczenie An’deshy. — Z pewnością Śpiew Ognia powinien nadal badać zwierciadła; ich ponowne uruchomienie lub sporządzenie

kopii nie będzie chyba zbyt trudne, a lustra na pewno przydadzą się w przyszłości.

„O, to jeszcze ciekawsze. Może moje przypuszczenia co do przeznaczenia i Gwiazdzistockiej opierały się jednak na pewnych podstawach”.

Jutrzenka położyła smukłą dłoń na ramieniu Tre’valena i przyznała z żalem:

— To jedyna konkretna rada, jaką możemy ci w tej chwili służyć. Chciałabym, żeby było inaczej, ale przyszłość jest nadal niejasna i nie widać w niej żadnej wyraźnej ścieżki. Nawet naszą Boginię krępują ograniczenia, których nie może ominąć, gdyż wszyscy tworzymy własną przyszłość na bazie naszej wolnej woli.

An’desha westchnął, ale musiał jej uwierzyć.

— Zatem wciąż znajdujemy się w punkcie, z którego możemy ruszyć w wielu różnych kierunkach, a każde rozwiązanie jest możliwe? Miałem nadzieję, że po tamtej próbie znajdziemy się na prostej ścieżce.

Tre’valen wydawał się zakłopotany.

— Niebezpieczeństwo zostało jedynie odsunięte, a nie zażegnane, jednak na szczęście związane z nim siły nie wzmocniły się — odpowiedział. — Wiedzieliście, iż wasza próba nie będzie ostatecznym rozwiązaniem problemu magicznych burz — opóźni jedynie katastrofę — i to się nie zmieniło.

— Od chwili uwolnienia energii zawartej w broni Urtho śledzimy skutki próby — podjęła Jutrzenka. — Są takie, jakich moglibyśmy sobie życzyć dla Valdemaru, Pelagiru, Karsu, Rethwellanu i nawet Hardornu. Wysłane przez was fale znoszą fale magicznych burz, choć tylko do pewnego stopnia.

— Jakiego? — zapytał natychmiast An’desha, czując, że odpowiedź jest ważna, choć jeszcze nie wiedział, dlaczego.

— Do punktu tuż za wschodnią granicą Hardornu — odparł Tre’valen. — Także na południu, na samej granicy imperium Haighlei, wokół Białego Gryfa i jego okolicy; ale oni wiedzą, jak sobie radzić ze skutkami, zresztą burze są tam o wiele słabsze. Na północy w głąb Lodowej Ściany. Na zachodzie — cóż, tam leżą dzicze Pelagiru i burze niewiele mogą im zaszkodzić. Nas interesuje wschód, gdyż na Imperium spadają największe klęski wywołane burzami — pustoszą one kraj i sprawiają wiele kłopotów, ponieważ tamtejsi ludzie są bardzo uzależnieni od magii.

An’desha zastanowił się nad tym przez chwilę.

— Może to nam wyjść na dobre lub nie — powiedział w końcu. — Biorąc pod uwagę to, co zrobił nam cesarz, nie czuję żalu na myśl o ich kłopotach. Wolałbym, żeby Imperium zajęło się nimi i nie miało czasu myśleć o nas. Jednak książę Tremane przypuszczał, że to my zesłaliśmy na nich burze — a jeśli cesarscy dojdą do tego samego wniosku i zaczną się mścić?

Tre’valen kiwnął głową.

— Właśnie. Ostrzeż przyjaciół, An’desha, a kiedy zwierciadła zaczną działać, za ich pomocą ostrzeżcie Valdemar. To jest możliwe.

„To możliwe, mówi. Jednak jeśli dobrze rozumiem ograniczenia awatarów, wskazanie na to, że coś jest możliwe, to jedyna forma ostrzeżenia, jakiej mogą nam udzielić, jeśli chodzi o widoczną dla nich przyszłość. A może nie. . .”

Pomimo niedobrej wiadomości An'desha poczuł satysfakcję. Awatary nie dawały mu bezpośrednich rad, ale on coraz lepiej odczytywał ich aluzje i najważniejsze wieści dotyczące położenia, w jakim się znaleźli.

— A co z samymi burzami? — zapytał. — W końcu staną się na tyle silne, że pokonają falę, którą wysłaliśmy, prawda? To dlatego nasze rozwiązanie jest tymczasowe. . . — Uważnie obserwował twarz Tre'valena i z najdrobniejszych zmian jej wyrazu odczytywał jego myśli. Podejrzewał, że właśnie tego od niego oczekiwano. — Co się w końcu stanie? Czy czeka nas. . . powtórzenie pierwotnego kataklizmu, tylko w odwrotnej kolejności? Mam rację? To dlatego przeprowadziliśmy próbę właśnie w tym miejscu, to tutaj fale się spotykają. W końcu burze pokonają falę, którą wysłaliśmy, i przekształcą się w coś naprawdę ogromnego? — Przełknął ślinę z niepokojem, kiedy kiwnięcie głowy Tre'valena upewniło go, że znajduje się na właściwym tropie. — A wtedy co? Na pewno burze nie wrócą do broni i przedmiotów, z których energii powstały. Czy czeka nas kolejny kataklizm?

Tre'valen potrząsnął głową, ale nie w geście zaprzeczenia, zaś Jutrzenka rozłożyła ręce.

— Tego właśnie nie wiemy — przyznała. — I wyznam ci szczerze, Ona także nie wie. Jest tyle możliwości, a niektóre z nich zależą od bardzo subtelnych czynników. Nie wiemy jeszcze, co zrobią magowie i moce Imperium, a to również może mieć wpływ na sytuację. Tutaj możecie dokonać wielu rzeczy, wszystkie będą działać, ale w różny sposób i z różnymi skutkami. Zapewne czeka nas mniejszy kataklizm, o ile nie zdołacie zrobić czegoś, co go odwróci lub pochłonie jego energię. Możecie wiele zrobić, możecie również nie robić nic, a z każdego waszego działania mogą wynikać skutki dobroczynne lub niszczycielskie — w różnym stopniu. Cokolwiek się zdarzy, jedynie tyle możemy ci powiedzieć na pewno.

An'desha jęknął.

— To niewielka pociecha! Ale chyba na razie wystarczy mi wiadomości do przekazania reszcie.

Tre'valen zdobył się na cień uśmiechu.

— Nigdy nie obiecywaliśmy ci pociechy, młodszy bracie — upomniał go łagodnie. — Jedynie pomoc, dzięki której nie będziesz musiał podejmować decyzji na oślep i w całkowitej niewiedzy.

— Zatem pozwólcie, że zapytam was o coś innego — zmienił temat An'desha. — Che'sera. Kim on dla mnie jest albo ja dla niego? Wcześniej czy później dojdzie do źródła moich informacji, niezależnie od tego, czy sam się przed nim przyznam.

Wyraz twarzy Tre'valena złagodniał.

— Kim jest dla ciebie Che'sera? Po prostu — nauczycielem, jeśli sam zdecydujesz, że chcesz się nauczyć tego, co on ci może ofiarować. A kim ty jesteś dla niego? Ogólnie mówiąc — potwierdzeniem. Szukał kogoś, komu mógłby przekazać to, co wie i ma nadzieję, że to ty będziesz tym kimś. Ale to ty musisz podjąć decyzję, a on nie będzie cię namawiał. Jest dobrym człowiekiem, myśli w sposób podobny do mistrza Ulricha; kiedyś Karal stanie się do niego podobny.

Zatem wreszcie zostało to wyraźnie powiedziane. Zaproszenie do zostania szamanem. I to nie zwyczajnym szamanem, ale Zaprzysiężonym Bogini w jej aspekcie Strażniczki Mądrości. An'desha westchnął; chciałby być tak pewien, czego chce, jak Karal. Ale teraz przynajmniej wiedział, że Che'sera nie jest ani fanatykiem, ani człowiekiem o sztywnych poglądach. Pozbył się przynajmniej kilku zmartwień.

— W najbliższym czasie będziesz nas częściej widywał — odezwała się Jutrzenka z powagą na słodkiej twarzy. — Zapewniam cię, An'desho, że postaramy się służyć ci radą i pomocą w miarę naszych sił; nie widzimy powodu, by zostawić cię bez pomocy i opieki w tej sytuacji. . .

Tre'valen nagle spojrział we mgłę.

— Teraz jednak musimy już iść — przerwał Jutrzence. — Wiele rzeczy należy jeszcze dla was zbadać i znaleźć. Żegnaj, braciszku! Czas ucieka, a nie jest on naszym sprzymierzeńcem.

An'desha znalazł się nagle na ścieżce sam, jakby nigdy nie było tu awatarów. Nie miał powodów, by tu dłużej przebywać, więc z powrotem wysłał swego ducha w świat zmysłów, w dół i na zewnątrz. . .

. . . Powoli wracając do siebie, usłyszał Karala poruszającego się na posłaniu i poczuł zapach mięsa z fasolą, które sam przygotował wcześniej. Czując skurcz żołądka, otworzył oczy.

— Przyniosłem ci coś do jedzenia — powiedział Karal, podając mu miskę i przyglądając mu się uważnie. — Byłeś z nimi, prawda? — złożył dłonie kciukami i naśladował palcami machanie skrzydeł, co miało posłużyć za określenie awatarów.

An'desha nie widział powodu, by zaprzeczać. Powoli wstając, kiwnął głową i wziął od Karala miskę i łyżkę.

— Nie powiedzieli mi niczego, czego już nie wiedzieliśmy, przynajmniej nie za wiele. Jak tylko zjem, przekażę to Sejanesowi i Śpiewowi Ognia.

Karal wyglądał dziś lepiej; An'desha zastanawiał się, czy to tylko dzieło uzdrowiciela Shin'a'in, czy przyczyniły się do tego także awatary. Podejrzał w tym ich udział i nie po raz pierwszy usiłował dociec, co łączy Vkandisa z Boginią Shin'a'in. Awatary wydawały się bardzo lubić Karala — zresztą z wzajemnością.

„Z drugiej strony one z natury są bardzo współczujące, a Karal z pewnością zasługuje zarówno na współczucie, jak i sympatię”.

— Florian i ja wychodzimy na zewnątrz, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Chcesz iść z nami? — zapytał Karal od niechcienia. — Mam dość mieszkania pod ziemią; muszę zobaczyć słońce, inaczej oszaleję — Potrząsnął głową. — Nie rozumiem, jak ten mag mógł żyć zamknięty tutaj.

— Zobaczysz słońce, ale go nie poczujesz — ostrzegł An'desha. — Jest tak zimno, że struga wody wylanej z kubka zamarza w powietrzu.

— No to się opatulę — wzruszył ramionami Karal. — Znam zimno. Kars zimą nie przypomina rajskiego ogrodu, a na wzgórzach śnieg leży przez pół roku. Zaczynam rozumieć gryfy; jeśli nie zobaczę kawałka nieba, zacznę mówić od rzeczy.

— Zatem idę z tobą — An'desha szybko włożył grubą tunikę, na nią drugą, a na to watowany płaszcz Shin'a'in; Karal nadal jednak potrzebował pomocy w nałożeniu wszystkich ciepłych strojów. Stał pewnie na nogach, co An'desha przyjął za oznakę powrotu do zdrowia.

Mistrz Levy był całkowicie pogrążony w opukiwaniu i oglądaniu posadzki; w jednym ze swych notatników zapisywał wymiary i rysował schematy. Srebrny Lis i Śpiew Ognia siedzieli w kucki przed równo ułożonymi stronami notatek i z wyrazem zwątpienia na twarzach odczytywali własne.

— Dokąd idziecie? — zawołał Srebrny Lis, kiedy mijali go we trójkę.

— Zaczepnąć świeżego powietrza — odparł Karal. — Może się przyłączyć? Przestraszymy Shin'a'in. — Pokażemy im, że jedno z waszych znalezisk zamieniło nas w potwory — wykrzywił twarz w okropnym grymasie. Srebrny Lis zaśmiał się.

— Świeże powietrze? Niezły pomysł. — Śpiew Ognia podniósł głowę, kiedy usłyszał zaproszenie Karala. — Na razie nie odczytamy z notatek nic więcej. Może słońce pobudzi mój umysł do pracy. Idźcie, dogonimy was.

An'desha od razu zauważył, że gospodarze pracowali nad tunelem wiodącym na powierzchnię. Wejście przebijające ścianę Wieży było duże i miało regularny kształt, zostało oczyszczone z gruzu, o który można by się potknąć. Tunel został poszerzony i podparty dodatkowymi stemplami od czasu ostatniej bytności An'deshy. Nadal można było nabawić się tutaj klaustrofobii, ale tym razem mag nie miał wrażenia, że w każdej chwili korytarz może się zawalić i zamknąć go w pułapce.

Wysłał przed Karala małe magiczne światełko; sam nie widział nic poza zadem Floriana, więc jemu na nic by się ono nie przydało. Altra nie chciał wyjść, twierdząc, że ma na razie dość śniegu, a planuje za to kolejną drzemkę na posłaniu Karala.

Poczuł, że zbliżają się do wyjścia, zanim jeszcze dostrzegł jakiegokolwiek ślady na to wskazujące. Chociaż powietrze pod powierzchnią było czyste, a zapachy, które się w nim unosiły, dzięki odrobinie magii jego samego i Śpiewu Ognia, były przyjemne, w powietrzu płynącym z zewnątrz czuło się świeżość, której nie

można w żaden sposób odtworzyć. Częściowo sprawiało to zimno, ale nie tylko.

Kolejną cechą niemożliwą do naśladowania było światło. Kiedy An'desha wyszedł, potykając się, w słońce późnego popołudnia, zmrużył oczy i wyciągniętą dłonią oparł się o grzbiet Floriana. Nie było ani jednej chmury; ogromna kopuła nieba miała kolor intensywnego, oślepiającego błękitu. Śnieg odbijał promienie słońca, co sprawiało, że spod stóp dochodziło tyle samo światła, co z góry.

Karal stał z boku, wdychając wielkimi haustami powietrze; jego blada twarz nabierała koloru. Florian odszedł nieco dalej i beztrąsko wierzgał w śniegu.

Widziana z zewnątrz Wieża wydawała się niczym więcej niż pokrytym zmarzniętym śniegiem kawałkiem stopionej skały, wystającej ponad ośnieżony, zaokrąglony wierzchołek wzgórze; nic oprócz jej rozmiarów nie przyciągało uwagi. Aby dostać się do niej od dołu, wydrążono długi, pochyły tunel, którego wyjście leżało poza samą Wieżą. U jej stóp, dokładnie w miejscu, w którym tunel przebiegał ścianę, Shin'a'in postawili namioty. Filcowe, okrągłe, białe, brązowe i czarne kopuły tworzyły bardzo regularny, symetryczny kształt, wyglądający raczej na makietę niż miejsce, w którym mieszkają i pracują ludzie.

— Ufff! — zawołał Śpiew Ognia zza pleców An'desha, kiedy Florian wierzgał i skakał, a Karal ze śmiechem rzucał w niego śnieżkami. — Jak tu jasno! Nie zdziwię się, jeśli opalimy się bardziej niż latem!

Srebrny Lis uchylił się, kiedy Karal odwrócił się i rzucił w nich kulka śniegu. Karal zaśmiał się, kestra'chern rzucił się w pogoń, przysięgając zemstę, a Śpiew Ognia przyglądał im się z pobłażaniem.

— Zatem — odezwał się adept cicho, kiedy Karal i Srebrny Lis schronili się za leżącymi naprzeciwko siebie zaspami i stamtąd miotali pociski. — Cóż mają do powiedzenia awatary?

An'desha rzucił mu zaskoczone spojrzenie; mag zaśmiał się na widok wyrazu jego twarzy.

— Po każdej u nich wizycie zdajesz się promieniować — powiedział. — Nie jest to bardzo widoczne, ale jeśli się wie, czego szukać, można to zauważyć. Więc? Co mieli do powiedzenia? Coś przydatnego?

— Głównie tyle, że nic się właściwie nie zmieniło. Udało się zyskać nieco czasu dla nas i dla naszych przyjaciół, rzeczy poza terenami chronionymi niszczej bardzo szybko, a nasz czas też się kiedyś skończy — odparł An'desha, żałując, że nie ma lepszych nowin.

Śpiew Ognia bez zaskoczenia kiwnął głową.

— A kiedy nasz czas się skończy, będziemy mieli... co? powtórkę kataklizmu? Przecież podobno wszystko zbiega się właśnie tutaj.

— Może. Nawet Oni nie są pewni — An'desha westchnął. — Jeśli Ona ma jakiś pomysł, nic nie mówi. Według mnie bogowie robią to, co zawsze — dopóki wszelkiemu życiu nie zagraża ogólna katastrofa, pilnują, byśmy mieli narzędzia i informacje potrzebne do znalezienia własnych rozwiązań, po czym zostawiają

nas w spokoju, byśmy je znaleźli. Według awatarów to, co znaleźliśmy w Wieży pomoże nam, ale...

— Ale nie ma jasnej przyszłości, którą można by zobaczyć lub choćby tylko odgadnąć. — Śpiew Ognia wydawał się usposobiony zaskakująco filozoficznie. — Jestem zdecydowany widzieć w tym naszą szansę; po raz pierwszy w życiu nie muszę brać pod uwagę bóstwa, ducha, losu czy przeznaczenia ani niczego innego, co wymagałoby ode mnie podążania wytyczonymi ścieżkami po kartach czasu. Sami tworzymy własną przyszłość, An'desha, i nie musimy podążać za wskazówkami jakiegokolwiek bóstwa. Wiesz, ja czerpię z tego satysfakcję.

— Chyba tak — odparł An'desha; powiedziałby więcej, lecz Srebrny Lis nagle przerwał bitwę na śnieżki, spojrzął na północ i wyciągnął rękę.

— Spójrzcie! — zawołał radośnie; Karal upuścił ostatnią śnieżkę i zmrużonymi oczami wpatrzył się w stronę wskazywaną przez Srebrnego Lisa. — Gryfy! Tak! Niosą koszyk, chyba wiozą Tarna!

An'desha osłonił oczy i zmrużył je od blasku; w końcu dostrzegł cztery pary skrzydeł, pod nimi zaś półokrągły kształt. Rzeczywiście, nie przychodziło mu na myśl nic innego jak cztery gryfy i duży kosz transportowy.

— Chodźcie! — zawołał Srebrny Lis. — Przywitamy ich!

Ruszył biegiem; Florian skoczył i przykleknął obok Karala, który wdrapał się na jego grzbiet; szybko wyprzedzili Srebrnego Lisa. Śpiew Ognia popatrzył z rozbawieniem na An'deshę i wskazał na nich palcem.

— Pójdziemy za nimi?

— Tak nakazuje dobre wychowanie — zauważył An'desha. — Poza tym Shin'a'in przetarli wygodną ścieżkę do miejsca lądowania. Wstyd byłoby z niej nie skorzystać.

Poszli za Srebrnym Lisem, chociaż wolniejszym krokiem. Zanim doszli do wioski Shin'a'in, gryfy i ich pasażerowie już wylądowali i zostali zabrani do namiotu. Łatwo mogli się domyślić, do którego, gdyż tylko jeden z nich mógł pomieścić na raz cztery gryfy i tylko na jednym pokrywą śniegu poznały ich pazury.

Ciemno ubrani Kal'enedral kiwnęli głowami, kiedy Śpiew Ognia skinął im dłonią, po czym wrócili do swoich zajęć. An'desha odsunął połę namiotu i razem z magiem wszedł do środka, uważając, by wpuścić jak najmniej zimnego powietrza. Przyzwyczajenie wzroku do ciemności panującej wewnątrz zajęło im dobrą chwilę; An'desha stał przez chwilę nieruchomo, słuchając rozmów przynajmniej pół tuzina mówiących jednocześnie osób.

Kiedy tylko zaczął cokolwiek widzieć, rozejrzał się wokół. Nie rozpoznał żadnego z gryfów, ale tego się spodziewał. Wszystkie znajdowały się po jednej stronie namiotu; bez zaskoczenia stwierdził, że jedzą — a raczej pochłaniają jedzenie. Musiały teraz odzyskać siły utracone nie tylko w wyniku trudów niesienia pasażerów z Doliny k'Leshya, ale także działania zimna.

Karal rozmawiał z gryfami, pomagając im, kiedy pomieszczenie okazywało się dla nich zbyt ciasne, a Srebrny Lis pogrążył się w ożywionej rozmowie z siwym, ale rażno wyglądającym kyree. Niezwykłe stworzenie, wielkości małego cielaka, przypominało nieco wilka — z kształtu głowy i sierści, ale i kota — z budowy i proporcji ciała. An'desha wiedział o kyree więcej z własnego doświadczenia niż ze wspomnień Zmory Sokołów, gdyż ten ostatni niewiele miał z nimi do czynienia. An'desha zaś zawarł bliską znajomość z Rrisem, przedstawicielem kyree na dworze valdemarskim i w sojuszu. Po wielu latach Rris będzie zapewne wyglądał jak ten: pysk całkiem biały, a głowa przyprószona gęsto siwizną przeświecającą pomiędzy ciemniejszą sierścią. Był zmęczony, ale najwyraźniej w dobrym nastroju; rozmawiał ze Srebrnym Lisem jak stary przyjaciel, którym zapewne był.

Mówiąc dokładniej, Srebrny Lis gawędził, a kyree, mogący mówić jedynie bezpośrednio do umysłu, kiwał głową i odpowiadał mu na swój własny, niesłychalny sposób. Jeśli Tarrn nie chciał przemówić do wszystkich, słyszeli go tylko ci, których wybrał.

Obok niego, owinięty w tyle ciepłych warstw, że wyglądał jak rulon barwnych narzut Shin'a'in, znajdował się hertasi. Niemal siedział na piecyku, jako że jaszczurki były bardzo wrażliwe na zimno. Dokładnie rzecz biorąc, nie były zimnokrwiste, ale nie potrafiły zbyt dobrze kontrolować temperatury swego ciała. Na temat ich pochodzenia istniały różne opinie: hertasi zostały stworzone przez Urtho lub powstały przez przypadek, w który wplątała się magia; w każdym razie ich fizjologia pozostawiała sporo do życzenia, a ta cecha najbardziej utrudniała im życie. Biedactwa mogły odmrozić na chłodzie kończyny lub mimowolnie wpaść w rodzaj śpiączki. Nie zawsze zabezpieczały je przed tym warstwy ubrań, zwłaszcza podczas długiej podróży w przenikliwym zimnie, stąd piecyk i wszelkie inne środki ostrożności podjęte przez Kaled'a'in. W tej chwili widać było tylko koniec nosa i parę żywych, jasnych i najwyraźniej uszczęśliwionych oczu hertasi wyglądających z głębi kaptura.

Tarrn był dużo lepiej widoczny. An'desha wiedział co nieco o kyree ze swej znajomości z Rrisem, ale dotąd nie miał okazji poznać hertasi. Kilka z nich towarzyszyło Srebrnemu Lisowi i Kaled'a'in w poselstwie do Valdemaru, ale An'desha nie stykał się z nimi zbyt często. Oczywiście Zmora Sokołów we wszystkich swoich wcieleniach żywił głęboką pogardę dla obu ras, więc nie szukał z nimi kontaktu.

W tej właśnie chwili odezwał się hertasi; jaszczurki związane z Kaled'a'in używały głosu o wiele częściej niż myślomowy — dokładnie na odwrót postępowały hertasi przebywające z Sokolimi Braćmi.

— Chyba odtaję na tyle, by skoczyć do Wieży — powiedział wysokim głosem, w którym pobrzmiwały echa syku.

Świetnie, Lyam — odrzekł kyree. — Podobno nasze bagaże już tam na nas

czekają. Jeśli rzeczywiście skoczmy, nie odczujesz zbyt chłodu.

— Florian mówi, że z radością poniesie Lyama, jeśli uda mu się utrzymać na jego grzbiecie — odezwał się Karal. — W ten sposób dotrze tam szybciej niż na piechotę. — Zwrócił się ku hertasi, pełen życzliwości, ale niepewny, jak ma się odnosić do tak dziwnej osoby. — Towarzysze mają bardzo miękki chód; nigdy nie słyszałem, by ktoś z nich spadł; powinienes też zobaczyć je w biegu!

— Nigdy dotąd nie próbowałem jazdy wierzchem, ale skoro dotarłem tutaj nie tracąc ogona ani nóg, chyba uda mi się przeżyć jazdę na Towarzyszu — odpowiedział hertasi z humorem. — Zrobiłbym niemal wszystko, by uniknąć spaceru w śniegu!

— Zossstaniemy tu na noc — przemówił jeden z gryfów. — Tu jessst barrrdo wygodnie, a pod ziemię nie wejdziemy nawet po to, by zobaczyć Wieżę!

Inni przytaknęli.

— Wssspaniale jessst być tutaj, gdzie przebywał kiedyś wielki Ssskandrrranon, ale on nie musssiał czołgać ssię pod ziemią — powiedział inny gryf, nerwowo poruszając skrzydłami. — Nie wiem, jak znieśśli to Trreyvan i Hydona.

Kyree nie wzruszył ramionami, ale An'desha miał wrażenie, iż gdyby mógł, zrobiłby to.

Jak wolicie; zatem będziecie musieli zadowolić się tym, co wam później opowiem.

— To tak, jakbyśmy sssami tam byli — powiedział stanowczo gryf. — Będę latał po niebie, po którym latał kiedyś wielki Ssskandrrranon, to mi wysstarczy.

Tarn wstał i otrząsnął się dokładnie.

Jeden skok i znajdziemy się tam, gdzie od tysięcy lat nie postawił stopy żaden kyree ani hertasi! — wydawał się uszczęśliwiony tą perspektywą, co nadawało mu wygląd stworzenia trzy razy młodszego. — *Cóż, przyjaciele, ostatnie kilka kroków proponuję przebiec!*

Śpiew Ognia, który poznał w życiu wielu hertasi i kyree, od razu zaprzyjaźnił się z dwójką przybyłych. Tarn posiadał mądrość i ciepło Irrla, jednego z nauczycieli Śpiewu Ognia, zaś Lyam był o wiele bardziej pewny siebie niż bardzo nieśmiałe hertasi mieszkające w Dolinach. Chociaż Śpiew Ognia uwielbiał, kiedy o niego dbano i troszczono się, zawsze drażniła go trochę nieśmiałość hertasi z Dolin. Podobno był to skutek głębokiego urazu, jaki przeżyły podczas kataklizmu. Śpiew Ognia bardzo się tym martwił; jeśli to prawda, jak zareagują na drugie takie wydarzenie?

„Zapewne poradzą sobie, jak zawsze. W tym są najlepsze. Nie wiem, jak im się to udaje”.

Zarówno kyree, jak i hertasi w głębi serca zostali mieszkańcami jaskiń i jam,

więc obaj goście poczuli się od razu jak u siebie. Z zadowoleniem wprowadzili się do komnaty Karala i An'deshy. Nie wniesiono jeszcze ich bagaży, ale Shin'a'in przynieśli dla nich materiał na posłania i dodatkowo rozgrzewające pościel płytki. Co do bagażu podręcznego, był mniejszy, niż się An'desha spodziewał. Główną część pakunków stanowiły pudła ze specjalnymi materiałami do pisania; księgami ze sztywnego papieru z wodoodpornymi, metalowymi okładkami, zamykającymi się jak pudełka, by dodatkowo chronić zawartość. Mieli też atrament, który po wyschnięciu nie blakł i nie rozpląwał się, choćby wylano na niego wodę. Tarnn był historykiem, ale nie tradycyjnym opowiadaczem historii kyree jak Rris, który uczył się opowieści na pamięć i potem je recytował, lecz pewnego rodzaju kronikarzem, przypominającym kronikarzy Valdemaru — starał się uczestniczyć w możliwie największej liczbie epokowych wydarzeń, a potem obiektywnie opisać je w księgach zwanych kronikami. Dopiero po zarejestrowaniu faktów Tarnn interpretował wszystko co widział w osobnych księgach — komentarzach. Traktował swoje powołanie bardzo poważnie; prędeż pozwoliłby wyrwać sobie wszystkie włosy z ogona i pozostawić go gołym jak u szczura, niż zapisałby w kronikach osobistą ocenę wydarzeń.

Właściwie nie była to do końca prawda. Tarnn jedynie dyktował, gdyż nie posiadając rąk, nie mógł pisać. Zapisywanie należało do Lyama. Był on trzecim sekretarzem w długim życiu historyka; jego relacje z kyree opierały się wyraźnie na obopólnym szacunku i przywiązaniu. Na ogół to Lyam troszczył się o kyree, jednak kiedy on sam znajdował się w potrzebie, Tarnn w spokojny i pełen godności sposób pilnował, by zadbano najpierw o hertasi.

Lyam potrzebował przede wszystkim ciepła; Karal zaoferował się nim opiekować. Śpiew Ognia miał wrażenie, że domyśla się jego motywów. Karal wciąż czuł się młodym sekretarzem, który przyjechał do Valdemaru, stąd czuł dla Lyama sympatię i dobrze go rozumiał.

„To świetnie; obaj są tu obcy, w obcym miejscu, obu im przyda się przyjaciel o tym samym... statusie? Pozycji? W każdym razie mają wiele wspólnego”.

Jednak Tarnn był gotów do pracy i na takiego wyglądał. Całą drogę z wioski namiotów rozmawiał ze Srebrnym Lisem. Śpiew Ognia nie miał pojęcia, skąd bierze siły. Razem ze Srebrnym Lisem podszedł do Śpiewu Ognia, kiedy tylko Karal zabrał Lyama, by go owinąć w koce i napić gorącym naparem.

— Śpiewie Ognia, Tarnn chce z tobą pomówić na osobności, zanim zabierze się do pracy — odezwał się Srebrny Lis z zagadkowym wyrazem twarzy. — Mówi, że ma coś dla ciebie, ale nie może zdradzić, co to jest.

Kyree kiwnął głową, kiedy zaskoczony Śpiew Ognia spojrzał na niego.

To prawda, Śpiewie Ognia k'Treva — potwierdził z pełną powagi kurtuazją. — *Mam. Czy pójdziesz ze mną tam, gdzie znajdują się nasze bagaże?*

— Oczywiście — odparł równie grzecznie Śpiew Ognia. — Czy wolisz, że bym mówił prosto do twojego umysłu?

To nie jest potrzebne, ale dziękuję — odparł Tarrn, odwracając się i idąc powoli w stronę pakunków zostawionych przez Shin'a'in w głównej komnacie Wieży. — *Nie jest to żadna tajemnica* — ciągnął kyree. — *Po prostu nie pozwolono mi powiedzieć nic nikomu, zanim nie spełnię obowiązku.*

— O? — z każdą chwilą stawało się to coraz bardziej intrygujące. Śpiew Ognia nie mógł przypomnieć sobie nikogo spośród Kaled'a'in z Doliny k'Leshya, kto miałby mu cokolwiek przesłać.

Tarrn zatrzymał się przy stosie rzeczy.

Gdybyś był tak uprzejmy i zdjął te trzy paczki z ubraniami Lyama... tutaj. — Przednią łapą wskazał nieforemne pakunki. — *Pod nimi znajdziesz to, co ci przywiozłem. Jest zawinięte w błękitną wełnianą tkaninę, bardzo długie i wąskie.*

Śpiew Ognia bez trudu przesunął trzy zawiniątka i odkrył długą, wąską paczkę owiniętą w błękitną wełnianą tkaninę, przewiazaną sznurkiem, po czym podniósł ją, a wtedy paczka przemówiła do jego umysłu.

Witaj, chłopcze.

Bardzo dobrze znał ów chrapliwy, zdecydowanie kobiecy głos, chociaż nie sądził, iż go jeszcze usłyszy.

— Potrzeba? — zachłysnął się ze zdziwienia i zaczął szybko odwijać materiał, by uwolnić ostrze. Na pewno to Lyam je pakował — sznurek był powiązany w skomplikowane węzły, które mogłyby docenić jedynie hertasi lub kestra'chern. W końcu rozerwał sznurek, tkanina opadła i ukazał się antyczny, zaczarowany miecz. Potrzeba wyglądała dokładnie tak, jak wtedy, kiedy ją ostatnio widział u boku Nyary, „córki” Zmory Sokołów, kiedy ona i herold Skif wyjeżdżali z Valdemaru jako posłowie Selenay do Kaled'a'in, Tayledrasów, a może także Shin'a'in.

— Potrzeba! Co ty tu robisz?! — Nie czuł takiego zaskoczenia od... odkąd został porwany przez swojego przodka Vanyela.

Nyara już mnie nie potrzebuje; lepiej sobie radzi sama — odrzekł miecz. — *W k'Leshya nie ma nic, z czym nie poradziliby sobie ona, Skif i Kaled'a'in. Wy natomiast macie do czynienia z bardzo starą magią. Ja jestem bardzo starą magią i wciąż całkiem sporo pamiętam. Raz już wam pomogłam i mam nadzieję, że znów mi się to uda.*

Śpiew Ognia trzymał miecz w obu rękach i wpatrywał się w niego. Porozumiewanie się myślmową z czymś, co nie powinno w ogóle mówić, nieco zbijało go z tropu. Miecz nie miał twarzy, z której mógłby odczytać jego nastrój, oczu, w które można patrzeć, poza tym nie wiedział, czy on potrafi odczytać wyraz jego twarzy.

„Coś w tym wszystkim jednak nie pasuje”.

— Zastanawiam się, czy nie ma w tym czegoś więcej niż tylko chęć niesienia nam pomocy — odezwał się w końcu. — Nigdy dotąd nie oddałaś się w ręce mężczyzny.

Hmm... powiedzmy, że nie robiłam tego z rozmysłem. Jednak zdarzało się to — zwykle z chłopcami, którzy tak samo gustowali w mężczyznach jak moje „córki” — miecz zaśmiał się, lecz Śpiew Ognia czuł, że Potrzeba nie powiedziała mu jeszcze wielu rzeczy. Zdecydował się ją przycisnąć.

Spróbuj jeszcze raz — odezwał się surowo w myślomwie. — Unikasz odpowiedzi na moje pytanie.

Miecz nie mógł westchnąć, ale Śpiew Ognia odniósł takie wrażenie.

W porządku. Mogłam kazać ci domyślić się tego, ale po co tracić czas? Borykacie się z burzami zakłócającymi magię; na razie udało się wam je opanować, ale wszyscy wiecie, że to tylko tymczasowe, a nie ostateczne rozwiązanie. Ja jestem magią. Aż do tej pory jakoś się trzymałam, ale każda następna burza jest silniejsza i prędzej czy później przegram. Nie wiem, co się wtedy stanie, ale coś stanie się na pewno — przerwała na chwilę. — W najgorszym przypadku zamienię się w parę i płynny metal — surowce, z których zrobiono miecz. W najlepszym przypadku magia po prostu zniknie, a na moim miejscu zostanie najzwyczajniejszy miecz.

Nigdy dotąd nie przyszło mi na myśl, że Potrzeba również może odczuć skutki magicznych burz. Zawsze uważał ją za niezwykle zaradną i niezniszczalną — nigdy nie sądził, że i ona może znaleźć się w kłopotach.

Zmartwił się.

Nie mogę ci nic obiecać — odezwał się poważnie. — Nie wiem nawet, czy sami przeżyjemy do końca.

Ku jego zaskoczeniu miecz zaśmiał się, choć raczej sardonicznie.

Myślisz, że tego nie wiem? Jeśli zniknę w wielkim „puff”, nie chcę, by widziała to mała Nyara. Miała w życiu dość zmartwień; nie powinna w tak nieoczekiwany sposób tracić starej przyjaciółki i nauczycielki. Poza tym, skoro mam odejść, chcę to zrobić w czasie, kiedy staram się coś osiągnąć. Jak mogłabym przegapić szansę uczestnictwa w tym, co robicie? To skomplikowane, niebezpieczne, to wyzwanie, któremu nie mogę się oprzeć.

— Skoro tak mówisz — powiedział głośno, ale przypasał miecz, gdyż potrzebował on człowieka, by móc widzieć i słyszeć. Bez niego Potrzeba musiałaby wytężyć wszystkie siły, by cokolwiek dostrzec, a i to niewyraźnie. Rzadko nosił broń i dziwnie czuł się z mieczem przewieszonym według zwyczaju Shin’a’in przez plecy. — An’deszę pewnie uszczęśliwi twój widok, ale reszcie będziesz musiała wszystko wyjaśnić. Nic o tobie nie wiedzą.

„I bogowie wiedzą, jak przyjmą ją Shin’a’in”. Owszem, nosiła ją Kethry, a potem Kerowyn, jednak... kolejna magiczna istota w sercu Równin. Ile jeszcze podobnych osób zgodzą się tu wpuścić?

Nie mogę się doczekać — powiedziała Potrzeba z mniejszą ironią, niż się spodziewał. — Reakcja ludzi, kiedy słyszą mnie po raz pierwszy, bawi mnie.

„Bawi? Na bogów!” Śpiew Ognia ukrył irytację z tej dodatkowej komplikacji i tak wystarczająco trudnego położenia. W końcu Potrzeba miała rację co do

swych umiejętności. Znała magię o wiele starszą niż ktokolwiek inny, włączając An'deshę. Mogło się to okazać niezwykle ważne, gdyż coś zapomnianego, bardzo starego mogłoby pomóc im znaleźć wyjście z zagrożenia. Sama w sobie była potężnym magiem — niemal równym adeptom, inaczej nigdy nie zdołałaby użyć magii do związania swej ludzkiej duszy z ostrzem miecza. Śpiew Ognia, An'desha i Sejanes byli jedynymi magami w Wieży; Potrzeba byłaby czwartym.

„A jeśli ma rację i magiczne burze pokonają zarówno ją, jak i nas, nie musi się martwić o to, w jaki sposób zniknie. Jeśli pomiędzy wszystkimi urządzeniami mocy, zmieni się w topniejącą stal, będziemy mieli inne troski niż ona”.

Jednak przebywanie z drażliwą Potrzebą na co dzień nie zapowiadało się dobrze. Śpiew Ognia potarł skronie, czując nadchodzący ból głowy.

„Ona zna myślomowę; spróbuję zainteresować nią Tarrna. Kiedy nie będzie dla nas tłumaczył, powinien się nią zająć — dla historyka powinna być fascynująca”.

Mógł tylko mieć nadzieję, że tak będzie, gdyż Potrzeba wybrała go najprawdopodobniej na swego właściciela. W tej enklawie mężczyzn Śpiew Ognia rzeczywiście najbardziej się do tego nadawał, gdyż nawet klacze Towarzyszy, które ich tu przyniosły, wyruszyły w długą podróż powrotną.

— No dobrze, miejmy to już za sobą — odezwał się na głos. Tarrn spojrział na niego z ciekawością. — Zakładam, panie, że poznałeś już moją metalową przyjaciółkę?

Owszem — i ufam, że będzie nadal przekazywać mi swoje opowieści z dawnych czasów, kiedy tylko pozwoli nam na to czas — odrzekł Tarrn poważnie, co nieco poprawiło nastrój Śpiewu Ognia. Przynajmniej nie będzie musiał znosić obecności i ciężaru osobowości Potrzeby bez przerwy.

— Większość moich kolegów nie wie nawet o jej istnieniu, zatem przedstawmy ją, zanim zaskoczy ich krytycznymi uwagami na ich temat. — Potrzeba nie zareagowała na ten przytyk; albo się z nim zgadzała, albo poczuła się urażona i planowała zemstę.

Doskonały plan — pochwalił Tarrn. — *Ruszaj.*

Śpiew Ognia zebrał wszystkich w bardzo prosty sposób: wszedł do środkowej komnaty, chrząknął i oznajmił:

— Przepraszam, przyjaciele! Zdarzyło się coś... nieprzewidzianego, o czym powinniście wiedzieć.

Te słowa natychmiast sprowadziły do komnaty, gdzie stał, wszystkich znających valdemarski oraz kilku Shin'a'in, którzy nie mówili po valdemarsku, a podążyli za innymi z ciekawości.

Srebrny Lis przyszedł pierwszy i spojrział na maga tak, jakby wyrósł mu ogon.

— Śpiewie Ognia — zaczął z niedowierzaniem kestra'chern. — Co robisz z mieczem?

Ten wyjął Potrzebę z pochwy, na wypadek, gdyby skóra i jedwab ograniczały jej możliwości myślomowy; trzymał ją w dłoniach, na wyciągniętych rękach, kiedy

przyszła reszta.

— O tym właśnie chciałem wam powiedzieć — odparł, rumieniąc się nieco. — Jak się okazało, przyjechało do nas nie dwóch, ale trzech gości. Jeśli jeszcze jej nie znacie — oto Potrzeba.

— Potrzeba! — An'desha dopiero wychylił się z sypialni, ale bez wątpienia ucieszył się na widok miecza. — Co ona tu robi? To wspaniale!

Śpiew Ognia musiał mieć nieco kwaśną minę, bo gdy An'desha spojrzął na niego, roześmiał się.

— Ach, to tak? Jesteś wybranym? — Spojrzął serdecznie na ostrze. — Śpiew Ognia jest zbyt pewny własnego mistrzostwa, pani; mam nadzieję, że nauczysz go, iż inni obecni tutaj są równie dobrzy w swoim rzemiośle jak on w swoim. Ostrzegam cię jednak — o wiele lepiej wygląda tak, jak teraz, niż w sukni.

Nie bądź dla niego tak bezlitosny, chłopcze — odparł miecz rozbawionym głosem. — *Zostaw to mnie. Mam w tym doświadczenie.*

Do tej pory zebrali się pozostali i z różnymi odcieniami fascynacji i zaskoczenia wpatrywali się w miecz.

— Co to jest? — zapytał Sejanes ze zmarszczonymi brwiami.

— Czy to sławny miecz zwany Potrzebą, który nosiła niegdyś założycielka Tale'sedrin? — zapytał Lo'isha, kiedy reszta Shin'a'in zebrała się wokół niego, dyskutując cicho. — Noszony później przez naszą siostrę Kerowyn?

— Ten sam — jęknął Śpiew Ognia. — Co do twojego pytania, Sejanesie: Potrzeba to magiczny miecz z uwięzioną w nim duszą jego twórczyni; pochodzi z niewyobrażalnie odległej przeszłości. Ona albo Tarrn opowiedzą ci, dlaczego tak głupio postąpiła. . .

Na pewno nie głupio. Nieostrożnie i może niezbyt rozsądnie, ale nie miałam wtedy wielkiego wyboru, gdyż wszystkie inne możliwości były gorsze niż ta, którą wybrałam. Oczywiście mogłam włożyć ręce w kieszenie i nie zrobić nic, ale... powiedzmy, że sprzeciwiało się to mojej naturze.

Ci, którzy nie wiedzieli, kim była, otworzyli szeroko oczy na dźwięk jej donośnego myślgłosu.

— Z tego, co wiemy, Potrzeba pochodzi jeszcze sprzed wojen magów i kataklizmu, co czyni z niej eksperta magii o wiele starszej niż ta, jaką znamy — wyjaśnił Śpiew Ognia; zauważył przy tym nieobecny wzrok An'deshy — zapewne młody mag rozmawiał z mieczem na osobności. — Zaproponowała nam pomoc, gdyż ta, która nosiła ją do tej pory, już nie potrzebuje jej opieki.

Mistrz Levy potarł podbródek i w zamyśleniu spojrzął na ostrze.

— A co się stanie, jeśli burze pokonają i nas? — zapytał. — Jeśli ona powstała z pomocą magii. . .

Zatem, o ile nie zdołam się osłonić — a nie jestem pewna, czy zdołam — odejdę spokojnie lub dramatycznie; nie wiem jeszcze, jak — odrzekła Potrzeba prosto z mostu. — *Burze zakłócają warstwy magii tak głęboko, że mogą być również*

zakłęciami niweczającymi inne. Ale to może zdarzyć się wszędzie, wolę więc raczej spróbować czegoś dokonać. Mówiłam wam: nie należę do tych, którzy siedzą z założonymi rękami, chociaż nie mam rąk do zakładania.

— Zaczekaj — przerwał Sejanus, zwracając się wprost do miecza, lśniącego teraz światłem odbitym z góry. — Jeśli pochodzisz sprzed magicznych wojen i kataklizmu, w jaki sposób je przetrwałaś?

W osłoniętej szkatule, w osłoniętym sanktuarium, w sercu potrójnie osłoniętej świątyni Bestet, bogini wojny — odrzekła natychmiast Potrzeba. — A kiedy kataklizm się skończył, osłony sanktuarium i szkatuły załamały się, ja zaś byłam wyczerpana do granic możliwości. Dojście do siebie zajęło mi lata, ale zanim mi się to udało, zabrano mnie do zbrojowni, gdyż nikt nie wiedział, dlaczego umieszczono mnie przy atrybutach Bogini. Gdybym miała inny charakter, byłabym oburzona.

Sejanus kiwnął głową.

— Trudno o taki splot okoliczności — zauważył, gładząc dłonią podbródek. — To wręcz zaskakujące, iż udało ci się tak schować podczas pierwszego kataklizmu.

Mieli tak silne osłony jedynie z powodu wojny z Ma'arem. Nie znam żadnej innej świątyni istniejącej obecnie, która byłaby tak chroniona — ciągnęła Potrzeba. — Lub, żeby być bardziej szczerą, świątyni, która zaoferowałaby mi schronienie. Mogę więc starać się zrobić coś pożytecznego, a może również przy okazji uratować siebie.

— Tak bardzo boisz się śmierci? — zapytał Karal cicho. Po ostrzu miecza przebiegł błysk światła, jakby Potrzeba zareagowała na pytanie.

Śpiew Ognia oczekiwał sarkazmu albo milczenia, ale miecz zaskoczył go zarówno odpowiedzią, jak i powagą tonu.

Nie boję się śmierci, chłopcze — odparła Potrzeba szczerze. — Boję się czegoś bardziej skomplikowanego. Nie chcę zginąć bez walki. Nie mam zamiaru leżeć i poddać się śmierci. Możliwe, że koniec przyjdzie w walce, a w takim razie...

— ...Lepiej być tutaj — potwierdził z mocą Sejanus; Śpiew Ognia poczuł zimny dreszcz przebiegający po krzyżu. — Jeśli nadejdzie drugi kataklizm, a jego skutki dotrą tutaj, wówczas twoje zniknięcie będzie niczym w porównaniu z piekłem, które się rozpęta.

Na stali ostrza znów zamigotało światło.

Dobrze. Widzę, że zastanawialiście się nad tym — odpowiedziała. Potrzeba z wyraźną ulgą. — Nie chciałam być zwiastunem złych nowin, który musiałby wam to przedstawić.

„Ja mam raczej nadzieję, że uda nam się zapobiec najgorszemu, dzięki”.

— Nie, po prostu zmusiłaś nas do myślenia o tym nieco wcześniej — westchnął Śpiew Ognia.

Teraz Potrzeba roześmiała się w swój zwykły, sardoniczny sposób.

Uważaj to za dodatkowy bodziec, aby znaleźć wyjście z sytuacji — powiedziała.

Teraz ci, którzy nigdy wcześniej nie spotkali Potrzeby, chcieli z nią oczywiście porozmawiać. Śpiew Ognia podał miecz An`deshy, choć zdawał sobie sprawę, że nie zmieni jej zdania na temat wyboru tego, kto miał ją nosić. Ku jego zaskoczeniu Karal odszedł na chwilę od reszty i zbliżył się do niego.

— Nie bardzo wiem, co powiedzieć, oprócz tego, że w tym wszystkim, co nas czeka, mieć jeszcze na karku Potrzebę — w dosłownym znaczeniu tego słowa — to z pewnością niełatwe zadanie — powiedział cicho. — Miałem podobnych do niej nauczycieli. Byli bardzo dobrzy, ale trudno z nimi żyć; z całego serca ci współczuję.

— Dziękuję — odparł Śpiew Ognia z lekkim zaskoczeniem. Ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał, było współczucie i zrozumienie ze strony Karsyty!

— Chcę tylko... och, nie wiem — Karal uśmiechnął się krzywo. — Wierz albo nie, ale lubię cię i podziwiam, Śpiewie Ognia. Czasem nawzajem się irytujemy, ale komu się to nie zdarza. A ja jeszcze nie podziękowałem ci, jak należy, za to, co dla mnie zrobiłeś.

Śpiew Ognia zarumienił się mocno — nie zdarzyło mu się to od czasów dzieciństwa.

— Proszę — odparł, po raz pierwszy nie mogąc znaleźć słów. — Nie dziękuj mi, my wszyscy...

Karal potrząsnął głową.

— Doskonale wiem, co zrobiłeś i nie będę już o tym wspominał, skoro tak cię to żenuje. Chcę tylko, żebyś wiedział, iż to doceniam — i doceniam ciebie. I... cóż, chyba już dość powiedziałem.

Zważywszy na to, iż Śpiew Ognia nie mógłby już zaczerwienić się bardziej, Karal miał zapewne rację. Kiedy Karsyta dołączył do grupy otaczającej Potrzebę, Śpiew Ognia poczuł zdecydowaną ulgę.

Hm.

Tym razem myślgłós należał do Tarna; Śpiew Ognia powitał go z wielką radością.

— W czym mogę pomóc? — zapytał, patrząc w dół na kyree, spoglądającego na maga z rozbawieniem w złocistych oczach. Białe włosy na pysku dziwacznie kontrastowały z młodością widoczną w spojrzeniu.

Skoro prawie wszyscy rozmawiają z naszą metalową przyjaciółką, może spojrzymy na notatki, którymi tak się obaj ze Srebrnym Lisem interesujecie? Jeśli to urządzenie jest tym, czym podejrzewam, tłumaczenie nie będzie trudne, a odpowiedź powinniśmy uzyskać w ciągu jednego dnia.

— Naprawdę? — uniósł brwi Śpiew Ognia.

Weź pod uwagę, że tłumaczenie będzie łatwe tylko w tym przypadku — ostrzegł Tarn. — Tylko dlatego, że znam podobne urządzenia używane przez nasze gryfy.

Przypuszczam, że jest to ich ulepszona wersja, przekazująca zarówno widok, jak i myśli oraz... — przerwał i potrząsnął głową, aż uszy mu zatrzepotały. — *... oraz naprawdę musimy to zobaczyć, zanim wyjdę na samochwałę. Idziemy?*

Śpiew Ognia wziął notatki i rozłożył je na posadzce w kącie głównej komnaty. Pochylił się nad nimi z kyree, podczas gdy siedzący obok Lyam robił notatki; po pewnym czasie Tarrn stwierdził, że urządzenia stanowią ulepszoną wersję czegoś, co nazwał telesonem.

W tej chwili dołączył do nich Srebrny Lis. Do kolacji poznali nie tylko sposób uruchomienia urządzeń, ale opracowali także ich konstrukcję. Zakładając, oczywiście, że znajdą odpowiednie części. Część z nich, należących do dziedziny nauk tajemnych, trzeba było przygotować wcześniej; Śpiew Ognia nie był pewien, czy znajdzie je pomiędzy rupieciami leżącymi na ławkach. Tarrn i Srebrny Lis uważali, że Kaled'a'in w końcu zapewne uda się zrobić, ale po wielu nieudanych próbach, gdyż przez tyle stuleci język bardzo się zmienił.

— Zatem poprzestańmy na razie na próbach uruchomienia tych dwóch, które już mamy — odezwał się w końcu Śpiew Ognia, siadając na piętach i prostując zeszywniałe ramiona. — Jeśli będą działać, zobaczymy, czy uda nam się zbudować trzeci i uruchomić go. Połączenie z Przystanią to i tak więcej, niż oczekiwaliśmy, a dodatkowa komunikacja ze Słonecznym Rogiem przyniesie nam dwa razy więcej korzyści. Później, jeżeli starczy czasu, będziemy się zastanawiać, jak można skonstruować coś takiego od podstaw.

— Uważam, że to dobry plan — zgodził się Srebrny Lis, kręcąc głową i starając się rozluźnić mięśnie. — Przyniosę tutaj jedno z tych urządzeń, w ten sposób przetestujemy je na niewielkiej odległości — rozejrzał się wokoło. — Będziemy potrzebować kogoś, kto posługuje się myślumą. Pewnie Tarrn?

To brzmi rozsądnie — zgodził się chętnie Tarrn. — *Będziemy również potrzebować maga — może Sejanesa — by to uruchomić.*

— A ja zejdę do pracowni i stamtąd spróbuję uruchomić drugą część — zaferował się Śpiew Ognia, wstając. Razem ze Srebrnym Lisem zszedł po schodach; Srebrny Lis ostrożnie wziął jedno z urządzeń leżących na ławce i zaniósł je na górę.

Instrukcja uruchomienia urządzeń została sformułowana w sposób jednoznaczny i z użyciem bardzo prostego języka, który nie zmienił się z upływem czasu. Nawet obdarzone darem magii i myślumy dziecko mogłoby ją wykonać. Teraz na podstawie notatek można się było domyśleć, że Urtho nie korzystał z urządzeń, gdyż prowadzone za ich pośrednictwem rozmowy mógł podsłuchać praktycznie każdy. To raczej wykluczało ich przydatność w czasie wojny. W poprzednio odcyfrowanych zapiskach Urtho znaleźli wiadomość, iż Ma'ar posiadał w swych szeregach wielu podwładnych z darem myślumy i korzystał z niej, jak z każdego innego narzędzia.

Śpiew Ognia miał jedynie nadzieję, że komunikaty przesyłane telesonami nie

będą przypadkiem przekazywane wszystkim ludziom obdarzonym myślumą; gdyby tak się działo, ograniczałyby to znacznie możliwości ich wykorzystania. Konieczność podtrzymywania zwykłych osłon to jedno, ale budowanie kolejnych, chroniących przed przedostawaniem się wiadomości, byłoby bardzo niewygodne. A dla ludzi niewyszkolonych i nieświadomych daru, jaki posiadają — wręcz niemożliwe.

„Nie chcę doprowadzić nikogo do szaleństwa, zmuszając go do słuchania rozmów nieznanym!”

O tym jednak mogli się na pewno przekonać tylko w jeden sposób. Do uruchomienia telesonów potrzebowali bardzo niewiele magii — a do podtrzymania ich pracy nie potrzebowali jej w ogóle. Magiczne burze nie miały tu czego zakłócać: urządzenia przechwytywały myślumą i wzmacniały ją, wykorzystując rezonans tworzony przez odpowiednie ustawienie kryształów. Sztuczka polegała na tym, że mogli ich używać nawet ludzie nie obdarzeni myślumą; do działania telesonów wystarczyła jedna osoba z darem.

Oznaczało to, iż mistrz Levy mógł porozumiewać się z kolegą — mistrzem za pośrednictwem herolda albo podobnie obdarzony mag mógł rozmawiać z pozbawionym daru Sejanem.

„Hmm. A jeśli nie będziemy akurat z nich korzystać, Karal mógłby porozumieć się z Natoli”. Ta myśl bardzo go ucieszyła; od czasu do czasu lubił bawić się w swata, widać znów nadeszła ta chwila. Co prawda byłyby to jedne z najdziwniejszych zalotów, ale jeśli to zadziała. . .

„Zacznij się martwić tym, jak uruchomić te starożytne zabawki!” — zganił sam siebie i natychmiast skupił się na tym właśnie zadaniu.

Chwilę później. . . chyba zaczęło działać. Według notatek teleson wyglądał na uruchomiony. Ale. . .

ŚPIEWIE OGNI!

Gdyby był to prawdziwy głos, a nie myśl, wrzask ogłuszyłby go. I tak przypawił go o nieznośny ból!

— Auu! — zawył i zasłonił dłońmi uszy, chociaż wiedział, że to nic nie pomoże.

Przepraszam — teraz głos brzmiał nieco bardziej normalnie, choć nie rozległ się żaden dźwięk. — *Czy tak lepiej?*

Nie rozpoznał myślgłosu; to na pewno nie był Tarrn. „Brzmiał” raczej dziwnie, choć Śpiew Ognia nie mógł sobie uzmysłowić, dlaczego.

Kto to? — wysłał ostrożnie, by nie ogłuszyć stojącego po drugiej stronie.

Sejanes. Muszę przyznać, że to ciekawy sposób porozumiewania. — Śpiew Ognia zamrugnął, aby rozjaśnić myśli i dociec, dlaczego myślgłos wydawała mu się tak niezwykła. Obrazy myśli. . .

„Tak, właśnie o to chodzi. Nie ma obrazów myśli! Nie ma strumienia uczuć, obrazów, przecieku myśli! To wygląda jak mówienie, a nie myślmówienie”.

Dla ludzi nie obdarzonych, nieprzyzwyczajonych do porządkowania nadmiaru informacji, które napływały z myślmową, była to dobra cecha telesonu.

Chyba mamy działającą parę prototypów — wysłał z radością komunikat.

Inni również się cieszyli. Po upewnieniu się, że oba urządzenia działają zgodnie z opisem i wszystkie części są dobrze osadzone, wszyscy zgodnie uznali to za duże osiągnięcie.

Zanim jednak udali się na zasłużony odpoczynek, wszyscy po kolei — obdarzeni i nie obdarzeni — wypróbowali telesony. Notatki były zgodne z prawdą: jeśli jeden z użytkowników posiadał dar, rozbrzmiewała krystalicznie czysta myślmową bez żadnych dodatkowych tonów. Jeśli obaj użytkownicy mieli dar, wyglądało to inaczej: była to całkowicie zwykła myślmową. Ku uldze Śpiewu Ognia urządzenia nie „rozlewały” komunikatów na obdarzonych, choć, jak zaznaczył Urtho, obdarzeni mogli się bez trudu „podłączyć”, kiedy ktoś inny używał telesonów. W tej chwili mogło się to okazać korzystne. Z pewnością przyda się możliwość uczestnictwa więcej niż dwóch osób w każdej konferencji przesyłanej myślą.

Altra po ostatnich skokach odzyskał siły na tyle, że od razu mógł przenieść do Valdemaru jedno z urządzeń; nalegał, by zrobić to natychmiast. Nie widział powodu do zwłoki, wręcz przeciwnie, według niego pośpiech był jak najbardziej wskazany.

Z każdą chwilą trudniej mi skakać — oświadczył stanowczo. — *Po co czekać? Z przedmiotem będzie mi łatwiej skakać niż z żywą istotą, ale łatwiej nie znaczy łatwo. Chcę mieć to za sobą!*

Nikt się nie sprzeciwił, więc kiedy tylko teleson został owinięty w pledy, by uchronić go przed uszkodzeniem, Altra wyruszył w drogę, zapowiadając swój powrót za cztery dni.

— Oczywiście już za dwa dni dowiemy się, czy urządzenie działa i pokonuje taki dystans, jak opisał to Urtho — zauważył Sejanos, kiedy szykowali się do snu. Mimo to nikt nie oczekiwał, że po tak pełnym wrażeń dniu od razu zaśnie. — Za dwa dni Altra dotrze do Przystani, a wtedy wystarczy jeden z heroldów, by nawiązać łączność.

— Albo my ją nawiążemy — zauważył Karal i ziewnął. Leżał na pościeli ze zwiniętym przy plecach Florianem, w miejsce Altry służącym za żywy piec. — Wiecie, kilka marek na świecy temu byłem naprawdę ożywiony i myślałem, że nie zasnę, ale teraz... — Ziewnął znów z widocznym zdziwieniem. — ...chyba czuję rozczarowanie.

Śpiew Ognia próbował mu to wyjaśnić.

— Wszyscy jesteśmy zmęczeni — to był pracowity dzień, ale nie tylko... — związał długie włosy, by w czasie snu się nie potargały.

Wybaczcie starej pesymistce — przerwała Potrzeba. — *To nie jest rozczarowanie, ale naprawdę niewiele jeszcze osiągnęliśmy, dziecko. Mamy nowe narzędzia, nic więcej. Gdyby one nie działały, musielibyśmy sobie poradzić bez nich. Znaj-*

dziemy tu odpowiedzi na nasze pytania, jeśli w ogóle można je znaleźć, ale teleson nie jest taką odpowiedzią. Dlatego czujesz, iż to, co dziś zrobiliśmy, to tylko drobny krok, a nie wielkie osiągnięcie.

— Aha — Karal miał poważny wyraz twarzy; zrozumiał. — Wiem, o co ci chodzi. Nie skończyliśmy naszej pracy, nawet nie zbliżyliśmy się do punktu, w którym moglibyśmy świętować. Cóż. To jednak rozczarowanie, ale przynajmniej się nie cofamy.

— Właśnie — poparł go Śpiew Ognia. — Tym bardziej powinieneś się dobrze wyspać. Rano każdy będzie potrzebny. — Popatrzył poważnie na Karala. — Zwłaszcza ty. Mamy przed sobą tyle pracy, że obaj z Lyamem pożałujecie, iż nie istniejecie w czterech osobach.

— Z radością wrócę do pracy — powiedział Karal ze słabym uśmiechem; w tej chwili Śpiew Ognia jednym słowem zgasił światła i po chwili już twardo spał.

ROZDZIAŁ PIĄTY

„Co mówi przysłowie Shin'a'in?” — zapytał sam siebie Mroczny Wiatr, obserwując, jak książę Tremane usiłuje ułożyć dokładne plany na czas, kiedy magiczne burze wreszcie pokonają wysiłki zmierzające do ich odsunięcia. „A, już pamiętam. „Najlepsze plany nigdy nie przetrwają pierwszego spotkania z nieprzyjacielem”. Jak Imperium udało się tak długo przetrwać w dobrym stanie, skoro muszą na każdą ewentualność opracować szczegółowy plan?”

Cała trójka siedziała wokół małego stołu w apartamentach wielkiego księcia; blat stolika zasłaniały papiery, mapy i stojące na nich szklanki z wodą.

— Co myślicie o tym? — zapytał książę, odkładając na bok plan, nad którym dyskutował przed chwilą z dwójką Valdemarczyków, i pochylając się nad stołem. — Moi uczeni nie zdołali dotrzeć do żadnych innych informacji o kataklizmie, a magom nie udało się przewidzieć żadnych skutków magicznych burz.

Elsbeth skrzywiła się.

— Obawiam się, że ja też nie umiem nic o tym powiedzieć. — odparła uczciwie. Spojrzała na Mroczny Wiatr, który wzruszył lekko ramionami.

— Mogę jedynie opowiedzieć ci o skutkach kataklizmu tak, jak przekazuje nam to nasza tradycja — zwrócił się do wielkiego księcia. — Skutki burz były odczuwalne na wielkim obszarze i dotknęły wielu dziedzin. Zaburzyły całą magię od Gór Lodowej Ściany na północy po granice cesarstwa Haighlei na południu, równie szeroko rozprzestrzeniły się na wschód i zachód od tego, co teraz nazywamy jeziorem Evendim i Równinami Dorisza. Jeśli jakiegokolwiek osłony przetrwały kataklizm, nic o tym nie wiem, ale muszę dodać, iż Kaled'a'in, od których wywodzi się mój lud, nie mieli pośród siebie wielkich magów.

— Zatem jakieś osłony mogły przetrwać? — nalegał Tremane, bawiąc się nerwowo piórem.

„Jak bardzo chciałby znaleźć sposób, by odzyskać swój rodzaj magii!” Teraz, kiedy obszar Hardornu, w którym się znaleźli, był chroniony przed najgorszymi skutkami magicznych burz, Tremane w pewnych przypadkach dopuszczał rozsądne wykorzystywanie magii, by oszczędzić cenne surowce, zwłaszcza opał. Baraki i kwatery ogrzewały i oświetlały magiczne ognie i światła; ponad połowę posiłków gotowano na magicznie opalanych kuchniach. To rzeczywiście ułatwiało

życie, przede wszystkim w barakach, wcześniej ogrzewanych suchym nawozem i niemal pozbawionych światła. Jednak i Mroczny Wiatr, i Elspeth widzieli, jak bardzo książe pragnął wykorzystywać magię tak, jak był do tego przyzwyczajony; kłopot w tym, że teraz było to niemożliwe. Po pierwsze — energia magiczna docierała tu w niewielkich ilościach; Ancar mocno nadwerężył jej zasoby, a przywrócenie ich początkowego stanu zajmie długi czas. Wystarczało jej na ogrzewanie i oświetlenie, ale nie na bardziej skomplikowane zaklęcia, jak przeszukiwanie lub wzniesienie silniejszych osłon przeciwko potworom. Po drugie — Hardron był otoczony jedynie buforami, więc pewne skutki burz docierały i tutaj — z każdym dniem nieco bardziej wyraźne.

Mroczny Wiatr rozłożył szeroko ręce i odgarnął na plecy swe długie, srebrzyste włosy.

— Tego nie umiem ci powiedzieć. Najlepiej byłoby zapytać k'Leshya, ale teraz trudno się z nimi skontaktować.

W tej chwili zauważył na twarzy Elspeth charakterystyczny wyraz lekkiego roztargnienia oznaczający, że rozmawia z Gwena. Tremane zawsze zapominał, iż Gwena uczestniczy w rozmowach, nawet jeśli nie siedzi przy stole, ona zaś nie przepuściła żadnej okazji, by mu o tym przypomnieć.

— Gwena mówi, że może przesłać pytanie do Cymry Skifa w Dolinie k'Leshya i w ciągu kilku dni otrzymać odpowiedź — odezwała się Elspeth; w kącikach jej ciemnych oczu pojawiły się zmarszczki. Mroczny Wiatr domyślił się, że tłumy śmiech. Zapewne Gwena powiedziała coś jeszcze na temat Tremane'a i jego krótkiej pamięci, ale znajdowali się tu z misją dyplomatyczną, a powtarzanie takich komentarzy nie wydawało się dobrym pomysłem. — Jest tam tylu magów, że z pewnością któryś z nich będzie znał odpowiedź na nasze pytanie. Jeśli nie, Gwena może porozumieć się z Florianem w Wieży i sprawdzić, czy An'desha nie wie czegoś na ten temat.

Nie każdy Towarzysz mógł pokonywać myślą tak duże odległości; z tego, co wiedział Mroczny Wiatr, takie zdolności posiadały tylko dwa z nich: Gwena i Towarzysz osobistego herolda królowej — Rolan. Były wyjątkowe, urodziły się w Gaju, jak miejsce to nazywali heroldowie; podobno zamiast przyjść na świat w naturalny sposób, wynurzyły się jako dorosłe osobniki z Gaju rosnącego pośrodku Łąki Towarzyszy. Miały niezwykle silny dar myślmagii. W całej historii Valdemaru nie zdarzyło się, by w tym samym czasie żył więcej niż jeden Towarzysz pochodzący z Gaju. Jednak według wszelkich źródeł, zarówno świeckich, jak i religijnych, nadszedł zwrotny punkt w historii nie tylko Valdemaru, ale całej tej części świata, i jeśli kiedykolwiek potrzeba było drugiego Towarzysza urodzonego w Gaju — to właśnie teraz.

Tremane zagryzł wargę i przesunął dłonią po łysiejącej głowie.

— Wiecie — odezwał się ostrożnie. — To, że broń, którą badają w Wieży, przetrwała, oznacza, iż jakieś osłony wytrzymały, prawda? Z pewnością wokół

Wieży wzniesiono bardzo silne tarcze w czasie kataklizmu.

— Może to jedynie oznaczać, iż to, co znalazło się w sercu kataklizmu, uzyskało pewne naturalne osłony, podobnie ma to miejsce w oku cyklonu — przypomniała mu Elspeth, nawijając na palec lok kasztanowych, naznaczonych srebrnymi nitkami włosów. — Nie liczyłabym na to. Nie spodziewam się również, że ktoś z nas, czy to razem, czy w pojedynkę, zdoła odtworzyć osłony wzniesione przez ówczesnych magów. Byli to ludzie zdolni do tworzenia żywych istot — gryfów, bazylijszków, wyrsa — a nie wiem o nikim żyjącym współcześnie, kto choćby próbował dokonać czegoś podobnego.

Mroczny Wiatr chrząknął cicho, by znów zwrócić ich uwagę.

— Wracając do twojego pytania o skutki pierwotnego kataklizmu. — Spowodował on całkowitą zmianę przebiegu naturalnych linii energii magicznej na tym obszarze. Możemy oczekiwać podobnego zjawiska. Co do świata fizycznego — cóż, my, Sokoli Bracia, wciąż naprawiamy szkody wyrządzone przez pierwotne burze. Jeśli potwory, jakie dotąd widziałeś, wydają ci się przerażające, zaczekaj, aż będą ich setki i tysiące, a liczba istot spaczonych i skażonych dorówna liczbie normalnych stworzeń lub ją przewyższy. — Przez moment przesuwiał palcami po stole, jakby robił szybkie obliczenia. — By dać ci jakieś pojęcie: oczyszczenie z niebezpiecznych stworzeń i jeszcze bardziej niebezpiecznej magii obszaru równego mniej więcej połowie twojego Imperium zajęło nam jakieś dwa tysiące lat.

Tremane pochylił się z troską nad swymi papierami.

— Zatem twoja propozycja brzmi...

Elspeth i Mroczny Wiatr wymienili spojrzenia, po czym Mroczny Wiatr odpowiedział.

— Jeśli naszej grupie w Wieży nie uda się niczego dokonać — ostrzeż, kogo tylko zdołasz, postaw wszelkie osłony, jakie możesz, zakładając, że nie wytrzymają, i spróbuj przetrwać. Planuj cokolwiek dopiero po obejrzeniu skutków tego, co nastąpi.

Książę zrobił kwaśną minę, ale nie odpowiedział. Elspeth zdobyła się na nieco współczucia.

— Książę, wiem, jakie to dla ciebie trudne. Panujesz nad terenem, z którego odprowadzono większość magicznej energii, ale pamiętaj, że jego mieszkańcy nigdy nie polegali wyłącznie na magii w życiu codziennym — zauważyła. — Możesz liczyć na to, że większość z nich przetrwa, większość mostów nie załamie się, kominki będą ogrzewać twoje baraki tak, jak dotychczas, świece będą płonąć w ciemności, a pożywienie będzie gotowane w porządnie zbudowanej kuchni. Hardorn jest przygotowany na wszystko, oprócz tego, co ostatnia burza może zrobić ze światem fizycznym — a w pewnym sensie możesz przygotować się i na to, dowiadując się o skutkach poprzedniego kataklizmu.

Tremane westchnął i potarł palcami skroń.

— Owszem, wiem o tym, podobnie jak wiem, iż Imperium znajdzie się w trudniejszej sytuacji. Pograżyło się ono w chaosie tak dalece, że już w czasie mojego najazdu na magazyn jego załoga nie miała wiadomości od zwierzchnictwa od wielu tygodni — nie wyobrażam sobie, co się tam teraz dzieje. Już wcześniej było nam trudno, a pocieszało mnie jedynie to, że nie mogłem wyobrazić sobie czegoś gorszego. Teraz muszę to zrobić i w jakiś sposób przygotować plan.

Elspeth ze współczuciem potrząsnęła głową.

— Nie możesz przygotować żadnych planów, Tremane. Możesz jedynie zawiadomić ludzi, czego mogą się spodziewać oraz ustalić sposób przekazywania informacji, kiedy nadejdzie najgorsze. Na przykład wieże sygnalizacyjne. Powinieneś postawić ich jak najwięcej! Jeśli każda wieś będzie miała wieżę, tak jak ma swojego herolda, zdołasz pomóc ludziom na długo przedtem, zanim dotrze do ciebie ich posłaniec.

Mroczny Wiatr przytaknął.

— Nie rób planów na konkretne zdarzenia; to z pewnością okaże się próżnym wysiłkiem.

— Uważasz, że powinienem być elastyczny? — Książę rozważał te słowa przez chwilę, po czym kiwnął głową. — Muszę zaplanować przekazywanie wiadomości oraz zebrać informacje, póki jeszcze mogę. Wszystko pójdzie dobrze, jeśli na terenach przypuszczalnych kłopotów mieszkają ludzie. Ale jeśli nie będzie nikogo, a założy tam gniazdo jakiś potwór — lub całe ich stado — o którym się nie dowiemy, póki nie zmiecie z ziemi całego miasta? Może nawet i wtedy się o tym nie dowiemy. . .

Potań czoło; Mroczny Wiatr zauważył cień bólu w jego oczach i napięcie mięśni niezbyt przystojnej twarzy.

— Chciałbym znaleźć sposób, by móc obserwować ziemię — powiedział niespokojnie. — Kiedyś moi magowie mogli pilnować całych połaci kraju; oddałbym swą rękę, by móc teraz używać tej metody.

Mroczny Wiatr znów wymienił spojrzenia z Elspeth.

Co o tym myślisz? To najlepsza zachęta, jaką kiedykolwiek od niego usłyszeliśmy.

Jeśli uda nam się sprawić, by uwierzył w zmysł ziemi — odrzekła trochę pesymistycznie. — Ale masz rację. To nie tylko najlepsza, ale jedyna zachęta, jaką dał nam kiedykolwiek. Ty czy ja? — zapytał.

Ja rozpocznę. Pochodzę z rodu panującego, jestem heroldem oraz miejscową specjalistką w myślmagii. Można oczekiwać, że znam się na tym i zdołam spozstrzec, jeśli Hardorneńcy spróbują zmyślać. Ty podejmiesz temat, gdy będziesz mógł wtrącić coś, na czym się znasz.

Mroczny Wiatr splótł ręce na blacie stołu, Elspeth zaś chrząknęła.

— Książę — zaczęła. — Być może znam rozwiązanie tego problemu; co dziwne, jest to część propozycji uczynionej przez Hardorneńczyków mieszkających

poza twoją domeną; poprosili mnie, bym ci ją przekazała. — Uśmiechnęła się przepraszająco. — Zapewne przewidywałeś, że — oprócz tego, że jesteśmy posłami sojuszu — możemy służyć jako posłowie lojalistów. Obiecaliśmy przedstawić ich propozycję w odpowiedniej chwili, gdyż wydawało się to raczej nieszkodliwe. Spojrzał na nią ostro i lekko podejrzliwie.

— Propozycja? Jakiego rodzaju?

Elsbeth zagryzła wargi i na chwilę spojrzała w dół, na swoje silne, mocno umięśnione ręce. Z pewnością nie były to dłonie rozpieszczonej księżniczki; zapewne, jak sądził Mroczny Wiatr, Tremane również to zauważył.

— Cóż. . . jest raczej interesująca. Najprawdopodobniej Hardorneńcy obserwowali, jak sobie tutaj radzisz — zrobiłeś na nich duże wrażenie. Wydaje się, że panuje ogólna zgoda, by — po spełnieniu pewnych warunków — zgodzili się nie tylko na rozejm, ale również ofiarowali ci koronę Hardornu.

Tremane wyglądał, jakby otrzymał cios deską w głowę. Po raz pierwszy był naprawdę zaskoczony.

— Koronę? Chcą uczynić mnie królem? A co z innymi kandydatami?

— Nie ma ich — odparł stanowczo Mroczny Wiatr. — Ancar wyeliminował wszelkich możliwych rywali. Jak nam powiedziano, nie ma nawet nikogo po kądzieli; najwidoczniej nie widział powodu, by z tej czystki wykluczyć kobiety, dzieci, a nawet niemowlęta. Z tego, co ogólnie wiadomo, dotarł do czwartej czy piątej linii pokrewieństwa. Zanim skończył — cóż, masz takie samo prawo do tronu jak ktokolwiek urodzony tutaj, tak słabe są teraz powiązania dynastyczne.

„Większość z tego dowiedzieliśmy się w czasie poprzedniej bytności w Hardornie, ale chyba niepolitycznie byłoby wspominać o tej wycieczce”.

Tremane nie zbladł, ale wyglądał na poruszonego.

— A ja myślałem, że tylko polityka Imperium polega na podrzynaniu gardeł — mruknął jakby do siebie. Po chwili zamrugął i wziął się w garść. — Zatem o jakich to warunkach mówiliście? I w jaki sposób ma to mi pomóc w zdobyciu informacji o tym, co dzieje się z ziemią?

Elsbeth bawiła się swoją szklanką wody.

— Teraz muszę cię poprosić, byś wysilił wyobraźnię, Tremane — odpowiedziała. — Wiesz, że istnieje magia umysłu, gdyż widziałeś, jak używają jej członkowie poselstwa.

Ostrożnie kiwnął głową.

— Znasz również uzdrowicieli korzystających z magii uzdrawiania, podobnej, ale nie identycznej z myślmagią — ciągnęła. — Wiesz, że oba te rodzaje magii nie ucierpiały wskutek burz, które niszczą tylko to, co w Valdemarze nazywamy prawdziwą magią.

— Na razie nadażam — odparł Tremane.

— Cóż, z tego co wiemy, obok magii uzdrawiania i myślmagii istnieje jeszcze trzeci jej rodzaj, podobny do obu, ale nie będący żadnym z nich — mówiła,

nachylając się ku niemu. — Jest on nazywany magią ziemi; działa tylko w sprawach związanych z ziemią, jej zdrowiem i uzdrowieniem. Przypuszczamy, że to jej właśnie, a nie prawdziwej magii, używają magowie ziemi i wiedzące babki; ludzie wyszkoleni w tych dyscyplinach — tak słyszałam — również mówią o swojej mocy jako o magii ziemi, zaś to, do czego jesteśmy przyzwyczajeni ty, Mroczny Wiatr i ja, określamy jako wysoką magię.

Dobrze. Teraz opowiedz mi o adeptach-uzdrowicielach Sokolich Braci, a ja zastanowię się, jak nakłonić go do zgody na rytuał związania z ziemią.

Mroczny Wiatr ledwo dostrzegalnie kiwnął głową i podjął wątek.

— My, Tayledrasi, mamy adeptów zwanych adeptami-uzdrowicielami, którzy posiadają zdolności wyczuwania zatrutych miejsc, w których magia została skażona, oraz leczenia ich — powiedział. Tremane siedział na krześle z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. — Potwierdzeniem ich umiejętności jest fakt, że na tak wielkim obszarze udało nam się przywrócić stan rzeczy sprzed kataklizmu. Wyjątkową zdolność umożliwiającą takie działanie — rodacy Elspeth nazwaliby to darem — określamy po prostu jako zmysł ziemi.

— Mogą z niego korzystać nie tylko babki na wsiach i adepci Tayledras. Zarówno mój ojczym, książę Daren, jak i król Rethwellanu posiadają ów zmysł — podjęła z powrotem Elspeth. — Wydaje się, że ten dar od zawsze istniał w królewskim rodzie Rethwellanu. Od pokoleń nikt go nie potrzebował, ale jego przydatność jest oczywista, kiedy się przypomni, jak Daren, nie znający Hardornu i nie związany rytualnie z jego ziemią, czuł wyrządzone jej przez Ancara szkody, kiedy przyszedł tutaj z pomocą Valdemarowi w wojnie z Ancarem. Okazało się nawet, że ma to znaczenie taktyczne, gdyż dowiedzieliśmy się, skąd Ancar czerpie potrzebną mu moc.

Tremane kiwnął głową i powtórzył sformułowanie, którym mieli nadzieję go zainteresować.

— Rytualnie związany z ziemią? — zapytał. — Co to znaczy?

— Władcy Rethwellanu — a również, jak przypuszczam, Hardornu — zawsze brali udział w bardzo starym rytuale zwanym związaniem z ziemią — odparła Elspeth. — W Valdemarze nie jest on znany, dlatego nie potrafię ci opisać, jak przebiega, a także dlaczego po jego zakończeniu władca czuje natychmiast każdą większą szkodę poczynioną ziemi. Ancar najwyraźniej nigdy w nim nie uczestniczył, inaczej nie zrobiłby tego, co robił — podejrzewam, iż, jak w Rethwellanie, rytuał ten jest w Hardornie odprawiany w prywatnym zaciszu tuż przed uroczystą koronacją. Ancar koronował się sam bez zachowania tradycyjnych obrzędów, więc... — wzruszyła ramionami. — Mój ojczym twierdzi, że nawet ludzie z uspiętym zmysłem ziemi mogą go w sobie obudzić wskutek rytuału.

— Mieszkańcy Hardornu znaleźli kapłanów starych obrządków, znających rytuał — ciągnął Mroczny Wiatr na znaczące spojrzenie Elspeth. — Według nich, jeśli zostaniesz poddany próbie i obudzi się u ciebie zmysł ziemi, kwalifikuje cię

to do korony Hardornu. A gdybyś przeszedł rytuał związania z ziemią, budząc w sobie zmysł ziemi i związując go z Hardornem, byłbyś... bezpiecznym monarchą, gdyż nie mógłbyś niszczyć, przeciążać i nadużywać bogactw ziemi w kraju tak, jak robił to Ancar.

— Ponieważ zranienie ziemi oznaczałoby zranienie siebie — Tremane podniósł sceptycznie brwi.

Czyżby chciał nas wyśmiać? — w myśl głósie Elspeth zabrzmiało powątpiewanie i Mroczny Wiatr nie winił jej za to. Był to prymitywny, niewymyślny pomysł — dla kogoś pochodzącego ze Wschodniego Imperium, w którym sztukę magii doprowadzono do niespotykanego poziomu, wskutek czego polegano na niej praktycznie w każdej dziedzinie życia — musiało to brzmieć niewiarygodnie prostacko i nieokrzesanie.

Jednak książę się nie roześmiał; wydawał się wręcz rozpatrywać pomysł.

— Możecie powiedzieć mi coś więcej o zmyśle ziemi? Co w sobie zawiera? Jak można nauczyć się posługiwania nim?

— Wśród moich rodaków nie jest to skomplikowane — odparł Mroczny Wiatr. — Nie chodzi nawet o to, by nauczyć się nim posługiwać, ale by nauczyć się nie dać mu opanować. W pewien sposób przypomina to empatię lub niezwykle silną myślmowę. Uczysz się właściwie osłaniać przed tym darem, by nie oddziaływał na ciebie przez cały czas.

— Interesujące. Wyobrażam sobie, jak niewygodne byłoby podleganie warunkom, które usiłuje się właśnie zmienić — książę zmarszczył brwi w zamyśleniu. — Czy to działa również w drugą stronę? Czy fizyczny stan króla wpływa na stan ziemi?

— Niebiosa, nie! — zawołała Elspeth. — Po pierwsze — król nie jest tak... monumentalny jak ziemia! Przypominałoby to pchłę na koniu. Po drugie — to jedynie zmysł, jak zmysł powonienia, i... — przerwała, szukając słów; Mroczny Wiatr potrząsnął głową.

— Nie lubię zaprzeczać słowom Elspeth, ale nie jest to całkiem prawda, książę Tremanie — odezwał się, czując potrzebę całkowitej szczerości. — W pewnych bardzo specyficznych okolicznościach zdrowie zwiazanego z ziemią króla może wpływać na jej stan. Może on poświęcić siebie — oddać swoje życie — by przywrócić ziemi utraconą równowagę. Wiedzą o tym moi rodacy, a Shin'a'in nie tylko wiedzą, ale też — bardzo rzadko — praktykowali to. Muszę jednak powiedzieć, iż osobiście nie wierzę, by Hardorneńczycy stosowali ten sposób przywiązywania władców do ziemi. Jak z rzemiosłem — istnieją tysiące sposobów jego uprawiania, a nic z tego, co mówili, nie dało mi do zrozumienia, że w ogóle wiedzą o takiej możliwości. Muszę też podkreślić, iż poświęcenie musi być całkowicie dobrowolne, by przyniosło oczekiwane skutki — ten, kto składa życie w ofierze, musi tego pragnąć. — Zdobył się na słaby uśmiech. — Rzucanie króla na kamień ofiarny i rozlewanie jego krwi może posłużyć jedynie jako dość ponury sposób

nawożenia trawy, ale z pewnością nie zmieni niczego, jeśli nie towarzyszy temu poświęcenie.

Kiedy Mroczny Wiatr przekazywał swoje rewelacje, Tremane podnosił brwi coraz wyżej, aż zatrzymał je niemal w połowie wysokości czoła. Jednak nie skomentował niczego. Po chwili wstał.

— Chciałbym to przemyśleć — powiedział. — Zakładam, że macie sposób skontaktowania się z kimś, jeśli podejmę decyzję?

Ja mogę to zrobić — odezwała się Gwena stanowczo w umysłach obojga.

— Owszem — odparła Elspeth.

— Zatem dajcie mi... jakąś markę — odrzekł. — Jeśli nie macie nic przeciwko temu, przyślę po was.

Jako że od śniadania upłynęło wiele czasu, a była to doskonała wymówka do wysłania przydzielonego im adiutanta na poszukiwanie jedzenia, ani Elspeth, ani Mroczny Wiatr nie mieli nic przeciwko temu. Wymienili uprzejme ukłony i odeszli do swojej kwatery, zostawiając Tremane'a siedzącego w krześle, wpatzonego w księżycy pierścień na palcu, najwyraźniej głęboko zamyślnego.

Zjedli już niemal połowę solidnego, choć niezbyt wykwintnego posiłku złożonego z chleba, mięsa na zimno i marynat, kiedy Gwena oznajmiła, że — jak obiecała — znalazła poszukiwaną osobę.

Idź po zmiernych do tawerny „Pod Wiszącą Gęsią” — powiedziała do Mrocznego Wiatru. — *Musisz to być ty, gdyż Elspeth nie byłaby tam mile widziana, a gdybyście poszli we dwójkę, mógłby podejrzewać pułapkę.*

Elspeth wymieniła z Mrocznym Wiatrem ironiczne spojrzenie, wzruszyła ramionami i zabrała się za jedzenie.

Zapytaj o tego, który rozlewa piwo, a nie mocniejsze alkohole — ciągnęła Gwena. — *Powiedz: „Piję bardzo zimne piwo”. On powinien odpowiedzieć: „To dziwny zwyczaj”. Ty wtedy odpowiesz: „Nauczyłem się tego na zachodzie”. Kiwnie głową i zapyta o wiadomość. Ma znakomitą pamięć, przekaże ją co do słowa. Jeśli Tremane zdecyduje się podjąć ryzyko, delegacja z kapłanem dotrze tu w ciągu kilku dni. Może nawet wcześniej. Mogli zostawić kogoś w pobliskiej wsi w nadziei, że uda wam się przekazać ich propozycję tuż po naszym przyjeździe.*

— Podejrzewam raczej, że lojaliści mają agentów w samym mieście — odezwała się Elspeth, która przełknęła ostatni kęs. — Nie wyobrażam sobie, by mogli tak wiele o nim wiedzieć, opierając się tylko na tym, co do nich dociera. Ale wygląda na to, że sieć istnieje już od jakiegoś czasu. Znalezienie kogoś z doskonałą pamięcią i jednocześnie na tyle zaufanego, by mógł stać się skrzynką kontaktową, zajmuje dużo czasu. Zastanawiam się, czy ta tawerna nie służyła już wcześniej jako punkt kontaktowy dla innych celów... — uśmiechnęła się znacząco do Mrocznego Wiatru.

Zaśmiał się.

— Jestem tylko biednym Sokolim Bratem, zwiadowcą, który nie ma pojęcia o mieszkańcach miasta i ich zwyczajach — zaprotestował. — Jakich celów?

— Może przemytu. Może spisku przeciwko Ancarowi. Założę się, że Gwen na nie chce, abym tam szła, nie tylko dlatego, iż byłabym tam źle widziana. — Uśmiechnęła się, gdy usłyszała coś, co Towarzyszka powiedziała tylko do niej. — Tak myślałam. — Pogłaskała Mroczny Wiatr po rękę. — Panie pracujące w tej gospodzie sprzedają nie tylko napoje i jedzenie, mój ty biedny, nie znający miasta Sokoli Bracie. Chyba powinienes dać im jasno do zrozumienia, że nie interesują cię ich usługi, inaczej mógłbyś przynieść do domu coś, co wymagałoby pomocy uzdrowiciela i na pewno nie ułatwiłoby ci życia.

Odpowiedział jej uśmiechem i zaczął się zastanawiać nad stosowną ripostą, kiedy przyszedł po nich adiutant Tremane'a.

Wielki książę czekał już na nich; wyglądał tak samo, jak w chwili ich wyjścia z komnaty. Usiedli i czekali w milczeniu.

— Szczerze mówiąc, nie jestem do końca przekonany o istnieniu tego tak zwanego zmysłu ziemi — odezwał się po chwili. — I naprawdę nie wierzę, żebym go posiadał, nawet jeśli istnieje. Byłby to zbyt szczęśliwy zbieg okoliczności, gdyby się okazało, że spośród tych, którzy mogli tu trafić, akurat ja mam zmysł potrzebny w tym czasie — zmarszczył czoło. — To brzmi jak opowieść bazarza.

— Możliwe — odparł Mroczny Wiatr. — Ale zanim od razu odrzucisz tę propozycję, nic nie przeszkadza, aby sprawdzić, czy to prawda. Jeśli uznasz, że zmysł ziemi rzeczywiście istnieje i jego najbardziej skrajna postać może zostać... obudzona tylko przez ten rytuał, zatem jego słabsza lub uśpiona forma bardzo się przyda każdemu, kto sprawuje władzę choćby nad małym skrawkiem ziemi. Posiadanie takiego zmysłu mogłoby wyjaśniać, dlaczego niektórzy właściciele majątków ziemskich odnoszą większe sukcesy niż inni, a pewni w niewytłumaczalny sposób wiedzą, co dzieje się w ich posiadłości i z ich poddanyymi i mają przeczucia, które zawsze okazują się trafne.

— Rozumiem — odparł Tremane.

— Zatem, biorąc to pod uwagę, logicznie byłoby założyć, że właściciele pochodzący z rodzin obdarzonych tą zdolnością cieszą się większą pomyślnością niż inni, zbiorą większe bogactwa i w końcu, w ciągu wielu pokoleń, dojdą do wyższych pozycji i władzy — przekonywał dalej Mroczny Wiatr. — Krótko mówiąc, logicznie byłoby założyć, że właściciel majątku lub nawet król posiadał ten dar, gdyż bez niego jego przodkowie nie osiągnęliby tak wiele.

Tremane roześmiał się głośno; Mroczny Wiatr po raz pierwszy usłyszał jego śmiech i spodobał mu się ten dźwięk. Często zdarzało mu się oceniać charakter ludzi po ich śmiechu; śmiech Tremane'a był szczery, serdeczny i bez śladu maniery.

— Gdybyś nie urodził się Sokolim Bratem, zostałbyś chyba dyplomata, dworzaniem albo kapłanem, panie Mroczny Wietrze — powiedział w końcu książę.

— Naprawdę potrafisz dobrać przekonujące argumenty. Teraz wysłuchajcie mnie, proszę.

Mroczny Wiatr i Elspeth kiwnęli głowami, Tremane zaś zaczął wygłaszać własne zdanie.

— Musicie wiedzieć — oni również — iż ze zmysłem ziemi czy bez niego, jeśli moi ludzie i ja zdołamy przywrócić tu porządek — jak już się nam to udało, zauważcie — ludzie zaczną napływać pod moje sztandary niezależnie od tytułu. Na tym polega tajemnica sukcesu Imperium. Czekamy, aż kraj znajdzie się w stanie chaosu, po czym wkraczamy, oferując porządek, bezpieczeństwo i możliwość bogacenia się. Zwykle mieszkańcy witają nas z radością. Potem wieści o bogactwie Imperium rozchodzą się, kraje do których wkraczamy, są już na pół zdobyte, zanim jeszcze wejdzie do nich armia.

— To ma aż zbyt wiele sensu — skomentowała oschle Elspeth.

Tremane kiwnął głową i mówił dalej, uderzając wskazującym palcem w blat stołu dla podkreślenia kolejnych argumentów.

— Musicie im jasno uświadomić, że niezależnie od rozwoju wydarzeń mam zamiar zatrzymać tę część kraju dla mnie, moich ludzi i tych Hardorneńczyków, którzy zaakceptowali moje zwierzchnictwo i moje rządy — bez żadnego wiązania z ziemią.

— Oni chyba są tego świadomi, Tremane — odparła równie szczerze Elspeth. — Ale upewnię się, iż obie strony otwarcie to przyznają. Mówiąc uczciwie, nie ma sposobu, by cię stąd usunąć środkami, jakimi rozporządzają w tej chwili hardorneńscy lojaliści. Do tego potrzebowaliby armii. Jedyne armie odpowiednio liczne to wojska sojuszu, a my reprezentujemy tutaj sojusz z misją dobrej woli i pokoju, zatem chyba nie musisz obawiać się utraty panowania nad tym obszarem.

— Dobrze. Chciałem tylko to wyjaśnić — Księżę bawił się przez chwilę rogiem kartki papieru. — Nie twierdzę, iż podoba mi się pomysł poddania się temu rytuałowi. To wszystko wydaje się bardzo prymitywne. Ale mimo tego, iż nie wierzę w to, że posiadam zmysł ziemi, kapłan będzie o tym przekonany i pozwoli mi przejść rytuał, nawet jeśli okaże się on pozbawiony znaczenia. Szczerze mówiąc, jeśli tak się stanie, będzie to najłatwiejsza i najszybsza droga do wzięcia pod moje skrzydła całego kraju, w dodatku całkowicie bezkrwawo. — Uśmiechnął się dziwnie nieśmiałym uśmiechem. Mroczny Wiatr miał wrażenie, że taki uśmiech rzadko pojawiał się na ustach księcia, jakby Tremane miał jeszcze mniej powodów do uśmiechu niż do śmiechu. — Jak mógłbym nie skorzystać z takiej okazji?

— Na twoim miejscu z pewnością bym jej nie odrzucił — odparł Mroczny Wiatr. — Czy to już wszystko, co masz do powiedzenia?

Tremane kiwnął głową.

— Wybaczcie, ale muszę teraz zająć się ludźmi. Mój adiutant odprowadzi was do kwatery i jeśli chcecie wyjść do miasta, wszakże wam drogę.

To nie będzie potrzebne — odezwała się Gwena.

— Dziękuję — powiedział Mroczny Wiatr, nie dając żadnego znaku, że chciałby skorzystać z oferty księcia.

Po wymianie uprzejmych ukłonów wrócili do swoich komnat. Elspeth wyglądała na zamyśloną, ale nie powiedziała nic, dopóki nie znaleźli się sami.

Stała, grzejąc się, oparta plecami o ceglano-żelazny piec, na którym płonął magiczny ogień. Na kominku płonął również prawdziwy ogień — oba ogrzewały komnaty na tyle, że było w nich równie ciepło jak w Valdemarze. Jednak na korytarzach — mimo dodatkowych pieców — wciąż panował chłód i oboje dostawali dreszczy z zimna, zanim docierali od siebie do kwatery Tremane'a.

Bez wątplenia była to jedna z najcięższych zim, jakie dotknęły Hardorn — nawet jeśli nie brało się pod uwagę skutków magicznych burz. Według słów adiutanta zasadnicza różnica pomiędzy pogodą panującą teraz, a tą w czasie burz polegała na tym, że teraz co jakieś dwa tygodnie szalały zwykłe zawieje, a nie śmiercionośne burze. Przy niewiarygodnej grubości pokrywy śnieżnej słońce nie zdążyło nawet jej nadtopić, kiedy powstawała już kolejna warstwa.

Zmodyfikowana wersja Bieli, którą hertasi zaprojektowały dla Elspeth, wydawała się niezwykle pasować do lodowego krajobrazu za oknem. Mroczny Wiatr zastanawiał się, co pomyśleli na jej widok wojownicy Imperium; czy uznali, że strój jest specjalnie dopasowany do pory roku, podobnie jak ubranie zwiadowcy Tayledrasów?

— Wiesz — odezwała się w końcu Elspeth po tayledrasku. — Mam wrażenie, iż sytuacja tutaj ma kilka interesujących wspólnych cech z historią Valdemaru. Dokładnie — z jego założeniem.

— Tak? — Mroczny Wiatr stanął obok niej, wyciągając ręce w stronę pieca i myśląc z utęsknieniem o gorących sadzawkach i źródłach Sokolich Braci. Tutaj nigdy nie było mu dość ciepło — z wyjątkiem łóżka. Odpowiedział Elspeth w tym samym języku:

— Nie wiedziałem o tym.

— Valdemar nie służył Imperium, ale uciekł z niego; on i jego ludzie skierowali się w tę stronę. Kiedy jednak dotarli do miejsca, w którym dziś leży Przystań i zaczęli budowę, założyli ją w pobliżu już istniejącej wsi — odrzekła Elspeth, odwracając się twarzą do pieca i zacierając dłonie. — Miejscowym nie do końca podobało się jego przybycie, choć otwarcie nigdy mu się nie sprzeciwili. Jednak kiedy poznali korzyści płynące z jego opieki — i sposób, w jaki traktował swoich poddanych — zaczęli zachowywać się podobnie, jak Hardorneńczycy wobec Tremane'a. W końcu oczywiście zaczęli nalegać, by został ich królem — zachichotała. — To raczej śmieszne: jak się zdaje, każdy pomniejszy władca w promieniu wielu mil w każdym kierunku tytułował się królem i ludzie wstydzili się być poddanymi zwykłego barona. Kazali więc wykuć koronę, ściągnęli kapłana, by przeprowadził ceremonię, i ukoronowali Valdemara, zanim miał szansę zapro-

testować. Chyba był tym wszystkim dość zaskoczony.

Mroczny Wiatr roześmiał się.

— Po raz pierwszy słyszę o kimś, kogo sztuczką nakłoniono do przyjęcia korony królewskiej — powiedział. — Ale masz rację, rzeczywiście widać tu podobieństwo.

Elsbeth ze zmarszczonym czołem wpatrywała się w piec.

— Możemy chyba założyć, że Tremane'owi i tak zaproponują koronę.

— To chyba ostateczny wniosek, jaki się nasuwa, kochanie — zgodził się z nią Mroczny Wiatr. — Nawet jeśli książę nie posiada zmysłu ziemi, kapłan może przeprowadzić rytuał wiązania tylko po to, by umożliwić mu wybór. Tu chyba Tremane miał rację.

Elsbeth westchnęła i kiwnęła głową.

— Kolejne pytanie brzmi: w jaki sposób król Hardornu będzie mógł być sprawdzany w czasie rządów, jak sprawdzany jest Syn Słońca, król Rethwellanu i królowa Valdemaru? Solaris odpowiada przed Vkandisem, Faram jest związany z ziemią i ma swój rodowy miecz, a Selenay ma Towarzysza. — Zagryzła wargę. — Z drugiej strony — może coś takiego już istnieje. W końcu Solaris nałożyła na niego klątwę prawdomówności.

— Tak, ale nie musi mówić całej prawdy — przypomniał jej Mroczny Wiatr. — Czasami można skłamać, zatajając część prawdy.

Skrzywiła się i odwróciła od pieca, po czym zaczęła chodzić po pokoju, jak to często czyniła, kiedy się nad czymś zastanawiała.

— Może uznasz mnie za szaloną, ale zaczynam się zgadzać z młodym Karalem: ten człowiek jest z natury dobry. Ta cała rozmowa o zabójcach zaraz po naszym przyjeździe. . .

Mroczny Wiatr kiwnął głową, gdyż w czasie rozmowy odniósł to samo wrażenie: Tremane był człowiekiem, który wziął na siebie ogromny ciężar pośredniego spowodowania śmierci niewinnych ludzi i przez resztę życia miał się z tego powodu czuć winny. Naprawdę winny, nie udawał. Nie miało znaczenia, że w chwili wydawania rozkazu miał powody, by tak postąpić; liczyło się to, iż w ciągu ostatnich kilku miesięcy sam się zmienił. Nie zaakceptowałby teraz tego, na co zgodziłby się kiedyś.

Ale Mroczny Wiatr zdawał sobie również sprawę z tego, że Tremane mógł być doskonałym aktorem. W większym lub mniejszym stopniu byli nimi wszyscy władcy.

— Wciąż mam pewne wątpliwości — powiedział po chwili. — Nie da się zmienić przeszłości. Bez prowokacji potraktował nas w straszny sposób. Może teraz tego żałuje, lecz zastanawiam się, czy w sytuacji zagrożenia nie wróci do starych metod.

Westchnęła.

Chyba lepiej będzie kontynuować tę rozmowę tak, by nikt jej nie słyszał — ostrzegła. Dobry pomysł. Sejanus za pomocą magii nauczył się valdemarskiego i kilku innych języków, ktoś inny tutaj mógł zrobić to samo. Co prawda mała ilość energii magicznej nie pozwoliłaby na rzucenie takiego zaklęcia, ale po co ryzykować? My, Tayledrasi, jesteśmy bardziej podejrzliwi niż inne narody. Tak myślę — lecz chciałbym wiedzieć, czy dobra strona natury Tremane'a, zdławiona wskutek życia w Imperium, zaczęła dominować, czy to jego praktyczny zmysł przybiera maskę dobroci, aby... W tej chwili może uczynić więcej dobra niż szkody — zauważyła Gwena, włączając się do rozmowy.

Gwena ma rację; właściwie to czynił — poparła ją Elspeth. — Spójrz na to wszystko: zgadza się, wybrał na swoją kwaterę najlepszy zamek w okolicy, ale poza tym prowadzi stosunkowo skromny tryb życia jak na nie koronowanego króla tej części kraju. Je to samo, co jego ludzie, nie marnuje czasu na ekstrawaganckie rozrywki, co więcej: oddaje lokalnej społeczności wiele z tego, co sam stąd bierze. Nigdy nie prosi swych ludzi, by uczynili coś, czego sam by nie zrobił, a zwykle sam wyrusza z nimi na zewnątrz, prowadząc ich.

Myśli najpierw o swoich ludziach, potem o miejscowych, ziemi i zwierzętach, a na końcu o sobie — dodała Gwena. — Tak przynajmniej ja to widzę; naprawdę, częściowo może to wynikać z kalkulacji, ale na pewno nie do końca.

Mroczny Wiatr roześmiał się.

Cieszę się, że nie jest przystojny, inaczej zacząłbym być zazdrosny. Udało mu się podbić obie moje panie.

Elspeth wzięła kałamarz i zamierzyła się nim, jakby chciała rzucić; Mroczny Wiatr uchylił się.

Czuj się tak, jakbyś dostał ode mnie kopniaka — odpaliła Gwena.

Naprawdę, ke'chara, chciałabym dać mu szansę, aby mógł udowodnić ile jest wart, a sposób, w jaki poradzi sobie z następnym zagrożeniem — a będzie ono naprawdę wielkie — powie nam, jaki to człowiek — odparła Elspeth.

Mroczny Wiatr przez chwilę zastanawiał się nad tą uwagą, zanim odpowiedział. Chciał wiedzieć, czy wszyscy troje nie popełniają straszliwej pomyłki. Chciał uwierzyć w Tremane'a, w to, że książę zaczął postępować zgodnie z normami moralnymi, a nie tylko według kalkulacji. Jak można się czuć, kiedy było się zmuszonym przez większość życia planować każde działanie bez rozważania jego strony etycznej? Gdyby on sam znalazł się w takim położeniu, na pewno by oszalał.

W porządku — powiedział w końcu. — Ale stawiam jeden warunek — zaciśnął szczęki, podejmując ostateczną decyzję. — Jeśli okaże się zdrajcą i zacznie zagrażać sojuszowi — jeśli pojawią się kolejne ofiary — sami przejmujemy kontrolę nad sytuacją.

Masz na myśli — zabijemy go — Elspeth bardzo powoli kiwnęła głową. — Nie podoba mi się to, ale nie chcę kolejnego Ancara, nie mówiąc już o kolejnej

Zmorze Sokolów. Przywykł do używania magii i zwrócenie się ku krwawej ścieżce, by odzyskać moc, do której był przyzwyczajony, może okazać się dużą pokusą — zadrżała, podobnie jak Mroczny Wiatr; oboje widzieli zbyt dużo skutków używania krwawej magii. — Już tak robiliśmy i chyba wolę sama mieć krew na rękach niż pozwolić na przelewanie krwi niewinnych.

Była to paskudna pułapka moralna: czy w pewnych sytuacjach można usprawiedliwić morderstwo? Ale przed podobnym dylematem zwiadowcy Tayledrasów stawali od zawsze. Sam Mroczny Wiatr nie raz się z nim zmagał — trzykrotne ostrzeżenie intruzów, a jeśli nie zareagowali, założenie, że znaleźli się na terytorium Sokolich Braci w złych celach. Ilu łowców trevardi, hertasi, magów szukających jeszcze większej mocy dla czynienia zła i przyszłych morderców Sokolich Braci zlikwidował przez te lata? Stracił rachubę.

Elsbeth miała na sumieniu tylko kilku zabitych, ale była gotowa w razie potrzeby dodać kolejnych.

Jeśli szczęście będzie nam sprzyjać, okaże się, że nasz pesymizm był nieuzasadniony — pocieszyła ich Gwena. — Powiem wam coś: spróbuję sama sprawdzić, czy Tremane ma zmysł ziemi, podczas gdy wy nawiążecie kontakt z lojalistami. Mroczny Wietrze, kochany, musimy przeszukać twoją szafę i znaleźć coś, co nie będzie z daleka wyróżniało cię jako cudzoziemca w tłumie.

Co masz na myśli, mówiąc: my, koniu? — zapytał.

Mroczny Wiatr odnalazł swego posłańca — a ostrożna sonda Gweny wysłana w kierunku księcia przyniosła za całą odpowiedź: „być może”. Cztery dni później, kiedy skończyli śniadanie, do drzwi ich komnaty zastukał nieśmiało adiutant.

— Wybaczcie, posłowie — powiedział, kiedy Mroczny Wiatr otworzył mu drzwi. — Nie chcę przeszkadzać, ale na dole czeka przedstawiciel świątyni, który twierdzi, że posłaliście po niego.

Elsbeth odwróciła się zaskoczona. Mimo zapewnienia Gweny nie oczekiwała odpowiedzi w tak krótkim czasie. Mężczyzna rzeczywiście musiał znajdować się w pobliżu; zapewne niektórzy Hardorneńscy byli przekonani, że Tremane nie zdoła się oprzeć ich propozycji.

— Oczekiwaliśmy go, Jem — odparł Mroczny Wiatr. — Nie wiedzieliśmy tylko, kiedy przyjedzie. Jeśli uznasz, że nie narusza to etykiety, proszę, pokaż mu drogę na górę. Jeśli jednak uznasz to za naruszenie zasad bezpieczeństwa, możemy spotkać się z nim w mieście.

Jem zaczerwienił się.

— Ależ nie, to tylko stary człowiek — nie spowoduje kłopotu. Nie wiedziałem tylko, czy zechcecie go widzieć; może się okazać szarlatanem albo... — zaczerwienił się jeszcze bardziej, zdając sobie sprawę, że mógł ich obrazić.

— W porządku, Jem. Proszę, wprowadź go i poproś o coś gorącego do picia dla nas wszystkich. I jakiś posiłek, może nie jadł jeszcze śniadania — powiedziała Elsbeth najłagodniej, jak umiała.

Adiutant skłonił się lekko, wciąż czerwony ze zmieszania, i szybko wyszedł. Podwładni Tremane'a byli o wiele bardziej przyzwyczajeni do wojny niż dyplomacji, którą teraz, jak się okazało, musieli się często wykazywać. Elspeth uznała to wręcz za czarujące, gdyż na ogół wojskowi odznaczali się większą bezpośredniością i łatwiej się było z nimi porozumieć niż z cywilami.

Starzec i śniadanie przybyli w tej samej chwili; Elspeth nie zdziwiła się, że Jem wziął ich gościa za szarlatana. Nie miał on w sobie nic szczególnego. Jego siwe i nieco potargane włosy wyglądały tak, jakby od dawna nie widziały nożyczek. Z postawy wyglądał na wysłużonego urzędnika pochodzącego z rodziny średniozamożnych kupców lub rzemieślników. Twarz — kwadratową, z małą bródką — poznały zmarszczki, które pozostawiły po sobie zarówno troski, jak i — wokół ust i oczu — uśmiech. Płaszcz i suknie miał czyste i w dobrym stanie, ale niczym się nie wyróżniające. Nie nosił żadnych insygniów religijnych, a zachowywał się w sposób bezpretensjonalny i życzliwy. Z doświadczenia Elspeth wynikało, że musiał być bardzo dobrym kapłanem, gdyż tacy, jak dobrzy przywódcy, więcej dawali swoim ludziom niż zostawiali dla siebie oraz nie przejmowali się pozorami.

Przywitali się oboje i zaoferowali gościnę starcowi, który przedstawił się jako ojciec Janas. Jak przewidywała Elspeth, kapłan jeszcze nie jadł i z apetytem zabrał się za posiłek. Dopóki nie skończył, starali się ograniczyć rozmowę do minimum; kiedy zdjął płaszcz, stało się oczywiste, iż razem z większością Hardorneńczyków przeżywał ostatnio chude lata. Nie był wycieńczony, ale na tyle szczupły, że najpewniej żywił się takimi samymi ograniczonymi racjami, jak jego współwyznawcy.

— To było pyszne — odezwał się wreszcie, kiedy skończył i usiadł wygodnie z kubkiem herbaty z miodem w dłoni. — Obawiam się, że jedną z moich wad jest słabość do dobrego jedzenia — zaśmiał się. — Ponieważ mamy się skupiać na świecie ducha, a nie materii, podejrzewam, że prędzej czy później zostanę za to skarcony przez tych, przed którymi będę odpowiadał.

Mroczny Wiatr uśmiechnął się.

— Powiedziałbym raczej, że okazujesz właściwą radość i szacunek dla bogactw ziemi — odparł; stary kapłan roześmiał się z błyskiem w oczach.

— Cóż, czy nie powinniśmy zająć się powodem mojego przybycia tutaj, a nie analizą moich słabości? — zapytał, popijając małymi łykami herbatę. — Jak zakładam, przypuszczacie, że przyszedłem sprawdzić, czy księżę Tremane posiada zmysł ziemi, a jednocześnie obudzić go, jeśli istnieje; kiedy zaś tego dokonam, związę księcia z ziemią Hardornu. Cóż, na razie nie zaszło nic, co pozwoliłoby mi domyślić się, czy księżę ów zmysł posiada. Jestem również pewien, iż nie ma pojęcia — ani on, ani wy — co się stanie.

Elspeth potrząsnęła głową.

— W Valdemarze nie korzystamy z tego daru, a raczej — nie korzystają z nie-

go heroldowie, bardowie ani uzdrowiciele. A znam zakres szkolenia jedynie tych trzech grup — odparła. — Mój ojczym posiada ten zmysł, ale nigdy za wiele o nim nie rozmawialiśmy, poza tym ojczym nigdy nie był formalnie związany z Valdemarem. Podobno, teoretycznie rzecz biorąc, można obudzić inne uspione dary, ale odkąd pamiętam, nikt tego nie robił.

Mroczny Wiatr wzruszył ramionami; kapłan odwrócił się ku niemu.

— Adepici-uzdrowiciele Tayledrasów rozwijają swój zmysł ziemi razem z innymi zdolnościami — odezwał się. — Nie pojawia się u nich w jednej chwili, a jeśli u kogoś jest uspiony, nie zadajemy sobie trudu, by go obudzić. Nie mam pojęcia, jak ktokolwiek mógłby zareagować w takiej sytuacji.

Ojciec Janas uniósł brwi.

— Może to wyglądać dramatycznie — ostrzegł. — Zwłaszcza jeśli ktoś posiada uspiony dar, a nie jego słabą postać. Właśnie z tego powodu, zawsze przeprowadzaliśmy rytuał kilka dni przed koronacją naszych królów. Czasami jeżeli uspiony zmysł okaże się bardzo silny, przyzwyczajenie się do nowej zdolności trwa dość długo.

Elspeth kiwnęła głową.

— To chyba przypomina nagłe odzyskanie wzroku — powiedziała. — Cóż, wszystko pięknie wygląda w teorii, ale jesteś tu po to, by zastosować to w praktyce. Kiedy mógłbyś spotkać się z księciem Tremane? Czy musisz się przygotować albo może przebrać, zanim cię przedstawimy?

Ojciec Janas wygładził starannie przód sukni.

— Bardzo chciałbym wyglądać bardziej reprezentacyjnie, ale niestety mam na sobie najlepsze ubranie, jakie posiadam — dokładnie mówiąc, jedyne. — Zwilżył wargi i spojrzał na nich przepraszająco. — Ancar nie prześladował kleru bezpośrednio, ale miał wiele sposobów, by utrudnić nam życie. Chyba w całym Hardornie nie znaleźlibyście organizacji religijnej, która ma w tej chwili więcej środków niż minimum niezbędne do przetrwania, a niektóre w ogóle znikły, gdyż starsi wyznawcy zmarli, a nie pojawił się nikt młody, by ich zastąpić. — Ze smutkiem potrząsnął głową. — W każdym razie, jestem do dyspozycji: nie muszę się przygotowywać i chciałbym spotkać się z księciem możliwie jak najszybciej, kiedy tylko znajdzie chwilę czasu.

Mroczny Wiatr wstał, by przekazać wiadomość oczekującemu adiutantowi. Jednak Elspeth miała jeszcze inne pomysły. Podczas gdy Mroczny Wiatr rozmawiał z Jemem, napisała krótki list i podała adiutantowi, prosząc, by w drodze powrotnej od księcia przekazał go osobie zajmującej się zaopatrzeniem. Jem wydawał się zdziwiony, ale zgodził się; najwyraźniej nie miał zamiaru dociekać powodów, dla których poseł przesyłał notatkę do sierżanta zaopatrzeniowego.

— Co ty znów wymyśliłaś? — zapytał Mroczny Wiatr, kiedy zamknęli drzwi i wrócili do gościa.

Elspeth najpierw usiadła.

— Tremane powiedział, że razem ze swymi ludźmi wyniósł całą zawartość kompleksu magazynów Imperium — odparła, zwracając się zarówno do Mrocznego Wiatru, jak i do kapłana. — Imperium lubi ujednolicać, mimo że nie ma własnej religii państwowej, więc założę się, że pomiędzy mundurami znajduje się przynajmniej kilka strojów wojskowych kapłanów albo coś podobnego. Na pewno bardzo przypominają suknie innych kapłanów, które widziałam, zwłaszcza że kapłan armii Imperium musi umieć odprawiać rytuały kilku różnych wyznań, zatem jego strój będzie pozbawiony wszelkich emblematów odnoszących się do konkretnej religii.

— To rozumiem — przyznał Mroczny Wiatr, wciąż zdziwiony. — Ale po co sierżant zaopatrzeniowy miałby nam te szaty przysyłać, jeśli je znajdzie?

Elspeth uśmiechnęła się.

— Rozmawiałam z mieszkańcami miasta. Zwyczajem Tremane’a stało się sprzedawanie w miejskich sklepach wszystkiego, czego nie potrzebują jego ludzie, a czym mogliby zainteresować się miejscowi. Na ulicach spotkasz wielu ubranych we wszelkiego rodzaju uniformy różnych służb pomocniczych, o ile wiesz, czego szukać. Zapytałam, czy mogłabym kupić strój kapłana, jeśli taki jest, i poprosiłam sierżanta o przysłanie szat, jak tylko je znajdzie — odwróciła się do lekko zarumienionego kapłana. — Mamy mnóstwo czasu, by upodobnić je do szat noszonych przez ciebie, zanim Tremane zawiadomi nas, że chce się z nami spotkać.

Ojciec Janas zmieszał się jeszcze bardziej.

— To naprawdę bardzo miłe z waszej strony...

Przerwała mu, podnosząc dłoń.

— Jesteś wspaniałomyślny i pobłażliwy; wiem, że postąpiłam arbitralnie. Jednak zależy nam na tym może nawet bardziej niż tobie, więc nie chcę niczego zostawiać przypadkowi. Wielki książę nie do końca wierzy nawet w istnienie zmysłu ziemi; podejrzewam, że zgodził się na spotkanie tylko po to, by spełnić naszą prośbę. Chcemy, aby przystał na przeprowadzenie rytuału, który uznaje za rodzaj zabobonu — i żeby zrobił to teraz. Im lepiej będziesz wyglądał, tym bardziej jest prawdopodobne, że się zgodzi.

Mroczny Wiatr z namysłem pokiwał głową.

— W rzeczy samej — wtrącił. — Uniform Imperium może nam się przysłużyć lepiej niż twoje szaty. Tremane miał już do czynienia z kapłanami wojskowymi. Mundur potraktuje z większym szacunkiem, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Ojciec Janas roześmiał się ironicznie.

— Cóż, rzeczywiście większość ludzi sugeruje się przy pierwszym spotkaniu wyglądem zewnętrznym, a obawiam się, że moja osoba może nie budzić zaufania.

To wyznanie tylko pogłębiło jego zażenowanie, więc Mroczny Wiatr szybko zmienił temat rozmowy, pytając o warunki panujące w Hardornie. Kapłan z wielką chęcią opisywał ciężkie położenie mieszkańców kraju i hart ducha, z jakim je od

tak dawna znosili.

— Wszystko, co widzieliście w drodze do miasta, to próbka tego, co dzieje się w całym kraju — powiedział ze szczerym smutkiem. — Ludzie nie głodują, ale nie dojadają. Nie zamarzają na śmierć, ale marzną. Nie ma człowieka, który w ciągu ostatnich pięciu lat nie stracił tragicznie przynajmniej jednego krewnego, a jak widzieliście, niektóre wioski i miasteczka zupełnie wyludniły się. Świątynie i inne miejsca kultu stoją puste lub znajdują się pod opieką nielicznych starców, takich jak ja. Co najgorsze, straciliśmy większość młodych mężczyzn i niezależnie od tego, jak bardzo poprawi się sytuacja, nie zdołamy ich zastąpić. Jak zatem dochowamy się kolejnych pokoleń?

„W tym mieście kwateruje kilka tysięcy młodych mężczyzn, którzy nigdy nie zdołają powrócić do Imperium” — pomyślała Elspeth. „Większość z nich z wielką radością została by rodzicami kolejnego pokolenia Hardorneńczyków. Ciekawe, czy o tym myślał? Wiem, że Tremane tak”.

W końcu Jem powrócił z odpowiedzią. Księżę zawiadamiał ich, że zaraz po obiedzie będzie miał czas przyjąć kapłana, a jeśli okaże się to konieczne, przełoży też obowiązki popołudniowe, by mieć czas na rozmowę.

— To byłoby rozsądne — odrzekł ojciec Janas, kiedy Mroczny Wiatr zwrócił się do niego. — Proszę, przekażcie, że tak będzie dobrze — niech tak zrobi.

Jem wyszedł, aby przekazać odpowiedź. Niedługo potem jeden z miejscowych, pracujący jako posłaniec w kwaterze armii Imperium, przyniósł dużą, starannie zapakowaną paczkę i ręcznie wypisany rachunek. Elspeth przyjęła jedno i drugie, skrzywiła się na widok trochę zawyżonej ceny naliczonej przez sierżanta zaopatrzeniowego, ale przetrząsnęła sakiewkę przy pasku w poszukiwaniu odpowiedniej liczby srebrnych monet. W większości były to pieniądze valdemarskie, a nie hardorneńskie czy imperialne, lecz cenę podano w ilości srebra, a nie konkretnej walucie. W tych okolicznościach nie sądziła, by ktokolwiek przywiązywał wagę do tego, czyją twarz wybito na monetach, dopóki waga się zgadzała. Przez posłańca odesłała je z powrotem, a Mroczny Wiatr podał paczkę ojcu Janasowi.

Zgodnie z przypuszczeniami Elspeth, oficjalny strój wojskowego kapłana Imperium, po odrzuceniu ozdób i emblematów związanych z konkretnym wyznaniem lub liturgią, okazał się właściwie identyczny z wystrzępioną szatą ojca Janasa; miał nawet podobny szary kolor. Kapłan poszedł do sąsiedniego pomieszczenia, by się przebrać, a kiedy wrócił, wyglądał o wiele lepiej. Mroczny Wiatr spojrział na niego krytycznie. — Jaką postać przybiera twoje bóstwo... lub bóstwa? — zapytał. — Wybacz, ale chyba musimy sprawić, byś wyglądał nieco bardziej imponująco.

Kapłan wydawał się zażenowany, ale odpowiedział dość chętnie.

— Ojca-Ziemię i Matkę-Niebo przedstawiają zwykle zieleń i błękit oraz koło w połowie białe i w połowie czarne, ale... .

Mroczny Wiatr już przeglądał stos wielobarwnych przybrań, przerzucając na-

ręcza tkanin gładkich i wzorzystych, w końcu wydobył dwie stuły: zieloną i niebieską. Kilкома szybkimi cięciami podzielił je na połowy — dwie podał Elspeth. Domyśliła się już, o co mu chodzi, i poszła do sypialni po przybornik do szycia; kilka chwil później ułożyła wokół szyi ojca Janasa stułę, która na prawym ramieniu kapłana miała kolor zielony, a na lewym — niebieski.

Jednak nadal wyglądało to za skromnie, więc zdjęła ozdoby. Z innych kawałków tkanin wykroiła białe i czarne półkola, by doszyć je do końców stuły. Tymczasem Mroczny Wiatr wyszedł do sypialni i wrócił ze swą biżuterią.

— To zapewne nie przypomina tego, co zwykle nosiłeś — powiedział przeprasza­jąco. — Jednak na razie chyba wystarczy, a Tremane zapewne nie zauważy różnicy pomiędzy rękodziełem hardorneńskim a Shin'a'in.

Podał mu miedziany medalion na rzemieniu z ciemnej skóry; Elspeth natychmiast rozpoznała znak Shin'a'in, którego używali do oznaczenia siebie lub swych sprzymierzeńców. Elspeth miała kiedyś podobny znak, który miał ją przedstawić jako sprzymierzeńca krewniakom Kerowyn oraz Tayledrasom, jakich mogłaby spotkać. Medalion Mrocznego Wiatru po jednej stronie miał wzór abstrakcyjny, po drugiej wizerunek jelenia.

Ale rzemień z pewnością nie pasował do całości. Teraz Elspeth wróciła do sypialni i przeszukała swoją biżuterię.

„Miedź. Co mam miedzianego?”

Kiedy wyjeżdżali, po prostu wrzuciła wszystko, co posiadała, do torby, łącznie z tym, co miała nosić do strojów zaprojektowanych dla niej przez Mroczny Wiatr. Błysk miedzi na dnie torby przyciągnął jej uwagę; wyjęła interesująco wyglądający pasek, składający się z dwóch splecionych łańcuchów — o drobniejszych i większych ogniwach. Odczepiła mniejszy z nich, by zawiesić na nim medalion, po czym, tknięta kolejną myślą, zaproponowała ojcu Janasowi założenie cięższego łańcucha jako paska. Tego właśnie wykończenia potrzebował nieco zbyt długi strój kapłana. Teraz w nowej szacie, ze stułą, łańcuchem, medalionem i paskiem, ojciec Janas prezentował się zupełnie inaczej, niż wtedy, gdy wszedł do komnaty.

Wydawał się również mieć lepsze samopoczucie — wyglądał na mniej zmęczonego, trzymał się bardziej prosto i nabrał pewności siebie, pasującej do jego zwykłej żywotności. Ogólnie rzecz biorąc, Elspeth uznała, że bardzo pożytecznie spędzili poranek.

— Nie jest to całkowicie zgodne z prawem kanonicznym — odezwał się ojciec Janas. — Ale, jak zauważyłeś, nikt tutaj nie będzie o tym wiedział, a rzeczywiście wyglądam... cóż, bardziej poważnie. Nie wiem, jak wam dziękować.

— Podziękujesz wtedy, kiedy przyniesie to korzyści — odpowiedziała Elspeth stanowczo. — A tak przy okazji, oto nasz obiad.

Jak zwykle jedzenie było mało wykwintne, ale podano je w dużej ilości. Jem wydawał się zaskoczony wyglądem ojca Janasa, ale traktował go z większym szacunkiem niż poprzednio, przekonując Elspeth ostatecznie, że trud jaki włożyli

w znalezienie odpowiedniego stroju, opłacał się. Jem kręcił się w pobliżu, kiedy jedli, co odczytali jako znak, iż Tremane czekał na nich niecierpliwie; zapewne chciał jak najszybciej mieć rozmowę za sobą. Nie potrzebowali dodatkowej zachęty; zjedli najszybciej, jak mogli.

Chyba powinniśmy oddać teraz Janasowi pierwszeństwo — odezwała się Elspeth do Mrocznego Wiatru.

Zgadzam się; w ten sposób od początku umocnimy jego autorytet. W końcu oficjalnie nie bierzemy w tym udziału. Odegraliśmy jedynie rolę pośredników — odrzekł Mroczny Wiatr.

Elspeth odstawiła kubek i lekkim kiwnięciem głowy dała znak kapłanowi. Bezbłędnie, jak oczekiwała, odczytał jej aluzję.

— Chyba możemy spotkać się z księciem Tremane, jeśli on jest gotów nas widzieć — powiedział ojciec Janas do adiutanta, wstając i wygładzając szatę.

— Jest gotów, panie — odrzekł Jem z największym szacunkiem, jakiego mogliby sobie życzyć. — Czy zechcecie pójść za mną?

Spojrzał zmieszany na dwoje posłów, jakby na moment zapomniał, że oni byli pośrednikami. Najwyraźniej nie był pewien, czy zaproszenie dotyczy również ich.

Ojciec Janas rozwiązał ten problem.

— Poprosiłem posłów sojuszu, by mi towarzyszyli — powiedział gładko. — Jeśli księżę Tremane nie ma nic przeciwko temu.

Twarz Jema rozjaśniła się, kiedy Janas zdjął z niego odpowiedzialność i lekko skłonił się wszystkim.

— Oczywiście, panie. Proszę wszystkich za mną.

Idąc szybko w stronę prywatnych apartamentów księcia, Elspeth miała świadomość narastającego uczucia irracjonalnego podniecenia. Wiedziała, że coś się wydarzy; nie była pewna co, ale czuła, że ta wizyta przyniesie coś niezwykłego.

„Chciałabym, żeby w mojej rodzinie dar wróżenia był silniejszy i nie ograniczał się tylko do zdolności odczuwania niejasnych przeczuć od czasu do czasu” — pomyślała nerwowo. „Miło byłoby zostać ostrzeżonym, zanim grunt usunie się nam spod nóg”.

W końcu znaleźli się w zamkniętej komnacie Tremane’a i zasiedli przed jego biurkiem. Nie miało to być mniej formalne spotkanie (Tremane nigdy nie był nieformalny) niż poprzednie posłuchanie, jakiego udzielił jej i Mrocznemu Wiatrowi; Tremane przyjął postawę wielkiego księcia, komendanta armii i miejscowego władcy. Miał na sobie mundur pozbawiony ozdób imperialnych, ale z wszelkimi innymi dystynkcjami i medalami, które miał prawo nosić. Na kominku płonął trzaskający ogień, a w piecu — magiczny płomień, owiewały one komnatę zarówno tchnieniem ciepła, jak i zapachem sosnowej żywicy. Światło słońca wlewało się przez okna, z których ciężkie, pluszowe zasłony zostały odsunięte, by wpuścić go jak najwięcej. Stało tu dużo krzesel; dla siebie Tremane wybrał najcieńsze

i najbardziej przypominające tron. Biurko oddzielało go od gości jak mur fortecy z ciemnego drewna.

Elsbeth cieszyła się teraz, że zdobyła się na wysiłek i odpowiednio ubrała ojca Janasa. Gdyby zjawił się na rozmowie w tak obdartym stroju, w jakim przyszedł, od razu znalazłby się w pozycji kogoś gorszego od księcia. Jak przewidział Mroczny Wiatr, Tremane podświadomie odpowiedział na autorytet ucieleśniony w rozpoznawalnym dla niego mundurze, ojciec Janas zaś przyjął właściwą postawę człowieka równego księciu pod względem zajmowanej pozycji.

Co do Elspeth, była ona szczególnie świadoma wszystkiego, co działo się wokół; jej zmysły wyostriły się dzięki przewidywaniu tego, co nastąpi. Jej emocje były tak silne, że zdziwiła się, zauważywszy skrywaną pod gładkim i dyplomatycznym obejściem księcia dozę uprzejmego znudzenia.

Jeśli Janasa speszyła postawa księcia, nie dał nic po sobie poznać.

— Książę Tremane — zaczął. — Wiesz, z jakiego powodu przyszedłem. Ci, którzy walczyli z napastnikami z Imperium, słyszeli o twoim odstępstwie, widzieli, jak rządysz i chronisz ludzi w okolicy, i w końcu doszli do wniosku, iż przynajmniej ty nie jesteś wrogiem Hardornu.

Tremane kiwnął głową na te słowa powtarzające rzeczy znane i najwyraźniej czekał na dalszy ciąg. Ogień za jego plecami strzelił gwałtownie; nikt się nie poruszył.

Janas zapewne powtarzał swoją przemowę tyle razy, że teraz nie musiał myśleć o tym, co powiedzieć.

— Zgromadzenie lojalistów uznało, iż nie ma nikogo innego, kto mógłby stać się naszym niekwestionowanym przywódcą. Nikt inny w Hardornie nie rozporządza takimi siłami jak ty — zatem możesz okazać się osobą, której moglibyśmy powierzyć obronę kraju przed zewnętrznym wrogiem i grożącym nam niebezpieczeństwem — uśmiechnął się lekko. — Nie będę owijał w bawełnę, książę. Ci ludzie chcą — pod pewnymi warunkami — pozwolić ci kupić władzę nad Hardornem za cenę twych zapasów i ludzi, którymi dowodzisz.

Książę wydawał się nieco zaskoczony bezpośredniością Janasa.

— To brzmi rozsądnie — odparł ostrożnie. — Jestem skłonny podzielić się moimi zapasami z Hardornem.

Ojciec Janas kiwnął głową.

— Dlatego ci ludzie wysłali mnie, bym się przekonał, czy powinieneś i czy chcesz objąć nad nimi dowództwo i pomóc bronić się przed każdym, kto chciałby ich ujarzmić, włączając Imperium. — Janas przechylił głowę i czekał na odpowiedź. Ogień znów strzelił w górę, siejąc iskrami.

Była krótka, lecz uprzejma.

— Z chęcią dowiodę, że jestem wartościowym człowiekiem. Pragnę podkreślić, że nigdy nikogo nie zdradziłem. To Imperium zostawiło nas tutaj; my nie złamaliśmy żadnej z przysięg, które składaliśmy. Teraz jednak, kiedy te przysię-

gi i tak zostały złamane, tym bardziej staramy się dotrzymać tych, które składowaliśmy sobie nawzajem. Jeśli przy okazji pomogliśmy tutejszym ludziom, tym lepiej. Czasy są niebezpieczne i lojalność powinno nagradzać się również lojalnością — jego rysy stężały. — Ale moje nowe obowiązki nie mogą kolidować z przyrzeczeniami, jakie złożyłem moim ludziom.

— Nie będą kolidować — Janas kiwnął głową z wyrazem satysfakcji na twarzy. — Zgodnie z naszą tradycją władca Hardornu musi posiadać tak zwany zmysł ziemi, a jeśli go posiada, zostanie związany z naszą ziemią. Skoro wyraziłeś zgodę na poddanie się próbie, wyjaśnię dokładnie, na czym ona polega.

Zaczął opisywać rytuał o wiele bardziej szczegółowo niż Elspeth i Mroczny Wiatr; według Elspeth Tremane nie zdawał sobie sprawy z wagi sytuacji. Sama też do tej chwili nie do końca pojmowała, iż próba obejmowała obudzenie zmysłu ziemi. Kiedy kapłan wyjaśniał, iż jeśli znajdą ślady zmysłu ziemi, księżę od razu zostanie poddany rytuałowi, ten zaprzątnięty był innymi myślami.

Może pod wpływem własnych słów księżę przypomniał sobie o tym, co przyrzekał własnym ludziom; może po prostu nie przywykł poświęcać czasu na praktyki związane z religią. Elspeth miała wrażenie, iż był to człowiek szanujący wartości religijne, oddający pieśnią cześć w trakcie ceremonii, ale poza tym nie poświęcający religii uwagi. Całą sprawę zmysłu ziemi i związania z ziemią pojmował zaś w kategoriach religijnych, jako kwestię raczej wiary niż faktu.

Już jest pewien, że nic się nie zdarzy — skomentował Mroczny Wiatr, widząc, jak uwaga księcia maleje. — *Zna się na ludziach, widzi, że Janas uznał go za odpowiedniego kandydata na przywódcę Hardornu; chyba uznał, że to jedyna próba, jaką miał przejść. Zapewne według niego Janas wykona kilka tajemniczych gestów, uzna, że Tremane posiada zmysł ziemi, wymamrocze kilka słów i ogłosi, że księżę został związany z Hardornem. On sam zaś nie poczuje niczego.*

Jeśli tak myśli, myli się — odrzekła Elspeth. — *Szkoda, że nie słuchał uważniej. Nie sądzę, by naprawdę wiedział, w co się pakuje.*

Cóż, teraz było już za późno na ostrzeżenia. Kiedy Janas skończył, Tremane z ulgą kiwnął głową i powiedział:

— Jestem gotów, możesz zaczynać.

Janas zaś nie miał zamiaru dawać księciu okazji do zmiany zdania. Natychmiast wstał.

— Czy mogę stanąć obok ciebie, panie? — zapytał i po uzyskaniu zgody obszedł biurko, aż znalazł się za krzesłem Tremane'a i zanim ten zdążył zaprotestować, przyłożył palce do jego skroni.

Kapłan zamknął oczy i otworzył usta, zanim księżę zdołał zareagować na nieoczekiwany dotyk. Elspeth podskoczyła, gdy z ust Janasa wydobył się nie śpiew, lecz pojedynczy, krystalicznie czysty, podobny do dzwonu ton.

Dźwięk rozlegał się w jej uszach i umyśle, wypełniając go. oczyszczając ze wszelkich myśli i przygniatając do krzesła. Nie mogła się nawet bać; dźwięk wy-

płoszył wszelkie uczucia, łącznie ze strachem. Dźwięk wywarł równie wielkie wrażenie na Mrocznym Wietrze, który wpatrywał się w kapłana okrągłymi ze zdziwienia oczami.

Jednak Tremane zareagował w inny sposób. Pod wpływem dotyku Janasa wielki księżę zeszywniał, rękami przytrzymał dłonie kapłana, zamknął oczy i otworzył usta. Z jego gardła wydobył się podobny dźwięk. Oba tony harmonizowały, dając niesamowity efekt; choć Elspeth sama go doświadczała, nie potrafiłaby go zanalizować. Została zawieszona w czasie i przestrzeni; nie istniało nic oprócz dwóch dźwięków odzywających się echem w każdym włóknie jej ciała i duszy. Ich odbiór angażował wszystkie zmysły; kolory stały się bogatsze i bardziej intensywne; powietrze wypełnił zapach wiosennych kwiatów, których z pewnością nie mogło tu być.

Elspeth nie potrafiła powiedzieć, jak długo to wszystko trwało. Nie trwało w ogóle — albo przez całą wieczność. Chwila, w której się skończyło, była równie dramatyczna jak chwila, w której się rozpoczęło. Tremane nagle otworzył szeroko oczy, przewrócił gałkami, aż uciekły pod czaszkę, zamknął usta, zamilkł, puścił dłonie Janasa i padł na biurko, jakby jego serce przestało nagłe bić.

Elspeth wciąż siedziała bez ruchu. Janas przestał śpiewać — jeśli można to nazwać śpiewem — w chwili, kiedy Tremane upadł. Przez moment, wstrząśnięty, wpatrywał się w wielkiego księcia, potrząsając dłońmi, jakby dotknął płonącego węgla.

— Cóż — odezwał się w końcu. — On z pewnością posiada zmysł ziemi.

Zanim Elspeth albo Mroczny Wiatr zdołali się poruszyć, kapłan oparł księcia o krzesło, po czym zaczął nim delikatnie potrząsać, póki Tremane nie oprzytomniał.

— Czy... — zaczął Mroczny Wiatr, wstając. Janas gestem nakazał mu z powrotem usiąść.

— Księżę jest po prostu oszołomiony nową, bardzo potężną zdolnością — powiedział przejęty kapłan. — Ale nie dzieje się z nim nic złego, zapewniam was. Może nawet jest z nim lepiej, niż kiedykolwiek przedtem.

Tremane najwyraźniej wciąż nie mógł dojść do siebie; Janas sięgnął po leżący na biurku nóż do listów, wziął dłoń księcia i nakłuł nożem wskazujący palec. Tremane był tak oszołomiony, że prawdopodobnie nawet nie poczuł ukłucia.

Janas trzymał jego dłoń tak, by nie mógł jej wyrwać; sięgnął do woreczka przy pasku, wyjął z niego szczyptę ziemi, odwrócił skaleczony palec do dołu i ścisnął, aż spłynęła z niego pojedyncza kropla krwi, która mieszała się z ziemią.

— W imię potęg ponad naszymi głowami i pod naszymi stopami zwiążuję cię z ziemią Hardornu, Tremane — zaintonował, puszczając dłoń księcia i dotykając jego podbródka. — W imię wielkich strażników ludzi zwiążuję cię z sercem Hardornu — ciągnął. — W imię życia i światła zwiążuję cię z duszą Hardornu; teraz ty i on to jedno.

Wyciągnął dłoń z odrobiną ziemi i krwi ku ustom księcia. Tremane otworzył je i przyjął ziemię; na szczęście połknął ją, a nie wypluł, gdyż to z pewnością zostałyby przyjęte za bardzo złą wróżbę.

Janas cofnął się, obserwując księcia spod przymrużonych powiek; Tremane przez chwilę patrzył na niego, mrugając nieprzytomnie. Potem, bez ostrzeżenia, krzyknął dziwnie, zawodząc jak dziecko — i zakrył dłońmi oczy.

Teraz Elspeth chciała się podnieść, ale Janas znów powstrzymał ją gestem.

— Wszystko w porządku — powiedział z ogromnym zadowoleniem. — Nawet nie umiem wyrazić, jak bardzo. Ma najsilniejszy zmysł ziemi, jaki widziałem, zwłaszcza jak na tak późny czas przebudzenia. W tej chwili jest nieco zdezorientowany.

— Zdezorientowany? — zapytał księżę, nie odrywając dłoni od oczu. — Na stu małych bogów, to zbyt łagodne określenie! — Mówił tak, jakby brakowało mu tchu, jakby miał za sobą długi, wyczerpujący bieg. — Czuję się... czuję się tak, jakbym dotąd był głuchy i ślepy i nagle odzyskał słuch i wzrok. Nie mam najmniejszego pojęcia, co znaczą rzeczy, których doświadczam — i co z nimi zrobić!

Odsunął dłonie od twarzy, ale z widocznego na niej oszołomienia i błędnego spojrzenia wyraźnie można było odczytać, że przeżywa coś, czego nigdy jeszcze nie zaznał.

— Chyba będę chory — powiedział słabo. — Czuję się okropnie. Za chwilę będę bardzo, bardzo chory.

— Nie będziesz — odparł uspokajająco kapłan. — Czujesz nie swoje ciało, ale ziemię Hardornu. To ziemia jest chora, nie ty; chora i zmęczona. Oddziel się od niej; pamiętasz, jak czułeś się dziś rano po przebudzeniu? To byłeś ty; reszta to choroba ziemi.

— Łatwo ci mówić, kapłanie — odparł z jękiem Tremane. — Ty nie siedzisz w mojej głowie! — Był błądy i spocony; źrenice oczu rozszerzyły mu się do tego stopnia, że tęczęwki niemal znikły.

Ale Janas był już przy drzwiach i wołał adiutantów.

— Księżę nie czuje się najlepiej — powiedział. — Powinien położyć się do łóżka i wyspać. Myślę, że rozsądnie byłoby odwołać następne spotkania.

Obaj adiutanci wydawali się zaniepokojeni stanem swojego dowódcy; jeden z nich położył rękę na głowni miecza i spjrzał podejrzliwie na Janasa, posądzając go prawdopodobnie o otrucie księcia.

— Wszystko w porządku — zapewnił ich Tremane. — Chyba jestem przepracowany. To nic poważnego.

Po tych słowach obaj adiutanci odprężyli się i pośpieszyli z pomocą swemu dowódcy.

— Wiesz, że uzdrowiciele ostrzegali cię przed przepracowaniem — upomniał go szeptem jeden z nich, zapewne uważając, że goście go nie usłyszą. Był to

starszy mężczyzna, w wieku księcia lub nawet kilka lat starszy, i zapewne uważał za swój obowiązek przywołać go do porządku. — Zobacz teraz, do czego się doprowadziłeś! Nie możesz zapracowywać się na śmierć i mieć nadzieję, że ujdzie ci to płazem!

— Wszystko będzie dobrze, muszę się tylko przespać — odpowiedział z roz-targnieniem książe; choć nie zwracał zbytnej uwagi na otoczenie i na gości, nie wydawał się Elspeth tak dezorientowany, jak przedtem. Wyglądał raczej na człowieka kierującego swą uwagę do wewnątrz, będącego w stanie częściowego transu.

Obaj adiutanci pomogli mu dojść do sąsiedniej komnaty; Janas, stojąc w drzwiach, kiwnął głową. Elspeth i Mroczny Wiatr zrozumieli aluzję i wyszli za nim.

— Czy nie powinieneś być teraz przy nim i służyć mu radą? — zapytał Mroczny Wiatr z niepokojem, kiedy zimnymi korytarzami wracali do kwatery posłów.

Stary mężczyzna potrząsnął głową, nadal z wyrazem wielkiego zadowolenia na twarzy.

— Nie, on już dostał instrukcje; to właśnie przekazywałem mu na począt-ku. Ma wszystko, może z tego korzystać, musi jedynie uporządkować wrażenia w czasie snu. Nie martwcie się, od stuleci postępujemy w ten sposób, nie tylko z władcami, ale i kapłanami, którzy posiadali zmysł ziemi w formie uśpionej. Ale muszę przyznać, że to chyba najlepszy rytuał, jaki w życiu przeprowadziłem! — Z nieskrywaną radością zatarł ręce. — Teraz musimy rozesłać wiadomości o tym, co się stało, jak kraj długi i szeroki; zaplanować koronację, znaleźć coś przypo-minającego koronę — och, mamy tysiąc spraw do załatwienia.

Przerwał sam sobie, potrząsając głową, kiedy dotarli do drzwi kwatery.

— Nie posadzajcie mnie, proszę, o nieuprzejmość, ale muszę was teraz opu-ścić. Mam zbyt wiele do zrobienia i mało czasu. Wkrótce przyślemy tu najważ-niejszych ludzi, by nawiązali kontakt z nowym władcą. Tymczasem — chyba mo-gę liczyć, że pomożecie mu przez pierwsze dwa dni?

— Pomogę mu zorientować się, co czuje — odrzekła Elspeth z lekkim po-wątpiewaniem, otwierając drzwi komnaty i przepuszczając kapłana przodem. — Podejrzewam, że przypomina to moje początki po... obdarzeniu darem myślmo-wy.

— Właśnie tak! — odrzekł Janas, zwijając swoją starą szatę w zgrabny tłumo-czek. Potem spojrział na siebie i przez chwilę się wahał. — Ach... ja...

— Uważaj nowe szaty za dar od sojuszu — odezwał się Mroczny Wiatr, do-myślając się o co chodzi. — I proszę, nie krępuj się przyjść do nas, gdyby ktoś z przysłanych tutaj potrzebował podobnego stroju.

Janas odwrócił się i z wdzięcznością uściśnął mu rękę.

— Dziękuję, dziękuję wam za pomoc! — mówił, promieniując tak zaraźli-wą radością, iż Elspeth musiała odpowiedzieć mu uśmiechem. — Teraz jednak

naprawdę muszę iść, nie ma chwili do stracenia!

Pośpiesznie otworzył drzwi na korytarz; na szczęście jeden ze strażników zastąpił mu drogę i zaproponował, że zawoła adiutanta, który pokaże mu drogę do wyjścia. Kapłan z roztargnieniem zgodził się, nakładając na nową szatę stary, zniszczony płaszcz. Elspeth dojrzała jeszcze jego postać, kiedy odchodząc, objaśniał adiutantowi, jakie przygotowania trzeba poczynić przed koronacją Tremane'a na nowego króla Hardornu.

Elspeth zamknęła za nimi drzwi i dołączyła do Mrocznego Wiatru, leżącego bezwładnie na kanapie. Nagle poczuła się tak, jakby to ona przeszła próbę wytrzymałości — i padła obok maga.

— Cóż — odezwał się w końcu. — Chyba brakuje mi słów.

— Ja mam jeszcze kilka — odparła, kładąc mu głowę na ramieniu. — Ale przede wszystkim — nie umiem powiedzieć, jak wielką ulgę czuję.

Odwróciła głowę tak, by widzieć jego twarz; Mroczny Wiatr uśmiechnął się do niej.

— Znasz przysłowie Shin'a'in mówiące o tym, by uważać na to, o co się prosi — przypomniał jej. — Przecież prosiłaś o sprawdzenie Tremane'a jako przywódcy.

— Owszem — wzięła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze. — Nie mogę powiedzieć, iż nie podoba mi się to, co się stało. Oznacza to prawdopodobnie koniec konfliktów wewnętrznych w Hardornie. Ludzie będą mieli prawdziwego, kompetentnego przywódcę. Nie będzie mógł wykorzystywać poddanych ani ziemi do swych własnych celów; mam też dziwne przeczucie, że nie będzie w stanie nawet pomyśleć o wojnie, dopóki to Hardorn nie zostanie zaatakowany.

Mroczny Wiatr pocałował ją w czoło i znów położył głowę na oparciu kanapy, wpatrując się w sufit.

— W tej chwili raczej mu współczuję. Może to nie jest kara współmierna do tego, co uczynił, ale będzie naprawdę cierpiał, czasami nawet mocno, i to przez dość długi czas — o ile znam się na tym.

— Masz na myśli stan ziemi w Hardornie? — zapytała.

Kiwnął głową.

— Oczywiście. Słyszałaś Janasa; ziemia jest chora, poraniona i dopiero zaczyna dochodzić do siebie. Tremane będzie czuł to wszystko, dopóki ziemia się nie uleczy. Co więcej, kiedy znów zaczną się magiczne burze, książę będzie się czuł tak, jakby ich skutki dotykały go osobiście!

Zaśmiała się bezlitośnie.

— Ciekawe, jak czuje się przemieszczanie kawałków gruntu na własnej skórze?

— Wolałbym się tego nigdy nie dowiedzieć — odparł żywo Mroczny Wiatr.

Elspeth z przyjemnością rozważała całą sytuację. Znała jeszcze jedną osobę, której bardzo spodoba się nowa sytuacja księcia.

— Jak długo trwałoby przekazanie wieści Solaris? — zastanowiła się głośno. *Niedługo, wierz mi* — odparła Gwena. — *A kiedy do niej dotrze, chciałabym być muchą na ścianie jej komnaty!*

Jako półoficjalni przedstawiciele reszty Hardornu wobec Tremane'a, Elspeth i Mroczny Wiatr, jak się okazało, mieli następnego poranka kilkanaście próśb do załatwienia — rezultat całego dnia pracy ojca Janasa.

— Całe szczęście, że mamy pełnię zimy — zauważyła Elspeth, kiedy skończyli zajmować się kolejną prośbą o „królewski patronat” dla miejscowego kupca. — Przy lepszej pogodzie połowa mieszkańców kraju usiłowałaby dostać się na tę koronację, którą urządza Janas.

Mroczny Wiatr przekazał większość korespondencji Elspeth, gdyż Sokoli Bracia nie mieli odpowiednika monarchy wraz z towarzyszącym takiej osobistości ceremoniałem i pompą. Mag potrząsnął głową.

— Czuję się tak zagubiony, jak żaba na środku jeziora Evendim. Albo leśny zając w sercu Równin Dorisza — odparł z żalem. — Teraz rozumiem, co mają na myśli twoi rodacy, kiedy mówią o kuzynach ze wsi. Nie mam żadnego pojęcia, czego choćby połowa tych ludzi może chcieć od Tremane'a.

— Szczerze mówiąc, oni chyba też do końca nie wiedzą — odrzekła sucho Elspeth. — Osoba władcy to rodzaj miernika własnej wartości dla osób przyzwyczajonych do królów, królowych i innych osób tego rodzaju. Własną wartość oceniają oni na podstawie przydatności dla władcy, niezależnie od wartości samego władcy. Wszyscy ci ludzie pragną znaleźć się w pobliżu Tremane'a w nadziei, że spadnie na nich nieco złotego pyłu.

Mówiłaby dalej, ale w tej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Mroczny Wiatr poszedł otworzyć; ku jego zaskoczeniu w drzwiach stał Tremane w towarzystwie starszego adiutanta; wyglądał na chorego.

— Czy mogę wejść? — zapytał. — Z tego, co pamiętam, będziecie w stanie mi pomóc. To znaczy pomóc uporządkować wrażenia.

Mroczny Wiatr zaprosił go do środka; adiutant został na zewnątrz; z wyrazu jego twarzy jasno wynikało, że nie ruszy się stamtąd, póki Tremane nie wyjdzie.

Książę usiadł na kanapie; Elspeth zmierzyła go szybkim spojrzeniem. Wreszcie nic nie ukrywał; prawdopodobnie nie był w stanie. Oszołomiony i dezorientowany, patrzył na wszystko rozbieganymi oczami. Podała mu kubek kav, ulubionego napoju ludzi z Imperium, który sama polubiła — zarówno z powodu smaku, jak i za to, że pomagał się obudzić.

— Wiecie — zaczął niepewnie książę — kiedy tu przyjechaliście, powiedziałem, że przyjmuję waszą magię umysłu, ale szczerze mówiąc, nie bardzo w nią wierzyłem. Wasze niepojęte zdolności mogły okazać się po prostu zasługą świetnie wytresowanych zwierząt i systemu niezauważalnych dla postronnego oka sygnałów. Duchy, wkładanie myśli do umysłów innych ludzi — to brzmiało zbyt niedorzecznie, jedynie najbardziej naiwni mogliby w to uwierzyć. . .

Jego głos zamarł; Elspeth kiwnęła głową.

— Teraz po raz pierwszy znalazłeś się we władaniu czegoś, czego nie potrafisz wyjaśnić. Mam rację? — zapytała.

Potwierdził; wyglądał na zagubionego i dziwnie bezbronniego.

— Magia powinna opierać się na logice! — zaprotestował. — Rządzi się prawami i zasadami, które są całkowicie zrozumiałe i przynoszą możliwe do przewidzenia skutki! A to jest tak... tak bardzo intuicyjne. Tak nieprzewidziane, tak niepokładane...

Mroczny Wiatr zaczął się śmiać; księżę spojrział na niego podejrzliwie.

— Nie wiem, co w tym śmiesznego...

— Wybacz, panie — przeprosił Mroczny Wiatr. — Ale niedawno nasz przyjaciel, który z całego serca wierzył, iż magia to tylko i wyłącznie kwestia intuicji i sztuki, został zmuszony do spojrzenia na nią tak, jak ty i twoi magowie. Mówił dokładnie tak, jak ty. Kontrast jest tak... — Zakrztusił się, usiłując stłumić śmiech. Elspeth, dobrze pamiętająca słowa Śpiewu Ognia, musiała bardzo się starać, by do niego nie dołączyć. Nie pomogłaby w ten sposób podtrzymać Tremane'a na duchu.

— Kiedy się do tego przyzwyczaisz, stwierdzisz, że magia także podlega regułom; zaczniesz posługiwać się nimi tak, by można było przewidzieć skutki działań — uspokoiła go. — Teraz jest tak, jakby... jakby ktoś wtoczył ci do umysłu zasady matematyki i geometrii, a potem oczekiwał, że sobie z nimi poradzisz. Wszystko wynika z nadmiaru informacji, ale to na pewno się zmieni.

Mroczny Wiatr zdołał się opanować i usiadł obok księcia.

— Pomogę ci, ile zdołam — obiecał. — Chyba znam się na tym najlepiej z tu obecnych. Potem wróci Janas lub przybędzie ktoś do niego podobny.

Tremane powoli wypuścił powietrze i zaczął zadawać pytania, których sformułowanie było dla niego równie nowe, jak sprawy, których dotyczyły. Elspeth słuchała uważnie, wtrącając się czasami i przekazując informacje Gwenty.

Biedny człowiek — odezwała się do Gwenty z cieniem satysfakcji w głosie. — *Jedyna gorsza rzecz, jaka mogłaby go spotkać, to odwiedziny duchów przodków, którzy zaczęliby go nawiedzać, albo wybranie przez Towarzysza.*

To jest myśl — odparła Gwenta; widząc poruszenie Elspeth, zaśmiała się bezgłośnie. — *Nie martw się. Mogłoby się to stać jedynie wtedy, gdyby potowa ludności Valdemaru i Hardornu zapadła się pod ziemię, a i wtedy nie dałabym za to głowy.*

Przynajmniej teraz uwierzy nam, kiedy powiemy, że porozumiewasz się z nami — był to wniosek dostarczający dużej satysfakcji.

Elspeth przyszło do głowy coś jeszcze.

Mroczny Wietrze — odezwała się do swego partnera. — *Może najlepiej traktować to jak empatię. Janas zapewne wsączył do umysłu księcia reguły postępowania z darem, ale jeśli jest on tak silny, Tremane nie potrafi odnieść reguł do tak*

silnych emocji, jakie odczuwa. Spróbuj zacząć od skupienia i uziemienia, potem osłon, tak jak postępowałbyś z kimś o silnym darze empatii.

Mroczny Wiatr ledwo dostrzegalnie kiwnął głową i zmienił sposób postępowania. Z tego, co wiedziała Elspeth, mogło się to okazać nawet łatwiejsze niż radzenie sobie z empatią — książę nie będzie odczuwał zmiany nastrojów otaczających go ludzi. Wrażenia płynące z ziemi były dość stabilne, bez gwałtownych zmian natężenia; kiedy nauczy się przed nimi osłaniać, nie będzie musiał uczyć się, jak wzmacniać i osłabiać tarcze ochronne.

Właściwie nawet nie będzie chciał — musi przecież wiedzieć, kiedy ziemia zostanie zraniona, a nie poczuje tego przy zbyt silnych osłonach.

Kiedy Mroczny Wiatr prowadził księcia przez pierwsze ćwiczenia, Elspeth obserwowała ich obu. Widząc, jak dobrze Tremane sobie radzi, doszła do wniosku, iż Janas zostawił mu więcej niż tylko instrukcje; kiedy książę pojął technikę stosowaną przez maga, po krótkim czasie sam umiał ją prawidłowo zastosować.

Szkoda, że nie umiemy szkolić młodych heroldów tak jak Janas — przesłała uwagę Gwenie.

Wymaga to zdolności, jakich większość heroldów nie posiada — odparła Gwenie szczerze i z odrobiną zazdrości. — Jeśli o to chodzi, nie ma ich również większość Towarzyszy. Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, jak niezwykle jest stary Janas.

Naprawdę? — słowa Gwenie sprawiły, że Elspeth ujrzała postać kapłana w zupełnie nowym świetle i zaczęła się zastanawiać nad prawdziwym miejscem, jakie zajmował w hierarchii swej religii. Może był kimś w rodzaju Syna Słońca? Chyba jedynie ktoś taki jak Solaris mógłby to stwierdzić na pewno.

Jednak zachowała swe myśli dla siebie; nie zmieniłyby sytuacji, a Tremane miał dość na głowie, jeśli wzięło się pod uwagę jego nowe zdolności i odpowiedzialność związaną z rolą przywódcy.

Wybór na króla. Co za dziwny pomysł. Chyba żaden władca w tej części świata nie został wybrany przez poddanych od... od czasów Valdemara.

Podobieństwa stawały się coraz bardziej widoczne.

Tremane wchłaniał wszystko to, co pokazywał mu Mroczny Wiatr, jak sucha ziemia wchłania deszcz. Powoli bruzdy niepokoju i napięcia zaczęły ustępować z jego twarzy, znikły też oznaki choroby i dezorientacji — zarówno z twarzy, jak i postawy. W końcu książę westchnął i zamknął z ulgą oczy.

— Czuję się... normalnie — powiedział tak, jakby już nie oczekiwał, że kiedykolwiek znów się tak poczuje.

Otworzył oczy; Mroczny Wiatr uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Właśnie tak powinieneś się czuć — odparł. — Nie powinieneś myśleć o osłonach po to, by je ustawić, gdyż umiesz już wznosić osłony magiczne. Powinny one pozostać na miejscu dopóty, dopóki sam nie zdecydujesz się ich osłabić lub

opuścić. Teraz będziesz czuł jedynie zmiany, jakie będą zachodziły w Hardornie — na lepsze lub na gorsze; poczujesz je natychmiast.

Tremane lekko się zarumienił i zakaszłał.

— Chyba przypominam sobie pewne nierozsądne słowa o tym, że chciałbym mieć zdolność uzyskiwania takich informacji.

Mroczny Wiatr uśmiechnął się tym razem ironicznie, ale nic nie odpowiedział. Nie musiał.

„Chyba każdy lud ma odpowiednik przysłowia Shin’a’in: uważaj na to, czego sobie życzysz, bo to dostaniesz”.

— Cóż, czasami stu małych bogów ma osobliwe poczucie humoru — westchnął Tremane.

— Okazali je bardziej bezpośrednio, niż mógłbyś się spodziewać — odparł Mroczny Wiatr. — Czy zdajesz sobie sprawę, że dzięki darowi obudzonemu przez Janasa jesteś dosłownie związany z ziemią Hardornu? Nie możesz stąd wyjechać, przynajmniej nie na długo.

Książę popatrzył na niego sceptycznie.

— Tym razem na pewno przesadzasz.

Mroczny Wiatr potrząsnął głową.

— Nie. Nie zdołasz na długo wyjechać poza granice kraju. Wbrew temu, co myśleliśmy, Janas nie użył przenośni, kiedy ci to wyjaśniał. Wiem wystarczająco wiele o magicznych więzach, by je w tobie rozpoznać; wątpię, by ktokolwiek zdołał je zerwać. To magia bardzo prymitywnej religii, mająca zagwarantować, że władca nie poczuje nagle chęci opuszczenia tej ziemi i nie wyruszy na wędrowkę, zamiast nią rządzić.

Elspeth obserwowała twarz Tremane’a. Na ogół nieruchoma, teraz, pod wpływem nowego doświadczenia, stała się bardziej czytelna — nie tak, jak u zwykłego człowieka, ale na tyle, by Elspeth mogła dojrzeć odbijające się w niej emocje.

— Chodzi ci o to, że to związanie z ziemią, które na mnie nałożyli, ma mi uniemożliwić powrót do Imperium?

Mroczny Wiatr podniósł dłoń do góry.

— Najbardziej prymitywna magia bywa najsilniejsza, najtrudniej ją przełamać. Może nawet lepiej nazywać ją pierwotną. Podejrzewam, iż ta może pochodzić sprzed kataklizmu, z czasów wędrownych plemion. Z fascynacją obserwowałem jej pracę; żadnych śpiewów, żadnych prawdziwych rytuałów, po prostu element tonu jako linia przewodnia dla inwokacji — no i oczywiście składnik mentalny. Proste, ale potężne; to przemawia za długowiecznością tego zaklęcia i tym, że może ono służyć za swego rodzaju punkt odniesienia, według którego ocenia się późniejszą magię. — Oszołomiony Tremane siedział z zastygłą w zdumieniu twarzą, Mroczny Wiatr zaś emocjonował się coraz bardziej. — Jeśli niedawno wędrowne plemię osiadło w jednym miejscu, porzuciło wędrowki, pasterstwo i polowanie, a zajęło się rolnictwem, można logicznie przyjąć, iż jego przywódca —

ci, którzy najlepiej będą potrafili bronić osad przed innymi nomadami, to równocześnie ci, którzy najchętniej wróciliby do dawnego, koczowniczego trybu życia. Jeśli chce się ich zatrzymać oraz dać poważny powód do troszczenia się o powierzona im ziemię — bez obawy, iż ją splądrują lub doprowadzą do katastrofy — trzeba ich z nią związać.

— Rozumiem aż za dobrze — przerwał Tremane sucho. — Widzę, że zostałem obdarzony wyjątkowo prymitywną magią, która czyni ze mnie więźnia. — Z roztargnieniem potarł głowę. — Bez obrazy, Mroczny Wietrze k'Sheyna — dociekanie pochodzenia tego zaklęcia nie jest w tej chwili najważniejsze i może poczekać do szczęśliwego dnia, kiedy wszystko się ułoży, a wtedy będziesz mógł do woli rozprawiać z Janasem o historii.

Mroczny Wiatr nie zmieszał się wcale; wręcz przeciwnie, obdarzył Tremane'a spojrzeniem, jakim nauczyciel patrzy na ucznia, który nie pojął sensu lekcji. Jednak na głos powiedział jedynie:

— Książę Tremane, jeśli chcesz wiedzieć, jak i dlaczego magia działa tak, jak działa, musisz dowiedzieć się lub domyślić jej początku i celu. W snuciu skomplikowanych zaklęć przyczyny, sposób działania, ścieżki i skutki magii nie zawsze widać na pierwszy rzut oka, a często są bardzo subtelne. W bardziej pierwotnych zaklęciach może występować mniej elementów, ale nie oznacza to, iż są oczywiste. Nie zdołasz odwrócić zaklęcia — jeżeli chciałbyś tego dokonać — nie wiedząc, jak ono powstało.

— Jeśli chciałbym tego dokonać... — Tremane przerwał, wstał i wyjrzał przez okno. — Z natury nie jestem zbyt religijny — powiedział, odwrócony do nich plecami.

— Zauważyliśmy, panie — odparła Elspeth tak ironicznie, iż Tremane odwrócił się i spojrzał na nią badawczo.

— W Imperium niewiele skłania do wierzenia w bogów, a jeszcze mniej w to, że oni interesują się losem śmiertelników — powiedział patrząc jej prosto w oczy. — Skuteczność w wykonywaniu codziennych zadań uznawana jest za dużo ważniejszą od rozważań na temat bóstw czy świata ducha. Najbliższa państwowej religii jest chyba forma kultu przodków, w swej wyższej postaci nakazująca oddawanie czci poprzednim cesarzom i ich współmałżonkom. Ogólnie określa się ich mianem stu małych bogów. Nie dlatego, by było ich akurat stu, ale to ładna, okrągła liczba, na którą można się zaklinać.

— Zastanawiałem się nad tym — mruknął Mroczny Wiatr.

— W przeszłości również nie wierzyłem w przeznaczenie ani w znaki. Mimo to — ciągnął książkę — od przybycia tutaj wciąż spotykam się z przypadkami, które dosłownie zmusiły mnie do zmiany poglądów. Zaczynam wątpić w słuszność moich przekonań na temat przeznaczenia.

Elspeth nie mogła oprzeć się pokusie.

— Jeśli chciałbyś kolejnych dowodów obalających twoje wcześniejsze poglą-

dy na temat religii, jestem pewna, że Najwyższy Kapłan Solaris z radością poprosi o objawienie się Pana Słońca Vkandisa — zaproponowała.

Nie było to ładne z jej strony, lecz po wszystkim, co spowodował Tremane, nie mogła odmówić sobie tej satysfakcji i z przyjemnością popatrzyła na jego blednącą twarz, kiedy usłyszał imię Solaris.

— To na pewno nie będzie konieczne — odparł z pośpiechem.

— Jak wolisz — mruknęła, spoglądając z rozbawieniem na Mroczny Wiatr.

Cóż, znalazł się między młotem a kowadłem — nie tylko ciąży na nim klątwa prawdomówności Solaris, ale także zakłęcie wiążące go z ziemią Hardornu — odezwała się Gwena wyjątkowo zadowolonym tonem; tym razem Elspeth w pełni się z nią zgodziła. — Chyba naprawdę wielki księżę Tremane będzie odtąd gorliwie współpracował z sojuszem — nie ma już możliwości ucieczki i wie o tym.

A ja właśnie pomyślałem o kolejnej przyczynie, dla jakiej warto było związać króla z ziemią — przesłał im Mroczny Wiatr, kiedy Tremane znów odwrócił się do okna. — Kiedy zwiążujesz go z ziemią, z której nie może uciec, musi rządzić dobrze. Przecież od tego zależy i jego położenie.

Miejmy nadzieję, iż teraz myśli właśnie o tym — odparła Elspeth. — Jest zdolnym przywódcą, inteligentnym i na pewno bardzo praktycznym człowiekiem. Powinien już się domyślić, jak daleko zabrnął, potem zaakceptować to i zająć się tym, co najpilniejsze. Dla dobra sojuszu i Hardornu chciałabym, żeby wiedział, iż nie ma innego wyjścia, jak rządzić mądrze i uczciwie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Papier szeleścił cicho; był to jedyny dźwięk rozlegający się w zimnej, podobnej do jaskini komnacie. Baron Melles z uśmiechem satysfakcji przeczytał ostatnią stronę raportu komendanta Sterma. Stolica państwa, Jacona, była bezpieczna. Nie ogłoszono w niej stanu wyjątkowego, a wojskowi patrolowali ulice wspólnie z miejskimi konstablami, ku zadowoleniu obu stron. Melles wypróbował swój plan w tym mieście, gdzie mógł wszystkiego osobiście dopilnować — i udało się. Może nie do końca, ale baron nie oczekiwał doskonałości; wszystko działało na tyle dobrze, by i on, i Thayer mogli być zadowoleni.

Jak przewidywał, w miarę ubywania zapasów ceny żywności rosły — w końcu zostało jej tak mało i była taka droga, że przeciętny mieszkaniec mógł pozwolić sobie tylko na dwa posiłki dziennie. To wystarczyło, by pojawiły się bunty, pierwsze zabójstwa na zlecenie — wtedy nadszedł czas na kolejny etap planu Mellea. Jacona została już wcześniej podzielona na okręgi powierzone kapitanom, odpowiedzialnym za sprawy lokalne, takie jak naprawa ulic. To bardzo ułatwiło następne posunięcia. Wprowadzono ścisłe racjonowanie żywności; na każdy artykuł przyznano kartki — ich rozdzielaniem i wydawaniem zajmowali się kapitanowie okręgów. Równocześnie zaczęto kontrolować ceny. Nikt nie głodował, ceny, choć nadal zawyżone, nie były już tak niewiarygodnie wysokie, jak przedtem. Zapewniono dostawy żywności z okolicy; dzięki kartkom każdy miał szansę na codzienne posiłki. Kartki nie obejmowały artykułów luksusowych, jedynie podstawowe, pozwalając bogatym kupić to, na co mieli ochotę.

Oczywiście niektórzy woleli wymienić kartki — swoje, a nawet innych członków rodziny — na pieniądze lub alkohol. Imperium oficjalnie nie wypowiadało się na ten temat, dopóki dotyczyło to dorosłych.

Jeśli w grę wchodziło dziecko, sprawy przybierały inny obrót. Kapitanowie okręgów mieli za zadanie zwracać szczególną uwagę na maluchy żebrzące o jedzenie. Jeśli znaleźli zagłodzone dziecko, którego rodzice nie mogli okazać jego katek żywnościowych ani jedzenia wystarczającego dla rodziny, dziecko — i jego racje żywnościowe — zabierano do jednego z imperialnych sierocińców.

Na tym sprawa się kończyła; rodzic nie mógł już odzyskać dziecka, gdyż przechodziło ono pod opiekę Imperium. Po ukończeniu czternastu lat chłopiec wstę-

pował do armii, a dziewczynka lub dziecko chorowite albo niesprawne do służb pomocniczych i warsztatów — o ile nie wykazało się szczególnymi zdolnościami, kwalifikującymi je do dalszej nauki. Ale był to los dziecka, który nie miał nic wspólnego z racjonowaniem pożywienia.

Oczywiście za gotówkę można było kupić i jedzenie, i artykuły luksusowe. Imperium nie interweniowało również w te transakcje, dopóki towary sprzedawane na czarnym rynku nie pochodziły z imperialnych sklepów. W domach bogaczy służba nadal dbała o posiłki i wygody, mimo że koszty utrzymania w ciągu kilku tygodni wzrosły dwukrotnie. Z tego, co Mellesowi donieśli agenci, ceny na czarnym rynku ustabilizowały się, co oznaczało, iż bogaci po prostu musieli pracować nieco ciężiej, by utrzymać dotychczasowy poziom życia. Wielu z nich już zaczęło inwestować w węgiel, drewno i inne paliwa lub dość ryzykowny handel żywnością. W mieście pojawiło się kilku nowych bogaczy, którzy w porę dostrzegli nowe tendencje na rynku i umieli je wykorzystać. Kilku zbankrutowało, gdyż ich zapasy składały się z nielicznych, zależnych od magii artykułów lub ponieważ handlowali tym, czego nikt teraz nie potrzebował — na przykład strojami balowymi. Ogólnie jednak można było przyjąć, że w mieście niewiele się zmieniło.

Po pierwszym poważnym proteście, który dał Mellesowi pretekst, by wydać rozkaz strzelania, a zakończył się śmiercią kilkunastu głupców, nie było więcej buntów. Zdarzały się czasami demonstracje, a na rogach ulic można było usłyszeć liczne przemowy, oficjalnie jednak je ignorowano. Jednak nie zdarzały się już przypadki zawalenia się zależnych od magii budynków lub braku usług, do tej pory opartych na magii — ponieważ nie było już usług ani stojących budynków, których istnienie zależałoby od niej.

Jednak pozostało mnóstwo do zrobienia; zmieniło się to, iż praktycznie znikło bezrobocie. Demonstranci i mówcy wychodzili na ulice po zakończeniu pracy — oczywiście o ile nie byli to nieliczni bogaci ekscentrycy, którzy nie musieli pracować na swoje utrzymanie. Tam, gdzie magiczne akwedukty już nie doprowadzały wody, a nie istniały komunalne studnie, grupy ludzi nie mających innego zatrudnienia nosiły wiadrami wodę z pewnych źródeł do świeżo postawionych, wkopanych w ziemię lub wyniesionych nad nią zbiorników. Nowo utworzona grupa ludzi z ręcznymi wózkami zbierała śmieci i popiół z pieców oraz nawóz zwierzęcy z ulic i podwórek. Na szczęście kanalizacja nie miała nic wspólnego z magią, więc nadal działała sprawnie.

Życie w stolicy nie wyglądało tak jak przedtem — i nie miało szans na powrót do poprzedniego stanu, dopóki trwały magiczne burze — ale zwykli ludzie szli do pracy, otrzymywali zapłatę, jedli regularne posiłki, w nocy zaś spali, nie bojąc się nagłego zagrożenia. Nawet jeśli marzli bardziej niż rok wcześniej i byli mniej syści — dotyczyło to wszystkich. Na ulicach nie było już buntowników, włóczęgów oraz żebraków — gdyż szybko znaleźli się oni w warsztatach i grupach pracy, zamiatających ulice i noszących wodę. Dzięki temu zwykły obywatel był szczę-

śliwy. Jeszcze bardziej uszczęśliwiało go to, iż pracownicy Imperium dzień i noc mozolili się nad tym, by przywrócić coraz więcej wygód, do których przywykł w czasie, kiedy magia jeszcze działała. Zastąpiono już niektóre z nich — w imperialnych warsztatach można było kupić po umiarkowanych cenach bezpieczne piece, które spalały najróżniejsze paliwa, od suszonego nawozu po węgiel. Założono imperialne łaźnie i pralnie — jeśli kogoś nie było stać na regularne grzanie wody na kąpiel i pranie, nadal mógł z nich skorzystać za kilka miedziaków. Przeciętny obywatel mógł teraz oczekiwać, że w końcu odzyska codzienne wygody, które niedawno utracił.

A jeśli kosztowało go to częściową utratę wolności — cóż, oprócz kilku mal-kontentów reszta uważała, że warto. Niektórzy nawet cieszyli się z powstania warsztatów i grup pracy oraz z radością powitał i wojskowe patrole na ulicach, usuwające tych, którzy sprawiali kłopoty. To prawda — liczba przestępstw, na przykład włamań, gwałtów i rabunków, spadła niemal do zera, odkąd na ulice wyszły patrole mające prawo zabijania.

„No tak, przestępstwa popełniane przez obywateli przeciwko innym obywatelom prawie już się nie zdarzają. Nikt przy zdrowych zmysłach nie oskarży o takie wykroczenie konstabla czy wojownika. A jeśli nie ma zgłoszeń, nie ma przestępstw, czyli oficjalnie problem nie istnieje”.

Do tej pory wszystko, co wprowadził w Jaconie, działało dobrze — lub miało szansę działać po wprowadzeniu niewielkich poprawek. Nadeszła chwila, aby zaplanować kolejne posunięcia. Melles oparł łokcie na stole, w zamyśleniu złożył dłonie i oparł na nich usta.

Wpatrzył się w płomień stojącej na biurku oliwnej lampy, która zastąpiła płonące tu dawniej magiczne światło. Samo biurko ustawiono obok staroświeckiego kominka, którego wewnątrz stanowiła lepsza, bardziej wydajna wersja pieca będącego w powszechnym użyciu — połączenie ceramiki i stali, opalane raczej węglem niż drewnem. Kolejny przykład imperialnej przemyślności; węgiel płonął dłużej i dawał więcej ciepła niż drewno; chociaż powstający przy spalaniu dym zawierał więcej sadzy i pewnego dnia mógł spowodować kłopoty, na razie nowe urządzenie mogło pomóc im przetrwać zimę. Wszystkie piece w pałacu i w większości domów bogaczy miały takie wkłady; kopalnie węgla, do niedawna dostarczające paliwa jedynie do kopcących pieców, w jakich wytapiano i przetapiano metale, teraz codziennie słały do miasta wozy.

Podobne piece ogrzewały pojemniki dostarczające wodę do łaźni w Skalnym Zamku i innych budynkach oraz do imperialnych łaźni i pralni. Co ciekawe, cała sytuacja okazała się korzystna dla skarbu Imperium, gdyż państwo nie tylko ściągało wyższe podatki — obliczane na podstawie dochodów — ale też stało się kupcem sprzedającym piece do gotowania i ogrzewania oraz kąpiele w łaźniach.

Kradzież węgla — jak wszelkie kradzieże — powodowała zesłanie do grupy pracy. Podobnie karano podżeganie do buntu, grabież, notoryczne picie w miej-

scach publicznych, wandalizm, włóczęgostwo i przestępczość nieletnich. Każde przestępstwo przeciwko własności, a nie przeciwko ludziom, sprowadzało na sprawcę wyrok ciężkiej pracy zamiast wojskowego więzienia. Dzięki takiej polityce ulice uspokoiły się.

Tremane nie wydawałby nigdy takich rozkazów; nie miał przekonania ani tupetu, a może nawet wystarczającej wyobraźni, by pojąć tak szczegółowe plany zakrojone na tak wielką skalę, realizowane w tak krótkim czasie.

Melles dalej wpatrywał się w płomień lampy, ale natchnienie nie nadeszło. Sięgnął po drugi, znacznie krótszy raport i ponownie go przekartkował. Może zanim zacznie myśleć o kolejnym etapie planu, warto byłoby załatwić sprawę związane z wywiadem.

Ogólnie mówiąc, po zdławieniu buntów wywołanych brakiem pożywienia, sytuacja ustabilizowała się szybciej, niż przypuszczał — a zamieszki niemal nie występowały. Nieco go to zaskoczyło; spodziewał się większego oporu wobec nowych zarządzeń.

Oznaczało to, iż mieszkańcy Jacony zachowywali się bardzo dobrze, jak posłuszne owieczki, idąc tam, gdzie je prowadził.

Oczywiście były też i czarne owce — nieunikniony podziemny „ruch wyzwolenia”, który Melles również przewidział. Jakże mogłoby go nie być? Zawsze znajdzie się ktoś, kto nie da się omamić i nie zaakceptuje ograniczenia swojej wolności, niezależnie od tego, jak bardzo byłyby maskowane.

„Grupa „Prawa dla obywateli” prawidłowo domyśla się w tobie autora wszystkich nowych edyktów i kar”

— pisał dowódca miejskiej siatki agentów niższej rangi.

„Przypuszczają, że cesarz nic nie wie i przy odpowiednim wysiłku zdołają zwrócić jego uwagę na twoje nadużycia, po czym uzyskać twoje zwolnienie. Jeśli to się nie uda, a okaże się, iż cesarz znalazł się pod twoją kontrolą, planują ogólne powstanie w celu obalenia rządu”.

Było to dokładnie to, czego oczekiwał. Nie tylko się tym nie przejął, ale nawet ucieszył, że tak dobrze przewidział rozwój wypadków. Agent również nie był zbyt zaniepokojony, potrzebował jedynie instrukcji dotyczących dalszego postępowania, skoro już określił rodzaj ruchu, jego cel i członków.

Melles wziął pióro i czystą kartkę papieru z pojemnika stojącego na boku biurka. Pisał od razu szyfrem, nie myśląc w ogóle o tłumaczeniu; miał dość wprawy, by móc pisać właściwym szyfrem do każdego agenta. Szyfr zależał od treści, ale nie był kodem; pozornie wydawało się to listem dotyczącym najzwyczajniejszych wydarzeń, napisanym przez pałacowego służącego do krewnego w mieście.

Jednak w rzeczywistości jego treść była zupełnie inna.

„Nie czyn otwarcie niczego, by rozbić ruch przeciwko mnie. Co do mieszkańców, nadal podawaj im sprzeczne informacje, wymyślaj historie o mojej całkowitej bezradności wobec rosnącej tyranii cesarza. Niech myślą, że usiłuję opanować wybryki Charlissa i że to on sam ponosi odpowiedzialność za to, na co narzekają. Chcę, by nawet członkowie ruchu zaczęli nazywać mnie „przyjacielem ludzi”. Nadal obserwuj wszystkich, którzy przystępują do ruchu, a jeśli znajdą się prawdziwi przywódcy, dowiedz się o ich słabościach i znajdź sposób, by ich unieszkodliwić, nie usuwając ich jednak. Informuj mnie przez cały czas”.

Zaczął pieczętować kopertę, po czym, pod wpływem nagłej myśli, dodał kolejną stronę.

„Zawsze zdarzają się biurokratyczne pomyłki; ludzie zatrzymali na ulicy w drodze do pracy, ofiary osobistej zemsty żołnierzy. Ci ludzie na pewno wiedzą dokładnie o wszelkich takich przypadkach; prześlij mi szczegóły, zarządzę dochodzenie i uwolnię kilku zatrzymanych z odpowiednim odszkodowaniem. Jeśli ktoś z nich ma małe dzieci, cierpiące biedę z powodu braku ojca, zaznacz to”.

Teraz zapieczętował i zaadresował list, po czym położył go na pojemniku, by gospodarz zabrał go i wrzucił do skrzynki. Ostatnie słowa podpowiedziało mu czyste natchnienie; Melles będzie musiał jedynie zlecić jednemu z urzędników uporanie się z papierkami, by zwolnić więźnia, wysłać rodzinie nieco pieniędzy, trochę lepszego jedzenia, kosz słodczy dla dzieci — a dzięki temu stanie się bohaterem ulicy. Nie musiał również obawiać się zwiększenia liczby natrętnych petentów. Teraz, kiedy został oficjalnym następcą cesarza, dzieliło go od zwykłych obywateli miasta tyle biurokracji, iż petent zmarłby ze starości, zanim zdołałby wypełnić wszelkie dokumenty konieczne do uzyskania audiencji. Oznaczało to jedynie większą liczbę petycji, ale tym mogli się zająć urzędnicy niższego szczebla, których miał wystarczającą liczbę.

Może ktoś inny wysłałby wojowników z rozkazem aresztowania wszystkich członków ruchu — ale ów ktoś nie miał doświadczenia Mellesa. Dopóki znani byli członkowie organizacji, ich przywódcy i ci, którzy naprawdę działali — oraz ich słabe strony — lepiej było zostawić ich w spokoju. W czasach, jakie nadeszły, ruchy wyzwolenicze przypominały karaluchy — na miejsce jednego zgniecionego za tapetą na ścianie pojawiały się setki nowych. Buntownicy, aby skutecznie działać, musieli być odpowiednio prześladowani, gdyż to usprawiedliwiała ich czyny w oczach innych. Właściwie wielu z nich potrzebowało poczucia zagrożenia i prześladowań — i głośnego o nich mówienia — by usprawiedliwić swą

wegetację; w końcu wielkiemu złu można przeciwstawić jedynie wielkie dobro. Co jeszcze śmieszniejsze — ale i żałosne — mogli oni narzekać na prześladowania tylko wobec tych ludzi, którzy i tak zapewne by ich poparli.

Oczywiście Melles grał w tę samą grę na wiele wyższym i bardziej skomplikowanym poziomie. Ludzie musieli radykalizować swoje poglądy, kiedy dostawali niepełne informacje o złożoności sytuacji. Kto nie z nami, ten przeciwko nam — jeśli nie białe, to musi być czarne, dzień albo noc. Podczas gdy prześladowani przez długi czas wykorzystywali tę tendencję ludzi do wzbudzenia współczucia w innych, Melles posługiwał się nią w manipulowaniu reakcjami ludności. Jego plany i działania były tak złożone, że laik nie mógłby ich omówić w krótkiej rozmowie; baron używał różnych grup — na przykład grup pracy albo policji — jako buforów i widocznych przedstawicieli. Tworzył proste pojęcia, które laicy mogli zrozumieć i zareagować na niejednocześnie nie przekazując informacji dotyczących większych, bardziej złożonych wydarzeń.

W ten sposób nawet najbardziej błyskotliwi przywódcy ruchów buntowniczych będą musieli oprzeć swoje postępowanie w najlepszym wypadku na niekompletnych informacjach, najczęściej na ogólnie powtarzanych plotkach, a w najgorszym przypadku — na fikcyjnych wiadomościach. W najgorszym wypadku dla nich; dla Mellesa było to po prostu wywoływanie odpowiednich zachowań ludzkich.

Nie; będzie ich obserwował, czasami chronił, czasami męczył i niepokoił, będzie ich wykorzystywał, ale przede wszystkim pozwoli im zwoływać owe „zebrania komitetu”, wygłaszać przemówienia i spierać się do woli. Dzięki temu będą spokojni i raczej nieszkodliwi. Im bardziej będą się burzyć na represje, w miarę poprawy warunków, tym mniej inni będą skłonni słuchać ich słów i w nie wierzyć.

Lepiej od czasu do czasu pozbyć się kompetentnego, niebezpiecznego, pojedynczego człowieka niż rozbijać całą grupę. Jeśli nie uda się tego załatwić inaczej, ci naprawdę niebezpieczni zginą podczas napadu chuligańskiego czy rabunkowego. Potem, zanim zostaną uznani za męczenników, w trakcie „śledztwa” dotyczącego ich śmierci „wyjdą na jaw” starannie spreparowane sensacje — na przykład bohaterowie okażą się uwodzicielami dzieci — aby zdusić w zarodku możliwość wzburzenia opinii publicznej, a zamiast tego zrodzić niesmak i potępienie, które zaczną być również kojarzone z każdym rodzajem działalności owych ludzi. Po dziesięciu czy dwudziestu takich przypadkach ogół mieszkańców będzie się cieszył z usunięcia awanturników.

Ogólnie rzecz biorąc, Melles bardzo lubił amatorskich bojowników o wolność, gdyż dostarczali mu niemałej rozrywki. Gdyby nie powstała żadna grupa, sam musiałby ją utworzyć choćby po to, by zająć czymś prawdziwych buntowników. Najbardziej niebezpieczni mogli być ci nieliczni, którzy zdaliby sobie sprawę, iż najbardziej oczywistym celem są takie grupy — i zdecydowałyby się podważyć autorytet władz na własną rękę. Takich zdołałby złapać tylko przez przypadek.

Ale grupy buntowników miały też swoje dobre strony — między innymi dawały różnym gorącogłowym możliwość wyładowania energii. Wygłaszali przemówienia zamiast podpalać archiwa, fałszować i rozprowadzać kartki żywnościowe lub napadać na obozy pracy i uwalniać skazanych.

Lepsze nieskuteczne mowy tysiąca głupców niż jeden bunt.

Melles przełożył raport z pojemnika „sprawy do załatwienia” do pojemnika „sprawy zakończone” i zajął się kolejną kwestią. Gdyby nie niebezpieczna sytuacja, byłby bardzo zadowolony: nigdy jeszcze nie sprawował tak wielkiej władzy nad tak dużą liczbą ludzi; świadomość tego przyprawiała go o nieoczekiwany zawrót głowy.

Przeglądał raport po raporcie od dowódców wyspecjalizowanych oddziałów operacyjnych działających w mieście; wszyscy zgodnie twierdzili, że wydarzenia toczą się tak, jak tego oczekiwali. Nieprzewidywalne były jedynie skutki magicznych burz; Melles miał nadzieję, że w wystarczającym stopniu przygotował się na chaos, jaki mogły spowodować burze. Kapitanowie okręgów znali się na polityce, a chociaż zostali wybrani, Melles w każdej chwili mógł, według swego uznania, zastąpić ich kimś innym. Na pewno skłamałiby, gdyby w ten sposób mogli zatrzymać stanowiska. Nie podejrzewał o to komendanta imperialnej armii, ale i on mógł przekazywać tylko część prawdy. Jednak agenci Mellese, starannie dobrani i wyszkoleni, nie ukrywali faktów, choćby najbardziej nieprzyjemnych. Na tym polegała ich praca; Melles nagradzał prawdomównych i pozbywał się krętaczy — czasami na zawsze, jeśli znajdowali się na szczególnie delikatnej i narażonej na odkrycie pozycji. Raporty potwierdziły wrażenie barona: miasto należało do niego; uspokojone, znalazło się całkowicie w jego rękach.

To dobrze, gdyż Melles nie miał zamiaru opuszczać stolicy, chciał mieć w niej spokój, by zająć się resztą Imperium, nie martwiąc się o swoje bezpieczeństwo czy wygodę. Potęga, która dała mu władzę, znajdowała się tutaj; chociaż mógłby wprowadzić w życie swoje plany, nawet gdyby cesarz zmienił zdanie i wyznaczył innego następcę, byłoby to jednak dużo trudniejsze. Miał armię, ale gdyby cesarz znalazł kogoś na jego miejsce, straciłby ją — a do podbicia reszty Imperium potrzebował żołnierzy.

Teraz, kiedy zrealizował swoje plany w Jaconie, wiedział, jak działać poza stolicą. Wrócił do dłuższego raportu, odłożonego na bok, zawierającego krótką relację z tego, co działo się w samym Imperium.

Najbliższe okolice — przedmieścia i wsie — można było również uznać za spokojne. Ludzi niepokoiła bardzo zła pogoda i wałęsające się potwory, a nie buntownicy. W małych miasteczkach i na wsiach ludzie nie musieli obawiać się głodu, ale byli przerażeni. W każdej chwili mogły rozpętać się burze zdolne zasypać śniegiem domy po dachy, pojawić się wiatry obracające budynki w gruzy i połączenie jednego i drugiego — trwające wiele dni zawieje. I tak złą sytuację pogarszały jeszcze wstrętne stwory, pojawiające się pośród burz, grasujące po uli-

cach potwory, których nikt nie znał i nie umiał zabić. W ziemskich majątkach bywało nawet gorzej, gdyż większość właścicieli nie szkoliła swej służby do walki; w tak małej odległości od stolicy nie byłoby to dobrze widziane. Zatem już jeden czy dwa folwarki zostały zasypane, a zanim służba zdołała je odkopać, pojawił się krwiożerczy potwór, który trzymał w szachu mieszkańców posiadłości — raz wręcz ich zdziesiątkował.

„Jeden denerwujący szlachciura mniej”.

Armia radziła sobie tak dobrze, jak można było sobie życzyć. Melles z radością, ale i ze zdziwieniem dowiedział się, iż generał Thayer zabił około dziesięciu potworów, zanim wprowadził w życie rozkazy rekwizycji, przygotowane przez sekretarza Mellesa. Widząc wiszące na dziedzińcach posiadłości i placach wsi ciała potworów, mieszkańcy nie tylko z radością oddawali nakazane kontrybucje, ale i częstokroć z własnej woli oferowali pomoc. Do potrzeb transportu dostosowano czasami antyczne pojazdy, ale i oddawano armii bardzo zmyślne wynalazki. Jakiś uzdolniony wioskowy kowal wymyślił sposób, by przymocować płozy do unieruchomionych kół pojazdów; dzięki temu nie trzeba było czekać na uprzątnięcie śniegu z dróg. W praktyce oznaczało to możliwość używania przez wojskowe wozy dostarczające żywność do miast pojedynczego odśnieżonego pasa drogi, na którym mieścił się muł lub koń, zamiast czekania na odśnieżenie całej szerokości traktu.

„Szkoda, że wiklinowe rakiety śnieżne dla koni nie zdały egzaminu, gdyż wtedy nie musielibyśmy wcale odśnieżać dróg — a może nawet nie musielibyśmy z nich korzystać. Ironia losu: biedni okazują się zbawcami bogatych, gdyż tylko oni wiedzą, jak sobie poradzić bez użycia magii”.

Poza tymi niedogodnościami życie na wsi nie było złe; na pewno łatwiejsze niż w mieście. Drewno opałowe znajdowało się w zasięgu ręki, podobnie jedzenie — bardziej zróżnicowane niż w miastach. W posiadłościach ziemskich sytuacja wyglądała nawet lepiej i zapewne ci właściciele, którzy się w nich schronili, teraz gratulowali sobie umiejętności przewidywania.

Tak wyglądało życie w pobliżu stolicy. A co do innych dużych miast. . .

Z niewielkimi zmianami prawdopodobnie można tam będzie wprowadzić podobne porządki, jak w Jaconie. W kilku miastach Melles musiał wziąć pod uwagę lokalne wierzenia, a w jednym — całkowicie nowy kult Debana, który objął praktycznie całe miasto, ale w większości nie będzie musiał czynić zbyt dużych zmian w schemacie działania.

Wreszcie Melles skończył pisać ostatnią odpowiedź dla Thayera i swych agentów w mieście. Przez ten czas ręce całkowicie mu zgrabiały; służący dwa razy wszedł do komnaty, by sprawdzić, czy ogień płonie odpowiednio mocno. Mimo to w komnacie panowało lodowate zimno; mimo wszelkich luksusów było w niej mniej wygodnie niż w magazynie.

Może pomogłaby owcza skóra na krześle przy biurku i piecyk na węgiel pod

nim. Albo — jeszcze lepiej będzie poprosić lokaja o przyniesienie takich samych przyrządów, jakich używają skrybowie. Melles rozruszał bolące palce i wstał, czując ziąb w każdym zeszywniałym stawie. Z ponurą pewnością wiedział, że przegrał bitwę z nasilającymi się oznakami starości. Zanim zaczęły się owe bezsensowne magiczne burze, rozpoczął drobne magiczne praktyki mające na celu zachowanie jego młodości. Ku jego rozdrażnieniu zaklęcia teraz nie działały — a właśnie teraz najbardziej potrzebował doskonałego stanu fizycznego. Po prostu nie mógł sobie pozwolić, by rozpraszały go inne sprawy — a czym były owe bóle i strzykania w kościach, jeśli nie uciążliwymi przeszkodami?

„Przypominają mi o śmiertelności?”

Podszedł do bogato złoconego i rzeźbionego barku, w którym trzymał brązowe flaszki i specjalne kryształowe karafki. Nos i stopy całkowicie zdrętwiały mu z zimna; może napój pobudzi krążenie i rozgrzeje go. Zdawał sobie sprawę, iż ciepło pochodzące od alkoholu jest złudne i szybko przemija, ale potrzebował go w tej chwili, a także jego kojących ból właściwości dla dających się we znaki stawów.

Wszedł lokaj — wyglądał nienagannie w swej czarno-purpurowej liberii; Melles akurat nalewał sobie szklaneczkę mocnej, podwójnie destylowanej brandy. Napitek zaiskrzył w szkle głębokim odcieniem najlepszych rubinów, kiedy podniósł szklankę do światła, podziwiając jego kolor. Lokaj zaczął na kiwnięcie głowy barona, dając znak, że został zauważony, i dopiero zaczął mówić:

— Jego cesarska wysokość zwołał dwór, lordzie następcu — powiedział gładko; na ramieniu miał przerzucone dworskie szaty, których, jak przewidywał, baron będzie potrzebował. — Czy przebierzesz się tutaj czy w swej garderobie?

Melles westchnął. Była to ostatnia rzecz, jakiej potrzebował; zmęczony i zmarznięty, marzył o wolnej chwili, by się ogrzać i odpocząć, zanim zajmie się kolejnym problemem. Jednak Bors Porthas nigdy nie przerwałby mu w pracy, gdyby chodziło o mało ważne zebranie towarzyskie. Nie, musiało wydarzyć się coś ważnego — lepiej zebrać siły i stawić temu czoło.

— Tutaj. — Nikt nie wejdzie bez ostrzeżenia, a Porthas, niepozorny, usuwający się w cień, niewiarygodnie kompetentny Porthas na pewno przyniósł ze sobą wszystko, czego Melles będzie potrzebował. Łysiejący niski mężczyzna o szczupłej twarzy bez wyrazu był ucieleśnieniem kompetencji, ale nie było to niespodzianką, zważywszy na fakt, iż miał mnóstwo doświadczenia w służbie o wiele bardziej wymagającej. Zapewne wielu wysokich rangą arystokratów rozpoznałoby w Porthasie swego ulubionego służącego, zmuszonego do rezygnacji z pracy wskutek nagłej choroby. Spora część z nich może nawet by zbladła, przypominając sobie wieńce, jakie posłali na pogrzeb tak wiernego sługi.

Jak na człowieka, który umierał co najmniej trzy razy, a przy pięciu innych okazjach został na zawsze przykuty do łóżka, Porthas wyglądał wyjątkowo zdrowo. Trudno było ocenić, ile ma lat, i Melles zdawał sobie sprawę, że Bors Por-

thas nie tylko jest w stanie podjąć wszelkim obowiązkom lokaja, ale i sprostać — a nawet pokonać — wielu młodszych od siebie szermierzy. Co do innych jego talentów — był jedyną osobą, jakiej Melles powierzyłby pewne zadania — z wyjątkiem samego siebie. To schludne ciało było równie sprawne, jak mózg — i równie elastyczne.

Czasami Melles zastanawiał się, czy po latach pracy w charakterze agenta życia lokaja nie wydawało mu się nudne. Z drugiej jednak strony Porthas był zwykłym lokajem w równej mierze, co Melles zwykłym dworzaninem; kontrolował wszystkich agentów barona w mieście, poza nim i, co najważniejsze, w samym Skalnym Zamku. Jedynie on i baron znali imiona i tożsamość ich wszystkich. A w rzadkich przypadkach, kiedy Melles musiał usunąć kogoś wyjątkowo dyskretnie, a nie mógł zrobić tego sam, powierzał to zadanie Porthasowi. Poza nim nie było nikogo, kto choć w małym stopniu dorównywałby Mellesowi w umiejętnościach, jakich wymagał ich wspólny zawód. Właściwie Porthas wydawał się lubić swoją rolę lokaja. Może po wszelkich innych zajęciach, jakie wykonywał, praca lokaja dawała mu odpoczynek i rozrywkę.

Na pewno starczało mu zręczności, by pomóc Mellesowi włożyć ciężkie ceremonialne szaty, którymi szczerze gardził. W sprawach stroju Porthas nie tylko dorównywał baronowi, ale wyraźnie go przewyższał, ten zaś z ulgą pozostawił to jego kompetencji. Kiedy ostatnia fałda i załamanie zostały ułożone według gustu Porthasa, Melles podziękował mu — bez przesady, ale tak, by dać mu odczuć, że zauważył i docenił jego zręczność. Z uśmiechem satysfakcji Porthas zebrał rozrzucone ubranie i odszedł do prywatnych komnat Mellesa.

Długi spacer korytarzem zamku, pomiędzy milczącymi i wszechobecnymi strażnikami, pozwolił mu pozbyć się części irytacji. Kiedy tylko wszedł do sali tronowej, wiedział, że coś się stało; nerwowe szepty nie ucichły na jego widok, jak to często bywało, zaś sam tron był pusty.

Melles podszedł do stóp tronu i — jako pierwsza osoba na dworze — zajął należne sobie miejsce. Generał Thayer był już na miejscu; jego zmarszczone czoło dało Mellesowi znać, iż on nie ma większego pojęcia niż inni o tym, dlaczego cesarz zwołał dwór. Generał miał na sobie uroczysty strój — na ciemnym mundurze armii imperialnej błyszczał ceremonialny koncerz — a pod lewym ramieniem trzymał hełm z fioletowym pióropuszem z końskiego włosia. Z tej pozycji mógł rzucić bezużytecznym kawałem metalu w potencjalnego napastnika, podczas gdy prawą ręką wyciągałby już nie tak ceremonialny miecz. Przy pewnej okazji generał zatrzymał napastnika hełmem, zanim ten w ogóle znalazł się w zasięgu miecza.

— Czy coś słyszałeś? — zapytał cicho Mellesa. Ten potrząsnął głową; generał rzucił kilka soczystych przekleństw, a jego twarz zachmurzyła się. — Nie podoba mi się to — powiedział. — Charliss nigdy nie zwoływał całego dworu bez uprzedzenia. Najpierw zamknął się z posłańcem czy też informatorem, a teraz zbiera cały dwór. Już nie działa rozsądnie; jedynie stu małych bogów może wiedzieć, co

wyciągnie z nieważnych plotek. Jeśli coś słyszał...

— To nie o nas — odparł gładko Melles. — Nam idzie doskonale, a praworządni obywatele Imperium cieszą się z naszej władzy i cesarza. Spójrz na raporty, spójrz na ulice! A przecież to on podpisywał każdy edykt i zmianę w procedurach, które własnoręcznie wprowadzaliśmy. Cokolwiek słyszał, chodzi o działania kogoś innego, nie nasze.

W tej chwili pojawił się cesarz Charliss w ceremonialnych szatach; szedł powoli w kierunku Żelaznego Tronu, mając dwóch strażników po bokach i czterech innych za sobą. Melles był wstrząśnięty jego widokiem, jakkolwiek wątpił, by ktokolwiek oprócz dobrze wyszkolonego adepta mógł zauważyć zniszczenie, jakim uległy tarcze ochronne i zaklęcia odmładzające Charlissa. Widać to było w drobiazgach — ostrożnym poruszaniu się, brzdach wrytych przez ból wokół oczu i ust — ale Melles widział jasno, iż Charliss przegrywa osobistą walkę z wiekiem i magicznymi burzami. Jak powiedział Thayer — jedynie stu małych bogów wiedziało, co działo się z umysłem cesarza.

W przeszłości umysł cesarza poddawał się ostatni; wszyscy cesarze-adepti zachowywali pełnię władz umysłowych aż do chwili, kiedy ich oczy zamknęły się po raz ostatni. Ale było to w czasach, kiedy magia działała prawidłowo; a jeśli działo się odwrotnie i umysł Charlissa starzał się szybciej niż ciało? Jeśli trucizna wieku wsączała się do mózgu, wywołując podobne skutki jak zdradzieckie medykamenty?

Cesarz zmierzył władczym spojrzeniem dwór, potem usiadł w zimnych objęciach Żelaznego Tronu i znów przyjrzał się zgromadzonemu, jakby szukał oznak buntu. W końcu skinął ręką; spoza zasłony straży wysunął się ogorzały mężczyzna, który zszedł po stopniach, by stanąć poniżej tronu.

— Jeden z naszych agentów powrócił z zachodu — powiedział cesarz zgrzytliwym głosem. — W tym czasie przed nasz tron przynoszono petycje i pytania. Niektórzy z was wątpią, czy uczyniłem mądrze, mianując drugiego następcę, twierdząc, iż plotki dotyczące Bezimiennego są tylko plotkami i powinniśmy poczekać na dowody, zanim cokolwiek postanowimy. Zgromadziliśmy was tutaj, byście wysłuchali tego raportu i przekonali się, iż dlatego cesarz rządzi wami, że jest od was mądrzejszy.

Mężczyzna wystąpił naprzód i przyklęknął przed tronem na jedno kolano, po czym monotonnym i pozbawionym emocji głosem zaczął recytować raport. Nie zawierał on właściwie żadnych nowości; Melles wiedział już o tym wszystkim i nie słuchał go zbyt uważnie. Owszem, nie zdawał sobie sprawy, że Tremane aż tak dokładnie, do gołych ścian, ograbił imperialny magazyn w Fortallan; Melles musiał przyznać, że było to wielkie zuchwalstwo. Jednakże trudno by to nazwać nowiną. Sam Charliss wiedział o tym wcześniej, zresztą mówił o tym publicznie podczas mianowania Melleśa nowym następcą. W słowach mężczyzny nie było nic, co usprawiedliwiłoby formalne zwołanie całego dworu.

Właściwie dziwne było już to, że Charliss poczuł się zobowiązany wspomnieć o petycjach i prośbach nielicznych dworskich przyjaciół Tremane'a. Dotąd zawsze je ignorował. Takie zachowanie nie było w jego stylu, tak jak nie pasowało do niego wysłuchiwanie raportu, który zapewne słyszał już kilkakrotnie. Najwyraźniej jednak Charliss był podekscytowany tym, co słyszał, a jego poruszenie rosło z każdym słowem agenta.

W końcu mężczyzna zaczął przekazywać nowe informacje — powtarzając przemowę, którą Tremane rzekomo wygłosił do swych oddziałów, wymierzona najwyraźniej przeciwko cesarzowi. Melles był przekonany, iż agent wiernie oddawał jej treść, między innymi dlatego, że wciąż zaglądał do notatek w małym notesie, który wyjął z torebki przy pasku.

Kiedy Melles odkrył prawdziwy powód poruszenia cesarza, z wielką uwagą zaczął przysłuchiwać się przemowie. W miarę jak mężczyzna mówił, Charliss coraz silniej zaciskał dłonie na poręczach tronu i ze zmrużonymi oczami pochylał się do przodu; z całej jego postaci przebijała zimna wściekłość. To był problem; dawniej Charliss nigdy nie okazałby gniewu, ale to już nie był ten sam cesarz, co dawniej. Jeśli w obecności poddanych tracił panowanie nad sobą, kwestionowało to jego kompetencje. Gdyby podważono jego autorytet, również wybór następcy mógł zostać poddany w wątpliwość. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował teraz Melles, był dwór skłaniający się ku obaleniu cesarza i wybraniu nowego następcy, z którym łatwiej będzie można żyć.

Podobno Tremane oskarżył cesarza o złamanie uświęconych przysięg, jakie składał armii. Uznał, iż to on wywołał magiczne burze, przeprowadzając szalony eksperyment z bronią masowej zagłady. Powiedział swym podkomendnym, że Charliss umyślnie wysłał ich na teren rażenia tej nowej broni, by sprawdzić, co się z nimi stanie. Potem zaś — według niego — opuścił armię, zostawiając ją z magicznymi burzami i oddziałami wroga, bez zapasów, żywności i posiłków. W końcu uznał, iż będą musieli sami sobie radzić, gdyż Imperium już nie interesował ich los.

Mocna przemowa; sam Tremane mógł w to wierzyć. Oczywiście, nie znając pewnego źródła pochodzenia magicznych burz, łatwiej można było założyć, że powstały one na terytorium Imperium niż w małym i nic nie znaczącym państewku Valdemar. Imperium miało za sobą wieki tradycji używania magii, zaś Valdemar, z tego, co było wiadome, nie korzystał z niej w ogóle. Logicznie było przypuszczać, iż magiczne burze wynikły z magicznych walk prowadzonych w Imperium. Charliss rzeczywiście posiadał taką broń i mógłby jej użyć. Cesarz często wykazywał się taką bezwzględnością; teraz zaś jego wściekłość mogła wpływać z faktu, iż oskarżono go o coś, czego nie uczynił.

Wtedy agent przekazał prawdziwą nowinę. Grupa współpracujących magów z jego oddziału zdołała rzucić na Tremane'a zaklęcie obserwacyjne, które działało do pojawienia się ostatniej burzy. Poza przemową zdobyli kolejny dowód perfidii

Tremane'a: pokój zawarty z Valdemarem i jego sprzymierzeńcami, a wymierzony przeciwko Imperium. Tremane dołączył do sojuszu i wkrótce miał zostać koronowany na króla Hardornu, kraju, który miał podbić dla Charlissa. Jednym zaś z warunków postawionych przez Hardorneńczyków było złożenie obietnicy, że Tremane i jego ludzie, żołnierze Imperium, będą bronić Hardornu przed dalszymi próbami najazdu i podboju przez Imperium.

W tej chwili Charliss nie wytrzymał, przerywając recytację w połowie zdania. Melles i Thayer wymienili zaskoczone spojrzenia, gdyż żaden z nich nie widział dotąd, by cesarz reagował w tak nieopanowany sposób. Kiedy tylko Charliss prze-rwał, by złapać oddech — dzięki jego słabej kondycji fizycznej nastąpiło to już po kilkunastu przepelnionych wściekłością słowach — weszli do niszy i stanęli po jego bokach.

— Ja zajmę się Tremane'em, lordzie cesarzu — odezwał się Melles, zanim Charliss znów zdołał się odezwać. — Po to mnie wybrałeś. Wierz mi, będzie żył tylko tak długo, by pożałować tego, co zrobił.

— A ja zajmę się zdrajcami, którzy związali z nim swój los — zgrzytnął zębami Thayer. — To wojownicy Imperium będący pod moją komendą i dlatego ich egzekucji dokonają imperialne ręce.

Charliss, wciąż z wściekłością na twarzy, spojrzał na nich i zaczął się podnosić.

Melles znów wymienił spojrzenie z Thayerem i ruchem głowy wskazał boczne drzwi prowadzące do apartamentów cesarza. Thayer kiwnął głową; chwycili cesarza pod ramiona, by pomóc mu wstać.

— Cesarz pragnie przedyskutować z nami właściwą karę dla zdrajców — odezwał się Melles głośno, kiedy Charliss podniósł się i stanął pomiędzy nimi. Nie była to najlepsza odpowiedź, ale lepsza niż jej brak i o wiele lepsza niż pozostawienie dworzan w niepewności, by nie spróbowali działać sami. Zanim Charliss zdołał coś dodać, zaczęli go prowadzić, a kiedy już zwrócił się we właściwym kierunku, szedł dalej, aż znalazł się we własnych, ponurych i wysokich, wyłożonych szarym marmurem komnatach. Straże mądrze nie usiłowały im przeszkadzać. Być może wiedziały, że skoro Charliss dał się ponieść furii w obecności ludzi, nie przyniesie to pożytku nikomu oprócz plotkarzy.

Jednakże kiedy tylko Melles i Tayer usadzili cesarza na krześle, w zaciszu prywatnych komnat, znów wybuchnął wściekłością, którą powstrzymali w sali tronowej.

Charliss syczał, pluł, bił pięściami w skórę oparcia, a gdyby miał siłę wstać na nogi, zapewne chętnie by czymś rzucił. Na jego zwiędłych ustach pojawiła się piana, źrenice oczu były rozmyte. Strażnicy stali nieruchomo przy drzwiach, patrząc prosto przed siebie.

Większość z tego, co mamrotał, nie miało sensu; z bezlitosną jasnością widać było, iż Charliss całkowicie stracił swoją godną podziwu samokontrolę i zdolność

myślenia. Gdyby nie to, że z powodu wielkiej złości nie mógł zapanować nad głosem, jego krzyki powiadomiłyby wszystkich mieszkańców Skalnego Zamku, jak bardzo przestał nad sobą panować.

Ale z powodu wściekłości i kiepskiego stanu fizycznego cesarz nie mógł zbyt głośno krzyczeć, poprzestając na chrapliwych jękach. Ku uldze Mellesa nie zdołał również wstać z krzesła, by chodzić — albo zniszczyć wyposażenie komnaty, jak to się już raz czy dwa razy zdarzyło. Mógł jedynie bezsilnie bić pięściami w wyściełane krzesło, obrzucać klątwami imię Tremane'a i jego rodzinę aż do pokoleń z czasów pierwszego cesarza.

Melles i Thayer na przemian starali się uspokoić cesarza, składając obietnice zemsty i wymierzenia imperialnej sprawiedliwości, choć żadne z tych obietnic nie miały zbyt dużych szans na spełnienie. Agent jasno dał do zrozumienia, iż w szeregach Tremane'a nie pozostali już „lojalni” obywatele Imperium — z takich czy innych powodów wszyscy poparli swego przywódcę. Teraz jedynym sposobem ukarania Tremane'a byłoby wysłanie magicznego mordercy — a to wymagałoby połączenia sił kilku magów. Biorąc pod uwagę wszelkie inne ważniejsze potrzeby, jakie można było zaspokoić, wykorzystując tę odrobinę magii, nad jaką jeszcze udawało się zapanować, tracenie sił i energii na magiczne morderstwo byłoby wyjątkową głupotą.

Kiedy Thayer odwracał uwagę cesarza, Melles wysłał strażnika po medyków i rozejrzał się wokół w poszukiwaniu czegoś, co pomogłoby uśmierzyć gniew Charlissa — lub przynajmniej go złagodzić. Komnata służyła jako miejsce przyjęć; stały w niej szare lub białe, skórzane krzesła ustawione po kilka sztuk, w kącie zaś biurko z rozjaśnionego drewna, zbyt czyste, by często je używano. Na posadzce z białego marmuru rozrzucono kobierce z wybielonej owczej skóry. Po prawej stronie Mellesa znajdował się marmurowy kredens ze złoceniami, jeszcze bardziej reprezentacyjny niż w apartamencie barona; wypełniały go ozdobne karafki pełne płynów, z których tylko część rozpoznawał. Jak, na stu małych bogów, mógł smakować likier koloru jaskrów czy drugi, przypominający barwą dojrzałe jagody? Albo ten zielony jak trawa na wiosnę?

Czy naprawdę chciał wiedzieć?

Chyba nie. Charliss przywykł do podejmowania pomniejszych władców podległych krain; zapewne trzymał u siebie zapas wszelkich diabelskich napitków, jakie tylko mógł wymyślić ubrany w surowe skóry barbarzyńca pod nazwą „czegoś do picia”. Przez te lata Melles miał kilka razy sposobność spróbowania takich napojów i nie miał ochoty ponawiać tego doświadczenia z którymkolwiek z nich. Niektóre rzeczy nie są przeznaczone do tego, by człowiek je poznał. . . lub pił.

Poprzez uważne obwąchanie każdej w miarę normalnie wyglądającej butelki Melles znalazł karafkę tej samej mocnej brandy, jaką sam wypił przed pójściem na formalne zebranie dworu. Nalał znacznie większą porcję niż ta, jaką sam wypił, po czym zaniósł ją cesarzowi.

Charliss chwycił ją w zakrzywioną szponiasto dłoń i wypił bez mrugnięcia okiem, po czym rzucił szklanką przez całą komnatę. Szklanka uderzyła w ścianę i rozbiła się, zostawiając na białej posadzce okruchy szkła i kilka kropli rubinowego, podobnego do krwi płynu.

Melles uniósł brwi, zwracając się do Thayera z niemym pytaniem; ten jednak potrząsnął głową. Najwyraźniej generał uważał, iż panuje nad sytuacją i nie musi jeszcze przekazywać opieki nad cesarzem Mellesowi. Melles kiwnął głową, nalał dwa kieliszki wina — jeden dla siebie, drugi przyniósł Thayerowi — po czym stanął z boku, czekając, aż generał będzie go potrzebował.

Przymusowa bezczynność dała mu mnóstwo czasu, aby przemyśleć raport imperialnego agenta. Tremane wykazał się większą inteligencją i inicjatywą, niż Melles kiedykolwiek by przypuszczał — ogólnie rzecz biorąc, był pod wrażeniem. Nigdy nie zdołałby przeciągnąć żołnierzy na swoją stronę, gdyby nie udało mu się ich przekonać, iż to cesarz ich opuścił. Było to mistrzowskie wykorzystanie dwóch przeciwstawnych tendencji. W dodatku udane zawarcie pokoju z sojuszem i nakłonienie tych samych ludzi, z którymi walczył, by uczynili go swym władcą — cóż, to był niemal cud. Melles dałby dużo, by dowiedzieć się, jak Tremane zdołał to osiągnąć.

Mimo zacieklej nienawiści do Tremane'a — najchętniej widziałby go ciągniętego za koniem, a potem poćwiartowanego, wszystko zaś w ciągu jednego długiego obiadu — Melles zdawał sobie sprawę, iż na miejscu księcia postąpiłby dokładnie tak samo. Do słabości Tremane'a nie należała na pewno głupota. Nie dorównywał błyskotliwością Mellesowi, ale na pewno nie był głupcem. Jednak miał szczęście; wykorzystał wszelkie dane, jakie posiadał, by wyciągnąć rozsądne wnioski. Melles miał dostęp do wszystkich imperialnych dokumentów i wiedział z całą pewnością, iż cesarz przestał przysyłać księciu rozkazy i pomoc na wiele miesięcy przed ograbieniem imperialnego magazynu. Kiedy magia zaczęła zawodzić, Tremane znalazł się na nieznanym terytorium, uwikłany w samotną walkę, otoczony przez wrogów. Bez magii nie miał żadnej przewagi nad przeciwnikiem. Zimowe zawieje uniemożliwiły mu przejście całego kraju, by dotrzeć do Imperium. W takiej sytuacji czego oczekiwał Charliss od Tremane'a? Miał zginąć jak wierny głupiec ze starych kronik? Tacy ludzie wyginęli w czasach pierwszego cesarza, pewnie z powodu swego nierozsądnego postępowania, które zapewniło im przedwczesną śmierć. Przy najlepszych chęciach Charliss nie zdołałby wymyślić lepszej intrygi, gdyby zamierzał pozbyć się wielkiego księcia — oczywiście oprócz polecenia Mellesowi, by z nim skończył.

Mellesowi nie przeszkadzałyby wcale, gdyby Tremane okazał się lojalnym głupcem, lecz chodziło właśnie o to, iż jak większość ludzi ksiączę był wierny tylko do pewnej granicy. Po jej przekroczeniu nie widział powodu, by odpłacać za zdradę lojalnością. Musiał mieć fenomenalne szczęście, gdyż udało mu się odnieść zwycięstwo w sytuacji, wydawałoby się, z góry skazanej na porażkę.

Ale Tremane miał zawsze niewytłumaczalne, niesamowite szczęście. Fortuna uśmiechała się do niego i podwajała efekty jego — trzeba przyznać — kompetentnych poczynań. Częściowo z tego powodu Melles tak go nienawidził.

Pod wpływem napitku cesarz przestał mamrotać; nadal uderzał w poręcze krzesła, ale teraz skupił uwagę na Thayerze, szczegółowo opisując mu straszliwe kary, na jakie miał skazać Tremane'a i jego ludzi, zanim umrą. Generał nie zadał sobie trudu, by mu wytłumaczyć, iż Tremane i jego oddziały znajdują się poza zasięgiem jakiegokolwiek kary nałożonej przez Imperium; z powagą kiwał głową i udawał, że słucha uważnie, choć prawdopodobnie czekał na przybycie uzdrowicieli, zanim cesarz znów wpadnie w szał. W końcu medycy nadeszli; w ciągu jednej chwili przejęli kontrolę nad sytuacją, otoczyli cesarza, podsuwając mu lekarstwa i nalegając, by się uspokoił. Cesarz tracił energię w miarę, jak mocny napój zaczynał działać — w końcu był już w stanie słuchać rad, przyjąć lekarstwa i pozwolić służącym zaprowadzić się do sypialni i położyć do łóżka. Thayer i Melles skorzystali z okazji i uciekli.

Thayer nie miał ochoty na rozmowę.

— Odciągnął mnie od pisania rozkazów przegrupowania dla oddziałów w prowincjach — powiedział Mellesowi bez ogródek. — Muszę je skończyć i rozesłać niezależnie od tego, czy cesarz Charliss ma dla mnie inne zadania.

Melles kiwnął głową, dobrze rozumiejąc, o co chodzi generałowi. Powinni szybko rozesłać jak najwięcej rozkazów, dopóki Charliss był zajęty innymi sprawami. Widać było coraz wyraźniej, iż tracił zdrowy rozsądek. Problem nie polegał na jego szybkim niedołączeniu; gdyby zmarł tej nocy, Melles i Thayer bez trudu przejęliby rządy. Prawdziwy kłopot polegał na tym, że cesarz niedołączał zbyt wolno.

Dopóki nie abdykuje lub nie umrze, imperialne straże dopilnują, by pozostał cesarzem. Był to ich obowiązek; zostali do niego nie tylko wyszkoleni i zaprzysiężeni, ale również magicznie z nim związani. Charliss nie był pierwszym cesarzem, który oszalał w ostatnich miesiącach życia; Imperium przeżyło już takich władców i rządy szaleńca w obecnej sytuacji były najmniejszym problemem. Na razie obsesje cesarza były dość nieszkodliwe. Dopóki należało na zniszczenie Valdemaru i ukaranie Tremane'a, Melles był zadowolony. Chwilowe przerwy w pracy to niska cena za zajęcie cesarza drobiazgami i odsunięcie go od rzeczywistej władzy. Charliss był adeptem, posiadał cały korpus magów pracujących tylko pod jego rozkazami — i było całkiem prawdopodobne, że jeśli zdecyduje się zrezygnować z podtrzymywania zaklęć przeciwdziałających starzeniu, zdoła znaleźć sposób na zniszczenie Tremane'a lub Valdemaru — albo i jednego, i drugiego. Tak potężna magia zapewne zabiłaby większość jego magów i jego samego, ale tego należało się spodziewać — Melles nie przejąłby się tym w najmniejszym stopniu. Nie zamierzał się przejmować kimś przebywającym tak daleko poza zasięgiem jego wpływów jak Tremane, a Valdemar leżał jeszcze dalej.

Prawdziwym zagrożeniem dla Mellesa i tego, co chciał osiągnąć, była możliwość odzyskania przez Charlissa zdrowych zmysłów i wtrącanie się w plany barona. To oznaczałoby niemal katastrofę, gdyż cesarz miał własną sieć agentów i szpiegów, rywalizujących z agentami Mellesa — i wkrótce dowiedziałby się o tym, co Melles robi — jawnie i skrycie. Oczywiście większość jego działań wypływała z dobrej strategii, lecz mała część planów miała na celu ukazanie cesarza jako łajdaka, a Mellesa jako bohatera — co cesarzowi na pewno by się nie spodobało.

Charliss zapewne ułożyłby własny plan — co nie byłoby złe, gdyby zachowywał przytomność umysłu. Ale tak się nie działo i z biegiem czasu sytuacja mogła się tylko pogarszać. Jeśli zacznie przeszkadzać, może z łatwością zniszczyć wszystko, co Melles i Thayer z takim trudem budowali. Trzeba coś zrobić, by do tego nie dopuścić.

Wszystkie te myśli przebiegły przez głowę Mellesa, kiedy stał z generałem Thayerem w zimnym korytarzu. Powoli pokiwał głową.

— Obaj mamy pracę do wykonania — odparł. — Musimy osadzić naszą strukturę tak mocno, by nic nie zdołało nią zachwiać.

Było to dość niewinne stwierdzenie, ale na błyskawiczne spojrzenie w kierunku zamkniętych drzwi komnaty cesarza Thayer odpowiedział porozumiewawczym mrugnięciem.

— Jacona jest pod kontrolą — odrzekł generał. — Teraz musimy pomyśleć o reszcie Imperium. Za pozwoleniem, idę zająć się moją częścią pracy.

Melles klepnął go w ramię.

— Ja zaś zajmę się moją częścią; w końcu czymże jest Imperium, jeśli nie wojownikami i urzędnikami najróżniejszej rangi?

Generał przytaknął i każdy poszedł w swoją stronę. Melles przyśpieszył kroku, idąc do swej kwatery z mocnym postanowieniem: stworzyć tyle, by nawet najbardziej szalone plany Charlissa nie mogły nic zepsuć.

W komnacie zastał Porthasa, czekającego, by zdjąć z niego niewygodne ceremonialne szaty i podać mu luźne, lamowane futrem suknie i owcze pantofle. Kiedy Melles uniósł brwi na ten widok, Porthas wzruszył ramionami.

— Przypuszczałem, że mój pan będzie dziś pracował do późna i nie będzie chciał, by mu przeszkadzano. Poprosiłem o przyniesienie tutaj posiłku i w imieniu mojego pana odrzuciłem zaproszenie na grę w karty oraz wieczorek muzyczny — to mówiąc, Porthas pomagał Mellesowi zdjąć ciężkie okrycie.

Kiedy Porthas wspomniał o grze w karty i wieczorku muzycznym — drugi oznaczał zapewne towarzystwo żony jakiegoś idioty, jego niezamężnych sióstr i córek z większym lub mniejszym powodzeniem wykonujących popularne balady — Melles zadrżał. Gra w karty nie zapowiadała się zresztą lepiej. Baron poważnie podchodził do gry, a miał całkowitą pewność, że posadzą go obok niezamężnej kobiety, grającej całkowicie bezmyślnie lub zbyt nieśmiało, by odważyć

się na licytację.

— Postąpiłeś słusznie, Porthas — powiedział, kiedy lokaj pomógł mu ubrać się w wygodne, luźne szaty ogrzane na wieszaku przed kominkiem. — Naprawdę mam bardzo dużo pracy.

Dzisiejsze postępowanie Charlissa dodało mu odwagi, by dokonać kilku naprawdę śmiałych posunięć. Długi raport o stanie pozostałej części Imperium już wcześniej zaniepokoił go, ale teraz stało się jasne, że nie ma czasu do stracenia.

Po pierwsze: Imperium; po drugie: dwór. Thayer nie będzie miał roli do odegrania w drugim akcie konsolidacji.

Melles usiadł za biurkiem, położył przed sobą papier i pióro. Jak już wcześniej przewidział, w całym Imperium lokalni przywódcy zabezpieczyli swoje terytoria tam, gdzie to było możliwe. Na terenach, na których sytuacja jeszcze nie została opanowana, wystarczyło tylko wprowadzić rozszerzoną wersję działań ze stolicy; te rozkazy Melles zaczął pisać jako pierwsze. Wersje robocze przed przepisaniem przez kopistów zostaną przesłane do Thayera, by upewnić się, iż nie będą sobie obaj przeszkadzać — jednak było to tylko wprowadzenie na szerszą skalę tego, co już działo się w Jaconie.

Porthas postawił filiżankę grzanego wina z korzeniami obok jego łokcia; do nozdrzy Mellesa doleciał zapach przypraw. Baron odruchowo sięgnął po naczynie i zaczął pić małymi łydkami, trzymając je w jednej dłoni, podczas gdy drugą pisał rozkazy.

Prawdziwym wyzwaniem będzie podporządkowanie sobie lokalnych przywódców, ludzi, którzy stali się przewodnikami wilczego stada na własnym terytorium i nie będą chcieli podporządkować się innemu wilkowi — większemu i silniejszemu. W jakiś sposób będzie musiał ich przekonać o swej władzy i potędze — może nawet większej niż faktycznie — oraz o tym, iż słuchanie jego rozkazów wyjdzie im na dobre.

Jeśli nie uda mu się tego osiągnąć, będzie musiał po kolei się ich pozbyć, choć nie w bezpośredniej walce, a na ich miejsce wyznaczyć bardziej posłusznych.

Odstawił kubek na bok i zastanowił się nad możliwościami wyboru.

Najtrudniejsze będzie pozbycie się ich tak, by nikt nie domyślił się jego udziału i nie dotarł do jego osoby. Usunięcie kogokolwiek nie było trudne. To zabójstwo bez zostawiania śladów i znaków wskazujących sprawcę stwarzało trudności. Ludzie inteligentni, spostrzegawczy i wystarczająco uzdolnieni zdarzali się rzadko, ale potrafili zepsuć wszystko — i układając plany, trzeba było liczyć się z tym, że śledztwo będzie prowadził właśnie taki pies gończy, choć szansę na to były niewielkie.

„Jak w kartach, pojedynkach i ryzykownych sportach: bierz pod uwagę szansę, ale przemyśl stawkę”.

Wziął do ręki raport, przekartkował go, po czym znów przejrzał listę przywódców i ich pobieżne charakterystyki. Miał dobrych agentów, więc ze szkico-

wych opisów mógł z niejakim prawdopodobieństwem wywnioskować, kto będzie skłonny do współpracy, a kto nie. Miał też krótką listę zabójców rekrutujących się z „agentów specjalnych”, mistrzów w swym fachu, wyglądających jak ofiary wypadku lub choroby. Przerzucenie ich na miejsce, biorąc pod uwagę warunki, będzie trudne, ale nie niemożliwe. Z pomocą armii powinien w ciągu kilku tygodni zdołać przetransportować człowieka.

Dobrym pomysłem może okazać się natychmiastowe przydzielenie do najbardziej prowincjonalnych idiotów z wybujałym poczuciem własnej ważności najlepszych agentów, zamiast marnowania czasu na próby przekonania ich. Jeśli atak nastąpi przed jakąkolwiek próbą kontaktu z danym głupcem, nikt nie powiąże z nim Mellesa. W ten sposób agent będzie miał możliwość wyboru drugiego celu, jeśli zawiodą próby przekonania kogoś, kogo warto oszczędzić.

Melles zmienił atrament i papier na inne, w specjalnym kolorze, które przekażą agentom, iż ma dla nich zadanie. Oczywiście wysłał do nich banalne pozdrowienia; żaden agent specjalny nie zaufa ważnym instrukcjom przekazywanym na piśmie. Było to dla niego ryzyko, gdyż wielu z tych ludzi było najemnikami, nie związanymi z konkretną osobą. Kiedy usłyszą, co ma im do powiedzenia, mogą mu odmówić; choć dostaną za to zadanie więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek przedtem, dostanie się do celu będzie prawdziwym problemem, biorąc pod uwagę ciężkie warunki. Cóż, był to przywilej specjalistów w swoim fachu, a tacy właśnie byli ci ludzie; nie przekona się artysty, by stworzył arcydzieło, stawiając przed nim sztalgę i grożąc śmiercią. Jednego czy dwóch miejscowych przywódców można by usunąć rękami zwykłych zabójców — jeśli nie starczy agentów takich, jakich potrzebował, będzie musiał tak zrobić.

Jednak byłoby najlepiej, gdyby owi specjaliści uznali zadanie za dość interesujące, by się go podjąć. Byli naprawdę bardzo dobrzy. Melles wiedział o tym najlepiej, gdyż kiedyś sam należał do nich, jak i Porthas; niektórych nawet szkolił w technice. Nie ma nic lepszego niż odnowienie starych szkolnych znajomości. . .

Kiedy pisał listę „zaproszonych”, przyszło mu do głowy, że wie, jak spełnić żądanie cesarza i sprowadzić Tremane’a przed „oblicze sprawiedliwości”, pod warunkiem, że owa sprawiedliwość nadejdzie jako szybkie, pewne ostrze lub odpowiednia dawka trucizny. Specjalistów-zabójców było trzech — czterech, licząc Porthasa, choć jego talentu nie zamierzał się pozbawiać, któryś z nich mógłby pojechać do Hardornu i usunąć Tremane’a. Skoro nie wchodziło w grę zabójstwo magiczne, zwykłe morderstwo zajmie rok lub więcej, ale było to możliwe.

Przez chwilę zastanawiał się nad tym, choć pomysł nie wydawał się najlepszy. Gdyby udało mu się zabić księcia, miałby dużą satysfakcję. Jak temu człowiekowi udało się wkraść w łaski Hardorneńczyków? To niesprawiedliwe, że stary wróg znalazł się w sytuacji, z której nie powinien wyjść żywy, po to, by następnie zostać królem. Owszem, zapewne nigdy nie ujrzy domu, a Melles zostanie nie zwyczajnym królem, ale cesarzem. Mimo to była to niemiła perspektywa. Dobrze

byłoby pokrzyżować mu szyki.

Porthas zabrał filiżankę, na jej miejsce postawił drugą, a obok niej talerz z krojonym mięsem, chlebem i serem. W ten sposób dał Mellesowi do zrozumienia, że powinien coś zjeść. Ten zrozumiał aluzję i zjadł, nie czując nawet smaku potraw.

Rozważył wszystkie okoliczności. Zakładając, iż posłany agent będzie doskonały, zręczny i wyposażony we wszelkie niezbędne środki, szansa na osiągnięcie z Imperium kogoś w centrum Hardornu była niewielka. Sukces był jeszcze mniej prawdopodobny, gdyż bez pomocy magii umożliwiającej przyjrzenie się ludziom i otoczeniu ofiary agent będzie działał na nieznanym terenie, zupełnie nie znając warunków. Będzie się odróżniał od wszystkich jak czerwona ryba w ławicy zielonych ryb.

W pewnym sensie można było współczuć ogarniętemu obsesją cesarzowi. W tej chwili Tremane nie powinien już żyć. Na ogół Melles nie poddawał się emocjom, ale tym razem na dnie żołądka czuł ukłucia gniewu, które przyprawiały go o nerwowe skurcze, jakby połknął żmiję. Chciał śmierci Tremane'a — chciał go dostać za wszelką cenę.

Jednak już wtedy, kiedy sam był agentem, wiedział, że po przekroczeniu pewnej granicy wyznaczony cel przestaje się opłacać, niezależnie od próśb i ofert pracodawcy. To był właśnie jeden z takich przypadków.

Wstał zza biurka i nalał sobie kolejny napój, chwilowo ignorując grzane wino. Tym razem nie była to brandy, lecz kordiał nie zawierający alkoholu, jedynie gęsty syrop i zioła uśmierzające skurcze żołądka i jelit. Wrócił do biurka, usiadł wygodnie na krześle i starał się przekonać swe serce o tym, co umysł już wiedział — o faktach.

„Kiedy wróg jest martwy dla świata, w którym mieszka, równie dobrze może rzeczywiście umrzeć”.

Kiedyś usłyszał to od nauczyciela; było to prawdą zarówno wtedy, jak i teraz. Tremane równie dobrze mógłby umrzeć: jego dobra skonfiskowano, imię wymazano z rejestrów, nigdy nie będzie mógł wrócić do Imperium. Będzie musiał zadowolić się małym królestwem w kraju barbarzyńców.

Pogoń za Tremane'em oznaczała marnotrawstwo środków, których w tej chwili bardzo brakowało — a zwłaszcza dobrych agentów. Nie było sensu tracić dobrego podwładnego, który lepiej mógłby służyć Mellesowi gdzie indziej. Nadszedł czas, by wraz z imieniem Tremane'a pogrzebać zemstę. Nie ma powodu podążać za cesarzem w szaleństwo.

Każde przejście magicznych burz odczuwali wszyscy, którzy rościli sobie jakiegokolwiek pretensje do talentu magicznego. Zdarzyły się nawet grabieże w biały dzień, zaplanowane tak, by wypadały w dzień burzy, kiedy właściciel domu był unieruchomiony. Burze w dzień siały dość zamęt, ale jeśli zdarzyły się nocą, kiedy wszyscy spali, powodowały jeszcze gorsze skutki, gdyż przenikały do snów ludzi, zamieniając je w koszmary.

Melles obudził się zlany potem, z palcami kurczowo wczepionymi w koc, ze snu, w którym przemierzał pustą przestrzeń. Jednak jawa nie okazała się lepsza. Melles leżał bezwładnie w pościeli, z ponurą jasnością uświadamiając sobie to, co stało za snem: całkowita dezorientacja, zawroty głowy, uczucie, że jest się na krawędzi utraty przytomności, jednak bez ulgi, która to przynosi — tak odczuwał magiczne burze. Był głęboko wdzięczny, iż Porthas ani strażnicy nie byli magami i nie czuli tego samego.

Mimo wszystko jego cierpienia podczas magicznych burz nie były tak straszne, jak innych magów, których znał, choć nie odważył się zapytać cesarza, jak on to znosi. Według stworzonej przez Mellea teorii natężenie odczuwania skutków burz było wprost proporcjonalne do ilości magii, jakiej używał mag w przerwach pomiędzy nimi. Jeśli zaklęcie było związane z tym, kto je rzucał, a burze zakłócały działanie magii, wydawało się logiczne, że jednocześnie uderzały w maga. Dlatego Melles starał się nie używać magii; nie odnawiał nawet zaklęć odmładzających, kiedy te załamały się po burzy.

Kiedy burza w końcu przeszła, a z nią zawroty głowy i mdłości, Melles puścił kołdrę i usiłował odprężyć się na swym materacu z gęsiego puchu. Przy odrobinie szczęścia po dzisiejszej walce z burzą cesarz będzie jutro „niedysponowany”; przy nieco większym szczęściu jego stan fizyczny i psychiczny pogorszy się. Mieć nadzieję, że umrze, to zbyt wiele, lecz możliwe, iż będzie obłożnie chory.

Byłoby to doskonałe rozwiązanie, gdyż wtedy Melles wystąpiłby jako jego przedstawiciel i przemawiał w jego imieniu. Może udałoby się nawet nastraszyć Charlissa do tego stopnia, aby abdykował i przekazał władzę jemu. Jednak na to lepiej nie liczyć i nie nalegać, gdyż takie propozycje cesarz mógłby bardzo źle przyjąć. Jednakże było to piękne marzenie, z którym Melles niechętnie się rozstawał.

Baron zamknął oczy i usiłował odprężyć się w nadziei, że sen powróci — jednak nic nie pomogło. Nie mógł zasnąć. Otworzył oczy i zaczął wpatrywać się w baldachim nad łóżkiem — lub raczej w ciemność pomiędzy zasłonami. Przez gruby aksamit nie przenikało światło — i tak zostanie aż do rana, kiedy służący odsuną kotary przy łóżku i na oknie, by go obudzić. Teraz, kiedy magiczne ogrzewanie w Skalnym Zamku nie działało, zasłony przydawały się jako ochrona przed przeciągami. Niezbędne stały się także puchowe kołdry, pierzyny i koce. Mimo tego często zdarzało mu się budzić z zimnym nosem.

Melles nigdy nie sypiał twardo ani długo. Według niektórych to nieczyste sumienie lub wspomnienie wielu ofiar nie dawało mu spać, ale prawda była o wiele prostsza. W jego zawodzie sen stanowił niebezpieczną konieczność, czas całkowitego zawierzenia swego bezpieczeństwa innym. Melles przyzwyczał się budzić na najłżejszy szmer; kiedy się budził, jego umysł natychmiast zaczynał pracować, niezależnie od potrzeby. Kiedy zaś obudził się na dobre, z trudem znów zasypiał.

Zaczął się zastanawiać, która może być godzina. Jeśli do świtu zostało niewie-

le czasu, nie warto było starać się zasnąć tylko po to, by znów zostać obudzonym.

Poruszył się; powietrze wypełnił ostry zapach ziół. Porthas rozkazał służącym włożyć je pod pościel na wypadek, gdyby zawiodły zakłęcia odstraszające pchły i inne insekty. Oto kolejny przykład jego umiejętności przewidywania; na ostatnim posiedzeniu Rady widział zapewne, jak niektórzy jej członkowie drapali się i podejrzewał, że powodem były pchły, gdyż ci sami ludzie mieli psy i inne zwierzęta i uparli się zatrzymać je na dworze. Insekty rozprzestrzeniały się szybko, nawet jeśli nie było w pobliżu zwierząt — i trzeba było chronić się przed nimi.

Pchły na dworze! Cóż, to nie jedyni przebywający tutaj krwiopijcy, jedynie najbardziej otwarci. W pewien sposób Melles wolałby mieć do czynienia z pchłami niż z im podobnymi, z którymi codziennie musiał się stykać. To skojarzenie spowodowało, że przypomniał sobie o najpilniejszym problemie: dworze. Zawsze wiedział, że po mianowaniu go na następcę powstanie przeciwko niemu opozycja, ale nie przypuszczał, iż jego starzy wrogowie zapomną o wzajemnych urazach i zjednoczą się przeciwko niemu.

Jedynym pewnym sojusznikiem był Thayer; za nim stała armia, ale nie imperialne straże. Straże odpowiadały tylko przed cesarzem, a ich dowódca, Peleun, nie przepadał za Mellesem. Jak udało mu się wspiąć na tak wysokie stanowisko, zachowując jeszcze złudzenia dotyczące honoru i wierności, Melles nie miał pojęcia — a jednak to zrobił i już zaczynał sprawiać kłopoty. Nie podobał mu się pomysł koronowania na cesarza byłego głównego zabójcy — choć baron miał za sobą długą i wyraźną, choć nie otwarcie uznawaną, linię poprzedników. Peleun wolał Tremane'a, który przynajmniej udawał uczciwość i miał za sobą świetną karierę w służbie cywilnej i wojsku.

Jednak ważniejszy od Peleuna był członek Rady — baron Dirak, odpowiedzialny za imperialną służbę cywilną, dawniej jeden z największych sojuszników Tremane'a. Wciąż otwarcie bronił jego dobrego imienia na dworze i nie zaakceptował wyniesienia Mellesa. Wcześniej miał nadzieję na wydanie swej siostry za Tremane'a i utrata szans na zdobycie władzy napełniła go wielką goryczą.

Każdy z nich mógł sprawić niewielkie kłopoty, ale jeśli obaj połączyliby siły, sytuacja mogła stać się poważna. Jeżeli źródła podawały prawdziwe informacje, starali się również przeciągnąć na swoją stronę członka rady Seraisa, mającego pod sobą poborców podatkowych.

Musiał umocnić swoją pozycję na dworze. Do Żelaznego Tronu byli też inni kandydaci, często z takimi samymi kwalifikacjami, jak on. Ktoś z nich mógł naśleć na niego zabójcę. Peleuna taki pomysł zapewne by przeraził, lecz Dirak mógłby brać go pod uwagę; inni również wiedzieli, jak nawiązać kontakt z agentami specjalnymi z listy Mellesa. Baron nie zdołał dotrzeć do wszystkich, co oznaczało, iż przynajmniej kilku spośród najlepszych mogło się tym zająć. Peleun mógłby wykorzystać swą pozycję dowódcy imperialnych straży, by o każdej porze wprowadzić do cesarza, kogo tylko chciał; w odpowiednich okolicznościach takie po-

słuchanie mogło się skończyć wysłaniem oddziału straży, by aresztować Mellesa. Przy tak nie zrównoważonym stanie umysłu łatwo będzie przekonać Charlissa, że baron nie wykazał należytej gorliwości w próbach schwytania Tremane'a. To wystarczy, aby go aresztować i wyznaczyć nowego następcę.

Gdy zostanie aresztowany, jego wrogowie będą mieli dość czasu, by spreparować takie dowody, jakie tylko zechcą, a Melles nie będzie mógł im przeszkodzić. Oczywiście Porthas mógłby przejąć kontrolę nad sytuacją i działać w jego imieniu, ale on wolał nie liczyć na takie rozumienie własnego interesu. O wiele bardziej prawdopodobne, iż Porthas i wszyscy inni podwładni do zadań specjalnych zapropnują swoje usługi tym, którzy mają większe szansę na wygraną.

W mieście był bezpieczny; w Jaconie panował spokój, a Melles ją kontrolował. Rozkazy i zabójców wysłał z oddziałami Thayera; za kilka tygodni dowie się, czy udało mu się zapanować nad całym Imperium. Teraz, oczekując na wiadomości z terenu, może zająć się jednoczeniem dworu. Tym zaskoczy swoich wrogów: czekając na wyniki poprzedniej fazy realizacji swych planów, zacznie już pracować nad kolejną. Oni zawsze zaczynali działać dopiero wtedy, kiedy widzieli skutki poprzedniego etapu planu. Jednak był to kosztowny sposób działania.

Co do dworu — nie planuje żadnych zabójstw, przynajmniej nie teraz. Zostawi je jako wyjście ostateczne, kiedy nie będzie innej możliwości. Jeśli w ciągu najbliższych tygodni ktokolwiek umrze, choćby zupełnie przez przypadek, Melles będzie pierwszym podejrzanym o rozpoczęcie nieczystej gry. On jednak zawsze używał noża jako narzędzia, a nie celu; do pozycji najlepszego cesarskiego agenta doszedł dzięki takim umiejętnościom, jak szantaż, sprzedaż informacji i oczywiście preparowanie plotek. Aby być skutecznym, nie musiał zabijać. O wiele skuteczniejsze było podtrzymywanie stałej, niewielkiej obawy przed śmiercią w umysłach ludzi, niż zadanie samego ciosu.

Peleun, Dirak i Serais; skupi się na tych trzech, którzy nie kryli się z wrogością ku niemu. Mniejsze ryby zapewne czekały na to, kto okaże się zwycięzcą, a większe, równe pozycją tej trójce, jeszcze otwarcie nie stanęły po żadnej stronie.

Słabością Peleuna było bogactwo — a raczej jego brak; dowódca straży nie znajdował się w dobrej sytuacji materialnej i ostatnio zajął się handlem żywnością. Radził sobie bardzo dobrze, w dużej mierze dlatego, że dzięki swym kontaktom z armią wiedział, czego brakuje na rynku. Armia oczywiście przejęła gildię przewoźników i choć nie czerpała bezpośrednich zysków z przewożonych ładunków, miała spisy transportowanych dóbr, do których Peleun łatwo mógł uzyskać dostęp, zanim pojawiły się same towary. Każde najmniejsze ziarenko musiało przejść inspekcję, ważenie i zostać obłożone podatkiem, zanim wolno je było sprzedać. Trwało to kilka dni, co wystarczało Peleunowi do kupienia tych artykułów, których mogło zabraknąć, zanim ktokolwiek dowiedział się, iż zapasy skończą się przed następną dostawą. To była wielka słabość rynku, gdyż nikt nie wiedział, co dotrze z następnym transportem — poza podstawowymi artykułami.

Nie dało się nawiązać łączności z gospodarstwami i majątkami ziemskimi, raz więc brakowało jabłek, innym razem zaś oprócz nich nie było żadnych innych owoców. Melles musiał jedynie dopilnować, by Peleun dostał nieprawidłowe rejestry — i po kilku tygodniach będzie zrujnowany.

Dirak był bardzo nerwowy, nieśmiały i bał się własnego cienia; może właśnie dlatego wybrał służbę cywilną. Teraz garściami łykał środki uspokajające; na pewno Mellesowi uda się jeszcze bardziej rozstroić jego nerwy.

Co do Seraisa — nie mógł nie wiedzieć, iż jego najłatwiej złapać w pułapkę. Nieco poprawek w imperialnych rejestrach podatkowych i setki tysięcy złotych monet, które — przede wszystkim — nigdy nie istniały, znikną ze skarbcza. Oczywiście „błąd” zostanie w końcu znaleziony, ale zabierze to mnóstwo pracy i będzie wymagało sprawdzenia w pierwotnych zeznaniach podatkowych, a zanim rzecz się wyjaśni, reputacja Seraisa legnie w gruzach. Przy odrobinie szczęścia może okazać się, że Serais zabierał nieco z podatków dla siebie, a kiedy Melles zakończy śledztwo, to również zostanie odkryte.

Jednak to nie wystarczy, by całkowicie podporządkować sobie dwór. Melles będzie musiał podsunąć dworskim malkontentom inny cel niż on sam, podobnie jak to uczynił w mieście. Jednak nie będzie to cel, na który zrzuci winę, lecz cel obiecujący zyski i nagrody. Byłoby bardzo niebezpiecznie zrzucić winę na cesarza, a nie widział sensu w rzucaniu oskarżeń na kogokolwiek, gdyż mogły się one zwrócić przeciw niemu. Nie, wobec panującego na dworze niepokoju zaproponowanie ludziom nadziei i korzyści przyniesie dużo lepsze efekty.

Co się stanie, kiedy zakończą się magiczne burze? Czego dokładnie będzie potrzebować Imperium? Jak ci, którzy zostali tutaj, mogą skorzystać z zakończenia się burz? Jeśli uda mu się wskazać im kierunek — nawet całkowicie złudny — zajmie ich na tyle, że przestaną się nim interesować.

Wreszcie, powinien współpracować z Thayerem w celu umocnienia swojej pozycji. Może uda się sprowokować jednego z trzech potencjalnych przeciwników, by usiłował przekonać cesarza — czemu on się sprzeciwi — do zrobienia czegoś, na co Charliss nigdy by się nie zgodził. Wiarygodne pogłoski, iż cesarz popiera to działanie, zachęcą jednego z nich do wystąpienia. Nalegając na cesarza wbrew jego chęciom, dworak zasłuży — w oczach Charlissa — na opinię sprawiającego kłopoty i potencjalnego zdrajcy.

Melles uśmiechnął się do siebie. A jakie naleganie może wywołać taki skutek, jeśli nie próba obrony Tremane'a?

Poczuł, że powieki robią się coraz cięższe, a ciało odpręża się. Miał plan. Rano zacznie wprowadzać go w życie.

Teraz mógł spać.

Melles uśmiechnął się i wdzięcznie kiwnął głową, kiedy jedna z sześciu niez-

mężnych córek wicehrabiego Aderina zarumieniła się i zadedykowała mu swoją grę na harfie. Przyglądał się jej uważnie, co przyniosło taki skutek, że kiedy pracowicie wykonywała kolejną wersję ogranego przeboju Oczy mojej pani, plątały się jej palce.

Wieczorki muzyczne stanowiły najlepsze lekarstwo na bezsenność, ale obecność na nich była ważna. Jeśli zamierzało się rozpowszechnić wiadomości, takie zebranie było najlepszym do tego miejscem: komnata pełna drobnej szlachty, spragnionej awansu, tak zachłannej na każdy okruch ze stołu wielmożów, iż wysłuchają i uwierzą niemal we wszystko. Nigdy nie będą się starali odkryć źródła nowin, w nadziei, iż ci, z którymi podziela się wybranymi sensacjami, uznają ich za autorów i uwierzą w ich nadzwyczajną bystrość.

Poza tym nikt z nich nie był bezpośrednio związany z Mellesem. Baron nie spotykał się z nimi towarzysko z wyjątkiem takich okazji jak ta — kiedy zmusił go do tego minister protokołu. Nie był z żadnym z nich spokrewniony. Nikt nie miał powodu przypuszczać, iż Melles z jakiegoś powodu miałby im przekazywać informacje. Ogólnie wiadomo było tyle, że baron zjawił się tutaj po to, by obejrzyć córki Aderina jako potencjalne kandydatki na żonę, a nie po to, żeby pogawędzić z jego przyjaciółmi.

Właściwie dziewczęta nie prezentowały się źle. Trzy z nich zachowywały się dyskretnie i skromnie, umiały go zabawić, nie wprawiając w zażenowanie, nie starały się błyszczeć w towarzystwie, ich uroda w zupełności mu odpowiadała, poza tym z uśmiechem ignorowały jego małe ekscesy. Mógł trafić dużo gorzej i wiedział o tym. Zapewne częściowo dlatego minister protokołu zasugerował mu to spotkanie. Ministrowie nieco niepokoiłi się tym, że Melles nie ma jeszcze żony i nie stara się o to. W przeszłości zdarzył się cesarz, który nie wykazywał zainteresowania płcią przeciwną — i kiedy w czasie jego panowania zdarzył się kryzys, który można było rozwiązać poprzez małżeństwo, nie zrobił tego. W rezultacie wybuchła jedna z kosztownych pomniejszych wojen; w tej chwili zaś Imperium nie mogło sobie pozwolić nawet na tanią pomniejszą wojnę.

Oczywiście zawsze mógł uszczęśliwić ministrów, naśladować szóstego cesarza. Nie czując się zbyt pewnie na tronie, a nie chcąc urazić nikogo przez przedkładanie jednej kandydatki nad inne, władca ten wybrał córkę zwykłego szlachcica, dziewczynę przeciętnej urody i bardzo spokojną, po czym wyuczył ją na doskonałą cesarzową. Nigdy nie obraziła nikogo na dworze, gdyż wobec wszystkich zachowywała się z szacunkiem; miała wszystkie cechy, których wymagano od cesarzowej. Nawet jej brak urody działał na jej korzyść, gdyż dzięki temu dla wszystkich było jasne, że cesarzowa zasiada na tronie obok cesarza i spełnia wszelkie związane z tym obowiązki, lecz nic poza tym. Potem, podczas swego panowania, wybrał sobie kilkanaście kochanek, wszystkie o tym samym statusie; wybór tej, którą w danym czasie faworyzował, wiązał się na ogół z wieloma intrygami.

Może to najlepsze rozwiązanie. Jeśli w końcu Melles dla dobra państwa będzie musiał się ożenić — cóż, cesarz mógł się rozwieść i ponownie ożenić w ciągu jednego dnia i jednej nocy, a nic nie znacząca figurantka nie ma rodziny, która by się za nią ujęła. Zapewne taka dziewczyna z radością odejdzie z dworu, kiedy otrzyma bogate uposażenie.

Kiedy Melles złapał się na rozważaniu rozmaitych odmian takiego rozwiązania, przypomniał sobie powód, dla którego się tu znalazł. Miał rozsiewać pogłoski i lepiej zabrać się do tego teraz, zanim obecni wypiją zbyt wiele ponczu, by pamiętać to, co usłyszą.

Pod koniec wieczoru Melles rozpoczął szeptaną kampanię na temat Seraisa i brakujących pieniędzy z podatków, podsunął możliwe korzyści, jakie można będzie odnieść po zakończeniu burz i dał do zrozumienia, iż po koronowaniu na cesarza, będzie faworyzował ludzi z inicjatywą i pełnych pomysłów, a nie konserwatyistów, którzy wierzą w to, co „zawsze działało”. Obecna na spotkaniu pomniejsza szlachta nie miała takiego dostępu do magii odmładzającej jak notable, więc przeciętny wiek zgromadzonych był o wiele niższy niż dworzan. Melles wiedział, że sposobem na zdobycie poparcia tych płotek będzie sugestia, iż nowy cesarz poprze nowe, świeże pomysły. W ten sposób dawał im nadzieję na wolne miejsca na samej górze hierarchii — i na możliwość zajęcia miejsc w radzie i ministerstwach przez tych, którzy dotąd zawsze kryli się w cieniu starych, utytułowanych urzędników.

Był to owocny wieczór. W dodatku Mellesowi udało się odsunąć od siebie wszelkie podejrzenia, jakoby w rzeczywistości cieszył się z upadku Tremane’a, przez udawanie lekkiego rozczarowania „przyjacielem z dzieciństwa”; w ten sposób jeszcze bardziej zaciemnił motywy swego postępowania. Teraz wielu ludzi na pewno uwierzy w trwającą niemal przez całe życie przyjaźń Mellesa i Tremane’a. Kiedy więc baron podsunie przypuszczenie, iż cesarz mógłby wysłuchać prośby o miłosierdzie dla wielkiego księcia, niektórzy podchwycą pomysł ze względu na osobę autora.

Tego samego wieczoru błyskotliwy młody mężczyzna, który swą zręcznością w fałszowaniu i „poprawianiu” ksiąg rachunkowych przyciągnął uwagę Porthasa, został przemycony do urzędu poborcy podatkowego i zaczął pracować nad upadkiem Seraisa. Peleun zainwestował wszystkie oszczędności, a nawet dodatkowe pieniądze, w szynkę, bekon i delikatesowe wędliny, pewien, iż transport, który właśnie przybył z Tival, przywiózł jedynie mrożone ryby. Następnego dnia podwójny ładunek szynki, bekonu i wędlin z Tival zostanie wypuszczony na rynek, a Peleun będzie miał duże szczęście, jeżeli uda mu się zachować dom w mieście.

Co do Diraka, Melles szykował dla niego coś specjalnego. Dirak był nie tylko nerwowy, ale i pobożny — a może raczej przesądny. Miał więc otrzymać mnóstwo złych wróżb, a towarzyszące im pomniejsze pechowe wydarzenia powinny bardziej uwiarygodnić złe znaki. Jeśli w ciągu dwóch tygodni nerwy nie odmówią

mu posłuszeństwa, Melles będzie bardzo zdziwiony.

Baron był tak zadowolony z obrotu rzeczy, że po powrocie wcześniej zwolnił Porthasa. Lokaj czuwał nad przygotowaniem większości niespodzianek zaplanowanych przez niego dla trzech rywali, a teraz wyglądał na nieco zmęczonego — przynajmniej według Mellesa.

— Raz mogę się sam o siebie zatroszczyć — powiedział. — Zamierzam popracować parę godzin, a potem idę prosto do łóżka.

— Nie zgodziłbym się — odparł Porthas, przecierając dłonią oczy — ale jestem bardzo zmęczony. Znam moje możliwości, właśnie dotarłem do ich kresu.

Melles roześmiał się krótko i chrapliwie.

— Dobrze! Zaczynałem już myśleć, że twoje możliwości nie mają granic i zastanawiałem się, kiedy zaczniemy rywalizować — powiedział to półzartem; zajmując taką pozycję, trzeba było brać pod uwagę także i taką możliwość.

Porthas prychnął.

— Proszę się tego nie obawiać, lordzie. To na ciebie kieruje się ogólna uwaga, nie na mnie. Mnie bardziej podoba się moja pozycja. Proszę spać czujnie i postawić pod drzwiami dodatkowych strażników. I nie ubierać się, dopóki sam nie wybiorę szat. Nie chcę, aby powtórzył się ten dzień, kiedy wystąpiłeś w szafirowej tunice i szmaragdowych spodniach. Nie przeżyłbym takiego wstydu.

Machnięciem ręki Melles potwierdził, że przyjął radę do wiadomości, Porthas zaś uklonił się i wyszedł.

Wiedząc, że będzie musiał obejść się bez cichej obecności Porthasa, Melles przygotował sobie na biurku wszystko, czego mógł potrzebować, zanim jeszcze do niego usiadł. Co jakiś czas służący przyjdzie dorzucić do ognia, lecz poza tym Melles — zgodnie z wydanymi rozkazami — zostanie sam, póki nie pójdzie spać.

Pracował pilnie nad kolejnymi rozkazami dla agentów w Jaconie dotyczącymi postępowania z ruchami wolnościowymi oraz podobnymi rozkazami dla podobnych agentów w innych miastach Imperium. Zauważył, że w komnacie robi się coraz chłodniej i miał właśnie zadzwonić po służącego, kiedy ten wszedł z metalowym koszykiem drewna.

Miał wrócić do pracy, lecz coś w postawie młodego mężczyzny obudziło jego czujność.

Ześlizgnął się z krzesła i pochylił w kierunku podłogi, zrzucając ciężką wierzchnią szatę, w chwili, kiedy nóż wbił się w oparcie krzesła i utkwił w nim, rozrywając je siłą ciosu. Melles przeturlał się i stanął błyskawicznie obok kominika, po czym chwycił pogrzebacz. W tym samym momencie młodzik rzucił drugi nóż, który wy dobył z pochwy ukrytej w rękawie. Melles z łatwością uniknął i tego ciosu, wykrzywiając z pogardą wargi. Nóż w rękawie — to sztuczka dla nowicjuszy. I przeciwko niemu! Co za głupców na niego nasyłano?

— Lepiej nie uciekaj, staruszk — wyszeptał mężczyzna, wyciągając kolejny nóż ukryty na plecach, podczas gdy Melles zwinnie przysiadł. — I tak umrzesz,

więc możesz nam obu ułatwić sprawę.

Staruszek! Za kogo go uważał ten młody idiota? Jednak głupia przemowa — tak melodramatyczna i powodująca stratę oddechu — podpowiedziała Mellesowi z kim ma do czynienia. Przynajmniej raz w roku musiał sobie radzić z podobnymi natrętami: młodzikami, uważającymi się za lepszych i szybszych od starych mistrzów, którzy wykorzystają każdą wymówkę, by się z nimi zmierzyć. Będzie musiał zabić głupca; nie miał wyjścia. Jeśli nie uczyni z niego przykładu, inni pomyślą, że stracił dawną formę i będą go atakować. Zabicie chłopaka dawało szansę na spokój przynajmniej przez kolejny rok.

Jednak ogarnął go również gniew; nie tylko dlatego, że jakiś młody najemnik, źle wyszkolony, nie znający nawet podstaw dyscypliny, uznał za stosowne udowodnić, iż jest lepszy od niego. Nie, chłopak nigdy by tu nie trafił, gdyby nie został wprowadzony przez kogoś, kto służył w pałacu. Czyli został wynajęty.

Tę obrazę niełatwo było znieść. Jak ktokolwiek śmiał wysyłać przeciwko niemu amatora? Czy uznali jego reputację za przesadzoną? Czy uważali, że nie obroni się nawet przed takim chłopcem? Czyżby go lekceważyli?

Cóż, przekonają się, iż niebezpiecznie jest drażnić starego bazyliuszka, który tylko udawał, że śpi.

Melles ruszył na chłopaka, zmuszając go do odskoczenia w tył; w przeciwieństwie do gościa był przyzwyczajony do migotliwych cieni ognia zamiast magicznych świateł. Mijając biurko, przerzucił pogrzebacz do drugiej ręki i chwycił tacę z piaskiem do posypywania pism. Chłopak uważał na pogrzebacz, ale nie na drugą rękę barona. Zanim uciekł poza zasięg rzutu, Melles sypnął mu piaskiem w twarz, a potem rzucił tacą. Chłopak niezręcznie odbił tacę, która uderzyła go i upadła na posadzkę, obsypując go piaskiem.

Dotąd żaden z nich nie czynił hałasu na tyle, by zwrócić uwagę stojących przy drzwiach straży, zaś Melles nie miał zamiaru ich wołać. Jeśli wpadną tu strażnicy, zabiją głupca, zanim on zdoła dowiedzieć się, kto go nastął.

Oślepiiony i obolały chłopak miał jednak w zanadru jeszcze kilka sztuczek; z załzawionymi oczami cisnął sztyletem mierząc w miejsce, w którym przed momentem stał Melles; jedną ręką otarł twarz, a drugą szukał na plecach kolejnego noża. Oczywiście Melles nie stał już tam, gdzie przypuszczał chłopak, lecz padł na ziemię pod linią rzutu noża. Zanim chłopak zdołał go zlokalizować, rzucił się do przodu i pogrzebaczem zadał mu mocny cios w kolano.

Zmiażdżył mu prawdopodobnie część stawu, gdyż chłopak upadł ze zdławionym krzykiem.

— Kto cię wysłał? — wysyczał z gniewem Melles, wstając powoli. W duchu cieszył się, że nie stracił kondycji. Codzienne ćwiczenia z Porthasem okazały się warte poświęconego im czasu.

Chłopak odpowiedział przekleństwem, przetoczył się w bok, by uniknąć kolejnego ciosu, i jednocześnie wy dobył czwarty nóż.

— Niezależnie od tego, co słyszałeś, nie gustuję w takim sposobie spędzania czasu — powiedział chłodno Melles. Do tej pory łyzy wypłukały piasek i napastnik znów zaczął widzieć, choć oczy miał zaczerwienione i zapuchnięte. Melles nie miał zamiaru ryzykować, więc choć chłopak był już częściowo unieszkodliwiony, obserwował go czujnie. Nie zwiżał się na posadzce i nie odrywał wzroku od Mellesa, choć zmiażdżone kolano musiało go straszliwie boleć.

— Proponuję, żebyś powiedział mi, kto cię nastął, a oszczędzisz sobie wielu cierpień.

Chłopak odpełził kilka cali, ślizgając się po gładkiej posadzce, a Melles ostrożnie zbliżał się do niego. Tym razem przekleństwo było nieco bardziej wymyślne. Melles westchnął i potrząsnął głową, kiedy chłopak, przytrzymując się krzesła, wstał. Co chciał przez to osiągnąć? Nie mógł chodzić, noga mu na to nie pozwalała. Jeśli ruszy, zaraz straci równowagę. Czyżby o tym nie wiedział? Czy w swej desperacji gotów był mimo wszystko spróbować, czy też sądził, że uda mu się uciec?

Melles wycofał się, aż do biurka, wciąż obserwując chłopaka. Nie patrząc za siebie, wyciągnął z oparcia krzesła nóż, przez moment ważył go w dłoni. A następnie trafił dokładnie tam, gdzie mierzył: z plaśnięciem nóż wbił się w brzuch chłopaka, który znów upadł, wydając z siebie gardłowy dźwięk, jakby się dławił. Nie zdołał obrócić się na czas, by uniknąć ciosu; jego nóż brzęcząc upadł na posadzkę. Może młody napastnik spodziewał się bardziej zdradzieckiego rzutu. Jeśli tak, świadczyło to o jego głupocie. Rana zadana w brzuch bolała mocniej, a nie zabijała natychmiast.

Melles podszedł do chłopaka i stał nad nim, trzymając w dłoni pogrzebacz. Ten trzymał obie ręce na rękojęści noża, usiłując go wyrwać z rany; oddychał głośno i nierówno, oczy mu mętniały w agonii.

— Kto cię nastął? — zapytał Melles.

Chłopak spojrzał na niego i splunął.

Melles westchnął. Będzie musiał poświęcić mu więcej czasu niż zamierzał, kosztem czasu spędzonego nad rozkazami, ale na to nic nie mógł poradzić.

— Powiesz mi wcześniej czy później — odezwał się, nie mając zbyt wielkiej nadziei na obudzenie rozsądku w aroganckim idiocie, który wciąż nie wierzył, że umiera. — Lepiej będzie, jeśli powiesz wcześniej.

Tym razem chłopak odpowiedział przekleństwem. Melles uderzył go pogrzebaczem w drugie kolano i beznamiętnie zaczął zadawać mu coraz większy ból, by wydobyć informacje, których potrzebował.

Książę Jehan. Idiota o niewiele większym rozumie niż ten, którego najął. I to bez żadnego uzasadnionego przekonania. Czy wchodziła tu w grę zemsta za Tremane'a czy próba osadzenia na miejscu Mellesa innego kandydata do tronu? Nie, Jehan w jakiś sposób ubzdurał sobie, że jeżeli zdoła zabić odpowiednią liczbę kandydatów, sam zasiądzie na tronie, gdyż był kuzynem Charlissa w drugiej linii!

Najwyraźniej myślał, iż najmując zabójców do wykonania tej roboty, odsuwa od siebie wszelkie podejrzenia. Melles nie miał pojęcia, kto według Jehana miałby zostać obwiniony za jego śmierć, ale może przyszły król zabójców dostał listę ofiar w odwrotnej kolejności i zaczął od ostatniego.

Jednym ciosem dobił jęczącego chłopaka, rzucił nóż obok zwłok i wytarł ręce w serwetkę, zastanawiając się nad następnym posunięciem. Ten krok nie wystarczy; Jehan uzna, że udało mu się uniknąć podejrzeń i znów zacznie atakować rywali. Melles z czasem uodpornił się na większość powszechnie stosowanych trucizn, ale nie oznaczało to, iż po dawce toksyny nie rozchorowałby się. W ten sposób straciłby cenny czas, poza tym w czasie jego choroby któryś z groźniejszych rywali mógłby skorzystać z okazji i dostać się do cesarza. Nie, Jehana trzeba naprawdę nastraszyć — niech stanie się przykładem dla wszystkich na dworze, którzy w swej głupocie usiłowałiby go naśladować.

Musiał wykorzystać wszystkie swe umiejętności, by wykonać zadanie — i nie chodziło o wślizgnięcie się do kwatery Jehana, lecz wyjście z własnej tak, by nie zauważyły go strażę. Niania, czuwająca w komnacie dziecięcej, dała się łatwo uśpić igłą umoczoną w truciźnie sprowadzającej mocny sen. Najstarszy syn Jehana, mający nieco ponad rok, usiadł w kołysce i okrągłymi oczami przypatrywał się obcemu, który wyjął go z kołyski i posadził na podłodze. Jednak zareagował tylko gaworzeniem, kiedy nieznajomy dał mu ładne przedmioty do zabawy.

Melles włożył owinięte w zakrwawione prześcieradło ciało do kołyski, na miejsce dziecka, a samo dziecko zostawił siedzące na posadzce i radośnie bawiące się pozbawionymi ostrzy sztyletami, które miały go zabić.

Właściwie był to gest melodramatyczny, ale Melles miał wrażenie, że nic innego nie przyciągnie dostatecznie uwagi Jehana. Rozważał możliwość zostawienia ostrzy w sztyletach, ale wtedy — jeśli dziecko odziedziczyło głupotę po ojcu — zdołałoby się pewnie nimi zabić. Nie byłaby to wielka szkoda dla dworu ani dla świata, lecz ogarnięty bólem Jehan nie zapamiętałby lekcji. Zresztą zabijanie dzieci lub pozwalanie im na zabicie się nie poprawia niczyjego wizerunku.

Melles prześlizgnął się z powrotem do swych komnat, czując zmęczenie i niesmak. Stracił dużo cennego czasu, o tej porze, choć z łatwością usunął prześcieradłem krew z podłogi, zużył do tego całą gorącą wodę. Będzie musiał umyć się w zimnej — dodatkowy punkt przemawiający przeciwko Jehanowi.

Położył się zmarznięty i zły, ale przynajmniej na tyle fizycznie zmęczony, by od razu zasnąć. Może jego mały prezent przyprawi Jehana i kilku innych o bezsenność w ciągu wielu następnych nocy. Nie była to wystarczająca zemsta, ale na razie wystarczy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

— Zadziwiające! — Srebrny Lis potrząsnął głową i odsunął się od kryształu telesonu, odgarniając na ramię swe długie, czarne włosy. — Gdybym tego nie zobaczył, nigdy bym nie uwierzył.

— Całkowicie się zgadzam — zawtórował Karal. W czasie rozmowy kestra'chern z Treyvanem przyglądał się im ponad ramieniem Srebrnego Lisa. Okrągłe kryształowe soczewki umieszczone na urządzeniu przekazywały doskonały obraz głowy i ramion zafascynowanego gryfa. Jego głos zaś dobiegał cicho, lecz wyraźnie z matowoszarego pudełka, na którego powierzchni, w półokrągłym zagłębieniu, spoczywał kryształ. Robiło to nawet większe wrażenie niż zakłęcie poszukujące An'deshy, kiedy odnaleźli wielkiego księcia Tremane.

Korzystali z ulepszanego urządzenia. Nieco majsterkowania, dodatkowe kryształy i lustra w każdym telesonie — zwykle wypolerowane, cylindryczne kawałki szkła, jakie mógłby sporządzić każdy szklarz — pozwoliły uzyskać obrazy i słyszeć głosy dwóch użytkowników. Opis działania mechanizmów znaleźli w odcyfrowanych przez Lyama i Śpiew Ognia notatkach, ale kryształy nigdy dotąd nie zostały zamontowane. Może dlatego urządzenia te leżały na ławkach w warsztacie.

Karal spojrział z tęsknotą na teleson, którego używali właśnie Sejanes i jeden nowych magów heroldów.

— To naprawdę zadziwiające. Chciałbym, żeby do korzystania z nich nie była potrzebna myślmoła.

— Ale ty nie... — zaczął Srebrny Lis. — Przynajmniej jeden z was ma ten dar.

Karal westchnął bardzo cicho. Srebrny Lis spojrział na niego z ukosa z pytaniem w niebieskich oczach, ale to Sejanes odgadł, co się kryje za tymi słowami.

— Zapewne chciałbyś porozmawiać ze swoją młodą damą tak, żeby nikt z nas tego nie słyszał, co, chłopcze? — zapytał bystrze. Karal zaczerwienił się i nie odpowiedział od razu, usiłując znaleźć słowa odpowiednio obojętne, lecz nie będące zarazem kłamstwem.

— Cóż, potrzebujecie tego urządzenia, by dyskutować z magami z Przystani — odparł w końcu, wskazując głową Sejanesa, Śpiew Ognia i mistrza Levy'ego.

— To jest ważne.

— A ty nie. Czy to masz na myśli? — Sejanes popatrzył na niego sceptycznie.

— To, o czym mówicie, jest ważne — odrzekł Karal, wiedząc, iż wszelkie jego stwierdzenia o tym, jak sam mało znaczy, spotkają się natychmiast z kontrargumentami. — Pogawędki z Natoli — nie. Naprawdę nie muszę się dowiadywać, w co wpakowali się nasi znajomi lub kto przeszedł do tylnej izby w „Róży Wiatrów”.

Sejanes nie skomentował tej szczególnej argumentacji. Zamiast tego wymyślił inną odpowiedź.

— Nie będziemy korzystać z telesonu przez cały czas. Według mnie, jeśli tylko istnieje jakiś sposób, nie mam nic przeciwko temu, byś wymienił wiadomości z młodą damą — popatrzył pytająco na Śpiew Ognia, An'deshę i mistrza Levy'ego. Wszyscy trzej potwierdzają kiwnęli głowami.

— Wszyscy wiemy, że oddasz nam teleson, jeśli ktoś z nas będzie choćby wyglądał tak, jakby miał ochotę z niego skorzystać — odezwał się An'desha. — Jeżeli tylko uda ci się wymyślić sposób na uruchomienie go bez nikogo, kto by podsłuchiwał, nie ma powodu, byś nie miał go używać. Nie wyczerpiesz go w ten sposób ani nie zużyjesz.

Phi. Ja umiem myślmówić, Florian też. — Altra z wdziękiem owinał się wokół nóg młodzieńca i spojrzał w górę, na jego twarz. — *Jeśli o to chodzi, również Potrzeba posiada ten dar. Na pewno nie będziemy wprawiać cię w zakłopotanie, prawda?*

— Ognisty kot mówi, że on, Potrzeba i Towarzysz mogą podtrzymywać połączenie dla Karala — przekazał Śpiew Ognia.

Karal już miał zaprotestować, ale zamknął usta, kiedy zdał sobie sprawę, iż przegrał na całej linii. Pozostali z pewnością nie będą przez cały czas korzystali z telesonu; Altra i Florian i tak znali większość jego myśli, więc co za różnica, jeśli poznają i te — a w rozmowie z Natoli nie było nic złego. Poczł gorąco na szyi i policzkach.

— Jeśli wam to nie przeszkadza. . . — odezwał się obojętnie. Jedyłą odpowiedzią było parsknięcie Floriana. Herold w telesonie patrzył i słuchał z uprzejmym zainteresowaniem.

Czy mam później znaleźć Natoli? — zapytał. — *Jeśli przy urzędzeniu nie będzie nikogo, któryś z myślmówców może rozpocząć połączenie do chwili, kiedy Potrzeba, ognisty kot lub Towarzysz przejmą je i będą dalej podtrzymywać.*

To powinno w zupełności wystarczyć — odezwał się Florian do Karala. — *Powiedz mu to, by zdołał odnaleźć Natoli i przystać ją, kiedy tylko magowie skończą.*

— Florian twierdzi, że to dobry pomysł — odpowiedział Karal, usiłując zapamiętać nad rumieńcem. — Dziękuję.

I uciekł, by wyszukać sobie coś do roboty, zanim znajdzie się w kolejnej kłopotliwej sytuacji.

Najbardziej przyteczną rzeczą, jaką mógł zrobić, było zacząć pełnić właściwą dla siebie rolę sekretarza i zacząć komuś pomagać. W tej chwili jedynym, który potrzebował takiej pomocy, był Tarrn. Kyree znajdował się na dole, w warsztacie, starannie opisując wszystkie przedmioty, zanim An'desha i Śpiew Ognia poprzekładają je i rozbiorą na części. Lyam sporządził już szkice ławek; teraz pisał pod dyktando Tarrna. Z wdzięcznością ustąpił miejsca Karalowi, choć ten notował w valdemarskim, a nie w kaled'a'in. Tarrn nie zrobił nawet chwili przerwy, przrzucając myślomę od Lyama do Karala w chwili, kiedy sekretarz dostał tabliczkę i rysik. Karal podrapał się w nos, usiłując powstrzymać kichanie; spacerując po komnacie, podnieśli tumany kurzu. Zadziwiające, jak szybko dostawał się tutaj pył, odkąd otworzyli wejście.

— Dlaczego to robisz, panie? — zapytał Karal, kiedy skończyli opisywać jedną ławkę i przeszli do następnej. — Pytam tylko z ciekawości.

Z kilku powodów — odrzekł kyree uprzejmie. — Później, jeśli chcielibyśmy złożyć inne urządzenie, będziemy wiedzieli, jakie części leżały na jakiej ławce i w jakim porządku. Będziemy również mieli opis historycznych warsztatów, aby w razie potrzeby móc je zrekonstruować. W ten sposób, jeśli z jakiegoś powodu rzeczy leżące na ławkach zostaną pomieszane, będziemy mogli odtworzyć, jakie narzędzia potrzebne były do kolejnych konstrukcji. Nie zawsze udaje się to odgadnąć.

Karal kiwnął głową i zanotował kolejny przedmiot. Wszystko to brzmiało bardzo rozsądnie, ale on nigdy nie pomyślałby o sporządzeniu tak szczegółowych rysunków lub zmierzeniu odległości przedmiotu od krawędzi ławki.

W takiej sytuacji jak ta, młody człowieku, dokumentacja jest zawsze ważna — odezwał się Tarrn. — Im jej więcej, tym lepiej. Jeśli coś poruszymy, zmienimy to na zawsze; może to nieważne, lecz teraz o tym nie wiemy. Chodzi o to, by narysować i opisać wszystko, a znalezione dokumenty skopiować kilka razy.

Karal roześmiał się ku zaskoczeniu kyree.

— Dobrze, że Urtho dbał o porządek, inaczej kopiowałibyście pewnie kleksy z atramentu na równi z diagramami.

Kyree uśmiechnął się szeroko.

Nie po raz pierwszy. Jestem tylko historykiem; skąd mam wiedzieć, co jest diagramem, a co starą plamą z wina? Może ciemnobrązowy pierścień to nie ślad po kubku, lecz miejsce wmontowania soczewek do telesonu?

Lyam, który teraz mógł zająć się sporządzaniem kolejnych kopii dokumentów i notatek odkrytych na ławkach, poczłapał po schodach. W ciągu ostatnich kilku dni Karal ze zdziwieniem odkrywał w sobie coraz więcej wspólnych cech z jaszczurką. Lyam nie narzekał, był spokojny, cierpliwy i niemal w tym samym wieku, co Karal. Podobnie jak Karal, po przybyciu do Valdemaru, nie spodziewał się zostać niczym więcej niż sekretarzem. Zapewne słusznie, ale jeśliby coś się stało Tarrnowi, Lyam musiałby dokończyć zadanie, opierając się na wiedzy uzyskanej

od swego mistrza.

Z drugiej strony z Tarnem pracowało się nieco łatwiej niż kiedyś z Ulrichem, gdyż wymagał on prostszych rzeczy. Karal mógł przewidzieć jego opisy, przyglądając się ławkom, choć kyree podawał wszystko w bardziej zwartej formie niż uczyniłby to Karal. Pomimo aury cichego autorytetu, jaką wokół siebie roztaczał, Tarn nie onieśmiał ludzi tak, jak Ulrich. Ponieważ był o wiele niższy od Karala i wyglądał jak przyjacielski, kudłaty pies pasterski, nie można było czuć się przy nim onieśmionym, niezależnie od jego inteligencji i wiedzy. Z drugiej strony kyree wydawał się zachowywać ostrożność w towarzystwie Karala. Karsyci mieli opinię ludzi bardzo mało tolerancyjnych; zapewne przypuszczał, iż Karal może mieć uprzedzenia w stosunku do czworonogich „narodów”. Oczywiście nie mógł nic wiedzieć o ognistych kotach; poza Karsem niewielu wiedziało o ich istnieniu.

Praca postępowała powoli, lecz systematycznie. Tarn nie pozwolił zabierać rzeczy z ławek oprócz notatek i telesonów wziętych przez Śpiew Ognia. Ponieważ nie było tu niczego, co ktokolwiek mógłby pilnie potrzebować, reszta bez protestów podporządkowała się jego poleceniom. Odtąd codziennie sporządzano szczegółowe opisy i rysunki. Tarn pozwalał usuwać przedmioty dopiero wtedy, kiedy skończył je opisywać, ale nikt nie wiedział na pewno, kiedy kończył poszczególne ławki, więc na razie nikt nic nie ruszał.

W końcu dotarli do ostatniej ławki; Tarn wydawał się bardzo zadowolony z dotychczasowych wyników. Na ławce stało tylko kilka słoiczków wyschniętej farby, kilka pędzli i piór.

To prawdopodobnie ławka skryby — domyślał się Tarn. — Spójrz jaka jest wysoka — jak blisko przodu umieszczono stoiki i otwór na kałamarz. Urtho chyba nigdy na niej nie siedział.

— Wątpię, czy jakikolwiek człowiek to robił — odrzekł Karal, zapisując wymiary na rysunku. — Ta ławka nie ma oparcia, a wszystkie inne sprzęty do siedzenia to wysokie krzesła. Według mnie ktoś, kto z niej korzystał, miał ogon. Siedzenie jest lekko nachylone do przodu i ma z tyłu zaokrąglone wcięcie, więc może zajmował je hertasi. Zapewne osobisty pisarz lub sekretarz Urtho.

Doskonała dedukcja, zapewne masz rację — odpowiedział Tarn. — To dobrze. Lyam będzie mógł używać tej ławki do kopiowania, zamiast męczyć się na posadzce. Cóż, to wszystko, czego stąd potrzebujemy. Czy pobiegiesz na górę i powiesz im, że mogą brać, ile dusza zapagnie? Przy okazji powiedz, proszę, Lyamowi o tym wszystkim i pomóż mu przenieść tutaj jego narzędzia, dobrze?

Tarn bardzo starannie sformułował polecenie, nadając mu kształt prośby, jakby bał się obrazić Karala. Młodzieniec posłuchałby go niezależnie od tego, lecz Tarn zapewne nie chciał go urazić — przecież przez długi czas mieli wszyscy żyć razem. Lyam z radością przeniósł swoje przyrządy z posadzki u góry na ławkę w dolnej komnacie; Karal pomógł mu je nieść. Zgodnie z jego przypuszczeniem ławka bez oparcia doskonale nadawała się dla jaszczurki.

— Tak będzie dobrze — odezwał się Lyam, sycząc z lekka, kiedy sprawdzał łąwkę. — Jest doskonała.

Pędzle nie przetrwały próby czasu; Lyam obejrzał je dokładnie i oświadczył, iż nie nadają się do pisania, po czym zauważył, że w sztuce robienia pędzli nic się zbytnio nie zmieniło. Karal czuł swego rodzaju lęk, kiedy trzymał w dłoni przedmiot używany ostatnio tak dawno temu, jednak Lyam miał rację: gdyby nie wytarte, spłowiałe włosie, pędzel wyglądał tak, jakby zrobiony był tydzień temu.

— Przyznaję się do wielkiego szacunku dla narzędzi mojego rzemiosła — wyznał Lyam. Farba i atrament również zostały uznane za bezużyteczne i odstawione na drugą łąwkę. Lyam z Karalem uprzątnęli łąwkę skryby i urządzili ją tak, by jaszczurka mogła z niej wygodnie korzystać. Karal nie przeoczył faktu, że Lyam ułożył swe pędzle, pióra, stalówki, kałamarze i rysiki niemal tak samo, jak dawno zmarły skryba. Wspólnie pozamiatali i sprzątnęli cały ką, by kurz i pył nie pobrudziły świeżo sporządzonych przez Lyama kopii.

— Ach! — powiedział w końcu zadowolony Lyam, rozprostowując ogon i zakrzywiając krótkie pazury. — Świetnie, dobre oświetlenie i wygodne miejsce! Chyba będzie mi tu bardzo dobrze. Dziękuję, gesten.

— Nie ma za co, naprawdę — Karal przerwał na chwilę, gdyż ponownie uderzyła go zaskakująca myśl, że oto rozmawia po przyjacielsku ze stworzeniami, które można opisać mniej więcej jako rodzaj przyjaznego psa i jaszczurki-sekretarza, w ruinach zburzonej przez magię wieży z odwiecznej legendy. Jego zadumę przerwała jaszczurka, podnosząc w górę pędzel, tak że jego ściemniały metalowy pierścień zabłysnął matowo w świetle.

— Wiesz, jedynie ze względu na miejsce, w którym go znaleźliśmy, ten pędzel jest wart tyle, że starczyłoby na utrzymanie mojej rodziny przez cały sezon. Jednak najwartościowszy jest ze względu na uczucia, jakie w nas budzi.

Kyree spojrział na hertasi z zadowoleniem w oczach, ale nie odezwał się. Lyam trzymał z szacunkiem stary pędzel i mówił dalej:

— Przedmiot z własnego warsztatu Urtho. To historia sama w sobie, Karal, nie mniejsza od pomnika czy świątyni. Historię tworzą nie tylko największe, ale też najmniejsze przedmioty. Przyglądając się budowli, widzimy to, co chcieli starożytni, byśmy widzieli. To ważne, ale o wiele więcej możemy dowiedzieć się z przedmiotów, które były im tak znane, że nie zwracali na nie uwagi. Być może pewnego dnia historycy będą oglądać nasze stroje, pędzle i inne przedmioty codziennego użytku i z nich uczyć się o tym, kim byliśmy!

Teraz wiesz, dlaczego tak lubię towarzystwo Lyama, Karal. To naprawdę brat w duchu! — roześmiał się radośnie Tarn.

— Och! Cóż, tak... Łatwo jest poddać się temu wszystkiemu. Samo w sobie jest cudem, że znaleźliśmy się tutaj — wymamrotał zażenowany Lyam, pośpiesznie odkładając na bok pędzel, który sprowokował go do wygłoszenia przemowy. Karal i Tarn wymienili znaczące spojrzenia. Niezależnie od czasów, gatunków

i kultur, cud historii pozostawał niezmienny.

Karal zostawił Lyama pochylonego nad kolejną kopią starożytnych notatek, które tym razem wyglądały jak projekty biżuterii. Zaoferowałby mu pomoc, ale jego zdolności rysunkowe wystarczały do zrobienia jedynie szkiców ławek i leżących przedmiotów, ale nie skomplikowanych wzorów klejnotów.

Poszedł więc na górę razem z Tarnem, który natychmiast wdał się w dyskusję ze Śpiewem Ognia i An'deshą na temat kolejnej kopii notatek. Śpiew Ognia i An'desha gawędzili swobodnie, przerywając nieoczekiwanie, kiedy słuchali myślmowy Tarrna. Mistrz Levy zastąpił Sejanesa przy telesonie i rozmawiał z kimś, kogo Karal nie rozpoznawał, ubranym w uczniowskie szarości, a nie biel heroldów. Stojący za plecami mistrza i przysłuchujący się rozmowie Sejanes odwrócił się na dźwięk kroków Karala i pomachał do niego ręką.

— Dowiedziałem się od Śpiewu Ognia, że w poprzedniej próbie byłes kanałem energii — powiedział, kiedy Karal znalazł się w zasięgu jego głosu. Stary mag spojrział z wyczekiwaniem; gestem dłoni poprosił go, by odszedł z nim od mistrza, dyskutującego teraz na tematy czysto techniczne.

Karal kiwnął głową, zastanawiając się, czego chce Sejanes.

— Chociaż nie mam pojęcia, czym jest kanał ani co robi, panie — odrzekł. — Chyba po prostu uwierzyłem w to, co mi powiedziano: że działanie kanału opiera się na instynkcie — czuł się bardzo niepewnie, przyznając się tak doświadczonemu magowi do swej kompletnej niewiedzy na temat tego, co sam zrobił. Miał nadzieję, że nie rozgniewał Sejanesa, zajmując się rzeczami, o których nie miał pojęcia.

Mag w zamyśleniu zagryzł wargę.

— To prawda, ale tylko do pewnego stopnia — powiedział w końcu. — Mógłbyś z powodzeniem dalej tak postępować; wiele kanałów woli nie wiedzieć nic o przyczynach swych zdolności. Jednak możesz też nauczyć się pewnych rzeczy, które ułatwią ci zrozumienie tego i może oszczędzą strachu. Jeśli chcesz, mogę cię uczyć; dlatego o to zapytałem. Może dzięki temu po wszystkim będziesz się czuł lepiej.

Karal poczuł suchość w ustach; z trudem przełknął ślinę, czując zimny dreszcz strachu. Jak mógł się przyznać staremu magowi, iż ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było ponowne spotkanie z magią? Z drugiej strony — Sejanes wydawał się rozumieć, jak ciężkie było to doświadczenie; gdyby rzeczywiście zdarzył się następny raz, czy nie lepiej się do niego przygotować?

— Panie, jeśli miałbym wybór — robiłem to dwa razy i wolałbym nigdy więcej tego nie powtarzać. Jednak jeśli muszę, przyda mi się wszystko, co choć trochę pomoże. Zatem muszę skorzystać z twojej propozycji.

Starzec roześmiał się, widząc jego brak entuzjazmu i pogłaskał go po ramieniu, jakby chcąc pocieszyć.

— Nie ma nic złego w takim podejściu — zapewnił. — Sam nigdy nie by-

łem kanałem, ale rozmawiałem z ludźmi, którzy nim byli; zapewne zgodziliby się z twoimi twierdzeniami. Ani trochę cię nie winię. Jednak skoro mamy się uczyć, lepiej zacząć, zanim do reszty stracisz nerwy. Jeśli masz trochę czasu, możemy zacząć już teraz.

Karal wzruszył ramionami z udawaną obojętnością.

— Wolę tego nie odkładać, bo może już za kilka godzin znów będę musiał być kanałem. Biorąc pod uwagę moje szczęście, zapewne bardzo potrzebowałbym wtedy twojej nauki, którą odkładam tylko dlatego. . .

Zatrzymał się, zanim przyznał, jak bardzo jest przerażony, jednak Sejanes odgadł, o co mu chodziło. Przez moment przytrzymał dłoń na ramieniu Karala.

— Mówiłem ci, że nie wstyd się bać, młody człowieku — powiedział cichym, przekonującym głosem. — Kanały operują mocą tak wielką jak adepci, a czasami nawet większą; różnica polega na tym, że kanał jej nie wykorzystuje. Może przez to jest mu ciężej. To moc go wykorzystuje, nie na odwrót. Jaka rozsądna istota oddaje kontrolę nad sobą, jeśli nie jest do tego zmuszona?

Karal zadrżał; nigdy nie chciałby używać takiej mocy. Wolałby nie brać na siebie takiej odpowiedzialności niezależnie od wagi sytuacji.

— To — to chyba prawda, panie. My. . . my od Pana Słońca oddajemy kontrolę Jemu, to nasza wiara. Jednak i tak się czasem boimy, a On pomaga tylko tym, którzy sami usiłują sobie poradzić. Chyba niewiele wiem o samej magii, jeśli o to chodzi.

— Dobrze. Zatem nie masz nic albo bardzo niewiele do zapomnienia. Tak, twoja wiara ci pomoże. — Sejanes skierował się do komnaty używanej jako magazyn, wziął kilka wiaderk i koce, po czym zaprowadził Karala do zacisznego kąta. Usiedli na odwróconych wiaderkach przykrytych kocami; wtedy Sejanes zaczął naukę. Młodzieniec miał niepokojące wrażenie, że znalazł się w sytuacji dobrze znanej, ale jednocześnie zupełnie nowej; mag mówił jak każdy dobry nauczyciel, jakiego Karal spotkał, lecz otoczenie w niczym nie przypominało klas, w których uczyli się kapłani Słońca. Kiedy zamknął oczy, wydawało mu się, że słyszy Ulricha — gdyby nie obcy akcent, podobieństwo byłoby wręcz mylące.

— Magiczna moc, taka jaką ją znamy i rozumiemy, to energia wydzielana przez żyjące istoty w taki sam sposób, jak ogień daje światło i ciepło w czasie spalania drewna — powiedział Sejanes swobodnym tonem, jakby mówił o pogodzie, a nie o potędze zdolnej obalać królestwa. — Energia ta ma tendencje do gromadzenia się i podążania utartymi szlakami. W tym przypomina bardziej płynącą wodę niż ogień.

— A magowie widzą tę moc? — zapytał Karal, choć usta wyschły mu z przejęcia.

— To właśnie czyni człowieka magiem — odparł Sejanes. — Ja widzę moc, kiedy się o to postaram. Niektórzy, jak Śpiew Ognia, muszą się starać, by jej nie widzieć.

Karal spojrział na Śpiew Ognia, który wyglądał tak samo jak każdy inny przystojny Sokoli Brat, i potrząsnął głową. Cały czas widzieć moc... Czy to tak, jakby widziało się przedmioty w dodatkowym kolorze? Czy przypominało to wiry i prądy dostrzegane w czasie pływania pod wodą? Czy zbyt silna moc mogła oślepić jak światło słońca?

— Sama moc zachowuje się zgodnie z regułami — ciągnął Sejanes. — Kiedy wąskie ścieżki, czy też małe strumyki, łączą się w większy, który zwielokrotnia ich siłę, nazywamy je liniami mocy. Linie biegną najczęściej prosto, przynajmniej na krótszych odcinkach — i to właśnie, oprócz siły, odróżnia je od zasilających je strumyczków.

— Czy to ich siła sprawia, że biegną prostym torem? — zapytał Karal.

Twarz Sejanesa rozjaśniła się.

— Nie wiemy na pewno, ale to jedna z teorii — odpowiedział. — To ma sens: mały strumyk płynie bardziej krętym korytem niż potężna rzeka. Przypuszczamy, że po przekroczeniu pewnego punktu moc może przecinać świat, wybierając najkrótszą drogę — a mistrz Levy potwierdzi, że jest to zawsze linia prosta.

Karal kiwnął głową; nic dziwnego, że mistrz Levy i Sejanes tak przypadli sobie do gustu.

— Moc przyciąga moc, więc wcześniej czy później linie się spotykają. W miejscu spotkania dwóch lub więcej linii powstaje tak zwane ognisko, w którym zbiera się moc. — Sejanes spojrział na niego wyczekująco.

Karal zaryzykował następne pytanie.

— Nie może się zbierać w nieskończoność, prawda?

Sejanes wydawał się bardzo zadowolony.

— Nie, nie może — albo zostanie wykorzystana, albo przesączy się do próżni — jednak naprawdę nie wiemy, co się z nią potem dzieje.

Karal przypomniał sobie słowa An'deshy opisującego mu trzecią możliwość, wykorzystywaną przez Sokolich Braci, zwaną przez nich kamieniem-sercem — jednak teraz nie potrzebował dodatkowych komplikacji.

„Najpierw naucz się zasad, potem będziesz się martwić wyjątkami”.

— Teraz opowiem ci o wykorzystywaniu mocy — ciągnął Sejanes. — Magowie mogą używać mocy, którą sami wydzielają, oraz energii istot znajdujących się w ich najbliższym otoczeniu. Mogą również gromadzić moc; takie zasoby mogą być dostępne tylko dla jednej osoby lub dla całej grupy, która wspólnym wysiłkiem stworzyła taki zbiornik — tak długo, dopóki grupa istnieje.

— Dla każdego? — zapytał Karal, mocno zaniepokojony wizją niedouczzonego czeladnika, który mógłby wykorzystać taką moc.

— O nie! — zaśmiał się Sejanes. — Na szczęście brak treningu i doświadczenia ograniczają dostęp do mocy. Powszechnie używane tytuły magów oznaczają poziom, z jakiego mogą oni czerpać energię, a nie ich zdolności same w sobie. Jak zawsze jedni są bardziej uzdolnieni od drugich, ale to już inna sprawa. Czeladnicy

mogą czerpać energię jedynie z własnych zasobów lub z najbliższego otoczenia poniżej linii mocy, wędrowcy z linii, a mistrzowie ze zbiorników. Jeśli mag należy do szkoły, w momencie pasowania na mistrza otrzymuje klucz od zbiornika zbudowanego przez należących do niej magów. Wtedy jego codziennym obowiązkiem staje się uzupełnianie zasobów energii na tyle, na ile zdoła. W końcu, po latach, kiedy zbiorniki napełnia się częściej, niż z nich czerpie, jest w nich tyle mocy, ile mistrzowie potrzebują, ale jest to moc oswojona, jak woda w sadzawce.

— Dlatego, że nie odpływa dalej? — zapytał Karal; Sejanes nagroził go kiwnięciem głowy. — A co z ogniskami?

— To — odrzekł Sejanes z odcieniem dumy — źródło dostępne tylko dla adeptów. Oni nie muszą przejmować się zbiornikami, choć czasami z nich czerpią — zwłaszcza wykonując zadania wymagające finezji, jak uzdrawianie. Adeptci mogą korzystać z owych dzikich źródeł. Im silniejszy adept, tym większe ogniska może kontrolować. Linie mocy trudniej opanować niż zbiorniki lub moc otoczenia, gdyż, jak odgadłeś, jest to energia, którą można nazwać „płynącą”. Ogniska walczą z tym, kto chce je opanować; ich moc przemieszcza się szybko, czasami w kilku kierunkach, jest nieokiełznana i nieprzewidywalna. Czy zrozumiałeś to, co powiedziałem do tej pory?

Karal potwierdził; dotąd wszystko wydawało się dość proste. Może Altra również mógłby mu to wyjaśnić, będąc przypuszczalnie swego rodzaju magiem.

— Na końcu tych, którzy operują magiczną mocą, są kanały — Sejanes skinął Karalowi. — Jak powiedziałem na początku, wspólną cechą wszystkich magów ścieżki życia jest tak zwany w Valdemarze dar magii, czyli zdolność widzenia energii magicznej. Jednak kanały nie mają daru magii lub jest on u nich bardzo słaby.

— Dlaczego? — zapytał Karal.

Sejanes podrapał się po nosie.

— Nie wiem, czy istnieje jakiś powód. Niektórzy przypuszczają, że to częściowo ochrona dla nich, a częściowo przed nimi. Zdolność widzenia magii może zostać zablokowana za pierwszym razem, kiedy kanał podda się przepływowi wielkiej mocy. Jeśli coś wyczuwasz, możesz to wykorzystać, a dla wszystkich będzie lepiej, jeśli ci, którzy mają do czynienia z mocą większą, niż jakikolwiek adept śmiałyby marzyć, sami nie mogą jej używać.

Karal znów pokiwał głową. Jeśli przyjęło się założenie oczywiste dla każdego Karsyty — że podobne zdolności pochodzą od Vkandisa — wówczas taki system zabezpieczeń wydawał się uzasadniony. Vkandis nie umieściłby tak wielkiej mocy w zasięgu ręki śmiertelników, nie nakładając na nich żadnych ograniczeń.

Zresztą mogło istnieć jeszcze inne wyjaśnienie: próba manipulowania taką mocą, zamiast kierowania jej przepływem, mogła mieć tragiczne skutki. Jeśli by magowie, będący równocześnie kanałami, zginęli, zanim zdołali znaleźć partnerów i splodzić dzieci z darem, kombinacja takich zdolności szybko by znikła. Wy-

starczyło przyjrzeć się sytuacji dzieci z darem myślomagii w Karsie. Takie dzieci zabierano od rodziców i od pokoleń palono na stosach — w rezultacie tuż przed przejściem władzy przez Solaris takich „wiedźm” i „demonów” zostało tak niewiele, że w ciągu roku płonęło nie więcej niż pięć stosów z pojedynczą ofiarą na każdym z nich.

Zamyślony Sejanes przyglądał się przez chwilę swoim dłoniom.

— Pomyśl o lejku: jego szeroki koniec zbiera rozproszone krople wody lub drobiny innych substancji, po czym łączy je w jeden mały strumyk. Coś podobnego robi kanał — i mniej więcej w ten sam sposób. Skoro zmusza moc, by przepływała przez niego — przez wąskie gardło, by tak rzec — jednocześnie zwiększa jej siłę i prędkość. Dlatego, aby działać dobrze, kanał potrzebuje kogoś, kto skieruje ku niemu energię, niezależnie od tego, jak bardzo byłaby nieokiełznana, oraz kogoś, kto nią pokieruje po wypłynięciu. Pamiętaj, że kierowanie czymś — podobnie jak zmiana biegu strumienia o kilka stopni — jest o wiele łatwiejsze niż korzystanie z tego.

Oszołomiony Karal kiwał głową, a Sejanes mówił dalej.

— Magia przypomina wodę, Karal, ale jest o wiele bardziej zmienna. Można nią manipulować siłą woli, siłą wrodzonego talentu, za pomocą specjalnych urządzeń i jeszcze innymi sposobami. Woda w zasadzie jedynie moczy przedmioty, jeśli mogą użyć bardzo przybliżonej analogii. Magia może te rzeczy zamoczyć, zamienić w pył, podpalić, zamienić w kamień, ożywić, przenieść w inne miejsce i tak dalej, ale w swojej naturalnej postaci działa stopniowo i subtelnie. Dopiero manipulowanie nią przynosi szybkie efekty. Bez magów magia zachowuje się zgodnie ze swoją naturą.

— Jak rzeka — odpowiedział Karal. — A magowie budują koła wodne, tamy i mosty.

Sejanes wyprostował się, najwyraźniej pod wrażeniem słów młodzieńca.

— Tak — powiedział powoli. — Właśnie o to chodzi. Tak. To właśnie robimy.

Karal przygryzł wargę i dalej snuł domysły:

— A tutaj dawno temu doszło do wybuchu magii, w którego wyniku powstała wyrwa. Odtąd woda — to znaczy magia — powraca, by ją wypełnić.

— Blisko — Sejanes kiwnął głową. — Bardzo blisko. Jesteś bardzo inteligentnym młodym człowiekiem, Karalu. Wracając zaś do tego, czym jeszcze jesteś — kanałem. Z jakichś powodów kanał zbiera przekazywaną mu energię i kieruje nią, formując strumień bardziej uporządkowany i mniej gwałtowny.

— To o to chodzi? — zawołał Karal. — Jestem lejkiem?

Mag uśmiechnął się.

— To tylko teoria — upomniał go delikatnie. — Teraz jednak czas na szkolenie, które pomoże ci powstrzymać się przed stawaniem na drodze, a nawet walką ze strumieniami mocy. Będzie to o tyle ciężkie, że musisz radzić sobie z czymś, co sam wyczuwasz bardzo niejasno. Przypomina to grę w ciuciubabkę z narowistym

ogierem. I wykorzystując to porównanie, dodam, iż nie zamierzam uczyć cię, jak złapać i poskromić ogiera, gdyż taka próba może cię zabić. Pokażę ci jedynie, jak schodzić mu z drogi.

Pod koniec lekcji Karal całkowicie zgodził się z twierdzeniem Sejanesa porównującym kanalizowanie mocy do zabawy z dzikim ogierem. Wnętrze jego głowy było poobijane, choć nie czuł się tak źle, jak za pierwszym razem, kiedy działał jako kanał. Lekcja się skończyła, kiedy Sejanes klepnął go w plecy i stwierdził, że jak na pierwszy raz poradził sobie bardzo dobrze.

— Nie jesteś najgorszym kanałem, jakiego spotkałem, a my używamy ich częściej niż wy na zachodzie — powiedział wesoło stary mag. — Nie wiem, czy ten dar jest bardziej popularny w Imperium, czy też my, tamtejsi magowie, rozleniwiliśmy się i wolimy wykorzystywać kanały niż samodzielnie gromadzić moc, więc specjalnie szukamy tego daru. Ale ty nie jesteś najgorszy, a przecież późno zacząłeś szkolenie; to powinno dodać ci otuchy.

Mierna pochwała, ale lepsza niż żadna — zauważył Altra, owijając się wokół nóg Karala. — *Natoli czeka, żeby z tobą porozmawiać.*

— Skoro przyszedł do nas pan Altra, zapewne twoja młoda dama czeka, aby z tobą porozmawiać — zauważył Sejanes. — Dalej, biegnij. Z czasem nabierzesz wprawy i uodpornisz się; to, co przeszedłeś, okaże się zapewne najgorszą lekcją, jaką musiałeś przeżyć.

Zauważ, że powiedział o lekcji — odezwał się Altra, kiedy młodzieniec wstał i poszedł za nim. — *To jednak nie mówi nic o prawdziwym doświadczeniu.*

Karal również zwrócił na to uwagę, ale wolał się nad tym nie zastanawiać — nie teraz, kiedy w końcu miał ujrzeć Natoli i rozmawiać z nią.

Usiadł na stołku przed telesonem, Altra usadowił się u jego stóp, zaś herold widoczny w kryształach mrugnął i odszedł na bok. Po chwili pojawiła się w nim Natoli.

Wyglądało na to, że doszła do siebie po wypadku z kotłem. Miała nieco dłuższe włosy niż w chwili wyjazdu Karala i patrzyła na niego, jakby zapomniała, po co przyszła. Nagle poczuł się onieśmielony.

— Cześć, Natoli — zaczął niezręcznie. — Wyglądasz na zupełnie zdrową.

Słuchając swoich słów, niemal się skrzywił; czy w taki sposób powinien odzywać się do dziewczyny, którą pragnął pocałować?

— Ty nie — odparła od razu, przyglądając mu się badawczo. — Jesteś błądy i schudłeś. Co się z tobą stało?

Był to tak charakterystyczny dla niej sposób mówienia, że Karal musiał się roześmiać i od razu się odprężył.

— Co do pierwszego, żyjemy pod ziemią i rzadko przebywamy na słońcu. Co do drugiego — czy kiedykolwiek próbowałaś tego, co gotuje Śpiew Ognia? —

wzdrygnął się melodramatycznie; Natoli roześmiała się. — Poważnie. Jemy na ogół to samo, co Shin'a'in; to nie jest złe pożywienie, tylko nieco dziwne.

— A rzadko spotyka się otyłego Shin'a'in — dokończyła gładko. — Tutaj panował spokój, dopóki nie pojawił się Altra z tą zabawką. Oczywiście my, rzemieślnicy, chcieliśmy rozebrać ją na części, ale kiedy powiedziano nam, że ten, kto się odważy to zrobić, zostanie obdarty ze skóry, musieliśmy zrezygnować — uśmiechnęła się. Będziemy próbować skopiować ją na podstawie tych starych manuskryptów. Jeśli nam się uda, jeden egzemplarz wyślemy przez herolda-kuriera do Solaris, a wtedy będziesz się z nią systematycznie porozumiewał.

— Muszę? — zapytał słabo. Nie był jeszcze przygotowany na spotkanie z Solaris. Właściwie nie wiedział, czy będzie do tego kiedykolwiek gotów. Z Jej Świątobliwością niełatwo rozmawiało się twarzą w twarz. Równie trudno było pisać do niej listy; zawsze miał wrażenie, że przygotowuje pismo przeznaczone do odczytania na audiencji.

— Najpierw musimy to odtworzyć — zauważyła i uśmiechnęła się. — Wiesz, bardzo się cieszę, że znów cię widzę. Czasami budzę się w nocy i zastanawiam, czy byłeś tu naprawdę.

Dziwne, ale dokładnie wiedział, o co jej chodzi.

— Trudno brać za rzeczywistego kogoś, kto jest tak daleko — zgodził się. — To tak, jakbym poza twoim umysłem nigdy nie istniał.

Zarumieniała się lekko i spojrzała w bok.

— W każdym razie — ciągnęła zakłopotana — jesteśmy zajęci, choć niczym ważnym. — W jej głosie zabrzmiała nuta żalu. — W tej chwili nie możemy zrobić nic, by ci pomóc, więc powróciliśmy do realizacji starych projektów — mostów i kotłów parowych.

— Nie ma w tym nic złego — odparował. — Przecież tym trzeba się zajmować niezależnie od tego, czy grozi nam katastrofa — zdobył się na krzywy uśmiech. — Jeśli wszystko inne zawiedzie i nie będzie można skorzystać z brodu lub promu, wasze mosty pomogą ludziom przedostać się na drugi brzeg rzeki. To też jest ważne.

Wzruszyła ramionami, ale wyglądała na ucieszoną.

— Przynajmniej to, co robimy, jest pożyteczne — przyznała. — Chociaż to dziwne. Ludzie w Przystani i wokół niej zachowują się bardzo beztrosko: możemy im mówić, ile chcemy, że osłony są tylko tymczasowe, ale oni wydają się wierzyć, iż wytrzymają do końca. Nie robią nic, żeby przygotować się na najgorsze; w ogóle o tym nie myślą. — W jej głosie zabrzmiała frustracja, wyglądała teraz na zniechęconą. — Kiedy się ich zapyta, dlaczego, wzruszają ramionami i albo nie potrafią odpowiedzieć, albo mówią coś głupiego.

— Myślę — powiedział powoli Karal — że zwykli ludzie uważają, że ich nigdy nie spotka nic złego, a przydarzy się komuś innemu.

— Wydawałoby się, że po latach wojen, rozbojów i tym podobnych rzeczy

powinni mieć więcej wyobraźni — odparła zimno. — W każdym razie w ogóle nie chcą się dowiedzieć, co mogliby zrobić w razie nadejścia kolejnych burz; interesuje ich jedynie to, kiedy most będzie gotowy lub czy kocioł znów wybuchnie.

— Mam nadzieję, że zajmujesz się mostami — powiedział, starając się nie okazać zaniepokojenia. — A nie kotłami.

— Właściwie pracuję nad ściskaniem metalu — odparła, mechanicznie przesuwając dłonią po włosach. — Udało mi się uzyskać pewne interesujące i bardzo głośne dźwięki. Chcemy znaleźć bardziej wytrzymałe stopy, ale nie będę cię zanudzać szczegółami. Spędzam część czasu w odlewni. Prace nad kotłem zawieszono do chwili, kiedy uda nam się opracować jego udoskonaloną wersję.

Westchnął i oparł brodę na rękach.

— Nie nudziłoby mnie to, ale nic bym nie zrozumiał — przyznał. — Sejanes próbuje nauczyć mnie ćwiczeń, które pomagają w pracy z magią; zapewne dla ciebie jest to równie niezrozumiałe.

— Zapewne. — Przez chwilę panowała cisza. — Ale mam nadzieję, że... To znaczy, nie chcę, żebyś myślał... — skrzywiła się zakłopotana. — Jeśli robisz coś niebezpiecznego, nie bierz na siebie więcej, niż możesz unieść, dobrze?

Uśmiechnął się.

— Jeśli obiecasz mi to samo — odparł; Natoli roześmiała się.

— Wet za wet, co? Cóż, obiecuję spróbować, ale czasami mój osąd zawodzi.

— Mój też, więc mi potem tego nie wypominaj. — Jego uśmiech przybrał postać ironicznego grymasu. — Nie wszyscy możemy być nieomylnymi Synami Słońca.

— O, nawet Solaris przyznaje się do błędów — zachichotała. — Możesz mi wierzyć lub nie.

— Solaris? — zaśmiał się. — To należałoby odnotować w kronikach, zwłaszcza gdyby przyznała się do pomyłki w osądzie pogańskich barbarzyńców, jak wy.

— Ale tak się stało! — zaprotestowała Natoli; kiedy Karal spojrział na nią z ukosa, na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie.

— Pewnie nikt ci nie powiedział — ani nikomu z was. Nie uwierzysz, co stało się z wielkim księciem Tremane.

W miarę jak opisywała zaskakujący rozwój wypadków w Hardornie, który nastąpił po wyjeździe Elspeth i Mrocznego Wiatru, oczy Karala robiły się coraz większe. Nikt nie uznał, że wiadomości te są na tyle ważne, by przekazać je członkom grupy.

„Pewnie mają własne problemy i nie przejmują się niczym innym! Ale ktoś mógł zawiadomić przynajmniej Sejanesa!”

— Jeden z heroldów oraz jego Towarzysz pojechali do Karsu, i zostali umieszczeni na dworze Solaris — chyba tak to nazywacie.

— Nazywamy to radą — poprawił.

— Dobrze, więc przy jej radzie. Wysłano go po to, by przez swego Towarzysza i Rolana Talii mógł przekazywać wiadomości — zaśmiała się. — Dokładnie mówiąc, był to mój ojciec. Chyba podoba mu się tam. W każdym razie przesłaliśmy jej tę nowinę, a wtedy ona odpowiedziała tak:

„Skoro książę dobrowolnie oddał się w ręce potęg umiejących lepiej ocenić człowieka niż ja, muszę przyznać, że Natoli, An’desha i Karal ocenili go właściwie, a mnie przynajmniej częściowo poniosły emocje”. Co o tym myślisz? — uśmiechnęła się z satysfakcją. Cóż, takie wyznanie Solaris było czymś niezwykłym, zwłaszcza, że wiadomość dotarła do Przystani za pośrednictwem ojca Natoli.

„To niewielka rzecz, ale w ten sposób Natoli udowodniła ojcu, że nie musi być heroldem, by coś osiągnąć” — uświadomił sobie. „Zresztą może udowodniła to także samej sobie”.

— Skoro nie używała liczby mnogiej, mówiła jako Solaris, a nie Syn Słońca — odparł, ale mimo wszystko bardzo się z tego ucieszył ze względu na swych rodaków. Synowi Słońca łatwo byłoby ulec pokusie i zacząć uważać, iż zawsze przemawia w imieniu Vkandisa — co w przeszłości doprowadzało do włączania w doktrynę całkiem osobistych opinii dotyczących drobnych spraw. Solaris chyba udało się zwalczyć pokusę. — Ale to dobrze.

— Owszem — chyba nie wiedziała już, co powiedzieć. — Przez chwilę znów panowała niezręczna cisza. — Pewnie chcesz iść opowiedzieć o tym Sejanesowi...

Chciał, ale z drugiej strony pragnął zostać, choć nie miał już nic do powiedzenia. Milczenie przedłużało się i stawało coraz bardziej krępujące. Natoli spojrzała w bok; jej twarz rozjaśniła się, choć jednocześnie pojawiło się na niej rozczarowanie. — O, ktoś do mistrza Levy’ego. Gdyby Altra mógł podtrzymać połączenie, kiedy pójdziesz po niego...

— Oczywiście! — zawołał, czując to samo, co ona. — Natoli, uważaj na siebie. I... tęsknię za wami wszystkimi.

Nie ośmielił się przyznać do tęsknoty za nią, ale miał nadzieję, że domyśli się tego z jego wahania.

— Ja... my też za tobą tęsknimy, Karal — odrzekła z bardziej niż zwykle nieśmiałym uśmiechem, po czym znikła z kryształu. Karal pobiegł po mistrza Levy’ego, który kiwnął głową i pośpieszył w stronę telesonu z plikiem notatek, jakby już oczekiwał ponownego wezwania.

Karal rozejrzał się wokoło; na górze nie widział Sejanesa. Zaczął nasłuchiwać; po chwili usłyszał głos starego maga dochodzący z warsztatów na dole. Pobiegł po schodach; znalazł Sejanesa gawędzącego z Lyamem, choć Tarna nie było nigdzie widać.

— Panie! — zawołał. — Mam zadziwiające wieści o księciu Tremane!

— Cóż — powiedział Sejanes, śmiejąc się cicho. — Cóż, cóż, cóż.

Wieści, które przyniósł Karal, sprawiły mu wielką radość, choć młodzieniec nie bardzo rozumiał, dlaczego.

„To dziwna reakcja, przecież Tremane nie zachował się tak, jak przystoi oficerowi Imperium”.

— Panie, myślałem, że się zdenerwujesz — odważył się powiedzieć, przechylając głowę.

— Zdenerwuję? Nie, to raczej dobra wiadomość, zważywszy na wszystkie okoliczności — odrzekł Sejanus i znów się roześmiał. — Wydaje mi się, że mój uczeń, po długim czasie, pojął, że czasami jego logika zawodzi. Mówiąc szczerze, bardzo się z tego cieszę. Wyjdzie to na dobre wszystkim zainteresowanym.

Zdziwiony Karal patrzył na maga, czekając na kolejne informacje; Sejanus mówił dalej:

— Cieszę się ze względu na Hardorn, gdyż ten smutny, spustoszony kraj nie mógł znaleźć lepszego władcy — zamrugał i wpatrzył się w odległy punkt w przestrzeni. — Cieszę się, gdyż Tremane nie mógł znaleźć lepszego kraju niż Hardorn. Marnował się w Imperium; ma nieszczęście należeć do najrzadszego gatunku w cesarstwie: człowieka wysokiej rangi, który zachował jeszcze okruszki współczucia i uczciwości. Nie twierdzę, że armia składa się z ludzi bez serca, wręcz przeciwnie. W armii mogłoby mu się wieść całkiem dobrze. Jednak gdyby został cesarzem, nie skończyłby najlepiej: zostałby zjedzony żywcem przez spiskowców, zamordowany lub zdemoralizowany.

— No cóż... — odparł Karal — to całkiem logiczne, ale... — zająknął się, nie wiedząc, jak zadać pytanie, by nie zachować się nieuprzejmie. Imperialni mieli swoją religię, ale pobożnością nie dorównywali nawet przeciętnemu Valdemarczykowi. W porównaniu zaś z przeciętnym Karsytą byli swego rodzaju ateistami.

Sejanus wydawał się rozumieć, o co mu chodzi.

— Nie wszyscy obywatele Imperium są tak pochłonięci sprawami codziennymi, jak ci się wydaje — jego spojrzenie złagodniało na chwilę; mag zdawał się słuchać swego wnętrza. — Ci, którzy najłatwiej mogliby zostać cynikami, nie wierzący w nic, czego nie mogą dotknąć — to dworscy karierowicze. Ci najmniej na to podatni to zapewne ludzie żyjący najbliżej ziemi oraz parający się magią. Mój młody uczeń stał pomiędzy cynizmem a wiarą i mógł wybrać jedno lub drugie. Może jest najrzadszym gatunkiem — widzi prawdę i w jednym, i w drugim.

Karal miał wielką ochotę zapytać, w co wierzy Sejanus, ale czuł, że teraz się tego nie dowie. Może nie dowie się nigdy. Oczywiście Sejanus miał prawo mu nie odpowiedzieć, a pytać go o to byłoby wielkim nietaktem. Jeśli kiedykolwiek będzie chciał, sam mu o tym powie.

— Wydaje mi się, że niezależnie od tego, co się jeszcze zdarzyło, Tremane odkrył istnienie innych ścieżek. Może to otworzy jego umysł również na inne możliwości — przetaił oczy, jakby był zmęczony. — Cieszę się, iż w tym wiązaniu z ziemią jako opiekun wystąpił ktoś z zewnątrz. To powstrzyma go od —

powiedzmy, od poddania się innym pokusom.

— Czy jest aż tak słaby? — zapytał Lyam beztróskim głosem kogoś, dla kogo książę Tremane i jego ludzie byli równie realni, co postacie z tysiącletnich kronik.

„Być może. Kaled’a’ in różnią się od imperialnych tak bardzo, że sobie nawzajem mogą wydawać się nierealni”.

— Nie słaby — poprawił Sejanos i zmarszczył czoło, szukając właściwych słów.

„Usiłuje wyjaśnić charakter Tremane’a parze młodzików, dla których Imperium to tylko nazwa, którzy nawet nie wyobrażają sobie poziomu intryg, jakim ktoś o pozycji Tremane’a musiał stawiać czoło dzień po dniu”. Karal czekał, aż stary mag znajdzie właściwe słowa. „A nie może wiedzieć, iż Świątynia Vkandisa być może nadal jest — a w każdym razie do niedawna była — widownią intryg nie mniej skomplikowanych niż na niejednym dworze. Nie sądzę, by Lyam kiedykolwiek zrozumiał, w jakim napięciu żył na co dzień Tremane — jednak ja to rozumiem. Zastanawiam się, czy książę czuł się czasami zmęczony tym wszystkim i marzył, by życie było prostsze?”

— Nie, nie jest słaby — powtórzył Sejanos. — Kłopot w tym, że pewne nawyki, sposoby reagowania weszły mu w krew. Byłoby zbyt proste powracać do zwyczajów stosowanych w Imperium, nie zastanawiając się nad tym, co jest dobre dla Hardornu. To mogłoby stanowić dużą pokusę: pójść drogą najłatwiejszą, a nie najlepszą dla ludzi i ziemi — zwłaszcza w tak trudnej sytuacji.

Lyam wydawał się zdziwiony, ale wzruszył ramionami, przyjmując to, co mówił Sejanos.

Karal pokiwał głową.

— Naśladowanie sposobu postępowania, do jakiego przyzwyczał się w Imperium, w Hardornie naraziłoby go na duże kłopoty, prawda? — zapytał. — Mogłoby nawet spowodować zerwanie sojuszu, przy czym nie wiedziałby, dlaczego tak się stało. Widzisz, teraz nie ma wyboru; będzie wiedział, co jest najlepsze i będzie musiał tak postępować albo narazi się na ból — i wie o tym. I, co więcej — ciągnął, dziwiąc się nieco temu przyływowi przenikliwości — kiedy ludzie będą wiedzieli, że nie może działać egoistycznie, zapewne szybciej wybaczą mu błędy — jeśli wiesz, o co mi chodzi. Wybaczą mu i zrozumieją jego motywacje.

Sejanos obrzucił go lekko zaskoczonym, lecz aprobującym spojrzeniem.

— Właśnie. A ja bardzo lubię Tremane’a, chciałbym, żeby był tak szczęśliwy, jak tylko może być ktoś obdarzony władzą. Ma silne poczucie odpowiedzialności — a to może być jego życiowa szansa, by pokazać je ludziom, którzy będą potrafili docenić jego opiekę. — Sejanos znów zapatrzył się w dal. — Oczywiście miał swoją posiadłość, ale jej mieszkańcy przywykli do łagodnych rządów. Hardorneńczycy zetknęli się z wszelkimi rodzajami zła, jakie tylko można sobie wyobrazić. To uczyni ich bardziej wdzięcznymi wobec kogoś wyrozumiałego.

Lyam wydał z siebie coś, co przypominało śmiech, odsłaniając bardzo ostre,

spiczaste zęby.

— Chyba będzie musiał podobać czemuś więcej niż tylko władzy. Zmysł ziemi to pan równie zazdrosny, jak poczucie odpowiedzialności.

— Ale zmysł ziemi i jego własne poczucie odpowiedzialności będą współpracować, by razem go prowadzić, a nie ciągnąć każde w swoją stronę i w rezultacie rozerwać na kawałki — odparował Sejanus. — Gdyby doszedł do władzy w Imperium, każdego dnia byłby rozdarty między strachem, obowiązkiem, odpowiedzialnością, koniecznością skutecznego działania i tym, co słuszne. Zapewne doprowadziłoby go to do obłądzenia. Wiem, że zmieniliby się z czasem w kogoś, kogo już bym nie poznał.

Hertasi znów wzruszył ramionami.

— Dobrze więc. Cieszymy się małymi zwycięstwami. Mam nadzieję, że to wszystko mu pomoże, jeśli nie zdołamy powstrzymać burz. Będzie potrzebował wszelkiej mocy, jaką tylko zdoła opanować, by ochronić ludzi, którzy teraz na mego liczą.

— Chyba tak. — Karal wiedział co nieco o zmyśle ziemi, choć posiadali go tylko nieliczni kapłani Słońca. Ten dar bardzo cenili rolnicy na wzgórzach w Karsie, tam, gdzie ziemia była słaba, a pogoda nie do przewidzenia. Jeśli wiedziało się, iż kukurydza tego roku na pewno się nie uda, a koniczyna wjejdzie świetnie, można było się bogacić, podczas gdy sąsiedzi ubożeli. Jeśli zaś podzieliło się swą wiedzą z sąsiadami, można było po żniwach płacić dziesięcinę w towarach, a nie własnymi dziećmi. Tego daru nie uznawano właściwie za demoniczny i jego posiadaczom nie groziło spłonienie na stosie, lecz jednocześnie nie była to rzecz, o której mówiło się kapłanom Słońca. Kapłani Słońca ze swej strony uważali, by o niego nie pytać — i wszystko szło dobrze.

— Zatem kolejne małe zwycięstwo — podsumował Lyam, kiwając energicznie głową, po czym chyba doszedł do wniosku, że czas zmienić temat. — A Natoli, która ci o tym powiedziała — czy to twoja krewna, czy ktoś inny?

Młody Karsyta wolałby nie poruszać tego tematu; poczuł na twarzy gorący rumieniec. Lyam spojrział na niego i natychmiast zrozumiał wszystko.

— Aha — odezwała się jaszczurka nie bez współczucia, kiwając głową. — Przypuszczam, że ona jest dla ciebie tym, kim Jylen dla mnie — westchnął ciężko. — Bardzo mi jej brakuje, ale wolałam jej tu nie zabierać. Mogłaby nie wytrzymać podróży, a tutaj czułaby się zapewne niepotrzebna, a tego nikomu nie życzę.

— Natoli też by się tak czuła — przyznał Karal. — Ech, ja przez połowę czasu czuję się niepotrzebny, a wtedy mam ochotę gryźć. Wolę nie myśleć o jej samopoczuciu.

— Ani ja o reakcji Jylen — roześmiał się Lyam. — Nigdy nie istniał zgrabniejszy ogon i piękniejszy nos, ale ani jedno, ani drugie nie należą do panny obdarzonej nadmiarem cierpliwości.

Wymienił z Karalem spojrzenie pełne zrozumienia; młody Karsyta poczuł, że

Lyam staje mu się coraz bliższy.

— Cóż, Sejanesie, chyba cię opuszczę — odezwała się jaszczurka. — I ciebie też, Karalu. Mój żołądek przykleił się już do kręgosłupa. Zaryzykuję i sprawdzę, czy jedzenie Śpiewu Ognia jest rzeczywiście tak okropne, jak mówiliście. Przecież nauczył się chyba czegoś od swoich hertasi!

— Dzisiaj gotuje An'desha, nie Śpiew Ognia — pocieszył go Karal. — An'desha umówił się z Shin'a'in, że od dzisiaj będą przygotowywać posiłki na zmianę.

— Dzięki stu małym bogom! — wykrzyknął Sejanes z prawdziwą ulgą. — Nawet maślana herbata Shin'a'in jest lepsza niż to, co ugotuje Śpiew Ognia!

— W takim razie pędzę! — zawołał hertasi. — Inaczej głodomory z góry zostawią mi jedynie okruchy.

Zsunął się z siedzenia i pobiegł po schodach; jego krokom towarzyszył rytmiczny stukot pazurów po kamieniach. Sejanes uniósł brwi i spojrzał na Karala.

— A ty? — zapytał. — Wydawało mi się, że młodzi mężczyźni są zawsze głodni.

Tym razem Karal wzruszył z zakłopotaniem ramionami. Żołądek miał wciąż ściśnięty i zastanawiał się, czy Natoli zawsze będzie przyprawiała go o tak nerwową reakcję. Jeśli tak, to zapewne bardzo schudnie.

— Szczęście w miłości? — zapytał stary mag cicho i z wyraźną życzliwością. — Czy brak szczęścia? Jedno i drugie może pozbawić apetytu.

— Nie... nie jestem pewien — odparł Karal, czując, że policzki mu płoną. — Nie znamy się zbyt dobrze...

Sejanes pogłaskał go po kolanie.

— Niepewność dokucza równie mocno. Ale chyba jest przyjaciółką, której możesz zaufać?

— O tak, całkowicie — odparł Karal z żarem. — Nikomu nie ufam bardziej niż jej.

Hmmm...

Karal spojrzał w dół; wokół nóg krzesła leżał zwinięty w kłębek Altra, którego do tej pory nie zauważył. Jak ognisty kot dostał się tutaj? Ostatnim razem Karal widział go przy telesonie.

— Nie ma człowieka, któremu ufałbym bardziej. Ufam jej tak samo, jak Altrze i Florianowi — poprawił się szybko. — I w większości z tych samych powodów.

Lepiej. Nie idealnie, ale lepiej.

— Zatem to doskonały początek — powiedział Sejanes tonem tak poważnym i z twarzą tak nieporuszoną, jakby mówił o znalezieniu rozwiązania dla kłopotów z magicznymi burzami. — Zawsze powinno się zaczynać od przyjaźni, a nie silniejszych uczuć. Ona przetrwa, a inne uczucia — niekoniecznie. Poza tym młody mężczyzna powinien mieć wystarczająco dużo wspólnego z młodą damą, by być

jej przyjacielem. Oczywiście o ile nie chodzi o związek uzgodniony dużo wcześniej — wtedy niewiele można zrobić, jedynie mieć nadzieję, że rodzice, opiekunowie czy inni dorośli mają jakieś pojęcie o tym, jaki towarzysz życia najbardziej odpowiada ich podopiecznemu.

Karal musiał się roześmiać, słysząc, jak ostrożnie Sejanes dobiera słowa. Mag chciał delikatnie wy badać, czy Karal i Natoli nie zostali połączeni umową zawartą przez rodziców lub czy przez swoją znajomość nie łamią takiego porozumienia.

— To nie było wcześniej ustalone, poza tym nie przypuszczam, by jej ojciec, Rubryk, miał coś przeciwko naszej — hm — przyjaźni, gdyż zapoznał nas ze sobą. To właśnie jego wysłano do Karsu na dwór Solaris. Natoli chyba niełatwo znajduje przyjaciół.

Sejanes rozjaśnił się.

— Z każdym słowem brzmi to coraz bardziej obiecująco! — zawołał z prawdziwym entuzjazmem. — A ty jak się w tej chwili czujesz? Pociąga cię, ale i onieśmiela?

— Tak, raczej tak — Karal był równie rozbawiony, co zakłopotany. Sejanes okazywał naprawdę duże zainteresowanie jego znajomością! I gdyby Karal go nie znał, mógłby potraktować to jak wścibstwo starego natręta.

Jednak z tego, co wiedział Karal, Sejanes nigdy nie wtrącał się w prywatne sprawy innych; na pewno nie był natrętny ani ciekawski, choć sam zaproponował Karalowi naukę podstaw magii. Nie, jego pytania wydawały się wynikać z prawdziwego zainteresowania Karalem, podobnego do tego, jakim mistrz obdarza swego ucznia. Dokładnie tak zachowywał się Ulrich, poprzedni mistrz Karala.

— Przypominasz mi trochę moich uczniów — odezwał się Sejanes cicho, jakby czytał w jego myślach. — Jeśli uważasz, że wtrącam się w nie swoje sprawy, możesz mi powiedzieć, abym poszedł do diabła, ale może jednak potrafię dać ci radę co do Natoli. — Uśmiechnął się konspiracyjnie. — Miałem kilka przyjaciółek, a większość z nich była obdarzona równie wysoką inteligencją, co Natoli, tak przynajmniej przypuszczam. Chyba pamiętam, jak to jest być młodym!

Karal popatrzył na niego z zaskoczeniem, a zarazem wdzięcznością, gdyż dotąd nie miał kogo zapytać o te sprawy. An'desha zajmował się głównie Lo'ishą i innymi Shin'a'in, kiedy — jak inni — nie pracował nad niebezpieczną magią. Florian i Altra nie byli ludźmi — podobnie jak Lyam, chociaż znajdował się najwyraźniej w podobnej sytuacji. Śpiew Ognia... cóż, jego rady raczej nie pomogłyby Karalowi, nawet gdyby nie unikał zadawania mu pytań osobistych. Nie znał zbyt dobrze Srebrnego Lisa, nie zamierzał pytać o radę nauczyciela Natoli — mistrza Levy'ego, a Shin'a'in byli raczej niedostępni. Nigdy nie pomyślał o tym, by zwrócić się do Sejanesa.

„A przecież Ulrich by mi pomógł...”

Ulrich poradziłby mu tak samo jak ojciec — albo starszy brat, gdyby go miał. V kandis nie wymagał od swoich kapłanów zachowania celibatu, a jedynie wier-

ności małżeńskiej. Ulrich kilka razy wspominał swemu uczniowi, że dwa razy był zakochany i jedynie pewne okoliczności nie pozwoliły mu ożenić się z którąś z tych kobiet.

Karal wiedział nieco więcej, choć i tak niewiele. W drugim przypadku Ulrich i jego wybranka posprzeczali się gwałtownie o wewnętrzną politykę kleru i od tej pory nie odzywali się do siebie, nawet po tym, jak Solaris została Synem Słońca. Za pierwszym razem, we wczesnej młodości, kobieta, którą kochał, zachorowała i zmarła, pozostawiając go pogrążonego w żałobie.

Sam mistrz nie powiedział o tym Karalowi. Uczynili to jego wieloletni przyjaciele i koledzy, Czerwoni Kapłani. Chcieli uchronić go przed niepotrzebnym bólem; kierowani współczuciem dla kapłana ostrzegli Karala, by nie poruszał pewnych tematów, dopóki sam Ulrich nie zacznie o nich rozmawiać.

Jednak to nie powstrzymało Ulricha przed przekazaniem Karalowi kilku rad dotyczących dziewcząt i sposobu ich zdobywania, choć wtedy młodzieniec nie był tym w ogóle zainteresowany. Być może kapłan miał przeczucie, iż pewnego dnia jego uczeń będzie potrzebował takiej rady.

Jednak o wiele bardziej prawdopodobne było to, że Ulrich po prostu powiedział mu to, co powiedziałby każdej pełnej życia młodej osobie, która byłaby jego uczniem; uznawał się za wystarczająco doświadczonego w sprawach damsko-męskich, by służyć radą innym. W ten sposób przygotował grunt pod to, co miało nieuchronnie nastąpić, a przy tym powstrzymał Karala od zwrócenia się po radę do mniej doświadczonych rówieśników — co mogło okazać się równie szkodliwe, co pomocne.

Teraz Sejanes zaproponował mu to samo; Karal z radością przyjął jego pomoc.

— Dzięki, panie — odpowiedział po prostu. — Czy wiesz, co mógłbym jej powiedzieć? — Uśmiechnął się wstydliwie. — Nie sądzę, że jestem niewdzięczny, ale rozmowa z nią to jedyne, co mogę teraz zrobić, zważywszy na odległość.

— To bardzo dobrze — odparł Sejanes łagodnie, ale z błyskiem w oku. — Owszem, mam kilka pomysłów.

To właśnie Karal chciał usłyszeć.

* * *

Karal i Lyam siedzieli obok siebie na posłaniu, notując na kartkach papieru przebieg rady. Pozostali, usadowiwszy się również na posłaniach, tworzyli trzy boki kwadratu wokół telesonu ustawionego przed Śpiewem Ognia. Była to nowa forma posiedzenia rady królewskiej, podobnego do tych, jakie odbywali w pałacu w Przystani, i Karal zastanawiał się, ilu jej członków po drugiej stronie urzędze-

nia patrzy na nie w oszołomieniu. Zapewne musiało się im ono wydawać równie niezwykle, co zmienione przez magiczne burze bestie, które im pokazywano. Mały obraz królowej Selenay patrzył na nich poważnie z kryształowych soczewek. Przed chwilą królowa zapytała, czy wiedzą dokładniej, kiedy znów rozpoczną się magiczne burze.

— Nie odpowiadam za magię, ale wiem coś na temat matematycznego prawdopodobieństwa, a ono pozwoliło nam do pewnego stopnia przewidzieć to, co się stało. W tym wypadku matematyka jest przydatna — odparł mistrz Levy z powagą. — Niweczący fale efekt wywołany wybuchem mocy, jaki spowodowaliśmy, stopniowo słabnie; za cztery dni powrócą pierwsze podmuchy burz, ale wtedy nie wykryje ich jeszcze nawet najwrażliwszy mag, o ile nie będzie ich specjalnie szukał. Tyle na razie wiemy; Treyvan objął dowodzenie nad grupą magów poszukujących pierwszych symptomów i mierzących ich siłę. Kiedy burze znów zaczną przekształcać świat fizyczny, zdołamy zmierzyć, na ile się wzmocniły i jak słabną w przerwach. Wtedy obliczymy, kiedy zaczną powodować poważne efekty i zaczną być niebezpieczne. Będą rosnać, aż doprowadzą do powtórnego kataklizmu, takiego jak ten pierwszy. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

W kryształach telesonu Selenay pokiwała poważnie głową. Chociaż w urzędzeniu widać było jedynie jej postać, ustawiono je pośrodku Izby Rady, a wokół niego za stołem w kształcie podkowy zasiedli wszyscy jej członkowie. Usłyszeli oni słowa mistrza Levy'ego, choć widzieli jedynie Śpiew Ognia.

— Dochodzimy teraz do pytania o ostatnią burzę i jej skutki tutaj, gdzie koncentruje się cała siła. Potrzeba, An'desha, Sejanes i ja przeprowadziliśmy obliczenia; nie napawają one optymizmem — odezwał się Śpiew Ognia z niezwykłą jak na niego rezerwą. — Nie jest dobrze, wasza wysokość. Chociaż osłony tego miejsca wytrzymały pierwotny wybuch skierowany na zewnątrz, nie wierzymy, że przetrwają skutki skupienia się energii w tym miejscu. Według nas osłony załamały się i cała broń, jaka nie została unieszkodliwiona, rozpadnie się — z fatalnym skutkiem.

— Co masz na myśli, mówiąc „rozpadnie”? — zapytał jeden z członków Rady. — I co dokładnie znaczy „fatalny skutek”?

Karal powstrzymał nerwowy chichot. Jak można wytłumaczyć to komuś, dla kogo katastrofą jest powódź, pożar lub obsunięcie się ziemi? Jak można zmusić go, by uwierzył, że można uwolnić siły, które topią skały i tworzą kraterzy wielkości kilku krajów?

— Chciałbym to wiedzieć — przyznał Śpiew Ognia. — Nie wiemy, do czego była przeznaczona większość broni, jedynie to, że uznano ją za zbyt niebezpieczną, by jej użyć. Ironia losu może sprawić, iż efekty różnych rodzajów broni wzajemnie się zniosą, ale nie liczyłbym na to. Z pewnością obszar zniszczenia obejmie Równinę Dorisza, a ponieważ mamy dość czasu na przesłanie ostrzeżenia, Shin'a'in się ewakuują.

„Shin'a'in się ewakuują”.

Shin'a'in, którzy nigdy nie opuszczali Równin. Czy to uzmysłowi dociekliwemu szlachcicowi powagę sytuacji? Karal nie wiedział.

— Nie mogę przewidzieć, czy skutki burzy dotrą do Valdemaru, aczkolwiek na waszym miejscu wziąłbym to pod uwagę — Śpiew Ognia podniósł ostrzegawczo dłoń. — I nie pytajcie: „Jakie skutki?”, ponieważ tego również nie wiem. Usiłujemy się tego dowiedzieć, ale była to broń stworzona w sekrecie przez tajemniczego maga, a jedyne notatki, jakimi dysponujemy, zostały napisane w języku używanym dwa tysiące lat temu. Większa liczba osób jedynie spowolniłaby nasze działania. Robimy, co w naszej mocy, lecz i tak możemy nie zdążyć na czas lub nie odkryć wystarczająco dużo.

Karal usłyszał pomruki po drugiej stronie urządzenia, ale nikt nie odezwał się głośno.

„Zapewne, jak twierdziła Natoli, nie wierzą, że tak się może stać. To z ich strony czysta głupota, ale tak jest”. W pewien sposób nie winił ich za to; byli kompletnymi nowicjuszami w prawdziwej magii. Dla większości z nich straszliwe uczynki magów Ancara były tylko opowieściami, a pierwszy raz widzieli magię po nadejściu magicznych burz. Nie potrafili wyobrazić, sobie siły zdolnej zmienić kwitnący kraj w dymiący, pokryty stopionym piaskiem krater. Tarn powiedział wcześniej, że jego obserwacje mogą się okazać ważne, o ile nie będą miały natury osobistej — i polecił mu je zapisywać.

„Większość ludzi nie wierzy w zbliżającą się katastrofę ani w to, że odczuje jej skutki, nawet jeśli wciąż im się to powtarza”.

Niezmiernie się cieszył, że on sam nie musi już reprezentować Karsu na zebraniach Rady; w tym samym czasie, kiedy ojciec Natoli pojechał na południe, do Valdemaru przybył kapłan Słońca, który walczył razem z Valdemarczykami w wojnie z Ancarem. Karal nigdy nie czuł się dobrze w takich sytuacjach, nigdy nie czuł się na siłach im sprostać, niezależnie od słów Solaris. Poza tym co najmniej połowa członków Rady co jakiś czas wątpiła w jego kompetencje i może nawet rozsądek. Jednak ten kapłan Słońca widział magię i wierzył w nią całym sercem. Może on przekona niedowiarków.

— Co z samą bronią? — zapytał ktoś mniej inteligentny. — Jeśli uda nam się jej pozbyć, nie wyrządzając niczemu szkody, czy w ten sposób nie zmniejszymy niebezpieczeństwa choćby o tyle, ile zagrożenia stwarzała ta broń? Czy można ją rozbroić?

— Kiedy Urrrtho sssam ssstwierrrdził, że on tego nie potrrrafi? — zabrzmiał oburzony głos Treyvana. — Czyśś ty oszszszalał?

„Ile gryf może bezkarnie powiedzieć tylko dlatego, że jest większy od wszystkich!” Karal cieszył się, iż Treyvan i Hydona znajdowali się na miejscu, by powiedzieć wszystkie nieuprzejmości, jakie należało powiedzieć.

— Bardzo powoli zaczynamy rozumieć działanie tych urządzeń — odezwał

się bez zająknięcia Śpiew Ognia. — Jeśli istnieje możliwość ich rozbrojenia, zrobimy to. Może szczęście będzie nam sprzyjać; przynajmniej jedno z nich rozsypało się z powodu wieku; może czas dokonał tego, czego nie zdołały zrobić ręce człowieka.

Karal z ciekawością zauważył, że Śpiew Ognia zaczął odpowiadać w imieniu całej ich grupy. Co prawda nikt się do tego nie kwapił, ale Śpiew Ognia z natury był nieco leniwy i starał się nie brać na siebie dodatkowych obowiązków.

Z drugiej jednak strony, gdyby to Altra i Florian podtrzymywali połączenie z telesonem, członkowie Rady widzieliby jedynie Karala, Towarzysza lub ogni-stego kota, a żaden nie budził zbyt wielkiego respektu. Sejanes nie posiadał daru myślmagii, podobnie jak mistrz Levy. Miał go An'desha, ale on nie wywołałby lepszego efektu niż Karal, choć dzięki swym wybielonym przez magię włosom wyglądał na nieco starszego. Potrzeba zapewne wzbudziłaby szacunek, ale jeśli to ona miałaby podtrzymywać połączenie, wszyscy i tak widzieliby Śpiew Ognia. Ludzie szanowali go, a nawet nieco się obawiali. Jego sarkastyczny dowcip okazywał się doskonałą bronią przeciwko zbyt upartym lub kłótliwym członkom Rady.

„Poza tym dla Śpiewu Ognia jest to okazja, by zostać dostrzeżonym, docenionym i być podziwianym, a kto przedtem mógł stanowić dla niego publiczność?”

— Najpierw musimy odkryć, do czego — dokładnie — ta broń została przeznaczona. Potem — jak działa, a dopiero później, być może, uda nam się znaleźć sposób, by ją unieszkodliwić — wyjaśniał cierpliwie Śpiew Ognia. — Jeśli będziecie o niej myśleć jak o niezwykle skomplikowanych pułapkach z bronią ukrytą wewnątrz, zobaczycie w tym więcej sensu.

— Ale... — zaczął ktoś inny i przerwał w pół zdania.

— Na szczęście — podjął Sejanes natychmiast — te badania nie kolidują wcale z obserwacją magicznych burz, gdyż robicie to wy w Przystani. My tutaj działamy, opierając się na założeniu, że będziemy musieli uruchomić któreś z urządzeń, by odbić falę ostatecznej burzy. Wiemy już, co najlepiej nadaje się do tego celu i badamy to, a także notatki znalezione w warsztacie na dole, by dowiedzieć się, czy rozwiązanie zastosowane poprzednio może się przydać i teraz.

— A jeśli nie znajdziecie odpowiedzi? — W tym głosie zabrzmiało napięcie i lekka panika. A jednak ktoś z Rady brał poważnie grożące niebezpieczeństwo! Karal miał tylko nadzieję, że nie był to ktoś skłonny do nadmiernego ulegania panice; nakłonienie ludzi do zorganizowania ochrony pójdzie lepiej, jeśli osoba która ich do tego zachęca, nie ma opinii kogoś reagującego zbyt nerwowo.

— Naprawdę musicie przyjąć, iż nie zdołamy tego zrobić, a jedyne, co nam się udało, to uzyskanie dla was czasu na przygotowania — wtrącił wrogim tonem mistrz Levy. On z kolei nie miał cierpliwości do Rady i powiedział to wyraźnie tuż przed spotkaniem. — Mówiliśmy wam to od początku. Przed moim wyjazdem mistrzowie rzemiosł pracowali nad formułą pozwalającą przewidzieć rozmieszczenie obszarów zakłóceń.

— Nadal nad tym pracujemy — odezwał się inny głos. — Model nie jest doskonały, ale mamy nadzieję znaleźć rozwiązanie przed rozpoczęciem kolejnej nawałnicy, a kiedy kolejne burze będą przybierać na sile, będziemy je sprawdzać. Do czasu powstania prawdziwych szkód formuła zostanie przetestowana i będzie gotowa do użytku.

— Zatem macie swoją odpowiedź. Jeśli nie znajdziemy nic innego, po prostu trzymajcie ludzi i zwierzęta z dala od terenów zakłóceń, odciągnijcie jak najwięcej mocy z kamienia pod pałacem i osłońcie go jak najszczelniej. Potem już tylko możecie czekać aż burza się skończy. — Ton mistrza dopowiedział resztę: każdy głupiec zdołałby sam dojść do takiego wniosku.

— Podczas gdy wy siedzicie sobie bezpiecznie w Wieży? — rzucił ktoś zgryźliwie.

To był błąd. Karal przygotował się na ripostę. Śpiew Ognia nie był w zbyt dobrym nastroju i za chwilę sytuacja mogła wymknąć się spod kontroli.

— Bezpiecznie? — zapytał złowróbnym tonem Śpiew Ognia. — Jak doszedłeś do tak niewiarygodnego wniosku? Czy ktoś mógłby usunąć tego niekompetentnego człowieka i odesłać go do zmywania naczyń, do kuchni, gdzie jego miejsce? Ja na waszym miejscu wyrzuciłbym go z Rady. Zgadzam się z dawaniem szansy ludziom o mniejszych zdolnościach, ale przyjmowanie do Rady urodzonego idioty to chyba przesada.

Po drugiej stronie urzędującego rozległy się oburzone głosy i wszczął się ruch; Selenay nadal wyglądała na spokojną, ale uwagę skupiła na czymś znajdującym się poza telesonem. Niemożliwość zobaczenia tego, co się działo, przyprawiała o szaleństwo.

— Cóż? — zapytał Śpiew Ognia, kiedy hałasy ucichły.

— Weźmiemy pod uwagę twoją radę — odparła Selenay dyplomatycznie, najwyraźniej zwracając się zarówno do niego, jak i do siedzących obok niej. — Masz rację w jednym punkcie, choć wyraziłeś to nieco zbyt bezpośrednio; ta Rada nie może już pozwolić sobie na utrzymywanie ludzi, których uwagę tak bardzo zaprzatają nieistotne szczegóły, że nie zajmują się większym niebezpieczeństwem grożącym nam wszystkim.

— Uwaga! — zabrzmiał kolejny głos. Po chwili Karal rozpoznał, że to Kero-wyn.

„O rany!”

To niespodzianka! Karal sam znalazłby trzech czy czterech członków Rady, którzy pasowali do tego szczególnego stwierdzenia. Wyglądało na to, że zdrada, najazd, wojna, sojusz, kolejna wojna i magiczne burze wyczerpały w końcu cierpliwość Selenay.

„Najwyższy czas”.

Owszem, tych trzech czy czterech udowodniło swą wierność w czasie najgorszych trudności, a to zasługiwało na nagrodę, lecz istniały jakieś granice. W obec-

nej sytuacji nierozsądnie byłoby pozwolić ludziom krótkowzrocznym na zajmowanie tak wysokich stanowisk. Lepiej byłoby znaleźć im miejsca uprzywilejowane, ale nie związane z prawdziwą mocą, jeśli Selenay nadal czuła się zobowiązana ich wynagradzać. W tej chwili krótkowzroczność mogła kosztować życie wielu ludzi.

Selenay mogła jednak nie widzieć już powodu, aby nagradzać tych ludzi; to też nie byłoby złe rozwiązanie. Czasami trzeba użyć środków radykalnych choćby po to, by ludzie uwierzyli, że w razie potrzeby zostaną one wykorzystane nawet wobec tych, którzy uważali się za nietykalnych. Jak mówiło przysłowie Shin'a'in: „trzeba użyć bata, by wygonić konie z płonącej stajni”.

Karal czuł pokusę zanotowania tego spostrzeżenia, ale wiedział, że jest ono czysto osobiste, a przed tym ostrzegął go Tarn, więc zachował je dla siebie.

Dwóch członków Rady powinni od razu zwolnić — zauważył Altra z irytacją. — Jeden z nich nie do końca wierzy w inteligencję Towarzyszy; jak możemy od niego oczekiwać zaplanowania obrony przed magiczną katastrofą? Drugi z kolei, tak przejmując się powodami, dla jakich jego teren bardziej potrzebuje ochrony niż inne, że zapewne będzie usiłował zdobyć zasoby, do których nie ma prawa.

Altra nie musiał wymieniać imion tych dwóch; Karal znał ich na tyle dobrze, by rozpoznać ich po tych krótkich opisach.

*To królestwo Selenay i jej Rada — przypomniał ognistemu kotu. — Jeśli chcesz podsunąć jej jakiś pomysł jako przedstawiciel Karsu, porozmawiaj z nią prywatnie. Na pewno zechce się z tobą spotkać, kiedy tylko skończy się to zebra-
nie.*

Nie jestem takim głupcem, by wrywać się z tym przy wszystkich! — prychnął Altra i energicznie potrząsnął głową. — Teraz jeszcze bardziej się cieszę, że cię tam nie ma. Ci idioci zapewne zaczęliby winić cię za kataklizm! Ja także nie chciałbym tam być; jeszcze naszłaby mnie pokusa, żeby owinąć się wokół czyjejś nogi akurat w chwili schodzenia ze schodów, po czym zastąpić tę osobę kimś bardziej rozsądnym niż kawał sera.

Udało mu się przesłać Karalowi obraz siebie samego zwijającego się w kłębek wokół nóg głupszego z dwóch najgłupszych członków Rady, a potem — obraz tego mężczyzny w komiczny sposób spadającego ze schodów.

Łakniesz dzisiaj krwi, co? — zauważył Karal.

Vkandis niech pomoże wszelkim gryzoniom w promieniu ligi stąd — odrzekł Altra. — Po naradzie i rozmowie z Solaris idę na polowanie.

Nie musisz iść tak daleko — odparł Karal. — Shin'a'in mają problem z myszami, które załęgły się w ziarnie dla koni. Czy twoja godność zniósłaby małe polowanie na myszy?

Altra jedynie parsknął. Po tym szczególnym wybuchu narada przebiegała dalej w godnym podziwu tempie. Karal musiał sam przed sobą przyznać, iż w niektórych sprawach zachowywał się dokładnie tak samo, jak owi dwaj nieszczęśni

doradcy, którzy nie mogli lub nie chcieli uwierzyć w bliską katastrofę. On też traktował pewne sfery swego życia — chociażby rosnące zainteresowanie Natoli — jakby nic się nie miało zmienić. Nie żył również w stanie ledwie powstrzymanej paniki. Jednak, prawdę mówiąc, cokolwiek on i Natoli mogliby zrobić lub nie zrobić, i tak niczego to nie zmieni w przebiegu burz lub próbach znalezienia na nie remedium, zakładając, że takowe istnieje. Żadne z nich nie nosiło w sobie ciągłego lęku. Zresztą nie da się odczuwać strachu przez długie tygodnie, więc po co podtrzymywać w sobie ciągłą panikę?

Ale robił to, co był w stanie zrobić — i przynajmniej jedna z jego uwag mogła się przydać. Przyszło mu do głowy, iż warsztaty pozostały nietknięte i niezniszczone — nawet w lepszym stanie niż zgromadzona broń — w takim razie może osłaniała je większa liczba tarcz. A może kamień z natury, podobnie jak jedwab, izoluje wszystko przed skutkami działania magii. Ponieważ cały czas trzymali klapę wejścia otwartą, nie dało się powiedzieć nic pewnego, a w tej chwili na pewno nikt nie zgodziłby się na dobrowolne zamknięcie na dole.

Natura czy nie, osłanianie warsztatów przed skutkami rażenia broni przechowywanej nad nimi wydawało się logiczne — a jeszcze bardziej w przypadku, kiedy warsztaty służyły jako schrony, jeśli na górze coś poszłoby źle. Z drugiej strony — gdyby coś poszło źle na dole, broń zgromadzona na górze byłaby również bezpieczna.

Ale dla ludzi nie zaangażowanych w magię warsztaty stanowiły najbezpieczniejsze miejsce do przeczekaania ostatniej burzy — i może, gdyby rzeczywiście nie dało się zrobić nic innego, wszyscy mogliby się w nich schronić. Zmieściliby się bez trudu razem z zapasami i opiekującymi się nimi przyjaciółmi Shin'a'in. Dla Floriana i koni Shin'a'in zejście po schodach byłoby trudne, lecz nie niemożliwe. Jediną wadą tego schronienia był fakt, że leżało ono poniżej poziomu tunelu — i jeśliby skutki burzy oddziaływały na broń znajdującą się ponad nim, mogliby zostać dosłownie zamknięci, kiedy skała stopi się i rozpułynie, a ruiny rozpadną całkowicie.

Ale będąc w tunelu lub na zewnątrz, na Równinie, nie mieliby żadnej szansy na przetrwanie. Karal już rozmawiał z Shin'a'in o wykorzystaniu w ten sposób warsztatów — zgodzili się z nim, co więcej przenieśli połowę swych zapasów na dół oraz stworzyli plan ewakuacji obozu do warsztatów, kiedy nadejdzie czas.

Co zaś do ludzi mieszkających w okolicy — cóż, po raz pierwszy od czasu rozdzielenia klanów Shin'a'in i Tayledrasi mieszkali razem. Więcej niż trzy czwarte klanów odeszło z Równin i zamieszkało w okolicznych Dolinach. Inni pojechali do miast handlowych i innych osad, gdzie mieli znajomych lub krewnych.

Pozostali skierował i się na południe, a nie na zachód i północ, zabierając ze sobą stada koni i bydła, gdyż w Dolinach można było utrzymać jedynie nieliczne konie juczne i wierzchowce. Zaopiekowała się nimi stara kompania najemna Kerowyn — Pioruny Nieba — składająca się z tych nielicznych, którzy odeszli na

emeryturę lub nie chcieli pozostać w Valdemarze. Wrócili oni do Przystani Piorunów i utworzyli mniejszą kompanię, której jedynym zadaniem stała się ochrona leżącej obok miasta magicznej szkoły Quentena, samego miasta i dorocznego jarmarku koni Shin'a'in. W szerokiej i łagodnej rethwellańskiej dolinie, położonej poniżej szkoły, stadom nie groziło niebezpieczeństwo; nie groziło im nic również ze strony ludzi, którzy nie raz skorzystali z uprzejmości krewnych z klanu Kerowyn, jeśli chodziło o najlepsze rumaki z hodowli Shin'a'in.

Za kilka dni Równiny opustoszeją niemal całkowicie. W sercu krateru zwanego Równinami Dorisza pozostanie niewielka grupka. Po raz pierwszy obcy mógłby przejechać przez jego środek, nie obawiając się zatrzymania.

Choć nikt nie byłby tak głupi, by tego próbować. Sama pogoda powstrzymałaby każdego planującego tak bezmyślne przedsięwzięcie. Jedynie Shin'a'in wiedzieli, w jakie kryjówki zapada zwierzyna zimą; jedynie oni mieli źródła opału i namioty zdolne przetrzymać zabójcze zawieje powodowane przez magiczne burze. W krajobrazie niekończących się wzgórz, pozbawionym wszelkich znaków rozpoznawczych, usiłowanie przejścia niecki było równoznaczne niemal z samobójstwem.

Poza tym Kal'enedral, którzy pozostali, nie byli zwykłymi strażnikami granic. Mało prawdopodobne, by cokolwiek weszło na Równiny bez ich wiedzy — dowiadawali się o intruzie w chwili, gdy przekraczał on granicę. W obecnej sytuacji można było przypuszczać nawet, że sama Gwiazdzistooka strzeże Równin. Nie musiałyby osobiście reagować na wtargnięcie intruza; przysypanie śniegiem klifu okalającego Równiny na grubość stopy powstrzymałoby każdego, może oprócz wprawnych wspinaczy, od zejścia w dół, do właściwej niecki. Przysypanie zaś schodzącego kolejną garścią śniegu i lodu lub spuszczenie lawiny zagwarantowałyby, że nawet najbardziej doświadczony we wspinaczce człowiek nie postawi za życia stopy na leżących pod klifem Równinach.

„Dobre nieba, w pragnieniu krwi dorównuję Altrze!” uświadomił sobie Karal, kiedy rozważał możliwość przemiany ewentualnych intruzów w lodowe rzeźby. Jednak w tej chwili nie mogli sobie pozwolić na pobłażanie. Eskorta Kal'enedral, która została z nimi, by im pomagać, oddała swe życie w ręce Gwiazdzistookiej — i ci ludzie zdawali sobie z tego sprawę. Nie tylko Wieża miała małe szanse na przetrwanie ostatecznej burzy, ale także jej obrońcy. W przeszłości Kal'enedral chronili wieżę, nie dopuszczając w jej pobliże ludzi; jeśli w kraterze Równin istniał najniższy położony punkt geograficzny, zapewne na jego dnie stała właśnie Wieża.

Większość Zaprzysiężonych Mieczowi została z klanami — i słusznie — by bronić ich podczas ewakuacji. Gdyby tak ktoś umyślnie wybrał tę chwilę na poszukiwanie Wieży i próbę zdobycia ukrytej w niej broni? Gdyby nadszedł z wystarczającą siłą, nie mogliby wiele zdziałać. Musiałby to być kompletny szaleniec, ale, jak dowiodły przykłady Ancara i Zmory Sokołów, istnieli szaleńcy gotowi

podjąć podobne ryzyko. Jednak zważywszy na skład małej grupki poszukiwaczy, sama Gwiazdzistooka zajęłaby się intruzami — a jes'li nie Ona, zrobiłby to zapewne Vkandis.

Kiedy ta myśl przyszła mu do głowy, nastąpiła przerwa w dyskusji; wtedy Karal postanowił włączyć się do rozmowy.

— Właśnie pomyślałem — odezwał się powoli — że istnieje ochrona, przynajmniej dla tych poza Wieżą.

— Co to jest? — zapytał ktoś czujnie.

Karal czuł, że uszy mu płoną, gdyż miał powiedzieć rzecz oczywistą, ale z drugiej strony wydawało się głupotą o niej nie wspominać.

— Hmm... modlitwa — powiedział nieśmiało. — Boskie wstawiennictwo. To znaczy... czy wy naprawdę skupiliście się na tym, by prosić o pomoc z innych źródeł?

— To nie jest zła odpowiedź — przerwał Lo'isha, zanim ktokolwiek zdołał się odezwać. — Jeśli nasza Gwiazdzistooka przypomina waszych bogów, warto się o to postarać. Widzicie, Ona pomaga tylko wtedy, kiedy zażegnanie niebezpieczeństwa nie leży w możliwościach śmiertelników — i tylko wtedy, gdy się Ją prosi. W innych wypadkach pozwala nam działać na własną rękę. Może wasi bogowie czekają, aż ich we właściwy sposób poprosicie.

— Vkandis zawsze działał podobnie — potwierdził Karal. — Nie wiem, jak zachowują się bogowie w Valdemarze, ale co szkodzi spróbować?

— Nic, oczywiście — odparła łagodnie Selenay. — Lecz w naszej dumie i pewności siebie często zapominamy o tej możliwości. W końcu nie będziemy prosić o pomoc przeciwko innym ludziom. Będziemy prosić o pomoc dla wszystkich ludzi przeciwko nieubłaganej sile, której do końca nie rozumiemy. Dziękuję ci, Karalu, że nie bałeś się powiedzieć tak oczywistej rzeczy. Polecę moim doradcom wystosować listy do ich świątyń.

Teraz Karal się zaczerwienił, tym razem z radości; głęboki pomruk Altry, rozlegający się u jego stóp, wystarczył, by wiedział o poparciu ognistego kota. Spojrzał w bok; Lo'isha patrzył na niego z lekkim uśmiechem, który pogłębił się, gdy ich oczy się spotkały.

„Ha, zobaczymy, czy za chwilę nadal będą ze mnie zadowoleni...”

— Królowo Selenay, proszę... — dodał — Nie wyłączajcie z modlitw mieszkańców Imperium. Prości ludzie nie zrobili nam nic złego, a w tej chwili muszą znajdować się w rozpaczliwym położeniu. Przez cały czas cierpieli z powodu magicznych burz, a z tego, co opowiadał nam Sejanos, potrzebują magii i używają jej wszędzie. Dla nas to tak, jakby ogień nagle przestał grzać.

Z pewną niechęcią bardzo powoli kiwnęła głową.

— Będę pamiętać, by tak to sformułowano — obiecała. — Będę również pamiętać, że nie toczymy sporu z mieszkańcami Imperium, jedynie z tymi, którzy nas skrzywdzili.

Karal znów spojrział ukradkiem na Lo'isnę, a potem na Sejanesa. Lo'isha nadal wydawał się z niego zadowolony, zaś stary mag po prostu się rozpromienił.

A co z Altrą, przedstawicielem Vkandisa?

Co ze mną? Uważam, że postąpiłeś słusznie — mruczenie Altry nie ustawało. — Udaje ci się pamiętać, iż naród tworzą ludzie, z których większość ma niewielką lub żadną kontrolę nad postępowaniem przywódców. Już drugi raz poprosiłeś o miłosierdzie; to bardzo dobrze.

Nawet jeśli chodzi o Vkandisa, mściwego boga?

Zwłaszcza jeśli chodzi o Vkandisa; pamiętaj, proszę: religię tworzą ludzie, a większość z nich nie ma wpływu na doktrynę tworzoną przez kapłanów. Nie zapominaj, że ze względu na wolną wolę ludzi i kapłanów oraz na to, że mają środki, by zgodnie z nią działać, bogowie nie zawsze mogą kontrolować także kapłanów. Zatem to, co oni mówią i to, w co wierzą ludzie, nie zawsze jest całą prawdą.

Karal zamrugał. Altra najwyraźniej uznał go za przygotowanego do kolejnego obalenia doktryny.

Czas na przypowieść. Pomyśl o bardzo bogatym, bardzo samotnym mężczyźnie, który ma opinię niebezpiecznego; na przykład byłym najemniku. Mieszka on w mieście, ale rzadko wychodzi z domu. Mimo to — i nie chcąc, by ludzie posądzili go o próbę przypodobania się im w nadziei poprawienia sobie opinii — po kryjomu rozsyła swych służących, dzień po dniu, by pomagali biednym, którzy na to zasługują, chorym i bezradnym. Pewnego dnia, kiedy wchodzi w bramę swego domu, widzi bandytów napadających na kobietę z dzieckiem; reaguje tak, jak go tego nauczono: wyciąga miecz i w mgnieniu oka zabija ich wszystkich. Powiedzmy, że później, w trakcie śledztwa, okazuje się, iż ci bandyci byli jego starymi wrogami, szukającymi jego nowego domu. Co powiedzą o tym mieszkańcy miasta?

Karal dobrze wiedział, co by powiedzieli. Nie wiedząc nic o jego licznych dobrych uczynkach, a wiedząc jedynie o jedynym wypadku rozlania przez niego krwi, w najlepszym razie nazwaliby go mściwym, baliby się jego gniewu i unikali jego towarzystwa. Gdyby w dodatku mu zazdrościli, mogłyby powstać pogłoski, iż napad na kobietę został sfingowany, by dać najemnikowi sposobność do pozbycia się wrogów. I chociaż w takich historiach mogło tkwić ziarno prawdy, z pewnością nie była to cała prawda.

Vkandis — każdy bóg — to o wiele więcej, niż wyobrażają sobie jego wyznawcy — ciągnął Altra. — Obowiązkiem kapłana jest prowadzić ich ku zrozumieniu tego faktu, by nie usiłovali wcisnąć go w granice swego pojmowania.

To do tego właśnie dążył przez kilka ostatnich tygodni! Miał wszystkie elementy układanki, ale po prostu nie ułożył ich w tak elegancką i prostą całość. . .

Spotkanie trwa, a ty nie robisz notatek — dodał Altra, schylając się, by z pedantyczną dokładnością oczyścić sobie łapę. — Życie to zarówno rzeczy wielkie, jak i małe, braciszku. Patrz w słońce, ale uważaj na stopy, inaczej niechybnie

upadniesz na nos.

Tłumiąc cichy śmiech, Karal pośpiesznie pochylił się nad notatkami. Spotkanie trwało o wiele za długo, ale Śpiew Ognia zdołał rozdrażnić wystarczająco wielu niepotrzebnych doradców, by mieć pewność, iż następne zabierze znacznie mniej czasu.

Będzie musiało; Śpiew Ognia udaremniał także wszelkie próby rzucania oskarżeń i szukania winnych — przy czym w większości były one kierowane w grupę mieszkającą w Wieży. Za pierwszym razem Karal nie mógł w to uwierzyć. Członkowie Rady nie mieli pojęcia, co się dzieje w Wieży i przypuszczali, iż oni schronili się tu, aby przetrwać ostateczną burzę, podczas gdy ludzie przebywający poza nią narażeni byli na ogromne niebezpieczeństwo.

— Co się z nimi stało? — zapytał zaskoczony Karal Lyama, kiedy po zakończonym spotkaniu pozostali wrócili do swych przerwanych badań. — Skąd takie przypuszczenia?

Hertasi wzruszył ramionami; jego ogon uderzał głucho o podłogę, na której siedzieli, porządkując swoje notatki i składając przybory do pisanía.

— Według nich pławimy się w luksusach, spędzamy czas na niepotrzebnych nikomu jałowych próbach i rozmyślaniach. Ledwie na pół wierzą w same burze; myślą, że żyjemy sobie wygodnie i przedłużamy pobyt, by dalej cieszyć się tym wspaniałym miejscem i odpoczywać.

Karal rozejrzał się dookoła, przypatrując się eleganckim sprzętom. Rzeczywiście, wykładane kamieniem posadzki z pewnością były piękne, a takiego sufitu nie znalazłby ani w Karsie, ani w Valdemarze. Jednak oprócz tego...

Owszem, posłania Shin'a'in mieniły się kolorami, były również wygodne, lecz nie dorównywały tym w gościnnych komnatach pałacu w Przystani. Co do reszty — nie sądził, by którykolwiek z doradców królowej kiedykolwiek jadł, spał lub mieszkał w takich warunkach — i chciałby tego. Co prawda mieszkali lepiej niż najbiedniejsi posługacze w karczmach w Karsie — i nieco wygodniej niż nowicjusze Vkandisa, ale ci wysoko urodzeni notable z pewnością uznaliby życie na tym końcu świata za ciężkie.

„Nie wiem, co by pomyśleli o maślanej herbacie. Zapewne wypicie jej byłoby dla nich karą”.

— Nie wiem, Lyamie — odezwał się w końcu. — Czy mają urojenia?

Jaszczurka spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— To chyba kwestia odległości. Wielu naszych rodaków w Białym Gryfie myśli, że skoro zajęliśmy Dolinę k'Sheyna, żyjemy w niewiarygodnym luksusie. Widzisz — to, co leży daleko, zawsze wydaje się lepsze od tego, co znajduje się pod ręką — parsknął. — Gdybyś miał ochotę na luksus, polecałbym dwór Czarnych Królów. Byłem tam, więc wiem. Jedwabne prześcieradła, prywatne ogrody, jedzenie, za które warto umrzeć — to właśnie nazywam luksusem! — Oblizał się.

Karal westchnął i potrząsnął głową, a Lyam pogłaskał go po plecach.

— Nie przejmuj się! Ci, którzy uważają, że siedzimy tu beczynnie, to idioci i Śpiew Ognia na pewno się ich pozbędzie. O ile oczywiście królowa nie znajdzie im jakiegoś innego zajęcia. Znam ten typ. Będzie im docinał, aż jeden po drugim odejdą.

Karal zachichotał, słysząc ten aż zbyt dokładny opis.

— Jeśli chce, potrafi być dyplomatą — poczuł się zobowiązany zauważyć.

— Oczywiście, ale dyplomacja jest dobra wtedy, kiedy ma się czas, a to jedyna rzecz, jakiej nam brakuje — Lyam potrząsnął głową i spoważniał. — Karalu, przez chwilę będę poważny; chcę, żebyś mi coś powiedział — uczciwie. Pracowałeś z tymi ludźmi przez długi czas — ze Śpiewem Ognia, An'deshą, Sejansem i innymi. Czy zdołają to zrobić? Czy naprawdę mogą znaleźć odpowiedź przed ostateczną burzą? Czy powinienem poszukać głębokiej, ciemnej dziury w ziemi, schować się w niej i mieć nadzieję, że nie stopi się za mną?

Karal zamknął na chwilę oczy, zaskoczony nagłym pytaniem. Może dlatego Lyam je zadał, nie dając mu szansy na wykrety.

— Jeśli ktokolwiek może tego dokonać, to tylko oni — odparł w końcu. — An'desha przechowuje w pamięci wspomnienia wroga Urtho, Ma'ara, drugiego najpotężniejszego maga w czasach kataklizmu. Nie wiem jedynie, czy śmiertelnicy w ogóle są w stanie rozwiązać ten problem.

Lyam westchnął.

— Bałem się, że to powiesz — pochylił się nagle i spojrzął na Karala z nieodgadnionym wyrazem twarzy. — Porozmawiajmy o naszych dziewczynach — zaproponował. — Nie możemy zrobić nic, by im pomóc, więc porozmawiajmy o nich, dobrze? — momentalnie zmieniając nastrój, uśmiechnął się, ukazując rząd ostrych zębów. — Jeśli chcesz zapomnieć o kłopotach, nie ma nic lepszego od dziewcząt.

— Albo jeśli chcesz porozmyślać o innym rodzaju kłopotów — zaśmiał się Karal, z chęcią przystając na propozycję.

Tarrn znalazł ich, gdy narzekali na sposób, w jaki kobiety podchodzą do rozwiązania każdego problemu: z boku, jak kraby, zamiast stanąć z nim twarzą w twarz; najwyraźniej tę cechę posiadały przedstawicielki płci żeńskiej zarówno wśród ludzi, jak i hertasi. Kyree stał przez chwilę w zasięgu głosu, słuchając i najwyraźniej czekając na przerwę w rozmowie, nie chcąc wchodzić im w słowo.

Lyam, czy wiesz, gdzie Shin'a'in położyli szarą torbę z książkami, które z sobą przywieźliśmy? — zapytał. — *Muszę coś sprawdzić.*

— Łatwiej mi będzie ją znaleźć niż wytłumaczyć ci, gdzie leży — odparł hertasi, wstając energicznie. — Zostań tu, przyniosę całą torbę.

Zbiegł po schodach w dół do warsztatu; Tarrn spojrzął na Karala.

Widzę, że rozumiecie się dobrze z moim uczniem — zauważył łagodnie.

— Mamy dużo wspólnych tematów, panie — odrzekł uprzejmie Karal. — Jak zapewne zauważyłeś.

Tarn uśmiechnął się szeroko.

Na przykład młode kobiety. Cóż, obawiam się, że ja nigdy nie dałbym ci rozsądnej rady w tej kwestii; mój rodzaj jest bezpłciowy, ale z urodzenia, nie wskutek przysięgi, jak u naszych przyjaciół Shin'a'in.

Karal nic z tego nie rozumiał.

— Wszystkie kyree są bezpłciowe? Co do tego mają Kal'enedral?

Kilka chwili zajęło Tarnowi wytłumaczenie, że nie, nie wszystkie kyree są bezpłciowe, lecz te, które są, zostają najczęściej uczonymi, bajaranami, poetami i historykami. Nieco więcej czasu zajęło mu wyjaśnienie przysięgi Zaprzysiężonych i to, jak Bogini czyniła ich dosłownie bezpłciowymi, dzięki czemu z taką trudnością przyjmowała Ona ludzi w swoją służbę.

Karal nie czuł zażenowania, ale wielkie zdziwienie.

— Nie wyobrażam sobie, jak ktokolwiek może chcieć zostać Zaprzysiężonym — powiedział. — To znaczy, przepraszam, ale. . .

Nie przepraszaj; nie ubolewam nad tym, jaki jestem, a w przeszłości zdarzało mi się cieszyć z tego, że nie muszę borykać się z tymi problemami, co wy — odrzekł zamyślony Tarn. — Co do Zaprzysiężonych — czy to Mieczowi, czy Bogini, mogę bez trudu wyobrazić sobie okoliczności, w których człowiek uznaje bagaż seksualności za niemożliwy do udźwignięcia. Opowieści o tym, jak Zaprzysiężeni doszli do swego stanu, mogą być smutne, nawet straszne, ale przynajmniej wśród Shin'a'in znaleźli azyl. Co do niektórych — cóż, jeśli ich życie upłynęło całkowicie w sferze intelektu, nie jest to poświęcenie.

Karal przez chwilę szukał wzrokiem An'deshy; znalazł go w końcu pogrążonego w rozmowie z Lo'ishą i innym ubranym na czarno Shin'a'in.

— Chyba przychodzi mi do głowy przynajmniej jeden przypadek, kiedy wspomnienia stają się ciężarem nie do udźwignięcia — powiedział powoli.

Tarn podążył wzrokiem za jego spojrzeniem.

Ta myśl również przyszła mi do głowy. Jeśli będziemy żyć... Jeśli. Znów to słowo, o którym wciąż myślał, ale starał się nie wspominać.

— Czy możemy nie przeżyć? — zapytał poważnie. Jakby przywołany spojrzeniem An'desha opuścił Shin'a'in i podszedł do nich w samą porę, by uchwycić odpowiedź Tarna.

Nie wiem — głos kyree brzmiał poważnie. — Przyszedłem tutaj wiedząc, że możemy nie przeżyć — Lyam również o tym wiedział. Być może to, co zapisaliśmy, pomoże innym uporać się z kolejnym kataklizmem za tysiąc lat lub więcej. Może nasze materiały pomogą tym, którzy przetrwają ten kataklizm. Chyba najlepszym sposobem na przeżycie jest ten, który sam zaproponowałeś.

— Boska pomoc? — zapytał sucho. — Jednak tu mamy pułapkę. Nie możemy na nią liczyć; jeśli tak zrobimy, z pewnością nie dostaniemy pomocy.

An'desha kiwnął głową, siadając obok Karala.

— W taki właśnie sposób działa Gwiazdzistooka; w każdym razie jest to serce Jej ziemi. Jeśli mamy kogokolwiek wzywać, powinna to być Kal' enel. Jednak Lo'isha mówił, że ostatnio się nie odzywała, jakby sama nie wiedziała do końca, co się stanie — nie więcej od nas.

Zatem co możemy zrobić? — zapytał Tarrn. — *Skoro sami bogowie milczą, co może zrobić śmiertelnik?*

— Nie wiem — przyznał An'desha.

Możecie spróbować wezwać starych przyjaciół — odezwał się życzliwy głos ponad ich głowami; oblało ich złote, jaskrawe światło.

Tarrn podskoczył wysoko; wylądował na ziemi z szeroko otwartymi oczami i zjezoną sierścią na karku. Lyam, którego głowa właśnie ukazała się w otworze nad zejściem do warsztatu, musiał chwycić się krawędzi posadzki, by nie spaść. Nawet Karal, który już widział to zjawisko, i An'desha, który je znał, otworzyli ze zdumienia usta i wstali.

W spiralnym tańcu — w którym brał również udział Aya, więź-ptak Śpiewu Ognia, w tej chwili w stanie czystej ekstazy — spłynęły z sufitu dwa jastrzębie wielkości człowieka, o skrzydłach z ognia. Wylądowały z wdziękiem tancerza i lekkością pióra, a w chwili, kiedy dotknęły podłogi, zamieniły się w kobietę i mężczyznę, jednak nadal przypominających nieco ptaki. Mężczyzna miał na sobie strój szamana Shin'a'in, ale kobieta wyglądała jak wszyscy Sokoli Bracia.

Wszyscy Shin'a'in zareagowali tak samo: nie padli na kolana, nie pochylili się w ukłonie, lecz wyprostowali z najgłębszym szacunkiem i czystym uwielbieniem w oczach.

Co... to... jest? — wydobył z siebie wciąż zjezony Tarrn.

Ja jestem Jutrzenka, a to Tre'valen — odpowiedziała kobieta, patrząc na niego z uśmiechem. Jej oczy — podobnie jak mężczyzny — były szeroko otwarte i miały kolor bezdennej czerni usianej złotymi punktami jak nocne niebo gwiazdami. — *Jesteśmy starymi przyjaciółmi An'deshy.*

Z jednej z dalszych komnat nadeszli Altra i Florian; przeszli przez pomieszczenie i zbliżyli się do zgromadzonych; byli jedynymi, którzy zachowali swobodę ruchów. Stanęli kilka kroków od jaśniejących postaci i skłonili się lekko na powitanie.

— Tre'valen i Jutrzenka są awatarami Kal' enel, Tarrn — odezwał się bardzo cicho An'desha. — Nie ośmielę się powiedzieć, że są moimi przyjaciółmi, ale okazali mi wiele dobroci.

Tre'valen roześmiał się.

Cóż, i tak jesteśmy twoimi przyjaciółmi, braciszku, niezależnie od tego, czy ośmielisz się to powiedzieć. Co więcej, chcemy wam pomóc, o ile będzie to w naszej mocy.

Te zaskakujące słowa jakby złamały zaklęcie wiążące wszystkich obecnych; podeszli do przybyłych, z wyjątkiem Karala, który nagle usiadł.

„Mamy Altrę za Vkandisa, Floriana w imieniu bogów Valdemaru — a teraz to. Co mówi przysłowie Shin'a'in?

Uważaj na to, o co prosisz.

Cóż, prosił o boską pomoc; czy ona wystarczy — to się okaże.

ROZDZIAŁ ÓSMY

— Wiem tylko tyle — powiedział król Tremane, nerwowym gestem pocierając skroń. — Od tygodni nie próbowałem nawet zapalić świecy za pomocą magii, ale moja energia magiczna dokądś odplywa. Jeśli powiecie mi, dokąd, będę czuł się o wiele lepiej.

Mroczny Wiatr kiwnął głową, mrużąc lekko oczy w słonecznym blasku wlewającym się przez okna do królewskiej Wieży. Tak właśnie ją teraz nazywano — „Królewska Wieża”, gdyż Shonar stał się automatycznie nową stolicą Hardornu. Jak na królewską rezydencję było to małe i trochę zaniedbane miejsce, ale sam kraj też nie przeżywał okresu świetności. Przedkładanie dobra swego nowego kraju nad własną wygodę na pewno nie zaszkodzi wizerunkowi Tremane’a.

Po okresie gorączkowych przygotowań odbyła się skromna ceremonia, podczas której książę Tremane został królem i otrzymał koronę, trochę zniszczoną, podobnie jak i państwo, a nawet zniekształconą, zanim ktoś nie przywrócił jej właściwego kształtu.

Jednak była to — przynajmniej w tej chwili — autentyczna korona Hardornu, a to miało swoje znaczenie. Tremane przyjął ją z wdzięcznością, miał na głowie w czasie uroczystości, po czym natychmiast odszedł do swych apartamentów i kazał stopić kilka klejnotów, z których na jego rozkaz zrobiono bardzo wąską, złotą opaskę z jak najmniejszą ilością ozdób, podobną do korony książęcej, którą dotychczas nosił.

Ta z kolei bardzo przypominała delikatny diadem królowej Selenay, lecz Mroczny Wiatr nie widział powodu, by o tym mówić. Szczerze mówiąc, diadem na łysiej głowie Tremane’a dodawał mu dostojeństwa, w przeciwieństwie do korony. Nawet nie uszkodzona korona wyglądała raczej śmiesznie, przynajmniej w oczach Mrocznego Wiatru.

„Korony. Tematem spotkania nie są korony”.

Przypomniał sobie słowa Tremane’a.

— Myślę — powiedział powoli — że twoja energia wsiąka w ziemię, przynajmniej po to, by znaleźć największe uszkodzenia i rozpoznać je; tym samym miejsca, w które odplywa, to obszary najbardziej zniszczone. Podejrzewam, iż najbardziej zniszczone tereny to te, na których rodzą się potwory — dzięki te-

mu zdołałeś odnaleźć ich legowiska. Zapewne jeśli chcesz, możesz zablokować odpływ energii.

Tremane zastanawiał się przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

— Właściwie nie widzę powodu, by się tym przejmować. Nie jest to znaczny wpływ mocy, nie sprawia mi bólu i nie osłabia fizycznie. Jedyne czynności, do jakich mógłbym potrzebować magii, i tak mogę wykonywać dzięki zmysłowi ziemi. Chciałem jedynie wiedzieć, dokąd odpływa energia, gdyż przyczyna mogła być groźniejsza.

Stwierdzenie to świadczyło o jego przenikliwości i jednocześnie o zmianach w sposobie myślenia — nie zaczął przecież od razu szukać ukrytego wroga i podstęp w tym, co się działo.

— Adeptci-uzdrowiciele Tayledrasów potrafią z rozmysłem przesyłać swą energię do miejsc najbardziej uszkodzonych — powiedział Mroczny Wiatr — Mogą również kierować tam energię z innych terenów, działając wtedy jak przekaźnik. Wydajesz się posiadać te same zdolności, chociaż zawdzięczasz je raczej zmysłowi ziemi niż urodzeniu czy szkoleniu.

— Ciekawe — odrzekł Tremane, marszcząc lekko brwi. Pod wpływem nagłej myśli pochylił się w stronę maga — Wiesz, jest jeszcze jedna sprawa, sądziłem, że mój zmysł ziemi obejmuje cały Hardorn, od krańca do krańca, lecz za każdym razem, kiedy kolejna grupa mieszkańców przybywa złożyć mi przysięgę, czuję się tak, jakby docierało do mnie więcej informacji niż poprzednio. To trudno wyjaśnić, to tak, jakbym wiedział, że to miejsce tam jest, ale wcześniej go nie widziałem, bo było ocienione — jak wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczy się dotychczas zaciemnioną komnatę w pełnym świetle.

— Być może tak właśnie jest — przytaknął Mroczny Wiatr. — Kiedy człowieka łączą emocjonalne więzi z określonym terenem — zwykle ojczyzną lub przynajmniej rodzinną wsią — zwykle powstaje również więź magiczna. Zaklęcia poszukujące i jasnowidzenia działają nieco lepiej, kiedy dotyczą rodzinnego terenu osoby, która je rzuca, niż wtedy, kiedy chodzi o miejsca widziane tylko raz. Kiedy mieszkańcy poddają się twojej władzy może również przekazują ci swe związki z ich terenem. Zresztą może to ziemia, którą od nich dostajesz w czasie ceremonii zaprzysiężenia, wiąże cię z ich terenami. Dla mnie jest oczywiste że ceremonia zaprzysiężenia to bardzo pierwotna forma magii skażenia.

Jego uwadze nie umknęło wahanie Tremane'a, kiedy użył słowa „przysięga”. Biedny monarcha bywał często bardzo zażenowany w obecności swoich poddanych; gdyby jeszcze oni o tym wiedzieli! Przez cały czas do miasta przybywały nieliczne grupy ludzi, zamierzających zaprzysiąc wierność nowemu królowi; odbywało się to w trakcie starożytnej uroczystości zwanej przez nich hołdem — zapewne tak starej, jak ceremonia związania z ziemią. Mroczny Wiatr przez chwilę nie wątpił ani w jej pierwotną formę, ani w siłę działania.

To z kolei niezwykle żenowało miejskiego, praktycznego Tremane'a, jak że-

nowałyby go wszelkie pierwotne rytuały.

Jednakże były one skuteczne i Mroczny Wiatr nie sądził, by musiał przypominać królowi o tym, że ze złożeniem przysięgi przez każdą nową grupę otrzymuje on nowy obszar — i dlatego zaczyna go wyczuwać swym zmysłem ziemi. Równie prawdopodobne było to, iż ziemia, którą Tremane połykał w czasie ceremonii dającej mu nowe zdolności, pochodziła z tyłu miejsc, do ilu zdołali dotrzeć przygotowujący ją kapłani — w ten sposób jego moc rosła.

— Co do twoich nowych poddanych, Tremane, kolejna grupa wjeżdża przez bramę — odezwała się Elspeth stojąca przy oknie. — Są dość ciężko uzbrojeni, a na czele widzę kogoś ze sztandarem — zmarszczyła czoło i dłonią osłoniła oczy, spoglądając na dziedziniec. — Czy to... tak, cztery liście truskawki. Nad nimi diadem barona. Gratulacje! Złowiłeś jedną z niewielu grubych ryb, jakie pozostały w Hardornie.

Mroczny Wiatr z trudem stłumił uśmiezek.

Po raz pierwszy, odkąd z tobą jestem, ke'chara, widzę herolda zachowującego się jak... prawdziwy herold.

Elspeth zachnęła się, a Gwena zachichotała w ich umysłach. Tremane westchnął, ale z wyraźną ulgą.

— Zatem będzie lepiej, jeśli zejdem na dół i powitam ich, jak należy — powiedział. — Czy możemy później wrócić do rozmowy?

— Oczywiście — odparła Elspeth za siebie i za Mroczny Wiatr. — Zobaczmy się na dole. Ubierzemy się odświętnie i zabierzemy Gwene. Jeżeli to baron, dobrze będzie potwierdzić twoje przymierze z sojuszem.

Mroczny Wiatr uśmiechnął się; nie po raz pierwszy występowali — Gwena, on i Elspeth — w pełnej gali, by olśnić nowego wasala. Niektórzy z nich wydawali się zaskoczeni widokiem „konia” wewnątrz pałacu, dopóki nie zobaczyli bieli Elspeth i nie uświadomili sobie, że Gwena to nie koń, lecz Towarzysz.

Tremane roześmiał się nieoczekiwanie; Mroczny Wiatr zauważył, że teraz śmiał się częściej — może nawet sam z siebie.

— Powinniście usłyszeć, co moja służba mówi na temat śladów podków na drewnianej podłodze. Czy w Valdemarze macie ten sam problem?

— Niestety — odparła Elspeth. — Nigdy nie zdołaliśmy rozwiązać tego problemu, a próbowaliśmy wszystkiego. — Odeszła od okna ze skrzyżowanymi rękami i błyskiem rozbawienia w oczach. — Założę się o srebrnego denara, że większe wrażenie zrobią na nich Mroczny Wiatr i Vree niż Gwena i ja.

— Przyjmuję — odrzekł lekko Tremane. Mroczny Wiatr wstał, uśmiechając się do siebie. Od czasu ceremonii związania z ziemią Tremane zachowywał się przy nich o wiele bardziej swobodnie, traktując ich raczej jak dobrych znajomych i równych sobie niż dyplomatów i cudzoziemców. Mroczny Wiatr domyślał się, co spowodowało tę zmianę, choć wątpił, by sam Tremane zdawał sobie z tego sprawę.

„Ziemia zna Elspeth i Gwene; od czasów Vanyela Valdemarczycy zawsze byli dobrymi strażnikami ziemi i przyjaciółmi Hardornu. Zna również mnie, gdyż my, Tayledrasi, rodzimy się i wzrastamy po to, by służyć i uzdrawiać ją. Ziemia zna nas i ufa nam, dzięki temu również Tremane czuje się z nami dobrze i jest skłonny nam zaufać”.

Nowe więzi łączące Tremane’a z Hardornem miały na niego oddziaływać na wiele sposobów, których często jeszcze sobie nie uświadamiał, lecz Mroczny Wiatr widział w tej sytuacji jedynie zalety. Król radził sobie dobrze. Bardzo rzadko ogarniała go chwilowa dezorientacja z powodu nowych informacji, jakich dostarczał mu zmysł ziemi. W końcu, kiedy Hardorn zostanie uzdrowiony, w trudnych sytuacjach ziemia częściej będzie podtrzymywała siły Tremane’a, a nie odwrotnie.

Rozległo się pukanie do drzwi; Elspeth podeszła do Mrocznego Wiatru, podczas gdy do komnaty wszedł nieśmiało adiutant Tremane’a, teraz przemianowany na seneszała, lecz najpewniej wciąż uważający się za wojownika.

— Komendancie. . . to jest, wasza wysokość. . . na dole czeka oddział, który. . .

— Wiem, zaraz tam zejdę — przerwał Tremane. — Znasz procedurę, idź dopilnować, by wszystko było przygotowane, a ja zejdę, kiedy tylko się przebiorę. Przeklęta korona — wymamrotał. Adiutant zasalutował, przypominając sobie, że Tremane jest teraz królem, a nie dowódcą wojska, po czym wyszedł z ukłonem. — Gdzie ja ją położyłem?

— Tam, gdzie zawsze, Tremane — roześmiała się Elspeth. — Zamknąłeś ją w skrzyni.

— Prawda, razem z szatami zbyt ciężkimi, by można je nosić, i nie dość ciepłymi, żeby chroniły przed chłodem w Wielkiej Sali — rozdrażniony Tremane zaklął pod nosem; Mroczny Wiatr zaczął się zastanawiać, jak zniósłby koronowanie na cesarza, skoro tak nie znosił ceremonialnych szat. — Nie będę tęsknił za zimą. Dziękuję; zobaczymy się w sali i przeżyjemy jakoś ten nonsens. Po raz kolejny.

— Tym razem będzie naprawdę wart wysiłku — zapewniła go Elspeth, wychodząc przed Mrocznym Wiatrem na korytarz.

— Myślisz? — zapytał, kiedy schodzili do swojej kwatery.

— Myślę, że będzie mile zaskoczony — odrzekła. — Nie wiem zbyt wiele o hardorneńskiej arystokracji, ale wydaje mi się, że przybyły może zajmować najwyższą pozycję spośród wszystkich, którzy przeżyli Ancara, co oznacza, że panuje nad bardzo dużym obszarem. Nie wspomnę już o jego eskorcie; wyglądają, jakby reprezentowali dość liczną armię.

— Ile lat ma ten baron? — zapytał z ciekawością Mroczny Wiatr. Miał powody, by pytać: hardorneńscy arystokraci, którzy przeżyli, byli albo bardzo starzy, albo bardzo młodzi. Pierwsi zawdzięczali ocalenie temu, iż nie stanowili zagrożenia dla Ancara, młodzi zaś przetrwali ukryci przeważnie na wsiach przez krewnych,

zaufanych chłopów lub byłej służby.

— Ma kilkanaście lat — czternaście, najwyżej piętnaście — odpowiedziała Elspeth.

— To stąd twoja pewność, że większe wrażenie zrobi na nim Sokoli Brat niż herold. Może nawet nie wiedzieć, kim jest herold, dopóki ktoś mu nie powie. — Mroczny Wiatr pogroził jej palcem. — Kradniesz srebro Tremane'a, szachrajko.

— Źle zrobił, zakładając się ze mną. Powinien już się nauczyć, że nigdy nie proponuję zakładu, jeśli nie jestem pewna wyniku.

Kiwnęła głową strażom stojącym po obu stronach drzwi i sama je otworzyła. Znajdujący się wewnątrz valdemarscy wojownicy podnieśli broń; kiedy rozpoznali wchodzących, uśmiechnęli się niepewnie i ponownie przyjęli pozornie swobodną pozę.

— Czy w taki sposób traktuje się monarchę? — zapytał Mroczny Wiatr i westchnął, kiedy zaczął wchodzić po wąskich schodach, kierując się do ich prywatnych apartamentów. — Zresztą nieważne; zapomnij o tym. Chyba mu to nie zaszkodzi.

— Nigdy nie spoufalam się z Tremane'em w obecności osób trzecich — przypomniała mu Elspeth, idąc tuż za nim. — To zachowanie przemyślane; pokazuje mi, że mam go za równego sobie i tak zamierzam go traktować. Jak często przypomina mi matka, moja abdykacja na rzecz bliźniąt nie sprawiła, że przestałam być księżniczką. W tym wypadku dobrze jest mieć ambasadora z krwi królewskiej.

— Prawda. — Następne piętro zajmowali strażnicy i służba; teraz siedzieli w głównej, okrągłej komnacie, zajęci najróżniejszymi pracami. Elspeth i Mroczny Wiatr pomachali im, przechodząc, ale nie zatrzymali się. — Cóż, zapewne według ciebie dla nowego poselstwa warto przebrać się w najbardziej ceremonialne stroje.

— Co do jednego pióra, paciorka, dzwonka i cekina — odparła Elspeth stanowczo. — Dla mnie galowa biel, łącznie z diademem, odznaczeniami i medalionami. I nie udawaj, kochanie, że nie lubisz się stroić.

— Nawet nie śmiem. — Na piętrze mieszczącym prywatne apartamenty posłów czuć było zapach kadzidełka, którego Mroczny Wiatr używał zarówno do nasycania powietrza aromatem, jak i odstraszenia robactwa. — W przeciwieństwie do was, tak zwanych cywilizowanych ludzi, my, Tayledrasi, umiemy szyć ubrania, które nie tylko są efektowne, ale też wygodne i praktyczne.

— Nie zaliczaj mnie do kategorii cywilizowanych! — zaprotestowała. — My, Valdemarczycy, uważamy dokładnie tak samo! No, w każdym razie my, heroldowie, a do nich zalicza się dynastia panująca.

— Efektowne stroje? — Uniósł brwi, podchodząc do skrzyni z ubraniami i podnosząc wieko. — Owszem, wasze ubrania są wygodne i praktyczne, ale nie macie pojęcia o stylu, przynajmniej wy — heroldowie. Swoim uniformem przerażałaś moich biednych hertasi. Myśleli, że masz na sobie torby, w których

przewozisz ubrania.

Zadowoleni dyskutowali o strojach, stylu i ozdobach, przebierając się w szaty ceremonialne: ona w biel, której on nadał nowy wygląd, z wszelkimi oznakami rangi, on zaś w swój najbardziej wymyślny kostium, choć według standardów Śpiewu Ognia wyglądał raczej skromnie. Jego drapowane szaty w kolorach szkarłatu, złota i ciepłego brązu podkreślała wymyślna skórzana tunika z wotowaniem na ramieniu; kiedy Mroczny Wiatr się ubrał, Vree poszybował ze swej żerdzi pod oknem wprost do niego, by delikatnie usiąść mu na ramieniu. Vree siedzący na ramieniu, a nie na nadgarstku, spełniał podwójną rolę. Po pierwsze — żaden sokolnik nie odważyłby się pozwolić komuś ze swych podopiecznych, by usiadł mu na ramieniu — groziło to bowiem raną twarzy lub utratą oka, jeśli ptak przestraszyłby się czegoś lub zdecydował się właśnie w tej chwili wybrać wolność. Ci, którzy posiadali odpowiednią wiedzę, bez wątpienia rozpoznają w Mrocznym Wietrze Sokolego Brata. Jedynie więź-ptakowi można było do tego stopnia zaufać, by siedział bez kaptura, troczków i jakiegokolwiek kontroli. Po drugie — gdyby egzotyczny strój nie wyróżniał Mrocznego Wiatru wystarczająco, Vree, większy od jakiegokolwiek myszołowa czy jastrzębia znanego tym ludziom, z pewnością zwróciłby ich uwagę.

Elsbeth, posiadająca wieloletnie doświadczenie w szybkim przebieraniu się, czekała z przesadzonym wyrazem znudzenia na twarzy, aż Mroczny Wiatr skończy poprawiać pasek.

— Podaj głowę — zarządziła, trzymając w rękach zrobione z piór i koralików ozdoby, które miały zostać wplecione w jego włosy. Sama miała już we włosach ozdobne pióro, które dostała od niego jako znak miłości — jedną z lotek Vree.

— Czy resztę siebie mam zostawić tutaj? — zapytał. Syknęła niecierpliwie i popchnęła go na krzesło. Vree zatrzepotał skrzydłami, by utrzymać równowagę. Elspeth wplotła sznurki z piórami w jego długie włosy z taką zręcznością, jakby urodziła się w ekele, a nie w pałacu.

— Proszę — powiedziała, schylając się, by go pocałować, a potem wierzchem dłoni uderzyła go lekko w czubek głowy. — Teraz możesz pokazać się ludziom.

— Na pewno. Ty także. — Wstał i skierował się ku drzwiom, tym razem prowadząc ją na dół. Wszystkie czynności, od wejścia do komnaty aż do tej chwili, zajęły tylko odrobinę czasu, jaki Tremane potrzebowałby na przygotowanie. Jednak oni nie musieli wbijać się w ceremonialne zbroje.

Ich orszak do tego stopnia przywykł do podobnych okazji, że Elspeth nie musiała nikogo prosić o wezwanie Gwenty, przybranie jej w odświętną uprząż i dzwonki oraz przyprowadzenie do Wielkiej Sali. Kiedy dotarli do bocznego wejścia, z którego mieli skorzystać, gdyby nadszedł Tremane lub gdyby delegację wpuszczono do środka, Towarzysz już na nich czekał. Służba Tremane'a przyzwyczała się już do wążającego się po komnatach „konie” i pozwalała jej chodzić tam, gdzie chciała. Obok niej czekali ci z dygnitarzy, którzy zdołali w krót-

kim czasie przebrać się w ceremonialne stroje, choć przekonali się, że nie zawsze strój nosi odpowiednia osoba. Mroczny Wiatr przypomniał sobie, jak pewnego dnia, kiedy większość ludzi Tremane'a wyszła na spotkanie z radą miejską, ktoś pożyczył tunikę oficera Imperium oraz garść medali i przekonał kucharza do jej włożenia! Ludzie przyjeżdżający złożyć przysięgę wierności zapewne nigdy już nie zobaczą Shonaru, więc nikt nie widział w tym nic złego, a zastępcy zapełniali w razie potrzeby luki na dworze i stwarzali wrażenie, iż każdy najmniejszy baron przyjeżdżający z garścią ludzi zostaje powitany z największymi honorami.

Tym razem jednak na miejscu znaleźli się nie tylko wszyscy notable, ale również burmistrz Shonaru, Sandar Giles, który po drodze na spotkanie z jednym z podwładnych Tremane'a dojrzał kolumnę zbrojnych jadących w kierunku pałacu. Natychmiast wysłał posłańca do miasta po swój strój ceremonialny, a teraz stał z pozostałymi, podczas gdy służba robiła, co mogła, by uporządkować Wielką Salę.

— Jest tam jeden z magów Tremane'a, ogrzewa komnatę — mówił Sandar do adiutanta Tremane'a, który wyglądał na nieszczególnie zadowolonego w cywilnej, bogato zdobionej tunice. Jego strój prezentował się tak, jakby został wyciążony ze strychu i przeznaczony do oficjalnego użytku przez senesza jego królewskiej mości. Jeśli o to chodzi, duża część dworskich strojów została uszyta z materiałów z odzysku lub znalezionych na strychach. Strój burmistrza Sandara był lekko nadgryziony przez mole zwłaszcza przy lamowaniach z wiewiórczego futra i wełnianym kapturze, jakby burmistrz wydobył go z zakamarków piwnicy dziadka.

„Nic dziwnego, że Tremane'owi tak trudno przychodzi traktować to wszystko poważnie. Zapewne ten dwór nie prezentuje się nawet tak, jak jego dwór książęcy. Elspeth i ja jesteśmy jedynymi ubranymi w całe, nie łatanie i nie poprzecierane stroje”.

Jednak żadna z tak licznych delegacji, jakie przyjechały lub przyszły do Shonaru, nie wyglądała lepiej, a wiele wyglądało dużo gorzej. W obecnej sytuacji dwór zapewne i tak wyglądał na wyjątkowo zamożny.

„Kiedys będziemy wspominać ten okres z sentymentem, jako pomyślny czas”. Była to ponura myśl, ale często przychodziła do głowy i jemu, i Elspeth. Jeśli nie uda się powstrzymać magicznych burz...

Cóż, zamartwianie się tym do niczego ich teraz nie doprowadzi. Pod przywództwem Tremane'a ludzie szykowali się na gorsze czasy, a Hardorneńczycy, w przeciwieństwie do mieszkańców Valdemaru, wierzyli w to, że będzie jeszcze gorzej. Po skończonej ceremonii, tuż przed odjazdem poselstwa, Tremane da im wskazówki, jak przetrwać ostateczną burzę, podobnie jak dał je poprzednim gościom. To, że owe wskazówki opierały się głównie na przypuszczeniach, nie miało znaczenia; goście zyskają dzięki temu pewność, iż król jest na najlepszej drodze do zapanowania nad sytuacją.

Drzwi się otworzyły — wszedł przez nie szczupły, łysiejący, poruszający się niezgrabnie mężczyzna, mrużący oczy za szklami osadzonymi w ołowianych oprawkach.

— Jest już ciepło i powinno tak być przez całą ceremonię — powiedział mag, machając rękami, jakby byli stadkiem kur, które pędził przed sobą. — No już, wchodźcie! Im szybciej zaczniecie ceremonię, tym lepiej.

Nikt nie potrzebował drugiego zaproszenia; w korytarzu panowało przejmujące zimno, a zapowiedź, że w komnacie jest ciepło, zachęcała do wejścia.

Elsbeth i Gwena czekały, aż inni wejdą; Mroczny Wiatr został z nimi. Gwena zawsze bardzo ostrożnie stąpała po posadzkach wewnątrz pałacu; mimo narzekań służby, po ceremoniach zostawało naprawdę niewiele jej śladów. Hardorneńscy wojownicy, którzy zapomnieli zdjąć ostrogi lub wchodzili do wewnątrz w ciężkich, podkutych butach, wyrządzali większe szkody niż ona, ostrożnie podnosząca nogi i stawiająca je bardzo delikatnie.

Gwena miała na sobie nie nadającą się do jazdy odmianę pełnego rynsztunku Towarzysza: bez siodła, lecz z błękitno-srebrnym czaprakiem skrojonym tak, jak jej zbroja, ozdobionym na szwach srebrnymi dzwoneczkami, uzdę z farbowanej na niebiesko skóry z wisiorkami ze srebrnych nici na wiązaniach oraz wodze — również ze srebrnymi dzwoneczkami. Gdyby było więcej czasu na przygotowanie, wpleciono by jej w grzywę i ogon dzwoneczki i niebieskie wstążki, lecz teraz musiało jej wystarczyć to, że ogon i grzywa sływały swobodnie.

— Wyglądasz przepięknie, jak zawsze — powiedział do niej Mroczny Wiatr.

Dzięki — odrzekła kokieteryjnie i lekko podrzuciła głową, by zadźwięczały dzwonki. — *Obawiam się, iż we czwórkę robimy większe wrażenie niż cały dwór Tremane'a, ale na to nic nie można poradzić.*

— Przynajmniej zdają sobie sprawę z naszego poparcia — zauważył po tym, jak zajęli wyznaczone miejsca pomiędzy innymi dworzanami.

Kiedy dworscy dygnitarze stawali w ustalonym porządku, dało się odczuć pewne poruszenie, a potem młody seneszał kiwnął głową i otworzono główne drzwi, by puścić nowe poselstwo.

Na jego czele stał chłopiec — nie dziecko, lecz młodzieniec zbyt młody, by potrzebować brzytwy — mający około czternastu lat. Pod szkarłatnym płaszczem i tuniką nosił pełną zbroję noszącą ślady częstego używania, a jego oczy widziały stanowczo zbyt dużo, by znajdować się w tak młodej twarzy. Wyszczerbiony i nieco zmatowiały diadem barona nie odstawał od ogólnego wrażenia pełnej bólu godności, z jaką się nosił; sądząc z budowy jego ciała, był przyzwyczajony do prawdziwej walki. Za baronem szli parami uzbrojeni mężczyźni w najróżniejszym wieku — od potężnych siwobrodych starców po chłopców tylko trochę starszych od swego przywódcy. Jeden z nich, idący zaraz za nim, niósł drewnianą szkatułkę. Wchodzili powoli, obserwując wszystkich podejrzliwie; Mroczny Wiatr ukrył uśmiech, kiedy oczy otworzyły się szerzej i zajaśniały na widok posłów sojuszu.

Jego spojrzenie przesunęło się z Elspeth na Mroczny Wiatr i z powrotem, po czym spoczęło na magu.

Wygrałam — myślpowiedziała Elspeth niepotrzebnie.

Poselstwo zatrzymało się u stóp niskiego podwyższenia. Kilku miejscowych artystów pracowało nad nowym tronem dla Tremane'a, gdyż dawny tron Hardornu zaginął w czasie grabieży i pożarów, jednak do czasu ukończenia prac pozostał jeszcze tydzień lub dwa. Na podwyższeniu stał tron tymczasowy, będący dawniej częścią dekoracji do imperialnego przedstawienia, przerobiony przez tych samych artystów. Zdrapali oni złotą farbę, która z daleka wyglądała zapewne dobrze, lecz z bliska sprawiała wrażenie zniszczonej; usunęli również kolorowe szkiełka z oparcia. Wyrzeźbione wilki zamieniły się w psy, hardorneński symbol wierności. Skrzyżowane na oparciu pod wyobrażeniem psów miecze, z których sporządzono nogi krzesła i oparcia dla rąk, stały się gałęziami drzew, a drewno natarto olejkami i wyczyszczono do połysku. Wytarte poduszki zastąpiono brązowym aksamitem z zasłon znalezionych w magazynach. Jednakże wskutek odnawiania drewno starło się miejscami do niebezpiecznie cienkiej warstwy i Tremane został ostrzeżony, by przy siadaniu zachował ostrożność. Wszyscy z utęsknieniem czekali na dzień, kiedy zakończą się prace nad nowym tronem. Gdyby tron zawałił się w czasie audiencji, byłby to straszliwy omen. Tremane żartobliwie skomentował, że przeróbka udawanego, solidnego tronu cesarskiego na słaby tron hardorneński była jak najbardziej odpowiednia.

Tremane pozwolił poselstwu czekać tylko tak długo, by zdążyli dobrze się przyjrzeć dworzanom i by na ścianie za tronem zawieszono chorągwie tych, którzy już złożyli przysięgę wierności. Większość z nich dostała je od poprzednich właścicieli, chociaż często nie został nikt, kto mógłby je przekazać. Tremane szybko rozwiązał ten kłopot, potwierdzając pozycję przedstawicieli poselstw jako nowych lordów i przenosząc na nich stare tytuły, kiedy tylko przyjął od nich przysięgę.

Niestety, obok wielu starych rodów, które straciły wszelkie znaczenie, wielkie połacie ziemi leżały odłogiem, lecz Tremane i na to znalazł radę. Z nadejściem lata ziemia zostanie zagospodarowana: imperialni oficerowie gotowi do odejścia z armii otrzymają tytuły i posiadłości jako lordowie. Będą mogli zabrać ze sobą wojowników, którzy zechcą odejść, by zająć się uprawą — i znajdą sobie żony spośród miejscowych kobiet — ci z kolei otrzymają za darmo w dożywotnią dzierżawę wybrane przez siebie gospodarstwa. W ten sposób nowi lordowie zyskają jednocześnie garnizon i siłę roboczą, młode pary zaś — dobry start na nowej drodze życia. Po ogłoszeniu tego zarządzenia ilość zaręczyn i umów przedmażeńskich natychmiast gwałtownie wzrosła, jakby rolnicy i ojcowie z Shonaru, dotąd niezbyt chętnie witający przyszłych zięciów z Imperium, po usłyszeniu o królewskim posagu, jaki ofiarował im przewidujący władca, pozbyli się wszelkich oporów.

Mroczny Wiatr ledwo powstrzymał się od uśmiechu na widok ukradkowych spojrzeń, jakimi wciąż obrzucał go młodociany baron. Mag słyszał, że pogłoski o jego osobie i mocy dotarły już poza mury miasta, z każdą przebytą milą nabierając cech coraz bardziej fantastycznych. Zastanawiał się, co usłyszał chłopiec, że przypatrywał mu się tak szeroko otwartymi oczami.

Przy drzwiach w tylnej ścianie niszy nastąpiło lekkie poruszenie i wszedł królewski ochmistrz.

Uderzył on trzy razy laską w podłogę.

— Jego wysokość Tremane, król Hardornu — obwieścił donośnie; słysząc jego dźwięczny, rozkazujący głos, można było od razu odgadnąć, dlaczego został wybrany na to stanowisko. — Oraz główni doradcy jego królewskiej mości!

Tremane i jego główni doradcy weszli majestatycznie jeden za drugim. Oczywiście doradcy byli jednocześnie jego strażą i nosili ukrytą broń, jednak nic w ich postaciach nie wskazywało na to. Tremane miał na sobie ceremonialną zbroję, koronę Hardornu, szatę tkaną we wzór z jego własnym herbem — zarekwirowaną byłemu giermkowi — a na niej fałdzisty jedwabny płaszcz obszyty jedwabną lamówką pochodzącą z tych samych zasłon, które dostarczyły materiału na poduszki do tronu. Płaszcz również stanowił dawniej rekwizyt do jakiejś sztuki, był niezwykle długi, a jego tren musiało nieść dwóch specjalnie zatrudnionych do tego celu paziów.

Obaj paziowie należeli do piątki chłopców, których Tremane i jego ludzie uratowali w czasie pierwszej groźnej zawiei; nosili imiona Tobe i Racky i traktowali swoje obowiązki bardzo poważnie. Mieli zgrabne mundurki, które ich matki uszyły z oficerskich mundurów armii Imperium; duma rozpierała matki na myśl, iż ich synowie służą nowemu królowi.

Tremane z wielką ostrożnością — co dla niewtajemniczonych mogło wyglądać na przesadne dostojeństwo — usiadł na tronie. Paziowie ułożyli tren płaszcza przed jego stopami, jak ogon pawia — ledwie mieszcząc się w granicach zdrowego rozsądku — i stanęli z tyłu, po obu stronach tronu. Młody baron sprężył się, kiedy Tremane kiwnął w jego kierunku głową.

— Baronie Peregrynie, z tego, co wiem, przybywasz z Adair — powiedział cicho. — Bardzo się cieszę z twego przybycia.

Mroczny Wiatr obserwował chłopca i jego eskortę, by sprawdzić, czy dostrzeegli stosunkowo nieformalny język, jakiego użył król. Po wielu wahaniach Tremane zdecydował się w ogóle zrezygnować z królewskiej liczby mnogiej, gdyż Ancar wyjątkowo jej nadużywał. Uwagi Mrocznego Wiatru nie uszły porozumiewawcze kiwnięcia głową, jakie wymienili pomiędzy sobą dwaj starsi mężczyźni; wydawało mu się, że na ich twarzach pojawiło się zadowolenie.

Młody baron postąpił dwa kroki do przodu i natychmiast przyklęknął; za jego przykładem poszła cała świta.

— Przyjechałem złożyć przysięgę, królu Tremane — powiedział wysokim,

lekko drżącym tenorem. — Na znak mojego oddania przywożę ci ziemię z moich włości i ziemię należącą do tych, którzy mnie zaprzysięgli wierną służbę.

Młody baron, nie patrząc, sięgnął za siebie; mężczyzna niosący szkatułkę położył ją na jego wyciągniętej dłoni. Mroczny Wiatr obserwował uważnie ich ruchy i analizował je, starając się domyślić, jakie relacje łączą barona z podległymi mu ludźmi.

„Uznają go za swego przywódcę mimo młodego wyglądu; wielokrotnie walczył i pracował wspólnie ze starszymi poddanymi. Ufają mu — i on im ufa. Cechują go młodość, entuzjazm i charyzma, oni zaś posiadają doświadczenie, a wszyscy pracują razem, czerpiąc z jednego i drugiego. Warto będzie nasłuchiwać o jego dalszych losach, może dokonać wielu szlachetnych wyczynów, o których powstaną pieśni”.

Chłopiec otworzył szkatułkę i wyciągnął ją w kierunku Tremane’a, który wyjął z niej dwie garści gleby i przytrzymał je na moment.

— Tak zatem ja, Tremane, król Hardornu, biorę w opiekę włości Peregryna, barona Adairu, oraz tych, którzy podlegają mu na mocy przysięgi wierności — obwieścił donośnym, pełnym dostojności głosem. Wrzucił ziemię z powrotem do szkatułki i wyciągnął dłoń w kierunku Tobe, starszego z paziów. Tobe podał mu mały sztylet; z kamienną twarzą Tremane naciął skórę na dłoni, wyciągnął ją nad szkatułką i poczekał, aż krew ścieknie do jej wnętrza, mieszając się z ziemią.

— Ja, Tremane, król Hardornu, uznany przez samą jego ziemię, składam moją krew przysięgę włościom Peregryna, barona Adairu, oraz tym, którzy zaprzysięgli mu służbę. — Drugi paź, Racky, wziął od niego sztylet i podał mu lniany ręcznik; król owinał nim dłoń. W tym czasie Tobe wziął od Peregryna szkatułkę, miniaturową łopatką wymieszał dokładnie ziemię z krwią, po czym tą samą łopatką podzielił zwilżoną ziemię — połowę pozostawił w szkatułce, drugą przesypał do małej skrzyneczki. Szkatułkę oddał Peregrynowi, który przyjął ją z nabożeństwem, jak relikwię, zaś skrzyneczkę oddał seneszalowi — ten zaś po skończeniu ceremonii odniesie ją do piwnic i wsypie jej zawartość do urny zawierającej już ziemię z innych okolic.

Rytuał mieszania i dzielenia ziemi dawał Tremane’owi okazję do odzyskania równowagi po wstrząsie, jaki odczuwał po dołączeniu nowych terenów do ziem objętych działaniem jego zmysłów. Mroczny Wiatr wiedział, że zanim król wróci do własnych komnat, cięcie na dłoni zupełnie się zagoi — a teraz nadeszła chwila, by Tremane potwierdził przed Peregrynem swe prawo do korony, mówiąc mu, co złego dzieje się z jego ziemiami — jeśli rzeczywiście dzieje się coś złego.

„Jeśli? Na pewno są w bardzo złym stanie. Adair leży na północy, zatem na pewno dotarły do niego odbicia z granicy z Iftelem, zanim Śpiew Ognia i pozostali wywołali przeciw-burzę”.

Oczy Tremane’a zaszyły mgłą, co oznaczało, że czuł coś bardzo silnego, zapewne także złego.

— Na terenie twoich ziem, baronie Peregrynie, leży niewielka dolinka rzeczna kończąca się jeziorem, wzgórzem w kształcie śpiącego kota i sosnowym lasem — odezwał się powoli, jakby w transie. Peregryn otworzył szeroko oczy, a kilku jego ludzi zaczęło gorączkowo szeptać między sobą. — Pod wzgórzem znajduje się jaskinia, a w niej miejsce, do którego spływa magia — i gdzie się zbiera. Żyje tam zwierzę zamienione przez magię w potwora. Nie możesz go zabić, gdyż kosztowałoby to życie wielu ludzi. Nie zdołasz go otruć. By się go pozbyć, musisz podłożyć mu krowę karmioną przez trzy dni belladoną. Zakrztusi się nią; spowoduje ona, że stanie się senny i będzie szukał schronienia w jaskini. Wtedy musisz zawalić wejście do niej, by uwięzić go wewnątrz.

Tremane mówił dalej, podając kolejne przyczyny kłopotów barona i sposoby ich rozwiązania. Peregryn do lata nie miał możliwości wypróbowania większości z nich, ale przynajmniej i on, i jego ludzie wiedzieli, gdzie leżą źródła zagrożenia i po kolei będą mogli je eliminować. W miarę jak król mówił, coraz więcej ludzi Peregryna zaczynało szeptać; na ich twarzach pojawił się wyraz lekkiego osłupienia. Najwidoczniej kilka z rewelacji Tremane'a dotyczyło spraw, które znali — i wiedzieli, że nie mógł on się o nich dowiedzieć. W końcu król zamilkł, zamrugał, potrząsnął głową i spojrzał na nich uważnie.

— Mam nadzieję, że to pomoże — stwierdził sucho. Oczywiście pamiętał wszystko, co powiedział; nie znajdował się w prawdziwym transie, był raczej bardzo skupiony. Za jego plecami jeden z urzędników zapisywał każde słowo; przed odjazdem Peregryn otrzyma kopię zapisu. Gdyby baronowi nie udało się poradzić sobie z opisanymi kłopotami, pozostanie zapis i w odpowiednim czasie ludzie Tremane'a zajmą się ich rozwiązaniem.

— Więcej niż tylko pomoże, wasza wysokość — odpowiedział wstrząśnięty Peregryn.

Powiedziałby więcej, lecz jeden z jego ludzi w przyпіlywie entuzjazmu wstał energicznie i podniósł dłoń z mieczem nad głowę.

— Niech żyje król Tremane! — zawołał głosem łamiącym się ze wzruszenia. — Niech błogosławią go wszyscy bogowie!

Za jego przykładem poszli inni członkowie orszaku, również Peregryn, wstając i wiwatując. Tremane siedział na tronie — częściowo, jak sądził Mroczny Wiatr, ze względu na to, że nie mógł wstać — i kiwał głową, dziękując za owację. Niektórzy ze starszych mężczyzn płakali; to oni w końcu rzucili się do stóp Tremane'a i zaczęli całować jego ręce. Był to wybuch tak silnych emocji, że nawet Tremane nie pozostał obojętny. Król bardzo uważał, by każdemu z mężczyzn uścisnąć rękę obiema dłońmi i wysłuchać jego nieskładnych wypowiedzi, dopóki nie będzie gotów wstać, by jego miejsce zajął kolejny. Dla Mrocznego Wiatru było oczywiste, iż Tremane rozpoznał w tych starych wojownikach ludzi, jakimi rzeczywiście byli — a wiedział, jak trudno jest wydobyć od podobnych im jakakolwiek pochwałę, nie wspominając już o wybuchu takiego entuzjazmu.

Starsi mężczyźni przeżyli okres czystek i nie spodziewali się już ujrzeć Hardornu na powrót bogatego i spokojnego. Mroczny Wiatr dobrze wiedział, dlaczego tak płakali; Tremane również.

— Oddałem im marzenia i nadzieję — powiedział, sam lekko przestraszony, kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy. — Teraz widzą przyszłość; ich wnuki mogą rosnać, nie obawiając się śmierci z powodu kaprysu króla.

Miał słuszość; ci starzy mężczyźni zobaczyli znów przyszłość tam, gdzie dotąd widzieli tylko ciemność.

Minęło trochę czasu, zanim młody baron i jego ludzie odzyskali równowagę, i jeszcze więcej, zanim skończyły się wszelkie odpowiednie ceremonie. Tremane przeprosił gości za to, że musi ulokować ich w barakach, oni zaś pośpieszyli z zapewnieniem, iż z chęcią przenocują na śniegu. Tremane rozkazał sierżantowi zaopatrzenia — zwanemu teraz dumnie królewskim kwatermistrzem — by przekazał nowym poddanym „okolicznościowe dary”, ci zaś oczywiście zaprotestowali. Na „okolicznościowe dary” składały się towary, które w mieście występowały w nadmiarze, a ich pojawienie się na rynku spowodowałoby znaczną obniżkę cen. Były to stroje z Imperium, narzędzia i broń. Niektórzy podwładni Tremane’a sprzeciwiali się wydawaniu broni, argumentując, że król zbroi ludzi, którzy jeszcze niedawno byli jego wrogami. Jednak Tremane czuł, a Mroczny Wiatr zgadzał się z nim, że podarowany im oręż świadczył o zaufaniu, jakim ich darzył. Był to prawdziwie królewski gest.

Poza tym nowi poddani potrzebowali uzbrojenia, które dawał im Tremane. Ich własne zasoby ucierpiały podczas wojny z Imperium; jeśli mieli się pozbyć nękających ich ziemie potworów, potrzebowali go. Nie był to czysty altruizm. Praktycznie rzecz biorąc, Tremane wolał, by sami mieszkańcy walczyli w potworami, gdyż w przeciwnym razie musiałby wysłać swoich ludzi do pomocy. Miejscowi znali swoje tereny, wiedzieli, gdzie mogą się gnieździć potwory i którędy chodzić. Jego ludzie nie byli w stanie tego dokonać. Lepszym wyjściem było pozwolić lokalnym znawcom, by radzili sobie na własną rękę, jeśli mieli jakiegokolwiek szansę.

Zanim prezentacja się skończyła, Peregryn i jego ludzie nie posiadali się z radości. Nie zauważyli, że Tremane pobladał, spocił się i zacisnął dłonie na poręczach tronu tak silnie, że kostki palców zbieleły.

Nie wstaje, ponieważ nie może — odezwała się Elspeth zaniepokojonym myślgłosem. — *To nie jest zwykła dezorientacja; tym razem przeżywa naprawdę coś ciężkiego.*

Co się dzieje? — zapytał z nadzieją, że będzie wiedziała.

Nie wiem i Gwena też nie wie — W jej głosie zabrzmiała frustracja. — *Mogę jedynie stwierdzić, że jest niemal w takim samym stanie, jak wtedy, kiedy obudził się w nim zmysł ziemi. Ma to coś wspólnego z samym zmysłem i nową ziemią, którą przyjął dzisiaj pod opiekę.*

Żadne z nich nie odważyło się ruszyć z pomocą przed wyjściem barona i jego

ludzi; Tremane najwyraźniej usiłował ukryć swoją słabość, a oni mieli obowiązek uszanować jego życzenie. Mroczny Wiatr wyciągnął rękę ku dłoni Elspeth, ona uczyniła to samo; ich dłonie zamknęły się w uścisku, kiedy czekali w napięciu na zakończenie ceremonii.

Wreszcie baron i jego ludzie wyszli z sali, udając się na nocleg do baraków. Rano Tremane znów się z nimi spotka, by przekazać ostrzeżenia i instrukcje dotyczące tego, co wszyscy już nazywali „ostateczną burzą”. Potem, kiedy wszystko zostanie przygotowane do ich powrotu, ruszą do domu z małą karawaną sań z zapasami. Dopiero kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Tremane mógł pochylić się nisko, a jego ludzie — pośpieszyć mu z pomocą.

Zanim zdążyli coś zrobić, zatrzymał ich jednak ruchem dłoni.

— Nic mi nie będzie — odezwał się; Mroczny Wiatr wypuścił wstrzymywane dotąd powietrze, gdyż głos Tremane’a brzmiał normalnie, choć nieco drżał. — To nic fizycznego, chyba nie ma się czym martwić. Tylko... stało się coś nieoczekiwanego; pozwólcie mi posiedzieć chwilę, zanim przyjdę do siebie — spojrzał na Mroczny Wiatr i uśmiechnął się żałośnie. — Szczerze mówiąc, czuję się tak, jakby ktoś zrzucił mnie z bardzo wysokiej skały i jakbym zatrzymał się tuż nad ziemią.

Elspeth i Mroczny Wiatr przyklękli przy nim.

— To nowe włości, prawda? — zapytała Elspeth. — Coś na ich terenie. Czy to znów burze?

Jakby jej pytania pomagały mu zrozumieć nowe odczucia skoncentrował się na nich.

— Tak. Nie. Tak, to Adair, ale nie, to nie burze. Nie wiem, co to jest, ale to nie... zaczekajcie — jego spojrzenie znów się zamgliło. — To granica, północna granica. Adair leży na północnej granicy, a tam coś się stało. Coś ważnego. Coś, co wszystko zmieni.

— Co... — zaczął jeden z generałów, ale Tremane potrząsnął głową.

— Nie wiem — powtórzył. — Wiem tylko, że to coś całkowicie nowego.

— Co jest na północnej granicy? — zapytał ktoś inny i spojrzał wyczekująco na Elspeth.

Ona знаła odpowiedź, ale nie odezwała się, zbladła tak, jak Tremane.

— Iftel — powiedziała w końcu, ściskając dłoń Mrocznego Wiatru. — Iftel. Jedyne miejsce w tej części świata, o którym nikt nie wie.

— Zatem to jest ta wiadomość? — zapytał Tremane, podnosząc brwi. — Tylko to? Nic więcej?

Po odzyskaniu sił kontynuował w swej kwaterze przerwane poprzednio spotkanie z Mrocznym Wiatrem i Elspeth. Teraz jednak wszyscy zapomnieli, o czym mówili, gdyż z północy nadeszła wieżami sygnalizacyjnymi wiadomość. Niestety

potwierdzała to, co się stało, nie zawierała natomiast wiele nowych informacji.

— To wszystko, co zawierała, komen... wasza wysokość — poprawił się adiutant. — Granica z Iftelem nagle się otworzyła i przejechało przez nią coś — przyjaźnie nastawione, które zdąży tutaj. Obawiam się — dodał przepraszająco — że system sygnałów używanych w wieżach nie jest zbyt precyzyjny.

— Jednak sygnał wyraźnie przekazywał, iż są nastawieni przyjaźnie? — zapytał Tremane napiętym głosem. Mroczny Wiatr nie winił go za to.

— Tak, panie, był jednoznaczny — odrzekł pewnie adiutant. — Człowiek zajmujący się sygnałami powiedział, że rzadko widuje się ten znak, ale z pewnością odczytuje się go jako „przyjazny”.

— Dzięki bogom za drobne uprzejmości — mruknął Tremane i westchnął, pocierając dłonią podbródek. — Cóż, teraz wiem, jak... czuje się otwarcie granicy z Iftelem. To pożyteczna informacja. Ale nie potrafię sobie wyobrazić, jak ci, którzy tu jadą, zamierzają podróżować zimą.

— Peregryn i jego ludzie dokonali tego — zauważył Mroczny Wiatr. — Nie ma powodu wątpić, że innym się to nie uda; zajmie im to po prostu więcej czasu — będę podróżować prawdopodobnie kilka tygodni piechotą lub dziesięć dni końmi.

— Hm, może wtedy będę już miał prawdziwy tron, taki, na którym będę mógł usiąść bez obawy, że zaraz się pode mną zawali, a ja wyląduję na posadzce — westchnął i roześmiał się. — Posłuchajcie tylko: narzekam na niewygodny tron! Jakby to było nasze największe zmartwienie!

— Poselstwo z Iftelu... — zastanawiała się Elspeth, obracając na palcu jeden z pierścieni. — Zawsze wpuszczali do siebie jednego posła z Valdemaru, ale musiał on należeć do Gildii Kupieckiej. Nigdy nie pozwolili na wjazd kogokolwiek z Gildii Najemników ani żadnego herolda — pokręciła głową. — Poseł nie mówił zbyt wiele, jedynie tyle, że pragną pokoju, lecz nie są zbyt zainteresowani zacieśnianiem stosunków.

— Izolacjonizm — skomentował Mroczny Wiatr.

„Trudno nie powiedzieć tego samego o Tayledrasach”.

— Zapewne mieli ku temu ważne powody — zauważył Tremane. — Kiedy Valdemarczycy spotkali się z nimi po raz pierwszy?

— Jakiś czas po założeniu państwa — przyznała Elspeth. — Już wtedy istniała bariera, przynajmniej tak podają kroniki. Jako pierwszego wpuszczono kupca i od tej pory głównie kupcy przekraczali granicę. — Uśmiechnęła się drwiąco. — Może i są izolacjonistami, ale, jak my wszyscy, lubią zakupy. — Mroczny Wiatr opanował uśmiech, gdyż ostatnie stwierdzenie odnosiło się do niej samej. Nie potrafiła oprzeć się kilku drobiazgom, jakie wypatrzyła na strychu imperialnego magazynu.

— Zatem mogli spotkać kogoś lub coś wyjątkowo niebezpiecznego, zanim jeszcze poznali Valdemarczyków — powiedział Tremane w zamyśleniu; zapewne zastanawiał się, co mogło okazać się aż tak straszne, że skłoniło cały naród do

wzniesienia magicznej bariery chroniącej go przed intruzami. To, że owa bariera przetrwała wieki i oparła się wysiłkom Ancara, Zmory Sokołów i Imperium, czyniło ją jeszcze bardziej zadziwiająca.

— To całkiem prawdopodobne — potwierdził Mroczny Wiatr. — W tych wczesnych wiekach na północy spotykało się naprawdę straszliwe istoty. Gdzieś w pobliżu leżała przynajmniej jedna Dolina Tayledrasów; według naszych przekazów w czasie swego pobytu w tych stronach Tayledrasi spotkali i pokonali maga krwawej ścieżki bardzo podobnego do służącego Ancara, Zmory Sokołów, lecz potężniejszego.

Nie dodał, że owym magiem był zapewne sam Zmora Sokołów w jednym ze swych wcześniejszych wcieleń. Tremane nie wiedział nic o tym magu i zapewne niewiele go to obchodziło; jedyną osobą wciąż przejmującą się Zmorą Sokołów był An'desha — i to jedynie dlatego, że wciąż przechowywał jego wspomnienia, które miały wyjątkowe znaczenie. Ale co do reszty...

„Zmora Sokołów nie żyje, tym razem na pewno. Niech tak zostanie. Mamy ważniejsze problemy”. Poważne spojrzenie, jakim odbarzyła go Elspeth, potwierdziło tylko jego wniosek. Teraz sytuacja stała się na tyle poważna, że nawet odcinający się od świata Iftel zdecydował się otworzyć granice i wysłać poselstwo; nie mieli czasu, aby myśleć o przeszłości.

— Nie wiem, czy posłowie Iftelu mogą ci cokolwiek zaoferować, a jeśli nawet, to co — ostrzegł Mroczny Wiatr.

— Jeśli nic ważnego — rozważał Tremane — to może uda nam się nakłonić ich, by zdradzili nam sekret osłony granicznej. Dotąd chroniła ich przed najcięższymi skutkami burz; może mogłaby chronić również nas.

— O ile ci ludzie dotrą tutaj w odpowiednim czasie — przypomniał sucho Gordun, główny mag Tremane'a. — Do północnej granicy jest daleko, a podróż ciężka; zanim tu dojadą, ostateczna burza może obrócić miasto w perzynę.

Tremane z żalem pokiwał głową.

— Racja, chociaż przez chwilę podobała mi się ta myśl. Cóż, w ten sposób stajemy przed następną kwestią: co powiemy jutro naszemu nowemu baronowi o ostatecznej burzy?

— Kończ szybko grać w karty i kryj się! — zaproponował jakiś dowcipniś. Rozległ się ogólny, cichy śmiech, a potem rozpoczęli poważną rozmowę na temat postępowania w najbliższej przyszłości. Późno w nocy ustalili, co powiedzieć baronowi i jego ludziom — tyle, by zrozumieli powagę sytuacji, ale nie wpadli w panikę. Panika również nie wyszłaby Peregrynowi i jego poddanym na dobre.

Podczas następnych dni baron otrzymał zapasy, listę ludzi zainteresowanych osiedleniem się na północy oraz informacje i ostrzeżenia dotyczące ostatecznej burzy. To ostatnie i on, i jego ludzie przyjęli z filozoficznym spokojem; nie mogli zatrzymać burz, mogli jedynie mieć nadzieję, że ich skutki ograniczą się do terenów nie zasiedlonych przez ludzi. W czasie pierwszej burzy, złapani w pułapkę

pomiędzy falami zakłóceń i odbiciami od granicy Iftelu, ponieśli prawdopodobnie większe szkody niż ktokolwiek inny.

— Kilku ludzi miało pecha i znajdowało się wtedy w obszarach zwanych przez nas „kręgami zmian” — powiedział Peregryn, bezsilnie wzruszając ramionami. — Ci, którzy mieli szczęście, zginęli.

— A ci, którzy go nie mieli, przeżyli — dokończył ponuro jeden z jego doradców. — Chociaż często nie przetrwali długo, jeśli popełnili błąd i zbliżyli się do ludzkich osiedli w poszukiwaniu pomocy. Nie zawsze zmieniały się ich ciała, przynajmniej nie na zewnątrz.

Tremane wymienił z Mrocznym Wiatrem znaczące spojrzenia. On i jego ludzie zastanawiali się nad tym mniej więcej w tym samym czasie, co członkowie Sojuszu. Jednak gdy w Valdemarze koncentrowano się głównie na przewidywaniu obszarów zmian, by nie dopuszczać w ich pobliże ludzi ani większych zwierząt, mieszkańcy Shonaru i jego okolic planowali sposób postępowania na wypadek, gdyby człowiek stał się potworem.

Aż do tej chwili były to jedynie teoretyczne rozważania. Teraz wiedzieli, że gdzieś na północy istnieli zmienieni ludzie; nadszedł czas, by plany wprowadzić w życie — któraś z nieszczęsnych ofiar mogła przecież powędrować na południe. Tremane zapisał coś na skrawku papieru i przekazał paziowi, by ten zaniósł to urzędnikom. Napisane rozkazy zostaną rozesłane z codzienną odprawą. W zasadzie brzmiały prosto:

„Wskutek burz ludzie również zostali zmienieni. Jeśli ktoś taki okaże inteligencję i nie będzie agresywny, zachowajcie ostrożność, ale zostawcie go w spokoju na tyle długo, by ujawnił swe intencje”.

Rozkazy wywołały wiele dyskusji — jedni sprzeciwiali się samemu pomysłowi dawania zmienionym szansy ataku, drudzy proponowali, aby spróbować nawiązać kontakt z każdym zmienionym, który choćby zatrzyma się na chwilę, zanim zaatakuje. W końcu, by uciąć kłótnie, Tremane wykorzystał królewskie uprawnienia i sam zdecydował o sformułowaniu rozkazu; jak przewidział, nie zadowolili on nikogo, nawet jego samego.

Mroczny Wiatr zauważył jednak, że Tremane zachował dość imperialnego stylu bycia, by nie przejmować się, czy ktoś jest zadowolony, póki rozkaz spełniał swój cel. Nikt z nich nie przewidziałby efektów tego prostego rozkazu.

Nie później niż dwa dni po odjeździe barona Peregryna, jego orszaku i sań z darami, w czasie kolejnej ceremonii — tym razem z udziałem bardzo starego rycerza, który już wcześniej przesłał nieformalne potwierdzenie przysięgi, lecz nie czuł się na siłach podjąć zimowej podróży aż do tej pory — dowiedzieli się, dlaczego wieże sygnałowe donosiły o „czymś” nadjeżdżającym z Iftelu.

Nikt nie spodziewał się, czym to „coś” może się okazać.

Tremane właśnie dodał swoją krew do ziemi przywiezionej przez rycerza Mariwella, kiedy na murach fortecy rozległ się głośny krzyk. Mroczny Wiatr podskoczył i spojrzał odruchowo w górę, choć poprzez kamienne ściany i sufit nie mógł nic dojrzeć. Z wielką przytomnością umysłu Racky wziął wypełnioną ziemią szkatułkę z rąk Tremane'a, szybko wymieszał jej zawartość, podzielił na dwie części i jedną z nich podał starcowi, podczas gdy wokół niego spłoszona starszyzna szeptała między sobą i rozglądała się z dłońmi opartymi na pustych pochwach mieczów. Zanim Tremane zdążył posłać kogoś, by wyjaśnił przyczynę zamieszania i zaraz po tym, jak Racky wcisnął szkatułkę z ziemią w drżące dłonie jej właściciela, do komnaty wpadł jeden z królewskich strażników z twarzą białą jak śnieg.

— Potwory nad zamkiem! — wrzasnął. — Na bogów! Wielkie, ogromne, latające potwory! Jest ich tyle, że nieba nie widać! Bogowie, pomóżcie. . .

Elsbeth osłaniała dłonią oczy i mrużyła je w świetle słońca, przyglądając się ciemnym kształtom unoszącym się nad dziedzińcem. Na razie było jeszcze za wcześnie, by określić, jak owe „potwory” wyglądały. Na pewno miały skrzydła, lecz coś w ich wysmukłych sylwetkach i sposobie latania wydawało się męcząco znajome.

„Przypominają mi Treyvana i Hydone, ale nie latają dokładnie w ten sam sposób. Czy to mogą być gryfy? Od wielu lat istnieją pogłoski o gryfach żyjących na północy. . .”

— Pamiętajcie o rozkazach — zawołał Tremane do zdenerwowanych strażników na murach i wieżach. — Nie strzelać, zanim was nie sprowokują!

„Oby tylko nie wzięli za prowokację samej próby lądowania!”

— Jest ich dokładnie dwadzieścia jeden — powiedział z roztargnieniem Mroczny Wiatr, stojący po jej prawej stronie, i spojrzał w niebo. Zagryził wargi; Elspeth czuła, że przez chwilę zastanawia się, po czym jego oczy zwęziły się, jakby podjął decyzję. Wyciągnął dłoń w rękawicy do Vree, który przeszedł na nią z żerdki na ramieniu; po jego spojrzeniu odgadła, iż rozmawia ze swym opiekunem. Chwilę później Mroczny Wiatr podrzucił Vree do góry; więź-ptak rozwinął skrzydła i poleciał prosto ku tajemniczym kształtom. — Już za chwilę będę wiedział. . . — zaczął z na pół przymkniętymi oczami.

Niespodziewanie wybuchnął śmiechem, który rozległ się na cichym dziedzińcu. Niemal wszyscy obecni wzdrygnęli się i spojrzeli na maga. niewątpliwie posądzając go o nagłe szaleństwo. Mroczny Wiatr odgarnął z czoła śnieżnobiałe włosy i wskazał na „potwory”, a potem na Vree; myszołów wracał powoli.

— Każ swoim ludziom odłożyć broń, królu — zawołał Mroczny Wiatr, wyciągając dłoń w kierunku powracającego ptaka. Vree rozłożył skrzydła, wicherząc magowi włosy, i wylądował lekko, delikatnie zaciskając pazury na osłoniętym

skórą nadgarstku.

— Podejrzewam, że te stwory w górze to twoje poselstwo z Iftelu, a jeśli mają choć w połowie tak dobry wzrok, jak moi przyjaciele Treyvan i Hydona, nie wylądują, póki grozi im niebezpieczeństwo.

Zatem to gryfy? — zapytała Elspeth, czując dziwny dreszcz emocji. — *Czy mogą istnieć jeszcze inne zaginione grupy z czasów wojen magów?*

Mogą; nawet biorąc poprawkę na zniekształcenia spowodowane patrzeniem oczami Vree, widzę, że te gryfy nie są takie same, jak te, które znam. Przypuszczam, że tysiące lat izolacji mogłoby te różnice wyjaśnić. — Mroczny Wiatr nadal patrzył w górę, zaś strażnicy — na głośny rozkaz Tremane'a — niechętnie odłożyli broń. — *Ewentualnie jakiś niewiarygodnie bystry adept zdolał stworzyć je na podobieństwo tych, które znamy, ale to raczej niemożliwe.*

Niezależnie od tego, co było możliwe, a co nie, wkrótce stało się jasne, iż Mroczny Wiatr nie pomylił się. Kiedy tylko wojownicy odłożyli ostatnią wólczyńnię i włożyli ostatnią strzałę do kołczana, wirujące w górze stwory zaczęły lądować z prędkością, która zawstydziłaby Vree. Elspeth przypomniała sobie słowa sokolnika jej matki: „Jeśli chcesz się dowiedzieć, jaki ptak na świecie jest najszybszy, zapytaj sokolnika, który właśnie stracił najlepszego sokoła wędrownego porwanego przez spadającego z góry orła”.

Gryfy nie tylko lądowały z zapierającą dech prędkością, ale i po mistrzowsku. Jeden po drugim, w równym szyku, jak paciorki na sznurku, opadały w dół, po wąskiej spirali, by osiąść na stosunkowo małym dziedzińcu. Kiedy pierwszy z nich hamował skrzydłami, wywołując podmuch, który wzniósł tumany kurzu na całym dziedzińcu, zmuszając tych, którzy nie byli na to przygotowani, do osłonięcia twarzy, Elspeth miała ochotę oklaskiwać teatralne wejście. Olbrzymia istota wylądowała na bruku dziedzińca tak lekko, jak Vree na rękawicy Mrocznego Wiatru, najpierw dotykając kamieni wyciągniętymi pazurami tylnych łap, a później siadając zgrabnie i nieruchomo ze złożonymi skrzydłami. Po pierwszym wylądował drugi, potem kolejny, a w końcu wszystkie dwadzieścia jeden stanęły w półokrągłym szyku za swoim przywódcą, przyjmując starannie wypracowaną, królewską pozę.

Jak zauważył Mroczny Wiatr, nie wyglądały dokładnie tak samo jak gryfy z k'Leshya. Miały masywniejsze dzioby, szyje i klatki piersiowe — wyglądały raczej jak orły, a nie szerokoskrzydłe i krępe jastrzębie czy smukłe, wielkookie i długoskrzydłe sokoły. Od gryfów k'Leshya, tak zróżnicowanych w ubarwieniu jak istoty, które posłużyły za wzór do ich stworzenia, różniły się również ubarwieniem. Od dzioba do ogona miały jednolity, ciemnobrązowy kolor i jaśniejsze pręgi. Nic w nich nie przypominało barwnych głów gryfów wzorowanych na sokołach czy różnorodności umaszczenia gryfów jastrzębiopodobnych, z ich jaskrawożółtymi pazurami i dziobami. Na kimś, kto nigdy dotąd nie widział dwóch jednakowych gryfów, robiło to wrażenie — jakby ktoś specjalnie dobrał grupę tak,

jak dobiera się jednakowe konie na paradę. Gryfy wydawały się nie ustępować inteligencją Treyvanowi i Hydonie, a ich żółte oczy uważnie obserwowały każde poruszenie ludzi. Masywne dzioby początkowo przydawały ich głowom dziwacznych proporcji, lecz po chwili Elspeth przyzwyczaiła się do tej nowej odmiany znanych jej stworzeń.

Każdy gryf miał uprząż i juki bardzo podobne do tych noszonych przez gryfy Kaled'a'in, uszyte z polerowanej skóry w głębokim, rdzawobrazowym odcieniu z błyszczącymi sprzączkami z brązu. Przywódca miał również kołnierz i napierśnik wyglądający tak, jakby dawno temu zaprojektowano go na podstawie elementów zbroi. Teraz przedstawiono na nim jedynie trzy miecze zwrócone ostrzami do góry, nad środkowym z nich widniał heraldyczny wizerunek słońca. Elspeth spojrzała na Mroczny Wiatr, który lekko potrząsnął głową; niezależnie od tego, co miał ów symbol wyrażać, mag go nie rozpoznawał.

Gryfy stały w bezruchu, czekając na pierwszy krok ludzi. Zarówno wojownicy Imperium, jak i Hardorneńscy wpatrywali się w nie z pobladłymi twarzami. Elspeth przypomniała sobie swoje pierwsze spotkanie z gryfami i nie mogła ich za to winić. Oto stało przed nimi dwadzieścia jeden istot, każda z dwoma parami pazurów wielkości sierpa i dziobem jak olbrzymi rzeźnicki hak — sama Elspeth nie śpieszyłaby się do bratniego uścisku.

— Chyba musimy dać dobry przykład — odezwał się Mroczny Wiatr z nutą rozbawienia w głosie i ruszył do przodu. Pół kroku za nim szła Elspeth, a przy niej Gwena; zbliżyli się na odległość głosu do przywódcy, który przyglądał się im spojrzeniem drapieżcy, niemal nieruchomo.

— W imieniu Sojuszu witam was w Shonarze, stolicy wodza Hardornu, Tremane'a — zaczął mag w starannym kaled'a'in. — Jestem Mroczny Wiatr k'Sheyna, przedstawiciel klanów Tayledras z Pelagiru, Shin'a'in z Równin Dorisza oraz Kaled'a'in z Doliny k'Lesya i Białego Gryfa. To jest Elspeth, córka Selenay, władczyni Valdemaru, i Gwena, Towarzysz, reprezentantki ludów Valdemaru, Rethwellanu i Karsu. Za mną stoi wódz Tremane z Hardornu oraz jego doradcy i dworzanie.

Elspeth знаła kaled'a'in jedynie na tyle, by nadążać za słowami Mrocznego Wiatru; sama nie mogłaby wygłosić podobnej przemowy. Kaled'a'in nie posiadał odpowiednika słowa „król”; najbliższe mu słowo oznaczało „wodza” lub „władcę”, ale nie dawało pojęcia o wielkości terytorium, jakim się władało. Trzy narody Mrocznego Wiatru swobodnie zapożyczały terminy lokalne, lecz mag podejrzewał, że stojące przed nim gryfy nie miały pojęcia o hardorneńskich tytułach. Przywódca gryfów w wielkim skupieniu wysłuchał powitania; po jego zakończeniu odczekał jeszcze chwilę, by sprawdzić, czy Mroczny Wiatr nie chce czegoś dodać. Kiedy Mroczny Wiatr uklonił się lekko, gryf otworzył dziób. Odezwał się głosem dość wyraźnym, lecz jego słowa pochodziły z tak różnej odmiany kaled'a'in, że Elspeth mogła jedynie rozpoznać pochodzenie słów, ale nie znaczenie zdań. Teraz

Mroczny Wiatr przysłuchiwał się w wielkim skupieniu, marszcząc podświadomie brwi, kiedy starał się zrozumieć starannie wypowiedane słowa. Nie odważyła się przeszkadzać mu myślmową.

Zapewne nie możesz ich odczytać, prawda? — zapytała Gwene, kiedy Mroczny Wiatr odpowiadał gryfowi; rozumiała z tej przemowy jedynie połowę. Odgadła, że mag przedstawiał gryfowi obecnych i tych, do których powinien się zwrócić po przyjęcie poselstwa.

Kompletnie nic; są osłonięci, i to szczelnie — brzmiała odpowiedź. — *Przydałby się nam empatia, ale nie sadzę, by w tej chwili kryło się w nich coś więcej niż rozsądna dawka niepokoju.*

Z odpowiedzi gryfa Elspeth wyłowiła słowo „Hardorn”; twarz Mrocznego Wiatru rozjaśniła się.

— Byłoby o wiele łatwiej, gdybyście mogli mówić w języku Hardornu, panie — odparł po hardorneńsku. — Obawiam się, że czas uczynił język, którym mówisz, różnym od tego, którego mnie uczono.

— Długi, długi czasss, młodszy brrracie sssokołów — odparł gryf z widocznym rozbawieniem. — Brrrdzo długi czasss według wszszszelkich miar. Jestem Tashiketh pral Skylshaen, poseł kraju, który znacie jako Iftel, na dwór króla Tremane, wybranego, jak wiemy, przez ziemię, tak jak w dawnych czasach. — Wielką łapą z pazurami wskazał pozostałe dwadzieścia gryfów. — To moja eskadra. Są to przedstawiciele dwudziestu iftelskich hrrradurrr, odważni i godni tego stanowiska, a każdy z nich zdobył prawo latania w mojej eskadrze w bahathyrrr.

Hrrradurrr oznaczał najwyraźniej region Iftelu — lecz czym było bahathyrrr, Elspeth nie mogła się domyślić. Ręką trzymaną za plecami wykonała szybki gest w nadziei, że Tremane zrozumie i podejdzie, by się przedstawić, lecz on ruszył już wcześniej. Z wielką przytomnością umysłu przewidział, jak powinien się zachować, kiedy tylko gryf odezwał się po hardorneńsku.

Podszedł do nich z wdziękiem cechującym tylko kogoś, kto od dzieciństwa uczył się skomplikowanego tańca na dworze. Kiedy stanął u boku Mrocznego Wiatru, kiwnął głową w kierunku Tashiketha. Gryf z kolei uklonił się nisko, po czym z torby wiszącej przy uprząży wyjął plik złożonych papierów i podał je Mrocznemu Wiatrowi, który przekazał je Tremane’owi.

— Kraj Iftelu śle pozdrowienia nowemu władcy Hardornu, Tremane, niegdyś z Imperium — odezwał się gryf swoim ciężko akcentowanym hardorneńskim. — Zostaliśmy wysłani przez zgromadzenie mieszkańców oraz tego, kto ustanowił barierę, by zaoferować ci naszą pomoc. Jesteśmy — dodał, podnosząc głowę — upoważnieni do udzielenia ci wszelkiej pomocy.

Elspeth mogła odgadnąć myśli, jakie przebiegały w tej chwili przez głowę Tremane’a, choć sam król nie dał nic po sobie poznać, kiedy z powagą dziękował ambasadorowi za pozdrowienia i ofertę pomocy.

„Nie może brać jej poważnie. Najpewniej Tashiketh nie zdaje sobie sprawy

z tego, co obiecuje, lub też jest to iftelska kurtuazja, standardowe przemówienie, a propozycja nie oznacza w rzeczywistości nic innego niż wyrażenie szacunku”.

Oczywiście był to jedyny logiczny wniosek. Pomoc całej eskadry gryfów bardzo by się przydała, jednakże jak ambasadorowie mogliby wypełniać zadania nie związane bezpośrednio z dobrem ich kraju? A na pewno nie było powodu przypuszczać, że król Tremane otrzymał od Iftelu pozwolenie na wykorzystanie gryfów według swego uznania. Przecież mógłby wymagać od nich wykonania czegoś, co okazałoby się zbyt niebezpieczne dla jego własnych ludzi. Gdyby gryfy zostały ranne, poniósłby konsekwencje, lecz przypuszczenie, iż Iftel zgodziłby się narazić swych obywateli na niebezpieczeństwo, nie miało sensu.

„Oczywiście Mroczny Wiatr i ja razem z naszym orszakiem narażamy się na potencjalne niebezpieczeństwo, ale jesteśmy nie tylko posłami, lecz również przedstawicielami Sojuszu i między innymi pełniemy obowiązki zbrojnych sprzymierzeńców Hardornu. W pewnym sensie jesteśmy bardzo małym oddziałem wojskowym, a nie tylko ambasadorami”.

Kolejną myślą, jaka musiała przyjść królowi do głowy, kiedy przyglądał się gryfom stojącym w półkolu, było niewątpliwie pytanie: gdzie ich, do licha, umieścić?

Nie mógł zakwaterować ich w stajniach ani barakach, z tego na pewno zdawał sobie sprawę. W stajniach po prostu nie wypadało, chociaż Towarzysz Elspeth i dyheli Mrocznego Wiatru, Brytha, zgodziły się tam zamieszkać. Otoczone wałami ziemnymi baraki zapewne przyprawiłyby powietrzne istoty o atak klaustrofobii. Elspeth pomyślała jeszcze raz o wielkości gryfów i ich potrzebach. Zmieściłyby się wszystkie w wielkiej sali, ale czy tę pełną przeciągów komnatę uda się uczynić mieszkalną i w dodatku jeszcze elegancką? Każda z kilku wież twierdzy mogłaby pomieścić cztery lub pięć gryfów w komnatach na najwyższym piętrze, używanych na ogół jako zbrojownie i magazyny dla rezydujących tam straży; czy gryfy zgodzą się na rozdzielenie. Jeśli tak, do każdej z wież będą miały dostęp z powietrza dzięki kłapom w sufitach. Na szczęście dzięki temu, że w barakach mieli teraz dużo miejsca, a wielu ludzi z obsługi — magów, uzdrowicieli i personelu pomocniczego — stacjonowało w mieście, w zamku nie było już tłoku, który początkowo tak bardzo dawał się we znaki. Znajdzie się tu miejsce dla gryfów, choćby czasowe. Ale z przemowy Tashiketha wynikało, iż miało to być stałe poselstwo, będą więc potrzebowali stałych kwater.

Tremane wygłosił pełną wdzięczności, gładką mowę powitalną; zapewne również zastanawiał się nad problemem rozlokowania gości.

„W Shonarze wciąż stoją niewykorzystane budynki. Jednak czy gryfy zgodziłyby się zamieszkać w ambasadzie w mieście?”

Jeśli tak, kto będzie im usługiwał? Gryfy wymagały opieki; wielu rzeczy nie mogły zrobić same, choćby rozpalić ognia — pazury nie najlepiej nadawały się do manipulowania krzesiwem, a pióra były łatwopalne. Gryfy z k’Leshya miały spe-

cjalnie przeszkolonych trondi'irn, którzy dbali o ich zdrowie i wygody; Treyvan i Hydon, przynajmniej oficjalnie, przez kilka lat obchodzili się bez ich pomocy — lecz po cichu pomagali im hertasi z k'Sheyna. Co zrobią te gryfy? Czy zdawały sobie sprawę, że mieszkańcy Hardornu i Imperium byli nieprzygotowani na ich przyjęcie?

W końcu Tremane zakończył swą przemowę, podobnie jak Tashiketh. Stali więc na dziedzińcu i patrzyli na siebie uprzejmie; w końcu to król przerwał ciszę.

— Teraz muszę wyznać, że ja i moi ludzie po prostu nie jesteśmy przygotowani na poselstwo składające się z kogoś innego niż z ludzi — powiedział w przypływie tak niepodobnej do imperialnych zwyczajów szczerości, która stała się jedną z jego zalet. — Sojusz kompletnie nas zaskoczył, przysyłając dwoje nie-ludzi, Towarzysza Gwene i dyheli Brythe, który zostanie wam przedstawiony później. Nie byliśmy przygotowani na ich przyjęcie, lecz oni wielkodusznie zgodzili się na zamieszkanie w stajniach, choć na pewno nie są to odpowiednie dla nich kwatery.

Gwena wdzięcznie schyliła głowę w podzięce za komplement. Tashiketh spojrział na nią z ciekawością, po czym skierował wzrok na Tremane'a.

— Szczerze mówiąc, ambasadorze Tashiketh, nie wiem, co możemy uczynić dla wygody twojej i twojego orszaku — wyznał z żalem Tremane. — Przycho-
dzą mi na myśl jedynie trzy możliwości, żadna z nich nie jest doskonała. Mamy cztery komnaty w wieżach, w których moglibyście zamieszkać, jeśli zgodzicie się rozdzielić na grupy po czterech lub pięciu. . .

Widząc potrząśnięcie głowy Tashiketha mówił niepewnie dalej:

— Zatem pozostaje jedynie wielka sala lub jakiś budynek w samym mieście. . .

— Ale to właśnie zamierzaliśmy zrobić — znaleźć budynek i zamienić go w stałą ambasadę — przerwał z powagą Tashiketh. — Przywieźliśmy środki na wynajęcie pomieszczeń i służby. Wiedzieliśmy, że wasze zasoby są ograniczone i nie chcielibyśmy ich nadwerężyć. Jeśli tylko będziemy mogli spędzić tutaj kilka dni, to z pewnością wystarczy. Kiedy tylko urządzimy własną siedzibę, przenie-
siemy się do niej.

Jeśli Tremane westchnął z ulgą, to był zbyt dobrze wyszkolony, by to okazać.

— Z radością przekazemy wam wielką salę na czas, jaki zajmie wam urządza-
nie własnej ambasady — odparł z godną podziwu swobodą; kątem oka Elspeth dojrzała, jak młody seneszał opuszcza grupę i biegnie na złamanie karku w stro-
nę najbliższych drzwi, by spełnić obietnicę Tremane'a. Stłumiła uśmiech; była to jedna z korzyści posiadania podwładnych wywodzących się z armii. Zamiast udowadniania, że czegoś nie można dokonać, po prostu usiłowali to zrobić.

— Czy mógłbym zatem skorzystać z twojej uprzejmości i poprosić o wysła-
nie posłańca do rady miejskiej, byśmy jak najszybciej mogli się rozlokować? — zapytał Tashiketh; Elspeth wydało się, iż dostrzega w jego oku błysk, kiedy dodał:

— A tymczasem może masz kogoś, kto mógłby pokazać nam okolicę? Po

raz pierwszy widzę miasto zamieszkane wyłącznie przez ludzi; nawet z wysoka widać, jak bardzo różni się ono od naszych.

Elsbeth usiłowała nie zachłysnąć się z wrażenia, gdyż był to bardzo dyplomatyczny sposób na zapewnienie Tremane'owi czasu niezbędnego do przekształcenia wielkiej sali w mieszkanie dla gryfów! Tashiketh i jego podwładni musieli być bardzo zmęczeni i głodni; w takich okolicznościach propozycja zwiedzania miasta świadczyła o jego nieprzeciętnych zdolnościach dyplomatycznych.

Zgłoś się na przewodnika, a ja pomogę ludziom Tremane'a przygotować kwatery i posiłek dla gryfów — powiedziała szybko Mrocznemu Wiatrowi, który natychmiast, za jej radą, gładko zaproponował swą pomoc przy zwiedzaniu.

Poselstwo Iftelu i grupa powitalna szybko podzieliły się na trzy mniejsze: jedną złożoną całkowicie z ludzi, drugą mieszaną i trzecią, w skład której wchodziły tylko gryfy. Tashiketh, Mroczny Wiatr i eskorta rozbawionych valdemarskich strażników razem z dwoma czujnymi i bojowo nastawionymi gryfami poszli na krótką wycieczkę po terenie zabudowanym i umocnionym przez ludzi Tremane'a. Pozostałe gryfy stały na dziedzińcu jak grupa poważnych, rzeczowych rekrutów czekających na powrót dowódcy. Gwena sama wróciła do stajni, Elspeth zaś poszła za Tremane'em i jego ludźmi; kiedy tylko oddalili się na odpowiednią odległość, zaoferowała swą pomoc.

W stosunkowo krótkim czasie z wielkiej sali wyniesiono wszystkie symbole władzy i przemeblowano ją, tworząc z niej tymczasowe mieszkanie dla dwudziestu jeden gryfów. Okazało się to o wiele łatwiejsze, niż sądziła. Pamiętając o tym, co robili Treyvan i Hydona, Elspeth przejrzała z sierżantem listę magazynów i artykułów, które mieli w nadmiarze — znaleźli ich tyle, by zapewnić gryfom minimum komfortu. Potem rozkazała żołnierzom wynieść wszystkie meble. Posłała po teatralne kurtyny i malowane draperie, które miały ochronić komnatę przed przeciągami; na posadzce rozłożono barwne kobierce. Kiedy rozwieszono kotary, przyniesiono wszystkie zbędne kołdry i pierzyny, tworząc dwadzieścia jeden gniazd przykrytych tak wieloma grubymi kocami i pledami, ilu potrzebował gryf. Dwadzieścia posłań ułożono pod ścianami, zaś dwadzieste pierwsze na podwyższeniu; oddzielono je pośpiesznie zastonami, które po zaciągnięciu upodabniały niszę do małej komnaty. Nie zapewniało to zbyt dużej prywatności, ale wskazywało na dobre zamiary, a jeśli Tashiketh wołał widzieć swych towarzyszy, nie musiał zasłaniać kotary.

Największe kuchenne sagany, jakie udało się znaleźć, napełniono świeżą wodą do picia i przyniesiono do komnaty; obok na stołach ustawiono wielkie wazy na wypadek, gdyby gryfy wołały pić z mniejszych naczyń, a nie zanurzać w wodzie całych ogromnych dziobów. W ten sposób rozwiązali problem picia; Elspeth powiedziała kucharzowi, jakie rodzaje surowego mięsa, drobiu i ryb najbardziej odpowiadają gustom gości. Kiedy skończyli, sala wyglądała niecodziennie, ale — co dziwne — nie sprawiała wrażenia zaniedbanej. Kotary w kolorowe wzo-

ry, rozdzielone aksamitnymi gładkimi zasłonami, nieoczekiwanie harmonizowały z różnobarwnymi kobiercami, dywanami i chodnikami zaścielającymi podłogę i posłania; całość sprawiała wrażenie bardzo luksusowego namiotu.

Jesteśmy gotowi — powiedziała Elspeth do Mrocznego Wiatru, kiedy ostatni stolarz wyniósł drabinę i narzędzia, a służba kuchenna zaczęła wносить półcie wołowiny i kosze ryb.

Świetnie, bo już nie mam im nic do pokazania, a wątpię, by choćby z grzeczności okazali zainteresowanie latrynami i magazynami — Mroczny Wiatr wydawał się mocno rozbawiony; Elspeth miała wrażenie, że spodobało mu się towarzystwo Tashiketha.

Sama również wyszła, pozostawiając młodego seneszala, by czynił honory domu w imieniu Tremane'a; zdecydowała się opowiedzieć królowi o tym, czego dokonała na własną rękę. Jednak ktoś już po niego poszedł, gdyż spotkali się w drzwiach, razem ze swymi orszakami. Tremane obejrzał nowo urządzoną komnatę ze zdziwieniem i wielką ulgą.

— Dzięki, heroldzie Elspeth — odezwał się gorąco. — Ja zapewne rozkazałbym stolarzom ustawić ogromne żerdzie i słupki, albo coś w tym rodzaju — co nie byłoby katastrofą, ale opóźniłoby wszystko, a Tashiketh musiałby wyjaśnić, czego naprawdę potrzebują. Jednak czy będzie tu wystarczająco ciepło? — dodał, patrząc niepewnie na zasłony. — W tej sali panują przeciągi.

— Będzie dobrze — odparła. — Pióra chronią je przed zimnem tak, jak nas zimowe płaszcze; muszą jedynie wystrzegać się naprawdę wielkiego zimna i silnych przeciągów. Przed tym osłonią je kotary, a do snu gryfy mogą owinąć się w koce. Każ tylko przynieść piecyki, do których ktoś będzie dorzucał węgla, i wszystko będzie dobrze. Będą również potrzebować jednego z twych uzdrowicieli — dobrego, odważnego człowieka, który zechce im pomóc i nie będzie się ich bał — oraz ze czterech służących do posług, pilnowania piecyków i na posyłki.

— Uzdrowiciel? — zapytał Tremane zaskoczony, dając znak jednemu z adiutantów. — Dlaczego uzdrowiciel? Mnie wydają się zdrowe.

— Gryfy mają swoje słabe i mocne strony; te, które znam, zawsze starają się mieć w pobliżu specjalnie przeszkolonego pomocnika, który dba o ich zdrowie — wyjaśniła. — Najbardziej podobny do niego jest uzdrowiciel; Tashiketh na pewno z chęcią wyjaśni mu, czego potrzebują — kaszlnęła, zasłaniając dłonią twarz. — Chyba najtrudniejsze będzie znalezienie uzdrowiciela i służących na tyle odważnych, by przyszli opiekować się „potworami”.

Tremane odpowiedział jej uśmiechem.

— Nie tak trudne, jak przypuszczasz, Elspeth z Valdemaru — odparł swobodnie. — My z Imperium jesteśmy ulepieni z twardszej gliny, niż na to wygląda.

I rzeczywiście; do opieki nad gryfami zgłosiło się aż dwóch uzdrowicieli, którzy chcieli ich poznać. Nie było również kłopotu z ochotnikami do służenia ambasadorowi i jego eskorcie. Kiedy tylko Tashiketh i jego towarzysze rozgościli

się, ogłosili, że są zachwyceni, po czym zjedli kolację. Uzdrowiciel i służba już czekali na ich rozkazy.

Tashiketh był zaskoczony i zadowolony z widoku kwatery — można to było dostrzec, jeśli wiedziało się, czego szukać; jeszcze bardziej zaskoczyła go i ucieszyła gościnność gospodarzy. Zaraz po posiłku podziękował przysłłym trondi'irn i trzem z czterech służących, mówiąc, że teraz potrzebują odpoczynku. Czwartego służącego poprosił o pozostanie, by pilnował piecyków i pomógł gryfom, gdyby czegoś w nocy potrzebowały. Mężczyzna nie miał nic przeciwko temu. Pozostała trójka rozgościła się w niszy w korytarzu obok i wyjęła nieodłączne kości.

— Czy naprawdę będą spać? — zapytał Tremane Mroczny Wiatr, kiedy razem z orszakiem wyszli, zostawiając gryfy.

— Zapewne tak — odpowiedział Sokoli Brat. — Nawet biorąc pod uwagę to, że leciały całą drogę, w bardzo krótkim czasie przemierzyły naprawdę dużą odległość, żeby się do nas dostać. Sądząc z ilości, jakie zjadły, będą spać jak zabite do późnego ranka.

Tremane przeciągnął dłonią po łysiejącej głowie; przez chwilę w ogóle nie wyglądał na króla.

— Myślałem, że nagłe obdarzenie mnie zmysłem ziemi to rzecz kłopotliwa — powiedział powoli, ze szczerym zdziwieniem. — One są wielkie i nie przypominają niczego, co znam. Co mam teraz robić? Jak je traktować?

— Zjesz kolację z Elspeth i ze mną, i po prostu przyjmiesz je jak innych zagranicznych ambasadorów — poradził Mroczny Wiatr. — Owszem, to wielki zaszczyt. Po raz pierwszy Iftel wysłał jako posłów nie-ludzi. Dla nich jest to równie trudne, jak dla nas. Może nie jesteś przyzwyczajony do posłów-gryfów, ale one też nie są przyzwyczajone do tego, że są ambasadorami.

Tremane przez chwilę patrzył na niego dziwnie, po czym roześmiał się. A jeśli nawet w jego śmiechu zabrzmiała nutka hysterii, Elspeth nie mogła go za to winić.

Ludzie Tremane'a przedzierali się przez śnieg, ciągnąc pakunki, ładując je na sanie i prowadząc zwierzęta pociągowe. Mroczny Wiatr szedł z Tashikethem i jego nieodłącznymi strażnikami, w olbrzymim tłoku, często przystając, by przepuścić kogoś.

— Skąd to całe zamieszanie? — zapytał Tashiketh, obserwując panującą wokół gorączkę dużymi, złotymi, pełnymi ciekawości oczami.

— Właśnie miałem wam to wyjaśnić — odparł Mroczny Wiatr, szybko ustępując z drogi człowiekowi dźwigającemu wiązkę drzewców do włóczni. — Wieczorem dotarła do nas bardzo nieprzyjemna i nieoczekiwana wiadomość.

— A! Teraz żałuję, że odeszliśmy tak wcześnie! — odparł inteligentnie gryf. Tashiketh i jego koledzy po dwóch dniach od przyjazdu przenieśli się do starej gospody w pobliżu zamku, której właściciel ochoczo wyprowadził się na widok

obcych, ośmiokątnych złotych monet ofiarowanych mu przez skarbnika gryfów. Wybrały one gospodę ze względu na duże pokoje na piętrze, każdy z własnym balkonem; kilka osób z obsługi chętnie pozostało, by służyć tym stosunkowo niewymagającym panom. Teraz Tashiketh i jego dwuosobowa straż codziennie przemierzali się pomiędzy gospodą a zamkiem, uczestnicząc w spotkaniach dworu i rady i okazując wielkie zainteresowanie wszystkim, co robił Tremane. Dotąd nie zdarzyło się, by wtrącali się w sprawy Hardornu lub zrobiły cokolwiek poza udzieleniem rady, jeśli je o to poproszono. Mroczny Wiatr miał wrażenie, że zachowywały się podobnie jak Treyvan i Hydon, kiedy przybyli do Doliny k'Leshya — chętnie udzielały rad, lecz starały się nie wtrącać tam, gdzie mogłyby nie być mile widziane.

Zamieszanie spowodowała wiadomość odebrana tuż przed północą, długo po tym, jak goście udali się do siebie. Gryfy znane Mrocznemu Wiatrowi nie widziały powodu, dla którego miałyby pędzić typowo dzienny tryb życia, ale Tashiketh i jego towarzysze nie byli wychowywani na odkrywców i podróżników — zapewne męczył ich natłok nowych wrażeń. Z powodu zimna i nowego otoczenia po zmroku czuli się pewnie bezpieczniej we własnych, ciepłych kwaterach i nie mieli ochoty spędzać nocy na zewnątrz. Kiedy więc poprzedniej nocy posłaniec na spienionym koniu przyniósł do zamku wiadomość, że jeden ze świeżo zaprzysiężonych wasali Tremane'a został zaatakowany przez sąsiada, gryfy od dawna już spały snem sprawiedliwych. W zamieszaniu nikt nie pomyślał o tym, by je obudzić lub choćby przekazać im nowinę, a zanim komuś przyszło to do głowy, zrobiło się jasno i Mroczny Wiatr poszedł do bramy, by je przyprowadzić.

Atak człowieka na człowieka nie miał w sobie niczego, co mogłoby zaalarmować zmysł ziemi Tremane'a, zatem było to całkowite zaskoczenie. Większą część poprzedniej nocy zajęło im planowanie obrony; o świcie obudzono wojowników w niektórych barakach i poinformowano o tym, co się stało; kiedy Tashiketh pojawił się w bramie, po dziedzińcu biegali już ludzie.

Mroczny Wiatr, który codziennie spotykał się tutaj z gryfami, wyjaśnił im sytuację. Tashiketh stanął na uboczu i spojrzał na niego zaskoczony.

— Przecież walka o tej porze roku będzie bardzo trudna, prawda? — zapytał bardzo powoli. — W dodatku niedługo zaczną się znów magiczne burze, co jeszcze bardziej ją utrudni.

Mroczny Wiatr kiwnął głową.

— Jakżeby nie — odparł. — Ale jeśli król Tremane nie przyjdzie z pomocą temu wasalowi, każdy inny bandyta, który chciałby sięgnąć po koronę, skorzysta z pierwszej okazji, by to zrobić.

— Ale dlaczego Tremane nie wezwał nas? — zapytał Tashiketh z zaskoczeniem, a nawet urazą. — Czyż nie oddaliśmy się do jego dyspozycji? Czy jego wrogów nie przerazi widok spadających z nieba gryfów? Pamiętasz, jak przestraszyliśmy waszych ludzi, kiedy przybyliśmy — o ileż bardziej potrafimy przerazić

waszych wrogów!

Tym razem to Mroczny Wiatr przystanął i spojrzął na Tashiketha z niedowierzaniem.

— Ale przecież jesteście ambasadorami!

— Jesteśmy sojusznikami — powiedział stanowczo Tashiketh. — Tak jak ty, Bracie Sokołów. Jestem nie tylko ambasadorem, ale też dowódcą oddziału, którego członkowie razem ćwiczyli i szkolili się. Czy nie lepiej stłumić niepokoje, używając niewielkiej siły niż czekać na wojnę, podczas której trzeba będzie zaangażować dużo więcej wojska? — Kłapnął dziobem i uśmiechnął się, w sposób, który Mroczny Wiatr kojarzył z Treyvanem.

— Poza tym nudzimy się. Dobrze będzie pokazać naszą przydatność w walce. Do tego się rodzimy, szkolimy i jesteśmy wychowywani.

— Myślałem, że w Iftelu się nie walczy — powiedział Mroczny Wiatr, niezdolny dłużej tłumić rozsadzającej go ciekawości, wokół nich nadal panowało zamieszanie. — Myślałem, że przed takimi rzeczami brom was bariera na granicy!

Tashiketh spoważniał.

— Nie prowadzimy wojen z innymi narodami, to prawda, ani nie pozwalamy innym napadać na nas, ale to nie oznacza, iż nie przygotowujemy się do wojny lub do dnia, w którym bariera może nas zawieść. Nie umiem nawet powiedzieć ci, od jak dawna ćwiczymy... — Potrząsnął głową. — Całe życie moje, mojego ojca, jego ojca i jego ojca, i tak daleko w przeszłość, że nie umiem policzyć lat. Zawsze ćwiczyliśmy i zmagaliśmy się ze sobą i zawsze będziemy to robić. A kiedy okaże się to konieczne, będziemy walczyć.

Nastroszył pióra i ruszył tak szybko, że nie przygotowany na to Mroczny Wiatr został z tyłu.

— Chodź! — zawołał — Idziemy do króla, powiem mu o tym!

Z tego, co wiedział Mroczny Wiatr, gryfy nawet na ziemi potrafiły poruszać się bardzo szybko, jeśli chciały. Tashiketh i jego strażnicy ruszyli pędem do zamku, by jak najszybciej zgłosić się do roli ofiar na ołtarzu Tremane'a, podczas gdy Sokoli Brat został z tyłu. Bał się, bardzo się bał, że król przyjmie propozycję gryfów.

Jednak kiedy dotarł do komnaty audiencyjnej, dowiedział się, iż Tremane przyjął ofertę, ale pod pewnymi warunkami.

— Każ ludziom się zatrzymać — mówił, kiedy Mroczny Wiatr wchodził. — Wypróbuję pomysł Tashiketha, lecz... lecz... — dodał, zwracając się do podkorytowanych gryfów i podnosząc głos. — Ty, panie, będziesz służył rozkazów dowódcy, czyli moich, poczynisz przygotowania, jakie nakazę i zastosujesz się do warunków, jakie ustalę.

Mroczny Wiatr nie mógł uwierzyć w zmianę, jaka w ciągu zaledwie kilku chwil dokonała się w dostojnym dotąd gryfie. Tashiketh i jego dwóch strażników

byli bardzo poruszeni. Ich pióra na uszach i karku uniosły się, oczy rozbłysły, a źrenice szybko powiększały i zmniejszały; pazury drapały podłogę, czyniąc na niej ślady, które doprowadzą służbę do rozpacz. Nie byli to już dziwni ambasadorowie jeszcze dziwniejszej kultury, ale wojownicy; Mroczny Wiatr zastanawiał się, jak udało im się tak długo ukrywać swą naturę.

— Jeśli ty i twoja eskadra chcecie polecieć, by ostrzec tych ludzi, mamy czas na przygotowanie środków ostrożności — powiedział Tremane surowo, dowódca w każdym calu. Teraz Mroczny Wiatr zdziwił się przemianą, jaka zaszła również w królu. Nie widać było już wahania i niepewności. To był imperialny dowódca, człowiek, który znał zarówno strategię bojową, jak i nagłe potyczki, człowiek, któremu powierzono podbój Hardornu. — Macie wystarczająco dużo czasu, by obejrzeć mapy terenu, jakimi dysponujemy, oraz porozmawiać z ludźmi, którzy mają tam krewnych. Gdybyśmy mieli dość czasu, kazałbym wam również odwiedzić mojego zbrojmistrza, by sporządził dla was napierśniki i osłony przed strzałami na boki, a także hełmy dla ochrony przed przypadkowymi rzutami. — Tashiketh otworzył w proteście dziób, ale Tremane szybko go uprzedził. — Ani słowa, panie! Jestem twoim dowódcą, walczyłem z tymi ludźmi, ty nie, wiem, co mogą i czego nie mogą zrobić — i ja ustalę warunki, na jakich będziecie walczyć. Nie wtrącam się do waszej taktyki, panie, gdyż to należy do was, ale mogę — i wydam — rozkazy dotyczące waszego bezpieczeństwa!

Wydawał się tak ponury i rozgniewany, że Mroczny Wiatr przez chwilę bał się, iż Tashiketh się obrazi. Jednak jeden z dwóch strażników zamruczał coś po cichu i dowódca gryfów wybuchnął śmiechem.

— Co on powiedział? — zapytał Tremane, którego gniew zaczął ustępować.

— Powiedział: „Co za niespodzianka — po tylu stuleciach wreszcie dowódca, którego bardziej obchodzi oszczędzenie naszej krwi niż jej przelewanie!” I ma rację — odparł Tashiketh, pochylając głowę na znak poddania się woli króla. — Spełnimy życzenia dowódcy, który niczego nie zaniedbuje. Wyślę Shyretala po pozostałych, potem obejrzymy wasze plany i mapy, zamiast improwizować na miejscu.

Mroczny Wiatr był zaskoczony szybkością, z jaką gryfy ustawiły się w trzy szeregi, by jak najwięcej dowiedzieć się o warunkach panujących na miejscu. Udało się znaleźć tylko jednego, nieco zdziwionego człowieka, który był tam za ledwie raz i mógł opowiedzieć gryfom o okolicy; wkrótce został zarzucony pytaniami o występujące tam prądy powietrzne.

Czwartej dnia po przybyciu posłańca, eskadra gryfów odleciała, by walczyć; Mroczny Wiatr i wszyscy inni obserwowali je z nadzieją i strachem. Tashiketh był pewny siebie i miał dobry humor; wyglądał, jakby wybierał się na wycieczkę.

Jednak z zachowania gryfów Mroczny Wiatr wyraźnie odczytywał ich obudzone instynkty łowców i zabójców. Kiedy nie poruszały się, stały wyprostowane, z podniesionymi głowami i czujnym spojrzeniem. Poruszały się z zadziwiają-

cą szybkością i pewnością ruchów — ze śmiertelnym pięknem tańca wojownika z mieczem. Nie zwracały uwagi na śnieg pod pazurami ani na zimny wiatr; wpały w osłepiająco błękitne niebo, nie mogąc doczekać się chwili, kiedy znajdą się w górze. Kiedy wreszcie nadeszła pora odlotu, podskoczyły, złapały podmuch wiatru w pazury i zmusiły go do posłuszeństwa.

— Jesteś pewien, że mają szansę? — zapytał Tremane, kiedy gryfy znikły w błękitnej dali. — Czuję się tak, jakbym wysyłał je ku ich przeznaczeniu.

— Gryfy zostały stworzone do walki — odparł powoli Mroczny Wiatr. — Są doskonale w wielu jej odmianach. Mają ją we krwi i nie zmieni tego tysiąc czy dwa tysiące lat.

— Może stworzono je do walki, ale czy zostały dostatecznie wyszkolone? — zapytał Tremane głosem pełnym napięcia. — Wiem, co potrafią moi ludzie — ale te istoty? Owszem, ich przeciwnicy nie są tak dobrze uzbrojeni i wyćwiczeni jak moi ludzie, lecz do uśmiercenia wystarczy jedna dobrze wymierzona strzała. Mówiłeś, że Iftel utrzymywał wojny z dala od swoich granic tak długo, jak długo Valdemar je toczył. Jak mogą być na to przygotowani? Z pewnością. . .

— Wybacz, że przerywam, ale czy Tashiketh opowiadał ci w jaki sposób wybrano jego dwudziestkę? — zapytał Mroczny Wiatr, zanim Tremane zdołał szerzej wyrazić swoje zaniepokojenie.

Król potrząsnął głową.

— Tak przypuszczałem. Wejdźmy do środka, tam jest ciepło — odparł Mroczny Wiatr, kiedy ostry podmuch przeniknął przez jego płaszcz. Zadrżał mimowolnie i przestąpił z nogi na nogę, by nieco rozgrzać drętwiejące z zimna stopy. — Chyba mam dla ciebie niespodziankę.

Cała grupa poszła do gabinetu Tremane'a; kilku innych podwładnych, którzy usłyszeli rozmowę, zdołało się wślizgnąć za nimi. Gryfy ciekawiły zarówno imperialnych, jak i Hardorneńczyków, a Mroczny Wiatr nie miał nic przeciwko częściowemu zaspokojeniu ich ciekawości. Nieco ryzykowali, ale Tremane nie dał znaku, że nie życzy sobie ich obecności.

— Udało mi się dowiedzieć trochę o życiu w Iftelu, przynajmniej jeśli chodzi o gryfy — zaczął Mroczny Wiatr, kiedy wszyscy usiedli w koło, Tremane na krześle tylko nieco większym i ozdobniejszym od reszty. — Nie jest to pełen pokoju raj, jaki moglibyśmy sobie wyobrazić.

— O? — zdziwiła się Elspeth. — Ale przecież nie pozwalają założyć tam nawet oddziału Gildii Najemników!

Mroczny Wiatr jedynie potrząsnął głową.

— Nie wiem, skąd pochodzą, ale na podstawie tego, czego się dowiedziałem o historii Tayledrasów i od Kaled'a'in, mogę snuć pewne przypuszczenia. Tashiketh albo nie zna odpowiedzi, albo udaje, że nic nie wie, więc są to tylko moje domysły.

Tremane zdobył się na pełne wyrzutu chrząknięcie.

— Mroczny Wietrze, czasami twoje zamięłowanie do ścisłości doprowadza do szału. Wykrztuś to wreszcie! Nie powtarzaj wciąż, że to tylko twoje przypuszczenia.

Mroczny Wiatr zachichotał, ani trochę nie obrażony.

— Oczywiście. Myślę, że mieszkańcy Iftelu pochodzą od tych, którzy zostali odcięci po upadku twierdzy Maga Ciszy. Skrzydła gryfów istniały przy kilku armiach, a ponieważ gryfice najczęściej są większe i cięższe od samców, zawsze walczyły wspólnie z nimi, często swymi partnerami, tak że zawsze istniała populacja, która mogła zapewnić im przetrwanie.

— Twierdzisz, że niektóre z gryfów są samicami? — krzyknął jeden z generałów, całkowicie zaskoczony.

Mroczny Wiatr roześmiał się.

— Nawet im się nie przyjrzeliscie, co? Tak, niektóre z nich to samice. Prawdopodobnie połowa; samce i samice na równi opiekują się młodymi, które są karmione tak, jak pisklęta sokołów. — Na widok osłupiałej miny generała uniósł brwi. — Nie przesadzaj, panie — nie sądzisz chyba, że stworzenie z takim dziobem będzie ssało mleko? Nie chciałbym widzieć efektów tego karmienia!

Generał skrzywił się, a na twarzy Tremane'a pojawił się wyraz współczucia.

— Co do tego, że wojowniczkę spisują się gorzej na polu bitwy — nie radziłbym wam wygłaszać podobnych opinii w obecności herolda kapitana Kerowyn z Piorunów Nieba! — dodała kpiąco Elspeth. — Mogłaby was zaprosić na trening z niektórymi z jej dam — lub, co gorsza, z nią samą!

Mroczny Wiatr obserwował nieszczęsnego generała, który nie spuszczał wzroku z Elspeth, dostrzegł jej mięśnie i pęcherze na dłoniach — i zdał sobie sprawę, iż nie jest to rozpieszczona księżniczka, za jaką ją uważał.

— Tyle o fizjologii; zakładam, że pochodzą od poddanych Urtho, gdyż zostały stworzone, a nie wyobrażam sobie, skąd jeszcze mogłyby pochodzić. Z opowieści Kaled'a' in wiemy o odcięciu niektórych oddziałów Urtho. Kiedy wróg zdobył ostatnią twierdzę, wiedzieli, co się stanie dalej — ciągnął Mroczny Wiatr.

— Przypuszczam, iż w pośpiechu postawili Bramy, czyli po waszemu portale, i usiłowali uciec jak najdalej. Udało im się. Znaleźli się we wrogim kraju; potem nastąpił kataklizm i rozpoczęły się magiczne burze. W pewnej chwili coś postawiło barierę; o tym Tashiketh również nie chce mówić. Jednak problem w otaczaniu się ścianami polega na tym, że zostaje się uwięzionym w środku, choć jednocześnie broni się wstępu z zewnątrz. Zatem, by nie pozabijać się nawzajem lub nie stracić umiejętności obronnych, mieszkańcy Iftelu skanalizowali swoją agresję.

Tremane wydawał się zdziwiony.

— Skanalizowali? Jak?

Mroczny Wiatr westchnął, gdyż sam nie bardzo wiedział, co myśleć o tym, czego się dowiedział. Rozumiał powody takiego postępowania i uznawał je, ale nie do końca mu się podobały.

— Gry — ale gry będące krwawymi zawodami. Jeśli Tashiketh mówi prawdę, nikt nie jest zmuszany do uczestnictwa w nich, gdyż na najwyższym i najmniejbezpiecznym poziomie istnieje duże niebezpieczeństwo otrzymania groźnych ran lub nawet śmierci. Są to prawdziwe gry wojenne; Tashiketh mówił, że w jego okolicach w każdej rundzie ginie kilku zawodników. W ten sposób powstała jego eskadra; każdy z tych gryfów zwyciężył w zawodach w swoim okręgu przeciwko zawodnikom zarówno ze swojej, jak i z innych ras, atakujących pojedynczo i w grupach, używających broni, która została jedynie stępiona, a nie całkowicie unieszkodliwiona.

Tremane zamrugął.

— Och — powiedział w zamyśleniu. — Ciekawe. Nie są tak niedoświadczeni, jak sądziłem.

— To oczywiście nie wszystko — mówił dalej Mroczny Wiatr. — Każdy kandydat na zwycięzcę musi również wykazać się inteligencją; o tych rozgrywkach wiem niewiele, ale najpewniej zawierają one testy, oceniające sprawność pamięci, i łamigłówki. Tashiketh zwyciężył we wszystkich rodzajach gier. A w skład poselstwa weszły jedynie gryfy z tego powodu, że tylko one zdołały dotrzeć do nas przed ponownym rozpoczęciem burz. To najważniejsze informacje.

Tremane i inni wydawali się z lekka speszeni faktem, że ambasadorów wybierano podczas często śmiertelnych zawodów, ale Mroczny Wiatr uważał ten sposób za bardziej logiczny od metod, jakie znał z tak zwanych cywilizowanych krajów. Mianowanie kogoś, komu było się winnym przysługę, kto pochodził z możnowładczej rodziny lub, co najgorsze, więcej zapłacił za ten honor — prowadziło do katastrofy i każdy, kto tak czynił, zapewne dostał to, na co zasłużył. Owszem, większość ambasadorów nie musiała uczestniczyć w niebezpiecznych grach wojennych, lecz przecież jednocześnie uprawniona była do udziału w konfliktach zbrojnych swych sojuszników. Mroczny Wiatr chciałby jedynie, by zawodom nie towarzyszyła śmierć.

— Czy jesteś pewien, że przydadzą się jako oddział bojowy? — zapytał Tremane prosto z mostu. Mroczny Wiatr kiwnął głową.

— Znam moje gryfy i wiem, że te są dobrze wyszkolone — odrzekł. — Wiem również, że nie są głupie. Nie przypuszczam, żeby zgłosiły się równie ochoczo, gdyby posądzały twoich przeciwników o posługiwanie się magią.

— Ach! — zawołał Tremane i roześmiał się. — Rozumiem. Nie mają zamiaru znaleźć się w polu rażenia zwykłej broni, czy tak?

— Zapewne; mogą pozostawać poza zasięgiem strzał i zrzucać na wroga duże, ciężkie przedmioty. — Inny generał zaczął się śmiać, jakby bardzo rozbawił go ten pomysł. — Albo włócznie, albo płonące pojemniki. . .

— Albo wszelkie inne przedmioty, które zrzucone na dach sprawią kłopoty mieszkańcom domów — przerwała Elspeth, zdecydowana uciąć litanię generała. — Ale zdradzanie wam tego, w jaki sposób zamierzają walczyć, nie brzmiałoby

zbyt bohatercko, a one chciały uchodzić za bohaterów.

— Zatem niech myślą, że wciąż uważamy, iż poleciały na walkę wręcz, pazury przeciwko mieczom — powiedział stanowczo Tremane. — Jeśli zdecydują się ujawnić nam swoją taktykę, będziemy wychwalać ich przemyślność. Jeśli nie, będziemy chwalić ich odwagę, nie wdając się w szczegóły. W obu przypadkach udowodnią każdemu, kto chciałby przysporzyć nam kłopotów, że naprawdę posiadamy groźnego sprzymierzeńca; osiągną więc to, po co wyruszyły — i tego może właśnie potrzebujemy. Wolę bezkrwawe zwycięstwo od każdego innego.

— Pozwoliłem sobie zorganizować powitalną ucztę z dziczyzny, panie — odezwał się nieśmiało seneszał. — Bałem się, że jeśli będziemy zbyt długo zwlekać, mięso nie odtaje na czas.

Tremane z roztargnieniem kiwnął głową; biednemu chłopcu bardzo ulżyło. Wciąż obawiał się sam wydawać rozkazy, myśląc o ich konsekwencjach. W tym przypadku jego decyzja mogła spowodować niedobór mięsa. Mroczny Wiatr w to wątpił, gdyż na własne oczy widział magazyny z mięsem, niemniej istniała taka możliwość. Może nawet więcej niż możliwość — przypomniał sobie ilość jedzenia, jaką bez wahania potrafili pochłonąć Treyvan i Hydona. Teraz jednak, po uzyskaniu przyzwolenia Temane'a, młody seneszał najwyraźniej poczuł się rozgrzeszony.

„Bardzo mi brakuje Treyvana, Hydony i ich dwóch pierzastych wojowników. Tęsknię za zabawą z nimi i naszymi zmaganiem, za tym, żeby Hydona znów porzebała mi dziobem we włosach, a Vree zaatakował grzebień Treyvana. Tęsknię za ich głębokimi głosami, uczuciem i radami, jakich mi udzielali”.

— Teraz, panie i panowie — odezwał się Tremane, poważniejąc — rozważmy, co należy uczynić, jeśli nasi sprzymierzeńcy przegrają.

— Nie jest to zbyt prawdopodobne — odparł Mroczny Wiatr. — Jeden na pół śpiący gryf może pokonać dziesięciu ludzi z nie większym wysiłkiem niż układa sobie pióra. Tu zaś mamy ich dwadzieścia jeden, w pełni przebudzonych i chętnych do walki! — Kilku obecnych zaśmiało się; wyglądali na całkiem przekonanych o słuszności słów Mrocznego Wiatru po tym, co widzieli. — Jednak masz oczywiście rację. Musimy się przygotować na coś gorszego niż całkowite zwycięstwo.

Resztę dnia spędzili, opracowując plany na właśnie taką okoliczność, lecz kiedy zniżające się słońce zaczerwieniło niebo na zachodzie, zwycięzcy przylecieli, praktycznie bez strat, ze sztandarem nieprzyjaciela, listem ogłaszającym kapitulację i prośbą, by mógł osobiście przyjechać i złożyć przysięgę wierności. Wszystko to Tashiketh niósł z dumą w zaciśniętych pazurach.

Powitalne wiwaty, jakie rozległy się przy pełnym gracji lądowaniu na dziedzińcu — wyglądającym tak samo jak pierwsze — spowodowane były zarówno ulgą, jak i radością ze zwycięstwa, ale gryfy nie musiały o tym wiedzieć.

Mroczny Wiatr upewnił wszystkich, że zmęczony gryf to głodny gryf; zastęp-

ca Tashiketha potwierdził jego słowa, kiwając energicznie głową. Natychmiast zaprowadzono je na posiłek, przy którym Tashiketh formalnie oddał list i akt kapitulacji, a potem skromnie ujawnił tajemnicę powodzenia.

— Początkowo rzucaliśmy kamienie przez dach — powiedział, chichocząc złośliwie. — Potem wykorzystaliśmy płonący garnek i spuściliśmy go na kryty strzechą budynku obok domu i krążyliśmy w trzech podeskadrach, po siedmiu w każdej. Po sześciu okrążeniach zagroziliśmy zrzuconiem kolejnych. To przyciągnęło ich uwagę na tyle, byśmy mogli im wyjaśnić, iż jesteśmy zaledwie ułamkiem skrzydlatej armii, jaką król Tremane może w każdej chwili wysłać do walki. Dałem im także do zrozumienia, że nie będziemy mieć oporów, aby poszukiwać pożywienia, i mamy zamiar sami się obsłużyć. Perspektywa setek gryfów spadających z nieba, wybijających w dachach wielkie dziury i porywających wszystko, co da się zjeść, przeraziła ich. Gdyby ten głupiec, ich przywódca, nie poddał się natychmiast, pewnie by go zabili i podali nam na talerzu z dobrym rosółem!

Kilku generałów roześmiało się serdecznie; uśmiechnął się nawet Tremane. Mroczny Wiatr uznał za stosowne ostrzec ich.

— Nie powinno się pozwolić im myśleć, że zamierzacie pożreć ich dzieci — odezwał się do Tashiketha wśród rozlegającego się śmiechu. — Jak mogą zaufać królowi, który pozwoliłby potworom żywić się dziećmi poddanych?

— Nie bój się — uspokoił go Tashiketh. — Uważałem, żeby patrzeć na owce, kiedy o tym mówiłem, dodałem kilka słów o tym, jak smaczna jest świeża, tłusta baranina i jak to możemy zdziesiątkować stada w ciągu kilku dni, co tylko doda nam sił. Dla ludzi, którym grozi głód, pomysł kapitulacji w takich okolicznościach brzmi bardzo rozsądnie. Nasze zasady zawsze podkreślały, byśmy nie dawali nikomu powodów do przypuszczeń, że jadamy istoty myślące. Dotąd nie wykorzystywaliśmy tego w praktyce, ale mnóstwo ćwiczyliśmy.

— Świetnie. — Mroczny Wiatr odprężył się na tyle, by się roześmiać. — Chciałbym widzieć ich twarze, kiedy powiedziałeś, że jesteście tylko przednią strażą. Oczywiście nigdy się nie dowiedzą, że ich okłamaliście.

— Nie było to do końca kłamstwo — odparł Tashiketh z zadowoleniem i nagle bardzo zainteresował się posiłkiem, jakby uświadomił sobie, że powiedział za dużo.

„Hm... Hm!” — Mroczny Wiatr zajął się własnym talerzem, jakby nie dosłyszał ostatnich słów gryfa. „Zatem Iftel interesuje się powodzeniem Tremane’a bardziej, niż sądziłem. Na tyle, by wysłać mu z pomocą większe siły? Tak to przynajmniej zabrzmiało”.

Jeśli wysłałoby armię, by go poprzeć, co jeszcze mogliby zaoferować? Tajemnicę bariery? Inne sekrety? I które z nich pomogą stawić czoło nadchodzącym burzom, a zwłaszcza ostatecznej burzy?

A może zostanie po niej tak niewiele, że już nic nie będzie się liczyło?

— Nie zdołalibyście wymyślić nic lepszego, by zostać ulubieńcami wojska — powiedziała Elspeth do Tashiketha, kiedy tłum zaczął wiwatować. Pięciu podkomendnych Tashiketha wspinało się, czołgało, latało, skakało i wyteęzało wszelkie siły na bardzo trudnym torze przeszkód w promieniach południowego słońca. Było tak zimno, że ubrane w buty i kilka par skarpet stopy drętwiały, lecz nie zniechęcało to stałych bywalców do pojawienia się już na początku zawodów. Jak zwykle, byli wojownicy Imperium zgromadzili się, by obserwować, dopingować i obstawiać zakłady. Zawody stały się chyba najbardziej emocjonującym widowiskiem w całym kraju.

Mimo obecności króla w Shonarze niełatwo było o rozrywkę; kiedy tylko jedyny w mieście bard skomponował nową piosenkę, gospoda, w której ją śpiewał, przez wiele wieczorów zapełniała się do granic możliwości; wojownicy usilnie starali się ożywić monotonię dni i nocy — z różnymi efektami. Talie kart do gry osiągały niespotykane ceny. Teraz jednak pojawiła się nowa, świeża rozrywka, w dodatku posiadająca najlepsze cechy zarówno jarmarku, wyścigów, jak i prawdziwych zawodów. Ponieważ Tashiketh ćwiczył na osobności i nigdy nie brał udziału w rywalizacji, wynik zależał od kaprysu fortuny, co zachęcało do robienia zakładów. Dzięki temu zawody stawały się jeszcze bardziej atrakcyjne.

— Czy dużo stracę w twoich oczach, jeśli przyznam, iż z rozmysłem uczyniliśmy nasze zawody publicznym widowiskiem? — zapytał Tashiketh poważnie.

— Ani trochę — odparła szybko. — Raczej pogratulowałabym wam inteligencji. Ciekawi mnie tylko jedno: po co ustawialiście przeszkody? Możecie przecież ćwiczyć w inny sposób.

— Musimy tak robić. Nasza hierarchia zmienia się zależnie od wyniku zawodów, a z nią — hierarchia naszych okręgów. To zaś pod koniec roku wpłynie na decyzję o przyznaniu im dodatkowych funduszy z podatków. — W chwili, kiedy wygłaszał to zaskakujące stwierdzenie, dołączył do nich Tremane, nie wyróżniający się wśród tłumu w swym brązowym wojskowym płaszczu, z kapturem nasuniętym na głowę, chroniącym go przed zimnym wiatrem. Tashiketh nie odwrócił się i nie dał po sobie poznać, że go zauważył, ale kilka chwil później zwrócił się bezpośrednio do króla.

— Królu Hardornu, jak widzę, bardzo interesuje cię mój lud. W końcu wolno mi odpowiedzieć na twoje pytania, gdyż dowiodłeś, iż jesteś godnym zaufania sprzymierzeńcem i zasługujesz na to, by wysłuchać pełnej historii naszego kraju. — Gryf odwrócił głowę i spojrzał łagodnie na zaskoczonego Tremane'a. — Pytaj — powiedział. — Czas tajemnic się skończył.

Tremane miał swoje wady, ale nie należała do nich niezdolność do szybkiego myślenia.

— Mroczny Wiatr k'Sheyna uważa was za potomków części armii maga, któremu służyli również jego rodacy, maga zwanego Urtho — odparł. — Czy to prawda?

Tashiketh roześmiał się tubalnie i nastroszył pióra.

— Tak. Najkrótsza wersja wydarzeń wygląda tak: wszystkie nasze ludy służyły w trzeciej armii. Urtho zawsze łączył ze sobą ludzi pochodzących z tych samych okolic, nie rozpraszając ich po oddziałach. Jednak ludzie z trzeciej armii wierzyli w boga, który żądał, by wszyscy posiadający dar magii byli jego kapłanami, więc nie mieli własnych magów. Nie mieli nic przeciwko współpracy z wyznawcami innych religii, dołączono więc do nich grupę magów, którzy nie mieli z nimi nic wspólnego. Do armii tej należała również eskadra gryfów z trondi'irn, wataha kyree, stado ratha, horda tyrill i stado dyheli.

„Co ja słyszę! Tyrill? Ratha? Jak dostały się do tej historii?”

— Czy są to nazwy ludów Iftelu? — zapytał Tremane.

— Co to jest ratha? — odezwał się równocześnie Mroczny Wiatr.

Tashiketh nie wydawał się w najmniejszym stopniu zbity z tropu liczbą pytań.

— Tak, to nazwy naszych ludów. Ratha pochodzą z dalekiej północy i są dla górskich kotów tym, czym kyree dla wilków. Tyrill zaś — znasz chyba to słowo. Bracie Sokołów?

— Jedynie z legend — odparł Mroczny Wiatr lekko oszołomiony. — To ostatnie istoty stworzone przez Urtho, większa odmiana hertasi; nie było ich zbyt wiele.

— Ale z jakim entuzjazmem się rozmnażały! — roześmiał się Tashiketh, potrząsając energicznie głową, tak że podmuch odświeżającego wiatru zburzył mu pióra. Za nim rozległy się kolejne wiwaty — i kilka jęków — kiedy któryś z gryfów popisał się wyjątkowym sprytem. — Uczyły się od nas, gryfów. Teraz jest ich mnóstwo! Cóż, żeby nie przedłużyć — Trzecia, której emblemat noszę, została odcięta od Ka'venusho w czasie odwrotu. Jej członkowie zdecydowali wtedy przenieść się Bramą w najodleglejsze miejsce, jakie magowie zdołali znaleźć, w nadziei znalezienia się poza zasięgiem Ma'ara i katastrof, jakie nastąpią po zniszczeniu twierdzy Urtho przez jej pana. Jednak był pewien problem.

— Zbyt mało mocy — zgadł szybko Tremane.

— Nie mieli bezpiecznej kryjówki? — podpowiedziała Elspeth.

— Zabrakło adeptów — zaryzykował Mroczny Wiatr.

— Wszystkiego po trochu — wyjaśnił ambasador. — Ich kapłani — ludzie — pozostali w kraju, by chronić własnych rodaków. Jedynym adeptem zdolnym postawić na odległość Bramę był ktoś, kogo wówczas uważano za barbarzyńskiego szamana z dalekiej północy. Musieli odejść do najdalszego miejsca, jakie znał — do jego domu, a nie okolic znanych gryfom czy towarzyszącym im ludziom. Nie mieli wyboru — uciekli tam, dokąd mogli, lądując na północy kraju zwanego teraz Iftelem. Chcieli przeczekać czas zniszczeń, a potem dołączyć do reszty.

Jednak kiedy tylko przeszli przez Bramę, zdarzyło się coś strasznego — gorszego niż wszystko, co mogli przewidzieć.

— Kataklyzm — odezwał się głośno Mroczny Wiatr. — Wieża i twierdza Ma'ara runęły, uwalniając dwie fale olbrzymiej mocy, które nałożyły się na siebie.

— Nie trzeba wspominać, że przez wiele lat nie znali przyczyny. Wiedzieli jedynie, iż warunki stały się nieludzkie, nie uda im się odnaleźć drogi do przyjaciół i rodaków, a ludzie z Trzeciej nigdy nie trafią do domu. Co gorsza — jak się wkrótce okazało, nie uciekli zbyt daleko, gdyż wpadli na nową armię Ma'ara — Tashiketh potrzęsnał głową. — Musiało się im to wydawać końcem świata — wszystko złe sprzyściło się przeciwko nim, a oni znaleźli się na skraju zagłady. Nękani magicznymi burzami, które się wkrótce zaczęły, wciąż w obawie przed atakiem potężniejszych wojsk, z dużą liczbą rannych nie mogli szukać schronienia daleko. Zrobili więc jedynie to, co jeszcze pozostało do zrobienia. Ludzie modlili się do swego boga, Vykaendysa. . .

To imię wstrząsnęło Mrocznym Wiatrem.

— Kogo? — krzyknął, podczas gdy Elspeth otworzyła ze zdumienia oczy.

— Vykaendys — powtórzył ambasador. — Święte Słońce, od którego wszelkie życie. . . — Elspeth przerwała mu.

— Ambasadorze Tashiketh, czy ludzie z twojego kraju mówią innym językiem niż gryfy?

Olbrzymi gryf kiwnął głową.

— Święty język jest inny — odrzekł. — Wspólny język powstał ze zmieszania kilku innych; stary gryf bardzo przypomina język, którym przemówiliście do mnie przy naszym pierwszym spotkaniu. Czyżbyście chcieli usłyszeć święty język Vkaendysa?

— Proszę — odezwali się równocześnie Elspeth i Mroczny Wiatr.

Tashiketh wymamrotał kilka zdań, a Mroczny Wiatr spojrział na Elspeth, znającą więcej języków od niego.

Przysłuchiwała się bardzo uważnie; jej oczy powiększały się coraz bardziej, aż w końcu wydawało się, że wyskoczą z głowy.

— Nie jestem lingwistą — powiedziała, kiedy skończył — ale według mnie jest on dla karsyckiego tym, czym język gryfów z Iftelu dla kaled'a'in.

Mroczny Wiatr gwizdnał.

„Teraz rozumiem, dlaczego Altra twierdził, że bariera na granicy rozpozna tylko jego, Karala, Ulricha albo Solaris! Bóg Iftelu i bóg Karsu to jedno i to samo! No, to będzie używał jak lis w kurniku!”

Gwena wybrała tę chwilę, by wtrącić własne spostrzeżenie.

To naprawdę ciekawe. Solaris o tym nie wie, ale wie Altra. Zastanawiam się, skąd wie i dlaczego jej nie powiedział?

— Modlili się o obronę, prawda? — zapytała Elspeth ambasadora. — I bóg ustawił granicę, by chronił ich przed wrogami?

— Właśnie — przytaknął Tashiketh. — Oczywiście Vykaendys uczynił to w odpowiedzi na ich prośby. To On również rozkazał nam wysłać posłów za barierę, by pomóc wam w kłopotach. Wysłał nas, kiedy dowiedział się, że Hardorn znów ma króla związanego z ziemią. Inaczej, zważywszy na powagę sytuacji, zostalibyśmy oczywiście wysłani do Valdemaru. Wszystkie istoty muszą połączyć wysiłki, żeby przetrwać ostatnie burze, ale Vykaendys cieszy się, mogąc powitać kraj leżący pomiędzy dwoma innymi, którymi rządzi, jako sojusznika, a nie wroga.

Elspeth potrząsnęła głową.

— Oczywiście — odparła.

Nie mogę przestać myśleć o tym, jak na te nowiny zareaguje Solaris — powiedziała Mrocznemu Wiatrowi. — Chociaż, jeśli spojrzeć na to z innej strony, sposób, w jaki bogowie odpowiadali na prośby swych wyznawców jest fascynujący — Gwiazdzistooka stworzyła Równiny Dorisza dla Shin'a'in, którzy odrzucili magię, a Tayledrasom dała moc bronienia się magią, podczas gdy stopniowo uzdrawiali ziemię. Teraz Pan Słońca, który stworzył iftelską barierę. . .

Mroczny Wiatr zastanawiał się, czy Vkandis uczynił coś podobnego dla Karsu — choćby po to, by pomóc mu przetrwać sam kataklizm. Karsyci z pewnością znaleźli się na tyle blisko epicentrum, że potrzebowali osłony.

„Zaraz; kapłani Słońca to magowie. Może kapłani Słońca pełnią podobną rolę do Tayledrasów, a Vkandis dał im dostęp do wielkiej mocy po to, by mogli w podobny sposób się bronić.” Po kataklizmie największe niebezpieczeństwo stanowiły potwory, które wtedy powstały. Czy to nie dlatego i nie w tym czasie kapłani Słońca otrzymali zdolność wzywania demonów i tak skutecznego panowania nad nimi? To był naprawdę ciekawy pomysł!

Bez Karala nie było sposobu, by się o tym upewnić, a nawet gdyby się go zapytało, odpowiedź mogłaby być niewystarczająca. Jednak Altra z pewnością posiadała wiadomości obalające dogmaty, a jeśli zechciałby podzielić się nimi z ludźmi innej wiary. . .

„Jeśli tak, możemy dowiedzieć się więcej, niż kiedykolwiek chcieliśmy wiedzieć.”

Jednak Elspeth myślała o czymś jeszcze. Kiedy Tremane wypytywał Tashiketha o szczegóły, przyciągnęła do siebie myśli Mrocznego Wiatru i Gwenty.

Jakie są szanse na to, że uda nam się włączyć w to wszystko bogów? — zapytała. — Vkandis, Kal'ened — może oboje? Zapewne uratowałyby nas ich potęgą.

Mogłoby to także spowodować jeszcze większe kłopoty niż jakakolwiek burza — ostrzegł Mroczny Wiatr. — Tego nie możemy wiedzieć.

Ale mogę poprosić Floriana, by zapytał Altrę — odparła Gwena. — Może zapyta również An'deshę.

Mroczny Wiatr z powątpiewaniem potrząsnął głową.

Nie liczcie na prawdziwą pomoc — odparł. — Gwiazdzistooka nie lubi bezpośrednio interweniować, Vkandis może być taki sam. Może będą w stanie pomóc nam dopiero po katastrofie, ale nie zdołają jej zapobiec — gdyż to należy do nas, jeśli tylko dokonamy właściwych wyborów; Oni zaś nie mają prawa wybierać za nas.

Gwena przytaknęła w ich umysłach, ale myślęłos Elspeth przepełniało zniechęcenie.

Ale jak możemy dokonać właściwych wyborów, skoro nie wiemy, które to? — zapytała z gniewem.

Gdybyśmy wiedzieli, co robić, nie byłby to wybór, ale plan — przypomniał jej Mroczny Wiatr łagodnie.

Nie winił jej, nie miał również serca powiedzieć jej, iż właściwy z punktu widzenia bóstwa wybór może nie zapobiec następnemu kataklizmowi. Bogowie widzieli świat w dużo szerszej perspektywie niż zwykli śmiertelnicy i to, co na dłuższą metę uznawali za dobre, mogło okazać się straszliwe dla tych, którzy musieli to przeżyć.

„Jestem pewna, że ludzie barona Valdemara nie raz szczerze chcieliby go wrzucić do Morza Słonego w ciągu pierwszej zimy na pustkowiu” — pomyślał poważnie. — „Z pewnością okropne było życie magów heroldów w czasach Vanyela, świadomych tego, że są ostatni. A jednak w dłuższej perspektywie okazało się to dobre dla większości mieszkańców Valdemaru”.

Lecz nie była to właściwa chwila na przypominanie Elspeth o takich rzeczach.

Możemy jedynie zrobić to co zawsze — powiedział jej z całkowitą szczerością. — *Musimy się jak najbardziej postarać. Potem, jeśli nawet spotka nas niepowodzenie, będziemy wiedzieli, że nie stało się to z powodu naszego zaniedbania.*

Westchnęła.

Chciałabym, żebyś nie miał tak często racji — odparła z żalem. — *Podobała mi się walka z przeznaczeniem i niesprawiedliwością tego świata. —* Wyprostowała się bardziej i kiwnęła głową. — *Cokolwiek się zdarzy, przeżyjemy. I będziemy budować nowe na tym, co zostanie —* rozejrzała się wokół i skrzywiła w gorzkim uśmiechu. — *Wszystkie nasze narody mają w tym wprawę.*

Ścisnął jej dłoń na znak zgody.

I będziemy robić to razem, ashke. — Na myśl o grupie w sercu Równin Dorisza, przebywającej w szczątkach Wieży, poczuł zimny dreszcz. Cokolwiek się zdarzy — on, Elspeth i inni zapewne przeżyją.

Ale co z przyjaciółmi w Wieży? Co się z nimi stanie?

Kiedy znów skupił się na rozmowie, poczuł nagły skurcz żołądka, przestał wyraźnie widzieć i przez chwilę miał wrażenie, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Po chwili wszystko się uspokoiło, lecz gdy spojrział na Tremane'a, potem na Elspeth, a potem znów na króla — i zauważył to samo zaskoczenie w ich oczach, które po chwili zamieniło się w bolesne zrozumienie — wiedział, co się stało.

Magiczne burze znów się rozpoczęły. Oznaki ich ponownego narastania zaczęły pokonywać falę, którą wysłano przeciwko nim. Na razie nie miały dość siły, by sprawić im kłopot, ale była to tylko kwestia czasu.

Mroczny Wiatr zrozumiał.

Był to pierwszy znak nadchodzącej ostatecznej burzy; od jej uderzenia dzieliło ich w najlepszym wypadku kilka tygodni. Nie mieli pewności, czy przeżyją, a jeśli nawet im się uda, wątpliwe, czy będą żyć w takich warunkach, jak dotychczas. Istniały setki możliwości, tyle samo decyzji, jakie musieli podjąć. Musieli rozważyć wykorzystanie mocy i obronę, rozwiązać sekrety i zrozumieć powiązania. Jak w pajęczej sieci — złe ustawienie jednego elementu mogło pociągnąć za sobą zniszczenie całej struktury, a to kosztowałoby ich utratę wszystkiego.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

— Co się dzieje z twym przyjacielem Śpiewem Ognia? — szepnął Lyam do Karala, kiedy Śpiew Ognia odszedł w odległy kąt Wieży, by oddać się rozmyśleniom — czy, jak to nazywał, medytacjom — już drugi raz tego dnia. — Inni pracują razem nad notatkami dotyczącymi labiryntu, a on wciąż odchodzi na bok, by, jak twierdzi, pomyśleć. Jak ci się wydaje, może jest chory? Albo nie jest w stanie podołać obowiązkom?

— Nie jestem pewny — odrzekł Karal, chociaż takie zachowanie Śpiewu Ognia nie było dla niego nowością. W warunkach takiej bliskości, w jakiej żyli, nikomu nie udałooby się nagle zmienić zachowania, nie zwracając uwagi innych. A Śpiew Ognia z pewnością zachowywał się dziwnie — choć nie z tą egoistyczną dziwacznością, jaka wcześniej czyniła go tak niebezpiecznym.

O tym, że jego samotne rozmyślenia różniły się od wcześniejszych, można było wnioskować na podstawie kilku faktów. Po pierwsze — Aya trzymał się teraz blisko niego, wtulając się w niego i wsuwając głowę pod podbródek maga, podczas gdy Śpiew Ognia trzymał swego więź-ptaka i drapał go delikatnie pod skrzydłami; poprzednio to właśnie ucieczki Ayi od partnera dawały do zrozumienia, że myśli maga błędzą niebezpiecznymi ścieżkami. Tym razem Śpiew Ognia nie tykał również dziwnych rodzajów magii; siedział w odległym kącie, wpatrując się w przestrzeń, jakby w swym umyśle szukał odosobnienia, którego nie mógł znaleźć w Wieży. Jednak te medytacje zawsze wydawały się kończyć nagłym, zamyślonym spojrzeniem rzucanym na Karala; biorąc pod uwagę nieporozumienia, jakie kiedyś między nimi zaszły, Karal bał się trochę tego, o czym mógł rozmyślać Śpiew Ognia.

— Hmm — powiedział Lyam i ostrym, ubrudzonym atramentem pazurem podrapał się w czubek głowy. — Cóż, nie wydaje się, żeby osiągał jakiegokolwiek rezultaty, a kiedy tak siedzi i patrzy, przyprawia mnie o dreszcze. Jeśli właśnie wpada w melancholię, może ktoś z was powinien nim potrząsnąć.

Karal skrzywił się.

— Nie sądzę, żeby ktokolwiek z nas miał ochotę nim potrząsać, ale chyba nie zaszkodzi, jeśli z nim porozmawiam. Jeśli ma jakiś kłopot, może Srebrny Lis będzie w stanie mu pomóc. Ale może właśnie Śpiew Ognia nie chce w to włączać

Srebrnego Lisa, więc ja mógłbym coś dla niego zrobić — zrobił śmieszoną minę. — Przecież podobno jestem kapłanem, a kapłani zajmują się takimi rzeczami, prawda?

Kiedy tylko to powiedział, zdał sobie sprawę, że znalazł się w sytuacji, w której powinien zacząć działać. Lyam kiwnął zachęcająco głową przy ostatnich słowach, więc zanim zdążył znaleźć powód, żeby to odwlec, Karal wstał i poszedł na poszukiwanie Śpiewu Ognia.

Dogonił go Altra, nonszalancko płacząc się pod nogami. Kiedy Karal spojrział na niego pytająco, ten mrugnął do niego bystrymi, niebieskimi oczami.

Pomyślałem, że pójdę z tobą, na wypadek, gdybyś mnie potrzebował — odezwał się leniwie. Karal nie zapytał, dlaczego miałby go potrzebować, gdyż znał odpowiedź. Gdyby Śpiew Ognia wpadł we wściekłość lub stał się niebezpieczny, Altra mógłby go obronić.

Karal znalazł adepta w komnacie kryjącej jedno z tajemniczych urządzeń — z drutu, płytek jakiegoś migoczącego materiału i kryształów — które wydawało się zbyt delikatne, by nazwać je bronią. Aya kulił się pod płaszczem maga. Jego długi ogon spływał komicznie spod podszewki, jakby kaskada piór należała do Śpiewu Ognia. Adept w głębokim zamyśleniu wpatrywał się w delikatnie błyszczące kamienie. Na dźwięk kroków Karala odwrócił się, ale nie wydawał się zaskoczony jego widokiem.

Karal podszedł do niego ostrożnie, ale w lekkim uśmiechu maga nie było nic, co nie mogłoby uchodzić za powitanie. Obchodząc otoczoną kłębem drutów broń, usiłował znaleźć w miarę dyplomatyczne słowa na początek rozmowy, ale nie udało mu się. Postanowił więc od razu przejść do rzeczy.

— Od kilku dni trzymasz się na uboczu; trochę się o ciebie martwimy — powiedział wprost. — Nie chciałem podpytywać Srebrnego Lisa za twoimi plecami, czy wszystko w porządku — wolałem zapytać ciebie. Czy coś się dzieje?

— Coś innego niż wszystko? — zapytał lekko ironicznie Śpiew Ognia. — Wiesz, znajdujemy się w niebezpiecznym położeniu.

— O tak, wiem... — zająknął się Karal — Chodzi mi o to...

— Nie dzieje się nic złego — przynajmniej nie ze mną, Karalu — przerwał mu Śpiew Ognia, uśmiechając się do swego więź-ptaka, który wystawił głowę zza kurtki, sprawdził, z kim jego opiekun rozmawia i schował się z powrotem. — Ale cieszę się, że przyszedłeś, gdyż mam kilka pytań, które dotyczą tylko ciebie. Usiądź tutaj — wskazał mu posadzkę obok, a on ostrożnie usiadł. — Karalu, Kars i Valdemar od wielu pokoleń toczą wojny i rozumiem, że każdy mieszkaniec Karsu może żywić bardzo nieprzyjemne uczucia wobec niektórych postaci z historii Valdemaru, lecz masz dość inteligencji, by sam wyciągać wnioski, a nie przyjmować wszystko, co ktoś ci powie. Zatem chciałbym zadać ci pytanie dotyczące historii: co wiesz i co myślisz o magu heroldów Vanyelu Ashkevron?

Karal popatrzył na niego, zdziwiony nagłą zmianą tematu, gdyż pierwsze py-

tanie, jakie zadał magowi, nie miało nic wspólnego z postacią z zamierzchłej historii, taką jak Vanyel Ashkevron. Jednak było to bardzo interesujące pytanie, zważywszy wszelkie zmiany, jakie zaszły w życiu i sposobie myślenia Karala. Pozornie mogło się wydawać, że w ogóle nie dotyczyło sytuacji w Wieży, lecz Karal znał Śpiew Ognia i wiedział, że mag musiał mieć powód, by je zadać.

— Zamierzam głośno myśleć, więc proszę o wyrozumiałość — odezwał się w końcu — Jak zapewne odgadłeś, Vanyel Łowca Demonów stanowił ucieleśnienie wszystkiego, co najokropniejsze w Valdemarze. Każdemu karsyckiemu dziecku mówiono, że jeśli będzie niegrzeczne, przyjdzie Vanyel i je zabierze. Był heroldem, jeżdżącym na demonicznym komu, zaprzysięgłym wrogiem wszystkiego, co stanowiło Kars. Był potężnym magiem, co samo w sobie oznaczało świętokradstwo, a co gorsza, potrafił odprawić demony przywoływane przez najzręczniejszych kapłanów. W niektórych starych kronikach wspomina się, iż umiał zdjąć więzy nałożone przez kapłanów na demony i odesłać je przeciwko tym, którzy je wezwali, co w oczach Karsytów uczyniło go królem demonów.

— To mówi wasza historia — odparł Śpiew Ognia, bardzo uważnie przyglądając się Karalowi. — A co ty o tym myślisz?

— Właśnie do tego dochodzę. — Karal potarł kark, usiłując uporządkować myśli i rozluźnić napięte mięśnie. — Według mnie na wielką ironię zakrawa fakt, iż najcięższe oskarżenia przeciwko Vanyelowi dotyczą parania się magią i jazdy na demonicznym koniu, podczas gdy nasi kapłani sami byli magami, wzywali demony i przejmowali nad nimi kontrolę.

W sardonicznym uśmiechu Śpiewu Ognia pojawił się cień uznania.

— Nikt dotąd nie udowodnił, że powody wojen i uprzedzeń są racjonalne. — Podrapał Ayę pod dziobem i został nagrodzony wyjątkowo wdzięcznym świergotem. — Fanatyzm religijny często wykorzystywany jest jako wymówka dla wielu czynów, które inaczej byłyby nie do przyjęcia.

— To religia jest wymówką. Mnie się czasem wydaje, że kiedy fanatyzm za gości w umyśle człowieka, rozsądek pakuje się i ulatuje uszami — odparł Karal nieco kwaśno. — Jednak do najgorszego dochodzi wtedy, kiedy ludzie bez skrupułów, za to posiadający władzę, wykorzystują go dla zaspokojenia własnej chciwości.

Aya znów wysunął głowę zza pazuchy maga, jakby bardzo zainteresowany słowami Karala. Altra położył się u stóp Karala; w jego zachowaniu nie było nic, co mogłoby dać powód do przypuszczenia, iż strażnik duchowy Karsyty nie akceptuje jego słów.

— Moje doświadczenie to potwierdza — odparł Śpiew Ognia z olśniewającym uśmiechem. — Choć nie jestem dużo starszy od ciebie. Zatem jaki naprawdę był według ciebie Vanyel?

Karal wzruszył ramionami.

— Oczywiście zdaję sobie sprawę, że dla Valdemarczyków musi być wielkim

bohaterem, skoro moi rodacy uznali go za tak straszliwego wroga. Walczył z ludźmi, którzy — jak wiem — byli chciwi, całkowicie pozbawieni etyki — należeli do jednych z najgorszych Synów Słońca w całej naszej historii, więc zapewne po prostu spełniał swój obowiązek, broniąc rodaków przed bezwzględными grabieżcami z mojego kraju. Ja . . . nie twierdę, że mi się to podoba. Właściwie wstydę się tego — przerwał; przyszła mu do głowy trafna myśl. — Mogę jedynie powiedzieć, że nawet jego wrogowie w Karsie nigdy nie zarzucali mu wprowadzania armii do naszego kraju, czego nie można powiedzieć o karsyckich dowódcach. Nie udaję, że wiem, kto miał rację w sporach, kiedy obie strony uznawały się za napadnięte lub sprowokowane do ataku, a magia, sabotaż i skrytobójstwo były na porządku dziennym, ale mogę powiedzieć, iż Valdemarczycy nigdy nie wprowadzili wojska do Karsu, podczas gdy moi rodacy nie raz atakowali Valdemar.

— Bardzo zrównoważona opinia — odparł z aprobatą Śpiew Ognia. — Nigdy wina nie leży tylko po jednej stronie. A teraz znów zmienmy temat. Potrzebuję opinii kapłana: co kapłani Słońca mówią o duchach?

— Jakich? — zapytał Karal. — Zmarłych, nie zaznajających spokoju? Duchach nawiedzających miejsca? Duszach, które wracają jako przewodnicy?

— Wszystkich — odparł Śpiew Ognia, podkreślając słowo gestem ręki. — Według pewnych religii takie zjawisko w ogóle nie istnieje, inne zaś opierają się na nich i na kulcie przodków. Co na ten temat mówi Obrządek?

— Bardzo niewiele — Karal zmarszczył brwi, usiłując przypomnieć sobie słowa księgi. — Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, widzę, że to, co mówi, brzmi interesująco. Zgodnie z Obrządkiem żaden wierny — niezależnie od tego, czy ma duszę czystą, czy najbardziej zbrukaną — nie może zostać duchem. Każdy urodzony lub wychowany w wierze zostanie zaprowadzony przed Vkandisa i osądzony — Obrządek określa to słowem „oddzielony”. „Dobrzy zostaną oddzieleni od złych; żadna dusza nie uniknie oddzielenia. Żli zostaną wrzuceni w ciemność, gdzie ogarną ich rozpacz, strach i ból, by powtarzać swoje błędy tak długo, aż nauczą się kochać Światło Vkandisa i służyć mu. Dobrzy zaś zbiorą się na bujnych łąkach raj, by śpiewać na Jego cześć w wiecznych promieniach, pić najśodszą wodę i wiecznie kapać się w chwale Słońca”. Tak brzmi cytat. Księga mówi dużo więcej o tym, kto zostanie duchem jakiej rangi i co będzie robić, ale podejrzewam, iż całą tę resztę wymyślili kapłani. We wcześniejszej wersji Obrządku nie ma o tym mowy.

— Niektórzy ludzie potrzebują hierarchii, organizacji i zasad nawet w przyszłym życiu — zaśmiał się Śpiew Ognia. — Niechętnie to mówię, ale leżenie w tłumie na łące, kąpanie się w słońcu i śpiewanie hymnów pochwalnych przez całą wieczność nie pociąga mnie. Po pierwszym dniu zacząłbym wyć z nudów.

Karal roześmiał się.

— Może to nie dla ciebie, ale pomyśl o pierwszych prorokach wywodzących się spośród biednych pasterzy, żyjących na zimnych, wilgotnych wzgórzach Kar-

su, gdzie zwykle padał deszcz, snuła się mgła, a zbiory były marne.

— Dla nich bujne łąki i wieczne słońce były zapewne rajem, prawda? — Śpiew Ognia uniósł brwi. — W porządku, zatem Karsyci nie mogą zostać duchami — a co z ludźmi z innych narodów?

— Obrządek nie wspomina o tym. Jednak według tradycyjnego przekazu zmarli bez błogosławieństwa stają się głodnymi, mściwymi duchami, które snują się w nocy. Dlatego większość Karsytów nie wybiera się nigdzie po zmroku, jeśli nie towarzyszy im zapewniający im bezpieczeństwo kapłan. — Jednak pytanie Śpiewu Ognia nie dotyczyło tylko karsyckiej tradycji, ale zdania samego Karala. — Jako kapłan mogę egzorcyzmować duchy — teoretycznie. Powinienem umieć odesłać każdego takiego ducha na sąd, jeśli tego chce — nawet jeśli nie wyznaje naszej wiary. Obrządek nie wypowiada się jednoznacznie na temat tych, którzy mają pecha czcić kogoś innego niż Vkandis. Większość wierzy, że zostanie odesłana na wieczną karę, nawet jeśli byli dobrymi ludźmi, ale Obrządek wcale tak nie mówi — jest w nim jedynie zapisane, że takie duchy zostaną osądzone i odesłane na „swoje miejsce”. Nie mówi, co to za miejsca. Z tego, co wiem, mogą one istnieć tu, na ziemi.

„Tre’valen i Jutrzenka to swego rodzaju duchy, a jeśli An’desha i Lo’isha mówią prawdę, duchami są również niektórzy Kal’enedral. A nawet jeśli nie, nie żyją w sposób tak fizyczny, jak Florian i Altra. Może Kal’enedral również ich osądziła i uznała, że ich miejsce jest tutaj”.

— A co z avatarami? — zapytał Śpiew Ognia, jakby czytał w jego myślach. — Czy oni są duchami?

— Jeśli nie, nie wiem, jak można ich nazwać — wyznał Karal. — Jeśli nie należą do „błogosławionych” w karsyckim sensie tego słowa, to i tak nie ma w nich zła i chciwości. Nie są również mściwi, więc nie ma powodu, dla którego miałbym oceniać ich postępowanie — zastanawiał się dalej. — Istnieją dwa rodzaje egzorcyzmów. Jeden z nich po prostu wyrzuca ducha z tego, czym zawładnął, i nie pozwala mu wrócić — jednak duch może znaleźć sobie drugą istotę i zapanaować nad nią. Drugi rodzaj udziela duchowi błogosławieństwa, otwierając dla niego drogę, by mógł nią odejść tam, gdzie powinien, oraz pomaga mu zerwać ostatnie więzi ze światem, a kiedy duch jest gotowy — wysyła go w drogę. Jednak duch musi być gotowy. Większość kapłanów łączy oba rodzaje egzorcyzmów w nadziei, że kiedy duch zostanie wyrzucony, zobaczy Światło i uświadomi sobie, iż nie powinien znajdować się tutaj. Jednak czytałem również raporty o duchach, które wydawały się zaskoczone tym, że nie żyją — w takich wypadkach kapłani wykorzystują tylko drugi rodzaj egzorcyzmów.

— No dobrze, a gdybyś spotkał kogoś, o kim wiesz, że jest duchem — nie avatara ani kogoś, kto na pewno podlega jakiemuś bóstwu — co byś wtedy zrobił?

To było dobre pytanie. Według niektórych kapłanów Karal musiałby spróbować egzorcyzmów na czymkolwiek, co wyglądało lub zachowywało się jak duch,

lecz wtedy musiałyby tak postąpić również wobec Kal'enedral i avatarów, a przecież przy nich nawet nie śmiało pomyśleć o słowie „egzorcyzm”!

— Chyba spróbowałbym egzorcyzmować wszystko, co może wyrządzić krzywdę, wysłać w drogę to, co jest gotowe — a całą resztę zostawiłbym w spokoju.

Wciąż nie widział związku pomiędzy pytaniami Śpiewu Ognia a ich położeniem, ale mag zapewne wiedział, do czego zmierza.

Śpiew Ognia wyglądał, jakby podjął jakąś decyzję, gdyż jego twarz nieco się ożywiła i zniknął z niej wyraz zamyślenia.

— Słuchaj — powiedział. — Wypytywałem cię o to wszystko, gdyż potrzebuję twojej pomocy — twojej i Altry, a wszystko łączy się z religią. Poznałem... kilka prawdziwych duchów, których na pewno nie pomyliłbyś z niczym innym. Jeden z nich to mój przodek. Fizycznie są one związane z pewnym miejscem na północy, tuż za północną granicą Valdemaru.

„O nie... zapewne boi się, że ostatnia burza może je unicestwić lub w jakiś sposób zranić”.

— Śpiewie Ognia — przerwał Karal. — Mam nadzieję, że nie chcesz mnie prosić o egzorcyzmy. To znaczy... przykro mi, że twój przodek jest fizycznie związany z ziemią — gdybym mógł, z radością bym mu pomógł, ale to chyba niemożliwe. Mówiłem ci: jedyne, co mogę zrobić, kiedy duch nie jest gotowy, to odesłać go z miejsca, z którym jest związany. Zresztą wątpię, czy mógłbym zrobić cokolwiek, znajdując się tak daleko.

Teraz przerwał mu Śpiew Ognia.

— Nie, Karalu, nie o to mi chodziło! — zawołał. Wydawał się bardziej rozbawiony niż rozgniewany pomysłem Karala. — Wysłuchaj mnie do końca. An'desha, Sejanos i ja zgadzamy się, że potrzebujemy więcej magów, tutaj, w Wieży, ale nikt nie dotrze tu na czas. Potrzebni nam są co najmniej adepci, a każdy adept znajdujący się w pobliżu Wieży jest niezbędny na swoim miejscu. Nie możemy postawić Bramy, by sprowadzić adeptów — ludzi lub nie-ludzi z dalszych stron, a Altra nie może przenosić nikogo śmiertelnego — a co z duchami?

„Duchy. Jeden z przodków Śpiewu Ognia. Północ Valdemaru. I adept”.

Pytania nagle ułożyły się w logiczną całość; Karal spojrzął na maga z mieszaniną przerażenia i fascynacji.

— Ten duch — przodek — to chyba nie Vanyel Ashkevron? — zapytał; mimo wysiłku nie mógł powstrzymać drżenia głosu. Poczuli, jak jeżą mu się włosy na karku. Ogólne dyskusje na temat Vanyela — Łowcy Demonów to jedno. Zastanawianie się nad sprowadzeniem go tutaj to zupełnie inna sprawa!

Chciał błagać Śpiew Ognia, by zaprzeczył, by powiedział, że nie chodzi o Vanyela, ale powstrzymał się, gdy spojrzął na twarz maga.

Myślę, że to bardzo dobry pomysł, Karalu — odezwał się Florian nieśmiało. — Vanyel jest adeptem. Jeśli to możliwe, powinniśmy to zrobić.

— Nie będę pytał, jak do tego doszło — powiedział Karal cicho. — Nie będę pytał, jak odkryliście, że Vanyel — Łowca Demonów wciąż... istnieje — zamknął oczy i potrząsnął głową. — Nie wierzę własnym uszom.

Chłopcze, jeśli potrzebujesz poparcia jeszcze kogoś, masz moje — odezwała się Potrzeba. — Spotkałam się z nim, choć wątpię, czy mnie pamięta. On i Stefan będą nam bardzo pomocni. Może nawet staną się ostrzem, które pomoże nam pokonać burzę.

Śpiew Ognia uśmiechnął się drwiąco.

— Miecz mówi o tym, że potrzebujemy ostrza. Bardzo słusznie. W każdym razie to avatary zaproponowały takie rozwiązanie. Według notatek dotyczących labiryntu możemy potrzebować... bardziej uzdolnionych magów niż poprzednio. Jedyne rozwiązanie na sprowadzenie duchów to wysłanie tam Altry — powiedział. — Jeśli słusznie się domyślamy, Vanyel, jego Towarzysz i jego przyjaciel mogą zacząć się o coś wystarczająco małego, by Altra mógł to przenieść.

— My? — zapytał słabo Karal. — Ilu z was o tym rozmawiało?

— Wszyscy magowie — odparł Śpiew Ognia. — Łącznie z Potrzebą i avatarami. I wszyscy się zgodzili. Najprawdopodobniej urządzenie z labiryntem rozwiąże nasze problemy, ale potrzebujemy pomocy, by je uruchomić.

Karal spojrzął na Altrę, który przyglądał mu się z dołu z zainteresowaniem.

— A co ty na to powiesz? — zapytał kota.

Szczerze? Myślę, że może się udać. Nie jestem magiem, tak jak wy to rozumiecie, ale inni wydają się przekonani. Jest jeszcze tylko jedna kwestia, dlatego chcieli z tobą rozmawiać.

— Zatem ty też o tym wiedziałeś? — westchnął Karal. — Mogłem się spodziewać. Co to za kwestia?

Praktyczna. Sprowadzenie duchów może zakrawać na wtrącanie się w ludzkie sprawy; jeśli zrobię to, o co mnie proszą, mogę przekroczyć moje uprawnienia. Żeby spełnić ich prośbę, potrzebuję pozwolenia wyższej instancji — i nie ja powinienem o nie prosić.

— Mam przeczucie, że nie mówisz o Solaris, kiedy wspominasz o wyższej instancji. — Karal zagryzł wargi.

Masz rację. Jesteś tutaj jedynym kapitanem Słońca — powiedział spokojnie Altra. — To ty musisz poprosić. Ja nie mogę — nie mogę również nic zrobić bez tego pozwolenia. Mogę doradzać, prowadzić, spełniać niektóre wasze prośby, ale to wykracza poza moje kompetencje. Nie chcę mówić jak liczący słupki urzędnik, który czepia się szczegółów, ale gdyby te duchy były z Karsu, a nie Valdemaru, byłoby łatwiej.

— Z powodu dawnej wrogości? — zapytał zaskoczony Karal. — Ale to sam Pan Słońca nakazał rozejm z Valdemarem!

Nie z tego powodu, ale dlatego, że te duchy mają tu określone zadanie do wykonania. Nie wiem, czy już to zrobiły, może nawet one same tego nie wiedzą. Teraz,

nawet jeśli nie wykonały zadania, mogą dołączając do nas, okazać nieposłuszeństwo wobec tego, kto wyznaczył im zadanie. Bez pozwolenia Vkandisa nie mogą im pomóc, nie ryzykując takiego samego nieposłuszeństwa.

— Nie prosiłbym cię o to — odparł Karal. — Chyba nie mam wielkiego wyboru.

Sądząc z tego, jak patrzę na ciebie przyjaciele, chyba nie.

Karal spojrział w górę, już z poczuciem winy i przymusu — i napotkał spojrzenia trzech par oczu. — Potrzeba nie miała oczu jako takich, ale Karal czuł, że patrzy na niego poprzez Śpiew Ognia, zaś w wejściu stał Florian, a spojrzenie jego wielkich niebieskich oczu mogło stopić każde serce.

To było więcej, niż mógł znieść.

— Będę musiał wyjść na zewnątrz — wydusił z siebie i zdołał nie zachwiać się, kiedy mijał Floriana.

Jakimś cudem pamiętał o płaszczu, butach i rękawicach — włożył je na siebie, ale przejścia przez tunel nie pamiętał. Dobrze wiedział, co ma robić; był świadkiem wielu podobnych prośb składanych przez Solaris i jej najbardziej zaufanych kapłanów, poza tym sam uczył się tego w ramach przygotowania do kapłaństwa. Jak wiele innych, ważnych ceremonii religii Pana Słońca, składanie prośby wydawało się zwodniczo proste.

Jedynym wymogiem było to, by ceremonia odbywała się w świetle dnia. W Wielkiej Świątyni umożliwiały to liczne okna wycięte w kopule. Tutaj Karal musiał tylko wyjść na dwór. Jak przystało na religię założoną przez ubogich pasterzy posiadających tylko tyle, ile mogli unieść na plecach lub załadować na grzbiet osła, ceremonia nie wymagała specjalnego stroju ani rekwizytów. Prośbę przekazywał kapłan, a strój stanowiła czysta i szczerza wiara w to, że modlitwa będzie wysłuchana. Może nie zostać spełniona, ale na pewno zostanie wysłuchana.

Karal bardziej niż inni miał powody, by w to wierzyć. Wiedział, że Vkandis go usłyszy; czyż nie miał Altry jako żywego dowodu? Wątpił jedynie, czy sam był gotowy i godny, by otrzymać jakąkolwiek odpowiedź, nawet odmowną.

Odszedł tak daleko, że od obozu Shin'a'in oddzieliła go wysoka zaspą, a wokół nie widać było znaku życia. Nad nim wznosiła się Wieża, rzucając cień na otoczenie — jak rzuciła cień na ich życie. Wokół widział oślepiającą biel śniegu, czasami sięgającego do kolan, na ogół głębszego. Nigdy dotąd nie widział tak grubej pokrywy śnieżnej.

Shin'a'in również nie spotkali się z tym wcześniej — przynajmniej tak słyszał. Zima była bardzo ciężka, a sytuacja mogła się jeszcze pogorszyć — jeśli Równiny przetrwają ostateczną burzę, to co stanie się ze starożytną bronią przechowywaną w Wieży.

„Nawet jeśli ja nie jestem godny, sprawa jest godna tego, by prosić” — zdecydował w końcu i stanął twarzą do słońca, rozkładając szeroko ramiona.

Modląc się w określonym celu, niektórzy zwracali uwagę na każde wypowiedziane słowo, ale Karal i jego mistrz Ulrich nie widzieli w tym wielkiego sensu. „Są jak dworacy, starają się znaleźć najlepsze słowa w nadziei, że książę rzuci im błyskotkę” — powiedział z niesmakiem Ulrich. „W Obrządku nie ma nic o wygłoszeniu dla Vkandisa wspianych przemówień. Vkandis rozumie nas doskonale, niezależnie od słów, jakie znajdujemy”.

Zatem Karal po prostu stał, całym sobą otwarty na światło słońca, które symbolizowało większe Światło — i pozwalał mu wnikać w siebie. Swoją modlitwę ograniczył do przedstawienia samych faktów.

„Tak wygląda nasze położenie. Tego dokonaliśmy dotąd. To musimy zrobić. Wiemy, że to nie gwarantuje nam powodzenia, ale uważamy, że jest potrzebne. Czy pozwolisz swoim sługom to zrobić?”

Po raz pierwszy wygłosił taką modlitwę i własna śmiałość przyprawiła go o drżenie. Stał się samym pytaniem — i czekał, pusty jak naczynie, na odpowiedź.

Słońce jaśniało na nieskończonej, błękitnej przestrzeni nieba, kiedy Karal starał się zatracić w Świetle. A w chwili, kiedy mu się to udało, Vkandis ukazał mu swoją twarz.

Słońce rozjarzyło się, podwoiło, potroiło swą wielkość; poczuł palące światło na twarzy, ale nie odwracał wzroku, wpatrując się w nie nieruchomo.

Potrafisz znieść Światło. Ale czy zniesiesz miejsce, gdzie nie ma cienia?

Słońce rozdzieliło się na dwa, trzy, kilkanaście słońc, które okrążyły Karala, tworząc miejsce, w którym nie było cienia ani żadnej kryjówki. Słońca osiadły na ziemi dookoła niego, tańcząc na śniegu, nie topiąc go jednak ani nie pochłaniając. Karal wciąż czekał, oddychając równo i głęboko co dwanaście uderzeń serca; wszelki strach wypalił się w nim, pozostała tylko wiara i oczekiwanie.

Potrafisz znieść miejsce, gdzie nie ma cienia. Ale czy wytrzymasz przebywanie tylko w Świetle?

Dwanaście słońc znów się rozjarzyło i zaczęło krążyć wokół niego, coraz szybciej i szybciej, aż stopiły się w świetlisty krąg. Krąg rozbłysnął — Karal musiał zasłonić na chwilę oczy, a kiedy znów spojrział, stał nie w śniegu Równin, ale w sercu słońca, ze światłem wokół, w sercu Światła — a Światło stało się jego częścią.

To jednak, jak zdał sobie sprawę, nie było całkowicie nowym doświadczeniem. Choć aż do tej chwili tego nie pamiętał, to samo przeżył, będąc kanałem energii w czasie uwalniania wielkiej mocy pierwszej broni, jaką uruchomili. Światło usunęło wtedy wszelki strach — podobnie jak teraz, a potem oświetliło każdy zakątek jego serca. . . tak, były tam miejsca uszkodzone, ledwie naprawione, nawet obszary lekkich cieni — Karal widział je i ponowił prośbę o ich naprawienie. „Ale” — powiedział bezgłośnie do wielkiego Światła — „nie liczy się to, czym jestem. To, o co proszę, nie jest dla mnie ani nawet dla tych kilku, którzy przebywają razem ze mną. Proszę dla wszystkich naszych ludów i dla ludów, których

nawet nie znam”.

Światło odpowiedziało mu pytaniem.

Czy prosisz również za ludzi z Imperium?

Opowiedział natychmiast.

„Tak”.

Czy nie mówił, że większość mieszkańców Imperium nie miała nic wspólnego z przerażającymi czynami ich przywódców? Dlaczego nie mieliby zostać osłonięci?

Nawet za twoich wrogów? — nadeszło następne pytanie.

Opowiedział tak, jak poprzednio.

„Tak”.

Jeśli była to cena, za jaką również niewinni mieli uzyskać ochronę, niech tak będzie. Fanatycy mówili: „Zabijcie wszystkich, bóg rozpozna swoich”. On powiedziałby raczej: „Oszczędź wszystkich, niech bóg ich osądzi, bo my nie mamy do tego prawa”.

Nastąpiła długa jak wieczność chwila oczekiwania, po czym Światło zalało go aprobatą.

Zatem moja odpowiedź brzmi — usłyszał. — Tak.

Światło znikło.

Znalazł się z powrotem w śniegu, ze zdrętwiałymi stopami, załzawionymi oczami, przepełniony odpowiedzią, jaką uzyskał. Był jaśniejącą czarą pełną potwierdzenia — zaniósł tę odpowiedź do Wieży tak ostrożnie, jak uczeń niesie czarę świętej wody.

— Naprawdę nic nie pamiętasz? — zapytał Lyam, płonąc z ciekawości, kiedy pomagał Karalowi nieść nowe notatki do komnaty służącej jako magazyn. Karal z żalem potrząsnął głową, patrząc pod nogi. Ostatnie kilka stopni prowadzących do warsztatów było mocno wytartych.

— Pamiętam jedynie wyjście na śnieg. Potem — nic, dopiero przebudzenie się z odpowiedzią — spojrział przepraszająco na Lyama. — Przykro mi, wiem, jak bardzo chciałbyś zapisać to wszystko; nie jest to żaden sekret, ale po prostu nie pamiętam, co się stało.

Hertasi machnął ogonem, może zniecierpliwiony.

— Mogłeś po prostu wyjść i wrócić, a potem udawać, że otrzymałeś odpowiedź — zaczął. — Nie sądzę, byś to zrobił, ale...

— To nie takie łatwe, jak myślisz. Mógłbym oszukać każdego, ale nie Floriana i Altrę — żadnego z nich — odparł stanowczo. — Nie jestem pewien, czy zdołałbym nabrać Potrzebę; zanim stała się mieczem, była prawdopodobnie kapłanką, a jeśli tak, ma sposoby na to, by rozpoznać, kiedy ludzie kłamią.

— Skoro tak mówisz... — powiedział z powątpiewaniem Lyam.

— A nigdy nie zdołałbym oszukać avatarów — ciągnął z naciskiem Karal. — Jak mógłbym to zrobić? Jak mógłbyś je kiedykolwiek oszukać?

Lyam musiał przyznać mu rację; może nie był do końca przekonany o nadnaturalności Floriana, Altry i Potrzeby, ale uznawał bez zastrzeżeń fakt, że avatary były czymś wyjątkowym. Odnosił się do nich z mieszaniną swej zwykłej nieposkromionej ciekawości, lęku i lekkiej niepewności. Karala nawet to bawiło. Uważał, że do czasu spotkania avatarów mała jaszczurka była swego rodzaju agnostykiem — gotowym uznać istnienie czegoś, co przekraczało granice doświadczenia, ale niechętnie przystającym na to, by miało to wpływ na jego osobę i codzienne życie. Jak wielu innych historyków przed nim, Lyam pozwalał przekonać się tylko możliwym do sprawdzenia faktom. To właśnie czyniło go dobrym historykiem, lepszym od tych, którym wystarczało ciągle powtarzanie tych samych starych plotek. Hertasi i jego mistrz Tarrn gorąco wierzyli w prawdę, zrobiliby wszystko, żeby do niej dotrzeć — zapewne także i bronić. Mogliby oczyścić z winy kogoś, kto okradł bliską mu osobę, lecz nie okazałoby litości przyjacielowi, który sfałszowałby dokumenty historyczne lub ukrył ważne fakty.

Karal i Lyam ułożyli zapiski w odpowiedniej kolejności na poprzedniej stercie notatek, zamknęli pełną skrzynkę i ustawili ją obok innych zawierających cenne kroniki Tarrna.

— Czy możesz mi pomóc, jeśli masz czas? — zapytał młodzieniec. — Łatwiej ode mnie dajesz sobie radę z rozgrzanymi kamieniami.

— To dlatego, że wy, ludzie, zostaliście kiepsko zaprojektowani — odparł hertasi, uśmiechając się szeroko. — Powinniście mieć ładną twardą skórę na dłoniach, najlepiej ze zrogowaciałym naskórkiem albo łuskami, wtedy moglibyście trzymać różne przedmioty bez problemu.

— Przypomnij mi, żebym o to poprosił, kiedy będę się starał o kolejne ciało — odrzekł Karal, kiedy Lyam szedł za nim do sypialni. — Ale z drugiej strony czyż nie dlatego wy zostaliście stworzeni?

— Aby zadośćuczynić za wasze, ludzkie niedociągnięcia? — roześmiał się Lyam. — Hm, tak. Ktoś musiał — oprócz bogów. Spróbuj namówić jakiegoś ducha albo avatara na ugotowanie porządnego posiłku albo naprawienie ubrania! Jesteśmy niezastąpieni!

Karal śmiał się razem z Lyamem; przypominając sobie żaloszny stan Altry po powrocie z Przystani, kiedy zaniósł tam teleson, postanowił przygotować się na jego przybycie. Kiedy Ognisty kot wróci z Puszczy Smutku — prawdopodobnie następnego dnia po południu — zastanie jedzenie, świeżą wodę i ciepłe posłanie, gotowe i czekające na niego. Karal trzymał rozgrzane kamienie w przygotowanym przez siebie posłaniu, a kiedy ciepły, gęsty od mięsa rosół stał się zawiesisty i stracił część smaku, zawsze znalazł kogoś, kto chętnie go zjadł, podczas gdy on gotował nowy.

Lyam był ostatnią osobą, która skorzystała z posiłku przygotowanego przez

Karala, więc chętnie pomógł mu ułożyć kamienie w posłaniu.

— I co o tym wszystkim myślisz? — zapytał. — Czy sprowadzanie duchów nie wydaje ci się dziwne? Nigdy jeszcze nie poznałem nikogo, kto widział ducha, a ty?

— To nie jest bardziej dziwne niż awatary — odparł Karal uczciwie. — Ja też nigdy nie widziałem ducha, zanim tu nie przyjechałem, ale to mi nie przeszkadza.

Lyam popatrzył na niego z niedowierzaniem.

— Jak możesz być tak spokojny? Śpiew Ognia chce tu sprowadzić ducha — i to ducha starożytnego bohatera! To coś takiego, jak... — jak przywołanie Skandranona albo — albo barona Valdemara, albo... albo pierwszego Syna Słońca! Nie czujesz się oszołomiony? Ani przestraszony?

Logicznie rzecz biorąc, Karal wiedział, że powinien być i oszołomiony, i przestraszony, ale jakoś nie odczuwał tych emocji. Sytuacja nie wydawała mu się dość realna — a może właśnie realna, gdyż przyzwyczaił się do podobnych sensacji. Nie przestał całkowicie reagować na takie wydarzenia, lecz dawno temu przestał już się dziwić.

— Vanyel Ashkevron żył bardzo dawno temu, Lyamie — odezwał się po długiej chwili namysłu. — Wiem, że pasjonujesz się historią i wydarzenia sprzed setek lat są dla ciebie równie ważne jak te sprzed roku, ale — uczciwie mówiąc — nie emocjonują mnie one. Zwłaszcza nie po tym, jak spotkałem żywych ludzi, przed zawarciem sojuszu uważanych za zawziętych wrogów Karsu, a potem odkryłem, że są to tacy sami ludzie jak ci, których znam ze swych rodzinnych stron. Wiesz, uwierzę w przyjazd tych duchów dopiero wtedy, gdy się tu pojawią, a na razie nie widzę powodu, by się tym przejmować.

— Co masz na myśli, mówiąc, że wrogowie Karsu przypominają ludzi, których znasz? — Chciał wiedzieć Lyam, usiłując — bez powodzenia — zonglować trzema rozgrzanymi kamieniami. Jeden po drugim kamienie spadały na posadzkę; hertasi rzucił się za jednym, który potoczył się kawałek dalej, potem włożył w posłanie Altry ostatni gorący kamień.

— Znam ludzi, którzy stracili bliskich w bitwach z najemnikami kapitana Kerowyn, ale kiedy przybyłem do Przystani, została ona moją nauczycielką — odpowiedział Karal. — Dowiedziałem się, że naprawdę nie jada dzieci i nie jest gorszym potworem niż jakikolwiek inny dobry dowódca wojskowy. Moim nauczycielem był także pan zwany Alberichem, który uciekł z Karsu, porzucając stanowisko kapitana armii. Został Wybrany przez Towarzysza, który wślizgnął się do samego serca Karsu! Przed zawarciem sojuszu zwano go „Wielkim Zdrajcą”, a jednak później stwierdziłem, że to dzięki niemu sojusz został zawarty. Według pogłosek miał on być pół demonem i pół czarnoksiężnikiem, zdolnym do popełnienia każdego bestialstwa, jakie można wymyślić. Okazał się być podobny do Kerowyn — może z wyjątkiem czarniejszego poczucia humoru.

— Ciekawe — powiedział Lyam i oczy mu się zaświeciły. — Zapewne nie

masz ochoty opowiedzieć mi o tym?

Jednocześnie sięgnął do torebki, z którą nigdy się nie rozstawał, wyjął z niej pióro i papier — Karal nie miał serca mu odmówić. Opowiedział historię własnej podróży do Valdemaru — miał wrażenie, że zdarzyła się setki lat temu i przytrafiła zupełnie innej osobie. Odpowiadał na pytania Lyama najlepiej i najuczciwiej, jak umiał, nawet jeśli odpowiedzi stawały go w niekorzystnym świetle. Ponieważ Lyama bardzo interesowały szczegóły zmiany postawy Karala wobec Valdemaru i jego mieszkańców, młodzieniec starał się być jak najbardziej szczery.

W wielu przypadkach sam czuł się nieco zaskoczony zmianą, jaka w nim zaszła, kiedy usiłował wyjaśnić to Lyamowi. Rozmowa i pytania pomogły mu również wypełnić czas i uspokoić się; choćby z tego powodu cieszył się z towarzystwa Lyama.

Mogło się przecież okazać, że wszystko na nic — Altra mógł dotrzeć do celu i poprosić o pomoc, nawet przedstawić osobistą prośbę Śpiewu Ognia jego przodkowi Vanyelowi, lecz nie znaczyło to, że duchy zgodzą się na współpracę. Po pierwsze — mogły nie być tymi, za których się podawały. Po drugie — niekoniecznie musiały chcieć pomagać starym wrogom. W końcu Altra reprezentował odwiecznego prześladowcę Vanyela — a dla niego to, co dla Karala było zamierzoną historią, stanowiło część wspomnień. Mógł to być spisek. Mogliby stworzyć pułapkę, by zatrzymać tutaj duchy, z dala od Valdemaru i granicy, której mieli pilnować.

Może duchy nie chciały lub nie potrafiły opuścić miejsca, które stało się ich domem. Przez długi czas tego nie robiły, więc dlaczego teraz miałyby postąpić inaczej? Może po prostu nie zdołałyby im pomóc, więc po co ruszać w niepotrzebną, a długą i niebezpieczną podróż?

Mogły nie chcieć podjąć ryzyka — teraz ludzie potrzebowali ich pomocy, lecz później Karal mógłby się ich pozbyć. Przecież kiedy znajdują się tutaj, w jego mocy, on może zmienić zdanie i wykorzystać egzorcyzmy.

Kiedy o świcie trzeciego dnia Altra powrócił, wszelkie wątpliwości zostały rozwiązane.

Lyam obudził go z głębokiego snu. Młodzieniec z początku nie rozumiał, co hertasi usiłuje mu powiedzieć.

Kiedy tylko do jego zaspanego umysłu dotarło, że Altra wrócił, wyskoczył z łóżka i narzucił na siebie ubranie z poprzedniego dnia. Nappełnił miskę gorącym, gęstym rosołem, czekającym na małym węglowym piecyku, i poszedł za Lyamem do głównej komnaty.

Wokół ognistego kota zgromadzili się nie tylko wszyscy członkowie grupy, ale również niektórzy Kal'enderal. A jeśli Altra wyglądał na wyczerpanego po sprowadzeniu Sejanesa i mistrza Levy'ego, teraz wydawał się półżywy. Leżał na

podłódze ze zmierzwioną sierścią, ciężko dysząc, otoczony ludźmi, którzy mówili jednocześnie. Nie zwracając na nikogo uwagi, Karal przepchnął się między nimi i postawił miskę gorącego rosołu przed nosem Altry. Ognisty kot spojrział na niego z niezmierną wdzięcznością i zanurzył w niej pyszczek, przełykając płyn wielkimi haustami i nie troszcząc się o elegancję.

Potrzebują fizycznej więzi z rzeczywistym światem — powiedział, jakby kończąc zdanie. Karal stwierdził, że umiejętność myślmowy bardzo przydawała się w czasie posiłków — jedząc, można było rozmawiać i nie narażać się na posądzenie o brak manier. Fascynowało go również to, że Tarn, Altra i Florian mogli sprawić, żeby ich myśli usłyszeli nawet ci, którzy, jak Sejanes i mistrz Levy, nie posiadali tego daru. — *Więc przyniosłem to; szkoda, że nie było łatwiejszego sposobu przeniesienia tego kawałka drewna. Im samym podróż tutaj zajmie trochę czasu, więc bądźcie cierpliwi. Gdybym miał sprowadzić także ich, ryzykowałbym zgubieniem ich w próżni. Poza tym Vanyel nie przepada za Bramami, a skakanie bardzo je przypomina, zwłaszcza teraz.*

— Dlaczego adept nie przepada za Bramami? — zastanawiał się głośno Sejanes, kiedy przekazano mu słowa ognistego kota.

Powiedzmy, że w przeszłości miałem nieszczęśliwe doświadczenia z Bramami — odezwał się nowy, melodyjny, przyjemny tenor, brzmiący tak, jakby wydobywał się ze studni. Podobnie brzmiały głosy niektórych Kal'enedral.

Karal spojrział tam, gdzie patrzyli wszyscy, ale nikogo nie dojrzał — stał tam jedynie stary, zniszczony instrument muzyczny. Kiedyś mogła to być lutnia lub cytra; teraz nie zostało śladu po jej oryginalnym wykończeniu, strunach i kołkach; zapewne nie używano jej od stuleci. Jeśli była to owa fizyczna więź, jaką przyniósł Altra, rzeczywiście był to dziwny wybór.

Ogólnie rzecz biorąc, wolę nie mieć do czynienia z Bramami — mówił dalej głos; powietrze nad starym instrumentem zaczęło drgać. — *Jak powiedział mój nowy przyjaciel Altra, musicie dać nam jeszcze kilka chwil. Odzwyczailiśmy się od czerpania energii z linii i ognisk i straciliśmy wprawę.*

— Nie śpieszy nam się, przodku; sami również mieliśmy pewne ciekawe doświadczenia dotyczące Bram — odparł spokojnie Śpiew Ognia. Karal poczuł, że włosy na karku podnoszą mu się wbrew jego woli. Łatwo było mówić Lyamowi, że nie jest oszołomiony ani przestraszony przybyciem duchów, kiedy było to czystą fikcją, ale teraz. . .

Teraz poczuł atawistyczny, zimny dreszcz zbiegający w dół kręgosłupa i zimną grudę w żołądku, połączone ze świadomością, że wolałby być w każdym innym miejscu, tylko nie tutaj. Tymczasem drgające powietrze przybrało kształt trzech jaśniejących postaci, które w oczach stawały się coraz bardziej wyraźne. Początkowo były to dwie najprawdopodobniej ludzkie sylwetki i trzecia, większa, przypominająca nieco konia. Stawały się one coraz lepiej widoczne, chociaż nigdy nie osiągnęły solidnej materialności Kal'enedral lub ognistej substancji avatarów.

Może dlatego Karal nagle się przestraszył. Leshy'a Kal'enedral wyglądały jak inni ludzie, zaś avatary przez swój niezwykły wygląd należały do tej samej kategorii, co ogniste koty i inne wcielenia bóstw. W tych duchach jednak nie było ani solidności, ani egzotyki, która uczyniłaby je wystarczająco rzeczywistymi, aby się ich nie bał.

Jako pierwszy stał się widoczny wyjątkowo przystojny mężczyzna; jeśli był to przodek Śpiewu Ognia, Vanyel, wyjaśniało to, skąd wzięła się uroda maga. Żaden z przybyszów nie przybrał określonego koloru, więc Karal nie mógł stwierdzić, czy ubranie ducha to antyczna wersja Bieli heroldów, ale jego krój nie przypominał niczego, co dotąd widział. Miał długie włosy — choć nie tak długie jak Śpiew Ognia czy Srebrny Lis — ale żadnej biżuterii. Mimo jego uśmiechu Karal nie czuł się zbyt pewnie.

Więc to jest nasz młody kapłan Słońca — odezwał się duch; Karal zamarł. — *Kiedy znajdzie się okazja, przypomnij mi, żebym opowiedział ci o innym stłudze Vkandisa, którego spotkałem, a który pokazał mi, że nie wszyscy ludzie używający imienia Vkandisa jako usprawiedliwienia swych uczynków należą do jednej kategorii.* — Duch uśmiechnął się równie zniewalająco jak Śpiew Ognia — i Karal odprężył się nieco. Jednak nie do końca. Z jakichś powodów — może po prostu dlatego, że te istoty wyglądały, zachowywały się i brzmiały dokładnie tak, jak powinny — w obecności Vanyela młodzieniec czuł się całkowicie zbity z tropu.

Kiedy drugi duch przybrał bardziej wyraźną postać, Karal nie poczuł się lepiej — głównie dlatego, że duch wydawał się wahać między postacią umięśnionego mężczyzny o kwadratowej szczęce, nieco wyższego od Vanyela, czy też szczupłego chłopaka o wielkich oczach i trójkątnej twarzy, drobniejszego od maga heroldów. Patrząc na niego, Karal czuł zawroty głowy; pojawienie się trzeciego ducha nic mu nie pomogło, gdyż ten z kolei wyglądał jednocześnie jak Towarzysz i jak energiczna kobieta o stanowczym podbródku, roztaczająca aurę łowczyni.

Jeśli nie macie nic przeciwko temu, chętnie zobaczę łóżko, które Karal dla mnie ogrzewa — odezwał się stanowczo Altra; kiedy Karal spojrział w dół, zobaczył wylizaną miskę po rosole i kota stojącego na chwiejnych nogach.

Idź, przyjacielu — odparł dobrodusznie Vanyel. — *My we trójkę musimy porozmawiać z magami. Wyjaśnianie sytuacji przez wszystkich naraz nie doprowadzi nas daleko. Postaramy się nie hałasować, żeby nie przeszkadzać ci w odpoczynku.*

Jako że Altra nie trzymał się na nogach zbyt pewnie, Karal wziął go na ręce i zaniósł na przygotowane posłanie; Florian szedł tuż obok, służąc jako podpora. Lyam kroczył przodem, odsuwając ludzi — jak na tak niskie stworzenie zachowywał się całkiem władczo. Altra był bezwładny z wyczerpania; Karal zastanawiał się, czy nie powinien zabronić mu kolejnych takich podróży. Czy miał prawo wymagać czegoś takiego?

To był ostatni raz. Absolutnie ostatni — powiedział słabo Altra, kiedy Karal położył go w ogrzonym łóżku. — *Wiem, że nie widzicie jeszcze żadnych fizycznych*

oznak burz, ale wierz mi, one są widoczne tam, gdzie ja muszę chodzić. To przypominało płynięcie rzeką w czasie powodzi, a, jak pozwolę sobie zauważyć, koty nie są stworzone do pływania. Nie mam siły próbować jeszcze raz.

— To dobrze, bo chciałem cię poprosić, żebyś tego nie robił — odpowiedział Karal. — Nie chciałbym cię stracić.

Nie stracisz. To jest korzyść z posiadania jako partnera kota zamiast konia; my nie biegniemy poświęcać się na pierwszy dźwięk trąbki — odrzekł Altra, mrużąc i wskazując na Floriana. — Jesteśmy rozsądne. A w tej chwili mój rozsądek domaga się odrobiny wygody. Chcę spać.

O, śpij, oczywiście — odezwał się Florian z udawanym oburzeniem. — Nie zwracaj na nas uwagi; chcemy jedynie zebrać się z uwielbieniem wokół twojej uśpionej osoby i opowiadać o twojej odwadze i innych cnotach.

Świetnie, nie krępujcie się; najwyższy czas — odpalił tak samo Altra. — Tylko mnie nie obudzcie.

Z tymi słowami zamknął oczy; jego równy oddech wskazywał, że zasnął niemal natychmiast.

— I co o tym myślisz? — zapytał Karal pewien, że usłyszy litanie pochwał pod przejrystą osłonką lekcji historii Valdemaru.

Mam nadzieję, że przez większość czasu nasi goście pozostaną niewidoczni — odpowiedział natychmiast Florian z wyraźną niepewnością w myślności. — Yfandes przyprawia mnie o... jak to nazywa Lyam? Gęsią skórę. Okropnie mnie onieśmielają!

— Naprawdę? — Karal uniósł brwi. — Nie sądziłem, że można cię onieśmielić!

Można — i przy niej tak się czuję. — Florian mówił poważnie; teraz Karal położył uspokajająco dłoń na jego kłębie. — Nawet urodzeni w Gaju nie wywołują we mnie ochoty do klękania i bicia głową w ziemię tak, jak ona!

— Nie rób tego — poradził mu Karal. — Po pierwsze skaleczysz sobie głowę. Po drugie — jestem pewien, że nie masz powodów czuć się gorszy.

Rozumiał jednak odczucia Floriana i podzielał je. Cała nadzieja w tym, że duchy pozostaną niewidoczne, może wtedy jemu samemu uda się powstrzymać ochotę bicia pokłonów i klękania.

— Duchy, gadające miecze, awatary i k'Leshy'a, Kal'enedral — mamy więcej istot nie z tego świata niż śmiertelnych! — jęknął. — A jeśli doliczyć więź-ptaki, hertasi, kyree i Towarzyszy, niesamowite istoty liczbą przewyższają ludzi tak bardzo, że znajdujemy się w mniejszości!

Mogło być gorzej — zauważył Florian z namysłem. — Mogłaby to być Dolina. Albo Dolina k'Leshya! Wtedy miałbyś jeszcze dyheli, tervardi, gryfy i pewnie coś jeszcze. Bogowie tylko wiedzą, jakie niezwykle istoty k'Leshya przywieźli ze sobą z południa.

Karal westchnął i usiadł obok Altry, opierając brodę na dłoni.

— Najgorsze w tym wszystkim jest to, że myślmówiący koń to najnormalniejsza istota ze wszystkich wokoło!

Florian zarżał.

Na szczęście dla umysłu Karala i poczucia niższości Floriana trójka przybyłych pozostawała zwykle niewidoczna, oszczędzając energię i poprzestając na przekazywaniu myślmową rad przez Śpiew Ognia. Karalowi wydawało się, że Vanyel czuł się lekko zraniony jego nerwowością, ale na to nie było rady. On sam nie do końca wiedział, dlaczego Vanyel tak go rozstraja. Może dlatego, że mag heroldów był wszystkim, czym Karal nie był, jednak bez nieco rozdętego poczucia własnej wartości jego potomka Śpiewu Ognia. Mogły to być ślady obecnych w podświadomości historii o Łowcy Demonów, jakimi karmiono go w dzieciństwie. Mogło to również wynikać z tego, że Vanyel uosabiał wszelkie lęki Karala — dlatego, chociaż młodzieniec pracował już z dziwaczniejszymi osobami, obecność Vanyela okazała się kroplą, która przepełniła kielich.

Miał również problemy podobne do tych, z jakimi zmagał się Florian — z wszystkich obecnych był rzeczywiście najzwyklejszy i — pominiawszy jego dar kanalizowania mocy — pozornie najmniej potrzebny. Nie miał takiego umysłu jak mistrz Levy, nie był magiem jak Sejanes i Śpiew Ognia, nie umiał tłumaczyć starych tekstów jak Tarrn i Lyam ani nie posiadał daru rozbawiania ludzi i pomagania im w znalezieniu rozwiązań swych kłopotów jak Srebrny Lis. Jednak to właśnie Srebrny Lis uświadomił mu to, że najbardziej zwykłe cechy czyniły go najcenniejszym dla grupy, w której każdy był niezwykły.

— Cieszę się, że tu jesteś, Karalu — powiedział Srebrny Lis następnego dnia, kiedy wspólnie jedli potrawkę.

— Ja? — zapytał zaskoczony Karal. — Dlaczego?

— Ponieważ twoja siła polega na tym, iż zostałeś postawiony wobec wydarzeń i ludzi nie mieszczących się w żadnych normach — i po prostu, bez narzekania, radzisz sobie z nimi. Dajesz przykład nam wszystkim. W końcu, skoro ty sobie radzisz, my też powinniśmy.

Karal skrzywił się.

— Chyba dotknęło mnie przekleństwo połowicznej pochwały — powiedział.

— Wcale nie miałem takiego zamiaru — zaprzeczył gorąco Srebrny Lis. — Chciałem powiedzieć, że znajdujesz w sobie siłę i dobrą wolę, w ten sposób udowadniając reszcie, że powinni być zdolni do tego samego. — Z wielkim skupieniem spojrzał mu prosto w oczy. — Pomagasz nam się skoncentrować i przypominasz o istnieniu świata poza tymi murami. W tym raczej wyrafinowanym towarzystwie ukazujesz szerszą perspektywę i pomagasz nam zachować zdrowe zmysły. — Uśmiechnął się równie czarująco, jak Śpiew Ognia. — Na swój sposób, młody przyjacielu, wciąż przypominasz nam o wszystkim, co normalne i dobre w świe-

cie, o tym, co staramy się chronić.

Karal zarumienił się — to było wszystko, co mógł zrobić, słysząc takie słowa.

On ma rację — wtrącił Altra. — To nie wielcy mistycy i święci wykonują codzienną pracę utrzymania ludzi w wierze — to zwykły kapłan — człowiek dobry, który dobrym pozostanie, niezależnie od okoliczności. Zwykli ludzie czują w sercach, że nigdy nie przeszliby prób, na jakie wystawieni są święci, ale jeśli widzą kogoś takiego jak oni sami, kto potrafi przejść te próby, wówczas zaczynają wierzyć, że i im się uda. A co do wielkich — widok zwykłego człowieka biorącego na siebie ogromne ciężary daje im inspirację do podjęcia się czegoś, czego może w innym przypadku by nie zrobili.

Teraz Karal był tak czerwony, że paliła go skóra twarzy.

— Na razie jednak mamy duży problem do rozwiązania — powiedział Srebrny Lis, poważniejąc. — Zostało mało czasu. Śpiew Ognia prosił, żebym ci przekazał, iż zdecydowali się jednak użyć kostki z labiryntem.

Te słowa natychmiast ochłodziły rumieniec Karala; Karsyta kiwnął głową. Srebrny Lis ujął go pod brodę, spoglądając mu głęboko w oczy, po czym kiwnął głową, jakby zadowolony z tego, co zobaczył.

— Wiesz, że to najlepszy wybór — mówił dalej. — Śpiew Ognia twierdzi, że z całego arsenału ta broń może nam przynieść najwięcej korzyści. — Nie wspominał o ryzyku, lecz nie musiał, gdyż Karal wiedział już, że niebezpieczeństwo związane z wykorzystaniem tej broni było ogromne — ale dopóki jej nie uruchomili, nie znali dokładnie jego rozmiarów.

Karal kiwnął głową.

— Wiedziałem, że najprawdopodobniej znów będę musiał być kanałem. W porządku; tym razem się nie boję.

Co dziwne, rzeczywiście się nie bał.

— Chciał, żebym ja ci powiedział, abyś był pewien, że nie chce zrzucić na ciebie więcej, niż na każdego z nas. — Ironiczna mina Srebrnego Lisa dopowiedziała resztę — to, czego nie powiedział słowami. Karal wiedział jednak, że Śpiew Ognia nie byłby w stanie skłamać wobec kestra'chern, a Srebrny Lis nie pozwoliłby mu narazić Karala na niebezpieczeństwo większe niż to, które wszyscy dzielili. W pewnym sensie Srebrny Lis ręczył za adepta.

Karal niezręcznie wzruszył ramionami.

— Labirynt został wybrany już poprzednio, jednak nie mieli dostatecznej informacji, by go uruchomić. Wolę kanalizować moc do czegoś, co zostało uznane za najlepsze.

Nie udawał, że rozumie choć połowę z tego, co magowie mówili o urządzeniu zwanym przez nich „kostką z labiryntem”, przypominającym stos odlanych z metalu sześciątów ułożonych raczej przypadkowo jeden na drugim — a którego ośrodek pozwalał kanalizować energię. Urtho albo nigdy nie zdołał uruchomić urządzenia tak, by pracowało prawidłowo, albo jego ośrodek już nie działał.

W każdym przypadku nikt z obecnych nie umiał uruchomić urządzenia do kanalizowania mocy — więc cała nadzieja spoczęła na Karalu. Mogło ono działać lepiej z żywym kanałem — może właśnie dlatego dotąd nie udawało się go uruchomić. Żyjący kanał mógł podejmować decyzje, martwy przedmiot — nie.

Jak inne urządzenia z Wieży kostka nie przypominała z wyglądu broni. Właściwie była nawet ładna; na jej niebieskiej metalowej powierzchni pojawiła się patyna odbijająca światło w maleńkich tęczach, jak olej lub woda. Jediną naprawdę dziwną cechą arsenału było to, że żadna broń nie przypominała z wyglądu innej. Trudno było wyobrazić sobie, jak ten sam umysł mógł znaleźć tyle tak różnych rozwiązań.

— Karalu! — zawołał mistrz Levy z głównej komnaty. — Teleson jest wolny i jest w nim Natoli!

Srebrny Lis nie dał Karalowi okazji do wywinięcia się od rozmowy.

— Biegnij — powiedział. — Ze mną możesz rozmawiać w każdej chwili, a nie jestem nawet w połowie tak ładny jak Natoli.

Ostatni komentarz znów wywołał rumieniec na twarzy Karala, ale tym razem młodzieniec nie przejął się tym. Jego romans na odległość wydawał się wzbudzać ciepłe uczucia u wszystkich. Trzymali się dyskretnie na uboczu, kiedy rozmawiał z Natoli, i starali się jak najczęściej umożliwić im korzystanie z urządzenia.

Altra szedł tuż za Karalem, by pomóc mu w nawiązaniu łączności. Dziwne, ale ognisty kot nigdy nie docinał Karalowi na temat tego, co działo się między nim a Natoli; najwidoczniej nawet Altra uznał ich coraz bliższe kontakty za prywatną sprawę, do której nie powinien się wtrącać nikt z zewnątrz, nawet on. Niezależnie od tego, co którekolwiek z nich powiedziało, ognisty kot nigdy tego nie komentował — ani w czasie rozmowy, ani później. Właściwie przez większość czasu Karalowi udawało się zapominać o jego obecności.

Jednak Natoli miała dla niego niemiłe wiadomości, nie związane z ich prywatnymi sprawami.

— Elspeth i Mroczny Wiatr przekazali, że w Hardornie pojawiły się już burze — powiedziała poważnie. — Jeszcze nie są niebezpieczne, ale to tylko kwestia czasu. Zaczęliśmy się już przygotowywać do stawienia czoła temu, co się stanie.

— Zapewne dlatego magowie i pozostali w końcu wybrali broń, której chcą użyć — odpowiedział. — Natomiast mistrz Levy zgodził się z nimi, gdyż to on tworzy matematyczne modele pomysłów rozwiązania problemu. — Zawahał się i spojrzął na swoje ręce, ale w końcu podniósł wzrok i powiedział jej prawdę. — Mam znów być kanałem.

Nie odezwała się, ale zbladła lekko i przygryzła wargę.

— Cóż — wydusiła w końcu — po to przecież tam jesteś. Musisz zrobić to, co do ciebie należy, tak jak i ja — opanowała się znów. — A co do obowiązków: jestem odpowiedzialna za część planów na wypadek ostatecznej burzy. Gdyby równowaga ogniska pod pałacem została zakłócona, zamierzamy ewakuować pałac,

a nawet część Przystani. Wszyscy wysoko urodzeni wrócili do swych posiadłości, a dziś wysłano do domów uczniów kolegów. Wyjechali nawet uzdrowiciele. Uczniowie, którzy nie mają domów, pojedą z mistrzami — w przypadku bardów, uzdrowiciele do domów uzdrowień, a uczniowie-heroldowie na objazdy z mianowanymi heroldami. Panuje tu duże zamieszanie, a każdy kto tylko ma parę rąk, robi to, co akurat potrzebne. Gryfy podobno zostaną do samego końca i rzuca zaklęcia odstrasżające grabieżców, a potem odlecą. Kiedy wszyscy wyjadą, będzie spokojniej.

Nie musiał pytać, dlaczego wciąż była w pałacu; tak jak on, nie mogłaby stać z boku, kiedy innym groziło niebezpieczeństwo. Zapewne zostanie do końca, gdyż podobnie postąpiłby jej ojciec. Herold Rubryk był w Karsie, więc pewnie czuła się w obowiązku podtrzymywać tradycję rodzinną.

— Cóż — odpowiedział — robisz to, co musisz, prawda? Jeśli twoje obowiązki wymagają pozostania w pałacu, musisz tam zostać. — Nie było to najrzeczniejsze sformułowanie, ale miał nadzieję, że zrozumie, co chciał powiedzieć — że na pewno nie poprosiłby jej o zaniechanie czegoś, co uznawała za swój obowiązek, po to tylko, by była bezpieczna. Jeśli w ogóle istniało jakieś bezpieczne miejsce. — Chcę, żebyś wiedziała, że według mnie naprawdę nie grozi nam ani mniejsze, ani większe niebezpieczeństwo niż wam — ciągnął, chcąc dodać jej otuchy. — Martwi mnie tylko jedno: po tym, co się zdarzyło poprzednio, inni są tak zdecydowani osłaniać mnie, że boję się bardziej o nich niż o siebie.

Uśmiechnęła się niepewnie.

— I tak byś się o nich bał. Obiecuj mi tylko, że pozwolisz im o siebie zadbać. Pozwól im osłonić się na tyle, ile zdołają.

— Jeśli ty obiecasz mi to samo — odparł. — Zanim znów rzucisz się na wybuchający kocioł, zaczekaj i sprawdź, czy nie robi już tego ktoś, kto bardziej się do tego nadaje! Wiesz, może się zdarzyć, że — pomimo twoich zdolności — ktoś inny może to wykonać lepiej.

— Wymagasz wiele — odrzekła i potrząsnęła głową, a w jej oczach pojawiły ślady dawnej wesołości. — Dobrze, obiecuję.

— Ja też — odrzekł cicho i odpowiedział jej uśmiechem.

Wicher wył i gwizdał za oknami komnaty; lodowate poddmuchy zawiei przedzierały się przez okna i grube zasłony, ale baron Melles nie zwracał na to uwagi. Ubrany w jedną z ciężkich, wełnianych tunik, które z konieczności stały się modne, a pod nią w zimowy, gruby, dziany jedwab, cieszył się, czytając raporty swych szpiegów umieszczonych w domach członków dworu. Praktycznie każdy dokument świadczył o zmianie ich postawy wobec niego.

„Strach”. Niewymownie cieszyła go taka reakcja. Mogli go nienawidzić, mogli mu zazdrościć, mogli — choć rzadko — nawet podziwiać go za bezwzględ-

ność, teraz jednak wszyscy się go bali; bali się nawet okazać mu choćby ślad sprzeciwu.

Poprawił się w krześle i na nowo położył stopy na płytce grzejnej pod biurkiem. Jego ostatnia lekcja przyniosła lepsze efekty, niż się spodziewał, a wieść o niej rozeszła się daleko poza dom tego, kto ją odebrał, i jego przyjaciół. Najwyraźniej o wiele mądrzej i bardziej praktycznie było pokazać, że dzieci jego wrogów nie są bezpieczne, niż grozić samym wrogom. Co do tych zaś, którzy nie mieli dzieci — cóż, każdy z nich miał kogoś, na kim mu zależało. Ten, kto zagrozi dziecku, bez skrupułów skieruje atak przeciwko starym i chorym rodzicom, rodzeństwu czy kochance. Nawet Tremane miał podwładnych, których strata byłaby dla niego przykrym przeżyciem — na przykład ten stary mag Sejanus.

Właściwie, jak na ironię, każdy z nich bardzo łatwo mógłby uodpornić się na taki niespodziewany atak. Poza Mellesem nikt nie pojął i nie przyswoił sobie zasady starego Charlissa, którą ten stosował przez całe życie: nie ufaj nikomu, o nikogo nie dbaj, od nikogo się nie uzależniaj. Pomimo oczywistych niedogodności takiej postawy wszyscy uparcie zakochiwali się, nawiązywali przyjaźnie, a nie sojusze, a te związki zawsze tworzyły szczeliny w ich zbrojach.

„Tremane nigdy nie wiedział, że to przez niego jestem dzisiaj taki, jaki jestem. Uczynił ze mnie swego wroga w czasie, kiedy byliśmy kadetami. Wydał mnie przed pułkownikiem i na zawsze zniszczył moją karierę w armii. I za co? Za to, że zrobiłem coś, czego wszyscy pragnęli, a nie mieli dość inteligencji i odwagi, by to uczynić. Zaufałem mu, gdyż powiedział, że jest moim przyjacielem, a on mnie zdradził. Gdyby nie to, gdybym pozostał w korpusie kadetów, jak on, nie zobaczyłbym przykładu, jaki dawał Charliss”.

Tego dnia Melles przestał być owieczką, a stał się wilkiem — tak mogłoby się stać z każdym z nich. Cóż była to ich własna wina — wina ich i ich głupoty; dlatego to on był teraz spadkobiercą cesarza, a nie oni.

Nawet wspomnienie dawnego upokorzenia, kiedy wyrzucono go z korpusu kadetów, nie umniejszało jego triumfu. W końcu osiągnął cel, jaki wyznaczył sobie tamtego dnia — sprawić, by wszyscy, którzy liczą się na dworze, bali się go. W tym niezwykle dobrym humorze zastał go generał Thayer i jednym zdaniem zepsuł mu nastrój.

Lokaj Bors wprowadził generała; Thayer na mundur miał zarzucony płaszcz wojskowy, a na dłoniach rękawiczki bez palców. Melles przywitał go z radością, chociaż nie wstał z krzesła.

Jednak Thayer nie przyszedł z wizytą towarzyską.

— Melles, mamy kłopoty — powiedział chrapliwie. Jak zwykle przeszedł prosto do rzeczy, nie czekając, aż usiądzie na zaoferowanym mu krześle.

„Skąd się wzięły?”

— Jakie kłopoty? — zapytał mocno zaskoczony Melles. — W mniejszych miastach panuje spokój, w większych już się go zaprowadza. Mamy dostawy po-

żywienia, nawet nieco na nich zarabiasz. W większości miast bunty się skończyły, a rebeliantów coraz częściej uznaje się za szaleńców. Może straciliśmy ziemie, które podbił dla Imperium Charliss, ale...

— Ale armia nie chce twojego przywództwa — odparł Thayer prosto z mostu. — Ostatnia twoja sztuczka przeważała szalę. Otrzymałem z pola wiadomości, że nie zamierzają osadzić na Żelaznym Tronie zabójcy dzieci. Opowieści o twojej potędze rozeszły się szybciej i szerzej, niż którykolwiek z nas przypuszczał. Nie wiem jak, ale mimo wszelkich środków zaradczych niemal każdy, z kim się kontaktowałem, wie wszystko i wie, że to ty włożyłeś ciało do kołyski. — Zmarszczył ponuro brwi. — To był głupi pomysł, Melles. Przeciętny wojak może być twardego człowiekiem, ale z jednym na pewno się nie pogodzi: z pogrozkami wobec dzieci.

Melles skrzywił się.

— Ale nic nie łączy mnie z tym incydentem — zaprotestował.

Thayer prychnął z wielką wzdargą; wiatr uderzył w szyby i poruszył płomykami świec.

— Proszę, przestań. Nie każdy jest urodzonym kretynem, zwłaszcza w armii. Choćbyś nie wiem jak mocno starał się udawać, że jest inaczej, jesteś zabójcą. Każdy o tym wie; każdy wie, iż tylko ty mogłeś zrobić coś takiego, a potem, w razie konieczności, z zimną krwią kontynuować to. Powtarzam: armia nie będzie popierać zabójcy dzieci; to wszystko.

Melles poczuł w gardle gniew zimny jak wiatr na zewnątrz.

— Dziwne sentymenty jak na ludzi, których zawodem jest zabijanie — odpowiedział z równą pogardą. — Z pewnością pytają o wiek każdego wieśniaka z włócznią, z jakim walczą w polu, a buntownicze wsie pozostawiają nietknięte, jeśli atak oznaczałby zabicie kilkorga dzieci.

Thayer poczerwieniał z gniewu, ale udało mu się opanować.

— Mógłbym, przypomnieć, że armia działa według określonych praw, a wojownik zabija otwarcie, pod warunkiem, że przeciwnik ma równą szansę zabicia jego samego. Obaj wiemy, nie zawsze taka bywa, ale nie o to chodzi.

— O? — zapytał sarkastycznie Melles. — A o co?

— O to, że przeciętny żołnierz wierzy w to wszystko — odparł Thayer, uderzając w biurko dla podkreślenia swych słów. — Niezależnie od tego, czy to prawda. Prawda nie ma tu nic do rzeczy i doskonale o tym wiesz. Wojownik uważa, że broni honoru Imperium, walcząc z wrogiem i dzięki temu czuje się lepszy od zabójcy i o wiele lepszy od kogoś, kto nie tylko naraża dziecko na niebezpieczeństwo, ale również grozi dziecku pochodzącemu z jego własnego narodu.

— Oczywiście nie przeszkadza mu to nabić na włócznię dziecko ze zbuntowanej wsi i nie czuć z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia — warknął Melles, chociaż widział logikę w rozumowaniu Thayera. Generał miał rację. Nie chodziło tu o prawdę, a on, tak doświadczony w manipulacji, powinien był o tym wiedzieć.

— Świetnie. Co muszę zrobić?

Thayer westchnął i w końcu usiadł na krześle.

— Nie wiem — przyznał. — Buntują się nie tylko dowódcy, ale i generałowie oraz żołnierze niższych stopni, a nie są oni podatni na argumenty, których używałeś na dworze. Jeśli nic nie zrobimy, możemy ich stracić, a wtedy — kiedy Charliss zostanie małym bogiem — wyniosą na Żelazny Tron kogoś, kogo sami popierają, a ty i ja zostaniemy z niczym.

Melles z wściekłością zacisnął zęby, gdyż Thayer miał rację. Mimo że w przeciwieństwie do Tremane'a, w czasie służby w armii Imperium był tylko kadetem, znał jej strukturę i rządzące nią zasady. Generałowie robili karierę w wojsku, tak jak ich ojcowie. Ich żony były córkami podobnych im ludzi, a rodziny łączyły się również z rodzinami innych wojskowych. Jako służących i strażników zatrudniali byłych żołnierzy, a ich żony — jako pokojówki i gospodynie. Pozycja w tej strukturze zależała od wielopoziomowej protekcji i nie można było tak prosto zwolnić nikogo ani wyrzucić. Wysokich przywódców można się było pozbyć, gdyż, podobnie jak Tremane, pochodzili ze szlachty, ale nie dotyczyło to generałów. Stanowili stado wilków: nie można było wybrać pojedynczej ofiary, gdyż nikt z nich nie trzymał się samotnie, a jeśli uczyniło się ruch przeciwko jednemu z nich, całe stado zbierało się, by przegryźć napastnikowi gardło, po czym wracało do swych wewnętrznych rozgrywek o władzę.

— Nie możesz ich ruszyć, Melles — ostrzegł Thayer, jak gdyby słyszał myśli barona. — Jeśli spróbujesz, zniszczą cię. Nie zniosą gróźb i zjednoczą się przeciwko tobie. Jeśli posuniesz się za daleko, dojdzie do przewrotu. Nawet straż osobista nie zdoła uchronić cię przed całą kompanią, która zechce cię zabić.

— Mówisz, że wiadomość doszła już do szeregów? — zapytał Melles, którego myśli krążyły równie szybko, jak płatki śniegu za oknem.

Thayer kiwnął głową; Melles przeklął w myślach siarczyście. Nie mógł nawet zwołać generałów ze stolicy na spotkanie, zamknąć komnaty i zabić ich. Gdyby spróbował, zbuntowałyby się cała armia. Taką metodę można zastosować tylko wtedy, kiedy generałowie są skorumpowani i powszechnie znieawidzeni przez podkomendnych.

— Mamy kłopoty, ale nie zostaliśmy jeszcze pokonani — odezwał się w końcu, gdy pozbierał myśli. — Może i mają dobrą komunikację, ale ja mam lepszą. Zostało mi jeszcze kilka rzutów i to ja zbieram kości — zaczął się uśmiechać, gdyż do głowy przyszedł mu sposób na rozwiązanie problemu.

Thayer patrzył na niego z ciekawością i niechętnym podziwem.

— Masz w zanadru coś, o czym mi nie powiedziałeś?

Melles kiwnął głową.

— Nawet nie spróbuję zaprzeczać pogłoskom. W zamian dam im coś innego, co ich zajmie. Zawsze mam w rękawie asa, o którym nikomu nie mówię — dodał z przechwałką. — A ty nigdy nie powinienesz lekceważyć mocy pióra urzędnika.

— Czego nie da się znaleźć, można zawsze stworzyć, tak? — domyślił się Thayer. — Co właściwie planujesz? Czy zamierzasz podsunąć im innego wroga, na którym będą mogli się skupić?

Melles tylko się roześmiał.

— Nie będę musiał niczego wymyślać. Przy odpowiedniej liczbie archiwów do przeszukania mogę znaleźć wszystko, czego potrzebuję, a sam wiesz, że Imperium produkuje tyle dokumentów, że wystarczy do zapełnienia całych magazynów. Daj mi kilka dni, a znajdę dowody mogące przekonać armię o tym, że powinni popierać właśnie mnie, że zabójcą dzieci na tronie powinni się najmniej przejmować, w tym czasie podbiję ich.

— Podbijesz? Jak niechętnie dziewczęta? — Thayer wydobył z siebie wulgarny dźwięk budzący jednoznaczne skojarzenia, lecz Melles się nie obraził, zajęty swymi myślami.

— Zaczekaj, a zobaczysz — odpowiedział, snując plany, które zapewne zaskoczyłyby starszego mężczyznę. — Tylko zaczekaj, a zobaczysz.

Thayer nie był przekonany, ale ufał kompetencji Mellesa na tyle, by dać mu trochę czasu na dopracowanie planów. Wstał i powiedział:

— Pamiętaj, że nie mogę dać ci dużo czasu. A przekonanie ich do zmiany opinii o incydencie z dzieckiem wymaga go sporo. Nadal nie jestem pewien, czy traktujesz ten problem wystarczająco poważnie.

— Pamiętaj, co powiedziałem ci o zwykłym człowieku oraz jego potrzebach i marzeniach — odparł Melles. — Pamiętaj również, że armia składa się ze zwykłych ludzi, jedynie nieco lepiej przeszkolonych i bardziej zdyscyplinowanych.

— Hmm — Thayer zamyślił się i wyszedł. Kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi, Melles zawołał swoich pięciu prywatnych sekretarzy.

Tak jak jego lokaj, byli to mężczyźni o różnych uzdolnieniach, ukończyli wiele interesujących kursów. Cała piątka wyglądała tak niepozornie, że w tłumie nikt by ich nie zauważył. Wszyscy potrafili dostać się do nawet najbardziej strzeżonych dokumentów dzięki umiejętności wcielania się praktycznie w każdego rodzaju urzędnika Imperium i podrobienia wszystkiego, z wyjątkiem imperialnej pieczęci. Kiedy urzędnik przybywał z odpowiednimi dokumentami i prośbą o udostępnienie innych papierów, musiałyby trafić na kogoś o wiele bardziej przebiegłego i doświadczonego niż większość personelu administracyjnego, by zostać odkrytym.

— Ty. — Wskazał na pierwszego mężczyznę w szeregu. — Chcę, żebyś dotarł do listy żołdów wojskowych, znalazł oddziały, którym zalega się z wypłatą i dowiedział się, kto jest za to odpowiedzialny. — Wskazał dwóch kolejnych. — Ty i ty — prześledzicie akta oddziałów wysłanych do Hardornu. Porównajcie prośby o dostawę i posiłki z tym, co rzeczywiście im wysłano. Chcę również otrzymać dane dotyczące wszelkich odrzuconych prośb oraz wiedzieć, kto je odrzucił. — Przeszedł do dwóch ostatnich. — Wy dostańcie się do prywatnych papierów cesa-

rza Charlissa, przynajmniej tych przechowywanych w archiwach. Chcę otrzymać całą korespondencję między cesarzem a Tremane'em od czasu, kiedy książę wyjechał do Hardornu. Idźcie!

Pięciu ludzi wybiegło w pośpiechu, jak kuropatwy na widok myśliwego. Melles nie zamierzał instruować ich, jak mają się dostać do potrzebnych mu dokumentów; jednym z powodów, dla którego ci mężczyźni nie pracowali już w administracji, była ich Przedsiębiorczość. Inicjatywa i kreatywność nie były nagradzane w imperialnej administracji, a ludzie obdarzeni jednym i drugim wpadali we frustrację i szukali innych pracodawców.

Po chwili Melles wezwał swego skarbnika.

— Idź do ministra skarbu. Chcę wiedzieć, jaką część budżetu wojska możemy mieć w gotówce, a jaką w towarach. Powiedz mu, że podejrzewam niedociągnięcia w wypłatach żołdu, które trzeba będzie szybko naprawić, jeśli nie chcemy kłopotów. — Myślał przez chwilę, w końcu przypomniał sobie coś ważnego. — Jeśli nie będzie chciał ci powiedzieć, wspomnij o pieniądzach na drogi; nieważne, co powiesz, tylko wpleć to w rozmowę.

Mężczyzna z uśmiechem kiwnął głową; każdy imperialny minister skarbu zagarniał pewne sumy dla siebie; wiedziano o tym, ale wszystko było w porządku, jeśli nie dał się na tym złapać. Jeśli jednak przyłapano go na gorącym uczynku, kary były surowe. Melles dokładnie wiedział, skąd aktualny minister skarbu podbierał pieniądze i z grubsza znał nawet kwoty, znajomość takich faktów wykorzystywał przy planowaniu przyszłości. Lepszy moment mógł się nie trafić. Dobra karta nie różni się od złej, jeśli nigdy się nią nie gra.

Skarbnik wyszedł, a Melles wezwał ostatniego pomocnika w swej kampanii podboju — jednego z bardziej osobliwych podwładnych. Ten elegancki mężczyzna był oficjalnie protegowanym Mellesea, dramaturgiem; w niewielkim stopniu był twórczy, a jego geniusz polegał na absolutnym talencie propagandowym. Melles nieczęsto korzystał z jego usług, ale człowiek ten był nieocenionym narzędziem w pewnego typu operacjach. Melles dodatkowo korzystał z tego, że lubił on pisać teksty propagandowe na równi z tworzeniem poezji. Pewnego razu powiedział swemu pracodawcy, że kiedy zajmował się propagandą, czuł się tak, jakby pisał inny rodzaj sztuki, w której słowa manipulowały aktorami, a nie na odwrót. Lubiał widzieć swoje sztuki odgrywane na szerszej scenie w realnym świecie.

W nagrodę Melles systematycznie finansował odczytywanie jego poezji w odpowiednich kręgach, dbając o to, by właściwi krytycy zostali zjednani pochlebstwami, nakarmieni i napojeni tak mocnymi i egzotycznymi napojami, by nawet największą grafomanię uznać za natchniony tekst.

— Mam nadzieję, że nie nawiedziła cię właśnie muza — zaczął ostrożnie Melles, wiedząc, że tego człowieka nie może do niczego zmusić jedynie przekonać. Jego lojalność wobec barona opierała się na interesie własnym, więc można mu było całkowicie zaufać. Raz kupiony, pozostawał wierny — a nikt oprócz samego

Mellesa nie zdawał sobie sprawy, że jest to coś więcej niż osobliwe upodobanie. Od człowieka rangi barona oczekiwano mecenatu artystycznego, a poeta był najtańszym i najmniej natrętnym artystą. — Przygotowałem dla ciebie dość pracochłonne zajęcia — ciągnął. — Mam nadzieję, że nie jesteś zajęty. Mężczyzna uśmiechnął się z wyrafinowaniem i ze świadomą elegancją założył nogę na nogę. Był dandysem i uważał, że ma powodzenie u kobiet. Pensja, jaką otrzymywał, umożliwiała mu kreowanie się na eleganta nie tylko pomiędzy równymi mu, ale także wśród wyższych rangą.

— Do czego potrzebny ci mój talent? Do naprawienia nadszarpniętej reputacji? Odkąd rozeszły się plotki, zacząłem się zastanawiać, co mogę dla ciebie zrobić. — Potrząsnął głową i uniośł dłoń w udawanym geście ostrzeżenia. — Mój drogi panie, postąpiłeś bardzo nierozważnie. Ta sprawa może cię zrujnować, o ile ktoś umiejętnie się nią nie zajmie.

Melles nie odpowiedział, choć ciętą replikę miał już na końcu języka. Mężczyzna wart był tyle złota, ile ważył, a był na tyle arogancki, że zdawał sobie z tego sprawę. Zamiast tego baron powiedział wprost.

— Nie martwię się o dwór; i tak mi nie zaszkodzi, a jak owce pójda za każdym, kto ma na szyi odpowiedni dzwonek. To armia sprawia mi kłopoty. — Pochylił się nad biurkiem, chcąc podkreślić powagę sytuacji. — Zdecydowali, że nie poprą kogoś o mojej etyce jako kandydata do Żelaznego Tronu.

Poeta zacisnął usta.

— To może być kłopot. Nie bardzo wiem, jak postępować z żołnierzami — chyba że już wiesz, co chcesz im przekazać?

— Owszem. Wierz albo nie, ale chcę, żebyś przekazał im całą prawdę. — Melles uśmiechnął się lekko na widok zdziwienia poety. — Musimy skupić się na przykrym przypadku mojego dawnego rywala, Tremane'a. Chcę, żebyś rozgłosił, że pozostawiono go z wojskiem samemu sobie na terenach leżących całkowicie poza zasięgiem Imperium. Bądź twórczy; opisz horror, jakim jest zostanie wysłanym na śmierć w nieznanym kraju. Znajdź właściwe słowa, by przekonać ludzi, że ja nie mam nic wspólnego z pozostawieniem Tremane'a i jego ludzi w Hardornie. Potem przekonaj ich, iż nie miałem pojęcia o planach Charlissa mianowania mnie następcą. Czasy zmieniły się tak bardzo, że ja również się zmieniłem. Osobiście jestem zajęty utrzymaniem Imperium w całości i nie starcza mi czasu, aby zemścić się na Tremane.

To ostatnie mogło przysporzyć mu niejakich kłopotów, gdyby doszło do uszu cesarza, lecz Melles zdecydował się zaryzykować.

Poeta zamyślił się.

— To nowe podejście — przyznał. — Może rzeczywiście odciągnąć uwagę wojowników od historii o zwłokach w dziecięcej kołysce. W końcu nie zabiłeś dziecka, tylko włożyłeś do kolebki ciało zabójcy. Tremane natomiast i jego ludzie zostali pozostawieni w Hardornie i to bez szczególnego powodu.

— Właśnie tego oczekuję — zachęcił go Melles. — Żołnierze mają więcej wspólnego z innymi żołnierzami, niż z dziećmi w kołyskach. Mocniej przemówi do nich sytuacja podwładnych Tremane'a. Dlaczego nie odwołano ich wtedy, kiedy pomiędzy burzami wciąż można było stawiać portale i uruchamiać je? Nie wskazuj jeszcze winnego, ale zasiej w ludzkich umysłach jak najwięcej wątpliwości, zwłaszcza w wojownikach.

— To mogę zrobić — odpowiedział zdecydowanie poeta, tracąc swą obojętność w miarę, jak wyobraźnia zaczęła podsuwać mu nowe obrazy. — Jestem bardzo dobry w stawianiu pytań. Co z odpowiedziami?

— Kiedy będę znał fakty, dam ci więcej materiału — obiecał Melles. — Na razie to wystarczy. Niech ludzie zaczną mówić, niech zajmą się czymś innym niż moje żarciki. — Dał mu znak, że może odejść.

— Plotki i pogłoski, opium dla tępych, dla sprytnych materiał, z którego tka się marzenia — powiedział ironicznie mężczyzna, uśmiechnął się i wstał z równym wdziękiem, z jakim wcześniej usiadł.

— W każdym razie moje marzenia — zaśmiał się Melles, obserwując elegantski sposób poruszania się poety, w którym jednak nie było śladu zniewieściałości. Przypominał raczej skradającego się wilka; baron postanowił go naśladować.

Pierwszy z jego ludzi wrócił po kilku godzinach z dokładną kopią listy płac armii. Jak podejrzewał Melles, część oddziałów otrzymywała żołd z opóźnieniem, chociaż lokalni gubernatorzy byli odpowiedzialni za jego wypłacanie, a pieniądze na ten cel pochodziły ze skarbu wojska. Kiedy Melles ze swym księgowym przeglądali rachunki, wrócił sekretarz wysłany do ministra skarbu.

To dało mu możliwość wykonania pierwszego ruchu w nowej grze. Zaczekał do następnego dnia, po czym odwiedził ważniejszych urzędników w administracji Imperium, prowadząc za sobą rząd biuralistów niosących stosy papierów. Bardzo uroczyście, wykorzystując doskonałą przemowę napisaną przez poetę, „ujawnił” im straszliwą niesprawiedliwość, jakiej dopuszczono się wobec wiernych żołnierzy Imperium.

— Ale to nie twoja wina — ciągnął, zanim jego rozmówca zdołał się zdernerwować z powodu obciążenia go dodatkową pracą. — W ciężkich warunkach wykonujesz swe obowiązki najlepiej, jak potrafisz! — Mówił tak przez chwilę, chwając przepracowanych urzędników za wytrwałość, nawet wtedy, kiedy musieli przedzierać się przez zamieć, by dotrzeć do biura, w którym potem marzli, i zmagali się z jeszcze gorszą pogodą, by po ciężkiej pracy wrócić do zimnego domu, gdzie czekały na nich zmniejszone racje żywnościowe. — Przeprowadziłem moich ludzi, by pomogli ci przetrwać najgorsze — kończył, podczas gdy jego urzędnicy ustawiali krzesła przy każdym pustym miejscu przy biurku lub innej płaskiej powierzchni. — Jestem pewien, że nie chcesz, by dzielni żołnierze cierpieli, ale ja nie chcę również, byś ty cierpiał!

Z tymi słowami rozpoczął gorączkowe przerzucanie papierów i porządko-

wanie zaległych płatności i rachunków. Niektóre z nich musiały być dokonane w towarach, a nie w gotówce, lecz Melles upewnił się, że towary te miały na czarnym rynku większą wartość niż gotówka, której były substytutem.

Uporządkowanie wszystkiego zajęło jeden poranek; nie było to zbyt trudne przy takiej liczbie ludzi i skoncentrowaniu ich na jednym zadaniu, a odłożeniu na krótko wszelkich innych zajęć. Potem Melles poszedł oficjalnie do przywódców i obiecał im osobiście zrekompensować wszelkie inne nieprawidłowości, jakie zostaną odkryte, zwykle poprzez nowe dostawy. Pokazowo wpadał w zakłopotanie, jakby dopiero teraz odkrył te nieścisłości. Nie wiedział, czy ktokolwiek mu uwierzył, lecz wyznaczył swoich ludzi, by dopilnowali naprawienia błędów i donosili mu o kolejnych, jeśli się pojawiają, tak, żeby można było również je rozwiązać.

Jak się spodziewał, mimo podejrzeń o próbę kupienia sobie sympatii armii, zaczął powoli zdobywać akceptację, zwłaszcza wtedy, kiedy rozeszła się wieść o tym, że sam odkrył wszystkie nieścisłości.

Później do pracy zasiadł poeta, rozsyłając swoje umiejętnie ułożone historyjki i pytania, które zmuszały żołnierzy do zastanowienia się, jaki to błąd mógł pociągnąć za sobą pozostawienie ludzi Tremane'a na lodzie, niemal w dosłownym tego słowa znaczeniu. Dodatkową nagrodą okazały się plotki o nowych, powstających w szeregach wojska wątpliwościach. Na przykład: czy spóźnienie z wypłatą żołdu to rzeczywiście skutek opieszałości biurokratów, czy też pewne kręgi nakazały wstrzymanie wypłat jako formę kary? W końcu, jeśli wielkiego księcia Tremane i jego ludzi zostawiono samym sobie, co znaczy małe spóźnienie wypłaty?

Jednak ukoronowaniem planu było odnalezienie korespondencji Tremane'a z cesarzem. Melles nie mógłby wymyślić nic bardziej skutecznego niż ostatnia wiadomość dostarczona cesarzowi tuż przed końcowym upadkiem portali, po którym już ich nie używano.

Wystarczyłoby już to, że Tremane w każdym liście błagał o dostawy, których nigdy nie wysłano, o ludzi i — zwłaszcza — o dodatkowych magów. Jednak to ostatni list sprawił Mellesowi nieklamana radość — zarówno z powodu upadku jego wroga, jak i roli, jaką mógł odegrać w jego planach.

W liście tym, do którego załączono mapy taktyczne, Tremane błagał cesarza o pozwolenie na odwrót oddziałów, oferując się zostać na miejscu z garścią ochotników i utrzymać się tak długo, jak zdoła. Prosił, by cesarz nie karał ludzi, którzy niczym nie zawinili i pozwolił im na ucieczkę, póki można jeszcze przekroczyć portal prowadzący do Imperium.

Melles nie znał się na strategii wojennej, ale dzięki załączonym mapom nawet on zdawał sobie sprawę, że Tremane nie był w stanie się utrzymać. Nikt, nawet geniusz militarny, nie przeżyłby, znajdując się w takim położeniu.

W ręcznie pisanej notatce cesarz rozkazał sekretarzom pozostawić tę rozpaczliwą prośbę bez odpowiedzi, twierdząc, iż Tremane musi sam sobie poradzić, by udowodnić swoją wartość — w ten sposób razem z Tremane'em skazał jego żoł-

nierzy. W takim położeniu najlepszym wyjściem było wygnanie — a najgorszym masakra.

Melles zaniósł ten list razem z notatką na marginesie do generała Thayera, który z kolei przekazał wiadomość swoim podwładnym, a ci podali ją dalej. Baronowi udało się tak doskonale ukryć triumf pod maską zmartwienia, że nawet generał dał się zwieść.

W armii zawrzało. Cesarz ich zdradził, zerwał świętą więź z ludźmi, którzy mieli mu służyć. Plotki o Mellesie, zabójcy dzieci, ucichły w ogniu nowego i o wiele większego gniewu; nawet szeregowiec zaczynał kojarzyć, że to Melles dopilnował wypłacenia żołdu i kontrolował punktualność dostaw zapasów. Melles, nie cesarz. W tej chwili już ich miał.

Wtedy generał Thayer przesłał mu dziwne zaproszenie — na prywatną kolację, lecz nie do pałacu, ale do dobrze znanej, luksusowej gospody, często odwiedzanej przez zamożnych kawalerów, którym nie zależało na zatrudnieniu służby i kucharzy.

Zaproszenie wydało mu się dziwne. Melles nigdy nie należał do kręgów, z których wywodzili się goście gospody. Sama karczma ucierpiała w tych trudnych czasach, jak wszelkie podobne lokale: posiłki znacznie odbiegały od wcześniejszych standardów, a właściwie były dużo gorsze od tego, co mógłby dostać w pałacu. Leżała daleko, w głębi miasta; teraz, przy magicznych burzach pojawiających się dwa razy dziennie, pogoda stała się całkowicie nieprzewidywalna, a po ulicach często włóczyły się przeróżne istoty — zwierzęta, a nawet ludzie zmienieni przez burze w nieszczęsne stworzenia, nie przypominające tych, którymi były wcześniej. Nie pozwalały one podróżować po zmroku inaczej niż z oddziałem dobrze uzbrojonych ludzi.

Melles obracał zaproszenie w dłoniach, zastanawiając się nad nim. Oczywiście mogła to być przynęta, by zwabić go tam, gdzie będzie bezbronny — i zabić. Ale jakoś w to nie wierzył. Prośba o spotkanie w publicznej gospodzie w tak odległym miejscu sugerowała raczej konieczność zachowania tajemnicy. Prywatne jadalnie w takich gospodach miały zwykle osobne wejścia z zewnątrz, którymi można było wejść i wyjść niezauważonym. Wyglądało to wręcz na spisek.

„Lepiej pójde. Jeśli ktokolwiek knuje coś przeciwko cesarzowi — i dlatego chce się ze mną spotkać — będę mógł służyć mu radą”.

Może nie był to najlepszy plan, ale lepszy niż pozwolenie spiskowcom na przeprowadzenie zamachu, który się nie powiedzie, ale obudzi czujność Charlissa. Cesarz już zachowywał się nieprzewidywalnie i wystarczyłoby niewiele, by zaczął czystkę na dworze.

„Jeśli zajdzie potrzeba, zawsze będę mógł ich wydać, udowadniając moją wierność Charlissowi”. Byłaby to jednak ostateczność, gdyby nie udało mu się przekonać spiskowców, żeby poczekali, aż będzie gotowy. Zdradzenie spisku Charlissowi kosztowałoby go za dużo kłopotów — dlatego taki ruch należało wy-

konać dopiero wtedy, kiedy wyczerpało się wszelkie inne możliwości.

Zaproszenie mogło być również przykrywką dla próby zamordowania jego samego, ale baron nie sądził, by ktokolwiek był tak głupi. Będąc zabójcą, stanowił trudny cel dla zabójców. Owszem, większa grupa ludzi mogłaby go pokonać, ale udowodnił już, że wbrew pozorom doskonale potrafi się obronić i zabije lub rani przynajmniej kilku, zanim zostanie osaczony. Taki napad wywołałby sporo hałasu i pozostawił wielu świadków, których następnie należałoby się pozbyć. Będzie miał ze sobą ludzi, których również trzeba będzie uciszyć lub usunąć, a ci ludzie z kolei mają zwierzchników, przed którymi odpowiadają za wykonywanie obowiązków, oraz rodziny, które zauważą ich zniknięcie. Cała sprawa zakończyłaby się koszmarną serią morderstw, niemożliwych do ukrycia. Potencjalni spiskowcy musieli zdawać sobie z tego sprawę.

Z wielką niechęcią wezwał lokaja i kazał mu przynieść wierzchnie ubranie, przygotować zbrojną eskortę wojowników Imperium przeciwko potworom, zawiadomić straż osobistą i podstawić pod wejście powóz na płozach, gdyż po lodzie nic innego nie mogłoby przejechać. Zamiast schodzić na ulicę, ludzie, wychodząc z domów, musieli na nią wchodzić, gdyż pokrywała ją twarda skorupa zbitego śniegu sięgająca do kolan; nie zanosiło się, by miała zniknąć przed wiosną.

Melles cieszył się, że całe swe magiczne umiejętności wykorzystał na tworzenie osłon; magowie, którzy tego nie zrobili, po przejściu burzy każdorazowo niemal się załamywali. On ledwie je zauważał; przed burzą zwykle bolała go głowa, w czasie jej trwania czuł się nieco zdezorientowany, po niej zaś miał lekkie mdłości. Żaden z tych objawów nie przeszkadzał mu w czytaniu. Jednak kolejna burza miała nadejść wtedy, kiedy będzie znajdował się na ulicy, a każdy, na którego burze mogły mocno oddziaływać, znajdował się wtedy w poważnym niebezpieczeństwie. Przechodzień idący ulicą mógł upaść, zamarznąć na śmierć i zostać ograbiony, a ktoś podróżujący otwartym powozem również mógł umrzeć z powodu mrozu, podczas gdy eskorta nic by nie zauważyła.

Melles zastanawiał się, ilu średnio zdolnych magów zostało w ten sposób złapanych w pułapkę i zginęło. „Jeśli tak, tym samym zmniejszy się liczba idiotów posiadających moc magiczną”, pomyślał, wkładając drugą parę rękawic i naciągając ciężkie buty lamowane owczą skórą. Trudno było ubrać się równocześnie elegancko i ciepło, więc Melles wybrał drugie — przynajmniej jeśli chodziło o okrycie.

Podróż do gospody była nieprzyjemna; Melles pomyślał o ludziach, którzy nadal musieli opuszczać domy i chodzić do pracy czy sklepów. Panowała paskudna pogoda. Jak zwykle hulała zamieć, a śnieg wciskał się głęboko pod ubranie i ograniczał widoczność tak bardzo, że nie można było dojrzeć ludzi z latarniami, oświetlających drogę, jeśli oddalili się oni na więcej niż kilka kroków od powozu. A jednak po ulicach chodzili ludzie, wśród nich kobiety, co bardzo zdziwiło Mel-

lesa. Jego eskorta regularnie zamieniała się miejscami, tak że część szła, a część jechała.

Kiedy ujechali już jedną trzecią drogi, zaatakowało ich stado potworów — włochatych stworzeń, które przedzierały się przez śnieg na czterech nogach, tocząc pianę z pysków i wyjąc z głodu; pod grubą sierścią rysowały się ich wystające żebra. Tym razem były to najprawdopodobniej zmiennopsy, a nie zmiennodzieci, co ułatwiło zadanie strażnikom. Trudno im było zabijać istoty płaczące jak dzieci, mające ludzkie oczy albo twarze. Z łatwością odparli atak stada, pozostawiając na śniegu kilka krwawiących, futrzanych ciał. Dotąd zmienione istoty okazywały się zwykle mniej inteligentne niż istoty, od których się wywodziły, jednak najmniej rozumu miały zmiennopsy: upierały się przy frontalnym ataku, nawet gdy ta taktyka najwyraźniej nie skutkowałą. Wyjątek stanowiły zmiennoszczury, bardziej złośliwe i sprytne, żyjące w stadach po kilkaset sztuk. Istniały już prawa dotyczące zmienionych zwierząt i ludzi; jeśli okazało się to czyimś krewnym lub ulubionym zwierzęciem, można było je zatrzymać tylko pod warunkiem pokazania ich imperialnemu inspektorowi, który decydował, czy stanowią zagrożenie dla innych. Niektóre zmienione dzieci ocalały i chroniły rodziny. Większość z nich została jednak zabita przez krewnych, gdyż mrozące krew w żyłach historie o morderstwach popełnionych przez zmienionych nie zachęcały do okazywania litości. Czasami ci, którzy stwierdzili, że zostali zmienieni, popełniali samobójstwo. Większość zmienionych dzieci włączających się po ulicach pochodziła od ulicznych dzieci — żebraków, złodziejasków i im podobnych, nie posiadających rodziny, która by się ich pozbyła, walczących tylko o przeżycie.

Resztę podróży spędzili na nerwowym wypatrywaniu kolejnych stad napastników. Kiedy w końcu przybyli do gospody, zapadły już ciemności; chcąc zjednać sobie podwładnych tak, by dochowali sekretu, Melles rozdał im hojnie pieniądze, za które mogli się zabawić we wspólnej izbie, podczas gdy on spotka się z Thayerem i jego gośćmi w komnacie na piętrze.

Jego ludzie weszli do świetlicy bocznym wejściem, Melles zaś wszedł głównymi drzwiami — z wyjącego wichru i śniegu prosto w sień, w której panowało błogosławione ciepło, paliły się lampy i czekał dyskretny służący. Skądś dobiegała cicha muzyka, pozostająca w całkowitej zgodzie z wyciem wiatru na zewnątrz. Służący skierował go na górę i na prawo, do następnego korytarza, w którym czekał już jeden ze służących Thayera. Zdjął on z Mellesa ośnieżony płaszcz i wskazał drzwi za sobą.

Nie zaskoczyło go to, że oprócz Thayera znajdowali się tu praktycznie wszyscy wyżsi dowódcy wojskowi, na kredensie zaś czekała doskonała kolacja, na razie nietknięta. Wszystkie oczy zwróciły się w stronę wchodzącego, a szmer rozmów ucichł na chwilę.

Melles usiadł obok Thayera, został przedstawiony tym, którzy dotąd go nie poznali osobiście, potem zaś służba generała zaczęła obsługiwać gości. Obserwo-

wał ich uważnie; nie umknęło jego uwagi to, że dostawał dania z tych półmisków, co wszyscy i dopiero po wymieszaniu podawano dania tak, by mógł to widzieć. Uśmiechnął się do siebie z zadowoleniem i udawał, że nic nie zauważył. Rozmowa przy stole nie była lekka, gdyż w dużej części dotyczyła grasujących stad potworów i sposobów pozbycia się ich, lecz nie miała nic wspólnego z polityką. Kolejną szczególną cechą służących Thayera było to, że sami nie operowali nożami — chcąc pokroić mięso, musieli zwracać się do generała; poza tym nie mieli przy sobie broni. Goście również nie nosili przy sobie żadnego oręża. Postarano się, by upewnić profesjonalnego zabójcę, że może czuć się tak bezpieczny, jak to tylko możliwe. Zatem nie była to jednak próba ataku. Czyli — spisek.

Po zakończeniu posiłku służba uprzątnęła naczynia, naląła wina, pozostawiając je także w karafkach na stole — i wyszła. Wtedy ujawniono Mellesowi szczegóły spisku.

Spiskowcy chcieli pozbyć się Charlissa, zanim wyrządzi jeszcze więcej szkód — i nie mieli nic przeciwko wcześniejszemu odesłaniu go do innych małych bogów. Melles słuchał ich cierpliwie, nie komentując, jedynie kiwając czasem głową, kiedy wydawali się tego oczekiwać. Ich gniew z powodu tego, co się działo, był całkowicie zrozumiały — a ujawnione przez Mellesa sensacje dotyczące Tremane'a przeważały szalę. Byli gotowi pozbyć się cesarza i przygotowali już dobry plan. Melles ocenił go bardzo wysoko, gdyż brał pod uwagę niemal wszelkie możliwe okoliczności.

— Niemal — podkreślił z naciskiem Melles. — Ale byłoby z mojej strony bezmyślnością, nie wskazać wam głównej wady waszego planu. Nie winie was, panowie, za to, że nie braliście pod uwagę tego, o czym myślę.

— To znaczy czego? — zapytał Thayer, który wziął na siebie rolę reprezentanta grupy.

— Magii. — Podniósł dłoń, by uciszyć głosy sprzeciwu. — Wiem, że ten aspekt wydaje się wam niezbyt istotny, gdyż widzicie zmianę zachowania waszych magów pod wpływem coraz częstszych i silniejszych magicznych burz. Jednak wiercie mi — to bardzo ważne. Założyliście, że zaklęcia wiążące Charlissa z jego strażą przyboczną zerwały się i nie zostały naprawione; to dobra wiadomość, ale nie tylko o nie musicie się martwić. Charliss sam jest potężnym magiem, a jego moc wzmacnia spora grupa pomniejszych magów, których umysły od wielu lat należą do niego. Spędzają oni czas na zapewnianiu mu zdrowia i potęgi — to coś, z czym nie stykacie się w kontaktach z waszymi magami, którzy nie potrafiliby zrobić czegoś podobnego. Z pewnością przypominacie sobie, panowie, magów Charlissa — ludzie o błędnych oczach, którzy drepczą za nim jak pełne uwielbienia, pustogłowe dziewczęta za przystojnym wojownikiem?

Rozejrzał się wokoło i z satysfakcją dojrzał — pomimo rozczarowania na niektórych twarzach — niechętnie przytaknięcia.

— W tej chwili Charliss jedynie częściowo odczuwa przykre skutki burz,

w odróżnieniu od reszty magów, którzy ledwie sobie z nimi radzą. — Z namysłem splótł palce i zastanawiał nad dalszymi słowami. — Sam jestem magiem, więc pozwólcie mi, abym wytłumaczył wam prawdziwe skutki burz dla magów — a przede wszystkim od tego zależy planowanie naszych dalszych kroków. Mag musi wybrać: zachować wszystkie siły na budowanie osłon lub pracować dalej, ale po każdej burzy przez wiele godzin odzyskiwać siły. Znow zobaczył potakujące kiwnięcia głowami, gdyż generałowie rozpoznali opisywane przez niego objawy. — Charliss korzysta z mocy swoich magów, dlatego może jednocześnie się osłaniać i pracować, nie odczuwając żadnych skutków. To właśnie czyni go wciąż tak niebezpiecznym. Możecie pokonać jego strażników, nawet straż przyboczną, znieść osłony postawione przez jego magów, ale robiąc to zaalarmujecie go i żaden wysłany przez was zabójca nie zdoła go dopaść.

Kilku generałów wciąż nie wyglądało na przekonanych. Melles odczytał to z ich wyrazu twarzy.

— Trzeba wziąć pod uwagę jeszcze jedno, to, co się zdarzy później — ciągnął. — Starzec wciąż ma zbyt wielu oddanych sobie ludzi — włączając w to większość naprawdę potężnych magów Imperium — którzy uważają mnie za parweniusza. Dziwnym zbiegiem okoliczności większość z nich popierała Tremane'a, faworyta magów, którzy go uczyli, a teraz doszła do całkiem znacznych wpływów. Nie wiem, czy prawda o tym, co się nieszczęśliwemu przytrafiło, zmieni ich opinię o cesarzu, ale jeśli teraz go usuniecie, nie pozwolicie, by ta prawda rozwinęła się w ich umysłach.

Teraz przekonał wszystkich; ostatnie sceptyczne spojrzenia zastąpiła rezygnacja.

— Proszę, zaczekajcie — powiedział najbardziej przekonującym tonem, na jaki mógł się zdobyć. — Cesarz w ogóle nie zareagował na odkrycie prawdy o jego postępowaniu wobec Tremane'a, która staje się coraz bardziej znana. Podejrzewam, że jego świat coraz bardziej się zawęża. Chce zemsty za zdradę Imperium, może nawet wierzy, iż ludzie posądzają go o opuszczenie Tremane'a już po jego zdradzie. Na stu małych bogów, może już sam w to uwierzył!

Kilku najstarszych generałów zagryzało usta i spojrzało z cieniem żalu; najmłodsi wyglądali na zadowolonych. Zapewne jedną i drugą reakcję wywołała ta sama myśl: jak nisko upadł cesarz! Starsi pomyśleli o sobie — o tym, że ich też może spotkać coś podobnego, jeśli szczęście im nie dopisze, młodsi zaś uważali, iż posiadanie władzy przez kogoś starego i będącego w takim stanie jest niedopuszczalne.

Melles mówił dalej, widząc, że jego argumenty zaczynają przekonywać ich.

— Charliss z każdym dniem wydaje się być w gorszym stanie fizycznym. Może niedługo już umrze śmiercią naturalną; jego życie podtrzymuje magia, a niezależnie od tego, jak bardzo cesarz stara się to ukryć, ta magia się kończy. Niech rzeczy idą naturalną koleją — pozwolił sobie na lekki uśmiech. — W końcu to ja

trzymam teraz wodze; Charliss jest zbyt zajęty własnym przetrwaniem. W dalszej perspektywie czekanie nam nie zaszkodzi. Z czasem może uda mi się przekonać tych samych magów, że Charliss ich wykorzystuje, nie zwracając uwagi na koszty, jakie ponoszą, oraz nie przejmując się prawdziwym wrogiem — burzami.

Thayer popatrzył na twarze siedzących wokół.

— Dobrze — odpowiedział. — Przyczaimy się. Zgadząmy się, że prawdziwym niebezpieczeństwem są magiczne burze i ciągłe odmowy cesarza, dotyczące rozwiązania tego problemu. Musisz sprawdzić, co możesz zrobić, by przekonać magów, iż Charliss nie zajmuje się już tym, co najważniejsze.

Melles oparł się wygodniej i kiwnął głową. Osiągnął swój cel i cieszył się tą chwilą tak samo, jak łykiem wina. Jeśli miał panować, Imperium musiało przetrwać i kwitnąć, a żeby tak się stało, powinien przekierować energię i uwagę ludzi na burze i ich skutki. Na razie energia i uwaga wszystkich podzielona była pomiędzy egoistycznego starego człowieka, który żył dłużej, niż chcieli, a próby przetrwania w coraz cięższych warunkach. Albo Charliss, albo Imperium — któreś z nich przeżyje burze.

— Zajmę się magami. Wierzcie mi, musimy ich mieć — powiedział. — Pamiętajcie, naszym silnym punktem jest Tremane. Skoro wojsko zdało sobie sprawę z tego, że Charliss zdradził i opuścił jednego z nich, wierzę, że z czasem magowie również w to uwierzą.

— Dobrze. — Thayer wyciągnął rękę. — Dziwne czasy wymagają dziwnych sojuszników, ale czasami tacy są najlepsi. Armia jest z tobą.

— A ja — odparł Melles bez śladu ironii — jestem z wami. Szkoda, że biedny Tremane nie miał tylu silnych sprzymierzeńców.

Elspeth właśnie kończyła opowiadać o ostatnich dokonaniach grupy w Wieży — wiadomości te Rolan przekazał Gwenie — kiedy Tremane nagle zbladł.

— Bogowie — wykrztusił przez zaciśnięte zęby. — Znów się zaczyna.

Miał na myśli kolejną magiczną burzę; czuł je jako pierwszy, gdyż przesuwały się przez terytorium Hardornu. Przyprawiały go o dreszcze, mdłości i zawroty głowy. Jednak to dało czas Mrocznemu Wiatrowi, Elspeth i Tashikethowi do przygotowania się na nią, zanim nadeszła. W tej chwili skutki burz nie były jeszcze zbyt poważne, choć magowie reagowali na nie zależnie od mocy, jaką posiadali. Znów zaczęły się pojawiać kręgi zmienionej ziemi. Wkrótce powrócą pustoszące kraj zamiecie i pojawią się potwory pochodzące od zmienionych przez dziką magię żywych istot. Cieszyli się, że dysponowali formułą pozwalającą przewidywać miejsca pojawienia się kręgów zmienionej ziemi.

Elspeth chwyciła poręcz krzesła i zacisnęła szczęki; nie pomogło — nigdy nie pomagało — ale przynajmniej dawało coś, czym można się było zająć, póki burza nie przejdzie. W tym czasie zmartwiony ojciec Janas obserwował ich z za-

myśleniem w oczach — nie był magiem i nie wyczuwał burz.

Ta burza była krótka i intensywna. Kiedy się skończyła, Elspeth wypuściła powietrze — dotąd wstrzymywane — zdjęła dłonie z poręczy, i położyła głowę na rękach opartych na stole.

— Oj, nie podoba mi się to — westchnął Tashiketh. — Nie wiem, jak to wytrzymujecie.

— Wytrzymuje się to, co musi się wytrzymać — odparł filozoficznie Mroczny Wiatr. — Mamy poważniejsze rzeczy do rozważenia niż skaczący po żołądku obiad.

— W ten sposób wracamy do poprzedniego tematu — podjął Tremane, rozluźniając powoli zaciśnięte dłonie, w miarę jak jego twarz odzyskiwała swój naturalny odcień. — Nie chciałbym obrażać twych przyjaciół, lady Elspeth, poddając w wątpliwość ich umiejętności, ale chyba musimy założyć, że nie uda im się zapobiec ostatecznej burzy. Ja muszę dbać — i dbam — głównie o ten kraj i jego mieszkańców; jak mam ich ochronić? Czy jest jakiś sposób, bym wziął na siebie skutki burzy, by nie dotknęły one ziemi Hardornu? Czy mogę wykorzystać magię ziemi i mój związek z ziemią, by pokazać ziemi, jak ma się uleczyć, by żyjące na niej stworzenia nie zostały skrzywione? Macie jakieś pomysły?

Ojciec Janas potrząsnął głową.

— Możesz wziąć rany zadane ziemi na siebie, synu, ale nie wytrzymasz długo, gdyż one cię zabiją. Nie możesz znieść tego, co zniesie ziemia.

— Nie mam jeszcze pomysłu, ale posiadamy kilka rodzajów magii, które możemy wykorzystać — pomyślała głośno Elspeth. — Tremane, nie sądzę, by szkody wyrządzone ziemi były wielkie, ale obawiam się o ogniska mocy, które mogą... mogą osiągnąć punkt krytyczny i wymknąć się spod kontroli. Wtedy staną się dzikie. Bardzo się boję, że ostatnia burza może przekształcić je w coś w rodzaju wypaczonego kamienia-serca, którym zajmowaliśmy się wspólnie z Mrocznym Wiatrem.

— Ja też się tego boję — przyświadczył Tashiketh. — Obawiam się, że może dojść właśnie do takiej sytuacji, a wtedy mielibyśmy coś w rodzaju ciągłej burzy w jednym miejscu. W miarę dopływu mocy jej siła by rosła — to byłoby katastrofalne.

— Osłony, tarcze... — zamruczał Mroczny Wiatr. — Problem z nimi polega na tym, że takie rzeczy muszą się załamać; nie wiem, jak moglibyśmy je umocnić na tyle, by przetrwały to, co nas czeka.

Elspeth wstała i zaczęła nerwowo chodzić wzdłuż okna. Pogoda w Hardornie znów się popsowała, choć nie była jeszcze tak zła, jak poprzednio, zanim postawiono osłony. W tej chwili jedna burza się skończyła, a kolejna jeszcze nie nadeszła. Słońce z bezmyślną dobroduszością świeciło nad oślepiającym śniegiem. Elspeth nie cieszyła się z powrotu zamieci, ale ich nadejście ograniczało przynajmniej napływ ciekawskich. Praktycznie każdy, kto mógł osobiście przy-

jechać złożyć przysięgę Tremane'owi, już to zrobił, a kilka dni temu pojawił się stary przyjaciel ojciec Janas z kolejnym koszykiem ziemi zebranej od tych, którzy chcieli złożyć przysięgę, lecz nie mogli przyjechać. Teraz Tremane czuł każdą część królestwa, co wychodziło mu i na złe, i na dobre. Znał wszystkie miejsca, w których mogły pojawić się kłopoty, lecz kiedy burza znalazła się na terytorium Hardornu, Elspeth cieszyła się, że to nie ona czuje rany zadane ziemi.

Jednak teraz system wież sygnalizacyjnych znów działał i można było przynajmniej wysłać ostrzeżenie, kiedy gdzieś w kraju działo się coś złego. Właśnie przez wieże, na długo przed nadejściem burzy, rozesłano dokładne mapy rozmieszczenia kręgów zmienionej ziemi. Nawet jeśli nie uzyskali całkowitej kontroli nad sytuacją, znaleźli się w lepszym położeniu, niż poprzednio. Hardorn znów miał jednego władcę, i panował w nim pokój. Kilka utarczek z gryfami Tashiketha zakończyło walki.

Wciąż pozostawał problem osłonięcia ognisk i kamieni-serc Tayledrasów. Elspeth cały czas pamiętała o kamieniu-sercu leżącym pod pałacem w Przystani; gdyby wymknął się spod kontroli, zniszczyły cały pałac, kolegia i może również dużą część samej Przystani. Zginęłoby mnóstwo ludzi. Pałac częściowo ewakuowano, ale i tak panowało zamieszanie. W stolicy Hardornu Elspeth widziała dość szkód wyrządzonych przez magię; bez trudu mogła wyobrazić sobie podobne zniszczenia we własnym domu.

Zaczęła drzeć na samą myśl o tym i spojrzała za okno, by nikt w komnacie nie dojrzał wyrazu jej twarzy. Jak to się ostatnio często zdarzało, znów dobrze trafiła: jako pierwsza dojrzała i rozpoznała kolejnego gościa Tremane'a.

Orszak właśnie wjeżdżał na dziedziniec. Elspeth popatrzyła na bramę, gdyż jej wzrok przyciągnął błysk metalu, oślepiające złoto oraz biel ozdób. Potem dojrzała sztandar i tego, kto pod nim jechał — i zachłysnęła się, zwracając na siebie uwagę pozostałych.

— O bogowie... — powiedziała wstrząśnięta. Przez chwilę zastanawiała się gorączkowo, czy nie ma halucynacji; to niemożliwe, by widziała to, co właśnie przesunęło się pod oknem. — Bogowie, to niemożliwe! To zbyt niesamowite nawet dla mnie...

— Elspeth? — odezwał się Mroczny Wiatr zaniepokojony tonem jej głosu. — Ashke, co się stało?

Nogi krzesła zazgrzytały o drewnianą posadzkę, kiedy w pośpiechu odsunął krzesło, wstał i podszedł do niej szybko. Elspeth nie mogąc wydobyć słowa, wskazała za okno.

Jego oczy otworzyły się szerzej ze zdziwienia, a słowa uwięzły w gardle.

— Królu Tremane — wykrztusiła Elspeth, podczas gdy Mroczny Wiatr stał nadal bez słowa. — Masz bardzo ważnego gościa; lepiej będzie, jeśli zejdiesz teraz na dziedziniec.

— Dlaczego? — zapytał z lekką niechęcią, gdyż po kilku tygodniach miał już

dość witania na zimnie rozlicznych poselstw i delegacji.

— Zrób to, co ona mówi — powiedział ochryple Mroczny Wiatr.

Tremane nie wyglądał na przekonanego; w jego tonie pojawił się niemal sarkazm.

— Kto przyjechał? Cesarz?

— Nie — odparła Elspeth. — Solaris, Najwyższy Kapłan Vkandisa i Syna Słońca, z orszakiem. — Spojrzała w dół. — Oraz ognisty kot Hansa.

Za jej plecami rozległo się stłumione przekleństwo i odgłos padającego na ziemię, zbyt gwałtownie odsuniętego krzesła. Kiedy obejrzała się za siebie, by zobaczyć, co robi Tremane, już go nie było.

— Zejdźmy na dół — odezwał się w końcu Mroczny Wiatr. — My również powinniśmy ją powitać. — Elspeth kiwnęła głową i skinęła na zaniepokojonego gryfa, by szedł z nimi.

Zanim jednak dotarli na dziedziniec, Tremane zdążył już powitać Solaris z takim szacunkiem, jakiego mógł sobie życzyć Syn Słońca i Usta Vkandis, przybývający bez uprzedzenia. Ze swej strony Solaris pozostała uprzejma, co — zważywszy na okoliczności — było wszystkim, czego Elspeth mogła oczekiwać.

— Podróżuję od wielu dni na nagłący rozkaz Pana Słońca Vkandisa — mówiła Solaris, kiedy Elspeth podeszła na tyle blisko, by ją słyszeć. — Stało się to, jak sądzę, w tej samej chwili, kiedy zostałeś związany z ziemią Hardornu. . .

W tym momencie dojrzała Tashiketha, stojącego na tylnych nogach, przednimi łapami wykonującego specyficzny gest rytualnego powitania. Solaris utkwiała w nim spojrzenie. Na jej twarzy pojawił się wyraz absolutnego niedowierzania, a dłonie odruchowo uniosły się w podobnym geście.

„To dziwne; już wcześniej widziała gryfy, więc dlaczego patrzy na Tashiketha jak na zupełnie nieznaną stworzenie?”

Kiedy Solaris wpatrywała się z niedowierzaniem w gryfa, on powiedział do niej coś w tym samym dziwnym języku, który przypominał Elspeth karsycki. Ona najwidoczniej też to zauważyła, gdyż zamrugała i wyjąkała coś w odpowiedzi. Po raz pierwszy Elspeth widziała Syna Słońca w stanie oszołomienia.

Najwyraźniej Vkandis ma również poczucie humoru — skomentował Mroczny Wiatr z nutą rozbawienia. — *Inaczej ostrzegłby ją.*

Może chciał udzielić jej lekcji. Jest Ustami Vkandisa, ale nie oznacza to, że wie wszystko o Panu Słońca — odparła Elspeth.

Tashiketh odpowiedział, potem znów powiedziała coś Solaris. Najprawdopodobniej rozpoczęli długą ceremonię wymiany powitalnych grzeczności. Rytuał dobiegł końca, Tashiketh stanął na czterech łapach i skłonił się dwornie.

Solaris spojrzała na Tremane'a, potem na gryfa, potem znów na króla.

— Jak długo, panie, ów dżentelmen gości na waszym dworze? — zapytała ostrożnie.

— Przybył kilka dni po moim związaniu z ziemią — odpowiedział Tremane. — Tashiketh poinformował nas, że właśnie z powodu tego wydarzenia wysłano go tutaj.

— Tak jak mnie — mruknęła Solaris, wciąż wpatrzona w gryfa. — Teraz już wiem, dlaczego polecono mi przyjechać osobiście, a nie wysyłać posła, jak do Valdemaru.

Mam wrażenie, że nie chodziło tylko o rozmowy z Tremane'em — powiedział Mroczny Wiatr ironicznie. — *Teraz wie, że Vkandis opiekował się również innymi. To może być nawet zabawne.*

Ognisty kot Hansa, siedzący cierpliwie na poduszce za siodłem Solaris, wyciągnął łapę i dotknął jej ramienia.

Niedługo zacznie się zamieć, Urodzona w Słońcu — powiedział uprzejmie. — *Dobry ludzie, jeśli pozwolicie — będzie lepiej, jak wejdziemy do środka.*

Podobnie jak jego pobratymiec Altra, Hansa najwyraźniej potrafił uczynić się słyszalnym nawet dla tych, którzy nie posiadali daru myślmowy. Elspeth spostrzegła zaskoczone spojrzenia obecnych na dziedzińcu, gdyż nawet strażnicy Tremane'a po raz pierwszy w życiu usłyszeli kogoś odzywającego się w ich umysłach.

— Proszę o wybaczenie, panie Hansa, oczywiście, wejdźmy — odparł z podziwu godnym refleksem Tremane. — Pozwólcie, że sam zaprowadzę was do apartamentów. — W tej chwili, potwierdzając przepowiednię Hansy, rozległ się dźwięk rogów ostrzegawczych, oznajmiających nadchodzącą z zachodu zamieć.

Tremane odprowadził gości, zapewne dziękując swoim stu małym bogom za to, że jedną z wież przebudował na mieszkania dla ważniejszych gości i ich orszaków. Ostatni z nich właśnie wyjechali, wieża została sprzątnięta i czekała na następnych. W kilka chwil doszli do niej, po czym król oddał ją do dyspozycji Solaris i jej stosunkowo małego orszaku. Mroczny Wiatr odszedł, a Elspeth została jako oficjalny przedstawiciel Selenay, chcąc porozmawiać z Solaris. Eskorta Syna Słońca składała się z kilku bardzo kompetentnych i zaprawionych w boju strażników oraz kilku kapłanów. Kiedy tylko wniesiono ostatnie bagaże, nadciągnęła burza, przed którą ostrzegał Hansa. Tremane odszedł, by sprawdzić, czy nie zapomniano o zwykłych środkach ostrożności.

Gdy tylko król wyszedł, Solaris rozluźniła się nieco. Spojrzała na Elspeth i Tashiketha i uniosła pytająco brwi.

— Czy moglibyście zostać, zanim moi ludzie nie rozpakują bagaży? Wasze towarzystwo sprawi mi ogromną radość, mam za sobą pełną napięcia podróż.

— Oboje z przyjemnością zostaniemy, Wasza Świątobliwość — odparła Elspeth ostrożnie; Solaris roześmiała się, zrzuciła płaszcz i zdjęła ciężki złoty naszyjnik. Ubrany w długie szaty służący wziął obie rzeczy i wyniósł.

— Po prostu Solaris, siostrzyczko — odparł Najwyższy Kapłan. — Tylko kilku nazywa mnie tym imieniem, a ty z pewnością masz do tego prawo. — Zdjęła kilka innych oznak swej godności i odłożyła je, po czym usiadła na krzesło stoją-

ce najbliższej kominka; ścianami wstrząsały podmuchy wichru. Hansa natychmiast wskoczył jej na kolana i ułożył się wygodnie. — Usiądź, Elspeth — ciągnęła Solaris. — Urodzony w Słońcu, Tashiketh — nie jestem pewna, co mogę zaoferować tobie...

— Podłoga w zupełności wystarczy, Najświętsza — odparł z dworską uprzejmością gryf i usiadł, podczas gdy Elspeth wzięła krzesło. — Wybacz moje pytanie, ale jak doszło do tego, że nie wiedziałaś o Vykaendysie...

— Który opiekuje się naszymi krajami? Zapewne częściowo dlatego, że wiedzę tę stracili skorumpowani kapłani zajmujący tak długo Słoneczny Tron. A co do tego, dlaczego Vkandis nie wyjawiał mi tego aż do tej chwili... — Rozłożyła ręce. — Bóg działa według swego upodobania i w chwili, którą wybierze. Zapewne miał powód, by wysłać mnie tutaj i zaskoczyć tą nowiną.

— Zapewne wysłał cię tu z innych jeszcze powodów, Najświętsza — odrzekł z szacunkiem Tashiketh.

— Skoro jesteś tutaj, kto zasiada na Słonecznym Tronie? — zapytała Elspeth, niezdolna dłużej powstrzymać ciekawości. — Myślałam, że nie możesz opuścić kraju, gdyż wciąż są tacy, którym nie ufasz.

— O, to opowieść sama w sobie. Pewnego dnia opowiem wam ją całą; w skrócie: jestem tutaj, gdyż sam Vkandis siedzi teraz na Słonecznym Tronie. — Na widok ich zaskoczenia Solaris pokiwała głową. — Dosłownie. To drugi wielki cud, jaki zdarzył się za mojego panowania: w czasie nabożeństwa, któremu przewodniczyłam, wielki posąg Vkandisa znów ożył i nakazał nam iść za sobą, po czym wyszedł ze świątyni, malejąc w miarę jak szedł, aż doszedł do sali tronowej i zasiadł na tronie. — Solaris mówiła tak rzeczowym tonem, jakby opowiadała o straszliwej zamieci, jaka rozpełtała się na zewnątrz, a nie o czymś, co najwyraźniej było cudem. Elspeth zafascynował jej stosunek do tego, co się stało. Nie widziała powodu, by wątpić w słowa Solaris, gdyż kapłanka nie opuściłaby Karsu bez ważnego powodu i pewności, że tron będzie na nią czekał. — Kiedy usiadł, oznajmił, że z Jego rozkazu mam wyjechać do Hardornu w misji życia i śmierci, a na dowód tego, że jestem prawdziwym, urodzonym w słońcu Synem Słońca, do mojego powrotu On obejmie tron — ciągnęła Solaris. — Zaprzysiągł, że będzie chronił Kars przed burzami. Wtedy znów stał się posągiem — oczywiście z tym wyjątkiem, że dosłownie przyrósł do tronu. To nie iluzja — wielka statua znikła z piedestału, a na tronie siedzi jej mniejsza wersja. W dodatku wokół samego Karsu powstała charakterystyczna bariera. Ludzie mogą ją przekraczać, ale jest ona widoczna i chyba przypomina barierę wokół Iftelu, którą opisywał mi Karal. — Uśmiechnęła się nieco ironicznie. — Teraz wiadomo, dlaczego. Pan Słońca ma wprawę.

Solaris może i wyglądała na rzeczową, ale słuchając jej i obserwując zachowanie, Elspeth doszła do wniosku, że jest głęboko poruszona i nawet przestraszona. To było zrozumiałe; jak ktokolwiek mógł nie czuć lęku w takich okolicznościach?

— Wątpię, by ktoś miał czelność pretendować do zajęcia twego miejsca po takim wydarzeniu — powiedział sucho Tashiketh. — Zatem to Vykaendys przysłał cię tutaj?

— Właśnie; nie była to najłatwiejsza podróż w moim życiu, choć i nie najtrudniejsza. Nasze szaty zapewniły nam szacunek i bezpieczeństwo w drodze, choć nikt tak naprawdę nie rozpoznał w nas kapłanów Słońca. — Uśmiechnęła się kątem ust. — Przyznaję, że wiadomość o związaniu Tremane'a z Hardornem bardzo mnie zaskoczyła. W pewien sposób stawia go to na równi ze mną, czego nie oczekiwałam. Myślę jednak, że będzie to korzystne dla Hardornu. — Roześmiała się cicho. — Poza tym mogę się wam do czegoś przyznać: czerpię z tego pewnego rodzaju sadystyczną przyjemność. Będzie czuł dolegliwości od czasu do czasu nawet wielki ból — zgodził się na to, nawet sam się zaoferował — a w połączeniu z klątwą prawdy, którą na niego nałożyłam, może odpokutuje za to, co uczynił.

— Rozmawiał ze mną na osobności o tym, jak wysłał zabójcę — przyznał Tashiketh. — Wydaje mi się, że z każdym dniem żałuje tego coraz bardziej.

— I powinien — powiedziała stanowczo Solaris. — Nie potrafię wyrazić, jaki zadał ból nie tylko mnie i Karalowi, ale też tym, którym bliskie były inne jego ofiary. Jednak choć jeszcze nie jestem przygotowana do tego, by mu wybaczyć, chcę i mogę z nim pracować. Jestem specyficznego rodzaju adeptem, jak już zapewne odgadliście. Może uda nam się jeszcze znaleźć sposób na przetrwanie tego, co nas czeka.

— Mam nadzieję — powiedziała Elspeth żarliwie. — Mam nadzieję.

— A z pomocą Vykaendysa — odparł Tashiketh z niezachwianą pewnością — uda nam się na pewno.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ogniste koty posiadały tę samą co zwykłe koty umiejętność: sprawiały, że człowiek czuł się przy nich jak wyjątkowo tępy uczeń, a one nie należały do cierpliwych nauczycieli.

Bariera Vkandisa jest tylko czasowa — powiedział z naciskiem Hansa, przyjmując pozę, jaką miał posąg kota stojący u stóp Heinricha, pierwszego Syna Słońca. Biedny Heinrich nawet jako posąg wyglądał niepozornie; równie dobrze kot mógłby zasiadać na Słonecznym Tronie. — Nie przetrwa ostatecznej burzy. Ogniska w Karsie są równie zagrożone, jak wszelkie inne. Bariera ma tylko ochronić ludzi i zwierzęta przed zmianą, a kapłanów — przed złym samopoczuciem dwa czy trzy razy dziennie. — Pochylił głowę i bardzo starannie umył łapę. — Wy i wasi kapłani będziecie musieli wykonać swoją część pracy, jak wszyscy. Jeśli ogniska wymkną się spod kontroli, będziecie mieli do czynienia z paskudnymi konsekwencjami.

Solaris westchnęła, ale nie z rozczarowaniem. Elspeth pomyślała, że zabrzmiało to bardziej jak westchnienie kogoś, kto usłyszał niemiłą nowinę, której się spodziewał.

— Osłony — mruczał Mroczny Wiatr, chodząc tam i z powrotem, a Vree z zainteresowaniem obserwował jego ruchy ze swojej żerdzi w kącie. — To musi być klucz. Ale jak stworzyć osłonę, która wytrzyma choćby takie burze, jakie nawiedzają nas teraz?

Elspeth gorączkowo szukała w myślach czegoś, co zapamiętała z... kroniki? Nie, to była historia, którą opowiedziała jej Kerowyn — o jednym z magów szkolonych przez jej babkę.

— Dlaczego tylko jedna osłona? — zapytała. — Dlaczego nie kolejne warstwy osłon, jedne wewnątrz drugich? Kerowyn mówiła mi o czymś takim: mag stawiał kilka warstw słabszych osłon zamiast jednej silnej i w miarę jak z zewnątrz je niszczone, mógł wewnątrz dokładać nowe. Jeśli moglibyście to zrobić — stworzyć od wewnątrz nową osłonę, gdy tylko zewnętrzna zostanie zniszczona...

— Interesujące. Owszem, kiedyś już tak robiono i udawało się to — powiedział Mroczny Wiatr, marszcząc w zamyśleniu brwi. — Osłony warstwowe są bardziej skuteczne od pojedynczych. Jednak nie możemy postawić maga przy

każdym ognisku, a jeśli nie, to jak będziemy tworzyć osłony od środka? Skoro postawi się osłonę, nie można już osłaniać niczego od zewnątrz, a jak można to zrobić od wewnątrz? To problem. Potrzebne byłoby — zakłęcie — seria zaklęć.

— Przede wszystkim jak uda nam się dostarczać energię, by tworzyć osłony? — zaoponował Tremane.

Solaris przygwoździła go spojrzeniem.

— Odcinalibyście doskonałe źródło energii wewnątrz osłon — odparła, a w jej tonie zabrzmiało niewypowiedziane słowo: „głupcy”. — To najmniejszy problem. Ale jeśli energia by się wyczerpała, a osłony upadły, cóż — wyczerpane ognisko mocy nie jest bardziej niebezpieczne niż nieistniejące ognisko. Jeśli nie ma mocy, nic nie może wymknąć się spod kontroli.

— Przepraszam, ale tam, skąd pochodzę, działa to nieco inaczej i nie tak operowaliśmy magią — odparł Tremane. Nie uraziło go zachowanie Solaris, może dlatego, że przynajmniej uczestniczyła w sesjach doświadczalnych i okazywała, że nie zamierza przenosić wrogości wobec Tremane’a na cały Hardorn i jego mieszkańców. Skrzywił się, jakby czuł nadchodzący ból głowy. — Jeśli tylko udałoby się nam znaleźć sposób na to, by ognisko samo zasilalo osłony, zanim wyczerpie energię...

— To tylko teoria — wytknęła niecierpliwie Elspeth. — Jednak jeśli nawet tego dokonamy, nie mamy czasu ani możliwości, by biegać po kraju i stawiać osłony nad każdym ogniskiem!

— Cóż, właściwie nie musielibyśmy tego robić, przynajmniej nie tutaj... — zaczął Tremane.

— W Karsie jest wystarczająco wielu kapłanów, by osłonić wszystkie tamtejsze ogniska — powiedziała równocześnie Solaris.

— No dobrze, to będzie działało w Karsie i w Hardornie — Elspeth zmarszczyła brwi. — Jednak co z Valdemarem? I Pelagirem? I innymi krajami?

— Hmm... — chrząknął Tashiketh, przenosząc spojrzenie z Tremane’a na Solaris i z powrotem. — Znamy odpowiedź na to pytanie.

Hansa i ojciec Janas również spojrzeli na dwoje władców, oni zaś wymienili między sobą bardzo szczególne spojrzenia.

Działo się tu coś bardzo dziwnego, a Elspeth nie potrafiła zrozumieć co.

— Nie cierpię cię! — wybuchnęła Solaris, gwałtownie wstając i patrząc na Tremane’a. — Nie cierpię! Odkąd przyszedłeś tu ze swoją pogańską armią, staliście się wcieleniem wszystkiego, czym gardzę — skuteczność ponad honorem, zręczność nad mądrością, spryt ponad prawdą, pewność siebie nad wiarą! Nie cierpię cię! — Z tymi słowami poprawiła szaty, wstała i wyszła, a za nią podreptał Hansa. W ciężkiej ciszy, jaka zapadła, nawet oddechy obecnych wydawały się głośnie.

— O co, u licha, chodzi? — zapytała zdumiona Elspeth. Nigdy dotąd nie widziała, by Solaris do tego stopnia traciła samokontrolę.

Tremane spojrział na drzwi, które Solaris zamknęła za sobą, nie trzaskając.

— Nie jestem pewien — odpowiedział — ale może mieć to coś wspólnego z rozwiązaniem, które wymaga osobistego kompromisu ze strony Syna Słońca. — Wyglądał tak, jakby podjął jakąś decyzję. Wstał. — Jeśli we czwórkę będziecie dalej pracować nad problemem samoodnawiających się osłon nie wymagających pomocy adepta, pójdę porozmawiać z Solaris. Sprawdzę, czy się nie mylę, czy nie jest to tylko wybuch frustracji.

Kiwnął im głową i wyszedł.

Mroczny Wiatr prychnął.

— Samoodnawiająca się tarcza, która czerpie moc z ogniska bez pomocy adepta. Prosił co najmniej o niemożliwe!

Jednak Elspeth nie była tego tak pewna.

— Czy kamienie-serca Tayledrasów nie wykorzystują samoodnawiających się zaklęć, jak w osłonie Doliny? A do tego, żeby działały, nie potrzeba adepta.

Mroczny Wiatr już miał zaprzeczyć, ale nagle rozmyślił się. Tashiketh oparł dziób na przednich łapach i patrzył na niego z oczekiwaniem.

— Owszem — odpowiedział powoli Mroczny Wiatr. — Miałem powiedzieć, że ogniska to nie kamienie-serca, ale przecież kamienie-serca to pewnego rodzaju ogniska. Pozwólcie mi się przez chwilę zastanowić.

Ojciec Janas wzruszył ramionami.

— Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówicie — odezwał się dobrodusnie. — Tremane poprosił mnie o uczestnictwo w tym spotkaniu, ponieważ wiem, jak działają związanie z ziemią i magia ziemi. Poza tym, przyjaciele, nie przydam się na wiele. Jednak wydaje mi się, że jako czynnika kontrolującego możecie użyć energii ziemi, bardzo słabych i subtelnych energii znajdujących się wszędzie, które wykorzystują pomniejsi czarodzieje i czarodziejki ziemi. Ich na ogół burze nie dotyczą.

Tashiketh podniósł głowę i pokiwał nią energicznie; Mroczny Wiatr spojrział na ojca Janasa, jakby ten, nie zdając sobie z tego sprawy, powiedział coś bardzo ważnego.

Elspeth zbyt późno zajęła się magią, dlatego — jak cieplarniana roślina — przeszła proces przyspieszonego wzrostu. Nigdy naprawdę nie pracowała z tak pierwotnymi energiami, jak te opisywane przez Janasa. Jednak ta teoria wydawała się jej rozsądna; zarówno Tashiketh, jak i Janas najwyraźniej dokładnie znali działanie tych energii.

— Cóż, może w takim razie ścigajmy tego zająca, póki go nie złapiemy lub nam nie umknie — zaproponowała.

— Z pomocą tych energii Vykaendys stworzył barierę — powiedział Tashiketh wolno. — Dlatego w Iftelu mamy mniej wolnej energii magicznej do dyspozycji niż w innych krajach. Większość mocy wciąż zasila osłonę na granicy.

Jeśli nam się uda, również w innych krajach poziom energii magicznej spadnie po przejściu ostatecznej burzy.

— Istnieje jeszcze inna możliwość — powiedziała Elspeth. — Nie sądzę, by ktokolwiek z nas chciał brać ją pod uwagę. Większość z nas radzi sobie z małą ilością mocy od początku burz i wątpię, by stanowiło to dla nas przeszkodę nie do pokonania.

— Z wyjątkiem Dolin — westchnął Mroczny Wiatr. — Jednak, jak powiedziałeś, druga możliwość jest znacznie mniej przyjemna. — Spojrzał na całą trójkę z takim żalem, że Elspeth niemal się roześmiała. — Będę potrzebował waszej pomocy — zadawajcie mi pytania, gdyż musimy opracować odwrotność procesu tworzenia przez Tayledrasów kamieni-serc i włączania ich w zaklęcia osłon. Jestem tak przyzwyczajony do tej umiejętności, że nie umiem nawet powiedzieć, w jaki sposób to robię. Czeka nas — zakończył z rezygnacją — ciężka i trudna praca.

Miał rację, było to rzeczywiście trudne. Nie rozpoczęli jeszcze pracy, kiedy wrócili Solaris i Tremane; Mroczny Wiatr powiedział w myślomwie do Elspeth, że skoro nie widać ran ciętych ani innych śladów walki, rozmowy zapewne zakończyły się sukcesem. Żadne z nich nic nie powiedziało i oboje zachowywali się tak, jakby nie chcieli dyskutować o tym, co się wydarzyło.

Mimo usilnych starań tego dnia nie wyszli poza podstawowe fazy pracy — podobnie jak przez kilka kolejnych dni. Jedynie Tremane nie spędzał całego czasu na badaniach i testach; Solaris tajemniczo poinformowała ich, że nie musi, gdyż będzie potrzebny dopiero przy testowaniu opracowanego już rozwiązania. Cokolwiek zaszło między nimi, bardzo oczyściło atmosferę, gdyż Solaris przestała dokuczać mu kąśliwymi uwagami i czasami traktowała go nawet dość przyjaźnie.

Może — bez ironii — dyscyplina i metody pracy, których nauczyli się od mistrza Levy'ego i innych mistrzów rzemiosł, pomogły im logicznie podejść do magii, rozłożyć ją na części i zastosować znane im prawa, a w rezultacie — dotrzeć do zasad rządzących nią. W końcu mieli wszystkie elementy układanki; dzięki Mrocznemu Wiatrowi dowiedzieli się, w jaki sposób można zmusić ognisko do zachowywania się jak bardzo słaby kamień-serce oraz — jak połączyć go z samowystarczalnym zaklęciem. W przeciwieństwie do kamieni-serc Tayledrasów, ogniska mogły podtrzymywać tylko jedno takie zaklęcie — jednak to w zupełności wystarczało. Wiedzieli, jak wykorzystać energię ziemi do zasilania drugiego zaklęcia, które miało kontrolować pierwsze, stawiające kolejną osłonę natychmiast po załamaniu się najbardziej zewnętrznej warstwy. Teraz pojawiło się pytanie, na które nie znali odpowiedzi, o ile nie znali jej Solaris i Tremane: jak jednocześnie dotrzeć do wszystkich ognisk. Wtedy do grupy dołączył wreszcie Tremane.

— Zwiążanie z ziemią — powiedział krótko. — Każda Dolina Tayledrasów może kontrolować przylegające do niej ogniska, Solaris zajmie się ogniskami

w Karsie, król Rethwellanu — w jego kraju i tak dalej. Ci władcy będą musieli poddać się rytuałowi, lecz bogowie wiedzą, że jest on prosty i natychmiast po jego zakończeniu monarcha będzie w stanie chronić swoje ogniska.

Elspeth spojrzała na niego z ukosa, ale ojciec Janas kiwnął głową.

— Tak myślałem — powiedział z satysfakcją. — To jeden z nielicznych przypadków, kiedy król może wpływać na ziemię, a nie odwrotnie.

— Nie cieszę się na tę myśl — dodał z goryczą Tremane. — Kiedy przeniesiemy to na kolejny poziom i włączymy cały kraj, będzie to bardzo nieprzyjemne doświadczenie. Jednak nie zabije mnie, a wolę przez tydzień odzyskiwać po nim siły, niż pozwolić, by moi poddani musieli zmierzyć się choćby z jednym skażonym ogniskiem. Zatem wypróbujmy tą teorię na pojedynczym ognisku znajdującym się najbliżej Shonaru, a potem, jeśli będzie działała, obejmiemy nią cały Hardorn.

Ton jego głosu dał Elspeth powód do przypuszczenia, że skutki testu obejmującego cały kraj będą czymś więcej niż tylko „bardzo nieprzyjemnym doświadczeniem”; miała wrażenie, że Tremane będzie musiał zebrać całą swoją odwagę. Jednak nic nie mogła na to poradzić. Doskonale wiedziała, że jej matka i Solaris w takim samym przypadku poświęciłyby się bez namysłu, jak każdy dobry władca.

Test na pojedynczym ognisku był o wiele łatwiejszy, niż przypuszczała Elspeth; najpierw osadzili zakłęcie kontrolne, potem w samo ognisko włączyli zakłęcie łączące je z zakłęciem osłon. Tego mógł dokonać tylko adept, zatem zrobił to Mroczny Wiatr, jako najbardziej doświadczony w tym rodzaju magii podczas gdy Solaris obserwowała go w wielkim skupieniu.

Kiedy wszystko było gotowe, Mroczny Wiatr uruchomił zakłęcie, tuż przed nadejściem następnej burzy.

Gdyby Elspeth nie „ogłądała” tego przez cały czas, nie uwierzyłaby, że to możliwe — w jednej chwili ognisko znikło, a zamiast niego pojawiło się osłonięte miejsce, do którego wpadały linie mocy, lecz nic nie wyływało. Wtedy rozpełtała się burza i wszyscy musieli przeczekać jej skutki.

Kiedy doszli do siebie i mogli znów coś zobaczyć, ognisko wyglądało dokładnie tak, jak przed burzą — osłonięte i bezpieczne. Tremane wyglądał jak człowiek, który jednocześnie otrzymał wspaniałą i niewiarygodnie złą nowinę.

— Cóż — odezwał się. — Wiemy, że to działa.

— Kiedy będziesz chciał objąć osłoną cały Hardorn? — zapytał Janas łagodnie.

— Zaraz — odparł zdecydowanie Tremane. — Następna burza ma nadejść dziś w nocy, a nie chcę zastanawiać się nad tym w nieskończoność.

Solaris wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy.

— Tremane Gyfarr Pendlesonie z Lynnai, nie próbuj bawić się w męczennika! Będziesz musiał przejść to, co ja, książę Daren z Valdemaru, Faramentha z Reth-

wellanu i ktokolwiek jest tam królem — z Iftelu. . .

— Pierwszy Syn Vykaendysa — Bryron Hess — odpowiedział Tashiketh.

— Syn Słońca w Iftelu, pół tuzina Sokolich Braci i przynajmniej jeden Shin'a'in — dokończyła Solaris.

Nie wspominając o innych władcach, do których uda nam się dotrzeć, a których ziemie są również zagrożone — poparł ją Hansa. — Zanim się to skończy, wielu przywódców będzie miało straszliwy ból głowy.

— Właśnie! Nie będziesz sam, a chociaż możesz się bać z powodu słusznego poczucia winy za to, co uczyniłeś kiedyś, mogę cię zapewnić, że ziemia nie pozwoli ci umrzeć! — Solaris wstała, przepełniona gniewem i jeszcze innymi uczuciami, których Elspeth nie potrafiła określić. — Jeśli się boisz, bądź mężczyzną, przyznaj się do tego i pozwól nam pomóc sobie! Powinieneś wiedzieć, że jeśli boisz się za bardzo, ziemia będzie stawiała opór. Wtedy jej nie przekonamy, gdyż ona słucha ciebie.

Mówi to Solaris, ale przemawia przez nią także ktoś inny — zauważył Mroczny Wiatr w myślmowie, z wyczuwalnym napięciem w głosie. — Ciekawe, czy Tremane zdaje sobie z tego sprawę ?

Vkandis? — zapytała Elspeth, ale natychmiast uświadomiła sobie, że to niewłaściwa odpowiedź.

Od kiedy mężczyzna używa wszystkich imion osoby, której właśnie udziela reprimendy? — odparł pytaniem Mroczny Wiatr, nieco się rozluźniając. — Nie; Solaris jest w tej chwili ustami innej mocy, podejrzewam, że doskonale znanej ojcu Janasowi. Zapewne jej gniew na Tremane'a i praktyka w byciu ustami różnych mocy otworzyły ją jako mimowolny kanał.

Elspeth przyznała mu rację, kiedy spojrzała szybko na kapłana, z lekkim uśmiechem przyglądającego się całej scenie. Mroczny Wiatr nie mylił się. Jedyne kobieta-matka — rugała kogoś, używając wszystkich jego imion. A czyż ziemi nie określano często jako matki? Kiedy patrzyło się z tej perspektywy, można było znaleźć kolejne dowody na słusność tego przypuszczenia — subtelne fizyczne zmiany w postaci samej Solaris. Przede wszystkim — kapłanka wyglądała bardziej kobieco niż kiedykolwiek przedtem.

Reprimenda odniosła skutek — rozdrażniła Tremane'a na tyle, że przyznał się do swej słabości; w pewnej mierze Elspeth bardzo było żal biednego Tremane'a, który nie prosił o to, co otrzymał, a i tak bardzo dobrze sobie z tym radził. Podniósł głowę, spojrzał Solaris prosto w oczy i odparł z godnością:

— Masz rację, Solaris. Jestem przerażony. Przywykłem do kontrolowania mocy, a nie do tego, że to ona mnie kontroluje. Zresztą perspektywa oddania kontroli nad sobą czemukolwiek napawa mnie wielkim lękiem.

Cokolwiek opanowało Solaris, opus'ciła ją już; kapłanka usiadła, a jej gniew osłabł.

— Poddanie się takiej mocy nie jest aż tak złe — powiedziała cicho. — Kiedy

się to skończy, będziesz wyczerpany, może trochę chory, ale nie sądzę, by było to aż takie straszne. Myślę, że moc potraktuje cię łagodnie, jeśli tylko nie będziesz się jej opierał. Czasami oddanie kontroli nad sobą w dobrej sprawie jest najszlachetniejszym uczynkiem, na jaki można się w życiu zdobyć. — Milczała przez dłuższą chwilę. Wydawało się, że ostatnia bariera właśnie się załamała. Wyraz jej twarzy zmienił się całkowicie. — Może słusznie się obawiasz, iż niektórzy z nas, mający do ciebie żal, nie będą starali się osłaniać cię tak, jak powinni. Twoje obawy jeszcze niedawno temu byłyby słuszne; gdyby groziło ci niebezpieczeństwo, nie ruszyłabym palcem, by ci pomóc. — Wzięła głęboki oddech i mówiła dalej: — Już tak nie jest. Wybaczam ci, Tremane z Hardornu, a jeśli będzie to dla ciebie pociechą, młody Karal, który ma większe powody do nienawiści, wybaczył ci już wcześniej. Człowiek, który wysłał mordercę, by zabił naszego przyjaciela, był komendantem wypełniającym rozkazy i kaprysy nie posiadającego norm moralnych ani skrupułów cesarza, a ty już nie jesteś tym samym człowiekiem. — Przez chwilę wydawała się zawstydzona. — Sam Pan Słońca powiedział mi, że muszę ci wybaczyć, jeśli ma nam się udać, aż do tej chwili nie mogłam się na to zdobyć.

Tremane spojrzał na nią z zaskoczeniem i podał jej rękę, którą ona mocno uściśnęła.

— Dziękuję. Wiem, ile cię to kosztowało — powiedział tylko.

Potem puścił jej dłoń i spojrzał na resztę.

— Cóż, zaczynamy?

Elsbeth nie miała zbyt wiele do roboty. Przesyłała magiczną moc do Mrocznego Wiatru, który z kolei robił z nią coś, czego ona nie rozumiała — choć teoretycznie wiedziała, co się dzieje. Była czymś, co wszyscy nazywali kotwicą — wprowadzała moc, kierowała nią i oczyszczała. Tremane szukał ogniska, a kiedy je znalazł, zatrzymywał ich. Mroczny Wiatr przekształcał ognisko w matrycę, do której można było podłączyć pojedyncze zaklęcie. Ojciec Janas tworzył zaklęcie uruchamiające zaklęcie główne, wykorzystując utratę osłony jako wskazówkę do aktywacji zaklęcia. Solaris budowała zaklęcie główne, tworzące dziewięć warstw osłon wykorzystujących energię ogniska, a Mroczny Wiatr podłączał je do ogniska. Kiedy ognisko zniknęło z pola widzenia — gdyż było już osłonięte — Tremane przesuwał się do następnego. Pod koniec, zanim jeszcze wszystko zaczęło działać, był tak wyczerpany, że nie mógł się ruszyć, ale, zgodnie z zapewnieniem Solaris, nie czuł bólu. Przez niego sięgnęli do wszystkich ognisk w Hardornie i wbudowali w nie te same zaklęcia i osłony, co w pierwsze ognisko. Był to jedyny sposób na to, by dotrzeć do ognisk bez konieczności podróżowania; w pewnym sensie, ponieważ Tremane był fizycznie związany z ziemią Hardornu — w czasie ceremonii połąkł przecież ziemię i krew — pracowali nad ogniskami fizycznie.

Skończyli, gdy rozpoczęła się kolejna burza, i z satysfakcją stwierdzili, że

osłony wytrzymały. Tremane otrzymał też w końcu małą nagrodę: ze względu na to, że ogniska były teraz osłonięte przed wpływem burz, dużo słabiej odczuwał ich skutki. Dzięki temu czuł się lepiej.

— Choćby dlatego warto było popracować — powiedział ze słabym uśmiechem, po czym pozostali odesłali go do łóżka.

— Czuje się tak, jakby miał przespać tydzień, ale wystarczy mu jeden dzień — powiedział zmęczony, ale zadowolony ojciec Janas. — Wkrótce dojdzie do siebie i znów zajmie się pracą. Czy potrzebujecie czegoś, by ostrzec waszych rodaków?

— Rano wyślę z instrukcjami dwóch najszybciej latających magów z mojego oddziału — odezwał się grzmiącym głosem Tashiketh, którego oczy płonęły radością zwycięstwa. — I jeśli pozwolisz, Najświętsza, moje gryfy zabiorą ciebie i Hanse do Karsu, by oszczędzić wasz czas; część twojego orszaku może pozostać tutaj, a reszta podąży za tobą we własnym tempie.

Solaris popatrzyła na niego zdziwiona.

— Byłabym nieskończenie wdzięczna, ale jak chcecie tego dokonać? — zapytała. — Zapewne musielibyście unieść mnie w powietrze, a nie wyobrażam sobie, żeby to było możliwe.

— Proponuję miejsce w koszyku niesionym przez gryfy. Całkowicie bezpiecznym — zapewnił Tashiketh. — Podtrzymuje go kilka pomniejszych zaklęć, by uczynić go lżejszym; możesz z łatwością je odnawiać. Musicie tylko dbać o to, by lądować w czasie burz.

— Nasze gryfy wykorzystują ten sposób — poparł go Mroczny Wiatr. — To bezpieczniejsze, niż się wydaje. W ciągu kilku dni dotrzesz do Karsu, nawet jeśli z powodu burz będziecie musieli lądować dwa albo trzy razy dziennie.

— Zatem z chęcią skorzystam z twojej propozycji, gdyż będę musiała osłonić zarówno ogniska, jak i Świątynię, a niezależnie od tego, co myśli Tremane, będzie to trudniejsze od tego, co on musiał zrobić — w jej głosie dało się słyszeć lekką ironię, ale uśmiechała się. Elspeth czuła, że Solaris — jeśli nie chciałaby skłamać — nie może już twierdzić, iż nienawidzi Tremane'a z Hardornu.

— A wy? — zwrócił się ojciec Janas do Elspeth i Mrocznego Wiatru.

— Już przekazaliśmy instrukcje — powiedział głosem pełnym zmęczonego zadowolenia Mroczny Wiatr. — Gwena przesłała wiadomość do Rolana, on z kolei zawiadomił Cymry Skifa, który powie o tym Kaled'a'in w Dolinie k'Leshya. Oni dopilnują, by rozesłano informacje do Tayledrasi i Shin'a'in, więc nasze ogniska w ciągu kilku dni zostaną osłonięte. Valdemar przekaze wieści do wszystkich magów szkoły Białych Wiatrów we wszystkich krajach — a stamtąd, gdzie jeszcze będzie trzeba.

— Wasi Towarzysze są bardzo użyteczni — powiedział z zazdrością ojciec Janas. — Może w przyszłości w Hardornie również znajdzie się dla nich miejsce. — Spojrzał nieśmiało na Solaris. — I chyba powinno znaleźć się miejsce na świątynię Pana Słońca. Przecież wszelkie dobre uczynki dokonywane są w imię

wszelkich potęg Światła.

Solaris uśmiechnęła się — był to pierwszy szczery, szeroki uśmiech, jaki Elspeth zobaczyła na jej twarzy od czasu przyjazdu.

— Tym bardzo optymistycznym akcentem proponuję zakończyć to spotkanie. Dziękuję wam. A teraz wybaczcie, ale muszę iść spać — powiedziała, wstając. — Hansa i ja mamy przed sobą długą podróż.

— Miejsce dla każdego — powtórzył Mroczny Wiatr, kiedy szedł z Elspeth do komnat. — To niezły sposób na rządzenie krajem.

— Wiem — odparła rezolutnie. — W Valdemarze stosujemy tę zasadę od dłuższego czasu.

„A teraz przynajmniej mamy choć trochę pewności, że nadal tak będzie” — pomyślała. „Teraz możemy poświęcić czas i energię na modlitwy za Karala i pozostałych. Niech pomogą im wszyscy bogowie, bo my nic już nie możemy zrobić”.

Cesarz Charliss siedział w, a nie na, drewnianym tronie w swej prywatnej kwaterze i obmyślał zemstę, gdyż tylko ona trzymała go jeszcze przy życiu. Mimo przyrządzonej przez aptekarza piekielnie mocnej mieszanki lekarstw uśmierzających ból i podtrzymujących słabnące ciało, jego umysł pozostał jasny. Mieszanka zawierała bowiem składniki zapobiegające otępieniu. Za oknami — podobnie jak przez ostatnie trzy tygodnie — szalała zawieja. Magiczne burze kilka razy dziennie nawiedzały Skalny Zamek, pozostawiając po sobie roztrzęsionych magów. Jednak Charlissa to nie dotyczyło, a jeśli nawet, to dolegliwości te przestawały być znaczące, jeśli wzięło się pod uwagę fatalny stan cesarza.

Wydawał się nie zauważać tego, co działo się poza jego kwaterą, ale były to tylko pozory. Zdawał sobie sprawę z postępowania Melleasa, podkopującego jego autorytet nawet w armii, rozpuszczającego prawdy, półprawdy i całkowite kłamstwa mające przekonać ludzi, że tylko baron troszczy się o dobro Imperium. Zdawał sobie również sprawę z tego, że Melles dobrze sobie radzi z zarządzaniem Imperium, mimo wykorzystywania dwuznacznych i podstępnych środków. Wiedział, że wykorzystał on jego postępowanie wobec Tremane'a jako środek do zjednoczenia — pod swoją kontrolą — zwaśnionych frakcji politycznych w Imperium. Taki pomysł nigdy by mu nie przyszedł do głowy, ale jeśli się wzięło pod uwagę, że przynajmniej jedna czwarta wielkich graczy gardziła Mellesem, a drugie tyle bało się go, wówczas jedynym sposobem na połączenie ich sił było znalezienie im wspólnego wroga, którego znienawidzą jeszcze bardziej.

Wszystko to przestało się już liczyć. Cesarz nie przejmował się już postępowaniem Melleasa ani żadnego innego człowieka, gdyż miał ważniejsze, o wiele bardziej osobiste problemy.

Zaklęcia utrzymujące jego ciało w formie i podtrzymujące działanie organi-

zmu rozpadały się. Po każdej burzy zostawało ich coraz mniej, a nie można było zastąpić utraconych nowymi.

Charliss nie widział sposobu, żeby się uratować — umierał i wiedział o tym. Nie mógł już nawet poruszać się o własnych siłach — służący przenosili go z łóżka na tron i z powrotem, nie wychodząc poza prywatne apartamenty cesarza. Długi, powolny proces starzenia, jaki miałyby przed sobą, przyspieszył teraz ponad wszelkie prawdopodobieństwo.

Charliss nie czuł strachu, lecz gniew — wyrachowany, wszechogarniający gniew, który odczuwać może jedynie człowiek żyjący przez dwa stulecia. Ograbiono go z ostatnich, cennych lat życia — ale dokładnie wiedział, kogo należy za to winić.

Valdemar.

Rozkazał swym uczonym odnaleźć ten barbarzyński kraj i znaleźć informacje o jego historii; dowiedział się tyle, że z dużą dozą pewności mógł go obwinać o wysłanie burz nad inne kraje. Valdemar został założony wiele wieków wcześniej przez zbuntowanych poddanych Imperium, którzy uciekli na pustkowiu zbyt daleko, by ich dogonić. Jednak czas i odległość nie są przeszkodą w dokonaniu zemsty i Charliss dobrze o tym wiedział. Władcy tego kraju zapewne planowali atak na Imperium od początków istnienia państwa. Taki spisek dojrzewa przez lata, a zbieranie sił do niego trwa stulecia. Burze wywołał zapewne zespół najpotężniejszych adeptów; była to broń piekielnie sprytna i szatańsko skomplikowana.

W końcu to czynione przez cesarza próby opanowania Hardornu mogły sprowokować Valdemar do długo przygotowywanego ataku na tych, którzy dawno temu zmusili ich do ucieczki z domu. Charliss powinien był odczytać powrót swego posła z Hardornu — ze sztyletem księżniczki Elspeth w plecach — jako poważne ostrzeżenie. „Znajdujesz się za blisko i dlatego z tobą skończymy” — tak brzmiało prawdziwe przesłanie. Imperium za bardzo zbliżyło się do gniazda os, które teraz wylecą rojem, by je zniszczyć.

Tak naprawdę to nie liczyły się ani motywy ich postępowania, ani to, czy mógł temu zapobiec. Ktoś rozpętał burze, on umierał, a wszystko to było winą Valdemaru. Miał zamiar dopilnować, by kraj ten nie przetrwał dłużej niż on — przynajmniej nie w takiej postaci, jaką rozpoznaliby sami Valdemarczyści. Jak rozjuszony niedźwiedź w ostatniej szarży, w przedśmiertnym spazmie rozszarpie tych, którzy go zabili.

Miał wszystko, czego potrzebował: moc pobliskich ognisk, grupę swoich magów, a dodatkowo moc, którą starannie gromadził w przedmiotach. Wszyscy cesarze tworzyli swoje magiczne zbiorniki w przedmiotach lub nakazywali ich tworzenie — Charliss mógł je wszystkie wykorzystać. Każdy mag, z jakim kiedykolwiek pracował, niezależnie od tego, czy należał do jego zespołu, czy nie, miał w sobie haczyk wiążący go z Charlissem. W każdej chwili cesarz mógł sięgnąć po moc takiego maga i skorzystać z niej tak, jakby mag należał do jego grupy.

Oczywiście najsprytniejsi adepci odkryli i usunęli ten haczyk, ale większość go nie zauważyła i cesarz mógł ich wykorzystać w każdej chwili.

Jednak jego czas szybko się kończył. Osłony nad zbiornikami magicznymi i przedmiotami nie przetrwają zbyt wielu kolejnych burz, podobnie jak zasoby osobistych magów cesarza ani magów związanych z nim przez owe haczyki. Jeśli ma skorzystać z całej swej mocy, będzie musiał zrobić to szybko.

Siedział podtrzymywany przez wysokie oparcie i ciężkie poręcze udawanego tronu, rozmyślając nad sposobami dopełnienia zemsty. Jak mógłby skończyć z tymi parweniuszami z Valdemaru? Jaką formę powinien przybrać atak? Chciał, żeby był odpowiedni, dobrze zaplanowany — i wywołał możliwie największe zniszczenia.

Jak najlepiej wykorzystać środki, jakimi, dysponował? „To oczywiste. Uwolnić jednocześnie całą moc” — zdecydował. „Uwolnić ją zaraz po burzy, by zwiększyła jej efekt. Niech to będzie najgorsza burza, jaką widział świat”.

Skutki mogą być bardzo interesujące; ponieważ Charliss uwolniłby moc w czasie przechodzenia burzy ze wschodu na zachód, większość Imperium byłaby bezpieczna.

Ale Valdemar — Valdemar nie miałby pojęcia o nadchodzącym niebezpieczeństwie. Uwolnienie tak wielkiej energii spowodowałoby katastrofalne zniszczenia — co będzie zabawne, jeśli cesarz żyje na tyle długo, by je obejrzeć i usłyszeć o nich.

Wszędzie od Hardornu po ziemie leżące daleko za Valdemarem oraz od gór na północy po południe Karsu natura oszaleje. Okropna już teraz pogoda stanie się nie do zniesienia. Trzęsienia ziemi pojawią się w rejonach, które nigdy dotąd nie przeżyły nic gorszego niż lekki wstrząs, gdyż napięcia wewnątrz ziemi przekroczą punkt krytyczny. Pożary powstaną wskutek nagłych wybuchów wulkanów, wylewających rzeki lawy na nie spodziewające się niczego miasta. Burze z błyskawicami podpalą olbrzymie połacie lasów i łąk. Zamiecie zasypią niektóre rejony po dachy, w innych powodzie zmiotą całe wsie, a jeszcze gdzieś indziej osunięcia ziemi zniszczą niegdyś urodzajne pagórki. Wypiętrzą się góry, a w skorupie ziemskiej utworzą się olbrzymie szczeliny. W ciągu jednego dnia zajdą procesy trwające tysiące lat. Nie będzie bezpiecznego miejsca ani kryjówki. A kiedy gniew natury ucichnie, wyroją się zmienione stworzenia, prześladowujące przerażonych ludzi — tych, którzy przeżyli.

O tym marzył. Chciałby żyć tak długo, by móc się tym nacieszyć; po uwolnieniu energii nie będzie już miał magii do podtrzymywania swych sił życiowych i umrze. Ale zginie również większość jego wrogów. Ktokolwiek i cokolwiek przeżyje, wkrótce będzie pragnęło umrzeć.

Oczywiście Tremane również zostanie złapany w tę pułapkę — w ten sposób Charliss zemści się na zdrajcy; Melles był zbyt tchórzliwy lub zbyt leniwy, by tego dokonać. Zapewne leniwy; baron nigdy nie starał się osiągnąć celu, który

wymagał od niego nieco więcej wysiłku; w takim wypadku zawsze umiał znaleźć wymówkę.

Cóż, zatem cesarz weźmie sprawy w swoje ręce.

Być może uwolnienie dodatkowej energii nie zmiecie Valdemaru z powierzchni ziemi — może natomiast zniszczyć Imperium oraz jego sojuszników. Chaos, jaki spowoduje, może mieć dalekosiężne skutki. Nie troszczył się o to. Dawno już przestał przejmować się tym, co nie pomagało mu bezpośrednio przetrwać.

„Dlaczego moje Imperium miałoby przetrwać dłużej niż ja?” — zapytał sam siebie, dając się ponieść złości z tego powodu, że jego kraj i ludzie nie chcieli się poświęcać, by podtrzymać życie władcy. „Ofiarowałem im moje życie i moją uwagę. Czy to docenili? Czy kochali mnie za moją surowość? Nie. W ogóle. Tylko brali i brali. Teraz zapłacą za chciwość. Powinni byli pomyśleć o tym wcześniej i starać się mnie ułagodzić”.

Poza tym nie miał powodu, by ułatwiać życie Mellesowi. Niech składa sobie coś z resztek, które pozostaną, o ile oczywiście cokolwiek pozostanie. Niech zobaczy, czy potrafi zlepić cokolwiek z okruchów i odłamków. Przyda się fajdakowi lekcja.

Cesarz uśmiechnął się powoli na myśl o reakcji Mellea. Baron tak dobrze radził sobie z przywracaniem porządku po chaosie, jaki zapanował po burzach. Musiał czuć się bardzo dumny z siebie, że zapanował nad wszystkim. Byłoby wspaniale widzieć, jak cierpi na widok rozpadu tego, nad czym tak ciężko pracował.

Zemsta — na Valdemarze, na Tremane, nawet na Mellesie za to, że ośmielił się osiągnąć sukces — to wszystko, co zostało cesarzowi, ale za to wykorzysta to do końca. Kiedy skończy, świat powróci do epoki jaskiń i polowań. Jeśli Melles będzie rościł jakiegokolwiek pretensje do Imperium, będzie to Imperium nie większe niż to miasto.

„Zniszczę wszystko”. Jego dłonie zacisnęły się na poręczach krzesła, a suche wargi pękły, kiedy uśmiechnął się szeroko. Jeśli wywoła ostateczny kataklizm, kiedy podpali całe państwa na swym stosie pogrzebowym, będzie największym i najpotężniejszym cesarzem, jaki kiedykolwiek żył na ziemi.

Nikt go nie przyćmi, kiedy podpali świat, by oświetlić sobie drogę do grobu, a ciemności, jakie potem zapadną, będą odpowiednim całunem.

Karal czuł się teraz wyjątkowo niepotrzebny, choć wiedział, że już niedługo będzie równie przydatny, jak pozostali znajdujący się w Wieży. Obserwował ich wszystkich zajętych ostatnimi przygotowaniem i żałował, że nie może użyć telesonu, by porozmawiać z Natoli — może to by go uspokoiło. Siedział cicho tam, gdzie mu kazano, przepełniony uczuciami przerażenia, rezygnacji i oczekiwania. Wiedział, że potrafi zrobić to, o co go poproszą, ale nie potrafił myśleć o tym, co

stanie się potem. Nawet kiedy próbował, nie mógł wyobrazić sobie nawet jednej chwili po tym, jak zrobią to, co do nich należy. Czy to z powodu strachu, czy dlatego, że po wykonaniu zadania wszystko będzie dla nich skończone?

Wciąż działał jako kanał dla broni, ale tym razem nie znajdzie się fizycznie w środku grupy. Tym razem główni uczestnicy — on, Śpiew Ognia, An'desha i Sejanes — staną w kwadracie wokół broni; nie miało znaczenia, kto stanie po jednej stronie świata, musieli jedynie znajdować się w równych odległościach od siebie.

Tym razem każdy ze śmiertelnych uczestników próby zostanie osłonięty przez dwa duchy. Karal miał Floriana i Altrę, An'desha — avatary, Śpiew Ognia — Potrzebę i Yfandes, a Sejanes — Vanyela i Stefena. Yfandes sama zgłosiła się, aby chronić Śpiew Ognia, może po to, by każdy z uczestników miał dwie osłaniające go istoty. Aya miał zostać pod opieką Srebrnego Lisa i wraz z resztą nie uczestniczącą w doświadczeniu znajdować się daleko. Oni mieli przebywać w warsztacie na dole, za zaryglowanym włazem. Śpiew Ognia i Sejanes zdecydowali, że warsztat ma zostać osłonięty zarówno magicznie, jak i fizycznie. Kamień wykazywał zdolność izolowania magicznej energii. Warsztat oczyszczono ze wszystkiego, co miało choćby częściowo magiczną naturę, a napełniono zapasami jedzenia, narzędzi i wody — gdyby zdarzyło się najgorsze i ludzie zostali zamknięci wewnątrz, mieli szansę przekopać się na powierzchnię.

Kostka z labiryntem stanowiła dokładne przeciwieństwo broni, która rozpętała kataklizm — adepci uznali, że stanowiła swego rodzaju zabezpieczenie. Teraz już wiedzieli, że cała magia Urtho została uwolniona jednocześnie, kiedy Mag Ciszy rozwiązał moc zaklęć połączonych ze wszystkim, co nie znajdowało się w specjalnie osłoniętych częściach Wieży. W tym samym czasie podobne urządzenie wywołało ten sam skutek w twierdzy Ma'ara, a kiedy skutki obu zdarzeń nałożyły się na siebie w gwałtowny i nieoczekiwany sposób, nastąpił kataklizm. Magowie częściowo odwzorowali to wydarzenie, tworząc przeciw-burzę.

Tym razem, jeśli ich obliczenia i plany okażą się prawidłowe, odwrócą to, co stało się wtedy: otworzą coś, co pochłonie magiczną energię zbiegającą się w tym miejscu — i wyślą ją w próżnię. Przynajmniej mieli nadzieję, że tak się stanie. Nie wiedzieli, co wydarzy się w miejscu pierwotnego uwolnienia energii, lecz Ma'ar nie był typem eksperymentatora, jak Urtho, i nic nie było wiadomo o warsztatach w jego twierdzy. W przeciwieństwie do Wieży zapewne nie zostały w nich żadne niebezpieczne urządzenia — zresztą i tak jego siedziba znalazła się na dnie jeziora Evendim. Cokolwiek by się stało, stanie się pod wodą, wiele sążni od powierzchni, daleko od siedzib ludzi czy innych stworzeń.

Nikt nie wiedział, co nastąpi po zamknięciu szczeliny, kiedy energia zostanie wchłonięta przez próżnię. Każdy miał swoją teorię. Mistrz Levy z uporem twierdził, że — ponieważ energia nie zostanie zniszczona — znajdzie sobie miejsce, tworząc rodzaj zbiornika, z którego będzie mógł korzystać każdy mag. Ostrze-

gał też, że opieranie się przepływowi energii kończy się zwykle produkcją ciepła, więc istnieje duże prawdopodobieństwo, że mimo największych wysiłków w połowie pracy wszyscy uczestnicy się spalą. Teoria ta ściągnęła na matematyka kilka krzywych spojrzeń, na które odpowiedział on przepraszającym uśmiechem. Zarówno Lo'isha, jak i Śpiew Ognia uważali, że energia powróci do prawdziwego świata, jak wody powodziowe, które po wyparowaniu powracają w postaci deszczu, jak woda w fontannie, wciąż krążąca w nieskończonym cyklu pomiędzy ziemią a powietrzem.

Cokolwiek się stanie, jedno było pewne: można będzie zapomnieć o dotąd obowiązujących zasadach magii. Nikt nawet nie wiedział, czy uda się czerpać tę energię. Mógł powstać świat pozbawiony magii, choć to było mało prawdopodobne.

Jak Urtho zapisał w pozostawionych przez siebie notatkach, urządzenie to stałoby się samobójcze, gdyby je użyto jako broń; raz otwarte, będzie pochłaniać moc najbliższego otoczenia — właściwie było całkiem prawdopodobne, że to ono wysało moc z reszty magicznych urządzeń zostawionych w Wieży — a w końcu nawet wchłonie magów, którzy je otworzyli. Jednak biorąc pod uwagę olbrzymie energie burz, urządzenie zapewne otrzyma tyle mocy, ile będzie w stanie pochłoniąć.

Według planu mieli znieść osłony Wieży i otworzyć urządzenie podczas ostatecznej burzy, skierować do niego całą jej energię — tyle, ile zdoła pomieścić, albo zanim się nie roztopi, po czym — jeśli będzie nadal działało — zamknąć je.

Burze przetaczały się już bezustannie i choć osłony Wieży wciąż się trzymały, kilka dni wcześniej musieli ewakuować pozostałości po obozie Shin'a'in, gdyż nadeszła zawieja, jakiej nie pamiętał nikt z gospodarzy. Podobne wichury pustoszyły Valdemar, Kars, Hardorn, Doliny...

„Zapewne i inne rejony” — pomyślał Karal, nasłuchując uważnie. „A przecież na zewnątrz powinna być już wiosna.” Jeśli uważnie słuchał, ignorując wszelkie dźwięki dochodzące z wnętrza Wieży, mógł usłyszeć — bardzo słaby co prawda — ryk wichru na zewnątrz. Nie można tam było ustać o własnych siłach, gdyż wiatr przewracał człowieka w jednej chwili. Dobrze, że Równiny zostały ewakuowane wiele tygodni wcześniej; namioty nie wytrzymałyby takiego śniegu, a konie, muły i osły nie przeżyłyby takiej burzy.

Co do Dolin — Śpiew Ognia powiedział, że Tayledrasi łączyli magię osłaniającą ogniska z zaklęciami tworzącymi osłony każdej Doliny. Można było mieć nadzieję, że wytrzymają one; jeśli nie, ich mieszkańcy będą musieli odtąd żyć tak, jak ich zwiadowcy — wystawieni na działanie pogody, bez małych oaz sztucznego lata.

Karal zastanawiał się, co dzieje się w Karsie; Altra powiedział mu jedynie, że Solaris panuje nad sytuacją i większość ludzi znalazła się pod opieką. Miał nadzieję, że jego rodzina również — mieszkali w dość bogatej wsi, więc powin-

ni znaleźć się w dobrym położeniu. W największym niebezpieczeństwie znajdują się rolnicy mieszkający w odległych gospodarstwach i pasterze żyjący w górach samotnie, do których ostrzeżenia mogły nie dotrzeć na czas.

Od długiego czasu nie myślał o rodzinie; Karal pomagający ojcu w stajni był zupełnie inną osobą; wiedział, że ojciec i matka nie rozpoznaliby go teraz na ulicy. Nie miałby z nimi nic wspólnego. Zawsze oczekiwał, że dorastając, zmieni się, ale nie sądził, iż będzie to tak radykalna zmiana.

Podciągnął kolana pod brodę i oparł na nich głowę, myśląc z żalem o tym, co zostawił za sobą — o tym, co zostawi, jeśli próba się nie powiedzie. Jeśli się zastanowić, to — gdyby coś poszło źle — tęskniłoby za nim zaledwie kilka osób, a większość z nich — jeśli nie wszyscy — dość szybko przebolełaby stratę. Może Natoli cierpiałyby bardziej, ale i ona poradziłaby sobie i dalej robiła coś pożytecznego. On zaś zrobił w życiu coś ważnego — niewielu ludzi mogło to o sobie powiedzieć. Ta myśl, choć niezbyt wesoła, dawała mu dziwne uczucie wolności.

Pożegnał się już ze wszystkimi oprócz tych, którzy przebywali jeszcze w Wieży — w warsztacie na dole; Karal wciąż miał czas — może teraz warto było zatroszczyć się o ten drobiazg.

Wstał i zszedł na dół z nadzieją, że zastanie Lyama i Tarrna samych. Miał szczęście; Lo'isha, mistrz Levy i Srebrny Lis wciąż byli na górze z niewielką grupą pozostałych jeszcze Shin'a'in; otwierali drzwi od pozostałych komnat i pomagali przenieść labirynt z małego pomieszczenia do głównej komnaty. Niezależnie od tego, co się stanie, osiągną przynajmniej jedną rzecz, która nie udała się Urtho: rozbroją wszelką pozostałą broń.

W warsztacie było cicho. Jedynie Aya siedział nerwowo na żerdzi w kącie, a Lyam dreptał po komnacie, poprawiając zapasy. Karal stał niepewnie na schodach; pierwszy zauważył go Tarrn.

Cóż młodzieńcze, już czas — powiedział kyree niezwykle poważnie.

— Wiem — odrzekł Karal, siadając na ostatnim stopniu. — Przyszedłem powiedzieć, że bardzo się cieszę, że was poznałem — i dużo się od was nauczyłem. Zostawili wszystko i podeszli do niego.

— Cieszę się, że mogłem być twoim przyjacielem, Karalu — powiedział szczerze Lyam, biorąc jego dłoń w swoją, suchą i pokrytą zgrubiałą skórą. — Mam nadzieję, że będziemy mogli ją kontynuować po moim i Tarrna powrocie do k'Leshya.

Uczony młody człowieku, zajmujesz poczesne miejsce w moich kronikach — odezwał się z powagą Tarrn i lekko skłonił siwiejącą głowę; Karal zdawał sobie sprawę, iż kyree uhonorował go dwoma największymi komplementami istniejącymi w jego słowniku: nazwał go uczonym i powiedział o ważnym miejscu, jakie Karsyta zajmie w pisanych przez kyree kronikach. — *W przyszłości szczenięta będą zaskoczone tym, że miałem przywilej być twoim przyjacielem.*

Teraz mogłaby zapaść niezręczna cisza, lecz w tej chwili na dół zszedł Srebrny Lis, a za nim reszta.

— Już czas, Karalu — powiedział kestra'chern, obejmując go mimowolnie. — Czeka ją na ciebie.

— Powodzenia, chłopcze — rzekł mistrz Levy i skrzywił się w nieoczekiwanym uśmiechu. — Nie zawieź Natoli; oczekuje, że będziesz prowadził szczegółowe notatki z tego, co się stanie, i opowiesz jej o tym, co widziałeś.

Lo'isha ujął jego dłoń w ciepłym uścisku i spojrzał mu głęboko i poważnie w oczy; reszta Shin'a'in przystanęła na chwilę, by kiwnąć mu z szacunkiem głową — był to gest zarezerwowany na ogół tylko dla Lo'ishy.

Każdy z nich na swój sposób zęgnął się z im, dodając mu otuchy, a unikając wszystkiego, co mogło go rozstroić lub zmniejszyć jego pewność siebie. Karal zdawał sobie z tego sprawę i wiedział, że oni są tego świadomi. Wiedział także, że powinien się bać — jednak cały strach minął w trakcie pożegnania, jakby każdy z nich ujmował jego cząstkę, by Karal był wolny i mógł wykonać zadanie.

Poszedł szybko do góry; Śpiew Ognia i An'desha czekali, by zamknąć pokrywę i zaryglować ją, a potem dodatkowo osłonić fizycznie i magicznie. Labirynt był pierwszą rzeczą, jaką dostrzegł Karal, kiedy tylko jego głowa wysunęła się z otworu w podłodze. Ustawiony na środku komnaty wydawał się o wiele mniejszy, choćby ze względu na wielkość pomieszczenia.

Wyglądał bardzo ładnie — jak dzieło sztuki abstrakcyjnej, lśniąc niebiesko i fioletowo od światła padającego z góry. Sejanes stał już na swoim miejscu, po obu jego stronach widać było delikatne zarysy postaci Vanyela i Stefena. Jutrzenka i Tre'valen, wyglądający o wiele bardziej solidnie, stali już obok miejsca, które miał zająć An'desha, a inny duch — Yfandes — znajdował się tam, gdzie miał być Śpiew Ognia. Mag miał już na plecach Potrzebę, a kiedy stanął na swoim miejscu, wyjął ją z pochwy i trzymał w ręce.

An'desha przeszedł na swoje miejsce pomiędzy avatarami; twarz miał skupioną, jakby już myślał o czekającym go zadaniu. Sejanes zamknął oczy i złożył przed sobą dłonie. Kiedy Karal stanął na swoim miejscu, pomiędzy Florianem i Altrą, Śpiew Ognia poruszył się nieznacznie, by zwrócić jego uwagę, a kiedy Karsyta spojrzał w jego stronę, zobaczył, że mag uśmiecha się do niego krzywo i gestem dodaje mu odwagi. To sprawiło, że poczuł się lepiej i z większą pewnością siebie postawił stopy w oznaczonym miejscu.

Kiedy dojdzie do uwolnienia ogromnych ilości energii, Śpiew Ognia uruchomi urządzenie i będzie je trzymał otwarte, co bardzo przypominało działanie kanału — było to najbardziej niebezpieczne zadanie. An'desha i Sejanes opanują strumienie energii skupiające się na Karalu, utrzymując stały przepływ mocy. Najbardziej groźne byłoby powstanie fal; gdyby jedna z nich pokonała Karala, mógłby on zablokować przepływ mocy. Wtedy fala powrotna uderzyłaby we wszystkich. Sejanes i An'desha mieli także stworzyć z energii jednorodną mieszankę, by za-

chowowała się podobnie. Karal miał zmienić jej naturę, zanim prześle ją do urzędu.

— Jesteśmy gotowi? — zapytał Śpiew Ognia, rozglądając się wokół. Każdy kiwnął głową i przez moment Karal na każdej twarzy zobaczył wyraz tej samej rezygnacji, którą czuł sam.

„Wszyscy są przekonani, że zginą, ale ze względu na pozostałych starają się robić dobrą minę”.

On zresztą czynił to samo. Mimo całej staranności, z jaką zaplanowali próbę, coś mogło się udać, a jeśli tak, wtedy nie jeden, lecz wszyscy zginą.

Nadchodzi — ostrzegł Altra, a potem nie było już czasu myśleć o czymkolwiek.

Charliss siedział w pełnym napięcia oczekiwaniu, co nie zdarzyło się od dzieciństwa. Być może będzie to najpotężniejsze zaklęcie od czasów kataklizmu; na pewno najpotężniejsze w historii Imperium. Z pozoru wyglądało to bardzo prosto — uwalniało się całą energię każdego magicznego przedmiotu i osoby w Skalnym Zamku, jakie Charliss mógł kontrolować. Zapewne zabije to wszystkich cesarskich magów. Jeśli nie, na wiele tygodni ich obezwładni, a całkiem możliwe, że zniszczy ich umysły. Charliss czerpał z tego przewrotną przyjemność, gdyż zaklęcie na pewno zabije swego twórcę, a on nie miał nic przeciwko zabraniu ze sobą w ostatnią drogę eskorty.

W tej chwili czuł jedynie wściekłość, nie pozostawiającą miejsca na inne uczucia. Myślał tylko o zemście.

Może będzie ostatnim cesarzem — za stwierdzeniem tym kryła się słodycz zemsty. Powiększał ją fakt, że nikt się nie dowie, iż to on tego dokonał — kilka osób wiedzących o rzucaniu zaklęcia brało je za zwykłą próbę przedłużenia życia.

Zapewne obwinia za wszystko Mellea, gdyż magowie, którzy zginą, byli blisko związani z cesarzem. To sprawiało jeszcze większą radość. Melles zostanie oskarżony o zniszczenie Imperium, a Charlissowi ludzie przez kontrast przypiszą wszelkie zalety, jakich baron nie posiadał. Melles zostanie łotrem, a Charliss — świętym męczennikiem. Co za wyrafinowana zemsta!

Jedyne, co mogłoby ją jeszcze uświetnić, to pewność, że zginie także Tremane. Jednak to nieważne; nie można mieć wszystkiego. Jeśli nawet wielki książę nie zginie w katastrofie spowodowanej przez Charlissa, może będzie tego później żałował.

Cesarz zebrał w dłoniach nitki mocy i czekał na rozpoczęcie burzy.

W wielkiej sali zamku Tremane’a odbywało się dziwne spotkanie. Tashiketh i cztery gryfy, kapłani z orszaku Solaris, którzy zostali do pomocy, Elspeth i Gwe-

na, Mroczny Wiatr i Vree, dyheli Brytha, wszyscy magowie Tremane'a, dwóch zaklinaczy pogody z samego Shonaru i ojciec Janas stali w koncentrycznych kręgach wokół króla. Znalazł się tu każdy, kto posiadał choćby najmniejszy dar magii, a wszyscy mieli pracować nad tym samym zadaniem: stworzeniem i podtrzymaniem osłon. Jeśli uda im się utrzymać je nad Shonarem, wykonają zadanie, jeśli nie nad miastem, to spróbują utrzymać je nad zamkiem, jeśli nie nad zamkiem — to chociaż nad sobą.

Scena wyglądała nierealnie, jak ze snu. Elspeth starała się ze wszystkich sił zapanować nad strachem, równie głębokim i wszechogarniającym jak lęk nocnego koszmaru. Po raz pierwszy grożące jej niebezpieczeństwo było nieuchwytnie, nieubłagane i nie miało twarzy. Nie był to żaden łotr pokroju Ancara czy Zmory Sokołów, ale straszliwa rzecz uwolniona tysiące lat temu, teraz znów powracająca, by siał zniszczenie, zbyt stara, bezosobowa i potężna, by ją zrozumieć, lecz zbyt realna, by nie przerażać.

Niebezpieczeństwo — całkiem realne — będzie jeszcze większe, jeśli grupie w Wieży się nie powiedzie. Od trzech dni w Hardornie szalała zamieć, najdziwniejsza, jaką widziała Elspeth. Zielonkawe błyskawice gdzieś nad zasłoną śniegu przecinały oślepiającymi błyskami całe niebo, lecz nie oświetlały niczego prócz bieli. Donoszono o trąbach powietrznych i lecących z wiatrem duchach, dziwnych istotach, których głosy mieszały się z wyciem wiatru. Nie potwierdzono tych raportów, ale Elspeth nie podważyłaby żadnego z nich.

Każda burza powodowała gorsze skutki — choć osłony nad ogniskami wytrzymały, nie sprawiając problemów. Jednak ta burza miała być gorsza, o wiele gorsza, niż jakakolwiek poprzednia. Był to powrót pierwotnego wybuchu, który spowodował wszystkie burze tak dawno temu.

Nikt nie potrafił przewidzieć, co zdarzy się w przypadku, gdy nie powiedzie się grupie w Wieży — wiedzieli tylko, że skutki będą straszliwe. Natura już wymknęła się spod kontroli; czy poradzą sobie przez lata czegoś takiego?

Nieważne. To nie zależało od niej i mimo wszystko wydawało się mało realne. Nigdy jeszcze nie była tak bezradna wobec zagrożenia, nigdy jeszcze nie zdarzyło się tak, że nie miała żadnego wpływu na to, co się stanie. Czuła się bezsilna — i nie podobało jej się to uczucie.

Mroczny Wiatr uściskał jej dłoń, a Gwena potarła jej ramię swym miękkim nosem. Cóż, przynajmniej nie była sama; nikt w tej komnacie nie kontrolował sytuacji bardziej, niż ona.

— Czas — powiedział Tremane ochryple. — Nadchodzi.

A potem było już za późno, by myśleć o czymkolwiek — mogła jedynie połączyć umysł, serce i moc z innymi, tak różnymi, osłonić się i z mroczną determi-

nacją wytrzymać. . .

— Teraz — powiedział Śpiew Ognia przez zaciśnięte zęby, kiedy rozpętała się burza.

Kamienie w ścianach Wieży trzęsły się i trzaskały jak sprężyna, którą skrecono zbyt mocno, by mogła powrócić do poprzedniego stanu. Nie przypominało to poprzednich doświadczeń z burzami, gdyż ta wydawała dźwięk — głuchy, grzmiący ryk, któremu towarzyszył wzrost ciśnienia powietrza. Śpiew Ognia wyciągnął Potrzebę w górę, odgradzając się nią od labiryntu, powiedział coś do miecza — najwyraźniej tylko do niego — i zrobił z ciasno utkaną tkanką magii coś, co Karal na pół zobaczył, na pół poczuł.

Wtedy labirynt rozszczępił drobiny światła na swoich powierzchniach, w stronę najwyższej kostki — i na zewnątrz wystrzelił strumień światła sięgający do najdalszych części urządzenia; wewnątrz pierścienia wszystko znikło, zamiast tego pojawiło się coś, co można było nazwać tylko wielką Ciemnością. Próżnia. Otchłań.

Karal czuł, jak go wciąga; pozwolił na to. Florian i Altra trzymali go zakotwiczonego w miejscu, podczas gdy część jego wnętrza połączyła się ze straszliwą ciemnością wewnątrz kręgu. Potem nie było niczego oprócz światła i ciemności: otchłani w środku, a wokół niej migoczących, lśniących wszystkimi kolorami tęczy, rozbieganych promieni światła i mocy. Karal czuł, że częściowo otwiera się przed nimi, że pozwala im przepływać przez siebie ku próżni, która połykała je łakomie, ale nie domagała się więcej, niż mógł jej dać.

Całą uwagę skierował na próżnię przed sobą; czuł wybuchy energii za plecami i wokół siebie, a moc wokół niego wirowała wściekle.

Usiłował wchłonąć ją i popchnąć w kierunku ciemnej jamy, ale otchłań sięgnęła granic swej wytrzymałości — więcej już nie mogła przyjąć.

Usłyszał krzyk; brzmiał jak głos An'deshy, lecz Karal nie rozumiał, co Shin'a'in usiłuje mu powiedzieć. Po prawej stronie z chaosu światła wynurzyła się rozświetlona postać, z każdą chwilą coraz jaśniejsza.

Był to Śpiew Ognia z rozgrzaną do białości Potrzebą w rękach. Karal trząsał się jak w gorąco, ale nie poddawał się bólowi siekacemu rozpalone ciało.

* * *

Melles przystanął za drzwiami komnat cesarza — wyjątkowo nie strzeżonymi, dzięki wciągnięciu do spisku osobistej straży Charlissa. Skoro zakłęcie zmuszają-

ce ich do wierności cesarzowi znikło całkowicie, mogli teraz myśleć samodzielnie — łącznie z komendantem Ethenem, zastępującym komendanta Peleuna, który załamał się nerwowo. W ciągu kilku ostatnich tygodni widzieli i słyszeli niemało — nie tyle, by się zbuntować sami, ale wystarczająco dużo, żeby przyłączyć się do spisku i opuścić swoje posterunki.

W korytarzu z białego marmuru nie rozlegał się żaden dźwięk oprócz zawsze obecnego wycia wichru. Nawet za szklanymi kloszami, płomyki świec chwiały się w lodowatym przeciągu, na tyle mocnym, by nazwać go wiatrem. Jednak te podmuchy byłyby ledwie zefirkiem, a zawieja na zewnątrz niewiele większą wichurą w porównaniu z tym, co zapewne spowoduje właśnie nadciągająca burza.

Cesarz będzie zapewne całkowicie pochłonięty rzucaniem zakłęcia; przez kilka ostatnich dni Melles pod różnymi pretekstami starał się przebywać kilka razy w czasie burzy w komnatach cesarza i sali tronowej — teraz wiedział, że w czasie snucia czarów Charliss jest absolutnie głuchy.

Gdyby połowę wysiłku, jaki wkładał w podtrzymanie swego upadającego ciała, poświęcił na utrzymanie Imperium, Melles nie czułby takiego przymusu pozbycia się go. Gdyby tak zrobił, baron miałby o połowę mniej sojuszników niż teraz.

Odważnie wszedł do komnat cesarza, tak jak robił to wiele razy przez ostatnich kilka dni, udając, że szuka państwowych dokumentów. Nie zwrócił uwagi na nieprzytomnych magów leżących w zewnętrznej komnacie, powalonych przez burzę lub cesarza, bezwzględnie korzystającego z ich energii.

Cesarza nie będzie tutaj ani w sypialni, Melles wiedział, iż Charliss rozkazał służbie zanieść się do pustej, dużej sali tronowej i posadzić na Żelaznym Tronie. Gestem pozdrowił dwóch strażników stojących przed drzwiami — byli to jego ludzie umieszczeni w straży za wiedzą i zgodą komendanta. Kiwnęli mu lekko głowami i odsunęli się na boki. Melles ostrożnie, centymetr po centymetrze, otworzył drzwi sali tronowej; poczuł jednocześnie burzę wzbierającą do niespotykanej dotąd siły, a w sali — dziwne zakłęcie, współgrające z burzą.

Nie był pewien, dlaczego cesarz zaczął rzucać zakłęcie, siedząc na Żelaznym Tronie, ubrany w Wilczą Koronę, ale to tylko ułatwiało mu zadanie. Nie będzie żadnych świadków, za to z pół tuzina wyjść, którymi mógł uciec. Zakładając, iż ktokolwiek będzie podejrzewał morderstwo. Ludzie znacznie łatwiej uwierzą wiernym strażnikom, stojącym parami w zasięgu wzroku i słuchu od siebie — potwierdzających samobójstwo.

Mimo płonącego ognia i kilku piecyków wokół nóg Charlissa, w komnacie panowało lodowate zimno, ale nie spokój. Cesarz już wyglądał jak wyschnięte zwłoki, skurczone w objęciach Żelaznego Tronu — oczy miał zamknięte, a białe, pomarszczone dłonie zaciśnięte na poręczach. Jedyne żółte oczy wilków na koronie obserwowały przybysza, który miał wrażenie, jakby błyszczała w nich iskra życia. Jednak wilki strzegą swych młodych i terytorium, a nie tych osobni-

ków, które stają się niebezpieczne dla całego stada. Nie przeszkodzą Mellesowi w wykonaniu zadania.

Wokół cesarza powstawało ściśle tkane, szybko wirujące zakłęcie, dziwnie podobne do burzy na zewnątrz. Czy Charliss usiłował zaczerpnąć moc z burzy, by podtrzymać swoją słabnącą magię? Jeśli tak, to oszalał.

Zakłęcie osiągnęło punkt kulminacyjny. Po latach obserwowania cesarza w trakcie rzucania zakłęć Melles znał rytm i tempo jego pracy. Jeśli ma uderzyć, lepiej zrobić to teraz. Spomiędzy fałdów ciężkiej, obszytej futrem tuniki wyjął ostry sztylet z imperialną pieczęcią na rękojeści. Ukraść go z kwatery cesarza dwa dni wcześniej; było to znana wszystkim, ulubiona zdobycz Charlissa; niemal każdy członek dworu zidentyfikuje sztylet jako przedmiot należący do cesarza, nikogo innego.

Teraz. Zanim Charliss przebudzi się z transu, w który wszedł na własne życzenie, zda sobie sprawę z niebezpieczeństwa i skieruje całą tę straszliwą energię przeciw niemu.

Ruchem wyszkolonego zabójcy Melles obrócił sztylet w dłoni tak, że trzymał go tylko kciukiem i palcem wskazującym — wycelował i rzucił.

Sztylet poleciał prosto i celnie, ciśnięty całą siłą ramienia i gniewu Mellesa. Z plaśnięciem ostrze wbiło się po rękojeść w lewe oko cesarza. Charliss zginął na miejscu, ze skupionym wyrazem twarzy i opuszczoną szczęką. Jednak zakłęcie, które miał właśnie uwolnić, nie zginęło razem z nim.

Przez chwilę Melles czuł zaciskającą się na jego gardle zimną dłoń strachu, co nie zdarzyło mu się od wielu lat. Zakłęcie szalało wokół, a on czekał, aż wgniecie go w ziemię.

Zebrana energia, pozbawiona kontroli, utworzyła wokół ciała cesarza wir i zasłoniła go przed wzrokiem Mellesa. Do góry wystrzeliły promienie światła, przebiły się przez ciemność i zostawiły wypalone plamy na suficie. Inne iskry chwiałały się, skakały w powietrzu, sięgając aż po ostrza mieczy ustawionych w odpychających wachlarzach wokół Żelaznego Tronu. Trzaskające iskry znikły z nagłym błyskiem i cichym sykiem. Nagle wir uspokoił się, a chwilę później energia wsiąknęła w Żelazny Tron, rozświetlając go na chwilę, zanim — przynajmniej z zewnątrz — nie znikła.

Wtedy Melles wypuścił z sykiem powietrze, odszedł niepewnie do Charlissa i sięgnął po Wilczą Koronę. Dotknął ją lekko i mógłby przysiąc, że wilczy dowódca na przedzie uśmiechnął się do niego. Potem wyjął sztylet, z oka zabitego; pociekła z niego wąska stróżka krwi, lecz wymagało to mniejszej siły, niż sądził. Ciało cesarza już się rozpadało. Melles obejrzał ranę; można było sprawić, żeby wyglądała na mniej ciężką. Szybkimi uderzeniami ciał cesarza po twarzy kilka razy, jakby Charliss w ślepej wściekłości sam zadał sobie te rany. Potem włożył sztylet w bezwładne dłonie cesarza, zacisnął palce na rękojeści, przycisnął ostrze do jego piersi i pchnął, sięgając do serca.

Odruchowo sprawdził, czy nie ma na ubraniu krwi. Zbyt długo był zawodowcem, by popełnić tak głupi błąd.

Potem wyszedł swobodnie przez drzwi, kiwając głową strażnikom. Za kilka chwil strażnicy wejdą do komnaty, znajdą Charlissa i zameldują, że cesarz, zrozpaczony utratą magii i zdrowia, popełnił samobójstwo.

„I niech żyje nowy cesarz — niech panuje sto lat”.

Karal klęczał; Altra stał przy nim, jaśniejąca postać kota pod wyciągniętą niepewnie dłonią, a Florian pomiędzy nim a otchłanią — ognista figura konia na tle ciemności. Po prawej, na tle wirujących, płynnych nici energii, jak oślepiająca statua wojownika z uniesionym mieczem rysował się Śpiew Ognia; wysoki, przenikliwy dźwięk, który przebił się przez hałas w uszach Karala, pochodził od Potrzeby, jakby miecz nagle uzyskał głos. Po lewej nie było śladu An'deshy, lecz dwie postacie ludzkie z piórami z ognia niezmordowanie snujące się wokół ocienionego centrum. Przez otchłań Karal nie widział Sejanesa.

Czuł, że klębiące się wokół energie wygrywają. Nie mogli ich przesyłać do próżni wystarczająco szybko, a ich obrońcy wypalali się.

A jednak już się nie bał. Nawet jeśli nie przeżyją, przeszli do próżni dość straszliwej mocy, by zapobiec kolejnemu kataklizmowi. Patrząc na płonący obraz Floriana, poczuł w sercu wielki spokój i bez drżenia stanął przed strasznym, jaśniejącym, mistycznym ogniem. Znów znalazł się w sercu słońca i wiedział, że jest mile witany. Otworzył się na nie do końca i zatracił w nim — poza lęk, ból i wszystko, co nie było Światłem.

W końcu jego poczucie własnego ciała uciekło i nie czuł już nic więcej.

Światło znikło. Nie było nic oprócz ciemności, ale na jej tle wciąż płonęła postać Floriana.

Leżał na plecach. Jego dłonie trafiły na okrywające go szorstkie koce, a potem ciepłe futro.

— Chyba się obudził — odezwał się cicho Lo'isha.

Karal chrząknął i odpowiedział:

— Obudziłem się. Jak się czują inni? Czy światło zgasło?

Zapadła ciężka cisza, jak wtedy, kiedy ktoś nierozważnie zadaje pytanie, na które żadna odpowiedź nie jest dobra.

Usiłował usiąść, lecz poczuł na piersi przytrzymujące go dłonie.

— Czy Śpiew Ognia jest ciężko ranny? — zapytał gwałtownie. — Czy mogę go zobaczyć? Gdzie Florian? Nie zapaliliście jeszcze żadnych świateł?

Znów ta niezręczna cisza, po której nadeszła w końcu odpowiedź — przynajmniej na ostatnie pytanie. Bardzo cicho Lo'isha zapytał:

— Co widzisz?
— Nic — wyszeptał zdumiony Karal. — Tylko... Florian...
— Chyba najlepiej wyszli na tym ci, których osłaniały duchy — odezwał się Lyam na swój suchy sposób.

Okrywające go futro poruszyło się.

Florian... odszedł, Karalu — powiedział Altra najłagodniejszym tonem, jaki Karal kiedykolwiek u niego słyszał. — *Z wszystkich osłaniających jedynie ja przeżyłem. Przykro mi.*

Karal poruszył głową — ale nie zobaczył nic oprócz ciemności i ognistej sylwetki Floriana. Przełknął, kiedy dotarło do niego to, co się stało — i poczuł gorące łzy spływające po twarzy. Zamrugął, lecz nic się nie zmieniło w tym, co widział — a raczej w tym, czego nie widział.

— Nic nie widzisz, Karalu? — nalegał Lo'isha. Karal tępo potrząsnął głową.

— Co ze Śpiewem Ognia? — zapytał, czując zimną grudę w żołądku i drugą w gardle. — Czy on... jak ja... .

— Nie — ale miecz, Potrzeba roztopiła się i wybuchła w jego rękach. Jego ręce i twarz są mocno poparzone — powiedział Lyam. — Właśnie odesłałem do niego Srebrnego Lisa.

Choć łzy żalu nadal spływały mu po twarzy, Karal pokiwał głową.

— Dobrze — wydobył z siebie. — Nie potrzebuję uzdrowiciela. .. — Tutaj głos go zawiódł i zdanie zawisło w powietrzu jak pytanie.

— Nie, Karalu — powiedział Lo'isha, kładąc mu pocieszająco dłoń na ramieniu. — Obawiam się, że uzdrowiciel nie pomoże ci teraz.

— Zostawcie mnie z Altrą, dobrze? — poprosił Karal; po chwili usłyszał, że wstają i odchodzą. Poczul kota kładącego mu się na piersi i nogach i zaczął delikatnie drapać go za uszami. Łzy spływały mu po twarzy, a Altra ścierał je delikatnie.

Karalu? — odezwał się Altra po długiej chwili ciszy. Młodzieniec uścisnął go gwałtownie.

— Zostań ze mną — wyszeptał.

Nigdy cię nie opuszczę — obiecał Altra. — *Nigdy. Do końca życia.*

Śpiew Ognia pamiętał chwilę, kiedy Potrzeba przegrała swą bitwę o osłanianie go — zaraz po tym, kiedy Yfandes wyparowała w błyskach czystej energii. Krzyknęła — myślał, że go ostrzega — puścił ją i zasłonił ramieniem oczy. Potem czuł już tylko ból.

Nawet nie stracił przytomności, co w tej chwili byłoby błogosławieństwem. Srebrny Lis dał mu coś, co zmniejszyło nieco ból, jednak nadal cierpiał. Niemal równie bolesna była świadomość tego, co mu się stało. Wiedział, jak wygląda

— a co gorsze, wiedział, jak będzie wyglądał. Żaden uzdrowiciel nie zdoła go uchronić przed bliznami, a jego twarz. . .

Powstrzymał łzy bólu. Owszem, był próżny, dlaczego nie? Dzięki swej twarzy miał kochanków, jakich tylko zapragnął, a teraz nikt na niego nie spojrzy.

Dotyk na ramieniu kazał mu otworzyć oczy.

— Ashke, jestem tutaj — powiedział Srebrny Lis z troską na twarzy. — Czy bardzo cię boli?

— Lepiej zapytaj, co nie boli — odparł mag, usiłując obrócić to w żart. — Staram się nie krzyknąć, bo to świadczy o złym wychowaniu, a poza tym przestraszyłoby An'deshę.

— Wysłaliśmy Kal'enedral po silniejsze leki przeciwbólowe — powiedział łagodnie Srebrny Lis, kładąc mu dłoń na ramieniu w miejscu, które nie było poparzone. — Powinni niedługo wrócić. Zamieć ustała, śnieg topnieje, niedługo gryfy lub konie zawiozą cię do k'Leshya. Kaled'a'in mają naprawdę dobrych uzdrowicieli. . . — Zawahał się i dodał: — Szkoda, że nie na tyle dobrych, by mogli pomóc Karalowi.

Te słowa sprawiły, że Śpiew Ognia przestał żalić się nad sobą.

— Co z Karalem? — zapytał szybko.

— Chyba. . . stracił wzrok. — Srebrny Lis odwrócił na moment spojrzenie.

„Stracił wzrok!” Przez jedną gorzką chwilę Śpiew Ognia pozazdrościł Karalowi. Lepiej stracić wzrok, niż iść przez życie, spotykając się z pogardą i litością, widzieć, jak ludzie odwracają spojrzenie, gdyż nie mogą znieść widoku twojej twarzy. Jednak zaraz poczuł gniew na samego siebie.

„Ty głupcze” — powiedział sobie. „Próżny, zarozumiały głupcze! Żyjesz i zachowałeś wszystkie zmysły. Nie jesteś kaleką i wciąż masz Ayę”.

Jakby dla podkreślenia ostatniego stwierdzenia więź-ptak zaczął żerować obok postania Śpiewu Ognia.

„Biedny Karal” — pomyślał wreszcie.

— Biedny chłopak — westchnął. — Florian i to. . . — jęknął mimowolnie, czując przeszywający ból twarzy spowodowany poruszeniem. Poczul łzy wsiąkające w bandaż.

Srebrny Lis przyłożył dłoń do skroni Śpiewu Ognia i z wielkim skupieniem spojrzał mu w oczy. Kiedy mag spojrzał w oczy uzdrowiciela, poczuł, że ból częściowo ustępuje i niemal znów się rozpląkał, tym razem z radości. — Będę się cieszył. . . — wydobył z siebie — kiedy przywiozą lekarstwa.

— Ja też nie mogę się doczekać — odparł Srebrny Lis, uśmiechając się lekko. — Jesteś bardzo odważny. Ja nie potrafiłbym znieść takiego bólu.

— Nie jest tak źle, najgorzej w samotności — powiedział Śpiew Ognia, wciąż patrząc w ciepłe, współczujące oczy.

Spojrzenie Srebrnego Lisa jeszcze bardziej złagodniało.

— W takim razie, ashke, nigdy cię nie opuszczę — powiedział cicho przystojny kestra'chern. — Jeśli zniesiesz mnie przy sobie.

Na chwilę Śpiew Ognia zapomniał o wszelkim bólu.

An'desha leżał skulony, z twarzą do ściany, a z jego drgających ramion Karal mógł odgadnąć, że cicho płacze. Patrzenie oczami Altry wymagało przyzwyczajenia, gdyż ognisty kot miał głowę na wysokości kolan człowieka i młodzieniec musiał patrzeć w górę, by dojrzeć twarze towarzyszy. Jednak przynajmniej teraz, z Altra przyklejonym do nóg, nie obijał się i nie potykał o wszystko.

Uklęknął obok pośłania An'deshy i położył mu rękę na ramieniu.

— Jeśli dalej będziesz tak postępować — powiedział, usiłując samemu nie rozplątać się we łzach, by nie pogorszyć sprawy — rozchorujesz się.

An'desha tylko potrząsnął gwałtownie głową; Karal usiłował przypomnieć sobie to, co mówił mu Lo'isha.

„An'desha wini siebie za straty, jakie ponieśliśmy, zwłaszcza za stratę avatarów” — mówił Kaled'a'in. „Musisz przekonać go, by wszedł na Księżycowe Ścieżki, inaczej... z jego duszą i jego sercem będzie źle. Ja nie potrafiłem go do tego namówić”.

Z tymi słowami starszy mężczyzna odszedł, a Karala nie trzeba było dłużej namawiać — dobrze pamiętał, jak An'desha pomógł mu rozwiązać jego problemy z sumieniem. Altra poparł prośbę Lo'ishy, kiedy tylko Shin'a'in odszedł, by zająć się inną pilną sprawą. Czy w takiej sytuacji Karal mógł odmówić?

— Nic, co zrobiłeś lub co mógłbyś zrobić, nie wpłynęłoby na skutki — mówił Karal. — Jak to zresztą możliwe? Próbowaliśmy dokonać więcej od Urtho — a i tak udało nam się zrobić więcej, niż mogliśmy oczekiwać!

— Powiniennem wiedzieć o tej broni — powiedział An'desha głosem stłumionym przez rękaw. — Powiniennem wiedzieć, że zawiodą.

— Jak? — zapytał gorzko Karal. — To była broń Urtho, nie Ma'ara! Jak mogłeś wiedzieć, co się z nimi stanie? Jasnowidzenie? Przecież nawet jasnowidzący nie mogli nam powiedzieć nic pewnego!

Spod rękawa An'deshy wynurzyło się jedno zaczerwienione oko.

— Ale... — zaczął.

— Żadne „ale” — powiedział stanowczo Karal. — Nie jesteś jasnowidzem, nie masz wspomnień Urtho, tylko Ma'ara. A jeśli wejdiesz na Księżycowe Ścieżki, k'Leshya potwierdzą, że mam rację.

An'desha cofnął się lekko i zbladł, co wyglądało całkiem ciekawie, jeśli patrzyło się oczami Altry.

— Ja nie mogę... — zaczął.

Karal przygwoździł go spojrzeniem — miał nadzieję, że mocnym, choć nie czuł, by jego oczy zachowywały się tak, jak powinny.

— Mówisz dokładnie jak ktoś, kto został zrzucony przez wierzchowca — odparł. — Co się robi, kiedy spada się z konia?

— Wsiada się z powrotem — odpowiedział słabo An'desha. — Ale...

— Za dużo tego „ale”. — Karal pogłaskał go po ramieniu. — Spróbuj zamiast tego powiedzieć „dobrze”.

— Dobrze — odpowiedział posłusznie An'desha, po czym zdał sobie sprawę z podstępu. Karal nie zamierzał pozwolić mu się wycofać.

— Idź — powiedział i niepewnie wstał. Zdał sobie sprawę, że patrzy do góry, zamiast na dół — naśladował postawę Altry. — Idź na Księżycowe Ścieżki. Proszę cię o to i Lo'isha też cię prosi. To powinno wystarczyć.

Powiedziawszy to, co miał do powiedzenia i zmusiwszy An'deshę do częściowej zgody, wrócił do swojego posłania, daleko od innych; skulił się na nim, wyczerpany powstrzymywaniem własnych uczuć, i płakał, aż usnął.

* * *

Karalu!

Zdumiony, rozejrzał się wokoło. Nie leżał już na swoim posłaniu w Wieży, lecz stał pośrodku... nie, nie znał tego miejsca. Wokół unosiła się opalizująca mgiełka, a pod stopami słała się ścieżka rozjarzonego srebrzystego piasku. W dodatku patrzył na to własnymi, nie Altry oczami.

Gdzie był? Nie przypominało to żadnego ze snów, jakie pamiętał; właściwie najbardziej podobne było do opisywanych przez An'deshę Księżycowych Ścieżek. Jednak tam mogli dotrzeć tylko Shin'a'in, prawda?

Prawda?

Oczywiście, że nie — odezwał się ten sam głos, dojmująco znany. — *Każdy może tu przyjść, jedynie różnie je zobaczy. Ale Altra stwierdził, że po tym, co ostatnio przeszedłeś, przez jakiś czas nie będziesz miał ochoty na odwiedziny w sercu Słońca.*

Tym razem, kiedy się odwrócił, dostrzegł kogoś — a raczej cztery osoby, dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Dwoje z nich, stojących ręką w rękę, z mglistymi sylwetkami ptaków za plecami, rozpoznał natychmiast.

— Tre'valen! — zawołał. — Jutrzenka! Ale...

Na niebiosa, chyba nie myślałeś, że spaliliśmy się? — roześmiała się Jutrzenka. — *Do zniszczenia ducha potrzeba czegoś więcej niż tylko magicznej burzy! Po prostu straciliśmy zaczepienie w waszym świecie, to wszystko.*

— Naprawdę? — zapytał ktoś inny z niedowierzaniem. — To wszystko?

Karal bez zdziwienia zobaczył podchodzącego i stającego obok An'deshę. —

Ale dlaczego nie przyszlście, kiedy was wzywałem?

Ponieważ... cóż, nie mogliśmy. — Tre'valen wyglądał na zawstydzonego. — Obawiam się, że, chcąc wam pomóc, przekroczyliśmy nasze uprawnienia. Gwiazdzistooka właściwie nie wpadła w złość, ale...

Jutrzenka przerwała mu.

Będziecie musieli tu przychodzić, by się z nami spotkać — powiedziała z żalem. — Ale jeśli zamierzasz zostać szamanem, i tak powinienesz zdobywać doświadczenie w przemierzaniu Księżycowych Ścieżek.

— Na razie mogę jedynie myśleć o tym, jak bardzo się cieszę, że ja nie... — zaczął An'desha, lecz tym razem przerwał mu nieznajomy młody mężczyzna. Wydawał się dziwnie znajomy, choć Karal nie wiedział, dlaczego. Szczupły, niezbyt dobrze umięśniony, jednak o zwinnej budowie ciała, miał ciemnoblond włosy, wciąż spadające na niebieskie oczy i swobodny, przyjazny sposób bycia.

Nic z tego, co zrobiłeś lub nie zrobiłeś, nie miało wpływu na to, co się z nami stało, An'desha — powiedział. — Częściowo to zwykły przypadek, reszta zdarzyła się dlatego, że wzięliśmy na siebie za dużo, a i tak udało nam się. Odważyliśmy się. Prawda, Karalu?

W tej chwili Karal domyślił się, kim jest.

— Prawda, Florianie — odpowiedział; Towarzysz nagroził go mrugnięciem, uśmiechem i kiwnięciem głowy. — Ale jeśli to tutaj trafiliście po... to gdzie są Vanyel, Stefen i Yfandes?

Po pierwsze — uwolnili się od lasu. Według mnie był to najwyższy czas — odrzekł Florian. — Zapewne oni też tak myślą. W swoim czasie mogło się to wydawać świetnym pomysłem, ale chyba utknęli tam na dużo dłużej, niż oczekiwali.

Karal nie miał bladego pojęcia o czym mówi Florian, a jego zdziwienie musiało częściowo uwidocznic się na jego twarzy. Florian zachichotał.

Nieważne — powiedział — W każdym razie podjęli decyzję, co do swych dalszych losów. Nie mieli zbyt wiele czasu, by zapewnić sobie właściwe miejsce, więc już poszli. Nie mogę ci powiedzieć, co zdecydowali, ale wszystko będzie dobrze. Co do mnie — ciągnął z uśmiechem — również dokonałem wyboru, ale nie byłem tak wybredny. Jeśli się zastanowisz, będzie to oczywiste, ale nie mów o tym żadnemu heroldowi, dobrze?

Karal solennie pokiwał głową; decyzja Floriana była słuszna, choć wątpił, by jego przyjaciel miał w chwili powrotu na świat wyglądać choćby w przybliżeniu tak, jak teraz.

A może jednak. Karal zapamiętał sobie tę twarz. Jeśli za piętnaście czy dwadzieścia lat on sam — a raczej Altra — zobaczy herolda, który będzie tak wyglądał, obaj będą wiedzieć, kim jest.

„Ale powinienem pamiętać, że on nie będzie nic pamiętał, i żeby nie biec mu na powitanie jak długo nie widzianemu przyjacielowi”.

Chociaż tym właśnie byłby.

— Florianie. . . — zająknął się, ale mówił dalej. — Nigdy nie miałem takiego przyjaciela.

Ha, w swoim czasie będziesz miał — odparł niepoprawny Florian. Najwidoczniej nie był w nastroju do sentymentalnych pożegnań. Objął przyjaciół, ucinając ich rozmowę. — *Teraz wracaj do Valdemaru i zajmij się Natoli. Ja zajmę się swoimi sprawami, a kiedyś znów się spotkamy. To nie jest „żegnaj”, Karalu, to „do zobaczenia”. W porządku?*

Co mógł zrobić innego niż zgodzić się i oddać serdeczny uścisk? Florian pomachał im i rozplątał się we mgle, pozostawiając Karala ze łzami w oczach i uśmiechem na ustach.

Został teraz z An'deshą i starą kobietą.

„To musi być Potrzeba” — pomyślał, słuchając jej ciętych, inteligentnych rad, jakich udzielała An'deshy.

A co do ciebie, miody człowieku — powiedziała w końcu, patrząc na niego mądrymi oczami. — *Całkowicie zgadzam się z tym urwisem Florianem, Jesteś o wiele za poważny. To, że nie widzisz, to jeszcze nie powód, by wracać do tego ponurego kraju, usiąść w kącie i płakać. Zajmij się swoją damą; w swoim czasie miałam mnóstwo nowicjuszek jej rodzaju. Podejrzewam, że nie pozwoli ci użalać się nad sobą.*

— Pewnie nie, pani — odparł uprzejmie, myśląc, że jej opinia o Natoli była zadziwiająco trafna jak na kogoś, kto właściwie jej nie znał.

A odpowiadając na wasze wcześniejsze pytanie: mam zamiar wreszcie odpocząć. Może mnie zobaczycie, a może nie, ale niech mnie licho, jeśli jeszcze kiedykolwiek utknę w kawałku metalu! — Uścisnęła ich krótko. — *A teraz przestańcie moczyć dobre poduszki słoną wodą, a zamiast tego zajmijcie się życiem.*

Po czym odwróciła się i odeszła w mgłę, zostawiając ich samych. Tre'valen i Jutrzenka znikli wcześniej, kiedy uwaga ich obu skupiła się na Potrzebie.

— Co teraz? — zapytał Karal.

Spojrzał na przyjaciela, który wzruszył ramionami, ale wyglądał lepiej.

— Chyba powinniśmy zrobić to, co nam kazała — powiedział An'desha. — Znasz ją. Jeśli jej nie posłuchamy, może wrócić i nas powalić. — Przez chwilę szurał nogą po srebrnym piasku, a potem dodał: — Cieszę się, że zmusiłeś mnie do przyjścia tutaj.

— Cieszę się, że mi pozwoliłeś — odrzekł Karal i uśmiechnął się, czując w sercu większy spokój, niż mógłby się kiedykolwiek spodziewać. — A teraz wracajmy do domu.

Karal oczami Altry spojrzał za siebie ponad grzbietem konia Shin'a'in, pięknego i pełnego wdzięku. Bardzo dziwnie jechało się na innym wierzchowcu niż Florian, ale zapewne niedługo się do tego przyzwyczai. Za nim w siodle używa-

nym przez Shin'a'in dla chorych i rannych, podążał Śpiew Ognia, obserwował otoczenie błyszczącymi oczami spod maski zakrywającej jego na pół wygojoną twarz. Maską była naprawdę zadziwiająca nie tylko dlatego, że ekstrawagancją i urodą nie ustępowała wyszukany strojom maga, ale również dlatego, że do jej wykonania Śpiew Ognia i Lyam wykorzystali to, co udało im się znaleźć w Wieży w ciągu dwóch tygodni oczekiwania. Zrobili ją ze skóry i ozdobili kryształami, kawałkami drutu i piórami, które Aya ostrożnie wyrwał sobie z ogona i przynieśli Śpiewowi Ognia, kiedy ten, na pół uzdrowiony, leżał jeszcze w łóżku — zapewne kolekcjoner zapłaciłby za nią fortunę. Jednak Śpiew Ognia nie był zadowolony i już myślał o nowych.

Wokół nich Równiny kwitły tak, jak dawniej, kiedy chodziła nimi sama Gwiazdzistooka — tak twierdzili Shin'a'in. Trawy nie było niemal widać spod nieprawdopodobnie barwnych kwiatów. W ciągu dwóch tygodni ziemia przeszła z głębokiej zimy do pełni wiosny. Oczami Altry Karal ze zdziwieniem i lękiem wchłaniał w siebie nieprawdopodobną urodę otoczenia. Według wiadomości dostarczonych przez Altrę od Solaris z Karsu, przyjaciół z Przystani i Elspeth z Hardornu, zjawisko to nie obejmowało tylko Równin. Cały świat rozkwitł, jakby w zadośćuczynieniu za zniszczenia spowodowane przez burze.

Sejanes i An'desha, a potem również Śpiew Ognia, zbadali, jak działa teraz magia. Wkrótce odkryli, że nie ma już linii energii, ognisk ani wielkich zbiorników mocy. Energia magiczna rozproszyła się równomiernie nad całym obszarem; przez bardzo długi czas nie będzie można wykorzystywać wielkiej magii. Oczywiście oznaczało to niemożliwość postawienia Bramy, lecz jazda przez kraj, w którym świeciło łagodne słońce, na każdym kroku śpiewały ptaki, a w powietrzu unosił się zapach kwiatów, kwitnących zarówno w dzień, jak i w nocy, wyczuwalnych nawet przez sen — nie była uciążliwa. Kiedy zaś sprytni Kaled'a'in znajdą sposób na zmniejszenie ciężaru koszyków, wykorzystując wciąż istniejącą słabą magię, będą mogli resztę podróży odbyć w powietrzu.

Karal miał wybór: mógł wracać do domu, do Karsu — wtedy czekała go o wiele krótsza podróż — lub jechać do Valdemaru. Nie był to trudny wybór. Jedną z pierwszych wiadomości od Solaris przeznaczona była tylko dla niego; królowa chwaliła jego postępowanie i pytała, czy — traktując to jako przysługę dla niej — nie zechciałby podjąć na nowo pracy w Valdemarze jako poseł Karsu oraz głowa Świątyni poza Karsem. „Mając tak widoczny dowód twego poświęcenia” — pisała — „nikt nie podważy twojego autorytetu. Ponadto będziesz się stykał z przedstawicielami Iftelu — przyznaję, że nie wiem jak z nimi postępować. Pan Słońca wprowadził w Iftelu dziwne rozwiązania i nie sądzę, by poza tobą znalazł się w całej Świątyni chociaż jeden kapłan, który nie potraktowałby tych ludzi jak heretyków. W żaden sposób nie chcę obrazić naszych nowych siostr i braci, ale obawiam się, że gdybym wyznaczyła do Valdemaru i Iftelu kogokolwiek innego, niedługo połałaby się krew. Jednak jeśli zechcesz wracać do domu, zrozumieć

i poradzę sobie”.

Wiadomość nadeszła tego dnia, kiedy wszyscy decydowali, czy chcą jechać do domu, czy do Przystani. Tarrn i Lyam wracali do k'Leshya, co nie było żadnym zaskoczeniem. Jednak Śpiew Ognia i Srebrny Lis jechali z nimi. Karal spodziewał się, że Śpiew Ognia będzie chciał wrócić do rodaków, lecz adept uśmiechnął się pod maską i jedynie potrząsnął głową. Zwisające z maski kryształ i kawałki metalu zadźwięczały delikatnie.

— W k'Leshya nikt nie pamięta, jak wyglądałem przedtem — powiedział cicho. — Poza tym Srebrny Lis chce, żebym tam pojechał, a to przecież znajoma Dolina. — Z tonu jego wypowiedzi jasno wynikało, że głównym powodem tej decyzji był Srebrny Lis.

Jechał z nimi też An'desha, ale on nie opuszczał Równin. Postanowił zostać, uczyć się z Lo'isha i złożyć śluby szamana. Karal był tym zaskoczony, zwłaszcza że w czasie przygotowań do podróży An'desha gorliwie ćwiczył magię z Sejansem i Śpiewem Ognia.

— Teraz już Shin'a'in nie obowiązuje zakaz uprawiania magii — wyjaśnił mu ze śmiechem. — Nie ma powodu. Podejrzewam, że w swoim czasie Lo'isha chciałby ze mnie uczynić nauczyciela młodych pokoleń magów. Podobałoby mi się to — zakończył zadowolony. — Ma'ar we wszystkich swoich wcieleniach nie dawał nic z siebie. Może w końcu uda mi się to zrównoważyć.

Zatem Lo'isha i An'desha mieli pożegnać ich na skraju Równin, a Srebrny Lis, Śpiew Ognia, Tarrn i Lyam przy Dolinie k'Leshya. Mistrz Levy i Sejanes jechali oczywiście dalej; potem mieli dołączyć do nich heroldowie, którzy roznosili wiadomości, informujące magów i władców o tym, jak powstrzymać ogniska na ich terenach przed skażeniem przez burze.

Karal jechał z nimi. Po radach duchów na Księżycowych Ścieżkach nie był zaskoczony, kiedy Natoli przysłała mu wiadomość z prośbą, by przyjeżdżał do Valdemaru. „Ja też mogę być twoimi oczami” — pisała. „A ty będziesz moim rozsądkiem, którego wydaje mi się wyjątkowo brakować. Potrzebuję cię”. Zawył styl, ale jasne myśli. Pomimo wszystko Karal nieco się bał, że nie będzie chciała go przyjąć; teraz wiedział, że powinien bardziej jej zaufać.

Zatem wróci z Sejansem i mistrzem Levym — do obowiązków i do miłości. Ale przede wszystkim do miejsca, o którym już myślał jak o domu.

Miał Altrę, który służył mu swymi oczami, ale również przyjaźń ludzi, wiarę w siebie i nadzieję na przyszłość, że da mu wizję — czystą i prawdziwą.